

Jonathan Kellerman

Bomba zegarowa

Zaiste! Jakaż to zdolna ekipa!

I wyraził swoje przekonanie, iż ktokolwiek potrafi wyhodować dwie kolby kukurydzy albo dwa źdźbła zboża na kawałku gleby, gdzie wcześniej rosło ledwie jedno, zdobędzie szacunek ludzi i lepiej przysłuży się swojemu krajowi niż cała rzesza polityków zebranych razem.

JONATHAN SWIFT

Rozdział pierwszy

Początek roku szkolnego zawsze przywołuje wspomnienia zaliczonych i obłanych klasówek.

Poniedziałek. Telefon Mila przeciął ciężki, szary, listopadowy dzień, który w końcu wybuchnął deszczem.

– Włącz telewizor – powiedział.

Spojrzałem na zegar na biurku. Właśnie minęła czternasta czterdzieści – pora, kiedy emitują talk-show. Prezentacja osobliwości przyciągająca widzów.

– I co? O zakonnicach morderczyniach czy o zwierzętach domowych obdarzonych szóstym zmysłem?

– Tylko włącz, Alex. – Miał napięty głos.

– Który kanał?

– Którykolwiek.

Wcisnąłem przycisk na pilocie. Dźwięk rozległ się, zanim pokazał się obraz.

Płacz i zawodzenie. Następnie twarze. Twarzyczki. Wiele twarzyczek. Oczy szeroko otwarte z oszołomienia i przerażenia. Delikatne ciała okryte kocami i skulone, jedno przy drugim, na podłodze obszernej sali. Błyszczący parkiet i kredowobiałe linie. Sala gimnastyczna.

Kamerzysta zrobił zbliżenie małej, czarnowłosej dziewczynce w białej sukience z bufiastymi rękawami. Dziewczynka przyjęła plastikowy kubek z czymś czerwonym. Trzęsły jej się dłonie i napój się wylewał; na białym płótnie powstała plama podobna do krwi. Kamerzysta zatrzymał kadr, delektując się tą scenką. Dziewczynka wybuchła płaczem.

Pulchny chłopiec w wieku pięciu lub sześciu lat też beczał. Chłopiec stojący obok niego był starszy, miał może z osiem lat. Patrzył przed siebie i przygryzał wargę, usiłując zachowywać się jak prawdziwy mężczyzna.

Więcej twarzy. Całe morze twarzy.

Dotarł do mnie komentarz wygłaszany łagodnym głosem – przemyślane napastliwe dźwięki, przemieszane z taktycznymi pauzami. Obrazy pochłonęły mnie bez reszty i słowa do mnie nie trafiały.

Przesunięcie kamery na błyszczący od deszczu asfalt. Całe połączenie asfaltu. Przysadziste budynki w cielistym kolorze obryzgane rdzawo-różowymi zaciekami w miejscach, gdzie wilgoć naruszyła tynki. Komentarz stawał się coraz bardziej natarczywy, a kamera wpadła w obłęd, łapiąc fragmenty

obrazu tak krótkie, że niemal na granicy podświadomości: odziani w kurtki artylerii przeciwlotniczej i czapeczki baseballowe komandosi kucający na dachach, zaczajeni w bramach, mamroczący coś do trzymany w dłoniach krótkofalówek. Żółta taśma do odgradzania miejsca zbrodni. Karabiny. Błysk celowników teleskopowych, megafony. Grupa posępnych mężczyzn w ciemnych garniturach, konferujących za barykadą samochodów policyjnych. Wozy policyjne. Odjeżdżają. Policjanci pakują się i odchodzą. I nagle szerokie ujęcie czarnego worka z zamkiem błyskawicznym, wywożonego na wózku w padającym deszczu.

Właściciel łagodnego głosu pojawił się na ekranie. Włosy piaskowego koloru, wygląd osoby na kierowniczym stanowisku, w płaszczu burberry i jaskrawoniebieskim, wzorowo zawiązanym krawacie. Z płaszcza ściekała woda, ale polakierowana fryzura trzyma się wytrwale. Powiedział:

– Nadal stopniowo gromadzimy informacje, wydaje się, że był tylko jeden podejrzany i osoba ta została zabita. Właśnie widać wywożone ciało, jednak nie podano do wiadomości tożsamości tej osoby...

Zbliżenie na czarny worek, mokry i błyszczący jak skóra foki. Niewzruszeni pracownicy prosektorium, dla których równie dobrze mógłby to być wór ze śmieciami, podciągnęli worek i załadowali go do jednej z furgonetek. Trzask drzwi. Zbliżenie na reportera kulącego się w strumieniach deszczu z miną nieustraszonego korespondenta wojennego.

– Podsumowując, w Szkole Podstawowej Nathana Hale'a na osiedlu West Side, w dzielnicy Ocean Heights, czterdzieści minut temu miała miejsce strzelanina z broni palnej. Oprócz zamachowca, który, jak nam wiadomo, nie żyje i pozostaje nie zidentyfikowany, nie zanotowano ofiar śmiertelnych ani rannych. Wciąż nieznane są przyczyny śmierci snajpera. Wcześniejsze pogłoski o przetrzymywaniu zakładników okazały się nieprawdziwe. Jednakże fakt, że członek Kongresu Stanowego, Samuel Massengil i członek Rady Miejskiej, Gordon Latch, przebywali w szkole podczas strzelaniny, stał się przyczyną doniesień, że chodziło o próbę zamachu. Latch i Massengil reprezentują dwie strony w sporze o dowóz autobusami dzieci ze śródmieścia do niewykorzystanych w pełni szkół w dzielnicy West Side i planowali na ten temat debatę telewizyjną, choć w chwili obecnej brak dowodów, że strzelanina miała związek z...

– Dobra – odezwał się Milo. – Wiesz, o co chodzi.

Gdy to mówił, dojrzałem go za otwartymi drzwiami jednego z samochodów policyjnych, z jedną ręką przy uchu, z mikrofonem radiotelefonu przytkniętym do ust. Postać w tle, zbyt odległa, żeby dostrzec rysy twarzy. Potężna sylwetka i kurtka w kratę nie pozostawiała wątpliwości.

– Alex? – powiedział i ujrzałem na ekranie, jak drapie się w głowę. Dziwaczne zestawienie – wizja i telefon. Obraz zniknął, gdyż kamera odwróciła się ponownie w stronę zalanego, pustego boiska szkolnego. Przez chwilę pusty ekran, logo stacji, obietnica nadawania za chwilę „naszego stałego programu” i reklama zabiegów chirurgicznych zmniejszających otyłość.

Wyłączyłem telewizor.

– Alex? Jesteś tam jeszcze?

– Jestem.

– Te dzieciaki... Straszny tu bałagan. Przydałbyś się nam. Powiem ci, jak dojechać. Gdy będziesz rozmawiał ze strażnikiem przy zaporze policyjnej, powołaj się na moje nazwisko. Ocean Heights jest niedaleko od twoich włości. Powinieneś dotrzeć tu, za ile? Piętnaście, dwadzieścia minut?

– Coś koło tego.

– No więc? Te dzieciaki... Naprawdę jesteś tu potrzebny.

– W porządku.

Odłożyłem słuchawkę i poszedłem po parasol.

Rozdział drugi

Ocean Heights to dzielnica na zachodnim krańcu Pacific Palisades, która pasuje tam jak krosta do brody fotomodelki.

Wymyślona przez korporację zajmującą się budową statków kosmicznych, jako osiedle przeznaczone dla rzesz inżynierów i techników, sprowadzonych do Południowej Kalifornii w czasach hossy po wystrzeleniu sputników. Dzielnica powstała po wykarczowaniu sadów cytrusowych i wyrównaniu terenu, dawniej pełnego jarów i wzgórz. Powstało z tego coś na wzór parku Disneya: „rozplanowane osiedle” płaskich, szerokich, obsadzanych magnoliami ulic, doskonale prostokątnych trawników, parterowych bungalów na ćwierćakrowych działkach. Wszystko to obwarowane było umowami, na których małą czcionką zaznaczono, że zakazuje się „architektonicznej i krajobrazowej niespójności”.

Korporacja już od dawna nie istnieje, padła ofiarą kiepskiego zarządzania. Gdyby nie sprzedawali domów, tylko je wynajmowali, wciąż jeszcze mogliby utrzymać się na rynku, gdyż głód ziemi panujący w Los Angeles wywindował ceny w Ocean Heights do sześciocyfrowych kwot i dzielnica stała się popularna wśród przedstawicieli wyższej klasy średniej, pragnących słonego powietrza i sennej atmosfery z rysunków Normana Rockwella. Ocean Heights nie akceptuje rozwiązłości sąsiedniej Topangi, z marihuaną uprawianą w dołach gnilnych i na podwórkach, spogląda też ze złością, jak ciotka-dewotka, na plażowe wyuzdanie Malibu. Ale widok z urwiska często jest zamglony. Mgła, jak niezmacony spokój, wydaje się osiadać tu na stale.

Wskazówki Mila były dokładne i nawet w deszczową pogodę jazda nie zajęła mi wiele czasu – szybki przejazd bulwarem Sunset, skręt w przecznicę, której nigdy wcześniej nie zauważyłem, trzy mile drogą prowadzącą nad kanionem, o którym mówiło się, że połyka piratów drogowych. Cały rok suszy zakończył się tygodniową, jesienną ulewą i wzgórze Santa Monica zazieleniły się szybko jak domowa rzeżucha. Na poboczu rosła płatanina pędów i pnączy, polnych kwiatów i chwastów – wszystko niezwykle bujne. Przyroda nadrabiała stracony czas.

Tam gdzie zaczynała się dzielnica Ocean Heights, ginęła samowolna obfitość: aleja o nowej nawierzchni, przedzielona pasmem strzyżonej trawy i ocieniona magnoliami doskonale dobranymi kształtem i wielkością. Na tabliczce widniał napis: ESPERANZA DRIVE. Pod nim jeszcze jedna tabliczka, z dyskretną niebieską obwódką, informująca, że Ocean Heights jest osiedlem strzeżonym.

Deszcz wzmógł się i stukał w przednią szybę. Pół mili dalej pojawiła się zaporę policyjną; drewniane barierki blokujące ulicę, czarno-białe jak kostki domina, samochody policyjne, batalion odzianych na żółto policjantów, o postawie strażników pilnujących Żelaznej Kurtyny, kierujących się zasadą: „winny, jeśli sąd nie uzna inaczej”. Obok stała grupa około tuzina kobiet, wszystkie Latynoski, wszystkie przemoczone i rozgorączkowane. Próbowwały przedostać się przez barierkę i napotykały niewzruszony opór gliniarzy. Poza tym ulica była opustoszała, opuszczone żaluzje w oknach, panelowe drzwi o starannie dobranej barwie zabezpieczone zasuwkami. Jedyne ruch to drżenie kwiatów i krzewów pod biczami wody.

Zaparkowałem i wysiadłem. Gdy ruszyłem do barierki, ulewa zaatakowała mnie zimnym prysznicem.

Usłyszałem, jak któraś z kobiet krzyknęła:

– *Mi Nino!** [przyp: Moje dziecko! (hiszp.)] – Pozostałe zawtórowały jej. Podniosła się fala protestu i mieszała się z szumem deszczu.

– Jeszcze tylko niedługą chwilę, drogie panie – odparł policjant o twarzy dziecka, starając się nie okazywać emocji.

Jedna z kobiet krzyknęła coś obraźliwego po hiszpańsku. Młody policjant odwrócił się i spojrzał na stojącego obok oficera – starszego, potężnego, z siwym wąsikiem. Oficer zachowywał stoicki spokój.

Młody policjant odwrócił się z powrotem do kobiet.

– Opanujcie się – odezwał się z nagłą złością.

– *Mi Nino!*

Siwy Wąsik nadal się nie poruszył, ale gdy się do niego zbliżałem, utkwił we mnie wzrok. Trzeci gliniarz powiedział:

– Ktoś tu idzie.

Kiedy zbliżyłem się na odległość plunięcia, Siwy Wąsik wyciągnął ramię, prezentując mi swoje linie papilarne. Z bliska jego twarz była mokra i nabrzmiała, z siatką żyłek, miała kolor niedosmażonego steku.

– Dalej nie wolno, proszę pana.

– Chcę się zobaczyć z detektywem Sturgisem.

Na dźwięk nazwiska Mila zmrużył oczy. Zmierzył mnie od stóp do głów.

– Nazwisko.

– Alex Delaware.

Skinął głową w stronę drugiego policjanta, żeby stanął na straży przy barierce. Następnie podszedł do jednego z czarno-białych samochodów, wsiadł do środka i zaczął rozmawiać przez radio. Wrócił po kilku minutach, poprosił o dowód tożsamości, obejrzał dokładnie moje prawo jazdy, przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, aż w końcu powiedział:

– Proszę jechać.

Wsiadłem z powrotem do swojego cadillaca i ruszyłem. Dwóch policjantów rozsunęło barierki, tak że powstał otwór szerokości samochodu. Latynoskie kobiety natychmiast ruszyły w jego stronę, jak woda do odpływu, ale powstrzymał je kordon policji. Niektóre zaczęły płakać.

Siwy Wąsik machnął dłonią, żebym przejeżdżał. Zatrzymałem się przy nim, otworzyłem okno i spytałem:

– Czy jest jakiś powód, dla którego nie mogą pójść do swoich dzieci?

– Niech pan jedzie.

Pojechałem dalej, stawiając czoło wyzwaniu oskarżycielskiego wzroku.

* * *

Szkoła Podstawowa Nathana Hale'a znajdowała się przy Esperanza, jeszcze osiem przecznic dalej. Asfalt i cieliste tynki. Przypomnienie obrazów, które przed chwilą widziałem w telewizji. Przy krawężniku stały zaparkowane trzy autobusy szkolne oraz karetka pogotowia i kilka wozów reporterskich. Główny budynek był rozłożysty, z szarym dachem, otoczony sięgającym pasa żywopłotem. Drzwi frontowe pomalowano na pomarańczowo, w odcieniu dyni. Strzegło ich dwóch policjantów, za żółtą taśmą do odgradzania miejsca zbrodni. Znowu saluty z prezentacją linii papilarnych, niechętnie spojrzenia i potwierdzanie przez radio, aż w końcu otwarto spiętą łańcuchem bramę prowadzącą na boisko szkolne i kazano mi pojechać za budynek.

Po drodze zauważyłem jeszcze jedną taśmę, otaczającą niewielki budynek, który wyglądał jak szopa, o oknach przesłoniętych siatką, jakieś siedemdziesiąt stóp od głównego gmachu. Na drzwiach widniała tabliczka: SPRZĘT. Technicy kryminalni klęczeli i pochylali się, mierzyli, drapali, cykali zdjęcia, zupełnie przemoczeni. Za nimi rozpościerało się pociemniałe od deszczu boisko szkolne. Puste, jeśli nie liczyć odległych regularnych kształtów placu zabaw imitującego dżunglę. Samotna reporterka w czerwonym prochowcu kryła się pod swoim parasolem wraz z wysokim, młodym policjantem. To, co się między nimi działo, bardziej wyglądało na flirt niż przekazywanie informacji. Gdy ich mijalem, przerwali na chwilę wystarczająco długą, żeby zdecydować, że nie jestem wart uwagi. Nie dostrzegli we mnie nic ciekawego ani niebezpiecznego.

Tylne drzwi były zrobione z przyciemnianego podwójnego szkła i prowadziły do nich trzy betonowe stopnie. Drzwi otworzyły się z impetem i wyszedł Milo w pikowanym, oliwkowo-brązowym bezrękawniku zarzuconym na sportową kurtkę w kratę. Te wszystkie warstwy ubrania oraz nadwaga, która go prześladowała, odkąd zastąpił alkohol jedzeniem, sprawiały, że wyglądał potężnie, niedźwiedzowato. Nie zauważył mnie, patrzył na boisko i szorował dłońmi po swojej guzkowatej twarzy, jakby ją mył bez użycia wody. Miał gołą głowę, czarne włosy mokre i przyklejone do czaszki. Wyglądał jak ranne dzikie zwierzę.

– Cześć – powiedziałem. Spojrzał ostro, jakby został gwałtownie wyrwany ze snu. Jego zielone oczy rozbłyły jak światła uliczne, Zszedł ze schodów. Bezrękawnik miał wielkie, drewniane,

owalne guziki, które podskakiwały, gdy Milo się poruszał. Krawat z szarego, sztucznego jedwabiu, z czarnymi plamkami od wody, przekrzywił mu się na brzuchu.

Zaproponowałem, żeby skrył się pod moim parasolem. Niewiele go osłonił.

– Miałaś jakieś problemy z wjazdem?

– Nie – odparłem. – Ale ma takie problemy grupa matek. Przydałoby się wam trochę więcej ludzkich uczuć. Możesz przyjąć tę uwagę jako moją wstępną ocenę sytuacji.

Obydwu nas zdziwił gniew brzmiący w moim głosie. Milo zmarszczył brwi. Jego blada twarz wyglądała trupio w cieniu parasola, dzioby na policzkach wystawały jak obrzeża dziurek po przekłuciu kartki papieru.

Rozejrzał się, zauważył policjanta, który rozmawiał z reporterką, i kiwnął na niego. Kiedy policjant nie odpowiedział, Milo zaklął i z przygarbionymi ramionami ruszył ciężko przed siebie, jak napastnik futbolowy, który atakuje.

Chwilę później policjant spiesznie opuszczał boisko.

Milo wrócił, dysząc.

– Zrobione. Mamuśki już jadą i to pod eskortą policji.

– Uroki władzy.

– Tak. Możesz się do mnie zwracać per Generalissimo.

Ruszyliśmy z powrotem do budynku.

– O jaką liczbę dzieci chodzi? – spytałem.

– Kilkaset. Od przedszkola do szóstej klasy. Zebraliśmy je wszystkie w sali gimnastycznej, pielęgniarze sprawdzali, czy któreś nie doznało szoku – dzięki Bogu, nie. Nauczyciele odprowadzili je z powrotem do klas i próbują robić, co w ich mocy, dopóki nie otrzymają od ciebie jakichś wskazówek.

– Myślałem, że kuratorium zatrudnia odpowiednie osoby, które wiedzą, jak sobie radzić w sytuacjach kryzysowych.

– Dyrektorka twierdzi, że akurat ta szkoła ma problemy z wyegzekwowaniem pomocy od kuratorium. Oczywiście od razu ty mi przyszedłeś na myśl.

Doszliśmy do zadaszonych schodów, Milo zatrzymał się i położył mi na ramieniu ciężką dłoń.

– Dzięki, że przyjechałeś, Alex. Zrobił się cholerny bałagan, Pomyślałem, że nikt nie poradzi sobie z tym lepiej od ciebie. Nie wiem, jakie masz plany ani czy ci będą w stanie zapłacić, ale gdybyś

choć mógł im powiedzieć, od czego zacząć. – Odchrząknął i znowu potarł twarz.

– Powiedz mi, co się stało?

– Wygląda na to, że podejrzany dostał się na teren szkolny jeszcze przed otwarciem szkoły. Albo przeskoczył przez płot, albo po prostu wszedł – niektóre furki nie były zamknięte na klucz. Schował się w szopie, w której mieści się magazyn, zabezpieczonej małą kłódeczką, i tam pozostał.

– Nikt nie korzysta z tej szopy?

Potrząsnął głową.

– Jest pusta. Kiedyś trzymano w niej sprzęt sportowy. Teraz przechowują go w głównym budynku. Podejrzany siedział tam aż do wczesnego popołudnia, kiedy wszystkie dzieciaki zaczęły się rozchodzić do domów. O dwunastej trzydzieści pojawili się Latch i Massengil ze swoimi ludźmi i właśnie wtedy zaczęła się strzelanina. Nauczyciele usiłowali zagonić dzieci z powrotem do budynku, ale naprawdę wyglądało to jak zamieszki uliczne. Zbiorowa histeria. Wszyscy się na siebie przewracali.

Spojrzałem za siebie, na szopę.

– W telewizji podali, że nikt nie został ranny.

– Tylko podejrzany. Więcej niż ranny.

– Komandosi?

– Było po wszystkim, zanim komandosi tu dotarli. Sprawę załatwił jeden z ludzi Latcha. Facet o nazwisku Ahlward. Gdy wszyscy inni szukali jakiegoś schronienia, on rzucił się do szopy, kopniakiem rozwalił drzwi i zabawił się w Rambo.

– Ochroniarz?

– Jeszcze nie jestem pewien, jaką pełni funkcję.

– Ale był uzbrojony?

– Wielu ludzi ze świata polityki jest uzbrojonych.

Weszliśmy po schodach. Znowu obejrzałem się na szopę. Z jednego z przesłoniętych drucianą siatką okien roztaczał się niczym niezakłócanym widok na główny budynek.

– Nadaje się na strzelnicę – stwierdziłem. – Snajper był krótkowidzem?

Stęknął i otworzył drzwi szkoły. Wewnątrz było ciepło jak w piecu. Powietrze ostre od zmieszanych zapachów kredy, kurzu i wilgotnej gumy.

– Tędy – powiedział, skręcając w lewo i prowadząc mnie jasno oświetlonym korytarzem. Na ścianach wisiały prace dzieci wykonane plakatówkami i kredkami oraz plakaty na temat zdrowia i bezpieczeństwa. Wszystkie przedstawiały radosne, podobne do ludzi zwierzaki. Linoleum miało gliniasty kolor i widać było na nim błotniste ślady butów. Kilku policjantów stało na warcie. Skłonili się Milowi sztywnym skinięciem.

– W wiadomościach podali, że Latch i Massengil mieli prowadzić debatę przed kamerami – powiedziałem.

– Niezupełnie. Massengil miał na myśli swoją osobistą konferencję prasową. Chciał wygłosić mowę na temat rządu, który wtrąca się w życie rodzinne i wykorzystać szkołę jako tło. Chodziło o tę sprawę z dowożeniem autobusami.

– Szkoła wiedziała o jego planach?

– Nie. Nikt tutaj nie miał pojęcia, że ma przyjechać. Ale dowiedzieli się o tym ludzie Latcha i Latch sam zdecydował się przybyć i stawić mu czoło. Improvizowana debata.

– W rezultacie kamerzystom trafił się lepszy materiał – zauważyłem.

Drzwi wzdłuż korytarza były pomalowane na taki sam, pomarańczowy kolor o odcieniu dyni, wszystkie pozamykane. Gdy je mijaliśmy, przedzierały się przez nie różne stłumione głosy.

– Sądzisz, że prawdziwym celem miał być Latch albo Massengil? – spytałem.

– Jeszcze nie wiem. Domysły, że chodzi o zamach polityczny, ściągnęły tu natychmiast chłopaków z brygady antyterrorystycznej. W tej chwili przesłuchują obydwie ekipy. Dopóki nie zostanie wykluczony wątek polityczny, oni zajmują się sprawą – to znaczy, ja zbieram informacje i wszystko przekazuję im, a oni je segregują, po czym odmawiają mi dostępu do materiału, twierdząc, że są to dane zastrzeżone. Uroki władzy, he, he. – Roześmiał się tubalnie. – Na domiar złego przed chwilą dzwonili z FBI w Westwood. Chcą wiedzieć wszystko o wszystkim i straszą mnie, że przydzielą jednego ze swoich ludzi jako konsultanta.

Zanucił kilka taktów utworu Wprowadźcie błaznów i wydłużył krok.

– Z drugiej strony, jeśli to zwyczajny południowokaliifornijski morderca psychopata, który strzelał do niewinnych dzieci, tych partaczy będzie to gównem obchodzić. Ponieważ psychol nie żyje, sprawa nie nadaje się do prasy, a ja będę miał masę papierkowej roboty. Uroki władzy.

Zatrzymał się przed drzwiami z napisem: DYREKTOR, przekręcił klamkę i popchnął drzwi. Weszliśmy do sekretariatu. Dwa proste, dębowe krzesła i biurko sekretarki, za którym nikt nie siedział. Na prawo od biurka znajdowały się drzwi z brązową, plastikową wizytówką i z białym napisem: LINDA OVERSTREET, DYR. DO SPRAW KSZTAŁC. Milo zapukał i otworzył drzwi, nie czekając na odpowiedź.

Biurko w gabinecie było przesunięte pod ścianę, a powstała w ten sposób otwartą przestrzeń zajmowała kanapa w kształcie litery „L”, ława z kafelkowym blatem i dwa miękkie fotele.

W narożnikach stały rośliny w ceramicznych doniczkach. Obok biurka znajdowała się etażerka, wypełniona szczerlnie książkami, szmacianymi lalkami, układankami i grami planszowymi. Na ścianach wisiały oprawione w ramki akwarele przedstawiające irysy i lilie.

Z kanapy podniosła się jakaś kobieta i powiedziała:

– Detektywie Sturgis, witam ponownie.

Nie wiem, dlaczego oczekiwałem, że będzie to ktoś w średnim wieku. Miała z górą trzydzieści lat. Wysoka – około metra siedemdziesięciu – długie nogi, duży biust, szczupła, ale o silnych ramionach, szerokich biodrach i wąskiej talii. Twarz miała pociągłą, bardzo ładną, o czystej, jasnej cerze, zaróżowionych policzkach i delikatnych rysach. Gęsta czupryna blond włosów sięgała ramion. Szerokie usta i mocno zarysowany kwadratowy podbródek nadawały jej wyrazu zdecydowania. Ubrana w grafitowy sweter z luźnym golfem, wpuszczony w płócienną spódnicę sięgającą kolan, była prawie bez makijażu, pomalowała tylko delikatnym cieniem powieki. Jedyłą biżuterię stanowiła para kwadratowych, czarnych kolczyków.

– Jak obiecałem – odezwał się do niej Milo. – Doktor Alex Delaware. Alex, doktor Overstreet, tutejsza szefowa.

Obdarzyła go krótkim uśmiechem i odwróciła się w moją stronę. Z racji jej wzrostu i obcasów nasz wzrok znalazł się niemal na jednej linii. Jej oczy były wielkie i okrągłe, otoczone drugimi, niemal białymi rzęsami. Tęczówki miały delikatny odcień brązu. Jej zdecydowane spojrzenie ściągnęło i przytrzymało moją uwagę.

– Miło mi pana poznać, doktorze Delaware – odezwała się miłym głosem z południowym, nosowym akcentem. Podała mi miękko, bez uścisku, szczupłą rękę o drugich palcach. Zastanowiłem się, jak ktoś o tak uległych dłoniach i głosie zawodniczki z konkursu piękności może pełnić kierownicze stanowisko.

– Dziękuję, że pan przyjechał tak szybko – powiedziała. – Ależ koszmar.

– Doktorowie wybaczą – przerwał Milo i ruszył do drzwi.

– Do zobaczenia – rzuciłem w jego stronę.

Zasalutował.

Gdy już wyszedł, odezwała się:

– Miły i uprzejmy człowiek – jakby szykowała się do obrony tej tezy.

Przytaknąłem.

– Z początku dzieci się go bały – powiedziała. – Przerazała je tusza Mila. Ale naprawdę miał do nich świetne podejście. Jak dobry ojciec.

Uśmiechnąłem się, słysząc to.

Jej rumieńce stały się bardziej intensywne.

– No to zabierzmy się do pracy. Niech mi pan powie, co mam zrobić, żeby pomóc tym dzieciom.

Wzięła z biurka notes i ołówek. Usiadłem na krótszej części kanapy w kształcie „L”, ona usadowiła się prostopadle do mnie i skrzyżowała nogi.

– Czy u któregoś z nich wystąpiła histeria, kłopoty z oddychaniem, nadmierne reakcje lękowe, nie kontrolowany płacz?

– Nie. Z początku były łzy, ale teraz dzieci się uspokoiły. Przynajmniej gdy sprawdzałam ostatnio, wydawały mi się spokojne – aż dziwne. Wprowadziliśmy je z powrotem do klas i nauczyciele mają mnie powiadomić, gdyby coś się działo. Przez ostatnią godzinę nie było żadnych wezwań, więc chyba brak wiadomości jest dobrą wiadomością.

– A co z objawami fizycznymi – wymioty, utrata kontroli nad zwieraczami?

– W niższych klasach kilkoro dzieci posikało się w majtki. Nauczyciele zajęli się tym dyskretnie.

– A jakieś oznaki szoku?

– Nie. Pielęgniarze już to sprawdzali. Stwierdzili, że wszystko jest w porządku. „Zadziwiająco w porządku” – cytat i koniec cytatu. Czy to normalne? Że wyglądają tak dobrze?

– Ile rozumieją z tego, co tu zaszło?

– Co ma pan na myśli? – zapytała zdziwiona.

– Czy ktoś usiadł z nimi i wyjaśnił, że strzelał snajper?

– Robią to w tej chwili nauczyciele. Ale dzieci chyba wiedzą, co się stało. Słyszały strzelaninę, widziały, jak policja zapelnia boisko. – Jej twarz stężała ze złości.

– O co chodzi? – spytałem.

– Jak ktoś mógł im to zrobić? – odparła. – Po tym wszystkim, co przeszły. Może właśnie dlatego tak dobrze dają sobie z tym radę. Są przyzwyczajone, że się je nienawidzi.

– Chodzi o to dowożenie autobusami?

– Właśnie o to dowożenie autobusami. Całe zamieszanie wynikło właśnie stąd. To było diabelskie rozwiązanie.

– Przez Massengila?

– Wcale nie pomógł. Ale oczywiście reprezentuje swoich wyborców. Ocean Heights uważa się za ostatni bastion powszechnego, anglosaskiego ładu. Jeszcze do niedawna lokalne problemy w szkolnictwie sprowadzały się do kontrowersji, czy na połączonym ze sprzedażą wypieków balu szkolnym powinny znaleźć się ciasteczka czekoladowe, czy owsiane. I dobrze, ale czasami głos zabiera bezlitosne życie.

Zabębniła palcami i powiedziała:

– Czy zauważył pan, jak duże jest boisko?

Nie zauważyłem, ale skinąłem głową.

– Jak na takie małe osiedle, to ogromny teren, ponieważ trzydzieści pięć lat temu, gdy budowano szkołę, ziemia była tania, Ocean Heights miało przeżyć hossę i ktoś pewnie otrzymał intratny kontrakt budowlany. Ale hossa nigdy nie nadeszła i szkoła nigdy nie wykorzystwała w pełni swojego potencjału. Do momentu cięć budżetowych w latach siedemdziesiątych nikt nie zwracał uwagi na takie rzeczy. Któż by się skarżył na niewielkie klasy? Ale kurczyły się finanse i kuratorium zaczęło robić wyliczenia, zastanawiać się nad wydajnym rozplanowaniem budżetu i tym podobnymi dobrodziejstwami. W większości białych szkół było coraz mniej dzieci, ale szkoła Hale’a stała się prawdziwą szkołą-widmem. Dorosły dzieci pierwszych mieszkańców. Domy stały się tak drogie, że sprowadzało się tu niewiele rodzin z małymi dziećmi. Ci, którzy mogli sobie pozwolić, żeby tu mieszkać, posyłali dzieci do szkół prywatnych. Skutek był taki, że mieliśmy miejsce dla dziewięciuset dzieci, a uczęszczało zaledwie osiemdziesiąt sześć osób. Jednocześnie, po wschodniej stronie miasta zapanowało szaleństwo – pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób w klasie. Dzieci siedziały na podłodze. Wydawało się logiczne działanie, jakie kuratorium określa mianem „modulowanej redystrybucji”. Magiczne słowo. Ale zupełnie dobrowolnej i jednokierunkowej. Dzieciaki ze śródmieścia będą dowożone, ale tutejsze zostaną na miejscu.

– Od jak dawna się to dzieje?

– Drugi rok. Setka dzieci w pierwszym semestrze. Jeszcze jedna setka w drugim. I mimo to, szkoła nadal wyglądała jak widmo. Ale miejscowym zrobiło się ciasno. Sześćdziesiąt osób z osiemdziesięciu sześciu miejscowych uczniów natychmiast przeniesiono do szkół prywatnych. Pozostali odeszli w połowie semestru. Jakbyśmy sprowadzili zarazę. – Pokręciła głową. – Rozumiem, że ludzie chcą się odizolować, na tym opiera się idea szkoły osiedlowej. Wiem, że musieli poczuć, że ich status został zagrożony. Ale to nie tłumaczy okropnej atmosfery, jaka wokół tego powstała. Ci rzekomo dorośli stali za bramą, wymachiwali plakietkami i ubliżali dzieciakom. Wołali do nich brudasy, asfalty. Plugastwo.

– Widziałem w telewizji. To było przykre.

– W czasie wakacji letnich miały miejsce akty wandalizmu – rasistowskie napisy na murach, potłuczone okna. Chciałam sprowadzić z kuratorium psychologów, kogoś, kto by porozmawiał z mieszkańcami osiedla, zanim zacznie się nowy rok szkolny, ale przysyłali mi tylko pisma i wytyczne. Traktują szkołę Hale’a jak pasierba, którego muszą karmić, ale nie chcą uznać.

– Jak dzieci zareagowały na tę wrogość?

– Właściwie bardzo dobrze. Dzięki Bogu są bardzo odporne. Spotykałam się regularnie z każdą klasą i mówiłam im o tolerancji, o szacunku dla różnic pomiędzy ludźmi, o prawie do wolności słowa, nawet jeśli to słowo jest nieprzyjemne. Kazałam nauczycielom przeprowadzać zabawy i inne działania edukacyjne, mające na celu przekonanie dzieci o własnej wartości. Wpajaliśmy im, jakie są dobre. Jakie odważne. Nie jestem psychologiem, ale miałam psychologię na studiach i sądzę, że wykonałam nie najgorszą robotę.

– Sądzę, że w odpowiedni sposób podeszła pani do sprawy. Może właśnie dlatego teraz dobrze sobie radzą z tym, co zaszło.

Machnęła dłonią, słysząc komplement i oczy jej zwilgotniały.

– To nie znaczy, że wszystko było idealnie. Czuli ją – tę nienawiść. Z pewnością. Kilka rodzin natychmiast zabrało stąd swoje dzieci z powrotem do śródmieścia, ale większość nie ustąpiła i po jakimś czasie wydawało się, że sprawa trochę przycichła. Uważałam ten semestr za naprawdę udany. Miałam nadzieję, że mieszkańców Ocean Heights w końcu oświeciło, że te małe dzieci nie zgwałcą ich córek i nie skradną bydła. A może im się znudziło – to miejsce jest stolicą nudy. Głowę zaprzatają im jedynie przybrzeżne odwierty naftowe w promieniu pięćdziesięciu mil i wszystko, co ma związek z planowaniem krajobrazowym. Więc pilnowałam, żeby nasz żywopłot był równo przyszczyżony. – Uśmiechnęła się gorzko. – Zaczynałam sądzić, że w końcu będziemy się mogli skupić na kształceniu. No i pojawia się Massengil i wszystko przewraca do góry nogami – zawsze coś do nas miał. Może dlatego, że jest miejscowy. Mieszka w Sacramento, ale ma tutaj dom z powodów prawnych. Najwyraźniej traktuje nas jak osobistą zniewagę.

Uderzyła pięścią w dłoń. Oczy jej błyszczały. Zmieniłem zdanie co do jej możliwości radzenia sobie na kierowniczym stanowisku.

– Palant – powiedziała. – Gdybym wiedziała, że sobie na dzisiaj zaplanował cyrkowe przedstawienie, to bym...

Zmarszczyła brwi i postukała ołówkiem w swój nadgarstek.

– To co? – spytałem.

Zawahała się i uśmiechnęła smutno.

– Miałam zamiar powiedzieć, że bym go przywitała przy bramie z załadowaną bronią.

Rozdział trzeci

Spojrzała na notes zdała sobie sprawę, że nic nie zapisała.

– Dosyć gadania – powiedziała. – Jaki jest pański plan?

– Na początek będę chciał nawiązać kontakt z dziećmi. I z nauczycielami. Chciałbym, żeby mnie pani przedstawiła i wyjaśniła, kim jestem. Potem skupię się na zachęceniu ich, by wyjawily swoje odczucia na temat tego, co się stało – poprzez rozmowę, zabawę, rysowanie.

– Indywidualnie czy grupowo?

– Grupowo. Klasami. To przynosi lepsze efekty terapeutyczne – łatwiej jest im się otwierać, jeśli czują wsparcie kolegów i koleżanek. Będę się też starał wyłowić dzieci z grupy wysokiego ryzyka – te, które są szczególnie znerwicowane, które już wcześniej miały problemy emocjonalne albo w ciągu ostatniego roku spotkała je jakaś strata lub doznały szczególnie silnego stresu. Niektórymi trzeba będzie się zająć indywidualnie. Nauczyciele chyba pomogą zidentyfikować te dzieci.

– Nie ma sprawy – powiedziała. – Sama znam większość z nich.

– Jest jeszcze jedna ważna rzecz – może najtrudniejsza. Trzeba będzie przekonać rodziców, żeby nie zatrzymywali dzieci w domu na dłuższy okres.

– Co to znaczy dłuższy?

– Więcej niż dzień lub dwa. Im szybciej wrócą, tym łatwiej będzie im się przystosować.

– W porządku. – Westchnęła. – Zajmiemy się tym. Jaki sprzęt się panu przyda?

– Niewiele. Trochę zabawek – klocki, lalki. Papier i ołówek, plastelina, nożyczki, klej.

– To wszystko mamy.

– Czy będzie mi potrzebny tłumacz?

– Nie. Większość dzieci – około dziewięćdziesięciu procent – to Latynosi, ale wszyscy rozumieją po angielsku. Ciężko nad tym pracowaliśmy. Reszta to Azjaci, w tym kilkoro bardzo niedawnych imigrantów, ale nie mamy wśród personelu nikogo, kto by mówił po chińsku, wietnamsku, laotańsku, w języku Tagalog i tak dalej, więc przystosowały się dość szybko.

– Tygiel.

– O nie, to zwrot zakazany – odparła. – Nasz bożek wytycznych, kuratorium, zaleca, żeby operować zwrotem salaterka. – Uniosła palec i wyrecytowała: „Każdy ze składników znajdującej się

w niej „sałatki” zachowuje swoją odrębność, niezależnie od tego, jak długo się ją miesza”.

Opuściliśmy jej gabinet i wyszliśmy na korytarz. Pozostał tylko jeden policjant. Od niechcenia trzymał straż.

– Dobrze, teraz pańskie honorarium – powiedziała.

– O tym możemy porozmawiać później – odparłem.

– Nie. Chcę, żeby wszystko było jasne od początku – dla pańskiego dobra. Kuratorium musi zaakceptować prywatnych konsultantów. To wymaga czasu, przechodzi przez różne działy. Jeśli wystawię kwit bez wcześniejszej akceptacji, mogą to wykorzystać jako powód, żeby panu nie zapłacić.

– Nie możemy czekać na ich akceptację – stwierdziłem. – Chodzi o to, że dziećmi trzeba się zająć jak najszybciej.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale chcę, żeby pan wiedział, z czym ma do czynienia. Nawet jeśli przebrniemy już przez różne działy, pewnie pojawią się przeszkody, aby wypłacić panu należność. Kuratorium prawdopodobnie będzie twierdziło, że są w stanie sami zająć się tym problemem, a więc nie ma potrzeby, żeby sprowadzać kogoś z zewnątrz.

Skinąłem głową.

– Tę samą śpiewkę powtarzają rodzicom dzieci niepełnosprawnych.

– Właśnie.

– Niech się pani o to nie martwi.

– Martwię się o wszystko. Na tym polega moja praca – powiedziała. Łagodność niemal zniknęła z jej oczu.

– Nie szkodzi. Naprawdę – zapewniłem.

– Zdaje pan sobie sprawę, że mówimy tu o potencjalnie darmowej usłudze.

– Owszem. W porządku.

Spojrzała na mnie.

– Dlaczego pan to robi?

– Po to się tego uczyłem.

W jej oczach dostrzegłem nieufność. W końcu wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Cóż, darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.

Podeszliśmy do pierwszej sali lekcyjnej. Otworzyły się drzwi na końcu korytarza. Pojawiła się ściśnięta grupka dziewięciu czy dziesięciu osób i ruszyła w naszą stronę.

W środku siedł wysoki, siwowłosy mężczyzna po sześćdziesiątce, ubrany w szary garnitur ze skóry rekina, który mógł być kupiony jeszcze na przyjęcie z okazji zwycięstwa Eisenhowera. Miał żylastą, drapieżną twarz i długą, obwisłą szyję. Orli nos, wąsy, przypominające białą szczoteczkę do zębów, ściągnięte usta i oczy zerkające gniewnie. Poruszał się energicznie, z głową wysuniętą do przodu, wymachując łokciami jak chodziarz sportowy. Jego podwładni coś do niego szeptali, ale wydawał się nie zwracać na to uwagi. Grupka zignorowała nas i pomknęła dalej.

– Wygląda, jakby szacownemu radnemu odjęto mowę – powiedziałem.

Zamknęła oczy i westchnęła. Poszliśmy swoją drogą.

– Co pani wie o tym snajperze? – spytałem.

– Tylko tyle, że nie żyje.

– To już jakiś początek.

Odwróciła się gwałtownie.

– Początek czego?

– Radzenia sobie ze strachem dzieciaków. Fakt, że on nie żyje, może okazać się pomocny.

– Ma pan zamiar od razu przedstawić im drastyczne szczegóły?

– Mam zamiar być z nimi szczerzy. Kiedy już je do tego przygotuję.

Widać było, że ma pełno wątpliwości.

– Chodzi o to, żeby ta szalona sytuacja nabrała w ich oczach jakiegoś sensu. Do tego potrzebne są rzetelne informacje. Fakty. O tym złym facecie. Przedstawione jak najszybciej, na ich poziomie rozumowania. Umysł nie znosi próżni. Jeśli nie będą znali faktów, wypełnią sobie głowy wyobrażeniami o nim, które mogą okazać się znacznie gorsze niż rzeczywistość.

– I jak się panu zdaje, ile tej rzeczywistości potrzebują?

– Nic drastycznego. Podstawowe fakty. Nazwisko i wiek snajpera, jak wygląda... wyglądał. Ważne jest, żeby go postrzegały jako człowieka. Zniszczalnego. Którego już nie ma. Nawet jeśli poda im się fakty, część najmłodszych nie będzie w stanie zrozumieć nieodwracalności jego śmierci – nie są na tyle dojrzały. Rozwojowo dojrzały. A część starszych może się cofnąć na skutek szoku – chwilowo „zapomnieć”, że martwi nie powracają do życia. A więc wszyscy są narażeni na wyobrażenia, że ten martwy facet wraca. Że pojawia się, żeby znowu ich dopaść. Dorosłe ofiary

zbrodni też przez to przechodzą – gdy już minie początkowy szok. Może to prowadzić do koszmarów nocnych, fobii, różnego rodzaju reakcji pourazowych. U dzieci ryzyko jest większe, ponieważ dzieci nie potrafią rozgraniczyć rzeczywistości od fantazji. Nie można całkowicie wyeliminować ryzyka, że nastąpią kłopoty, ale dzięki natychmiastowemu zajęciu się sprawą niewłaściwego postrzegana znacznie się to ryzyko zmniejsza.

Zatrzymałem się, a ona wpatrywała się we mnie posępnie. Jej brązowe oczy wydawały się nieprzejednane.

– Chcę – powiedziałem – żeby zrozumiały, że unicestwienie tego drania jest nieodwracalne. Że nie jest jakimś nieludzkim straszidłem, które nadal będzie je nawiedzać.

Uśmiechnęła się na dźwięk słowa „dranie”.

– W porządku. Tylko żeby jeszcze bardziej się nie wystraszyły – przerwała. – Przepraszam. To przecież jasne, że pan wie na ten temat znacznie więcej niż ja. Po prostu od dłuższego czasu muszą przechodzić przez tyle doświadczeń, że staram się chronić.

– To dobrze – ucieszyłem się. – Dobrze, że komuś na nich zależy.

Zignorowała tę uwagę. Wyraźnie nie lubiła komplementów.

– Nic nie wiem na temat tego drania – powiedziała. – Nikt go nie widział. Tylko słyszeliśmy strzały. Potem wybuchła panika – wrzaski i przepychanie. Usiłowaliśmy wprowadzić dzieci z powrotem do budynku. Kazaliśmy im opuścić głowy. Uciekaliśmy najszybciej i najdalej jak się dało, uważając, żeby nikt nie został stratowany. Nawet nikt nie wiedział, że już po wszystkim, aż ten facet, Ahlward, wyszedł z szopy wymachując pistoletem jak kowboj po ważnym pojedynku. Gdy go ujrzałam po raz pierwszy, zwiódł mnie – myślałam, że to on jest snajperem. Po chwili go poznałam – widziałam go wcześniej w ekipie Latcha. Uśmiechał się, mówił, że już po wszystkim. Że nic nam nie grozi.

Zadrzała.

– Pa, pa, strachu – szepnęła.

Samotny policjant przekrzywił głowę i przysłuchiwał się naszej rozmowie. Był młody, przystojny, czarny jak węgiel, z włosami jak po trwałej ondulacji.

Podszedłem do niego i spytałem:

– Co może nam pan powiedzieć o snajperze?

– Nie wolno mi udzielać żadnych informacji, sir.

– Nie jestem reporterem – odparłem. – Jestem psychologiem, którego wezwał detektyw Sturgis. Mam się zająć dziećmi.

Żadnego wrażenia.

– Dobrze by było – powiedziałem – gdybym mógł otrzymać jak najwięcej informacji. Chcę pomóc tym dzieciom.

– Nie wolno mi o tym rozmawiać, sir.

– Gdzie jest detektyw Sturgis?

– Nie wiem, sir.

Wróciłem do Lindy Overstreet.

– Biurokracja – skomentowała. – Czasami mam wrażenie, że jest dla nas potrzebą biologiczną.

Otworzyły się drzwi w dalszej części korytarza i wyłoniła się z nich inna grupa ludzi. Ta skupiała się wokół mężczyzny tuż po czterdziestce, średniego wzrostu, dość otyłego. Miał krągłą, piegowatą twarz i czuprynę ciemnych włosów przetykanych siwizną, utrzymaną w stylu wczesnych Beatlesów i zasłaniającą mu brwi. Jego strój nie odbiegał od wzorca obowiązującego wśród studentów z pierwszego roku: jasnobieżowa sportowa marynarka z tweedu, pogniecione spodnie khaki, czarno-zielona flanelowa koszula i czerwony, pleciony krawat. Nosił okrągłe, szylkretowe okulary, jakie brytyjska służba zdrowia niegdyś rozdawała za darmo. Miał nos, którego nie powstydziliby się buldog francuski. Reszta twarzy pasowałaby raczej do kobiety. Przyszły mi na myśl jego stare zdjęcia. Z długimi włosami i z brodą. Zarost sprawiał, że dwadzieścia lat temu wyglądał okazalej.

Skojarzenie z uniwersytetem wzmagali otaczający go ludzie – młodzi, o bystrym spojrzeniu, jak studenci starający się ściągnąć na siebie uwagę ulubionego profesora. Każdy z nich był poważny, jakby miał zdawać decydujący egzamin, ale z grupy emanowała jakaś niemal rozrywkowa niesforność.

Mężczyzna o krągłej twarzy zauważył nas i zatrzymał się nagle.

– Doktor Overstreet. Jak się wszyscy czują?

– Jakoś się trzymamy, panie Latch.

Podszedł do nas. Członkowie ekipy pozostali z tyłu. Poza jednym postawnym mężczyzną o beznamietnej twarzy i rudych włosach, który był mniej więcej w wieku Latcha, nikt nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat. Elegancki zespół, wszyscy ubrani jak ludzie sukcesu.

– Czy mogę coś zrobić, doktor Overstreet? Dla dzieci? Albo dla personelu szkoły? – zapytał Latch.

– Może mógłby pan poprosić gwardię narodową, żeby zapewniła nam jakąś ochronę?

Zaprezentował uśmiech jak na plakatach z kampanii wyborczej, i przybrał poważniejszy ton:

– Może coś spoza dziedziny... wojskowej?

– Prawdę mówiąc – powiedziała – przydałoby się nam nieco informacji. Doktor Delaware będzie pracował z dziećmi. Musi wiedzieć jak najwięcej, żeby sprostać ich dociekliwości.

Jakby dopiero teraz mnie zauważył, chwycił moją dłoń i uściśnął mocno.

– Gordon Latch.

– Alex Delaware.

– Miło mi pana poznać, Alex. Jest pan psychologiem? Psychiatrą?

– Psychologiem.

– Z kuratorium?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, odezwała się Linda:

– Doktor Delaware ma prywatną praktykę i został polecony przez policję. Jest specjalistą od stresu u dzieci.

Latch przyjrzał mi się nad okularami z ubezpieczalni.

– Cóż, życzę powodzenia i dzięki, że tak szybko pan przyjechał, Alex. To było okropieństwo – coś niesamowitego. Całe szczęście, że się dobrze skończyło. – Spojrzał na swoją ekipę, kilku przytaknęło. – W jaki sposób planuje pan pracować z dziećmi?

Powiedziałem mu pokrótce to, co przedtem przedstawiłem Lindzie.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Brzmi bardzo rozsądnie – stwierdził. – Kiedyś pracowałem w pańskiej dziedzinie. Skończyłem psychologię w Berkeley. Doradztwo w sytuacjach kryzysowych, zdrowie psychiczne społeczności, zapobieganie pierwszego i drugiego stopnia. Mieliśmy gabinet w Oakland. Próbowaliśmy wprowadzać pacjentów z problemami natury psychicznej z powrotem do społeczności. To było w tych starych, dobrych czasach, gdy humanizm nie uchodził za obsceniczne słowo.

– Słyszałem o tym. – Jak każdy, kto czytał gazety.

– Inne czasy – powiedział z westchnieniem. – Spokojniejsze i przyjemniejsze. To, co się dzisiaj wydarzyło, tylko dowodzi, jak dalece od nich odeszliśmy. Do licha, co za tragedia!

– Co może nam pan powiedzieć na temat snajpera, panie Latch? – przerwała Linda.

– Obawiam się, że niewiele. Sami nie wiemy dużo. Policja strasznie mało mówi, jak to w ich zwyczaju.

– Pan Ahlward na pewno coś wie. Jeśliby to nie było dla niego kłopotliwe, mógłby nas oświecić.

Latch znów spojrział przez ramię.

– Bud? Podejdź, proszę.

Rudowłosa mężczyzna uniósł różowawe brwi i wystąpił z grupki. Był ubrany w brązowy garnitur, białą koszulę, gładki, brązowy, pleciony krawat i miał nadmiernie rozbudowany tors, co stwarza konieczność szycia ubrań na miarę. Jego garnitur został zapewne kupiony w sklepie, bo wyglądał na nim, jakby był przyklejony. Ręce wisały mu luźno przy boku, wielkie, blade, porośnięte miedzianymi włoskami. Włosy, mocno kędzierzawe, nosił krótko przycięte. Miał mięsistą, wystającą szczękę i leniwe, bursztynowe oczy, utkwione niezmiennie w swoim szefie.

– Słucham, panie radny? – Z bliska pachniał dymem papierosowym.

– Bud, ci dobrzy ludzie chcą się dowiedzieć czegoś o snajperze. Co możesz im powiedzieć?

– Jeszcze nic – odparł Ahlward. Miał delikatny, chłopięcy głos. – Przykro mi. Takie jest polecenie gliniarzy. – Przejechał palcem po ustach, jakby je zapinał na zamek błyskawiczny.

– Zupełnie nic, Bud? – zapytał Latch.

– Ludzie z WAT nie pozostawili co do tego żadnych wątpliwości, panie radny.

– Wydział Antyterrorystyczny. Może przypominacie ich sobie. Dwa lata temu. Ci rozkoszni faceci, którzy wydawali pieniądze podatników na obserwowanie innych, Bogu ducha winnych podatników? Chcemy dać im szansę poprawy, więc chyba będziemy zmuszeni przez jakiś czas nie wtrącać się w ich robotę. A są nieprzejednani, żeby nie ujawniać sprawy, dopóki nie będą pewni, że mają pełny obraz. Bud właśnie jedzie do śródmieścia, żeby złożyć oficjalne zeznanie. Jeśli dopisze nam szczęście, wszystko się szybko wyjaśni – zwrócił się do nas Latch, do Ahlwarda zaś powiedział: – Bud, jak tylko pozwolą ci podawać informacje, dopilnuj, aby ci dobrzy ludzie otrzymali wszelkie potrzebne im dane. Bezzwłocznie. Zrozumiałeś?

– Jasne – odparł Ahlward.

Latch skinął głową. Ahlward wrócił do grupy.

– Dzięki Bogu, że był z nami Bud – powiedział Latch na tyle głośno, żeby słyszeli to ludzie w grupce. Ktoś poklepał Ahlwarda po ramieniu. Rudzielec zupełnie na to nie zareagował. Stał wśród pozostałych, ale nie identyfikował się z nimi. Miał nieobecny wyraz twarzy – spokojny, jak przy medytacjach zeń, jakby przeniósł się w inne miejsce, w inny czas. Żadnej oznaki, że zastrzelił kogoś w porze lunchu.

– No dobrze, przyjaciele – rzekł Latch, robiąc krok do tyłu. – To długi dzień i jeszcze nie widać końca. Doktor Overstreet, jeśli potrzebowałaby pani czegoś, niech pani pominie wszystkie formalności biurowe i przychodzi prosto do mnie. Mówię szczerze. Wypłyśmy w końcu na spokojne wody. Doktorze Delaware, wydaje mi się, że dzieci są w dobrych rękach, ale pan też niech się nie waha skontaktować ze mną, jeśli mógłbym w czymś pomóc.

Sięgnął do marynarki, wyjął ze skózanego etui kilka wizytówek i wręczył je nam. Obiema rękami uściskał dłoń Lindy, następnie moją i odszedł.

Linda zgmiotła wizytówkę. Twarz jej stężała.

– O co chodzi? – spytałem.

– Nagle zrobił się z niego Pan Pomocny – powiedziała – a zeszłej wiosny, kiedy dzieci przechodziły piekło, prosiłam go o pomoc. Ocean Heights należy do jego okręgu. Jestem wprawdzie pewna, że nie otrzymał tu zbyt wielu głosów, ale myślałam, że choćby dlatego, iż zajmował się kiedyś prawami obywatelskimi, przyjedzie tutaj, porozmawia z dziećmi, pokaże im, że ktoś ważny trzyma ich stronę. Jeśli już nic innego nie było w stanie skłonić go do podobnego kroku, to chociaż przydatność takiego gestu dla swojej kampanii. Dzwoniłam do jego biura z sześć razy. Nawet nie oddzwonił.

– Przyjechał dzisiaj. Żeby stawić czoło Massengilowi.

– Bez wątpienia miał w tym jakiś ukryty cel. Oni wszyscy są tacy sami. – Zaczerwieniła się. – Co ja gadam. Pomyśli pan, że jestem jakąś okropną zrzędą.

– Być może jest nią pani – odparłem – ale musiałbym przyjrzeć się pani w normalniejszych okolicznościach, aby postawić diagnozę w tej sprawie.

Otworzyła usta i wybuchła śmiechem. Gliniarz w korytarzu udał, że nie słyszy.

* * *

Klasa była duża i jasna. Wypełniała ją nienaturalna cisza. Tylko deszcz zakłócał spokój, rozpryskując się na szybach upartym rytmem, przywodzącym na myśl myjnię samochodową. Wpatrywało się we mnie dwadzieścia par oczu.

– Jestem takim lekarzem, który nie robi zastrzyków – powiedziałem. – Nie zaglądam też dzieciom do oczu ani uszu. – Zamilkłem na chwilę. – Za to rozmawiam z dziećmi i się z nimi bawię. Pewnie lubicie się bawić?

Kilka par oczu mrugnęło.

– Jakie zabawy lubicie najbardziej?

Cisza.

– Może grę w piłkę? Czy któreś z was lubi grać w piłkę?

Przytaknięcia.

– W piłkę ręczną?

Chłopiec o azjatyckich rysach z fryzurą w kształcie talerza do zupy powiedział:

– W baseball.

– W baseball – powtórzyłem. – A na jakiej pozycji grasz?

– Rzucam. I w piłkę nożną, i w futbol, i w koszykówkę też.

– W skakankę – odezwała się dziewczynka.

– W pizza party – dodał ten sam co poprzednio chłopiec.

– To taka gra planszowa – wyjaśniła nauczycielka. Elegancka, czarna kobieta po czterdziestce. Chętnie udostępniła mi swoje biurko, ustawiła krzesło w rogu sali i usiadła ze złożonymi rękami, jak ukarana uczennica. – Mamy ją w klasie. Mamy dużo gier planszowych, prawda, dzieci?

– Ja lubię być grzybkiem – powiedział mały Azjata.

– A ja papryką – odezwał się inny chłopiec, drobnokościsty, z długimi falowanymi włosami. – Ostrą papryką. *Muy caliente!** [przyp: Bardzo ostrą! (hiszp.)]

Chichoty.

– Dobrze. A w jakie jeszcze gry planszowe lubicie grać? – zapytałem.

– W warcaby.

– W pochylnie i drabinki!

– W warcaby.

– Już to mówiłem!

– W chińczyka!

– Ty, Chińczyk.

– Wcale nie. Jestem Wietnamczykiem!

– W pamięć!

– Ja też lubię grać – powiedziałem. – Czasami dla zabawy, a czasami, żeby pomóc dzieciom, gdy są przestraszone i się czymś martwią.

Znowu cisza. Nauczycielka zaniepokoiła się nagle.

– Dzisiaj wydarzyło się coś bardzo strasznego – oznajmiła. – Tutaj, w szkole.

– Kogoś zabili – odezwała się dziewczynka z dołkami w policzkach i z karnacją koloru kawy z czekoladą.

– Anno, wcale tego nie wiemy – odezwała się nauczycielka.

– Tak – nie ustępowała dziewczynka. – Była strzelanina. To znaczy, że kogoś zabili.

– Słyszałaś już wcześniej strzelaninę? – spytałem.

Przytaknęła gorliwie.

– Mhm. Na mojej ulicy. Gangsterzy jeżdżą samochodami i strzelają do domów. Zabijają. Tak mówi mój tatuś. Raz mieliśmy w garażu dziurę po pocisku. Taką. – Rozsunęła kciuk i palec wskazujący.

– Na mojej ulicy też – odezwał się chłopiec ostrzyżony po wojskowemu, o twarzy elfa i uszach jak nietoperz. – Zabili jednego facia. Trup. Bum, bum, bum. W twarz.

Nauczycielka wyglądała, jakby się źle poczuła.

Kilku chłopców zaczęło imitować strzelaninę, robiąc z palców pistolety i unosząc się z miejsc.

– To chyba strasne – powiedziałem.

Jakiś chłopiec się roześmiał i strzelił do dziewczynki.

– Przestań! Głupi jesteś! – broniła się.

Chłopiec przezwał ją po hiszpańsku.

– Ramon! – upomniała go nauczycielka. – Uspokój się. Wszyscy spokój. – Jej spojrzenie w moją stronę zdawało się mówić: Jak pan zrobił doktorat?

– Fajnie jest się bawić w strzelaninę, bo wtedy czujemy się silni. To my rządzymy. Decydujemy o naszym życiu. Ale kiedy naprawdę ktoś do nas strzela, to już nie jest tak fajnie, prawda? – zapytałem.

Odpowiedziało mi potrząsanie głowami. Chłopiec, który śmiał się najgłośniejszym, nagle wydał mi się najbardziej przerażony.

– Co rozumiecie z tego, co tu się dzisiaj stało?

– Jakiś facio do nas strzelał – oświadczył mały Azjata.

– Tranh – odezwała się nauczycielka. – Nie wiemy tego.

– Tak, strzelał do nas, panno Williams!

– Zgadza się, Trinh. Strzelał – powiedziała. – Ale nie wiemy do kogo. Mógł strzelać w powietrze.

– Spojrzenie w moją stronę, żebym potwierdził jej słowa.

– Strzelał do nas – nie ustępował Trinh.

– Czy ktoś z was wie, co się z nim stało? – spytałem.

– Zastrzelili go? – spytała dziewczynka o imieniu Anna.

– Właśnie. Zastrzelili go i nie żyje. Więc nie może wyrządzić wam krzywdy. Nic wam nie może zrobić.

Zapadła cisza. Zastanawiali się, jak ocenić tę informację.

– No dobrze, a co z jego przyjaciółmi? – zapytał Ramon.

– Z jakimi przyjaciółmi?

– Może jest w gangu i jego koledzy wrócą i znów będą do nas strzelać?

– Nie ma powodu sądzić, że jest w gangu – odrzekłem.

– A jeśli jest? – upierał się Ramon. – Albo jeśli jest cholo?

– Kim jest? – spytała inna dziewczynka, pulchna, z czarnymi kędziorkami i drżącym głosem.

Wszystkie dzieci patrzyły na mnie wyczekująco.

– Jeszcze nie wiem. Nikt nie wie. Ale jego już nie ma. Na zawsze. Z jego strony nic wam nie grozi.

– Powinniście go zabić jeszcze raz! – powiedział Ramon.

– Tak! Zabijcie go! Zastrzelcie go dwudziestkądwójką!

– Uzi!

– Wepchnijcie mu twarz do pizzy, żeby nie mógł oddychać.

– Wepchnijcie mu twarz w kupę!

Nauczycielka zaczęła coś mówić. Powstrzymałem ją spojrzeniem.

– Jak jeszcze można zrobić mu krzywdę?

– Zabić go!

– Pokroić i nakarmić nim Pancho – to mój pies!

– Strzelić mu, bum, w jaja!

– *Ay, los cojones!** [przyp: Jaja! (hiszp. wulg.)]

Śmiech.

– Bum!

– Pokroić go i zemleć, i nakarmić mojego psa!

– Wcale nie masz psa, Martha!

– Właśnie, że mam! Mam bardzo groźnego pitbulla i cię zje!

– Zastrzelić go, zadźgać, wepchnąć mu twarz w pizzę – powtórzyłem. – Chyba naprawdę was wkurzył?

– No jasne – powiedział Ramon. – A co? Próbowaliśmy nas zabić, to my go też zabijemy!

– Nie możemy go zabić – oświadczyła pulchna dziewczynka.

– A dlaczego – zapytałem?

– Bo on jest wielki. A my jesteśmy tylko dziećmi. Nie mamy pistoletów.

– Bzdury – powiedział Tranh. – Nie możemy go zabić, bo on już nie żyje!

– Zabijmy go jeszcze raz! – krzyknął ktoś.

– Dowiedzmy się, gdzie mieszka – zaproponował Ramon – i zabijmy jego pierdolony dom!

– Co to za język! – oburzyła się nauczycielka.

Pulchna dziewczynka nie była przekonana.

– O co chodzi? – spytałem ją.

– Właściwie – powiedziała – to nic nie możemy zrobić. Jesteśmy dziećmi. Jeśli ludzie chcą być dla nas niedobrzy, to nikt im nie zabroni.

– Złotko, nikt nie chce być dla ciebie niedobry – uspokajała nauczycielka.

Pulchna dziewczynka spojrzała na nią.

– Wszyscy cię lubią, Cecelio – tłumaczyła nauczycielka. – Wszyscy lubią was wszystkich.

Pulchna dziewczynka potrząsnęła głową i rozplakała się.

* * *

Zanim skończyłem, deszcz osłabł. Zatrzymałem się przy gabinecie Lindy Overstreet, ale był zamknięty i nikt nie odpowiadał na pukanie. Gdy wyszedłem z budynku, zobaczyłem Mila na boisku, obok otoczonej kordonem szopy. Rozmawiał ze szczupłym, ciemnowłosym mężczyzną w dobrze skrojonym, granatowym garniturze. Zauważył mnie i pokiwał, żebym podszedł.

– Alex, to jest porucznik Frisk z wydziału antyterrorystycznego. Poruczniku, doktor Alex Delaware, psycholog kliniczny, który będzie pracował z dziećmi.

Frisk przyjrzał mi się i spytał:

– No i jak to się posuwa, doktorze? – tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że nie bardzo go to obchodzi.

– Nieźle.

– Miło to słyszeć. – Podciągnął mankiet i spojrzął na zegarek marki Rolex. Był młody, opalony, ciemne włosy miał ułożone w schludną fryzurę i nosił niezwykle starannie wypielęgnowany wąsik. Granatowy garnitur musiał sporo kosztować, tak jak koszula od Turnbull & Asser lub od konkurencji. Krawat był z ciężkiego jedwabiu, we wzór przedstawiający roztańczone, niebieskie równoległoboki na ciemno-bordowym tle. Oczy Friska koloru tych równoległoboków znajdowały się w ciągłym ruchu.

Odwrócił się do Mila i powiedział:

– Powiadomię cię. Miłego popołudnia, doktorze – rzucił i odszedł.

– Szykowny – stwierdziłem. – Wygląda jak gliniarz z telewizji.

– Młody człowiek, który cały czas awansuje – odparł Milo. – Skończył Wydział Zarządzania na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, ma dobre układy, stopień porucznika otrzymał przed trzydziestką, trzy lata później kierownicze stanowisko.

– Czy przejmuje sprawę?

– Przed chwilą słyszałeś – powiadomi mnie.

Przeszliśmy przez boisko szkolne.

– Więc – spytał – jak było naprawdę?

– Naprawdę nieźle. Miałem krótkie spotkania we wszystkich klasach. Większość dzieci zdaje się

reagować normalnie.

– To znaczy?

– To znaczy dużo podniecenia, czasami gniew. Właśnie gniew starałem się opanować – żeby dzieciaki zaczęły się bardziej kontrolować. Kazałem nauczycielom skontaktować się z rodzicami i przygotować ich, że u dzieci może wystąpić utrata apetytu, problemy ze snem, objawy psychosomatyczne, kurczowe trzymanie się starszych, być może strach przed chodzeniem do szkoły. Niektórym dzieciom przyda się zapewne terapia indywidualna, ale w większości przypadków powinny wystarczyć zajęcia grupowe. Ważne było, żeby szybko do nich dotrzeć – dobrze się spisałeś.

– Co sądzisz o pani dyrektor? – spytał.

– Energiczna dama.

– Dama z Teksasu – powiedział. – Dziecko gliniarza. Jej tatuś był komandosem, jego praca oddziaływała na dom. Zna to wszystko na pamięć.

– Nic mi na ten temat nie wspomniała.

– A po co? Przy tobie pewnie była strasznie uczuciowa.

– W tej chwili odczuwa chyba wyłącznie gniew, który kotłuje się tuż pod powierzchnią. Narasta od czasu, kiedy tu przybyła. Musi zwalczać wiele bzdur i ma niewiele wsparcia. Mówiła ci o aktach wandalizmu?

Zmarszczył brwi.

– Tak. Słyszałem o tym po raz pierwszy. Kuratorium zgłosiło to bezpośrednio do śródmieścia i tam sprawa utknęła.

– Kiepska organizacja pracy?

– Nawet tak nie myśl.

– Wygląda na to, że szkoła jest wplątana w politykę, od czasu jak sprowadzili dzieci. Sądzisz, że strzelanina miała podłoże polityczne?

– W tej chwili nic nie wiadomo.

– Czy Latch i Massengil snują w tej kwestii jakieś domysły? Że któryś z nich mógł być celem?

– Nie wiem – odparł. – Całe dochodzenie przeprowadzał Kenny Frisk i chłopaki z WAT-u. Po cichutku, za zamkniętymi drzwiami. Potem Kenny wyszedł i poinformował nas, plebs, że przyjęto oficjalnie politykę zamkniętych ust. Wszystkie doniesienia prasowe mają pochodzić z WAT-u. Pogwałcenie przepisów informacyjnych będzie surowo karane.

Szukałem w jego twarzy oznak złości. Udało mi się dostrzec jedynie białą maskę.

– Chociaż jak to z politykami bywa, nie ustrzegą się paplania – dodał po chwili.

– Jak na razie, wygląda na to, że Latch się stosuje do tych zaleceń – powiedziałem. – Spotkałem go w korytarzu, kiedy wychodził. Próbowałem wyciągnąć od niego jakieś informacje i nie udało mi się ani trochę.

Odwrócił głowę i spojrzał na mnie.

– Jakie informacje?

– Jakiś ogólny opis snajpera. Kim był. Coś konkretnego. Dzieci muszą mieć wyobrażenie o swoim wrogu. – Powtórzyłem mu sposób rozumowania, jaki przedstawiłem Lindzie i Gordonowi Latchowi. – Już zadają pytania, Milo. Gdybym mógł na część z nich odpowiedzieć, efekty mojej pracy byłyby lepsze.

– Ogólny opis, co? Kim był?

Przytaknąłem.

– Oczywiście, jeśli mógłbyś mi zdradzić jakieś szczegóły, też by się przydały. Niewykraczające poza granice „pogwałcenia przepisów informacyjnych”.

– Szczegóły. Przede wszystkim mogę ci powiedzieć, że opierasz się na błędnym założeniu – odparł bez uśmiechu.

– Jakim?

– To nie był on, lecz ona.

Rozdział czwarty

Restauracja była ponura i wbrew zamierzeniom właścicieli parodiowała jedynie angielski styl. Zbiór cynowych kufla i herbów szlacheckich na chropowatych, ciemnobrunatnych ścianach, tarcze do rzucania strzałkami w sali o nazwie „Ye Olde Pub Room”, masa starych belek na suficie, łojowaty, słodki zapach suszonego mięsa. Przypominająca katakumby gmatwanina małych sal jadalnych. Pełen szacunku kelner dopilnował, żeby w naszej poza nami nie było nikogo.

Milo spojrział znad swojego steku, odłożył nóż, wyjął coś z kieszeni kurtki i przesunął po stole.

Kawałek białego papieru, podwójnie złożony. Na środku widniała fotokopia prawa jazdy.

Zdjęcie było ciemne i zamazane. Młoda twarz kobieca, owalna, bez uśmiechu. Słabo zarysowany podbródek. Chuda szyja. Biała bluzka. Ciemne, proste włosy, krótko przystrzyżone. Równo przycięta grzywka ponad łukami brwiowymi.

Szukałem czegoś w tych rysach – jakiegoś zwiastuna przemocy. Oczy posępne. O ciężkich powiekach. Płytkie, jak kałuże po deszczu. Lekko przytępiony wzrok. Ale to mogło być skutkiem kiepskiej jakości odbitki albo zmęczenia wywołanego czekaniem w kolejce w wydziale komunikacji. Poza tym nic. Przeciętność. Twarz, na którą nie zwraca się uwagi.

Przeczytałem dane na prawie jazdy:

HOLLY LYNN BURDEN

1723 JUBILO DR

OCEAN HEIGHTS CA 90070

PŁEĆ: K. WŁOSY: BRAŹ. OCZY: NIEB.

WZOST: 1 M 63 CM, WAGA: 56 KG

DATA UR: 12.12.1968

ZNAKI SZCZ: OKULARY KOREKC.

– Miejscowa dziewczyna – powiedziałem.

– Tak. Mieszkała zaledwie pięć przecznic od szkoły.

– Jubilo Drive. To po hiszpańsku „radosny”. A jeśli się nie mylę, Esperanza oznacza „nadzieję”.

– Szóstka z plusem, Sherlocku. Zauważyłeś wzorzec. Ulica tuż obok Jubilo nazywa się Belleza

Court. „Piękno”. Jakiś optymistyczny urbanista.

– Do tego miłośnik hiszpańskiego – powiedziałem. – Pewnie mieszkańcy nie podzielają tego ducha w nazewnictwie.

– Niekoniecznie – zaprotestował. – Nazwy ulic to jedna sprawa. A to, że Latynos chce poślubić kogoś z ich rodziny, to inna.

Przyjrzałem się jeszcze raz fotografii, ponownie przeczytałem dane.

– Co o niej wiesz?

– To, co widzisz. Frisk powiedział, że WAT sprawdzi notowanych – przejrzy ich kartoteki, może będzie tam jej nazwisko. Gdy nas zostawił, właśnie jechał do jej domu.

– Dziewiętnaście lat – rzekłem i oddałem mu kartkę.

Złożył ją i schował.

– Zapomnij, że to widziałeś, Alex. Nawet ja nie powinienem mieć tej fotokopii.

– Dlaczego?

– To oficjalny dokument WAT-u.

– Jak go zdobyłeś?

Wzruszył ramionami i zaczął kroić stek.

– Kiedy chłopak od odcisków palców skończył już swoją pracę, Frisk przeznaczył jedno z pomieszczeń na „centrum zbierania danych”. Zgromadził w nim wszystkie materiały dowodowe. Akurat tam wpadłem, gdy Frisk poszedł się wysiusiać. I akurat stała tam kserokopiarka, która szeptała: „Włącz mnie, człowieku”. Wiesz, że nigdy nie potrafiłem postępować delikatnie.

– A skąd takie obsesyjne trzymanie wszystkiego w sekrecie, Milo? Skoro Frisk podał ci jej nazwisko, sam mógłbyś zdobyć jej prawo jazdy. Nawet ja mógłbym je zdobyć.

– Tak właśnie pracuje WAT. To dlatego, że zbyt wiele czasu spędzają, płacząc się po Waszyngtonie. Wydział ich tam wysyła. I wysyła ich też do siedziby FBI w Quantico. Na seminaria. Tam się bratają z tymi pomyleńcami. Przez to nic im nie można zrobić. Ale zasady są zasadami – nie ma sensu się wyrywać, jak nic się z tego nie ma. Poza tym wkrótce to się zmieni. Jest tylko kwestią czasu, kiedy cała sprawa zostanie podana do wiadomości publicznej.

– Ile czasu?

– Jeśli w jakiejś kartotece nie pojawi się coś ciekawego o nieżyjącej pannie Burden, Frisk planuje podanie jej nazwiska mediom jutro, około południa. Kiedy tylko to zrobi, możesz powiedzieć swoim

dzieciom, że ta straszna osoba wygląda jak ich dobroduszna niania z sąsiedztwa.

– Jak ma zamiar przez ten czas zwodzić media?

– Jak zawsze w takich wypadkach – będzie kłamał. „Przykro mi, drogie panie i panowie, ale autopsja nie daje jeszcze podstaw do pełnej identyfikacji”. Co niewiele mija się z prawdą – dostała kilka kulek w twarz. Choć i tak nie ma wątpliwości, że to ta sama twarz, co na prawie jazdy.

Wyobraziłem sobie to młode, dobrotliwe lico, opuchnięte, podziurawione, krwawiące. Odepchnąłem natychmiast ten obraz z myśli i powiedziałem:

– W każdym razie południe mi pasuje. O pierwszej mam się spotkać z dziećmi.

– Świetnie. Ale jeśli z jakiś powodów Frisk nie poda tej informacji do publicznej wiadomości, ty też nic nie mów, dobrze? To dopiero początek, a już mam dosyć kłopotów i bez przecieków, choćby pochodzących ode mnie.

– Jakich kłopotów?

– Takich jak zwykle. – Jego mina mówiła: Zmień temat.

Przez chwilę zajęliśmy się jedzeniem. Moje myśli wciąż wracały do zdjęcia w prawie jazdy.

– Dziewczyna-snajper – powiedziałem. – Trudno w to uwierzyć.

– Emancypacja, Alex – odparł z pełnymi ustami. – Próbują nam dorównać, nawet w draństwie.

– To mają przed sobą jeszcze długą drogę. Przypominam sobie więzienie okręgowe, kiedy odwiedziłem w nim Jameya Cadmusa na oddziale dla agresywnych psycholi. Zrobił na mnie wrażenie fakt, że mieli dwadzieścia sal dla mężczyzn i tylko dwie wyodrębnione dla kobiet, przy czym te dwie rzadko były wykorzystywane przez kobiety. Jaki odsetek przestępstw kryminalnych popełniają kobiety?

– Poniżej dziesięciu procent – odparł. – Ale statystyki robią się ciekawe, jeśli przeanalizujesz wiek tych kobiet. Czyny kryminalne popełnione w wieku poniżej osiemnastu lat. Wskaźnik dla mężczyzn jest wciąż znacznie wyższy niż dla kobiet, ale ogólnie w przypadku mężczyzn jest tendencja spadkowa, a w przypadku kobiet wzrasta. Ta różnica się zaciera. Nawet pomijając cyfry, widać, że coś się zmienia, Alex. Na ulicach. To się czuje – zmieniają się wzorce zachowań. Może dziewczyny z bandy Mansona przełamały pierwsze lody – nie wiem... Squeaky i ta druga strzelały do Forda, te łajdaczki w południowym Los Angeles. Teraz gangi zaczęły wykorzystywać dziewczyny jako strzelców... Uważają, że sądy będą łagodniejsze dla psychopatów w spódnicach i mają rację. Jak na razie. Coraz częściej Bonnie chce stać się Clyde'em.

Odkroił wielki kawałek steku i wsadził go sobie do ust.

– Do diabła – zaklął, przeżuając. – Najokropniejszą rzecz widziałem w tym roku w Mar Vista. Jakaś stenotypistka załatwiła swojego chłopaka chińskim toporkiem kuchennym. Zdradliwy kochanek

gotów do smażenia. Dla wybrednego smakosza.

Spojrzałem na stek na moim widelcu i odłożyłem go.

– *Bon appetit* – powiedział.

– Dzięki.

– Oczywiście jeszcze trochę potrwa, zanim nadgonię zaległości – przyznał. – My mamy za sobą tysiące lat doświadczenia. Dzięki testosteronowi. Ale one się nie poddają – cała ta cholerna kultura ulega zmianie. Damskie zapasy, dziewczyny, które podnoszą ciężary, szpikują się sterydami, mówią wulgarnie. Słyszałeś wcześniej, żeby dziewczyny napadały na kierowców ciężarówek na autostradach? Mają ochotę sobie pobrykać, chłopie.

Zrobiłem następne podejście do swojego steku.

– Świetny, co? – spytał, wkładając do ust następny kęs.

– Świetny.

– Z prywatnego uboju. Szefostwo mnie zna. – Poklepał się po brzuchu. – I uwielbia. Wysokie napiwki, a w zamian ten niebiański cholesterol.

Zanurzył kawałek mięsa w sosie.

– Nie zrozum mnie źle, nie mam nic przeciwko płci pięknej. Po prostu dzielę się z tobą swoimi spostrzeżeniami.

– Wiem.

– Tak, ale rozumiesz, czasami ludzie wyciągają różne wnioski.

– Na razie wyciągnąłem wniosek, że nie warto przestrzegać postu.

Połknął następny, gigantyczny kawał steku. Mięso było niedopieczone i krwawy sok pociekł mu po brodzie. Otarł go.

– Mówiłem ci, że miałem kiedyś dziewczynę?

– Nie.

– Poważnie. W liceum.

– Nie dziwię się.

– Nie? A czy ciebie w ogóle cokolwiek może zdziwić?

– Może uczciwy polityk.

Zaśmiał się gardłowym śmiechem.

– Racja. Jeśli jakiś się trafi, to należałoby go umieścić w klatce obok kondora.

– Na co tyle zachodu?

Roześmiał się znowu.

– Czy są jakieś poszlaki, że ta dziewczyna, Holly Burden, celowała do Latcha albo do Massengila?

– Taki rodzaj demokracji uczestniczącej?

– Pytam poważnie, Milo. Gdybym mógł powiedzieć dzieciom, że to nie one były celem, ułatwiłoby mi to zadanie.

– A więc, na Boga, powiedz im.

– Nie – odparłem. – Mogę im coś takiego powiedzieć pod warunkiem, że to będzie prawda.

– No więc, przykro mi – powiedział. – Nie mogę cię o niczym zapewnić. Nie pozostawiła żadnego przesłania politycznego. Jak na razie nie dzwonili żadni jej poplecznicy z wyrazami poparcia, a Frisk stwierdził, że jej nazwiska nie było na jego liście ewentualnych podejrzanych, chociaż, jak powiedziałem, sprawdzą to dokładnie w komputerze. Może znajdzie coś u niej w domu – jakiś pamiętnik czy manifest świra. Na razie mamy martwą dziewczynę i masę znaków zapytania.

Zastanowił się chwilę.

– Jeśli mierzyła do któregoś z nich, to moim zdaniem do Massengila. Zdaje się, że nikt oprócz ludzi z bezpośredniego otoczenia Latcha nie wiedział, że ich lider tam będzie.

– Prasa wiedziała.

– Nie. Tylko o Massengilu. Tyle się dowiedziałem z rozmów z dziennikarzami. Zostali zaproszeni dziś rano przez ekipę Massengila. To miało być tylko jego wystąpienie. Latch nie podał do wiadomości, że ma zamiar przyjechać. Chciał zaskoczyć przeciwnika.

– Skąd Latch się dowiedział, że Massengil tam będzie?

– Skoro prasa o tym wiedziała, to każdy łatwo mógł się dowiedzieć, prawda?

– Każdy? – spytałem.

– Każdy z branży. Frisk dokładnie wykonuje swoją robotę, na pewno sprawdzi, czy było to możliwe w przypadku tej dziewczyny. Może kiedyś pracowała dla Massengila... albo dla Latcha. Albo знаła kogoś, kto dla nich pracował. Nikomu z obydwu ekip nie było znane jej nazwisko, ale mogła działać na niższym szczeblu – adresować koperty albo coś w tym rodzaju. Jakaś cicha, szara

myszka, na którą nikt nie zwraca uwagi i którą wszyscy traktują jak gówno. Jakiś czas to toleruje, potem odchodzi. Nikt nie zauważa, że już nie pracuje. A w niej zaczyna się tlić myśl o zemście. To pasuje do portretu masowego mordercy. Z drugiej jednak strony wątek polityczny może być przypadkowy – może Latch i Massengil nie mieli z tym nic wspólnego. Może chciała jedynie zabić parę dzieciaków i napatoczył jej się grubszy łup.

– Miejscowa, niegrzeczna dziewczyna – powiedziałem. – Ciekaw jestem, czy też chodziła do szkoły Hale’a.

– Zemsta za złe świadectwo?

– A przychodzi ci do głowy coś sensowniejszego?

– W gruncie rzeczy nie – odparł. – Jak na razie jest to przestępstwo w zasadzie bezsensowne – jakby inne miały jakiś sens.

– Czy dziennikarze byli tam, gdy zaczęła się strzelanina?

– Nie. Konferencję prasową zwołano dopiero na pierwszą. Massengil pojawił się pół godziny wcześniej, chodził po podwórku i „czynił obserwacje”. Latch dołączył do niego kilka minut później.

– Jeśli Latch chciał utrzyć nosa Massengilowi, dlaczego nie pojawił się, kiedy już przybyły media? – spytałem. – Żeby zapewnić sobie efektowne wejście.

– Też się nad tym zastanawialiśmy. Według Friska, wyjaśnienie Latcha było takie, że miał na celu nie konfrontację z Massengilem, ale ostrzeżenie go. Dawał Massengilowi szansę odwołania całej sprawy przed przybyciem kamer.

– Święty Gordon.

– Właśnie, a ja jestem Matka Teresa. Mnie się zdaje, że tak naprawdę chciał sprowokować Massengila, zdenerwować go. O Massengilu panuje opinia, że łatwo daje się wyprowadzić z równowagi. Kilka lat temu wdał się w bójkę z innym politykiem, lubi pyskować dziennikarzom, którzy zadają kłopotliwe pytania, brać się za łby. Latch pewnie doszedł do wniosku, że przez pół godziny, zanim pojawią się media, doprowadzi tego faceta do apopleksji. I Massengil wyjdzie na straszego drania. Wtedy zaczęła się strzelanina i odwróciła uwagę od toczących się między nimi rozgrywek.

– Jedno z dzieci powiedziało mi, że to brzmiało jak wojna – powiedziałem.

– A co ono może o tym wiedzieć?

– Ona. Jest z Kambodży.

– Aha. Coś ci powiem, nasza Holly nie była wzorem wojownika. Ten karabin to był remington siedemset classic. Samopowtarzalny, z celownikiem. Dziewięć funtów – jeden z najcięższych produkowanych. Bardzo silny. To nie jest broń dla dziewcząt. To nie jest tak, że podnosisz takie coś,

bum i już ci się wydaje, że trafiłeś w cel.

– Nawet z celownikiem?

– Problem nie polega na celowaniu i mierzeniu. Problemem jest utrzymanie tej cholernej zabawki. Według prawa jazdy ważyła poniżej stu dwudziestu funtów. I nie przybyła na wadze od czasu, gdy wydawano jej prawo jazdy. Widziałem ciało – chudzinka, żadnych mięśni. Jeśli nie miała ogromnego doświadczenia, podobny skutek mogła osiągnąć, przywlekając armatę i próbując strzelać do myszy. Kobiety nieźle strzelają, ale podchodzą na niewielką odległość i używają wygodnego, niewielkiego pistoletu. Oczywiście pistolet nie na wiele by się zdał w sytuacji, gdy trzeba strzelać z dużej odległości.

– W prawie jazdy była też wzmianka o okularach korekcyjnych. Miała je?

– Tak. Pocisk przeleciał przez jedną z soczewek, szkło wbiło się prosto w oko. Jak szrapnel.

– Ile razy zdążyła strzelić, zanim Ahlward wpadł do szopy?

– Zużyła trzy z sześciu naboji. Chociaż jak się posłucha nauczycieli i dzieci, to się odnosi wrażenie, że miała karabin maszynowy; że to było prawdziwe bombardowanie. Ale takie są właśnie efekty paniki; wyolbrzymianie spraw. Poza tym część strzałów, które słyszeli, to te, które Ahlward oddał do niej – wsadził jej osiem kulek.

– Profesjonalista pełną gębą – powiedziałem, przypominając sobie spokój rudzielca. – Były gliniarz?

– Nie. Frisk mówił, że to jakiś były komandos.

– Twardy gość, wyjątkowy wśród ludzi zatrudnianych przez Latcha.

– Nie, jeśli przyjąć, że Latch jest pragmatykiem. Jak to stare hasło z nalepek na zderzaki, które kiedyś wisiały na co drugiej szafce na uniwersytecie? „Okradzione cię? Zwróć się do hipisa”. Latch afiszuje się swoją postawą pełną miłości i zrozumienia, ale jeśli chodzi o ochronę własnego tyłka, zatrudnia odpowiednich ludzi.

– W jaki sposób Ahlward dostał się do szopy?

– Przez tylne drzwi, tak samo jak Holly Burden. Nie zamknęła ich. Mówiłem ci, że nie była profesjonalistką. Pobiegł na tył, wpadł do środka i bum.

Znowu przyszło mi na myśl zdjęcie z prawa jazdy. Miazga krwi i szkła na oteplonej twarzy.

– Co jest? – spytał Milo.

– Nic.

– Proszę, proszę. Żal ci jej, co?

– Niezupełnie.

– Niezupełnie? – Mlasnął językiem. – Chryste, Alex, uważasz, że nie mam serca? Myślałem, że przemówiłem ci do rozumu.

– To wszystko przedstawia się żałośnie, Milo. Dziewczyna zaciągnięta z karabinem, którego nie jest w stanie utrzymać. Bóg wie, jakie myśli kotłowały jej się w głowie.

– Więc?

– Więc po prostu wydaje mi się, że lepiej by się stało, gdyby nasza groźna przestępczyni okazała się nieco groźniejsza.

Odłożył widelec i spojrzał na mnie.

– Jasne, mogła być strasznie groźna. Bardzo żałujemy, że nie była potwornie groźna. Wyobraź sobie kilka celnych strzałów... kilkoro tych maluchów podziurawionych kulami z karabinu...

– W porządku. Rozumiem, o co ci chodzi.

– To dobrze – powiedział, mnąc serwetkę. – I zapamiętaj sobie. W takich sytuacjach trzeba odpowiednio wartościować sprawy. A teraz, co byś powiedział na jakiś deser?

Rozdział piąty

Dotarłem do domu przed ósmą, wykonałem trochę papierkowej roboty i codziennych prac, po czym spędziłem pół godziny z nowym nabytkiem – maszyną imitującą narciarstwo biegowe. Prawdziwe narzędzie tortur, po którym została ze mnie ociekająca bryła potu. Pod prysznicem rozmyślałem o przerażonych dzieciach i złych nianiach.

O dziewiątej oglądałem wiadomości lokalne. Strzelanina w szkole Nathana Hale’a była tematem dnia. Migawki przedstawiające zapłakane dzieci, a następnie oficjalne oświadczenie policji Los Angeles wygłoszone przez porucznika Kennetha Friska. Człowieka z WAT-u nie peszyły kamery. Miał łatwość wystawiania się i odpowiadał wymijająco na pytania. Jego eleganckie ciuchy i wąsik – fotogeniczne jak z reklamy. Gliniarz naszych czasów. Świetny styl, bardzo mało faktów.

Dziennikarze mieli za mało danych, a musieli przedłużyć reportaż, więc pokazali jeszcze kilka ujęć archiwalnych: urywek bójkę Massengila z radnym o nazwisku DiMarco, z północnej części stanu, który rok wcześniej zdobył miejsce w siedzibie rady. Utarczka miała miejsce w sali legislatury. Obydwaj zaczęli od przezwisk. Chodziło o jakiś niejasny problem, związany z podstępными chwytami wyborczymi. Massengil wyszedł z niej bez szwanku. DiMarco miał rozkrwawioną wargę. Kamera pokazała pobitego, jak przykłada sobie karmazynową chusteczkę do ust, i przeszła do materiału nakręconego dzisiaj, pokazując DiMarco wychodzącego ze swojego biura w Sacramento. Zapytany, co sądzi o porywczosci Massengila i czy według niego można to powiązać ze strzelaniną, nie wykorzystał szansy zemsty. Odparł, że byłoby nieroztropnie komentować cokolwiek w tej chwili, wsiadł do swojego służbowego samochodu i odjechał. Dyskrekcja czy powściągliwość przegranego?

Następnie pokazano materiał archiwalny o Gordonie Latchu. Szybka, skumulowana biografia, możliwa tylko dzięki telewizyjnemu fotomontażowi. Zdjęcia sprzed dwudziestu lat – Latch, zarośnięty, o bystrym spojrzeniu, maszeruje z Mariem Savio w Berkeley, wykrzykuje slogany, zostaje aresztowany w People’s Park. Następnie hipisowski ślub z Mirandą Brundage w parku Golden Gate. Panna młoda, jedyne dziecko potentata filmowego, była studentka Wydziału Historii Uniwersytetu w Berkeley, modnisa zrzeszona w Młodych Republikanach, działaczka Rozważnego Zrozumienia i Ligi Młodych.

Latch szybko wpłynął na radykalizowanie jej poglądów. Regularnie bywała aresztowana wraz z nim, nie skończyła szkoły, zamieszkała w niesamowitej nędzy na Telegraph Avenue. Prasa nie mogła powstrzymać się od ironii; w kręgach Hollywood Fritz Brundage od dawna był uznawany za cichego faszystę – był jednym z głównych twórców czarnej listy ery McCarthy’ego i zapalonym oponentem związków zawodowych. Media pokazały ślub jego córki, jakby to był wielki mezalians. Latch robił miny przed kamerą, delektując się rolą naczelnego radykała. Tuż po ślubie zabrał Mirandę do Hanoi i nagrywał wezwania skierowane do polityków broniących sprawy Wietkongu, żeby odstąpili od swoich przekonań. Byli tam przedstawiciele mediów, którzy zawsze mieli włączone mikrofony. Państwo Latch wrócili do Stanów Zjednoczonych i znaleźli się na czele listy dziesięciu najbardziej nienawidzonych osób. Grożono im śmiercią i ewentualnym wytoczeniem sprawy za akcje wywrotowe.

Osiedli samotnie na rancho należącym do tatusia Mirandy. Gdzieś na północy. Ludzie zastanawiali się, dlaczego Fritz udzielił im schronienia. Nie wytoczono im sprawy. Pojawiły się plotki, że Fritz pociągnął odpowiednie sznurki. Latch i Mirandą przez pięć lat trzymali się z dala od życia publicznego, aż w końcu Fritz zmarł. Wtedy pojawili się znowu, jako spadkobiercy dużego majątku. Schludnie przystrzyżeni i dojrzały. Skruszeni za Hanoi, samozwańczy „demokratyczni humaniści”, chętni do współpracy z panującym systemem.

Przenieśli się do zachodniego Los Angeles. Kilka lat wyętej pracy – aktywność środowiskowa, żywność dla bezdomnych, dobroczynne obozy dla młodzieży niepełnosprawnej – i Latch był gotów do wystawienia swojej kandydatury w wyborach. Ubiegał się o miejsce w Radzie Miejskiej, zwolnione z powodu śmierci w wypadku samochodowym powszechnie lubianego beneficjenta z powszechnie skrywanym pociąganiem do nadużywania alkoholu i z niechętnym stosunkiem do udzielenia komuś pełnomocnictwa. Nie było wyznaczonego następcy. Nagły wakat, który objął Latch. Towarzyszył temu hojny przekaz pieniężny z dawnych posiadłości rodziny Brundage do skarbu partii.

Jedyny protest przeciw nominacji Latcha wpłynął od ugrupowań weteranów. Latch spotkał się z nimi, ukorzył się, oświadczył, że dorósł, przedstawił wizję zarządzania miastem, które nie będzie oparte na partyzanckiej polityce. Jego przeciwnicy w wyborach okazali się słabi. W całej dzielnicy zastępy studentów chodziły po domach i rozdawały ulotki. Latch wygrał, wygłosił mowę inauguracyjną, która brzmiała, jakby spełnił już połowę czynionych wcześniej obietnic. Miranda z wdziękiem pełniła obowiązki gospodyni podczas politycznych spotkań przy herbatce.

Zauważyłem, że jest fotogeniczna. Szczególnie korzystne było ujęcie, kiedy klęczy na plaży i zdrapuje smołę z pelikana, który padł ofiarą zanieczyszczenia wody.

Koniec montażu. Redaktor w dwóch słowach wspominał o tarcich na tle rasowym w szkole Hale’a. Jeszcze kilka ujęć płaczących dzieci. Zmartwieni rodzice. Długie ujęcie boiska szkolnego.

Reportaż kończył wywiad z korpulentnym psychologiem z siwą brodą, o nazwisku Dobbs, przedstawionym jako specjalista od spraw stresu dziecięcego, którego kuratorium przydzieliło do pracy z dziećmi. To przykuło moją uwagę.

Dobbs miał na sobie trzyczęściowy garnitur, który wyglądał, jakby był utkany z poszarpanych nitek. Mówiąc, bawił się ciężką dewizką od zegarka. Na twarzy wisiały mu worki luźnej skóry i często ścigał usta, co nadawało mu wygląd gumowej maski świętego Mikołaja, która się zdeformowała. Mówił zawodowym żargonem, od którego robiło mi się niedobrze. Rozprawiał na temat interwencji w sytuacji kryzysowej i wartości moralnych. Miał wiele do powiedzenia o tym, jak to społeczeństwo zatraciło poczucie moralności. Czekałem, kiedy pokaże podręcznik do psychologii.

Telefon przerwał jego przemowę.

– Doktor Delaware?

– Przy telefonie.

– Tu Linda Overstreet. Dał mi pan ten numer, więc doszłam do wniosku, że chyba mogę

zadzwoń.

– Oczywiście, Lindo. O co chodzi?

– Czy oglądał pan wiadomości?

– Właśnie mam je na ekranie.

– Więc go pan widział – tego Dobbsa.

– W całej krasie.

– Kłamie, niech mi pan wierzy. Nikt go do niczego nie oddelegował. Wiem, ponieważ po południu rozmawiałam z kuratorium i jeszcze nie poczynili żadnych kroków.

– Co tu się dzieje?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że Dobbs ma znajomości w kuratorium. Więc pewnie doszedł do wniosku, że go zaakceptują i wyprzedził fakty na własną rękę.

– Jakie znajomości?

– Kilka lat temu, po trzęsieniu ziemi, przedstawił kuratorium bardzo intratną propozycję: bezpłatną terapię kryzysową w kilku szkołach – między innymi w tej, gdzie odbywałam praktyki. Jego terapia ograniczyła się do tego, że rozesłał asystentów, którzy przeprowadzili na dzieciach testy komputerowe i porozdawali broszurki. Żadnych działań praktycznych. Kilka tygodni później niektórzy rodzice zostali powiadomieni telefonicznie, że testy wykazały, iż ich dzieci cierpią na poważne zaburzenia emocjonalne. Zdecydowanie doradzano im, żeby poddali dzieci terapii indywidualnej. Ci, którzy nie zareagowali, otrzymali dalsze telefony, listy, zostali poddani niezbyt delikatnym naciskom. Ciekawe, że wszyscy, z którymi się skontaktowano, mieli w adresie kod pocztowy świadczący, że mieszkają w zamożnych dzielnicach.

– Biedni stali się jeszcze biedniejsi, a bogaci mogli skorzystać z terapii?

– Właśnie. Do kuratorium wpłynęło kilka skarg na temat nachalnej sprzedaży usług, ale ogólnie władze były zadowolone z Dobbsa, ponieważ nie kosztowało ich to ani centa i kilkoro rodziców dzieci, które poddane zostały leczeniu, zeznało, że terapia okazała się pomocna.

– Czy ma odpowiednie przygotowanie zawodowe?

– Z tego co wiem, tak.

– Niech pani poczeka chwilę, sprawdzę.

Poszedłem do biblioteki, wziąłem spis Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologicznego i wróciłem do telefonu.

– Jak ma na imię?

– Lance.

Przekartkowałem do litery „D”, znalazłem życiorys pod hasłem Dobbs, dr Lance L. i przejrzałem go pobieżnie. Urodzony w 1943, doktorat z doradztwa szkolnego zrobiony w 1980 na jakimś uniwersytecie na Środkowym Zachodzie. Staż i praktyki podoktoranckie w centrum rehabilitacyjnym dla narkomanów w Sacramento. Uprawnienia stanowe w 1982. Dyrektor Spółki Kognitywno-Duchowej od 1983. Dwa adresy: zachodnie Los Angeles i Whittier.

– Wygląda na to, że to prawda – powiedziałem.

– Może, ale skoro i tak asystenci wykonują całą pracę, nie ma znaczenia, że legitymuje się kwalifikacjami? To karierowicz. Taki typ, który lubi być na tapecie.

– To jest Los Angeles – odparłem. – Ludzie chcą więcej niż piętnaście minut sławy.

Roześmiała się.

– Więc nie wkurzył się pan?

– A dlaczego miałbym się wkurzyć?

– Pan wykonał robotę, a on przypisał sobie zasługi. Za dużo czasu poświęcałam sprawie ego, deptaniu po odciskach. Chyba jestem na tym punkcie przewrażliwiona.

– Mnie odciski nie bolą.

– W porządku – powiedziała. – Chciałam tylko, żeby wszystko było jasne. Jeśli pojawią się ludzie Dobbsa, załatwię to.

– Dziękuję. I dzięki za telefon.

– Nie ma za co.

Cisza.

– Jak tam sprawy w szkole? – spytałem.

– Dobrze, jak należało się spodziewać. – Głos jej się załamał. – Dopiero zaczyna do nas docierać, jak blisko otarliśmy się o... jaka ta cała sprawa jest zagmatwana.

– Jak pani daje sobie z tym radę?

– Och, jakoś przetrwam. Najbardziej martwię się o dzieci. Rozmawiałam z kilkoma nauczycielami i pańskie sesje spotkały się z przychylnymi komentarzami.

– Cieszę się.

– Co pan o nich sądzi... o dzieciach?

– Są wystraszone. Ale w granicach normy. Budujący jest fakt, że chyba potrafią to wyrazić. Wraz z nauczycielami wykonała pani w ciągu minionych dwóch lat kawał dobrej roboty.

– Czego się boją, dokładnie?

– Najmłodsze lękają się rozłąki z rodzicami, więc reakcją będzie strach przed chodzeniem do szkoły i zwiększona absencja. Starsze mówiły więcej o bólu i cierpieniu. Usiłowały wyobrazić sobie, jak to jest, gdy się jest zastrzelonym. Trochę dyskusji o śmierci. W niektórych przypadkach zaczął z nich emanować gniew, co też jest dobre. Gniew i strach u dziecka nie idą w parze – wykluczają się nawzajem. Jeśli potrafią opanować swój gniew i określić go, będą umiały lepiej się kontrolować na dłuższą metę.

– Gniew leczy, prawda? – spytała. – Może sama powinnam tego spróbować.

– Może – odparłem. – Ale muszę być szczery. U dorosłych ta relacja między strachem i gniewem nie jest taka jasna.

– To rozumiałe. Życie nie może być zbyt proste. Czy jeszcze coś powinnam wiedzieć?

– Sporządziłem listę około dwudziestu dzieci, które wydają się szczególnie wrażliwe. Postaram się wyłowić inne. Jeśli któreś z tych dzieci z grupy wysokiego ryzyka w ciągu najbliższych kilku dni nadal będzie roztrzęsione, trzeba im zaordynować indywidualne spotkania, będę też chciał się zobaczyć z ich rodzicami.

– Na kiedy wezwać rodziców?

– Może na piątek?

– Poproszę Carlę, żeby zajęła się tym z samego rana.

– Dziękuję. Jak pani idzie z rodzicami – z przekonaniem ich, żeby posyłali dzieci do szkoły?

– Jak na razie nieźle. Już raz to przechodziłam, gdy zaczęła się sprawa dowożenia autobusami, więc większość rodziców ma do mnie zaufanie. Ale nie jest łatwo ich przekonać, że nasza szkoła to bezpieczne miejsce, gdzie ich dzieci mogą się uczyć.

– Powodzenia.

– Dziękuję. Widziałam, jak pan dzisiaj wychodził z detektywem Sturgisem. Dowiedział się pan czegoś nowego o snajperze?

Pamiętałem ostrzeżenie Mila i odpowiedziałem asekurancko:

– Policja niewiele jeszcze wie. Chyba niedługo dowiedzą się czegoś więcej.

– To brzmi jak stara śpiewka gliniarzy.

Przypomniałem sobie, co Milo opowiadał mi o jej ojcu.

– Pani zapewne się na tym zna.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Detektyw Sturgis powiedział mi, że jest pani córką policjanta.

– Tak powiedział? – odparła nieoczekiwanie chłodnym tonem. – Tak, to prawda. Cóż, życzę przyjemnego wieczoru i jeszcze raz dziękuję.

– Do zobaczenia jutro, Lindo.

– Niekoniecznie – odrzekła. – Będę bardzo zajęta. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, niech pan poprosi Carlę. Dobranoc.

– Dobranoc.

Odłożyłem słuchawkę. Chłód wisiał w powietrzu. Milo nic nie wspominał, że jest czuła na punkcie swojego pochodzenia. Zastanowiło mnie to. Ale nie na długo. Miałem za dużo innych spraw na głowie.

* * *

Wtorkowy poranek. Pogoda, od której kręci w nosie i drapie w gardle i jaka bywa w Los Angeles po burzy. Zerknąłem do porannej gazety w poszukiwaniu najnowszych doniesień na temat strzelaniny, nic nie znalazłem, przejrzałem programy w telewizji i przeleciałem wszystkie radiowe stacje informacyjne. Wciąż te same wieści. Wykonałem kilka telefonów, dokończyłem parę sprawozdań na temat praw rodzicielskich. Skończyłem pracę tuż przed południem i zrobiłem sobie przerwę na kanpkę z wołowiną i piwo.

Pamiętałem przewidywania Mila, ponownie włączyłem telewizor i przerzucałem kanały. Teleturnieje, opery mydlane, reklamy szkoleń zawodowych. Właśnie miałem go wyłączyć, kiedy jeden z seriali został przerwany transmisją z konferencji prasowej.

Porucznik Frisk. Jego opalenizna, zęby i starannie ułożona fryzura bardziej niż kiedykolwiek upodobały go do policjanta z filmu i konferencja sprawiała wrażenie kontynuacji serialu; kolejna scenka.

Poprawił krawat, uśmiechnął się i oddał Holly Lynn Burden jej porcję sławy. Przedstawił jej nazwisko, powtórzył jeszcze raz, wyraźnie, dodał datę urodzenia i fakt, że była mieszkanką Ocean

Heights oraz że prawdopodobnie była niezrównoważona psychicznie.

– Wszystko wskazuje na to – powiedział – że panna Burden działała w pojedynkę i nie znaleziono żadnych dowodów, aby czyn miał podłoże polityczne, chociaż dochodzenie wciąż trwa.

– Jaki, waszym zdaniem, był motyw? – spytał jakiś dziennikarz.

– W tej chwili jeszcze nie wiemy.

– Ale powiedział pan, że była niezrównoważona psychicznie.

– To prawda.

– Na czym polegał ten jej brak równowagi psychicznej?

– Wciąż to badamy – odparł Frisk. – Przykro mi, ale w tej chwili nie jestem w stanie podać więcej szczegółów.

– Poruczniku, czy strzelała do dzieci, czy była to próba zamachu politycznego?

– Na ten temat też wciąż jeszcze zbieramy dane. Na razie to wszystko, co mam do powiedzenia. Kiedy tylko będę wiedział coś więcej, podzielę się z państwem informacjami.

Po chwili znów pokazano seriale: przyjęcie wieczorne pełne przystojnych ludzi, wspaniałe fryzury, wystawne dania i atmosfera jakiegoś niepokoju.

Zawiązałem krawat i włożyłem marynarkę. Czas do szkoły.

* * *

Przybyłem do Hale'a o 12.45 – pora lunchu, ale dziedziniec był opustoszały. Przed szkołą chodził po chodniku tam i z powrotem posiwiasty człowiek w obdartym ubraniu. Na piersiach miał krzyż długi na dziesięć stóp i napis: JEZUS JEST NASZYM PANEM, a na plecach: NIE MA ZBAWIENIA BEZ ODKUPIENIA. Przy furtce stał policjant w średnim wieku i go obserwował. Niebieski mundur, ale bez znaczka POLICJA LOS ANGELES. Podeszedłem na tyle blisko, żeby odczytać insygnia na jego rękawie. Policja szkolna. Podałem mu swoje nazwisko, sprawdził je na liście przyklepionej do podkładki, poprosił o dowód tożsamości i otworzył furtkę.

Człowiek z krzyżem poczłapał dalej. Odwrócił się i krzyknął ochryplym głosem:

– Cierpcie, dzieciaki!

Gliniarz spojrział na niego jak na kałużę wymiocin, ale nawet się nie poruszył. Człowiek z krzyżem pomaszerował dalej.

Wszedłem na dziedziniec. Szopa była wciąż otoczona taśmą do zabezpieczenia miejsca zbrodni. Mimo ładnej pogody teren spowijała przygnębiająca atmosfera – smutek połączony z napięciem, jak cisza pomiędzy trzaskami piorunów. Może spowodowane to było pustką, brakiem dziecięcego śmiechu. A może to tylko moja wyobraźnia. Już miewałem podobne uczucia... przy łożu śmierci.

Odsunąłem od siebie te myśli i zameldowałem się u sekretarki Lindy Overstreet. Carla była młodą, drobną i sprawnie działającą osobą. Miała fryzurę a la punk i uśmiech, który mówił, że życie to jeden wielki żart.

Wszedłem do pierwszej sali lekcyjnej. Wczoraj były dwa tuziny uczniów, dziś naliczyłem dziewięcioro. Nauczycielka, blada, młoda kobieta tuż po studiach, sprawiała wrażenie osoby, która poniosła porażkę. Posłałem jej krzepiący uśmiech i pożałowałem, że nie mam czasu zrobić nic więcej. Gdy stanąłem przed klasą, usiadła z tyłu i zaczęła czytać książkę.

We wszystkich pozostałych klasach absencja była podobna – przynajmniej połowa dzieci pozostała w domach. Wśród nieobecnych było wiele tych, które przypisałem do grupy wysokiego ryzyka. Zazwyczaj ci, którzy najbardziej potrzebują pomocy, najbardziej przed nią uciekają.

Skupiłem się na pomocy, jaką mogłem zaoferować. Zacząłem od ponownego nawiązania kontaktu, dając dzieciom czas, żeby ochłonęły, po czym opisałem ich prześladowcę. Podałem im nazwisko Holly Burden i kilka faktów, jakie o niej wiedziałem. Sceptycznie odniosły się do wizerunku snajpera kobiety. Wiele młodszych dzieci nadal mówiło „on”.

Kazałem im ją narysować, ulepić z plasteliny, zbudować z klocków, a potem podrzeć, zmiażdżyć, rozwałkować, zetrzeć. Zabić ją, i jeszcze raz, i jeszcze raz.

Krew i szkło...

Przez cały czas mówiłem, uspokajałem je.

W jednej z czwartych klas, słysząc wzmiankę o Holly Burden, nauczycielka pobladła. Kobieta po pięćdziesiątce, o nazwisku Esme Ferguson. Była wysoka, o kanciastej twarzy, tleniona blondynka, tęga, konserwatywnie ubrana. Wyszła z sali i nie wróciła. Jakiś czas później dostrzegłem ją w korytarzu, dogoniłem i zapytałem, czy znała Holly Burden.

Wzięła głęboki oddech i odparła:

– Tak, doktorze. Była stąd.

– Z Ocean Heights?

– Z Hale’a. Była naszą uczennicą. Ja ją uczyłam. Kiedyś uczyłam szóstą klasę. Ona była u mnie w szóstej klasie. Wiele lat temu.

– Co pani o niej pamięta?

Uniosła podmalowane kredką brwi.

– Właściwie nic.

– Zupełnie nic?

Przygryzła wargę.

– Była... dziwna. Cała rodzina była dziwna.

– W jaki sposób dziwna?

– Naprawdę nie mogę... Trudno mi o tym mówić, doktorze. Zbyt dużo dzieje się naraz. Proszę mi wybaczyć. Muszę wracać do klasy.

Odwróciła się ode mnie. Pozwoliłem jej odejść i wróciłem do swojej pracy. Żeby mówić o dziwnej dziewczynie. Spróbować wytłumaczyć dzieciom szaleństwo.

Okazało się, że szaleństwo to coś, co te dzieci pojmują bardzo dobrze. Uwielbiały słowo szalony, zdawały się nim delectować, rozmawiając z werwą o chorych umysłowo ludziach, jakich znały. Ich pojmowanie choroby psychicznej skłaniało się w stronę krwi i gwałtu: pijani włóczędzy nad butelką bimbrowy, wypruwający sobie nawzajem flaki w ciemnym zaułku, hebefreniczne kobiety, które chodzą po śmietnikach, ociekający śliną zboczeńcy, wrzeszczące nastolatki, biegające w amoku po kokainie. Wyrywkowe wybuchy psychotycznej poezji z ulicznego targowiska.

Oparłem się na krześle, słuchałem tego i starałem się przyjąć obiektywne spojrzenie terapeuty. Po kilku godzinach świat, w jakim żyły, zaczął mnie przygniatać.

Dawniej, gdy pracowałem z dziećmi, które przeżyły szok, zawsze usilnie starałem się umieścić ten szok w jakimś kontekście. Wyizolować to wydarzenie jako niezwykle przypadek okrucieństwa. Ale patrząc w doświadczone oczy tych dzieci, słuchając ich przeżyć, poczułem, że głos mi się załamuje, musiałem wysilić się, żeby znów zabrzmiała w nim pewność siebie.

Moją ostatnią klasą tego dnia była hałaśliwa grupa szóstoklasistów. Ich nauczyciel nie przyszedł do szkoły. Przyjąłem wymówkę zmęczonej nauczycielki zastępującej kolegę, puściłem ją do domu i właśnie miałem zacząć, kiedy otworzyły się drzwi i do sali weszła młoda Latynoska. Miała natapirowane, polakierowane włosy i szeroką, wesołą twarz. Ubrana była w obcisłą dzianą, szkarłatną sukienkę i pomalowała na pasujący do niej kolor paznokcie całowej długości. Uśmiechała się szeroko. W jednej ręce niosła dużą aktówkę, a w drugiej czerwoną torebkę.

– Czołem, dzieci – odezwała się. – Jestem doktor Mendez! Jak się dzisiaj miewacie?

Dzieci spojrzały na nią, potem na mnie. Jej wzrok poszedł śladem ich spojrzenia.

– Dzień dobry – powiedziała do mnie. – Jestem doktor Mendez. Jestem psychologiem klinicznym. A pan, to pewnie pan...?

Wyciągnąłem rękę.

– Doktor Delaware. Również psycholog kliniczny.

Uśmiech jej zamarł.

– Aaa... – wydusiła, wciąż wpatrując się w moją dłoń. Torebka wypadła jej z ręki.

Dzieci zaczęły się śmiać. Schyliła się – niezgrabnie z powodu obcisłej sukienki – i podniosła ją. Zaśmiały się jeszcze głośniejsze.

– Poczekajcie chwilę – powiedziałem i poprosiłem ją, żebyśmy wyszli na korytarz. Zamknąłem drzwi. Oparła dłonie na biodrach i zapytała:

– Dobra, co tu się dzieje?

– Niezłe pytanie, doktor Mendez.

– Jestem tutaj, żeby przeprowadzić terapię – z powodu strzelaniny.

– Ja również. Robię to od wczoraj.

– Nie rozumiem. – Była wzburzona.

– Wezwała mnie policja.

– Żeby przeprowadził pan dochodzenie?

– Żebym pomógł.

– To zupełnie nie ma sensu – powiedziała.

– Czy pracuje pani z doktorem Dobbsem? – spytałem. Wyjęła tłoczoną wizytówkę i podała mi ją. MGR PATRICIA MENDEZ, SPÓŁKA KOGNITYWNO-DUCHOWA. Dwa adresy: Olympic Boulevard w zachodnim Los Angeles i Whittier. Cztery numery telefonów. Drobny druk na dole informował, że jest asystentką psychologiczną doktora Lance’a L. Dobbsa, i podany był numer jego licencji.

Oddałem jej wizytówkę i powiedziałem:

– Czy była pani u dyrektorki? Ona na pewno wszystko wyjaśni.

– Nie było jej. Ale jestem tutaj z ramienia kuratorium – jak pan wie, to oni tu rządzą, a nie policja.

Nie odezwałem się.

Ramię uginało się jej pod ciężarem aktówki. Postawiła ją na podłodze.

– Sądzę, że mimo wszystko powinna pani zameldować się u dyrektorki – powiedziałem.

– Cóż. – Splotła ręce na piersiach. – Wiem tylko, jakie miałam polecenie.

– Przykro mi, że straciła pani czas, przyjeżdżając tutaj.

Zmarszczyła brwi, zastanowiła się.

– Proszę pana, przyszłam tutaj, żeby pracować. Czy nie może pan przejść do innej klasy?

– Te dzieci wiele przeżyły. Potrzeba im fachowej pomocy. Tak sędzę.

– Jestem w stanie im to zapewnić – odparła.

– Przerwywając w połowie moją sesję? Dopasowując ich do swojego rozkładu zajęć?

Stężała, ale się uśmiechnęła.

– Pan jest chyba z wrogiego obozu. Zaborczego.

– A pani, zdaje się, jest z obozu kłamliwego, pani Mendez. Przedstawia się pani tytułem doktorskim, mając tylko magisterium. Udaje pani psychologa, podczas gdy jest pani asystentką.

Otworzyła usta, zamknęła je i otworzyła ponownie.

– W przyszłym roku będę już miała doktorat.

– Więc w przyszłym roku będzie pani mówiła prawdę.

– Jeśli pan sugeruje, że coś jest...

– W ilu klasach już pani była?

– W siedmiu.

– Czy ktoś wspominał, że u nich byłem?

– Nie... Ja...

– Nie zadała sobie pani trudu, by porozmawiać z nimi, nieprawdaż? Po prostu pani wpadła, zrobiła swoje i wypadła. – Spojrzałem na teczkę. – Co tam pani ma? Broszury?

– Jest pan bardzo agresywnym człowiekiem.

Z klasy dobiegła fala śmiechu. Następnie huk – odgłos wywracanych mebli.

– Fajnie było, ale muszę już iść. Dopóki nie zamelduje się pani u dyrektorki i nie wyjaśni tego, proszę nie zbliżać się do dzieci. Dla ich dobra.

– Nie może mi pan zabronić...

– I niech pani przemyśli sprawę fałszywego tytułu. Nie spodobałoby się to Radzie Inspektorów Medycznych.

– Czy to pogrożka?

– Tylko mądra rada.

Chciała przybrać zdecydowaną postawę, ale jej się to nie udało.

– To moja praca – powiedziała, niemal proszącym tonem. – Co mam zrobić?

– Zameldować się u dyrektorki.

– Ciągłe pan to powtarza.

– Bo to jest najlepsza rzecz, jaką może pani zrobić – odparłem, naciskając klamkę. Hałas po drugiej stronie drzwi wzmógł się.

– Chwileczkę – zatrzymała mnie. – Czy zna pan drugi język?

– Nie.

– Więc, jak pan zamierza im pomóc?

– Dobrze sobie radzą po angielsku.

– Mnie powiedziano co innego.

– Więc wprowadzono panią w błąd. Nie po raz pierwszy.

* * *

Gdy opuszczałem dziedziniec, niebo ciemniało. Tuż za furtką zobaczyłem Linde Overstreet, jak rozmawia z mężczyzną z krzyżem. Coś mu próbowała wyjaśnić. Wpatrywał się w chodnik, nagle podniósł głowę i zachwiał się na nogach.

Cofnęła się. Ruszył w jej stronę, przysunął twarz do jej twarzy, grożąc palcem. Usiłowała mu coś odpowiedzieć, nie dopuścił jej do głosu, zaczął gestykulować z większą werwą. W końcu zrezygnowała, odwróciła się do niego plecami i odeszła. Otworzył bezzębną, czarną czeluść ust i zaczął krzyczeć – coś nieokrzesanego i bez związku.

Zauważyła mnie dopiero, gdy doszła do furtki, wruszyła ramionami, jakby mówiąc: „Cóż mogę zrobić?”, zatrzymała się i poczekała, aż ją dogonię. Miała na sobie czarną płócienną sukienkę o prostym kroju, odpowiednią na żałobę. Ale kontrast z jej blond włosami i jasną skórą nadawał strojowi niezamierzoną wykwintność.

– Pobiera pani lekcje religii? – spytałem.

Wykrzywiła się.

– Stuknięty stary matoł. Pojawił się dzisiaj wczesnym rankiem i wykrzykiwał o dziwkach Babilonu, cierpieniu dzieci i tym podobne bzdury. Próbowałam mu wytłumaczyć, że dzieciom nie powinno się już zakłócać spokoju, ale nic do niego nie dociera – jakby miał w głowie nagranie i wciąż je odtwarzał.

– A policjant szkolny?

– Widzi go pan gdzieś? – Wskazała na niepoklowaną przez nikogo furtkę. – Poszedł o trzeciej. Nie zostałby nawet minuty dłużej. A jak tu jest, też nie ma z tego żadnej korzyści. Stoi po prostu z tym notesem w ręce. Twierdzi, że nie jest uprawniony do usunięcia tego starego piniacza, jeśli tylko gada – prawo do wolności słowa i tak dalej. On mnie chce dawać lekcje z praw obywatelskich.

Człowiek z krzyżem zawył głośnie.

– Skąd to się bierze? Czy to wpływ księżycy? – spytała. – Czy właśnie dlatego te straszdyła wypelzają z trumien? Skoro mowa o straszdyłach, zdążył pan sobie zrobić wroga.

– Panna Czerwona Sukienka?

Przytaknęła.

– Wpadła do mojego biura niemal z płaczem i twierdziła, że ją pan upokorzył. – Dramatycznie machnęła ręką. – Co się naprawdę stało?

Opowiedziałem jej.

– Potrzebne to panu jak dziura w moście, prawda? Nie dość, że próbuje pan nam pomóc, to jeszcze wplątuje się w te urzędowe brudy.

– W małych dawkach jakoś będę to w stanie przyjąć – odparłem. – Ważne jest, jak pani sobie z tym poradzi?

Westchnęła.

– Czasami sama się zastanawiam. W każdym razie niech się pan nią nie przejmuje. Powiedziałam jej, że ma nie wracać, dopóki nie będzie miała podpisanych odpowiednich formularzy. Dałam jej całą masę papierów do wypełnienia. Jeśli zadzwonią z kuratorium, postąpię z nimi tak, jak oni postępują z natrętnymi interesantami – zignoruję ich, każę im czekać, powiem, że mam zupełnie zapisany terminarz. Zanim zwołają zebranie i zdecydują, co robić, pan już prawdopodobnie skończy swoją pracę i z dziećmi wszystko będzie w porządku. Jak sobie radzą?

– Te, które przysły, nieźle – powiedziałem.

Twarz jej posmutniała.

– Tak, pięćdziesiąt osiem procent nieobecnych. Aż mnie uszy palą ze wstydu. Chciałabym sądzić, że byłam przekonująca, ale bądźmy szczerzy, jak mogę z czystym sumieniem mówić im, że wszystko ułoży się dobrze? – Potrząsnęła głową. Zdawało mi się, że zadrżała jej warga, ale skryła to starannie.

– Niezłe by było, gdyby w końcu zwyciężyli z takiego powodu, co? – powiedziała. – Przez jakiegoś stukniętego szaleńca. W każdym razie nie chcę pana zatrzymywać.

– Idzie pani do szkoły, czy pani wychodzi?

– Wychodzę. Tam stoję. – Wskazała na białego forda escorta po drugiej stronie ulicy.

Odprowadziłem ją do samochodu. Otworzyła go i wrzuciła do środka teczkę.

– Myślałem, że dyrektor ma oddzielne miejsce do parkowania.

– Zazwyczaj dyrektor ma oddzielne miejsce do parkowania. Ale na rozkaz policji podwórko nadal jest wyłączane z użytku. Nie wolno tam parkować, nie wolno chodzić. Musieliśmy trzymać dzieci w budynku w porze lunchu i przerwy południowej. Choć szczerze mówiąc, wcale się nie palą do wychodzenia na zewnątrz.

– Muszą wychodzić – powiedziałem z naciskiem – żeby przestały odczuwać strach przed boiskiem. Co powiedziała policja? Jak długo podwórko ma być zamknięte?

– Nic nie mówili. Nie było tu dzisiaj nikogo, żeby gromadzić dowody czy coś w tym rodzaju, więc nie widzę sensu... to znaczy, cóż mogą tam jeszcze znaleźć? Powinnam to chyba sprawdzić. Tymczasem życzę przyjemnego wieczoru.

Otworzyłem jej drzwi samochodu.

– Dżentelmen – rzekła, wsiadając. – Jak to miło.

Spróbowałem odnaleźć w jej twarzy sarkazm, ujrzałem jedynie zmęczenie. Czarna sukienka zadarła się nieco. Bardzo długie, białe nogi...

– Powodzenia – powiedziałem, zamykając drzwiczki. – Do zobaczenia jutro.

– Wie pan co – zaczęła. – Jadę na obiad... nic szczególnego, ale miło by mi było mieć towarzystwo.

Zarumieniła się, odwróciła wzrok, energicznie wetknęła kluczyk do stacyjki i przekręciła go. Silnik escorta ożył źle ustawionymi obrotami, zakrztusił się i w końcu zastartował. Gdy obroty zmalowały, powiedziałem:

– Ja również z przyjemnością przyjąłbym towarzystwo.

Zarumieniła się jeszcze bardziej.

– Hmm, tylko jedna sprawa – nie jest pan żonaty ani nic takiego, prawda?

– Nie – odparłem. – Nie jestem żonaty ani nic takiego.

– Pewnie pan sądzi, że to dziwne, iż pytam o takie rzeczy.

Zanim zdążyłem się odezwać, dodała:

– Po prostu lubię, kiedy wszystko jest jasne. Staram się jak najbardziej eliminować ewentualne kłopoty.

– W porządku – odparłem.

Zaśmiała się cicho.

– Chociaż do tej pory nie bardzo mi się to udawało.

Rozdział szósty

Pojechałem za nią do restauracji, którą sama wybrała, na Broadwayu, w Santa Monica. Bar sałatkowy, gdzie można nakładać sobie bez ograniczeń. Różnorodność owoców i warzyw zaspokoiłaby potrzeby wystawy ogrodniczej, a do tego owoce morza z grilla, ogromne ilości drzewnego dymu, leniwe wentylatory, reprodukcje Alphonse'a Muchy na ścianach wykończonych boazerią, trociny na podłodze. Nic naprawdę ani świetnego, ani zupełnie kiepskiego. Niskie ceny.

Nałożyliśmy sobie sałatek i zanieśliśmy je do stolika w wydzielonym boksie z tyłu sali. Linda zajadała z apetytem, poszła po dokładkę. Gdy skończyła drugą porcję sałatki, oparła się wygodnie i wytarła usta. Wyglądała na zakłopotaną.

– Mam dobrą przemianę materii – powiedziała.

– Uprawiasz dużo ćwiczeń fizycznych?

– Ani trochę. Prawdą jest, że moim udom dobrze by to zrobiło.

Według mnie jej uda wyglądały jak trzeba, ale zachowałem tę uwagę dla siebie.

– Trzeba się cieszyć z tego, co mamy.

Podano przekąski i jedliśmy w milczeniu. Cisza nam nie przeszkadzała, jak byśmy byli starymi przyjaciółmi, którzy korzystają z milczenia, żeby odreagować. Po kilku minutach odezwała się:

– Co sądzisz o snajperze dziewczynie?

– Zaskoczyło mnie to. A właśnie, jedna z nauczycielek, pani Ferguson, powiedziała mi, że ją znała. Uczyła ją w szóstej klasie.

– Uczyła ją w Hale'u?

Przytaknąłem.

– Stara, dobra Esme. Nic mi nie powiedziała – doskonała nauczycielka. Jeśli ktokolwiek może to pamiętać, to tylko ona. Jest u nas od lat i pochodzi z tej dzielnicy. Wszyscy pozostali nauczyciele zostali niedawno przeniesieni. Mówimy na takich „przeflancowani”. Co jeszcze o niej mówiła?

– Tylko tyle, że była dziwna. Że jej rodzina była dziwna.

– W jaki sposób dziwna?

– Nie określiła tego dokładnie. Nie chciała na ten temat rozmawiać.

– „Ferg” ma skłonności do przesady. Jest nieco staroświecka – powiedziała. – W jej pojęciu dziwny, może znaczyć cokolwiek... że ktoś używa do obiadu niewłaściwego widelca. Ale będę musiała z nią porozmawiać. Zobaczą, czego uda mi się dowiedzieć.

– A dokumenty? – spytałem. – Mogłabyś je przejrzeć?

– Może są jakieś stare papiery, ale nie jestem pewna. Zanim zaczęło się dowożenie autobusami dzieci ze wschodniej strony miasta, mieliśmy generalne porządki. Większość kartoteki została przeniesiona do śródmieścia. Sprawdzę jutro.

– Od jak dawna pracujesz w Hale’u?

– Od roku. Ściągnęli mnie wraz z autobusami. Pierwsza posada po stażu podoktoranckim. Chyba wyczuli, że mogę im sprawiać kłopoty, chcieli się mnie szybko pozbyć i doszli do wniosku, że kilka miesięcy w Hale’u mnie złamie.

– To trudny początek – zauważyłem.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Przechytryłam ich i jakoś to zniosłam. Uważali, że jestem za młoda i za głupia, żeby zabierać głos.

– Ze mną było tak samo, gdy zaczynałem – powiedziałem. – Zaraz po studiach wyznaczono mi bardzo ciężkie zadanie – pracę z dziećmi chorymi na raka. Miałem dwadzieścia siedem lat i kierowałem programem, który obejmował dwa tysiące pacjentów, mając do dyspozycji dwunastoosobową ekipę. Ciężka próba, ale gdy patrzę na to teraz, jestem zadowolony, że to zrobiłem.

– Rak. To strasznie przygnębiające.

– Czasami naprawdę było przygnębiające. Ale czasami podnosiło na duchu. U wielu dzieci nastąpiła remisja. Niektóre dawało się wyleczyć – co roku coraz więcej. W końcu prowadziliśmy wiele zajęć rehabilitacyjnych – pomagaliśmy rodzinom poradzić sobie z nieszczęściem, uczyliśmy metod redukcji bólu, prowadziliśmy doradztwo dla rodzeństwa chorych – takie badania kliniczne, które z miejsca można było stosować. To dawało wiele satysfakcji. Teoria od razu była wprowadzana w życie. Byliśmy użyteczni, choć tylko na krótką metę. Naprawdę czułem, że robię coś pożytecznego, że coś wnoszę w życie tych ludzi.

– Dwadzieścia siedem lat. Ile miałeś lat, gdy zrobiłeś doktorat?

– Dwadzieścia cztery.

Zagwizdała cicho.

– Cudowne dziecko, co?

– Nie, po prostu miałem na tym punkcie obsesję. Poszedłem na studia w wieku szesnastu lat i parłem przed siebie.

– Dla mnie to brzmi jak fałszywa skromność – powiedziała. – Ja też właściwie zaczęłam, kiedy miałam szesnaście lat. Ale w moim przypadku to naprawdę nie było nic takiego. Niewielka uczelnia w Teksasie. Każdy, kto mówił płynnie po angielsku i myślał, chociaż połową mózgu, dawał sobie radę.

– Gdzie w Teksasie?

– W San Antonio.

– Ładne miasto – oznajmiłem. – Byłem tam jakieś dziesięć lat temu, gdy prowadziłem konsultacje dla akademii medycznej. Pływałem po rzece, pierwszy raz w życiu jadłem preparowany owies i kupiłem sobie parę butów.

– Warto też pamiętać o Alamo – powiedziała, chwytając mocno filiżankę z kawą.

Znowu powiało chłodem. Trzeba zmienić temat.

– No to jest z nas para przedwcześnie dojrzałych dzieciaków. Cieszymy się owocami sukcesu.

– Jasne – odparła, wciąż napięta. – Czy to nie wspaniałe?

– Co sprawiło, że przerwałaś nauczanie i wzięłaś się do robienia doktoratu?

– Mogłabym ci przedłożyć wzniosłe wyjaśnienia, ale prawdę mówiąc, nie byłam zbyt dobrą nauczycielką. Miałam za mało cierpliwości. Nie potrafiłam pracować z jednostkami, które okazywały się niezbyt lotne. To znaczy, teoretycznie było mi ich żal. Ale aż musiałam zaciskać zęby, gdy czekałam, żeby uzyskać od nich właściwą odpowiedź. – Wzruszyła ramionami. – Jestem niezbyt wyrozumiała, co?

– Na tyle wyrozumiała, że wzięłaś się do czegoś innego.

– A jaki miałam wybór? Mogłam albo to zostawić, albo stać się wiedźmą i nienawidzić się coraz bardziej każdego wieczora, gdy wracałam do domu. Ty chyba wręcz przeciwnie – musisz mieć masę cierpliwości.

– Do dzieci, tak. Do reszty świata, nie zawsze.

– Więc dlaczego nie prowadzisz już terapii? Detektyw Sturgis powiedział mi, że jesteś na emeryturze. Spodziewałam się kogoś starszego.

– Przerwałem kilka lat temu i jak na razie nie podjąłem tego ponownie – to długa historia.

– Chciałabym jej wysłuchać.

Przedstawiłem jej w skrócie ostatnie pięć lat: Casa de Los Ninos, śmierć i degradacja. To były zbyt duże dawki ludzkiego nieszczęścia, przerwałem, utrzymywałem się z pieniędzy zainwestowanych w nieruchomości podczas budowlanej hossy w Kalifornii w latach siedemdziesiątych. Potem przyszło odkupienie: brakowało mi radości altruizmu, ale nie chciałem podjąć się długoterminowej pracy terapeutycznej. Poszedłem na kompromis – ograniczyłem się jedynie do krótkich konsultacji, zlecanych sądownie przez adwokatów i sędziów.

– I gliniarzy – dodała.

– Jednego gliniarza. Jesteśmy z Milem starymi przyjaciółmi.

– To mnie nie dziwi, że... w was obydwu wyczuwa się pewną... gorączkę. Energię. Chęć zrobienia czegoś więcej niż tylko spełnienia obowiązku. – Roześmiała się, znowu zażenowana. – Co sądzisz o mojej podwórkowej psychoanalizie, doktorze?

– Doszukuję się komplementów, w czym tylko mogę.

Roześmiała się i powiedziała:

– Inwestycje w nieruchomościach, hmm? Masz szczęście. Nie wiem, co bym robiła, gdybym nie musiała pracować. Czasami naprawdę nie cierpię swojej pracy. Może przez okrągły rok korzystałabym z oferty biura podróży Club Med.

– Obecna praca chyba też wystawia na próbę twoją cierpliwość.

– Zgadza się, ale przynajmniej mogę zamknąć drzwi, wyładować się, wywrzeszczeć, czymś cisnąć – Carla jest tolerancyjna. Po prostu nie podobało mi się, kiedy traciłam nerwy przy dzieciach i wyładowywałam się na nich. Poza tym liczy się dla mnie to, o czym mówiłeś, czyli możliwość robienia czegoś, co przynosi efekty długoterminowe. Gdy udaje mi się wprowadzić coś nowego, co naprawdę zdaje egzamin, oddziałuje na kilkaset dzieci jednocześnie. Ale najbardziej nienawidzę, kiedy wiem, co należy zrobić, wiem, jak to zrobić, a ktoś rzuca mi kłody pod nogi.

Potrząsnęła głową i dodała:

– Strasznie nie cierpię biurokratów. A czasami siadam wygodnie, spoglądam na te wszystkie śmieci w moim biurku i uświadamiam sobie, że sama jestem biurokratką.

– Czy myślałaś kiedykolwiek, żeby zająć się czymś innym?

– I co, znowu wrócić na uczelnię? Nie, dziękuję. Mam już dwadzieścia dziewięć lat. Nadchodzi taka pora, że trzeba się ustatkować i ciągnąć swój kierat.

Potarłem czoło.

– Dwadzieścia dziewięć lat? Nieźle. I już jesteś gotowa na bujany fotel na werandzie?

– Czasami mam wrażenie, że bardzo by mi się przydał taki fotel – odparła. – I kto to mówi. Jesteś

niewiele starszy.

– O osiem lat.

– Och, co za staruszek. Trzeba dopiąć pas przepuklinowy i podać dawkę geriawitu.

Podeszła kelnerka i spytała, czy chcemy jakiś deser. Linda zamówiła ciastko truskawkowe. Ja wybrałem lody czekoladowe. Smakowały jak kreda i odsunąłem je.

– Niedobre? Spróbuj tego.

Znowu się zarumieniła. Sądząc po odcieniu rumieńca, można by pomyśleć, że zaproponowała mi swą nagą pierś. Przypomniałem sobie, jak odpychała komplementy, i sklasyfikowałem ją jako osobę, która lęka się intymności, nieufną, kryjącą jakąś ranę. Moja kolej na podwórkową analizę. Ale, z drugiej strony, dlaczego nie miałyby być powściągliwa? Ledwo się znaliśmy.

Spróbowałem nieco ciastka, nie tyle z łakomstwa, ile nie chcąc odrzucać jej propozycji. Odsunęła z ciastka większość bitej śmietany, zjadła truskawki.

– Łatwo się z tobą rozmawia. Jak to się stało, że nie jesteś żonaty? – zapytała.

– Jest pewna kobieta, która mogłaby ci odpowiedzieć na to pytanie – odparłem.

Podniosła wzrok. Na dolnej wardze miała okruszek ciastka.

– Jezu, przepraszam.

– Nie ma za co przepraszać.

– Nie, naprawdę mi przykro. Nie chciałam wściubiać nosa... No tak, to przecież oczywiste, że chciałam. To właśnie robiłam. Wściubiałam nos. Tylko nie wiedziałam, że to bolesny temat.

– Nie ma sprawy – uspokoiłem ją. – Ta rana już się niemal zasklepiła. Wszyscy mamy swoje czułe punkty.

Nie połknęła przynęty.

– Rozwody to taka niemiła sprawa – stwierdziła. – Powszechna jak szare wróble i tak samo nieciekawa.

– To nie był rozwód – powiedziałem. – Nigdy nie byliśmy małżeństwem.

– Jak długo byliście razem?

– Nieco ponad pięć lat.

– Przepraszam.

– Za to też nie masz powodu przeproszać.

Zdałem sobie sprawę, że mówię ostrym tonem – podenerwowanie, że zbyt się odsłoniłem.

Napięcie wypełniło dzielącą nas przestrzeń jak nadmuchany balonik. Zajęliśmy się deserem i powietrze z balonika powoli uszło.

Gdy już skończyliśmy, uparła się na dwa oddzielne rachunki i zapłaciła gotówką.

– Cóż, doktorze Aleksie Delaware – powiedziała, odkładając portmonetkę – to było budujące, ale muszę wracać do domu i wgrzyźć się trochę w papierkową robotę. Wpadniesz jutro?

– W tym samym miejscu o tej samej porze.

Wstaliśmy. Obiema dłońmi ujęła moją rękę. Ten sam delikatny, uległy dotyk, tak odmienny od niej całej. Jej oczy płonęły jak małe węgielki.

– Naprawdę chciałam ci podziękować – zaczęła. – Jesteś uroczym człowiekiem, a mnie nie zawsze można uznać za najprzyjemniejszą osobę na świecie.

– Ja też nie zawsze jestem taki anioł.

Staliśmy zwróceniem twarzami do siebie. Zapanowała napięta cisza. Chciałem ją pocałować, ale zadowolilem się odprowadzeniem jej do samochodu i widokiem ruchu jej bioder i nóg. Kiedy odjechała, zdałem sobie sprawę, że więcej rozmawialiśmy o sobie niż o strzelaninie.

* * *

Ale gdy zostałem sam, w samochodzie, znowu nawiedziły mnie myśli o strzelaninie. Kupiłem w 7-Eleven przy Barrington wieczorną gazetę, ruszyłem do Westwood, przejechałem przez miasteczko na północ i przejrzałem pierwszą stronę, czekając na czerwonym świetle na rogu Hilgard i Sunset.

Środek zajmowały dwa zdjęcia – jedno szkolnego magazynka, z podpisem: KRYJÓWKA SNAJPERA, a drugie przedstawiało twarz Holly Lynn Burden. Po prawej nagłówek wielką czcionką krzychał: SNAJPER OTWIERA OGIEŃ DO UCZNIÓW. UNIESZKODLIWIA GO POMOCNIK LATCHA. DZIECI NA BOISKU UCIEKAJĄ W PANICE. SNAJPER DZIEWCZYNA ZABITA PRZEZ CZŁONKA EKIPY RADNEGO.

Zdjęcie wyglądało, jakby było wzięte z roczników szkolnych: biały kołnierzyk, ciemny sweter, pojedynczy sznur koralik, sztywna poza. Ta sama twarz, którą widziałem na kserokopii prawa jazdy, ale młodsza, pulchniejsza, jak u dziecka. Dłuższe włosy przerzucone przez ramię. Okulary w ciemnej oprawce, za nimi ten sam otępiały wzrok.

Światło zmieniło się na zielone. Ktoś zatrąbił. Odłożyłem gazetę i wpasowałem się w niklowany sznur zderzaków na bulwarze Sunset. Ruch był niewielki, ale równomierny. Gdy dotarłem do domu,

zabrałem się do czytania. Szybko przeleciałem przez streszczenie strzelaniny i zwolniłem, gdy dotarłem do biografii zamachowca.

Holly Burden przez całe dziewiętnaście lat swojego życia mieszkała w domu przy Jubilo Drive, wraz z ojcem, Mahlonem Burdenem, wiek pięćdziesiąt sześć, „wdowiec i niezależny konsultant techniczny”. Treść policyjnego przesłuchania ojca nie została podana do wiadomości, a on sam odmówił rozmowy z dziennikarzami, podobnie jak brat ofiary, Howard Burden, lat trzydzieści, mieszkający w Encino.

Na podstawie „dokumentów z kuratorium” dziennikarze dowiedzieli się, że Holly chodziła do Hale’a, ale nie pisali o Esme Ferguson ani o żadnej innej osobie, która pamiętała Holly.

Przyszła snajperka uczęszczała dalej do pobliskiej szkoły średniej dla młodszej młodzieży i następnie do liceum Pacific Palisades, którego nie ukończyła – zrezygnowała na rok przed maturą.

Pedagodzy szkolni nie bardzo mogli sobie ją przypomnieć, ale sekretarce z liceum udało się odnaleźć jej świadectwa, z których wynikało, że była słabą uczennicą, „niebiorącą udziału w zajęciach pozalekcyjnych”. Kilkoro nauczycieli, którzy w ogóle ją pamiętali, opisało dziewczynę jako cichą, nierzucającą się w oczy. Nauczyciel angielskiego przypomniał sobie, że miała „problemy motywacyjne, nie była skora do nauki i nie odczuwała potrzeby współzawodnictwa”, ale nie brała udziału w terapeutycznych programach zaradczych. Nie była uczennicą, którą można by chwalić, ale nikt nie zauważył najslabszych oznak poważnych zaburzeń psychicznych czy agresji.

Sąsiedzi „mieszkający przy cichej, zacienionej drzewami ulicy w tej zamożnej części West Side” byli znacznie bardziej przewidujący. Nie podając nazwisk, opisali rodzinę Burden, ojca i córkę, jako „nieprzyjaznych i skrytych”; „nie angażowali się w problemy osiedla, zajmowali się tylko własnymi sprawami”. Mahlon Burden został przedstawiony jako „jakiś wynalazca – niektórzy sądzą, że jest dziwakiem”; Holly scharakteryzowali jako „dziwną dziewczynę, która nigdy nigdzie nie wychodziła, na ogół siedziała w domu, nigdy nie wychodziła na słońce; była biała jak duch”. „Nikt naprawdę nie wiedział, czym się zajmuje – była poza społeczeństwem, nie uczęszczała do szkoły ani nie pracowała”. „Krażyły pogłoski, że jest chora. Może chodziło o chorobę psychiczną”.

Reporter wykorzystał to „może” i wysnuł z niego następną część artykułu: pełną spekulacji na temat stanu umysłu Holly Burden przedstawianych, jak zwykle, przez sforę specjalistów starających się wystawić diagnozę bez żadnych danych. Wśród tych teoretyków poczesne miejsce zajmował „Dr Lance L. Dobbs, psycholog kliniczny i dyrektor Spółki Kognitywno-Duchowej z zachodniego Los Angeles, ekspert do spraw psychologicznego wpływu stresu na dzieci, zatrudniony przez kuratorium, żeby przeprowadzić terapię na młodych ofiarach strzelaniny w szkole”.

Dobbs określił nieżyjącą dziewczynę jako „prawdopodobnie antyspołeczną osobowość schizoidalną lub socjopatkę – co oznacza rodzaj zaburzonej osobowości, która się kształtuje, a nie jest przekazywana w genach”, po czym natarł uszu społeczeństwu, że „nie wychodzi naprzeciw potrzebom rozwoju duchowego młodych ludzi”. Przedstawił swoją terapię jako „przejrzysty i uporządkowany program interwencji w sytuacji kryzysowej, wykorzystujący dwujęzycznych terapeutów. Już rozpoczęliśmy pracę z poszkodowanymi dziećmi i odnotowujemy wspaniałe wyniki. Jednakże, opierając się na wcześniejszych doświadczeniach, przewidujemy szczególnie ostre reakcje

ze strony młodszych dzieci. Będą musiały zostać poddane bardziej intensywnej terapii”.

Wciąż ta sama bajka.

Artykuł kończyło przedstawienie postaci bohatera dnia.

Darryl „Bud” Ahlward, czterdzieści dwa lata, zatrudniony jako „naczelnny asystent administracyjny” radnego miejskiego Gordona Latcha. Więcej niż ochroniarz, chyba że Latch nadał mu taki tytuł, żeby to miasto płaciło za wynajęcie tak drogiego siłacza. W Ahlwardzie ceniono chyba właśnie przede wszystkim siłę fizyczną. Były szef wyszkolenia w piechocie morskiej, żołnierz najemny, kulturysta, ekspert od wschodnich sztuk walki. Cała charakterystyka pasowała do tego postawnego człowieka o zaciśniętych ustach, którego widziałem wczoraj.

Taki pseudożołnierz nie bardzo pasował do kogoś o rodowodzie politycznym Latcha. Najwidoczniej ktoś już Latcha o to spytał i radny wyjaśnił, że łączy ich wzajemne zrozumienie, szczególnie dotyczy to zagadnień związanych z ochroną środowiska.

Odłożyłem gazetę.

Sieczka w stylu „kto? co? jak?”.

Żadnych „dlaczego?”.

Zadzwoiłem do centrali odbierającej dla mnie wiadomości telefoniczne. Telefony takie jak zwykle, oprócz jednego – prośby o telefon do biura radnego Samuela Massengila z podanymi dwoma numerami – jednym miejscowym i jednym z numerem kierunkowym 916. Sacramento. Zadzwoiłem pod numer w Los Angeles i wysłuchałem nagranej wiadomości, wyrażającej chęć radnego Massengila służenia swoim wyborcom, po czym nastąpiła lista innych biur i numerów telefonów, gdzie świadczy się wiele usług „miejskich i okręgowych”, oczywiście pomijając bezpośredni kontakt z radnym Massengilem.

W końcu rozległ się sygnał, zostawiłem swoje nazwisko i numer telefonu i poszedłem spać z głową naładowaną pytaniami.

Rozdział siódmy

Następnego ranka, o ósmej trzydzięci, odebrałem telefon od kobiety, w której głosie słyhać było śmiech. Przedstawiła się jako Beth Bramble, główna asystentka radnego okręgowego Samuela Massengila.

– Dziękuję, że pan zadzwonił, doktorze.

– Główna asystentka – powiedziałem. – Czy jest pani odpowiednikiem Buda Ahlwarda?

– Niezupełnie, doktorze Delaware – odparła po chwili ciszy.

– Nie ma pani czarnego pasa?

Znowu cisza. Krótsza.

– Nigdy jeszcze nie spotkałam psychiatry z poczuciem humoru.

– Jestem psychologiem.

– Ach, to zapewne dlatego.

– Czym mogę pani służyć, pani Bramble?

– Radny Massengil chciałby się z panem spotkać.

– W jakim celu?

– Zupełnie nie wiem, doktorze. Po południu leci z powrotem do Sacramento, żeby głosować, i byłby bardzo rad, gdyby mógł pan z nim rano wypić kawę.

– Rozumiem, że chodzi o szkołę Hale’a.

– To chyba dobre przypuszczenie – odparła. – Jaka godzina by panu odpowiadała?

– Nie wiem, czy jakakolwiek by mi odpowiadała. Nie opowiadam nikomu o mojej pracy z dziećmi.

– Radny zdaje sobie z tego sprawę.

– Bardzo nie chciałbym wplątać się w politykę, pani Bramble.

– Zapewniam doktorze, że nikt nie będzie próbował pana przekupić.

– Ale pani zupełnie nie wie, o co chodzi?

– Nie, przykro mi, nie wiem. Jedyne przekazuję wiadomość. Czy o dziewiątej trzydzieści nie będzie za wcześnie?

Zaproszenie mnie zaintrygowało, ale instynkt podpowiadał mi, żeby trzymać się od tego z daleka. Biorąc pod uwagę temperament Massengila, to była dość trudna sytuacja. Jeśli go zignoruję, może się odegrać na szkole. Pozostawała jeszcze kwestia mojej ciekawości...

– Dziewiąta trzydzieści może być. Gdzie?

– Nasze biuro rejonowe jest na San Vincente. W Brentwood.

Dała mi adres i podziękowała za chęć współpracy. Gdy odłożyła słuchawkę, zdałem sobie sprawę, że śmiech brzmiący w jej głosie zniknął na początku naszej konwersacji i już się nie pojawił.

Niebieska plastikowa tablica z wizerunkiem pieczęci stanowej widniała tuż nad numerem domu, na wpół przysłonięta liśćmi rachitycznego hibiskusa. Budynek w ogóle nie był okazały, nic nie wskazywało, że to instytucja rządowa. Dwie kondygnacje otynkowane na biało, wykończone ceglami o piaskowym kolorze, wciśnięte pomiędzy większą budowlę ze szklaną fasadą, należącą do służby zdrowia, i mały dom handlowy, którego główną atrakcją była kawiarnia, gdzie serwowano mrożony jogurt. Smukli ludzie w dresowych bluzach wchodzili i wychodzili z kawiarni, zaprzętnięci raczej uciechami ciała, jakich dostarczał im jogging, niż sprawą lepszego rządu.

Obowiązywał tu całkowity zakaz parkowania. Skręciłem za róg, wjechałem w zaułek i zaparkowałem na miejscu wyznaczonym dla gości. Otworzyłem żelazną furtkę i poczułem ożywczy powiew od ogrodu, wokół którego znajdowały się biura. Na każdej kondygnacji było ich sześć, każde miało samodzielne wejście i ułożono je w czworobok wokół dżungli bananowców, kęp bambusów i asparagusa.

Biuro okręgowe zajmowało dwa zespoły pomieszczeń na parterze budynku i sąsiadowało z agentem ubezpieczeniowym, artystą grafikiem, biurem podróży i wydawcą podręczników technicznych. Wywieszka na drzwiach pierwszego biura informowała, że należy się udać do biura sąsiedniego. Zanim zdążyłem to uczynić, drzwi otworzyły się i do ogrodu wyszła jakaś kobieta.

Miała około trzydziestu pięciu – czterdziestu lat, kruczoczarne włosy, ściągnięte do tyłu i spięte w ciasny kok, pełną twarz, zimne, szarozielone oczy, wydatne usta i po dziesięć funtów nadwagi we wszystkich wiadomych częściach ciała. Była ubrana w szyty na miarę kostium, który jeszcze podkreślał jej otyłość, białą, jedwabną bluzkę z czarną tasiemką spiętą pod szyją ogromnym, przydymionym topazem. Spódnica kostiumu kończyła się na wysokości kolan. Obcasy zaś były wystarczająco długie i ostre, żeby móc stać się przyczyną poważnych ran cielesnych.

– Doktor Delaware? Jestem Beth Bramble.

Jej uśmiech był jasny i krótkotrwały jak błysk flesza.

– Zechce pan wejść? Radny jest wolny.

Powstrzymałem się przed zadaniem pytania, czy radny jest w dobrym nastroju i wszedłem za nią

do środka. Idąc, kołysała biodrami. Wprowadziła mnie do sali recepcyjnej. Z niewidocznego głośnika płynęła cicha, bezpłciowa muzyka. Meble były jak w wiekowym motelu przy autostradzie – ostentacyjnie skromne. Na ścianach obitych cytrynową materią wisiało kilka poplamionych obrazków marynistycznych i reprodukcji Rockwella. Jednak większość powierzchni pionowych zawieszono zdjęciami, dziesiątkami zdjęć, w czarnych ramkach: Massengil zabawiający zagranicznych dziennikarzy, prezentujący trofea, trzymający w górze gęsto zapisane oficjalne obwieszczenia, ściskający chromowane szpadle do inauguracji budów, na bankietach, w otoczeniu podchmielonych, ubranych w smokingi zjadaczy kurczaków. A także integrujący się z ludem: z przykutymi do wózków inwalidzkich staruszkami, ze strażakami o twarzach pokrytych sadzą, z dziećmi w kostiumach Halloween, z żywymi maskotkami drużyn sportowych, przebranymi za karykaturalne zwierzęta.

– Jest naszym oczkiem w głowie – odezwała się. – Od dwudziestu ośmiu lat reprezentuje nasz okręg.

Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

Skęciliśmy ostro w lewo i doszliśmy do drzwi z napisem: POMIESZCZENIE PRYWATNE. Zapukała pojedynczym stuknięciem, otworzyła drzwi, cofnęła się krok do tyłu i wpuściła mnie do środka. Drzwi się zamknęły, a ona zniknęła.

Biuro było niewielkie i podniszczone. Na granicy zaniedbania. Massengil siedział za prostym, zdartym biurkiem z drewna orzechowego. Szara marynarka była starannie powieszona na szarej metalowej szafce kartotekowej. Miał na sobie białą koszulę z krótkim rękawem i krawat. Błat biurka chroniła szyba i nie było na nim nic oprócz dwóch telefonów, notesu i słoja z landrynkami zawiniętymi w celofan. Na ścianie, za nim, wisiało jeszcze kilka zdjęć i dyplom – uzyskane czterdzieści lat temu magisterium z inżynierii na uniwersytecie stanowym w Central Valley.

Prostopadle do biurka stała twarda brązowa kanapa na drewnianych nogach. Siedział na niej mężczyzna, korpulentny, z siwą brodą. Luźno wisząca skóra, rumiana twarz, święty Mikołaj cierpiący na niestrawność. Jak w telewizji. Znowu garnitur z kamizelką, tym razem o ciężkim, ołowianym odcieniu zieleni, ściągnięty na ramionach. Błyszcząca, złota dewizka od zegarka. Brzuch wystawał mu spod kamizelki jak melon, nadwerężając rozporek. Żółta koszula z wykrochmalonym, rozłożystym kołnierzykiem; krawat w kolorze zielonej pietruszki, zawiązany w wielki węzeł windsorski. Bawił się dewizką, unikając czyjegokolwiek wzroku.

Massengil wstał zza biurka.

– Doktorze Delaware, Sam Massengil. Miło mi, że pan wpadł.

Głos miał cienki jak darmowa zupka dla biedaków. Głośniejszy niż to było konieczne.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Jego dłoń była duża, o stwardniałym naskórku. Ścisnął moje palce nieco za mocno jak na postawę kumpla, jaką próbował przybrać. Człowiek, który chce być zawsze na czasie. Choć jeśli chodzi o modę, nie udało mu się to. Miał na sobie koszulę non-iron kupioną na przecenie, krawat, który był gmatwaniną jasnoniebieskich orłów frunących przez beżowe niebo z poliestru. Krótkie rękawy odsłaniały ramiona zbyt długie, nawet jak na jego wysoką sylwetkę,

kościaste, ale z wypukłościami mięśni i pokryte kępkami siwych włosów. Ramiona wyrobione od pracy fizycznej. Twarz z plamkami opalenizny i pomarszczona jak suszony owoc. Jedna strona białych, przypominających szczoteczkę do zębów wąsów, była przycięta krócej, jakby się golił z zamkniętymi oczami. Bezsprzecznie wyglądał na swój wiek, ale był zdrowy i zahartowany. Rozciągał sprężyny? Jakoś nie widziałem, aby uprawiał jogging z tłumami z kawiarni serwującej jogurt.

Oparł się i przyglądał mi się badawczo.

– Nie wiedziałem, że będziemy we trzech.

– Tak, tak. To jest pana znamienity kolega po fachu, doktor Lance Dobbs. Doktorze Dobbs, doktor Delaware.

– Widziałem doktora Dobbsa w telewizji.

Dobbs uśmiechnął się nieznacznie i skinął głową. Nie zadał sobie trudu, żeby wstać czy wyciągnąć dłoń.

– Co mogę dla pana zrobić? – spytałem Massengila.

Obaj spojrzeli po sobie.

– Proszę usiąść.

Usiadłem na krześle naprzeciwko biurka. Dobbs zmienił pozycję, żeby móc lepiej mi się przyglądać, i brązowa kanapa zaskrzypiała.

Massengil wyciągnął w moją stronę słój.

– Cukierka?

– Nie, dziękuję. – Ani śladu obiecanej kawy.

– A ty, Lance?

Dobbs wziął słój, złapał kilka cukierków, odwinął zielonego i wsadził go do ust. Mlaskał głośno, przewracając go pomiędzy językiem i ustami. Omijał mnie wzrokiem, patrzył na Massengila. Wyczekująco. Przyszedł mi na myśl niesamodzielną, rozwydrzoną dzieciak, przyzwyczajony do rodzicielskiej opieki.

Jakby ponaglony, Massengil odchrząknął i powiedział:

– Jesteśmy wdzięczni, że mógł pan przybyć tak szybko, doktorze.

– To wszystko w służbie dobrego rządu, panie radny.

Zmarszczył brwi i znów wymienił spojrzenia z Dobbsem. Dobbs zjadł kolejnego cukierka i łypnął na bok oczami – jakiś sygnał. Zaczęło mnie zastanawiać, kto tu rządzi. Kto jest ważniejszy.

– Cóż, nie ma sensu owijać w bawełnę. Oczywiście chodzi o tę tragedię w szkole. To już ze dwa dni temu, nieprawdaż, doktorze?

– Zgadza się, panie radny.

– Wiemy, że pracuje pan z tymi dziećmi. I dobrze, bardzo dobrze. – Uśmiech, który wyglądał, jakby sprawiał mu ból. – Niech mi pan powie, skąd właściwie się pan tam wziął?

– Policja mnie poprosiła.

– Policja. – Kolejny uśmiech. Jak do zdjęcia. Oprawiłem go w czarną ramkę. – Rozumiem. Rozumiem. Nie wiedziałem, że policja zajmuje się takimi sprawami.

– To znaczy jakimi sprawami, panie radny?

– Dobieraniem specjalistów. Mieszaniem się do spraw społecznych. Czy widnieje pan na jakiejś liście ekspertów współpracujących z policją?

– Nie. Jeden z detektywów jest moim przyjacielem. Już przedtem pracowałem z zastraszonymi dziećmi. Pomyślał...

– Jeden z detektywów – stwierdził Massengil. – Zapewne pan wie, jestem wielkim przyjacielem policji. Właściwie najlepszym przyjacielem, jakiego mają w Sacramento. Jak trzeba przepchnąć ustawę o przestępstwach, szef policji przychodzi najpierw do mnie. Szeryf okręgu również.

Odwrócił się do Dobbbsa i uzyskał aprobatę w formie nieznacznego skinięcia.

– A więc. Sprowadził pana jakiś detektyw. Któż to taki?

– Detektyw Sturgis. Milo Sturgis. Jest nowym naczelnikiem w wydziale kradzieży i zabójstw w Westside.

– Sturgis – powtórzył w zamyśleniu. – Ach, wiem, ten potężny, gruby facet z chorobą skóry. Nie wpuścili go, kiedy się odbywało przesłuchanie. – Odchrząknął. Kolejna wymiana spojrzeń. Chwila ciszy. – Podobno jest homoseksualistą, choć gdy się na niego patrzy, nikt by się nie domyślił.

Oczekiwał wyjaśnienia. Kiedy się nie odezwałem, Dobbs wydał cichy odgłos zadowolenia, jakby przewidział moje zachowanie.

– A więc – spytał Massengil – czy jest nim?

– Czy jest kim?

– Homoseksualistą.

– Panie radny, nie sądzę, żeby życie seksualne detektywa Sturgisa...

– Nie ma co owijać w bawełnę. Życie seksualne Sturgisa jest szeroko znane w wydziale policji. Towarzyszy temu dość spore oburzenie ze strony jego współpracowników, dotyczące jego awansu. Przede wszystkim sam fakt, że pracuje w policji, z tymi wszystkimi chorobami i związanym z tym ryzykiem.

Wbiłem paznokcie w poręcz krzesła.

– Czy jeszcze coś, panie radny? Muszę jechać do szkoły.

– Ach, do szkoły. Jak tam panu idzie z tą młodzieżą?

– Dobrze.

– To świetnie. – Pochylił się do przodu, położył dłonie na biurku.

Tępo zakończone, powykręcane palce o żółtych paznokciach. – Niech mi pan powie, czy pan też?

– Co ja też?

– Jest homoseksualistą?

– Panie radny, nie sądzę...

– Chodzi o to, doktorze, że z socjologicznego punktu widzenia panuje ogromny bałagan. Chyba wszyscy możemy się z tym zgodzić, prawda? Moim obowiązkiem jest dopilnować, żeby ten bałagan nie pogłębiał się jeszcze bardziej. Żyjemy w szalonym świecie – wyrzutki strzelają do wybranych urzędników państwowych, wszechpotężny rząd próbuje zmusić ludzi do innego stylu życia, przemieszcza dzieci jak towar transportowany ciężarówkami. Forsuje teorie zbudowane na kruchym lodzie, nie poparte życiowym doświadczeniem. Nie uszczęśliwia nikogo, ani ludzi, ani młodzieży. Pan, z racji swojego zawodu, powinien być tego świadomy, chociaż muszę panu powiedzieć, że bardzo często ludzie z pana grupy zawodowej zapominają o codzienności, forsują pewne nierealne rozwiązania. Powodują jeszcze większą erozję.

Podniósł słoje, pogłaskał go i powiedział:

– Erozja. To ważne słowo. Od ziemi możemy się dużo nauczyć. Ponieważ jak się już wszystko wypali, nadchodzi erozja wzorców. Granic. Stopniowa, ale bardzo szkodliwa, tak jak w przypadku erozji gleby. Wszystko zmierza do tego. Ocalenie czy erozja – co pozostanie, co zniknie. To jest mój okrąg, synu, moja odpowiedzialność. To jest moja odpowiedzialność niemal od trzydziestu lat. Latam pomiędzy tym miejscem i Sacramento trzy razy w tygodniu, używam samolotu jak inni samochodu, bo świat, w którym żyjemy, jest rozległy, a ten okrąg stanowi część świata, za którą jestem odpowiedzialny i muszę go nadzorować, wiedzieć, co się dzieje w każdym jego zakątku. I kiedy widzę zmiany, które mi się nie podobają – erozję – wtedy wkraczam do akcji.

Przerwał dla większego efektu, niczym domorosły Cynceron.

– Sam... – usiłował mu przerwać Dobbs.

– Poczekaj, Lance. Chciałbym, żeby nasz doktor wiedział... skąd się wywodzę. – Uśmiechnął się szeroko. – Czy to odpowiedni zwrot w potocznym języku? Skąd się wywodzę? A wywodzę się z postawy profesjonalnej dbałości o swój okręg, chęci... potrzeby świadomości, czy odbiega się od wzorców, czy jeszcze bardziej osłabia się granice. Potrzeby świadomości, kto tym kieruje.

– Czym kieruje?

– Systemami. Systemami wpływów. Systemami edukacyjnymi. Systemami terapii psychiatrycznych. Wszystkim, co ma wpływ na młode umysły o podatnej wyobraźni.

Dobbs uśmiechnął się i powiedział:

– Doktorze Delaware, biorąc pod uwagę, przez co te dzieci przeszły, musimy zapewnić im jak najlepszą terapię.

– My?

– My – odparł Massengil. – Mój zespół.

– Czy doktor Dobbs należy do pańskiego zespołu?

Następny błysk wzrokowego alfabetu Morse'a.

– Jest w zespole – powiedział Massengil z dumą, ale jakoś dziwnie asekuracyjnie. – Wraz z wieloma innymi doskonałymi osobami.

– Wiele pracowałem z ekipą radnego – odezwał się Dobbs. – Organizowaliśmy seminaria na temat zarządzania.

– Właśnie – poświadczył Massengil zbyt szybko. – Praca najwyższej jakości. – Pstryknął palcami. – Podstawy charakteru. Drogi do przywództwa. Rozwój duchowy i jego znaczenie dla człowieka.

Dobbs uśmiechnął się, ale jakby zaczął się czegoś obawiać, niczym reżyser sztuki, który ogląda przedstawienie w wykonaniu niezbyt zdolnego aktora.

– Wszyscy skorzystaliśmy z wkładu, jaki wniósł doktor Dobbs – cały personel. Widzi pan, nie mamy nic przeciwko wykonywanej przez pana pracy. Ale po prostu musimy wiedzieć, kto ją wykonuje. Lance jest kimś, kogo znamy i komu ufamy, ponieważ on rozumie prawdziwe życie, codzienne sprawy okręgu. Prawdziwe życie i jego duchowe podpory. Właśnie dlatego jego poproszono, żeby zajął się terapią dzieci po trzęsieniu ziemi, bo ma wyjątkowe kwalifikacje, żeby zająć się tą młodzieżą. – Uśmiechnął się szeroko. – I nagle pan zaczyna się tym zajmować, co nie znaczy, że mam jakieś zastrzeżenia do dotychczasowego przebiegu pana terapii – doceniamy pana entuzjazm i dziękujemy panu serdecznie. Ale nie wiemy, kim pan jest, jaka jest pana przeszłość.

Przedstawiłem mu dokładnie swoje osiągnięcia akademickie.

Na wpół słuchał i głaskał słoń.

– Brzmi nieźle, proszę pana. Ale wciąż nie odpowiedział pan na zasadnicze pytanie.

– Czy jestem gejem? – spytałem. – Nie, nie jestem. Ale detektyw Sturgis jest moim przyjacielem. Czy sądzi pan, że mogę się tym zarazić?

Zmarszczki wokół jego oczu zaostrzyły się, a palce zwinęły na blacie biurka. Ścisnął szkło, aż pobielały mu zrogowaciałe paznokcie. Ale wciąż się uśmiechał, demonstrował zbrązowiałe zęby.

– Nie ma co mówić, czym w dzisiejszych czasach można się zarazić. Najważniejsze, że wszystkim nam zależy na tej samej rzeczy.

– A mianowicie?

– Żeby ogarnąć ten bałagan. Żeby odpowiednio zająć się tą młodzieżą. Żeby dopilnować, aby stali się porządnymi obywatelami. Jestem pewien, że zależy panu na tym równie mocno jak nam, czyż nie, doktorze?

– W tej chwili – odparłem – bardziej mnie obchodzi, żeby pomóc im spokojnie spać w nocy, niż żeby wpajać im wartości obywatelskie.

Jego uśmiech zbladł.

– Radny Massengil chciał powiedzieć, że w pracy z tymi dziećmi – z jakimikolwiek dziećmi – wartości są niezwykle ważne. Trzeba utrzymać porządek – wyjaśnił Dobbs.

– Jaki porządek?

– System wartości. W pracy klinicznej niezbędna jest otwartość i szczerowość w stosunku do systemu wartości danej osoby – systemu, który zbyt często jest odsuwany na drugi plan. Dzieciom potrzebne jest takie poczucie bezpieczeństwa. Świadomość, że inni, którzy liczą się dla nich, w coś wierzą. Z pewnością pan się z tym zgodzi.

– Przejdźmy do sedna sprawy, doktorze – powiedział Massengil. Bardzo jesteśmy panu wdzięczni za wszystko, co pan zrobił. Jestem przekonany, że to był doskonały początek, pod względem psychologicznym. Od tej jednak chwili sprawę przejmą ludzie Lance'a. Tak jak to miało być od początku.

– Nie mogę się na to zgodzić – odparłem. – Zmiana i rozpoczęcie pracy z kimś nowym jeszcze bardziej osłabiłyby to poczucie bezpieczeństwa, jakie dzieci zdołały już osiągnąć.

Energicznie potrząsnął głową.

– Tym niech się pan nie martwi. Jestem pewien, że Lance temu zapobiegnie.

– Oczywiście – potwierdził Dobbs. – Jeśli wykorzystuje się standardowy sposób postępowania

w sytuacji kryzysowej, nie powinna sprawiać problemu zmiana osoby prowadzącej na...

– Niech pan da spokój, doktorze – przerwałem. – Niepotrzebna zmiana to jest rzecz, której te dzieci potrzebują najmniej.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wstałem i spojrzałem na Massengila.

– Panie radny, jeśli naprawdę chodzi panu o ich dobro, niech pan nie miesza dzieci do polityki i pozwoli mi zająć się moją pracą.

Massengil położył dłonie na poręczach fotela, westchnął głęboko i wygiął ramiona, jakby miał się zamiar podnieść. Pozostał jednak na miejscu, a całe napięcie uwidoczniło się na jego twarzy, ściągniętej i pociemniałej jak mięso zakonserwowane przez słońce.

– Polityka, co? Czy to złe słowo? Czy to jakieś przestępstwo chcieć służyć Bogu i swojemu krajowi? Coś panu powiem, młody człowieku. Ludzie już nie chcą wysłuchiwać tych rozpustnych głupot. Szanują profesjonalizm, doświadczenie, wiedzę, kto jest najlepszy, wiedzę, kto stanowi opokę. – Pogroził mi palcem. – Skoro ma pan takie obiekcje względem polityki, to coś panu powiem. Pański przyjaciel homoseksualista dostał awans właśnie dzięki polityce. Sprowadził pana z powodów politycznych. I w ogóle całe to zamieszanie zaistniało z powodu polityki – te dzieci i stojący za nimi agitatorzy z własnej woli wprowadzają politykę do swojego życia, gdy każdego ranka wsiadają do autobusu, który wiezie ich z Boyle Heights na zachód! Więc jeśli chce pan rozmawiać na temat polityki, to niech pan bierze pod uwagę jej cholerną całość!

– Ten problem zupełnie mnie nie dotyczy – oznajmiłem. – Obchodzi mnie jedynie to, by pomóc dzieciom, by potrafiły sobie poradzić z faktem, że ktoś do nich strzelał.

– Nie do nich. Do mnie! Ja stanowiłem cel. Z powodu poglądów, jakie reprezentuję. Nie spodobałem się jakiemuś złośliwemu, skrajnemu wyrzutowi, który próbował zerodować granice!

– Czy to właśnie powiedział pan ludziom z WAT-u?

Zawahał się przez moment, spojrzał na Dobbsa i znowu na mnie.

– Znam się na tym, co robię. Na zapobieganiu erozji. Nadszedł czas, żeby ktoś zrobił porządek w tej szkole. To otwarta rana na obliczu okręgu, eksperyment społeczny przeprowadzany kosztem stabilności. A kiedy próbuję mówić o tym otwarciu, to ktoś strzela do mnie z zimną krwią. Teraz pan wie, do kogo strzelano!

Oddychał z trudem, a jego palce pozostawiły na słoju wilgotne ślady.

– Sam – odezwał się Dobbs. Nieznacznie pomachał ręką, po czym zniżył ją jak magik opuszczający kwitującego asystenta. Massengil usiadł wygodniej i westchnął.

– Zgoda, doktorze. Położmy nacisk na współpracę, nie konfrontację. Pracujmy razem. Z przyjemnością włączę pana do swojego programu – zaproponował Dobbs, cały w uśmiechach.

Przypomniałem sobie, co Linda opowiadała mi o jego „programie” po trzęsieniu ziemi i potrząsnąłem głową.

– To nie miałoby sensu, doktorze Dobbs. Moja terapia już jest bardzo zaawansowana, dzieci przyjmują ją dobrze. Po prostu nie ma powodu komplikować sprawy.

Uśmiech stał się protekcyjny.

– Czy jest pan pewien, że nie przemawia przez pana wybijające ego, doktorze?

– Nie ego – odparłem – lecz zdrowy rozsądek.

– Zdrowy rozsądek to rzadka rzecz, doktorze Delaware. Gdyby było inaczej, obydwaj nie mielibyśmy pracy, czyż nie tak? To samo dotyczy zdrowych wartości.

– Wartości? – zdziwiłem się. – Na przykład, że reklama mówi prawdę?

Ściągnął usta. Zanim zdążył je otworzyć, odwróciłem się do Massengila i powiedziałem:

– Wczoraj w szkole spotkałem jednego z członków personelu doktora Dobbsa, jak rozdawał dzieciom kasety magnetofonowe. Pani ta fałszywie przedstawiała się jako psycholog i używała tytułu doktorskiego, którego nie ma. Dwa pogwałcenia stanowego prawa zawodowego, panie radny. Czy to nie jest erozja?

Massengil spojrział na Dobbsa. Tamten roześmiał się i powiedział:

– To drobiazg, Sam. Taki szczegół. Patty Mendez to dobra dziewczyna, ale jeszcze zielona. Jeszcze się nie zna za dobrze na tych wszystkich formalnościach, którymi jesteśmy zasypywani przez biurokratów. Doktor Delaware obszedł się z nią dość ostro. Rozmawiałem z nią i wytłumaczyłem jej, że tak nie można.

Massengil patrzył na niego przez chwilę, po czym odwrócił się do mnie.

– Słyszał pan. Robi pan z igły widły.

– Może wrócimy do tematu naszej rozmowy? – zaproponował delikatnie Dobbs.

– Właśnie – zgodził się Massengil. – Chcę, żeby Lance zajął się dziećmi. W jakiś sposób. Po prostu.

Spojrzałem na Dobbsa. Był zadowolony z siebie. Opanowany. Nagle zrozumiałem te wymieniane między nimi spojrzenia, znaki dawane dłonią. Łączyło ich więcej niż seminaria menedżerskie. Był między nimi jakiś głębszy układ. Coś jakby zależność dziecka od rodzica. To tłumaczyło dziwne zakłopotanie, jakie Massengil okazał, kiedy spytałem, czy Dobbs pracuje dla niego.

„Wszyscy skorzystaliśmy, cały personel”. Wszyscy. Nie tylko ja.

Pacjent i terapeuta? Opoka lokalnej społeczności obnaża swoją psychę przed świętym Mikołajem? Być może.

Psychoterapia pod płaszczykiem seminariów menedżerskich byłaby świetnym wyjściem – usprawiedliwiałyby one obecność Dobbsa w biurze Massengila i Massengil nie musiałby jeździć do gabinetu Dobbsa. Rozwój duchowy i jego znaczenie dla człowieka... Porada psychologiczna pod pretekstem zajęć rozwijających zawodowo. Rachunki można było włączyć w koszty biura....

Cienki głos Massengila wyrwał mnie z rozmyślań. Radny wygłaszał kolejną mowę. Znowu bełkot na temat wartości.

– Panowie, jeśli to wszystko, pójdę już – zaproponowałem. – I chciałbym móc skończyć to, co zacząłem, bez dalszych przeszkód.

– Robi pan duży błąd – powiedział Massengil. – Cholernie duży.

– Nie, to pan robi błąd – odparłem na tyle głośno, że zaskoczyłem całą naszą trójkę. – Popełnił już ich pan całą serię. Chociażby to, że wykorzystał pan szkołę i młodzież dla swoich własnych celów. Trzyma się pan obsesyjnie bzdur bez znaczenia, kiedy jest tyle ważnych spraw, do których należałoby się zabrać. A jeśli ma pan rację, mówiąc, że to pan był celem ostrzału, zrobił pan rzecz najgorszą – ściągnął pan zabójcę na teren szkoły, wystawił pan te dzieci na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Massengil zerwał się i wyszedł zza biurka.

– Ty smarkaty pedale! – W kącikach ust zebrała mu się piana. Rozpryskiwała się, gdy mówił, i trochę spadło mu na krawat.

Dobbs zrobił obolałą minę.

– Sam! – powiedział, podnosząc się, usiłując powstrzymać starszego mężczyznę. Ale Massengil był silny jak na swój wiek i wściekłość dodawała mu energii. Przez chwilę siłowali się ze sobą niezdarnie. Dobbs jeszcze raz ostro powtórzył: – Sam! – i Massengil przestał się szamotać.

Patrzył na mnie z wściekłością znad przygarbionego, ołowiano-zielonego barku Dobbsa.

– Pyskaty gówniarz.

Dobbs odwrócił się i obdarzył mnie spojrzeniem, które mówiło: „patrz, coś narobił”.

– Ma pan bardzo niepolityczny temperament, panie radny – skwitowałem jego zachowanie.

– Nie martw się, Lance. On wyleci – powiedział Massengil. – Ty wejdiesz na to miejsce. Przyrzekam ci to. Tak się przedstawia sprawa.

– Panie radny, sprawa przedstawia się następująco – rzekłem. – Jeśli ktokolwiek będzie usiłował mi przeszkadzać w prowadzeniu terapii, udam się prosto do prasy. Nie mają zbyt wiele informacji na temat strzelaniny i dobrze pan wie, że z radością przyjmą wszystkie pikantne szczegóły – jak na

przykład, wątek polityczny.

Massengil rzucił się przed siebie.

– Ach, ty...

Dobbs przytrzymał go, ale sam obrzucił mnie groźnym spojrzeniem.

Podszedłem do drzwi.

– Tak pikantne, że aż im ślinka pocieknie, panie radny. Doktorzy, którzy nie są doktorami, program „interwencji w sytuacji kryzysowej”, który wcale się nie zaczął, mimo wzniosłych wypowiedzi doktora Dobbsa w telewizji. Fikcyjne szkolenia, których kosztami obciążane jest pana biuro. W najlepszym wypadku brzmi to jak kiepska polityka finansowa, w najgorszym jak sprzeniewierzenie. Ktoś na pewno zechce dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat – dlaczego powiązanie pomiędzy panem i doktorem Dobbsem jest tak silne, że ryzykuje pan tak wiele. Zacznie się dochodzenie w sprawie etyki. Wie pan, jak to może wyglądać, gdy nabierze rozpędu. Przekonamy się, czy te wygłodniałe psy dziennikarskie uznają to za błahostkę.

Kolor odpłynął z twarzy Massengila. Twarz Dobbsa znieruchomiała. Złapał dewizkę i zaczął ją intensywnie pocierać.

Odwróciłem się do nich plecami i wyszedłem.

Przed gabinetem stała Beth Bramble i paliła długiego, różowego papierosa ze srebrnym ustnikiem.

– Wszystko poszło dobrze? – spytała z uśmiechem. Powstrzymywała śmiech.

– Jak po maśle. – Szczęki bolały mnie od napięcia i zachrypłem.

Przestała się uśmiechać i spojrzała na drzwi gabinetu.

– Niech się pani nie przejmuj. Nic mu nie jest – powiedziałem. – Wciąż może być waszym oczkiem w głowie.

Rozdział ósmy

Niezły pokaz opanowania, ale gdy szedłem do samochodu, byłem wściekły. Znalazłem automat telefoniczny obok kawiarni z jogurtami i zadzwoniłem do Mila. Nie było go, zostawiłem wiadomość, żeby oddzwonił. Wszedłem do środka, kupiłem filiżankę kawy, wypiliśmy ją i poprosiłem o jeszcze jedną, wciąż stojąc przy kontuarze. Tyle się mówi o nadciśnieniu. Serce waliło mi w zawrotnym tempie.

Wyszedłem i ruszyłem do szkoły. Jechałem powoli, próbowałem się uspokoić. Byłem nieco przed jedenastą, wciąż zdenerwowany, jeszcze nie gotowy, żeby spotkać się z dziećmi.

Zaparkowałem, odetchnąłem kilka razy głęboko i wysiadłem z samochodu. Nie było ani szkolnego policjanta, ani człowieka z krzyżem. Gdy szedłem do furki, ulicą wolno nadjechał samochód. Niewielki, srebrnoszary. Honda accord, która prosiła się o mycie, o pokiereszowanej i po drapanej karoserii, z lakierem niewiele bardziej lśniącym niż zaprawki. Ale moją uwagę przyciągnął typowo kalifornijski element: błyszczące, przyciemniane szyby, które wyglądały jak taśma izolacyjna, co sprawiało, że zmatowiały lakier prezentował się jeszcze gorzej. Szyby, które bardziej pasowałyby do eleganckiej limuzyny.

Mały, szary samochód zatrzymał się, żebym mógł przejść przez jezdnię, poczekał chwilę i pojechał dalej jeszcze jedną przecznicę, po czym skręcił w lewo. Wszedłem na dziedziniec szkolny.

Linda była u siebie w biurze, schowana za stertą papierów. Gdy mnie zobaczyła, obróciła się na krześle, uśmiechnęła i wstała. Była ubrana w niebieską, rozpinaną spódnicę i koszulę khaki, brązowe długie buty na niskich obcasach. Widoczny kawałek nogi był gładki i biały. Włosy zaczesane do tyłu i przytrzymane na skroniach sztykretowymi spinkami uwidaczniały małe, płaskie uszy przyozdobione złotymi klipsami.

– Witam. Wcześniej przyjechałeś – powiedziała, odsuwając na bok jakieś papiery.

– Coś pokrzyżowało mi plany.

Udało mi się wyrównać oddech, ale w moim głosie wciąż brzmiała irytacja.

– Co się stało? – spytała.

Opowiedziałem jej o konfrontacji z Massengilem i z Dobbsem, pomijając fragment dotyczący zainteresowań seksualnych Mila.

– Dranie – skomentowała. – Chcą odnieść korzyści nawet z tragedii.

Usiadłem na krześle naprzeciw niej.

– Tyle się dostaje za grzeczność – powiedziała.

– Pół godziny temu nie byłem taki grzeczny. Kiedy Massengil zaczął się na mnie wyżywać, zrobiło się dość gorąco. Mam nadzieję, że nie pogorszyłem twoich spraw.

– Tym się nie martw. – Miała zmęczony głos.

– Bardzo może zaszkodzić?

– Bezpośrednio nie, najwyżej może narobić jeszcze więcej hałasu, co po strzelaninie jest raczej mało prawdopodobne. – Zastanowiła się przez chwilę. – Myślę, że może próbować namącić w budżecie szkoły, kiedy będzie ustalany w przyszłym roku w Sacramento. Ale nie uda mu się skupić tych działań właśnie na Hale’u. Więc się tym nie przejmuj. Rób dalej swoje.

– On jest dziwny. Całkiem nieokrzesany. I ani trochę niewygadany.

– A czego oczekiwałaś? Męża stanu?

– Jakiegoś obycia... ogłady. Zajmuje się tym od dwudziestu ośmiu lat. Oprócz braku ogłady ma jeszcze fatalny temperament. To dziwne, że się utrzymał tak długo.

– Pewnie wie, kogo bić, a komu się przymilać, na tym polega cała ta zabawa, prawda? I przez dwadzieścia osiem lat załatał wiele dziur. Mimo że jest niewyrobiony, tutaj chyba zdaje egzamin – ten jego kowbojski image.

– Tam musi się coś dziać – powiedziałem. – Nie miał żadnej opozycji podczas ostatnich dwóch kampanii wyborczych. Wiem, bo głosuję. Nigdy nie wypełniam tego miejsca w ankiecie wyborczej.

– Ja też głosuję. Wpisuję Alfreda E. Newmana.

Uśmiechnąłem się.

– Czyżbyśmy byli sąsiadami? – spytała.

– Mieszkam w Beverly Glen.

– Gdzie w Beverly Glen?

– Na północ od Sunset, w stronę Mulholland.

– Hmm, tam jest naprawdę ładnie. To zupełnie inna klasa niż ja. Ja mam jedynie małe mieszkanie przy zbiegu Westwood i Pico. – Uśmiechnęła się zwodniczo. – Coś mi się wydaje, że my, lojalni wyborcy, nie mamy szans, żeby ktoś załatał dziury u nas.

– Lepiej nauczmy się sami mieszać asfalt. Albo udobruchajmy doktora Dobbsa.

– Skoro już o nim mówimy. – Wzięła coś ze swojego biurka i wręczyła mi.

Była to kasetka magnetofonowa z białego plastiku pokrytego czarnymi, rozmazanymi literami,

zatytułowana: JAK ZACHOWAĆ JASNOŚĆ UMYSŁU, WIEK 5-10 LAT. Na dole widniał napis: PRAWA AUTORSKIE 1985. DR LANCE DOBBS, SPÓŁKA KOGNITYWNO-DUCHOWA.

– To właśnie rozdawała nasza panna Naciągany Doktor, zanim ją przyłapałeś – wyjaśniła. – Skonfiskowałam je wszystkie, zabrałam jedną do domu i przesłuchałam wczoraj wieczorem. To sprowadza się do prania mózgu. Dosłownie. Dobbs gada, jak to złe myśli sprawiają, że dzieci są smutne i niedobre. Potem każe im wyobrażać sobie, że mamusie wyjmują im umysły, szorują je mocno wodą z mydłem, aż są czyste, złe myśli znikają, a zostają jedynie myśli dobre, czyste i błyszczące. Dla mnie to jest strasznie naciągane. Czy coś takiego może mieć dobry wpływ?

– Wątpię – powiedziałem. – Takich technik używało się do pracy z przewlekle chorymi ludźmi: pozytywne myślenie, kierunkowanie wyobraźni, próby odciążenia ich myśli od fizycznej niemocy. Ale na ogół tacy pacjenci najpierw są pod obserwacją, udziela się im rad, zachęca do ujawnienia swoich odczuć, zanim spróbuje się wyczyścić im myśli. I tego właśnie potrzebują w tej chwili nasze dzieci. Muszą się wyładować.

– Więc twierdzisz, że to mogło wyrządzić im krzywdę... Zablokować je?

– Jeśli potraktowałyby to zbyt poważnie. Mogłoby również spowodować problemy z poczuciem winy, gdyby zaczęły postrzegać swój strach i gniew jako „zły”. Dla dzieci zły oznacza złe zachowanie.

– Cholerne konowały – syknęła, patrząc ze złością na kasetę.

– Czy na kasecie było coś, co mogłoby przyciągnąć uwagę dziecka?

– Ja nic takiego nie słyszałam – powiedziała. – Tylko jakaś nieskomplikowana muzyka w tle i Dobbs, mówiący jednostajnie, jak jakiś namaszczonego guru. Wyprodukowane najniższym kosztem.

– Więc prawdopodobnie ryzyko jest niewielkie – stwierdziłem. – Dzieci nie słuchały jej na tyle długo, żeby nastąpiły jakieś niedobre zmiany.

– Mam taką nadzieję.

– Najniższym kosztem – powtórzyłem. – Jak wyposażenie wnętrz w biurze Massengila. Rozumiem, dlaczego coś takiego jest dla niego atrakcyjne – szybka akcja, bez wdawania się w rzeczy psychologicznie niebezpieczne. I bardzo oszczędnie, jeśli chodzi o finanse – dwieście dzieci poddanych terapii jednocześnie. Dobbs prawdopodobnie stworzyłby jakieś testy komputerowe, które wykazałyby, że dzieci świetnie się mają, po czym obydwaj zorganizowałiby konferencje prasowe i skończyli jako bohaterowie.

Wsadziłem taśmę do kieszeni.

– Wezmę ją do domu i przesłucham.

– Najbardziej dają mi w kość problemy z uzyskaniem funduszy na ochronę zdrowia psychicznego – powiedziała. – Zawsze wymagają przeprowadzenia badań nad przewidywanymi wynikami terapii,

dowodu skuteczności, całych stron danych statystycznych. Właśnie dzięki tym wszystkim bzdurom taka kreatura jak Dobbs pierwsza dostawia się do rządowego koryta.

– To dlatego, że ta kreatura ma swoje wejścia.

– Co?

– Nie jestem pewien, ale gotów byłbym się założyć, że jest terapeutą Massengila.

Opuściła brodę i podniosła brwi.

– Ten stary wyjadacz pod obserwacją? No nie. Dopiero powiedziałaś, że nie zgodziłby się na żadną psychologicznie groźną rzecz.

– Bo to prawda. Dobbs prawdopodobnie ubiera wszystko w niegroźną, nieterapeutyczną terminologię. Ćwiczenia rozluźniające mięśnie, efektywność zarządzania. Albo nawet coś półreligijnego – jedno z seminariów dotyczyło rozwoju duchowego.

– Czyżby staruszek się nawracał?

– Cokolwiek to jest, wiem, że między nimi istnieje jakaś zależność. – Opowiedziałem jej o znakach, jakie dawali sobie Dobbs i Massengil, o sygnałach i ukradkowych spojrzeniach. – Kiedy dałem im do zrozumienia, że publicznie oznajmię o łączących ich układach, Massengil niemal dostał szału.

– O rany – zdziwiła się. – Co za czarująca osobowość. – Przyłożyła palec do ust. – Zastanawiam się, jaką to skazę psychiczną usiłuje wyleczyć.

– Może panowanie nad temperamentem albo łagodzenie jakiegoś stresopochodnego objawu, takiego jak nadmierne napięcie. Wyglądało na to, że Dobbs jest przyzwyczajony do uspokajania Massengila i Massengil go słuchał. Jakby trenowali razem.

– Chyba w drugoligowej drużynie – powiedziała, kręcąc głową. – Sądzę, że nie bardzo by się to podobało mieszkańcom Ocean Heights, prawda?

– Stąd te seminaria dla niepoznaki – wyjaśniłem. – I dodatkowe premie dla Dobbsa za dyskrecję, na przykład w postaci odwołania się do Dobbsa po trzęsieniu ziemi. I kasety. Chcesz się założyć, że to biuro Massengila za nie zapłaciło? Niewiele inwestując, Massengil kupuje sobie możliwość wyjścia z tego wszystkiego bez skazy. Ani on, ani Dobbs nie mogli wiedzieć, że będę tu pierwszy – już po tym, kiedy Dobbs zaczął rozmawiać z prasą. Może wybuchnąć skandal. W najlepszym wypadku Massengil wyszedłby na kompletnego głupca.

Pokręciła głową.

– Zawsze ta sama historia. Zdawałoby się, że można już było do tego przywyknąć. Mam nadzieję, że to wszystko nie zniechęciło cię zbytnio.

Uświadomiłem sobie, że rozmowa na ten temat wysłała ze mnie cały gniew.

– Nie martw się. Widziałem gorsze rzeczy. Jestem tu, żeby pracować. Ile dzieci przyszło?

– Trochę więcej niż wczoraj, ale jeszcze o wiele za mało. Do wielu rodziców nie można było się dodzwonić w czasie godzin pracy. I ja, i Carla spróbujemy dalej jutro rano.

Zauważyłem, że wyglądała na bardzo zmęczoną, i powiedziałem:

– Miło mi widzieć, że się nie zniechęciłaś.

Spojrzała na swoje paznokcie.

– Robię, co mogę.

– Zauważyłem, że nie ma już strażnika przed szkołą.

– To pewnie znaczy, że nic nam nie grozi, hmm?

– Nie czujesz się bezpiecznie?

– Właściwie czuję się bezpiecznie. Naprawdę sędzę, że Massengil doprowadził do punktu kulminacyjnego. Najgorsze mamy za sobą.

Wyraz jej twarzy przeczył słowom.

– Więc o co chodzi? – spytałem.

Otworzyła szufladę, wyciągnęła szarą kopertę i wręczyła mi ją.

Wewnątrz były trzy kartki papieru, jedna w niebieskie linie, postrzępiona od spirali w notesie, pozostałe to tani, biały papier bez żadnych znaków firmowych. Tekst na jednej z białych kartek napisano na starej maszynie do pisania; druga była zapisana ręcznie, bardzo ciemnym ołówkiem, drukowanymi literami. Kartkę w niebieskie linie pokrywały pochyłe bazgroły wykonane czerwonym długopisem.

Ta sama treść napisana różnymi rękoma:

KOCHANKO CZARNUCHÓW!!! PIEPRZYĆ TE SKUNDLONE DZIWKI, CO SIĘ ZADAJĄ Z CZARNUCHAMI!!!

WKRÓTCE NADEJDZIE TWÓJ SĄDNY DZIEŃ. OKAŻ SKRUCHEŃ ALBO SPŁOŃ WRAZ ZE WSZYSTKIM CZARNUCHAMI W PRZEKŁĘTYM MURZYŃSKIM PIEKLE...

NIELEGALNI EMIGRANCY WRACAJCIE NA SWOJE ŚMIECI. KONIEC Z WYKRADANIEM POSAD AMERYKAŃSKIM LUDZIOM PRACY... FRONT WYZWOLENIA BIAŁYCH NARODÓW.

– Kiedyś regularnie dostawałam takie świństwa, ale przestały przychodzić – wyjaśniła.

– Powiedziałaś policji?

Przytaknęła.

– Zadzwoiłam do tego detektywa z oddziału terrorystycznego, Friska. Kazał mi je wszystkie przeczytać przez telefon i obiecał przysłać kogoś, kto by zabrał te listy. Ale chyba mu się nie zanadto spieszyło – z jego głosu przebijała raczej nuda. Nie przejął się, że na wszystkich kartkach jest pełno moich odcisków palców, ani że Carla wyrzuciła koperty. Poprosiłam, aby na jakiś czas postawił jeszcze strażnika. Ten facet nic tam specjalnie nie robił, ale to lepsze niż nic, prawda? Frisk odparł, że strażnik był wyznaczony z ramienia szkolnej rady okręgowej i nie leży to w jego mocy, ale naprawdę nie widzi, czym by się można było przejmować – sprawczyni działała sama. Spytałam o chętnych do naśladowania jej, ale odrzekł, że jest to bardzo mało prawdopodobne.

– Powiedziałaś mu o tym człowieku z krzyżem?

– O starym Eliaszu? Tak go nazywam – postrzelony prorok, który zstąpił z gór. Wspomniałam o nim, ale Frisk powiedział, że nic nie może zrobić, dopóki ten gagatek nie złamie prawa, chyba że pójdę do sądu i załatwię nakaz powstrzymania go. Akurat dziś rano znów tu był. Wrzeszczał nad płotem o piekle i wiecznym potępieniu. Podeszłam do niego i powiedziałam, że tu już odwalił swoją robotę – wszyscy słyszeli jego przesłanie. Potem spytałam, czy mogłabym poczytać z nim Biblię. Strasznie się napalił, znalazł jakiś kawałek z Jeremiasza, o śmierci i zniszczeniu Błogosławionej Świątyni. Powinieneś nas widzieć, jak recytowaliśmy we dwójkę na chodniku. Kiedy skończyliśmy, zaproponowałam mu, że powinien zajrzeć na bulwar Hollywood – że tam jest masa dusz w potrzebie, które czekają na zbawienie. Nazwał mnie waleczną kobietą, pobłogosławił i odmaszerował ze śpiewem.

Gdy przestałem się śmiać, pochwaliłem ją:

– Interwencja w sytuacji kryzysowej. Ma pani do tego dryg, pani doktor.

– Pewnie. Cały czas głaskałam tego durnia, a naprawdę miałam ochotę dać mu kopniaka w tyłek.

– Czy Frisk powiedział, kiedy dzieciom będzie wolno z powrotem wychodzić na podwórko?

– Wolno im od dzisiaj rano. Kiedy mówił, że nie ma powodów do obaw, jeśli chodzi o bezpieczeństwo, poprosiłam go o udostępnienie boiska. Odpowiedział: „Ależ tak, oczywiście, proszę bardzo”. Najwyraźniej o tym zapomniał – dla niego to żadna sprawa, że musieliśmy trzymać w zamknięciu dwie setki dzieci. Nie jest wzorem wrażliwości.

– Czy miał jeszcze coś do powiedzenia na temat strzelaniny? – zapytałam.

– Ani jednego słowa. Pytałam go.

– Mówiłaś mu, że twoja nauczycielka знаła tę dziewczynę snajpera?

Skinęła głową.

– Powiedział, żeby do niego zadzwoniła – takim znudzonym tonem, jakby mi oddawał wielką przysługę. Stara Esme powiadomiła nas, że jest chora, więc zadzwoniłam do niej do domu i przekazałam wiadomość. Kiedy już z nią rozmawiałam, spytałam, co pamięta na temat dziewczyny. Okazało się że niewiele. Holly była samotniczką, niezbyt lotna, raczej izolowała się od klasy, miała problemy z nauką. Ale Esme przekazała mi pewną pikantną ploteczkę – dziewczyna miała czarnego chłopaka. Stara Esme ściszyła głos, gdy to wspominała. Jakby mnie to coś obchodziło. Jakby to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie. Powiedziała też, że ojciec ma opinię lekkiego dziwaka. Pracuje w domu. Jakiś wynalazca – nikt naprawdę nie wie, z czego się utrzymuje. Przejrzałam nasze stare papiery i nie znalazłam nic na jej temat. Widocznie wszystkie aż tak stare dokumenty zostały przeniesione do śródmieścia. Zadzwoniłam tam i powiedziano mi, że trwają poszukiwania jej świadectw; że wszystko, co ma z nią związek, to tajna informacja. Takie jest polecenie policji.

– Miała chłopaka – powiedziałam.

– Sądysz, że to istotne?

– Nie to, że był czarny. Ale jeśli działo się to w miarę niedawno, może mógłby nam powiedzieć coś o stanie umysłu Holly. Czy Esme Ferguson powiedziała na jego temat coś więcej oprócz tego, że był czarny?

– Tylko tyle. Czarny przez duże C. Gdy to skomentowałam, Esme zaczęła udawać strasznie chorą, więc skończyłam rozmowę.

– Mam dziwne wrażenie, że ona nie należy do twoich ulubionych nauczycielek.

– Jestem pewna, że to wzajemne uczucie. To taka ramolica, która odrabia lata pozostałe jej do emerytury. Nie liczyłabym na to, że wniesie coś nowego w sprawie Holly Burden ani w jakiegokolwiek innej sprawie.

– Skoro już mówimy o wnoszeniu czegoś nowego, czy dzwonił już Ahlward albo ktoś inny z biura Latcha? – spytałam.

– W jakiej sprawie?

– W sprawie przepływu informacji – odparłam napsuszonym głosem. – My, dobrzy ludzie, mieliśmy otrzymać wszelkie potrzebne nam informacje, kiedy tylko policja na to pozwoli, czyż nie tak?

– Obietnice, obietnice.

– To w tej chwili i tak nie ma znaczenia. Nawet lepiej, że się nie wtrącał. Dzieciom do tego wszystkiego wcale nie trzeba jeszcze polityki.

– Dorosłym też nie – dodała.

W korytarzu zabrzmiał dzwonek na południową przerwę. Tak donośny, że aż zawibrowały ściany

gabinetu. Wstałem.

– Czas ukoić te młode umysły.

Odprowadziła mnie do drzwi.

– Jeśli chodzi o skontaktowanie się z rodzicami, wydaje mi się, że do piątku zostało zbyt mało czasu. Może przesunemy to na poniedziałek?

– Może być poniedziałek – zgodziłem się.

– W porządku. Będziemy nadal do nich dzwonić. Chcę, żebyś wiedział, że naprawdę jestem wdzięczna za wszystko, co robisz.

Wyglądała na zrezygnowaną.

Miałem ochotę otoczyć ją ramieniem, przytulić. Zamiast tego uśmiechnąłem się i powiedziałem:

– No, dalej. *Non illegitimi carborundum.*

– No proszę, na dodatek jest uczony w łacinie. Przykro mi, panie profesorze, ja miałam hiszpański.

– Przytoczyłem napis ze starożytnego rzymskiego nagrobka. Nie daj się złamać bękartom – dodałem.

Odchyliła głowę i zaśmiała się. Jej śmiech dźwięczał mi w uszach, gdy wchodziłem do klasy.

Rozdział dziewiąty

Dzieci przywitały mnie z zapałem, rozmawiały ze mną swobodnie. Młodszym kazałem zbudować z klocków makiety szopy i bawić się figurkami przedstawiającymi Holly Burden, Ahlwarda, nauczycieli oraz ich samych. Udawały strzelaninę wciąż od nową aż wreszcie znudziło im się to i podniecenie wyraźnie spadło. Starsi uczniowie chcieli wiedzieć, co spowodowało, że Holly Burden stała się zła, dlaczego ich nienawdziła. Zapewniłem ich, że nie oni byli jej celem, że miała zaburzenia umysłowe, że nie umiała się kontrolować. Żałowałem, że nie mam za bardzo czym podeprzeć swoich słów.

– A od czego oszalała? – spytał uczeń szóstej klasy.

– Nikt nie wie.

– Myślałem, że na tym polega pana praca. Na dowiadywaniu się, dlaczego ludzie tracą zmysły.

– Nie zawsze można się dowiedzieć – odparłem. – Wciąż jeszcze jest wiele rzeczy, których nie wiemy o chorobach psychicznych.

– Ja mam ciocię, która jest chora psychicznie – powiedziała jakaś dziewczynka.

– Zaraziła się od ciebie – rzucił chłopiec siedzący obok niej.

Nimi mogłem się już nie przejmować...

* * *

Wyszedłem z ostatniej klasy wyczerpany, ale z poczuciem osiągniętego sukcesu. Chciałem się nim podzielić z Lindą i poprawić jej nastrój. Jednak gabinet był zamknięty, więc opuściłem szkołę.

Gdy wsiadałem do swojego cadillaca, zauważyłem, że zza rogu wyjechał jakiś samochód i zbliża się powoli. Srebrnoszara honda. Brudna. Czarne szyby.

Podjechała do mnie, zatrzymała się obok.

Zamknąłem swój samochód centralnym zamkiem. Honda powstała chwilę z pracującym silnikiem i nagle odjechała.

Szybko odwróciłem głowę i odczytałem cztery cyfry i trzy litery tablicy rejestracyjnej. Wyjąłem z teczki długopis i kartkę i zapisałem je. Siedziałem, starając się domyślić, o co tu chodzi.

Czy ktoś jest taki nieśmiały?

Czy to może miejscowy ciekawski, sprawdzający, co to za obcy się tu kręci?

Pomyślałem o tych rasistowskich świństwach, które Linda mi pokazała, i zastanawiałem się, czy to może mieć jakiś związek?

Popatrzyłem na boisko szkolne, szarzące w jesiennym zmierzchu. Na dziedzińcu pozostała garstka uczniów, czekali, aż ktoś ich odbierze, i bawili się pod czujnym okiem pomocy nauczycielskiej. Autobusy szkolne już odjechały. Przewoziły dzieci z dzielnicy podmiejskiej na groźne ulice – tylko które ulice były naprawdę groźniejsze?

Patrzyłem, jak dzieci cieszą się swoim niedawno odzyskanym boiskiem. Jak się bawią. W chowanego, w piłkę nożną, w gumę. Zupełnie pochłonięte zabawą. Tak bardzo ufne.

Zanim ruszyłem, spojrzałem w obie strony ulicy. Jechałem do domu szybciej niż zwykle i ciągle zerkałem w lusterko wsteczne.

* * *

Po wejściu do domu od razu podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer wydziału do spraw kradzieży i zabójstw zachodniego Los Angeles.

Tym razem komendant był na miejscu.

– Hej, Alex. Odebrałem twoją wiadomość, próbowałem się do ciebie dodzwonić. Mamy tu teraz urwanie głowy...

– Dzieją się dziwne rzeczy, Milo. Musimy porozmawiać.

– Dobra, później – powiedział głosem, z którego wynikało, że nie jest sam. – Załatwię tylko kilka rzeczy i skontaktuję się z tobą w tej sprawie.

* * *

Zadzwoił do drzwi tuż przed siódmą i skierował się prosto do kuchni. Nie ruszyłem się ze skórzanej kanapy, gdzie siedziałem, oglądając skrót wiadomości.

Nic nowego w sprawie strzelaniny: jedynie zbliżenia uczniowskiego zdjęcia Holly Burden, oświadczenie przedstawiciela kuratorium, że „wytężone i dokładne przejrzenie kilku roczników dokumentów szkolnych” potwierdziło, iż uczęszczała do szkoły podstawowej Nathana Hale’a, ale nie rzuciło nowego światła na sprawę. Następnie bardziej psychiatryczne domysły, włącznie z teorią, że wróciła do Hale’a, żeby zemścić się za jakieś wyimaginowane zlekceważenie jej. Kiedy poproszono psychiatrę o więcej szczegółów, zawahał się, mówiąc, że są to czysto teoretyczne przypuszczenia – że oparł je na „klasycznym rozsądku psychodynamicznym”. Znowu pojawił się Dobbs, w ujęciu, które

wyglądało tak, jakby zostało nagrane wcześniej. Gładził dewizkę od zegarka i wciąż rozprawiał o swoim programie terapeutycznym w Hale'u, gromiąc „społeczeństwo”. Zastanawiałem się, jak długo miał zamiar ciągnąć tę szaradę.

Milo wrócił z gruszką w ustach; jedną z dwunastu, które co roku przysyła mi wdzięczny pacjent mieszkający obecnie w Oregonie.

Ugryzł ją głośno.

– Miło widzieć, że znów kupujesz dobrą, zdrową żywność.

– Często się do woli – powiedziałem. – Składniki odżywcze dla chłopca, który staje się coraz większy.

Poklepał się po brzuchu i usiadł nachmurzony.

Kamera odsunęła się od gumowej twarzy Dobbsa. Psycholog głaskał się po brodzie, przyjąwszy smutny, świętoszkowaty wyraz twarzy – trochę jak żałobnik, trochę jak paser.

Milo prychnął i zanucił bożonarodzeniowe *Jingle bells*.

– Tak, podobieństwo jest uderzające, ale z tego faceta żaden święty – powiedziałem.

– Lepiej uważaj. On wie, czy byłeś grzeczny, czy nie.

Wywody Dobbsa na temat uduchowienia zamieniły się w reklamę.

Milo wyciągnął nogi i powiedział:

– Dobra, obiecałeś, że masz coś dziwnego. Czas się tym podzielić.

Zacząłem od spotkania z Massengilem i Dobbsem.

– Nie wydaje mi się, żeby w tym, co powiedziałeś, można było cokolwiek określić jako dziwne, Alex – rzekł. – Stara, dobra polityka, jak zwykle. Ten dupek uważa, że szkoła Hale'a jest jego terenem, i chce, żeby to jego człowiek zajmował się wszystkim, co tam się dzieje. Musisz myśleć ich kategoriami – władza to narkotyk. Naruszasz niepisane prawo. Oczywiście się obrazi.

– Więc co powiniennem z tym począć?

– Zupełnie nic. Co on ci może zrobić?

– Niewiele – odparłem – ale może zaszkodzić tobie. Mówił, że twój awans wywołał sprzeciwy.

– Aż się trzęsę – powiedział Milo i zatrzęsł ręką. – Ale pod jednym względem ma rację. Funkcjonariusze nie są zbyt szczęśliwi z powodu mojego awansu na szczebel administracyjny. Tolerowanie pedała to jedna sprawa; przyjmowanie od niego rozkazów to już zupełnie co innego.

Jakby tego było mało, innym detektywom zaczyna się nie podobać moje „podejście do pracy”. Większość z nich to przede wszystkim gryzpiórki, które odhaczają listę obecności. Moja chęć do pracy na ulicach sprawia, że wyglądają jak senne lenie, którymi naprawdę są. Jedynym facetem, który również jest aktywny, jest naczelny detektyw do spraw zabójstw w West Valley. Ale on jest nawiedzony, nie lubi zboczeńców, więc nie ma mowy o potencjalnym poparciu. Cóż, nie ma sensu chyba jęczeć i rozpaczać. Pozbycie się mnie sprawiłoby więcej kłopotu, niż to warte – nasz wydział jest jak dinozaur z małym mózdzkiem. Niewzruszony i łatwo go obejść, jeśli się stąpa ostrożnie. Więc o mnie się nie martw, wykonuj swoją pracę i zapomnij o tym.

– Dokładnie to samo powiedziała Linda.

Uśmiechnął się szeroko.

– Linda? Walimy sobie po imieniu, ho-ho.

– Daj sobie luzu.

– Linda. Puszyste blond włoski, południowy akcent. Ale swawolna – to daje jej dużo uroku. Wcale niezły wybór, stary. Czas, żebyś zaczął wracać do ogólnie przyjętych wzorców społecznych.

– To nie jest żaden wybór.

– Mhmm. Linda to po hiszpańsku „ładna”, prawda? – Zaczaj przedrzeźniać: – *Linda. Muy linda.*

– Jak się miewa Rick?

– Nieźle. Nie zmieniaj tematu.

– Właśnie mam to zamiar zrobić. – Opowiedziałem mu o srebrnej hondzie. Nie wywarło to na nim szczególnego wrażenia.

– Co jeszcze się działo poza tym, że zatrzymała się na kilka chwil?

– Nic. Ale dziwne jest zgranie w czasie. Była tam, kiedy przyjechałem i przejeżdżała, gdy wychodziłem.

– Może komuś się spodobałeś, Alex. A może to ktoś z mieszkańców osiedla, kto pilnuje, czy nie kręcą się tam jacyś paranoicy, sprawdza, czy w dzielnicy nie pojawili się jacyś obcy. Może on myśli, że to ty zachowujesz się dziwnie.

– Może.

– Jeśli to cię uspokoi – powiedział – podaj mi ten numer rejestracyjny.

Podałem i zapisał go.

– Zawsze do usług – dodał. – Czy jeszcze coś mogę dla ciebie zrobić?

– Massengil wydawał się pewien, że to on stanął cel. Czy słyszałeś coś, co by potwierdzało tę tezę?

– Nie. Oczywiście Frisk nie dał mi do wglądu swojej kartoteki. Może ten stary tuman coś wie, ale bardziej prawdopodobne jest, że ma nadmierne poczucie własnej wartości. Wydaje mu się, że jest wart, żeby do niego strzelano. A może ma manię prześladowczą na tym punkcie i święty Mikołaj właśnie z tego próbuje go wyleczyć.

Przez chwilę jadł gruszkę, po czym oświadczył:

– Przydałoby się do tego nieco mleka – i poszedł je sobie przynieść. Wrócił, pijąc z kartonu.

– Jeszcze o czymś powinienes wiedzieć – dodałem i zrelacjonowałem mu, co było w tych paskudnych listach do Lindy.

– Tak jest zawsze – stwierdził. – Żal mi jej, że musi przez to przechodzić.

– Mówiła, że Frisk nie potraktował ich zbyt poważnie.

– Prawdę mówiąc, Alex, niewiele można zrobić w przypadku takich głupot. Gdyby się okazało, że panna Burden miała powiązania z jakimś ugrupowaniem rasistowskim, to co innego.

– Czy Frisk powiedziałby ci, gdyby tak było?

– Najpierw by założył swój garnitur firmy Giorgio, uśmiechnąłby się do kamery i oznajmił to mieszkańcom naszej aglomeracji. Ale jest szansa, że jeśli zaangażowała się politycznie, on już o tym wie. W WAT wszystko jest skomputeryzowane. Zajęliby się jej współdziałaczami i dowiedziałbym się o tym przez stary, plotkarski system przekazywania informacji między biurami.

– Czy możesz mi o niej powiedzieć coś nowego, Milo? Dzieciaki się dopytują.

– Dowiedziałem się kilku rzeczy ze swojego źródła w biurze koronera, ale wątpię, żeby to była informacja, która może ci w jakiś sposób pomóc. Była ubrana na czarno – dzinsy, sweter, buty, wszystko, aż do bielizny.

– Jak komandos.

– Albo stuknięty ninja. Albo też jej zainteresowanie modą sprowadzało się do czerni i łańcuszka pocisków. A może po prostu nie chciała, żeby ją ktoś zobaczył w ciemności – kto to, do licha, wie? Co jeszcze – aha, była czysta, to znaczy nie ćpała i nie piła, dziewica i zanim podziurawiono ją pociskami, jej zdrowie dałoby się określić jako doskonałe. Z zawartości żołądka wynika, że jadła około osiemnastej poprzedniego dnia. W szopie stał papierowy kubek z moczem. Skład chemiczny siuszków sugeruje, że siedziała tam już w nocy, popijała wodę i czekała. Czy coś z tego chcesz przekazać dzieciom?

Potrząsnąłem głową.

– Sam też się czegoś dowiedziałem. Miała czarnego chłopaka.

Odstawił karton z mlekiem.

– Poważnie? Gdzie o tym usłyszałeś?

– Jedna z nauczycielek z Hale’a mieszka w sąsiedztwie. Uczyła ją przed laty. Powiedziała o tym chłopaku Lindzie, a Linda mnie. Linda mówiła też Friskowi, ale zainteresowało go to akurat tyle, co te pełne nienawiści przesyłki.

Przesunął dłonią po twarzy.

– Chłopak, co? Aktualny czy były?

– Sam jestem ciekaw. Jeśli chodzili ze sobą niedawno, może coś wiedzieć, prawda? Ale nauczycielka nic więcej nie powiedziała.

– W każdym razie nie był zbyt aktywny – skomentował. – Była dziewczicą. Wiesz, jak się nazywa?

– Nie.

– Cóż – powiedział – związki międzyrasowe nie są przestępstwem. Oficjalnie.

Wróciłem myślami do rasistowskich listów. Dziwki, co się zadają z czarnuchami. W Ocean Heights nawet nieobowiązujące spotkanie się z osobą innej rasy byłoby poczytane za przestępstwo. Mogło ją za to spotkać upokorzenie społeczne – przykre komentarze, wykluczenie z towarzystwa czy jeszcze gorsze rzeczy. To sugeruje, że na pewno nie była rasistką. Wydawałoby się mało prawdopodobne, że może przyjść jej do głowy strzelanie do dzieci.

– Chyba że ona i jej chłopak zerwali ze sobą w jakichś nieprzyjemnych okolicznościach i zaczęła nienawidzić wszystkich mniejszości.

– Może – powiedziałem. – Albo konfrontacja twarzą w twarz z miejscowym rasizmem radykalizowała ją i zwróciła przeciwko komuś, kogo uważała za rasistę. Za rasistę piastującego funkcję rządową.

– Massengil?

– Może nawet przed strzelaniną doszło między nią i Massengilem do jakiejś wymiany zdań. Nigdy by się do tego nie przyznał. Powinieneś widzieć, jak zareagował, gdy go oskarżyłem o ściągnięcie do szkoły mordercy, Milo. Zdecydowanie wyprowadziło go to z równowagi. Przy jego temperamencie nawet drobne starcie z nią mogło być bardzo nieprzyjemne. Połącz to z tym, co wiemy o jej problemach psychologicznych... A właśnie, skąd Frisk się o tym dowiedział?

Potrząsnął z obrzydzeniem głową. Postanowiłem przestać wzniecać w nim co chwila poczucie niemocy.

– W każdym razie połącz te elementy i wyjdzie ci coś potencjalnie niebezpiecznego – zasugerowałem. – To by tłumaczyło, dlaczego Massengil był taki pewien, że to do niego strzelano.

– Myślę, że to możliwe, ale musiałbyś mieć wiele szczęścia, żeby tego dowieść.

– Nie sądzisz, że warto by pogadać z tym jej chłopakiem? – spytałem. – Przesłuchać jej znajomych?

– Jasne. Ale możliwe, że Frisk już to zrobił.

– Nie wspomniał o tym Lindzie.

– Oczywiście, że nie. Ten facet chętnie wyrzekłby się orgazmów, gdyby to mu mogło dać przewagę w śledztwie.

– Wygrywa ten, kto zna najwięcej sekretów?

– Właśnie.

– Fatalnie musi się z nim pracować.

– Pewnie. Jak z zarodowym bykiem, który cierpi na prostatę. Jak się nazywa ta nauczycielka?

– Esmé Ferguson. Uczy czwartą klasę. Zadzwoiła dziś do szkoły, że jest chora. Linda może ci dać jej numer domowy.

Zapisał jej nazwisko.

– Miała jeszcze coś do powiedzenia o nieżyjącej panie Burden?

– Była kiepską uczennicą, izolowała się od reszty klasy, niezbyt towarzyska. Pokrywa się z tym, co sąsiedzi powiedzieli dziennikarzom, że całymi dniami przesiadywała w domu.

– Jak poznała czarnego chłopaka – spytał – skoro cały czas siedziała w domu? W tej dzielnicy?

– Dobre pytanie.

Zamknął notes i schował go do kieszeni.

– Dobre pytanie, przyjacielu, to tylko takie, na które można odpowiedzieć.

– Jakież to głębokie.

– Żebyś wiedział. Powiedział to ktoś mądry – Heidegger czy Krishnamurti. A może Harpo Mara. He, He.

Dwoma żarłocznymi kęsami skończył gruszkę i opróżnił karton z mleka.

– Bardziej pasuje do Zeppo Marxa – stwierdziłem. – Masz ochotę na deser?

Rozdział dziesiąty

Gdy wyszedł, przesłuchałem białą kasetę. Nie było na niej nic, co mogłoby przyciągnąć uwagę ucznia podstawówki: muzyka z syntezatora imitująca harfę, która brzmiała, jakby była nagrana pod wodą, i Dobbs mówiący słodkim jak syrop, protekcyjnym tonem, jakim przemawiają do dzieci osoby, które ich nie lubią.

Istotą przesłania było: schowaj głowę w piasek – oczyść umysł, wymaż rzeczywistość, żeby cię nie nękała. Psychologia pop w całej swojej powierzchownej chwale. Freud przekreśliłby się w grobie. B. F. Skinner nie nagroziłby tego ciasteczkiem.

Wyłączyłem magnetofon, wyjąłem kasetę i wrzuciłem ją zamasyście do kosza na śmieci, zastanawiając się, ile Dobbs zapłacił za każdą taśmę. Ile kopii rozprowadził w całym stanie na konto Massengila.

Zadzwonił telefon. Odebrałem w kuchni.

– Cześć, Alex, to ja.

Głos, który niegdyś mnie koił, a później ranił. Nie słyszałem go od miesiący.

– Cześć, Robin.

– Pracuję dziś do późna – powiedziała. – Czekam, żeby wysechł lakier. Chciałam się dowiedzieć, co u ciebie słychać.

– Wszystko dobrze. A u ciebie?

– U mnie też dobrze – odparła.

– Markujesz po nocy?

– The Irish Spinners przyjechali do miasta na koncert w McCabes. Linie lotnicze uszkodziły kilka ich instrumentów i właśnie je naprawiam.

– Aha – powiedziałem, przypominając sobie swoją starą gitarę, która rozpadała się na kawałki. – Nagły zabieg chirurgiczny.

– Czuję się jak chirurg. Ci biedni faceci byli zrozpaczeni i cały czas siedzieli w pracowni i patrzyli mi na ręce. W końcu ich wygoniłam. Teraz stoją na zewnątrz, na parkingu, chodzą tam i z powrotem i wykręcają sobie nerwowo palce, jak krewni czekający na efekt operacji.

– No i jak pacjent się miewa?

– Trochę gorącego kleju, fachowe połączenie na zakładkę i wszystko powinno być dobrze. A ty co robisz?

– Też naprawiam. – Opowiedziałem jej o strzelaninie, o swoich sesjach z dziećmi.

– Ach tak. A te biedne dzieciaki, jak się mają?

– Zaskakująco dobrze.

– To wcale nie jest zaskakujące. Trafiły w najlepsze ręce. Ale czy jakiś inny psycholog nie mówił o tym w telewizji?

– Ogranicza się do mówienia. I tak jest najlepiej.

– Na mnie też nie wywarł wrażenia. Zbyt łatwo się wysławiał. Dobrze, że ty się trafiłeś tym dzieciom.

– Właściwie – powiedziałem – głównym powodem, z jakiego dobrze sobie z tym radzą, jest fakt, że wychowały się w otoczeniu, gdzie gwałt i nienawiść są czymś powszechnym.

– To smutne... Świetnie, że się zaangażowałeś w pracę z nimi i że wykorzystujesz swoje zdolności.

Zamilkła nagle.

– Alex, wciąż wiele o tobie myślę.

– Ja też. – Najmniej jak to możliwe, dodałem w myśli.

– Ja... Zastanawiałam się... czy sądzisz, że doszliśmy do takiego punktu, że moglibyśmy się czasami spotkać, porozmawiać? Jak przyjaciele?

– Nie wiem.

– Wiem, że nacieram na ciebie zniechęca. Po prostu rozmyślałam, że przyjaźń to taka rzadka rzecz... pomiędzy kobietą i mężczyzną. Część naszego układu to była przyjaźń. Najwspanialsza przyjaźń. Czy musimy z tego zrezygnować? Dlaczego nie możemy ocalić tej części?

– To ma sens, logicznie rzecz biorąc.

– Ale nie emocjonalnie?

– Nie wiem.

Znowu zapadła cisza.

– Alex, nie będę cię zatrzymywać. Tylko dbaj o siebie, dobrze?

– Ty też – powiedziałem. – Pogadamy jeszcze kiedyś.

– Mówisz serio?

– Oczywiście. – Wcale nie byłem tego pewien.

Życzyła powodzenia dzieciom w Hale'u i odłożyła słuchawkę. Nie poszedłem do łóżka, tylko oglądałem kiepskie filmy, aż nieco po północy zmorzył mnie sen.

* * *

W nocy zaczęły wiać wichry z Santa Ana. Obudziłem się i leżąc na kanapie, słuchałem, jak gwizdzą w dolinie, wysysając wilgoć z nocnego powietrza. Czułem piasek w oczach, a ubranie przykleiło mi się do ciała. Nie zadałem sobie trudu, żeby je zdjąć, poszedłem do sypialni, wpełzłem pod kołdrę i zasnąłem.

Wschód słońca przyniósł wspaniały czwartkowy poranek, niebo odświeżone i doskonale błękitne jak na porcelanie z Delft. Drzewa i krzewy polakierowane intensywną, bożonarodzeniową zielenią. Ale ten widok miał w sobie skazę – był doprowadzony do zimnej perfekcji, jak komputerowo zaprogramowana reprodukcja obrazu jakiegoś starego mistrza. Czułem się niemrawo, byłem nie całkiem rozbudzony.

Zawlokłem się pod prysznic. Gdy się wycierałem, zadzwonił Milo.

– Sprawdziłem rejestrację hondy. Samochód jest z osiemdziesiątego trzeciego roku, zarejestrowany na firmę technologiczną Nowe Granice. Mają skrytkę pocztową w Westwood. Coś ci to mówi?

– Nowe Granice – powiedziałem. – Nie. Brzmi jak jakiś zakład zajmujący się technologiami specjalistycznymi – co też by miało sens, jeśli kierowcą był ktoś z mieszkańców osiedla.

– Nieważne. Poza tym pewnie zainteresuje cię, że na sobotę mam umówione spotkanie z panią Esme Ferguson. U niej, o drugiej. Herbatka z odstającym paluszkami i okazanie współczucia.

– Myślałem, że Frisk prowadzi wszystkie przesłuchania.

– Ma pierwszeństwo, ale nie zadzwonił do niej. Szykuje się do zamknięcia sprawy. Widocznie w kartotekach nie znaleziono pod nazwiskiem Burden nic, co wiązałoby się z polityką – nie ma przeszłości kryminalnej, nigdy nawet nie dostała mandatu. Nie wykonywała dziwnych telefonów, które można by prześledzić, nie pracowała dla Massengila ani dla Latcha. Uważają to więc za przypadek psychiczny i są gotowi tak to sklasyfikować. Czy nie jest miło, kiedy wszystko tak gładko idzie?

* * *

Przed dziesiątą znów byłem w Hale'u. Na podwórko wyszło na przerwę kilkadziesiąt dzieci; biegały, wspinały się, chowały, szukały. Asfalt błyszczał jak granit pod rozpalonym słońcem.

Przed dwunastą skończyłem sesje grupowe, przeznaczając resztę dnia na indywidualne oceny dzieci, które określiłem jako osoby wysokiego ryzyka. Po kolejnych dwóch godzinach badań doszedłem do wniosku, że pięciorgu z nich nic nie będzie; pozostałym przydałaby się terapia indywidualna.

Spędziłem jeszcze godzinę, prowadząc terapię zabawową, doradztwo wspierające i ćwiczenia rozluźniające, po czym zjawiłem się w gabinecie Lindy. Carla przeglądała stos papierów. W niebieskiej opasce do punkowej fryzury wyglądała jak dwunastoletnia dziewczynka.

– Doktor Overstreet jest w śródmieściu – powiedziała. – Na zebraniu.

– Biedna doktor Overstreet.

Uśmiechała się jakoś mniej bez troski niż zazwyczaj.

– Był ktoś od doktora Dobbsa? – spytałem.

– Nie, ale przyszedł ktoś inny. – Przyłożyła dłoń do twarzy i wykonała gest, jakby kneblowała sobie usta.

– Kto?

Powiedziała mi w tajemnicy.

– Gdzie?

– Pewnie w jednej z klas, może pan się domyślić tak samo jak ja.

* * *

Nie musiałem się domyślać. Gdy szedłem korytarzem, usłyszałem muzykę. Nieudaczne, powtarzające się bluesowe frazy na harmonijce ustnej.

Otworzyłem drzwi klasy i zobaczyłem dwanaścioro piątoklasistów, którzy siedzieli ciszej niż kiedykolwiek przedtem.

Gordon Latch, bez marynarki, z poluzowanym krawatem, podwiniętymi rękawami, siedział na biurku w pozie kwiat lotosu. W jednej ręce trzymał niklowane organki, drugą gładził swoją szarobrązową czuprynę. Za nim, ubrany w grafitowy, obszerny garnitur, zwrócony tyłem do tablicy, z rękoma skrzyżowanymi na piersi stał z beznamiętnym wyrazem twarzy Bud Ahlward.

On pierwszy mnie zauważył. Następnie odwrócił się Latch, uśmiechnął się i powiedział:

– Doktor Delaware! Niech pan wejdzie i przyłączy się do zabawy.

Nauczycielka siedziała z tyłu sali, udając, że sprawdza jakieś klasówki. Jedna z młodszych, tuż po szkole, cicha, niezbyt stanowcza. Spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami. W sali zrobiło się cicho. Dzieci wpatrywały się we mnie.

– Hej, ludziska – zakrzyknął Latch, przyłożył harmonijkę do ust i zagrał kilka taktów *Oh, Susana*.

Ahlward wystukiwał rytm jedną, wysuniętą lekko na bok stopą i koncentrował się, jakby to wymagało ogromnego wysiłku. Latch zamknął oczy i dmuchnął mocniej. Zamilkł, po czym obdarzył dzieci szerokim uśmiechem. Kilkoro z nich zaczęło się wiercić.

Podszedłem do biurka.

Latch opuścił harmonijkę i powiedział:

– Pomyśleliśmy z Budem, że byłoby dobrze was odwiedzić. Żeby te ludziska mogły zadać parę pytań. – Lekko mrugnął, przyciszył głos. – Na temat naszej poprzedniej rozmowy.

– Rozumiem.

– Zabrałem też ze sobą M.D. – Uniósł harmonijkę. Odwrócił się do dzieciaków i machnął harmonijką. – Co oznacza M.D., ludziska?

Dzieci w ławkach zaszemrały.

– Właśnie – ucieszył się Latch. – Mały Dylan. – Wydał dwa dźwięki, łapiąc pomiędzy nimi oddech. – Stary M.D. Mam go od czasów Berkeley. To taki uniwersytet na północy, niedaleko San Francisco, ludziska. Czy ktoś z was wie, gdzie leży San Francisco?

Nikt się nie odezwał.

– Dawno temu mieli tam gigantyczne trzęsienie ziemi. I wielki pożar. Mają tam wspaniałą, ogromną Chińską Dzielnicę i most Złote Wrota. Czy ktoś z was słyszał o moście Złote Wrota?

Żadnych ochotników.

– W każdym razie ten M.D. to mój mały, zaufany, muzyczny przyjaciel. Nieraz pomógł mi przetrwać ciężkie dni, kiedy miałem dużo pracy domowej. Wiecie, jak to jest z tą pracą domową, prawda?

Kilkoro dzieci przytaknęło.

Ahlward podniósł jedną nogę i obejrzał podeszwę buta.

– Więc – ciągnął Latch. – Czy jest coś, co chcielibyście usłyszeć, ludziska?

Cisza.

Ahlward rozplótł ręce i pozwolił im zawisnąć bezwładnie.

– Zupełnie nic? – zdziwił się Latch.

Chłopiec z tyłu odezwał się:

– Bon Jovi. *Living on a Prayer*.

Latch mlasnął kilka razy, spróbował zagrać kilka dźwięków na harmonijce i odsunął ją od ust, kręcąc głową.

– Przykro mi, *amino*, tego nie mam w repertuarze.

– Panie radny, czy mógłbym z panem przez chwilę porozmawiać? – spytałem. – Na osobności.

– Na osobności, hmm? – Mrugnął do dzieci i zniżył głos do teatralnego szeptu: – Brzmi dość tajemniczo, co?

Kilkoro dzieci odpowiedziało niewyraźnym uśmiechem. Większość pozostała niewzruszona. Ahlward przy tablicy znów skrzyżował ręce i wodził wzrokiem od okna do punktu na tylnej ścianie nad głowami dzieci. Znudzony i czujny jednocześnie.

Chrząknąłem.

Latch spojrział na zegarek i wsunął harmonijkę do kieszeni koszuli.

– Jasne, doktorze Delaware. Porozmawiajmy. – Puścił oko. – Poczekajcie, ludziska.

Zszedł z biurka, zarzucił sobie marynarkę na plecy i ruszył w moją stronę. Otworzyłem mu drzwi i wyszliśmy na korytarz. Ahlward bez słowa powędrował za nami, ale zatrzymał się na progu. Latch skinął lekko głową w jego stronę, rudzielec zamknął drzwi, ponownie skrzyżował ręce, przyjmując pozę agenta wywiadu, i obserwował korytarz jak czujny pies.

Latch oparł się plecami o ścianę i zgiął jedną nogę. Harmonijka wypychała mu kieszeń. Szkła jego okularów z ubezpieczalni były krystalicznie czyste, oczy zaś rozbiegane.

– Fajne dzieciaki – powiedział.

– Zgadza się.

– Wydaje się, że zniosły te wydarzenia całkiem nieźle.

– To również się zgadza.

– Chociaż wydaje mi się też – dodał – że mają zbyt mało bodźca do nauki. Żeby nie wiedzieć,

gdzie jest San Francisco, most Złote Wrota. Ten system w ich przypadku się nie sprawdza. Musi się jeszcze bardzo zmienić, żeby był dla nich odpowiedni.

Nie odezwałem się.

– No więc, co to za sprawa, Alex? – spytał.

– Z największym szacunkiem dla pana intencji, panie radny – rzekłem – następnym razem, gdy będzie chciał nas pan odwiedzić, dobrze by było, gdyby mnie pan powiadomił.

Wydawał się zaskoczony.

– Dlaczego to dla pana takie ważne?

– Nie dla mnie. Dla nich. Żeby wiedziały, co je czeka.

– Niby dlaczego?

– Potrzeba im konsekwencji. Muszą poczuć, że mają możliwość kontroli nad swoim środowiskiem. Nie mogą być już więcej zaskakiwane.

Jedną ręką uniósł okulary, a drugą pocierał nasadę nosa. Zauważyłem, że skóra pod piegami jest zarumieniona, z odcieniem brązu. Opałał się od czasu strzelaniny.

Gdy okulary znalazły się z powrotem na miejscu, powiedział:

– Może się nie zrozumieliśmy, Alex, ale wydawało mi się, że o to właśnie panu chodziło. Czy nie powiedział pan, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz, że potrzebna jest dokładna informacja – prosto ze źródła, bez zbędnych formalności? Gliniarze dali nam wolną rękę, jeśli chodzi o przepływ informacji, więc pomyślałem, czemu nie?

– Miałem na myśli coś w bardziej zorganizowanej formie – powiedziałem.

– Trzeba trzymać się odpowiednich procedur?

– To nie zawsze bywa najgorsze.

– Nie, oczywiście, że nie. Tylko właściwie nie zaplanowałem tej wizyty, Alex. Może pan wierzyć albo nie, ale my, urzędnicy państwowi, też od czasu do czasu działamy spontanicznie.

Uśmiechnął się szeroko. Odczekał, aż odpowiem uśmiechem, i powiedział:

– Stało się po prostu tak, że byłem z Budem niechcący w tej okolicy. Jechaliśmy bulwarem Sunset po drodze z zebrania w Palisades – skontrolowaliśmy urbanistów. Wystarczy tym facetom popuścić wodze i w ciągu miesiąca zamienią całe wybrzeże w deptak handlowy. To były piekielne dwie godziny, ale wyszliśmy stamtąd w lepszym nastroju, niż weszliśmy, i byłem zadowolony z własnej pracy – a nie zawsze tak jest. Więc gdy Bud wspomniał, że jedziemy przez Ocean Heights,

pomyślałem sobie, czemu nie? Chciałem przyjechać tutaj, kiedy tylko policja dała nam wolną rękę, ale byłem zbyt obłożony zaległymi sprawami – dochodzenie wyłączyło mnie z pracy na kilka dni. Naprawdę uzbierało się wiele rzeczy. Miałem jednak wyrzuty sumienia, że nie dotrzymuję słowa. Więc kazałem mu skrócić, żeby wykorzystać wolny czas z pożytkiem.

– Rozumiem, panie radny...

– Gordon.

– Jestem wdzięczny za wszystko, co chciałeś zrobić, Gordon, ale dla dobra dzieci trzeba koordynować różne działania.

– Koordynować, hmm? – Jego niebieskie oczy przestały biegać i wzrok mu stwardniał. – Jakos nagle poczułem się, jakbym znowu chodził do szkoły i wezwano mnie do gabinetu dyrektora.

– Nie to było moim zamiarem...

– Koordynować – powtórzył, odwracając ode mnie wzrok. Zaśmiał się twardo, krótko. Śmiech zabębnił mu w piersi i zamarł, zanim dotarł do gardła. – Należy przestrzegać procedur. Tak właśnie odpowiadamy obywatelom, gdy udzielamy im głosu w Radzie Miejskiej i proszą nas o coś, czego nie mamy zamiaru im dać.

– Według jakiego planu chcesz działać?

Odwrócił się do mnie.

– Jaki mam plan? Przed chwilą powiedziałem, że nie mam żadnego planu.

– Więc jak chcesz postępować z dziećmi.

– Miałem zamiar skruszyć lody za pomocą M.D. i zacząć odpowiadać na ich pytania. Dać im szansę wyciągnięcia ode mnie tego, co chciałyby wiedzieć, aby się przekonały, że od czasu do czasu ten system może działać w ich interesie. Myślałem, że zechcą usłyszeć od Buda, jakie to uczucie być bohaterem. Miałem zamiar wysłuchać ich odczuć i podzielić się moimi – jak to jest znaleźć się pod ostrzałem. Przecież uczestniczyliśmy w tym razem, więc lepiej trzymajmy się razem. Właśnie miałem zamiar zacząć, kiedy wszedłeś.

Porzucając myśl o reprimendzie, spytałem:

– Miałeś zamiar zrobić to w każdej klasie?

– Jasne. Czemu nie?

– Na to potrzeba dużo czasu. Kilka dni. Media na pewno dowiedziałyby się, że tu jesteś. A w takim wypadku istnieje ryzyko dodatkowego zamieszania.

– Z mediami można sobie poradzić – odparł szybko. – Moim jedynym celem jest chronić te

dzieciaki.

– Przed czym?

– Nie przed czym, Alex. Przed kim. Tymi, którzy je wykorzystują. Przed ludźmi, którzy nie mają oporów, żeby nimi manipulować dla osobistej korzyści.

Położył nacisk na trzy ostatnie słowa i zamilkł. Rzucił znaczące spojrzenie na Ahlwarda, który stał nadal ze stoickim spokojem.

– Smutne jest to – powiedział – że istnieje wielkie ryzyko, iż po tym, jak otarli się o politykę, staną się cyniczne. Niezaangażowane. Co nam jako społeczeństwu nie wróży dobrze, prawda? Mówimy o stagnacji, Alex. Jeśli zaistnieje na dużą skalę, to naprawdę będziemy mieli kłopoty. Więc chyba chciałbym, aby się przekonały, że polityka ma też inny wymiar i nie trzeba popadać w stagnację albo się poddawać.

Od erozji do stagnacji. Druga dawka politycznej retoryki w ciągu dwóch dni.

– Przeciwwaga dla poglądów reprezentowanych przez radnego Massengila? – powiedziałem.

Uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Nie dasz się okpić. Moja opinia o radnym Massengilu jest wszystkim znana. Ten człowiek jest dinozaurem, pochodzi z ery, która już dawno powinna być zapomniana. A fakt, że on też jest w to włączony, zmusił mnie do szczególnego podejścia do całej sytuacji. Miasto się zmienia. Cały stan się zmienia. Cały świat się zmienia. Następuje nowy wiek ogólnoświatowej zażyłości, której nie można powstrzymać. Jesteśmy nieodwracalnie połączeni z Ameryką Łacińską. Dni Dzikiego Zachodu mamy już za sobą, ale Sam Massengil nie ma na tyle rozumu, żeby to zauważyć. – Zamilkł na chwilę. – Czy sprawiał ci jeszcze jakieś problemy?

– Nie.

– Na pewno? Możesz mi śmiało powiedzieć, Alex. Zapewniam cię, że nie będziesz w to uwikłany.

– Jestem ci za to wdzięczny, Gordon.

Machnął marynarką i założył ją na siebie. Przygładził włosy.

– Ta praca musi ci dawać wiele satysfakcji.

– Daje.

– Zauważyłem, że jest jeszcze ten drugi psycholog, co tak dużo gada dla prasy. Taki facet z brodą.

– Lance Dobbs. Do tej pory ograniczył swoje działanie do wypowiedzi dla prasy.

– To znaczy, że nie było go tutaj? – Zapytał z oburzeniem czy kpina.

– Nie, nie było. Przyjechała jedna z jego asystentek, ale przekonałem doktora Dobbsa, że gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść i od tej pory się nie pokazywała.

– Rozumiem. To szczerą prawdą z tymi kucharkami. Również w innych wypadkach.

Nie odpowiedziałem.

– Więc wydaje ci się, że się uporałeś z tym problemem? – spytał. – Z doktorem Dobbsem.

– Na razie.

– Świetnie. Lepiej dla ciebie. – Przerwał. Dotknął kieszeni z harmonijką. – Cóż, powodzenia i wytrwałości.

Tak jak przedtem, uściśnął mi rękę oburącz i skinął na Ahlwarda. Rudzielec odsunął się od drzwi i wygładził klapy marynarki. Z klasy doleciały krzyki, śmiech i napięty ze zdenerwowania głos młodej nauczycielki, starającej się przekrzyczeć tumult.

Latch odwrócił się do mnie plecami. Obydwaj zaczęli się oddalać.

– Masz zamiar jeszcze tu przyjechać, Gordon? – spytałem.

Zatrzymał się i ściągnął brwi, jakby mocował się z pytaniem niezwyklej wagi.

– Dałeś mi do myślenia, Alex. Wysłuchałem cię uważnie. Wszystko trzeba robić fachowo. Koordynować. Więc pozwól mi to przemyśleć. Przejrzę swój terminarz i skontaktuję się z tobą.

* * *

Odczekałem, aż zniknęli za zakrętem, po czym ruszyłem za nimi w pewnej odległości, doszedłem do drzwi i obserwowałem, jak przecięli boisko, nie zwracając uwagi na bawiące się tam dzieci. Następnie opuścili dziedziniec, wsiedli do czarnego chryslera New Yorker i odjechali. Ahlward prowadził. Nie ruszył za nimi żaden inny samochód. Nie było świty młodych karierowiczów politycznych ani śladu prasy. Więc może historyjka, że akurat znaleźli się w okolicy była prawdziwa? Jakoś jednak nie mogłem jej kupić. Skwapliwa odpowiedź Latcha na moje pytanie dotyczące Massengila, jego pytania o Dobbsa, przekonały mnie, że nie miał czysto altruistycznych zamiarów.

I zgranie w czasie wydawało się zbyt naciągane. Przyjechał bardzo szybko po tym, jak zostałem wezwany do biura Massengila. Nie opowiadałem przecież wczoraj o mojej wczorajszej wizycie. Ale Latch już raz udowodnił, że ma dostęp do terminarza Massengila – w dzień strzelaniny, gdy był gotów stoczyć bitwę przed kamerami.

Teraz obydwaj pozostali niedoszłymi bohaterami. Dwa rywalizujące ze sobą rekiny. Zastanawiałem się, ile to jeszcze potrwa.

Polityka, jak zwykle, doszedłem do wniosku. Przypomniało mi to, dlaczego zrezygnowałem ze studiów medycznych.

Wyszedłem ze szkoły i starałem się odsunąć od siebie wszelkie myśli o polityce na tak długo, żeby zdążyć zjeść jakiś obiad. Jadąc prawie na oślep, znalazłem się na bulwarze Santa Monica i zatrzymałem się w pierwszym miejscu, jakie zauważyłem, które oferowało łatwo dostępny parking – w kawiarni obok Dwudziestej Czwartej ulicy. Ktoś zaczął już robić dekoracje świąteczne – na każdym stole plastikowe gwiazdy betlejemskie; okna oszronione i pomalowane w gałązki jemioly; koślawy renifer z wystającymi zębami; kilka błękitnych menor. Świąteczny nastrój nie udzielił się kucharzowi i zostawiłem większą część swojej kanapki z pieczenia wołową na talerzu, zapłaciłem i wyszedłem.

Było ciemno, kiedy wyjeżdżałem z parkingu. Ponieważ panował zbyt duży ruch, żeby skręcić w lewo, pojechałem na zachód. Lusterko wsteczne wypełniły światła innego samochodu. Nie zastanawiałem się nad tym, dopóki nie minąłem jeszcze kilku przecznic, skręciłem ponownie w prawo i światła wciąż mi towarzyszyły.

Pojechałem na bulwar Sunset.

Ciągle te światła. Było zbyt ciemno, żeby określić kolor lub markę małego samochodu.

Włączyłem się w sznur aut na bulwarze, zmierzających na wschód. Za każdym razem, gdy spojrzałem w lusterko, światła wpatrywały się we mnie, jak para żółtych oczu bez źrenic.

Przy Bundy zatrzymało mnie czerwone światło. Reflektory podjechały nieco bliżej. Na najbliższym rogu była stacja benzynowa, taka jeszcze przed embarga – duży plac, okazałe dystrybutory, automat telefoniczny.

Ruszyłem. Światła za mną. Kiedy dla udających się w kierunku północ-południe zaczęło mrugać żółte światło, pojechałem w tamtą stronę jeszcze ze dwie sekundy, po czym ostro skręciłem na stację i zatrzymałem się przy telefonie.

Samochód z migającym światłem minął skrzyżowanie. Popędziłem za nim, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Brązowa toyota. Dwie osoby z przodu. Zdawało mi się, że pasażer to kobieta. Nie mogłem dojrzeć kierowcy. Pasażerka odwróciła się twarzą w jego stronę. Rozmawiali ze sobą. Nawet nie spojrzeli w moją stronę.

Skarciłem się, że ulegam paranoi, wjechałem z powrotem na Sunset i wróciłem do domu. Telefonistka z mojej centrali przekazała mi masę wiadomości – jedna od Mila, wszystkie pozostałe służbowe. Wykonałem kilka telefonów, dzwoniąc do jednego adwokata z wieloletnią praktyką, do kilku automatycznych sekretarek i sierżanta dyżurnego w wydziale do spraw kradzieży i zabójstw, który poinformował mnie, że detektywa Sturgisa nie ma i że nie ma pojęcia, czego mógł ode mnie chcieć. Przyniosłem korespondencję ze skrzynki, przebrałem się w szorty, tenisówki i podkoszulek i pobiegłem na wieczorny jogging. Wichry z Santa Ana powróciły, choć nieco łagodniejsze. Biegłem z wiatrem, czułem się, jakbym miał skrzydła.

Wróciłem godzinę później i usiadłem nad sadzawką, nie będąc w stanie odróżnić żab od baniek wody na czarnej powierzchni. Słuchałem kumkania, szmeru wodospadu i wreszcie umysł zaczął mi się rozjaśniać.

Posiedziałem tam jeszcze chwilę i wróciłem do domu, gotów do rzucenia się znów w wir rzeczywistości. Przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić do Lindy. Kiedy starałem się wmówić sobie, że moje pobudki są czysto zawodowe, zdałem sobie sprawę, że nie mam jej numeru telefonu. W informacji też go nie mieli. Stwierdziłem, że widocznie tak miało być, i przygotowałem się do spędzenia kolejnego, samotnego wieczoru.

Dziwiata. Wieczorne wiadomości na lokalnym kanale; zaczynałem być obserwatorem tragedii ludzkich. Otworzyłem piwo, usadowiłem się wygodnie i wcisnąłem przycisk na pilocie.

Wiadomości zaczęły się od przetrawienia zwyczajowej międzynarodowej papki, potem, jak seria z karabinu maszynowego, nastąpił ciąg miejscowych historii kryminalnych: napad na furgonetkę pancerną w banku w Van Nuys, jeden strażnik zabity, drugi w stanie krytycznym. Palacz marihuany z Pacoima, któremu odbiło i zadźgał na śmierć swojego ośmioletniego syna nożem rzeźniczym. Pięcioletnia dziewczynka porwana z podwórka koło domu w Santa Cruz.

Ostra konkurencja. Nic na temat strzelaniny w Hale'u.

Obejrzałem dziesięć minut lżejszego programu, audycję o milionerze urologu z Newport Beach, który wygrał dużą sumę na loterii i przyrzekał, że nie zmieni z tego powodu swojego stylu życia. Następnie były zdjęcia z Altadeny, gdzie nowo wybrana Królowa Róż otwierała centrum handlowe.

Beztroska paplanina pomiędzy wiadomościami dnia.

Pogoda i sport.

Zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Pewnie Milo, żeby przekazać mi osobiście, w jakiej sprawie dzwonił.

Otworzyłem drzwi, kierując wzrok w górę, jak dyktowało ponad metr osiemdziesiąt wzrostu Mila. Ale oczy, które na mnie patrzyły znajdowały się dobre dziewięć cali niżej. Przekrwione szaroniebieskie oczy za okularami w przezroczystych, plastikowych oprawkach. Przekrwione, ale tak jasne i skupione, że zdawały się przewiercać szkło i dominować w małej, trójkątnej twarzy. Ciemne światło nad drzwiami sprawiało, że ziemista cera wyglądała niezdrowo. Mocno osadzone usta. Mały szczupły nos z wąskimi nozdrzami i dziwną bulwą na czubku. Rzadkie, brązowo-szare włosy, powiewające na wieczornym wietrze. Nieokreślona twarz i beżowa wiatrówka, zapięta pod szyję.

Mój wzrok padł na jego blade ręce o drugich palcach. Bez przerwy zaciskał je nerwowo.

– Doktor Delaware, jak sądzę.

Nosowy głos. Ani śladu swobody. Wyćwiczony, szablonowy zwrot... Nie, nawet bardziej niż wyćwiczony. Zaprogramowany.

Spojrzałem mu przez ramię. Na podjeździe stała srebrnoszara honda z przyciemnianymi oknami.

Nagle naszła mnie pewność, że stoi tam już od jakiegoś czasu. Poczulem mrówki na karku, oparłem jedną dłoń na drzwiach i zrobiłem krok do tyłu.

– Kim pan jest i czego pan chce?

– Nazywam się Burden – powiedział przeproszającym tonem. – Moja córka... Był pewien... kłopot z nią związany. Ona... Na pewno pan wie.

– Tak wiem, panie Burden.

Wyciągnął obie dłonie przed siebie, splecione razem, jakby skrywały coś bezcennego lub śmiertelnie niebezpiecznego.

– Chciałbym... chciałbym z panem porozmawiać, doktorze Delaware, gdyby mógł pan poświęcić mi trochę czasu.

Cofnąłem się i wpuściłem go do środka.

Rozejrzał się, wciąż przebierając palcami. Jego oczy błądziły po salonie jak odbijająca się kula bilardowa.

– Ma pan śliczny dom. – I nagle zaczął płakać.

Rozdział jedenasty

Posadziłem go na skórzanej kanapie. Łkał przez chwilę, nie roniąc łez, wydając suche zdławione dźwięki. Ukrył twarz w dłoniach, po czym podniósł wzrok i powiedział:

– Doktorze...

I zamilkł.

Czekałem.

Okulary zjechały mu na czubek nosa. Poprawił je.

– Ja... Czy mógłbym skorzystać z pańskiej... toalety?

Wskazałem mu łazienkę, poszedłem do kuchni, zrobiłem mocną kawę i przyniosłem ją do salonu wraz z filiżankami i butelką irlandzkiej whisky. Usłyszałem odgłos splukiwanej toalety. Kilka minut później wrócił, usiadł, złożył ręce i wpatrywał się w podłogę, jakby starał się zapamiętać wzór na moim dywanie z Buchary.

Wsunąłem mu w dłonie filiżankę kawy i zaoferowałem whisky. Potrząsnął głową. Sam dolałem sobie whisky do kawy, napiłem się z przyjemnością, po czym oparłem się wygodnie.

– To jest... – odezwał się. – Dziękuję, że wpuścił mnie pan do swojego domu. – Miał nosowy głos, jak dźwięk oboju.

– Przykro mi z powodu pana nieszczęścia, panie Burden.

Zasłonił twarz jedną dłonią i zrobił taki gest, jakby chciał zetrzeć zły sen. Ręka, którą trzymał filiżankę, trzęsła się mocno, i kawa przelała się przez krawędź, chlapiąc na dywan. Odslonił twarz, postawił filiżankę, stukając nią o szklany blat, chwycił serwetkę i zaczął wycierać rozlany płyn.

Dotknąłem jego łokcia i powiedziałem:

– Niech się pan tym nie przejmuj.

Cofnął się pod moim dotykiem, ale pozwolił mi wyjąć sobie z dłoni brudną serwetkę.

– Przepraszam... To... Nie chciałbym przeszkadzać.

Zaniosłem serwetkę do kuchni, chciałem dać mu trochę czasu, żeby się pozbierał. Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Słyszałem w kuchni jego kroki. Szybkie. Nierówne.

Gdy wróciłem, znów miał dłonie złożone na kolanach, a oczy utkwione w dywanie.

Minęła minuta. Jeszcze jedna. Napiłem się kawy. On siedział. Ponieważ nie przejawiał chęci rozpoczęcia rozmowy, odezwałem się:

– Co mogę dla pana zrobić, panie Burden?

Odpowiedział, zanim skończyłem ostatnie słowo.

– Niech ją pan zanalizuje. Niech pan pozna prawdę i przekona ich, że nie mają racji.

– Kogo przekonać?

– Ich. Policję, prasę, wszystkich. Ulegli ułudzie. Mówią, że strzelała do dzieci, że była morderczym potworem.

– Panie Burden...

Potrząsnął gwałtownie głową.

– Niech mnie pan wysłucha! Niech mi pan uwierzy! To niemożliwe, żeby ona... mogła zrobić coś takiego. Nie ma mowy, żeby użyła broni – nienawidziła mojej... Była pacyfistką. Idealistką. I nie do dzieci! Uwielbiała dzieci!

Wyobraziłem sobie ostatnią scenę w szopie. Jej kryjówkę, czarny strój, karabin, kubek z moczem. Potrząsnął głową i powtórzył:

– Niemożliwe.

– Dlaczego przychodzi pan do mnie, panie Burden?

– Żeby pan przeprowadził analizę – odparł z lekkim zniecierpliwieniem. – Psychoanalizę. To pana specjalność, prawda? Mimo swojego wieku Holly była dzieckiem. Psychicznie. Niech mi pan wierzy, ja to wiem. To by lokowało ją w sferze pańskiej działalności zawodowej. Mam rację?

Kiedy nie odpowiedziałem od razu, poprosił:

– Niech pan to zrobi, doktorze. Jest pan naukowcem, głęboko myślącym człowiekiem. To leży w pańskiej sugestii. Wiem, że dokonałem słusznego wyboru.

Zaczął recytować tytuły artykułów, które opublikowałem w dziennikach naukowych. Artykułów sprzed dziesięciu lat. W doskonałym porządku chronologicznym. Kiedy skończył, wyjaśnił:

– Przygotowałem się, doktorze. Jestem dokładny. Bo gdy chodzi o coś ważnego, to jedyna metoda.

Smutek zniknął z jego twarzy, zastąpił go uśmiech pełen pychy – jak u wzorowego ucznia oczekującego pochwały.

– Jak mnie pan znalazł, panie Burden?

– Po rozmowie z policją stało się dla mnie jasne, że nie szukają prawdy, że mają z góry wyrobione poglądy. Że im się zupełnie nie chce, zależy im tylko, aby zamknąć sprawę. Więc zacząłem obserwować szkołę w nadziei, że się czegoś dowiem – czegokolwiek. Ponieważ nic z tego, co mi powiedzieli, nie miało sensu. Notowałem numery rejestracyjne wszystkich wjeżdżających i opuszczających teren szkoły samochodów i sprawdzałem je w swojej kartotece. Pana numery pokrywały się z kilkoma z moich list.

– Pana list?

Obój wydał kilka długich tonów, przypominających śmiech.

– Niech pan się nie denerwuje – to nic strasznego. Zawodowo zajmuję się listami. Powiniennem o tym wspomnieć na początku. Listy adresowe. Chodzi o bezpośrednie reklamy za pośrednictwem poczty. Demografia stosowana. Dane, do których można się odwołać na podstawie zawodu, kodu pocztowego, stanu cywilnego – na podstawie jakichkolwiek zmiennych. Był pan na specjalnej liście związanej ze zdrowiem psychicznym. Podkategoria 1B: doktor, psycholog kliniczny. Jednak nie był pan psychologiem, który rozmawiał z prasą, twierdząc, że prowadzi terapię wśród tych dzieci. To mnie zastanowiło. Zacząłem sprawdzać pana dalej. To, czego się dowiedziałem, dało mi nadzieję.

– Moje artykuły w dziennikach dały panu nadzieję?

– Pana artykuły były dobre – oparte na silnych podstawach naukowych. Zdecydowana metodologia jak na tak delikatną dziedzinę nauki. To mnie przekonało, że stara się pan zawsze przemyśleć wszystko dokładnie, że nie jest pan zwyczajnym urzędnikiem państwowym, który tylko lawiruje. Ale naprawdę podniosły mnie na duchu dane, jakie otrzymałem od prasy ogólnej – artykuły z gazet. Przypadek Casa de Los Ninos. Skandal z Cadmus. Najwyraźniej jest pan człowiekiem, który samodzielnie doszukuje się prawdy, który nie ucieka przed wyzwaniem. Potrafię dobrze ocenić czyjś charakter. Wiem, że pan jest człowiekiem odpowiednim dla mnie.

Znów zaczął zachowywać się jak prymus. A po chwili uśmiechnął się jak myśliwy.

Gdzie zniknął jego smutek? Cwany człowieczek.

– Skoro rozmawiamy o prawdzie, może pokazałby mi pan jakiś dowód tożsamości – powiedziałem. – Chciałbym po prostu być dokładny.

– Oczywiście. Zawsze dobrze jest być dokładnym. – Wyjął stary portfel, a z niego wyciągnął prawo jazdy, kartę ubezpieczenia społecznego i kilka kart kredytowych. Na zdjęciu w prawie jazdy miał ukradkowe, posępne spojrzenie, które przypominało nieżyjącą dziewczynę. Spojrzałem na karty kredytowe, wszystkie złote, wszystkie na nazwisko Mahlon M. Burden. Wróciłem do zdjęcia w prawie jazdy i przyjrzałem mu się ponownie.

– Wiem, o czym pan myśli – ubiegł moje pytanie – ale bardziej była podobna do matki.

Oddałem mu prawo jazdy.

– Po matce też odziedziczyła dobroć – dodał. – Litość dla wszelkich żyjących istot. Cała ta sprawa

to parodia. Musi mi pan pomóc.

– Panie Burden, co konkretnie mogę dla pana zrobić?

– Odtworzyć jej biografię psychologiczną. Życie i śmierć Holly Lynn Burden. – Wspomnienie jej imienia sprawiło, że wzrok zmącił mu się przez moment. – Niech pan posłuży się tymi samymi metodami naukowymi, jakie stosuje pan w swojej pracy badawczej, i niech się pan stanie biegłym ekspertem w sprawie mojej córeczki. Chcę wiedzieć, co nią kierowało. Może pan drażnić tę sprawę do woli. Może pan nie szczędzić mi żadnych pytań. Niech pan robi, co należy, żeby dokopać się do korzeni tego zamieszania. Niech pan pozna prawdę, doktorze Delaware.

Przez chwilę nie odpowiadałem. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Wydaje mi się, że pan mówi o dwóch odrębnych sprawach, panie Burden. O odtworzeniu życia pana córki – co się określa terminem autopsji psychologicznej. I o oczyszczeniu jej z zarzutu. Pierwsza rzecz wcale nie musi prowadzić do drugiej.

Czekałem na wybuch. Zobaczyłem jedynie ponownie uśmiech myśliwego.

– Doprowadzi, doktorze Delaware. Doprowadzi. Ojciec wie to najlepiej.

Ojciec wie najlepiej. Matka wie najlepiej. Ile już razy to słyszałem.

– Jest coś, co powinien pan sobie uświadomić – powiedziałem. – Najwyraźniej nie podoba się panu sposób, w jaki policja podchodzi do tej sprawy, ale to właśnie policja mnie tam ściągnęła.

– To mi nie przeszkadza, jeśli nie będzie pan kłamał, żeby ich zadowolić.

– I jeszcze coś. Nie mogę panu obiecać utrzymania tego w sekrecie. Wręcz przeciwnie. Moim pierwszym obowiązkiem są dzieci w Hale'u. Muszę im pomóc, aby uporały się z tym, co zaszło, i nie chcę, żeby coś mi w tej pracy przeszkadzało. Jeśli dowiedziałbym się czegoś negatywnego o Holly, a to okazałoby się przydatne dla celów terapii, powiedziałbym im. A wtedy stanie się to zapewne ogólnie znane.

– Nie boję się prawdy, doktorze Delaware. Niezbite dowody nigdy mnie nie przerażały.

Chwali się, pomyślałem, i przypomniałem sobie, jak mi się przyglądał zza ciemnych szyb. Jak wykorzystał swoją „kartotekę”, żeby zakłócić moje prywatne życie. Jak wykorzystał łzy, żeby dostać się do mojego ślicznego domu.

Przyjął rolę pacjenta, żebym mógł odegrać terapeutę.

Niezależnie od tego, jakie były jego motywy, manipulował mną. Napilem się jeszcze łyk wzmocnionej alkoholem kawy i poczułem zawrót głowy. Czy to alkohol, czy niesamowitość tej sytuacji?

Odstawiłem filiżankę, oparłem się, skrzyżowałem nogi i przyglądałem się gościowi. Usiłowałem

być obiektywny, wyzwolić się z układu smutek-współczucie, jaki narzucił mi w progu domu.

– Całkowicie akceptuję wymienione przez pana skutki uboczne – powiedział. – Pomoże mi pan?

Pochylił się na kanapie. Bez łez.

Jedna część mojej osoby – domownik, któremu zakłócono spokój – chciała się go pozbyć. Ale zacząłem się zastanawiać nad jego propozycją. Bo to, co mi oferował, pokrywało się dokładnie z tym, czego, jak wszystkim mówiłem, pragnę. Dawał mi możliwość zrozumienia tej dziewczyny, szansę wydobycia jakichś informacji, które mogłyby przyspieszyć proces leczenia psychicznych ran u dzieci w Hale'u.

„Może pan drażnić tę sprawę do woli. Może pan nie szczędzić mi żadnych pytań”.

Biorąc pod uwagę, jak niedawno miała miejsce ta tragedia i jego niezdolność stawienia czoła temu, co naprawdę zdarzyło się w szopie – te obietnice niewiele znaczyły. Może się zdarzyć, że na początku będzie odpowiadał na moje pytania, a na końcu potraktuje mnie jak wroga. Ale po drodze mogę się również czegoś dowiedzieć.

Za jaką cenę?

– Niech mi pan da trochę czasu, żebym sobie to przemyślał – powiedziałem.

To go nie zadowoliło; zaczął się bawić suwakiem swojej wiatrówki, wpatrując się we mnie, jakby czekał, że zmienię zdanie.

– Tylko o tyle proszę, doktorze – odezwał się w końcu.

Wstał. Znowy wyjął tani portfel. Podał mi białą wizytówkę.

FIRMA TECHNOLOGICZNA „NOWE GRANICE”

MAHLON M. BURDEN, PREZES

Pod nazwiskiem wypisany był ołówkiem numer telefonu w Pacific Palisades.

– To prywatna linia – wyjaśnił. – Bardzo niewiele osób zna ten numer. Może pan do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Możliwe, że jutro przez większą część dnia nie zastanie mnie pan w biurze, będę w śródmieściu, w Parker Center. Spróbuję skłonić policję, żeby oddała... jej ciało. Ale będę odsłuchiwał wiadomości.

Broda mu się zatrzęsała, a twarz lekko wykrzywiła. Starając się na niego nie patrzeć, odprowadziłem go do drzwi.

* * *

Wciąż o nim myślałem, kiedy zadzwonił Milo.

– Namierzyłem twoją hondę – poinformował mnie. – „Nowe Granice” to firma ojca Holly Burden.

– Wiem. – Opowiedziałem mu o wizycie.

– Przyszedł do ciebie ot, tak, po prostu?

– Tak po prostu.

– Odnalazł cię, sprawdzając twoje tablice?

– Tak powiedział.

– Sądzisz, że jest niebezpieczny?

– Właściwie nie. Raczej dziwny.

– W jaki sposób dziwny?

– Kalkuluje, manipuluje. Ale może jestem dla niego zbyt surowy. Ten facet przeszedł przez piekło. Bóg wie, że nie jest w najlepszej kondycji.

– Coś mi się wydaje, że rozbudził twoją zawodową ciekawość.

– Poniekąd.

– Poniekąd? Czy to znaczy, że przyjmiesz jego propozycję?

– Zastanawiam się jeszcze. Czy to będzie komuś przeszkadzało, jeśli się na to zdecyduję?

– Mnie nie, Alex, ale czy jesteś pewien, że chcesz się w to pogrążyć jeszcze bardziej?

– Jeśli dowiem się czegoś, co mogłoby pomóc dzieciom, to tak. Powiedziałem mu bez ogródek, że pozostanę lojalny przede wszystkim w stosunku do nich i nie będę utrzymywał całej sprawy w tajemnicy. Zgodził się.

– Teraz na to przystał. Ale weź pod uwagę jego stan psychiczny. Stanowcze odrzucenie rzeczywistości: wciąż twierdzi, że ona jest niewinna. A co będzie, jeśli rzeczywistość go dopadnie? Co będzie, jeśli się w to zaangażujesz, wykonasz robotę i dojdiesz do wniosku, że jego córeczka była świrem, a w głowie świtały jej mordercze myśli? Jak sądzisz, jak on to przyjmie?

– Przedstawiłem mu taką możliwość.

– I co?

– Powiedział, że jest gotów zaryzykować.

– Pewnie. Powiedział ci też, że to jego karabin zabrała ze sobą do tej szopy? Zdaje się, że ten facet kolekcjonuje broń, a ona podkrađła mu jeden z eksponatów. Jak sądzisz, jak to świadczy o jego zdolności logicznego podejścia do tej sprawy?

„Nienawidziła mojej...”.

– Kiedy się o tym dowiedziałeś?

– Przed chwilą. – Przerwał. – Ze źródła w laboratorium balistycznym.

Zaklął. Nie wiedziałem, jaka część jego złości wynika z tego, że musi zdobywać informacje z drugiej ręki, a jaka z tego, że mógłbym podjąć współpracę z Mahlonem Burdenem.

– Więc twierdzisz, że powinienem odrzucić jego propozycję? – spytałem.

– Ja mam ci mówić, co robić? Chyba żartujesz. Po prostu chcę, żebyś to dokładnie przemyślał.

– Nic innego nie robię, Milo.

– A spytałeś go o tego jej chłopaka?

– O nic go nie spytałem. Nie chciałem się angażować, dopóki nie podejmę decyzji, co z tym zrobię.

– Coś mi się zdaje, że już się w to zaangażowałeś, stary.

– Co ci leży na żołądku, Milo?

– Nic. Do diabła, nie wiem. Może myśl, że masz pracować dla drugiej strony.

– Nie dla, lecz z drugą stroną.

– Na to samo wychodzi.

– A właściwie dlaczego on jest po drugiej stronie?

– Dobrzy ludzie i źli ludzie. Czy przychodzi ci do głowy jakiś bardziej wyrazisty podział?

– On nie pociągnął za spust, Milo. On jedynie ją spłodził.

– Była stuknięta. Skąd to się u niej wzięło?

– Co, wina wypływająca z samego faktu ojcostwa?

Zapanowała długa, nieprzyjemna cisza.

– Dobrze, dobrze, wiem – powiedział. – Dlaczego mu nie współczuję – on też jest ofiarą. Tylko, że ja cię ściągnąłem, żebyś pomógł dzieciom i zrobił coś pozytywnego w tym całym bałaganie. Chyba

po prostu nie chcę, żebyś został wykorzystany... do wybielenia jej postępu.

– Nie ma takiej możliwości. To, co zrobiła, jest niepodważalne, Milo.

– Racja. W porządku, przepraszam. Nie chciałem tak na ciebie wsiąść. Po prostu miałem wspaniały dzień. Właśnie wróciłem z innego miejsca zbrodni. Zabójstwo dziecka.

– Cholera.

– Jasna cholera. Ofiara miała dwa lata. Narzeczony mamusi naszprycował się po uszy i wykorzystał dzieciaka jak boksinerski worek treningowy. Sąsiedzi słyszeli, jak dziecko zawodziło przez cały dzień i dwa tygodnie temu wezwali Urząd Ochrony Nieletnich. Ochotnicy społeczni przyjechali tydzień temu, dokonali oceny, zaklasyfikowali do grupy „wysokiego ryzyka”, zalecili zabranie dziecka z domu. Ale jeszcze nie zabrali się do przetworzenia tych danych.

– Chryste!

– Do przetworzenia – powtórzył. – Czy to nie piękne? Jak mortadela. Z jednej strony wrzuca się gównem do maszynki do mielenia, a z drugiej strony wychodzi pięknie owinięta i ometkowana kiełbaska. Nie mogę się doczekać, co nowego wydarzy się jutro. Jakie brudy trzeba będzie przetworzyć.

Rozdział dwunasty

Zastanawiałem się nad propozycją Burdena, nie dochodząc do żadnych wniosków. Obudziłem się w piątek rano i wciąż o tym myślałem. Wreszcie wyrzuciłem wszystko z siebie i pojechałem do szkoły, żeby pracować z tymi, co do których nie było wątpliwości, że są po dobrej stronie.

Dostrzegałem postępy. Dzieci wyglądały na znudzone i znaczną część każdej sesji poświęcaliśmy dowolnej zabawie. Większość popołudnia spędziłem na indywidualnej pracy z osobami z grupy wysokiego ryzyka. Kilkoro dzieci wciąż miało problemy z zaśnięciem, ale nawet one wydawały się spokojniejsze.

Doskonale sobie radziły.

Ale jakie będą skutki długoterminowe?

O czwartej siedziałem w pustej pracowni i myślałem o tym. Zdałem sobie sprawę, jak kiepsko przygotowano mnie w szkole do pracy, którą wykonuję, jak niewiele miała do zaoferowania tradycyjna psychologia dzieciom znajdującym w szoku po akcie gwałtu. Może moje doświadczenia będą przydatne dla innych ofiar i terapeutów, którzy na pewno niebawem pojawią się w tym coraz bardziej psychopatycznym świecie. Zdecydowałem, że muszę prowadzić przejrzyste zapiski kliniczne. O piątej wciąż jeszcze pisałem, kiedy woźny, taszczący szczotkę i wiadro, wsadził głowę do sali i spytał jak długo jeszcze mam zamiar tu siedzieć. Pozbierałem swoje rzeczy i wyszedłem, mijając biuro Lindy. W pokoju Carli było ciemno, ale paliło się światło w drugim gabinecie.

Zapukałem.

– Proszę.

Siedziała przy biurku, czytała, lekko pochylona, ze skupioną uwagą.

– Przeszkadzam? – spytałem.

Odłożyła książkę, okręciła się na krześle i wskazała na kanapę w kształcie „L”. Miała na sobie kremową sukienkę z dzianiny, cienki złoty łańcuszek, białe rajstopy z delikatnym, pionowym, falistym wzorkiem i białe pantofle na średniej wysokości obcasie.

– Zastanawiałam się, czy wpadniesz – powiedziała. – Słyszałam, że mieliśmy wczoraj gości.

– Ach tak. Prawdziwa kąpiel w mleku ludzkiej życzliwości.

– Boże. I mamy tego coraz więcej.

Odwróciła się w stronę biurka i wyjęła coś z szuflady. Białą kasetę.

– Dziś rano przyszedły jeszcze trzy pudełka; paczka polecona. Carla nie wiedziała, co to jest. Pokwitowała odbiór tego całego kramu.

– Tylko taśmy, ludzie nie?

– Tylko taśmy. Ale zadzwonili z biura Dobbsa, żeby się dowiedzieć, czy doszły. Carla była w klasach, rozdawała karteczki dla rodziców, więc ja odebrałam telefon.

– Chroni tyłek – powiedziałem. – Pokwitowanie pocztowe jest dowodem dla każdego sądu stanowego, że wywiązał się z kontraktu i ma prawo do każdego centa, jaki zapłacił mu Massengil.

– Tak się właśnie domyśliłam. Powiedziałam, że chcę rozmawiać bezpośrednio z nim i mnie połączyli. Ta bestia była słodka jak miód. Chciał się dowiedzieć, jak się mają nasze biedne drobiazgi. Drobiazgi. Dla niego to są drobiazgi. Zapewnił mnie, że jest do dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę, gdyby zaistniała jakaś nagła sytuacja. Teraz, gdy to wiem, będę mogła spać spokojniej.

– I nie ulega wątpliwości, że ta rozmowa zostanie opisana jako fachowa porada i wystawiony zostanie za nią rachunek.

– Nie omieszkał poinformować mnie, że odbyliście naradę – powiedziała. – Że obydwaj reprezentujecie te same poglądy kliniczne. Aprobuję twoje metody, doktorze – czy to cię nie cieszy?

– Zdaje się, że chce pójść na kompromis – stwierdziłem. – Nie podamy do wiadomości publicznej jego knowań, pozwolimy mu zarobić kilka dolarów na taśmach i się wycofa.

– I co o tym myślisz?

– Jakoś przeżyję, jeśli nie będzie się wtrącał.

– Ja również – powiedziała. – Jak można nas określić?

– Realiści.

– Mhmm. – Machnęła ręką. – Nie mam zamiaru tracić więcej czasu na tę kanalię. Jak tam dzieci?

– Właściwie bardzo dobrze. – Zdałem jej relację z czynionych postępów.

– To samo słyszę od rodziców, z którymi rozmawiałam przez telefon. Są zdecydowanie spokojniejsi. Pomogło mi to przekonać kilkoro z nich, żeby znów przysłali dzieci do szkoły, więc naprawdę nieźle ci idzie.

– Cieszę się.

– Na początku podchodzili do tego sceptycznie. Byli skonfundowani tym, co dzieci robią – rysowaniem snajperki, darcie tych rysunków, okazywaniem złości. Zawsze istnieje odruch obronny, tłumienia różnych reakcji. Ale efekty mówią same za siebie. Umówiłam przynajmniej kilkadziesiąt

matek na spotkanie z tobą w poniedziałek.

– Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć – wyznałem. – Miałem jeszcze jedną wizytę. – Powiedziałem jej o Mahlonie Burdenie.

– Dziwne. Tak nie wiadomo skąd?

– Istotnie, było to dziwne, ale wydawał się mocno zestresowany. Wierzy, że Holly jest niewinna, chce, żebym pokazał światu, co nią kierowało. W jakiś sposób to ma dowieść jej niewinności.

– Uważam, że powinienesz to zrobić. Nadarza ci się wspaniała okazja – odparła bez wahania.

– Okazja do czego?

– Do nauki. Do zrozumienia, gdzie nastąpił błąd, co nią kierowało.

– Nie jestem pewien, czy dowiem się czegoś istotnego, Lindo.

– Czegokolwiek się dowiesz, to będzie więcej niż to, czym dysponujemy teraz, prawda? A im bardziej o tym myślę – teraz, gdy minął już szok – tym dziwniejsza wydaje mi się ta sprawa. To była dziewczyna, Alex. Co też, u licha, mogło skłonić ją do takiego czynu? Do kogo strzelała? Prasa właściwie porzuciła ten temat. Policja nie powiedziała nam ani słowa. Skoro jej ojciec chce z tobą rozmawiać, dlaczego z tego nie skorzystać? Może czegoś się o niej dowiesz, odkryjesz jakieś sygnały ostrzegawcze, które pomogą nam ustrzec się przed czymś takim w przyszłości.

– Jego pragnienie, bym dokonał psychologicznej ekshumacji Holly, wynika z ucieczki od rzeczywistości, Lindo – powiedziałem. – Gdy załamie się jego mechanizm obronny, bardzo możliwe, że zmieni zdanie. Jeśli zacznę dochodzić do wniosków, których nie podziela, prawdopodobnie położy kres tej sprawie.

– No i co? W tym czasie dowiesz się, ile będziesz mógł.

Nie odpowiedziałem.

– O co chodzi? – spytała.

– Moim podstawowym obowiązkiem jest czuwanie nad dziećmi. Nie chcę być postrzegany jako osoba, która zadaje się ze złą stroną.

– Tym bym się nie przejmowała. Wyrobiłeś sobie już tutaj dobrą opinię.

– Milo, detektyw Sturgis, odnosi się do tego z rezerwą.

– To rozumiałe. Typowy sposób myślenia gliniarza – zasklepiona mentalność.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodała:

– Niezależnie, co inni na ten temat myślą, to w końcu musi być twoja decyzja. Postąpisz, jak uznasz za stosowne.

Spojrzała gdzieś daleko. Odłożyła taśmę i zaczęła poprawiać papiery na biurku.

Znów ten chłód...

– Skłaniam się ku temu, żeby się zgodzić – powiedziałem. – Mam zamiar powiadomić go w czasie weekendu.

– Ach, weekend – ucieszyła się, wciąż poprawiając papiery. – Nie mogę uwierzyć, że ten tydzień wreszcie się kończy.

– Czy w przyszłym tygodniu będziesz bardzo zajęta?

– Jak zwykle. Codzienny kierat.

– A może na chwilę mogłabyś zapomnieć o pracy?

Uniosła brwi, ale nie spojrzała na mnie.

– Przejdę do konkretów – wyjaśniłem. – Wczesny obiad – powiedzmy za pół godziny. Gdzieś w zacisznym miejscu, z dobrze zaopatrzonym barkiem. Zakaz rozmowy na tematy zawodowe. Wnieś nieco elegancji w nasze monotonne życie.

Spojrzała na sukienkę, dotknęła kolana.

– Nie jestem odpowiednio ubrana, skoro mówisz o elegancji.

– Oczywiście, że jesteś. Daj mi słuchawkę i zaraz dokonam rezerwacji.

Brwi uniosły się jeszcze wyżej. Zaśmiała się krótko i odwróciła w moją stronę.

– Chcesz się zabawić w faceta, który przejmuje inicjatywę?

– Skoro coś jest warte jej przejęcia. – Zabrzmiało to jak sentencja. – Hej, kotku, co się szczypiesz? – dodałem.

Trwało chwilę, nim się pozbierała, wypisała rzeczy do załatwienia i polecenia dla pracowników. Przez ten czas udałem się do gabinetu Carli i sprawdziłem, czy nie ma dla mnie żadnych wiadomości. Dzwoniły dwie osoby, które rozpoczęły studia w wieku szesnastu lat i nie mogą się uwolnić od roli posłusznego dziecka.

W końcu wyszliśmy ze szkoły. Wciąż była spięta, ale wzięła mnie pod rękę.

Woznemu spieszyło się, żeby zamknąć podwórko i rozpocząć weekend, więc wyprowadziła escorta na ulicę i zaparkowała koło bramy. Wsiadliśmy do mojego cadillaca i ruszyliśmy na zachód. Restauracja, którą wybrałem, znajdowała się na ruchliwym odcinku alei Ocean, naprzeciwko urwiska, górującego nad początkiem autostrady Pacific Coast. Restauracja była francuska, ale panowała w niej swobodna atmosfera. Czyste, białe dekoracje i otoczone sięgającym pasa murkiem patio zadaszone markizą, które dawało możliwość jedzenia na świeżym powietrzu i oddzielało od tłumy na chodniku. Dojechaliśmy tam piętnaście po szóstej. Kilkoro bezdomnych współzawodniczyło z parkingowymi o napiwki. Dałem im parę dolarów i naraziłem się na krzywe spojrzenia parkingowych.

Przez następne dwadzieścia minut siedzieliśmy w barze, aż zaprowadzono nas do stolika pod markizą. O wpół do dziewiątej Ważne Osobistości zaczęły się zjeżdżać w wynajętych mercedesach i specjalnie projektowanych jeepach, które onieśmieliłyby nawet Pattona, ale o tej porze byliśmy jedynymi gośćmi.

Po drugiej stronie ulicy urwisko wieńczył las palm kokosowych. Widoczne pomiędzy krzyżującymi się pniami tych potężnych drzew niebo przybrało krwistoczerwony kolor z maźnięciami akwamaryny, a nad horyzontem miało barwę miedzi. Piliśmy drinki, a miedziany kolor zamienił się w indygo. Patrzyłem, jak światło i cień bawią się na twarzy Lindy. Włosy miała upięte wysoko. Kilka złotych kosmyków wymknęło się i zwisało swobodnie na karku. W ostatnich promieniach światła dziennego zarzyły się jak druciki w żarówce.

– Czy tu nie przyjemniej niż w TCBing? – spytałem.

Przytaknęła, oparła brodę na dłoni i spojrzała w stronę zachodzącego słońca. Długa, pełna wdzięku szyja. Profil Grace Kelly.

Podszedł kelner, zapalił świeczkę na stole i wydeklamował potrawy dnia. W kuchni chyba kupili zbyt dużo królika, ponieważ wciskał nam jakąś zupę z królika po prowansalsku.

Uśmiechnęła się do niego, powiedziała:

– Przepraszam, ale nie mogłabym zjeść Bugsa – i wybrała białego okonia z grilla. Ja zamówiłem stek w sosie pieprzowo-kukurydzianym i butelkę młodego beaujolais.

Popijaliśmy i nie rozmawialiśmy wiele. Długo trwało, zanim nas obsłużono. Kiedy podano nasze potrawy, zjadła z takim samym apetytem jak za pierwszym razem.

Był to nasz drugi obiad. Mimo pogawędek w jej gabinecie wiedziałem o niej bardzo niewiele.

Pochwyciłem jej wzrok i uśmiechnąłem się. Odwzajemniła uśmiech, ale zdawała się czymś zatroskana.

– O co chodzi? – spytałem.

– O nic.

– Mam nadzieję, że nie wróciłaś myślami do pracy.

– Nie, nie, zupełnie nie. Tu jest cudownie.

– Ale wciąż masz czymś zaprzątniętą głowę.

Przesunęła palcem po nóżce kieliszka.

– Chyba usiłuję domyślić się, czy to jest randka.

– A chciałabyś, żeby to była randka?

Pogroziła mi palcem.

– Teraz mówisz jak psychiatra.

– W porządku – powiedziałem, siadając prosto i odchrząkując. – Z powrotem przejmuję inicjatywę. To jest randka, kotku. Bądź grzeczną dziewczynką i zjedz rybkę.

Zasalutowała i położyła dłoń na stoliku. Długie, delikatne palce, które przykryłem moimi.

Odetchnęła głęboko. Nawet w przyćmionym świetle dojrzałem, że się zarumieniła.

– Naprawdę bardzo się najadłam. Może pominiemy deser?

Czas pognał jak oszalały; była niemal dziewiąta, kiedy wsiadaliśmy z powrotem do samochodu. Zamknęła oczy, odchyliła głowę i wyciągnęła nogi. Wszystko w milczeniu.

– Co powiesz na przejażdżkę? – spytałem. Gdy się zgodziła, pojechałem na pomoc aleją Ocean i skręciłem na autostradę Pacific Coast. Wsunąłem do magnetofonu kasetę Patha Metheny'ego i całą drogę do zachodniego Malibu, tuż za granicą okręgu Ventura, jechałem powoli prawym pasem. Po jednej stronie góry, po drugiej ocean – minęliśmy kanion Decker. Bardzo mało śladów ludzkiej obecności. Zanim zachciało mi się spać, dojechałem do Point Mugu. Spojrzałem na Linde. Światło padające z deski rozdzielczej ledwo wystarczało, żebym mógł dojrzeć jej rysy. Ale zauważyłem, że ma zamknięte oczy, a na twarzy zadowolony uśmiech dziecka.

Według zegara w samochodzie było piętnaście po dziesiątej. Znak przy drodze informował, że jesteśmy niemal w Oxnard. Przypomniałem sobie, kiedy ostatni raz tędy jechałem. Do Santa Barbara. Z Robin. Zawróciłem, wyjąłem Patha Metheny'ego, włączyłem Sonny Rollinsa i skierowałem się z powrotem do Los Angeles, słuchając, jak magiczny saksofon zmienia utwór Just Once w coś transcendentalnego.

Kiedy zatrzymałem się na światłach przy Sunset Beach, Linda poruszyła się i zamrugała.

– Dzień dobry – powiedziałem.

Wyprostowała się w fotelu.

– Boże Święty! Zasnęłam przy tobie?

– Jak przysłowiowy niemowlak.

– Jak to nieładnie z mojej strony. Przepraszam.

– Nie ma za co przepraszać. Twój spokój mi się udzielił.

– Która godzina?

– Dziesięć po jedenastej.

– Niewiarygodne, przespałam dwie godziny. – Wyprostowała się i przyglądała włosy. – Nie mogę uwierzyć, że tak się zachowałam.

Poklepałam ją po nadgarstku.

– Nie przejmuj się. Po prostu następnym razem będę od ciebie oczekiwał ogromnego ożywienia.

Roześmiała się i poprosiła:

– Lepiej mnie odwieź, żebym odebrała swój samochód.

Światło zmieniło się na zielone. Wjechałem na Sunset i dotarłem do wypielegnowanych magnolii w Ocean Heights tuż przed północą.

Zebrała się zimna, gęsta mgła. Esperanza Drive było ciche i otulone wszechpotężną ciemnością. Ani żywego ducha na ulicy. Okna w eleganckich bungalowach były czarne jak obsydian, oszczędny blask lamp ogrodowych zacierał się w bursztynowe smugi. Jedyne niektóre, podświetlane przyciski dzwonek u drzwi były w stanie przebić się przez opary; pomarańczowe kółka, które nas śledziły. Batalion małych oczu cyklopa.

Przednia szyba zaparowała i włączyłem wycieraczki. Szurały w leniwym takcie cztery na cztery i poczułem, że opadają mi powieki.

– Nigdy tu nie byłam o takiej porze – powiedziała Linda. – Jest niesamowicie. Tak... pusto.

– Los Angeles, ale inne – odparłem i zbliżałem się powoli w kierunku szkoły. Gdy byliśmy niedaleko miejsca, w którym zostawiła samochód, zauważyłem coś. Jeszcze jedną parę oczu. Czerwone źrenice. Tylne światła. Drugi samochód zaparkowany przy ulicy.

Mgła zgęstniała. Nie widziałem nic na trzy metry przed sobą. Włączyłem wycieraczki na szybsze obroty, ale szyba wciąż pokrywała się rosą i parowała w rytm taktu na cztery. Zwolniłem, podjechałem bliżej i zobaczyłem we mgle jakiś ruch pochwycony w świetle reflektorów. Nagle dotarła do nas ostra muzyka: monotonna perkusja, a następnie solówka tłuczonego szkła.

– Hej – krzyknęła Linda – Co do... to mój samochód!

Znowu stukanie i brzęk. Chrząst i zgrzyt metalu o metal.

Wdepnąłem pedał gazu i wyrwaliśmy do przodu. Zobaczyłem jakąś poruszającą się postać i usłyszałem odgłos kroków, mimo że szurały wycieraczki, a potem warkot innego silnika. Otworzyłem okno i wrzasnąłem:

– Co tu się, do diabła, dzieje?

Zapisały opony i tylne światła zmniejszyły się do rozmiarów główki od szpilki, aż w końcu zniknęły we mgle.

Zaciągnąłem ostro hamulec ręczny i siedziałem, oddychając ciężko. Słyszałem oddech Lindy, jeszcze szybszy od mojego. Wyglądała na przerażoną, ale uczyniła gest, jakby chciała wysiąść. Przytrzymałem ją za nadgarstek i powiedziałem:

– Poczekaj.

– Och, Jezu Święty!

Wyłączyłem wycieraczki. Przesiedzieliśmy okropną minutę. Jeszcze jedną. Gdy już byłem pewien, że jesteśmy sami, wysiadłem z samochodu.

Zimna, cicha ulica. Mgła pachniała ozonem.

Na ulicy leżały odłamki szkła, błyszcząc na mokrej jezdni jak topniejący grad.

Spojrzałem w obie strony ulicy na szereg wciąż ciemnych bungalowów.

Cisza aż dzwoniła w uszach. Nie dostrzegłem nawet jednego okna, w którym zapaliłoby się światło, nikt nie przejawiał najmniejszej oznaki ciekawości.

Mimo hałasu Ocean Heights spało spokojnie. Albo udawało, że śpi.

Linda wysiadła z samochodu. Obejrzelismy jej escorta. Przednia szyba niewielkiego samochodu była wybita. Potłuczono też szyby po stronie kierowcy. Pokrywa maski była wgnieciona i podziurawiona, aż przeświecał goły metal. Wszędzie błyszczały odpryski szkła, które zebrały się we wgniecionych miejscach.

– Och nie – powiedziała, chwytając mnie za ramię i wskazując na samochód.

I jeszcze coś – biały niegdyś dach był pokryty szaleńczymi bazgrołami czerwonej i czarnej farby w aerozolu.

Sztuka abstrakcyjna. Skłębiony, zagmatwany portret nienawiści.

Abstrakcyjna, z wyjątkiem jednego wyraźnego elementu.

Na drzwiach od strony kierowcy, pociągnięta farbą kilkakrotnie dla większej wyrazistości, z okrucieństwem łatwym do rozpoznania nawet we mgle, widniała czarna swastyka.

Rozdział trzynasty

Ręce trzęsły jej się tak, że nie mogła włożyć klucza do zamka, więc ja otworzyłem drzwi do szkoły. Zdołała znaleźć włącznik światła w korytarzu, zapaliła je i poszliśmy do jej gabinetu, skąd zadzwoniłem do Mila. Odpowiedział zaspanym głosem. Kiedy mu zrelacjonowałem, co się stało, mruknął:

– Zaraz tam będę.

Przyjechał pół godziny później. Cały czas siedzieliśmy w milczeniu. Obejmując ramiona Lindy, czułem sztywność jej ciała. Oswobodziła się, zaczęła chodzić tam i z powrotem, przekładać papiery, poprawiać włosy. Kiedy wszedł Milo, uspokoiła się, podziękowała mu za przybycie, ale wydawała się chłodna.

Milo przesłuchał ją z łagodnością, jaką stosował zawsze wobec dzieci, które były świadkami zbrodni, odłożył notes i powiedział:

– Przykro mi, że musiała pani przez to przejść.

– A co nowego może mi pan powiedzieć? – spytała.

Wstał.

– Zadzwonię z pani telefonu i ściągnę chłopaków od zdejmowania odcisków palców, ale to trochę potrwa, więc może oboje pojedziecie do domu. Mam już wszelkie informacje, jakie były mi potrzebne.

– Żadnych odcisków palców – zaprotestowała. – Nie chcę tu znowu tego cyrku z prasą.

Milo spojrzał na mnie, potem na nią.

– Doktor Overstreet, jesteśmy na terytorium, gdzie nie zauważa się zła. Jeśli ktoś po drugiej stronie ulicy widział, co się stało, nie piśnie ani słowa. A nawet jeśli znajdziemy jakąś szczerą osobę, istnieją duże szanse, że niczego nie widziała z powodu mgły. Tak więc zdjęcie z samochodu odcisków palców jest naszą jedyną szansą, żeby się czegoś dowiedzieć.

– Używali łomów albo czegoś podobnego do łomów. Jaka jest szansa znalezienia odcisków palców na samochodzie? – zapytała.

– Marna – przyznał. – Chyba że któryś się poślizgnął i dotknął samochodu. Ale bez odcisków nie mamy zupełnie nic, równie dobrze możemy zapomnieć o tym wydarzeniu.

– Tego właśnie chcę, detektywie Sturgis. Zapomnieć o tym. Milo podrapał się po nosie.

– To znaczy, że nie chce pani wnieść sprawy?

– Lindo...– powiedziałem.

– Właśnie tak – odparła. – Dzieci przeszły już wystarczająco wiele. Jak my wszyscy. Nie potrzeba nam nowego strachu.

– Lindo, jeśli istnieje jakieś niebezpieczeństwo, nie sądzisz, że dzieci i ich rodzice powinni o tym wiedzieć? – spytałem.

– Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, to po prostu dalszy ciąg tych wybryków, jakie mieliśmy od początku. Strzelanina znów ściągnęła na nas uwagę i pojawił się jakiś następny karaluch. I będzie ich więcej – będą dzwonić, przysyłać listy. Do czasu, aż znajdą sobie kogoś innego, komu mogliby podokuczać. Więc po co mielibyśmy to nagłaśniać? I tak nikogo nie złapiecie, a jeszcze więcej dzieci zacznie się bać i opuszczać lekcje. O to im właśnie chodzi.

Ta harda przemowa pod koniec zaczęła ją dławić. Oddychała szybko, z emocji wbiła paznokcie w poręczę kanapy tak mocno, że usłyszałem tarcie o materiał.

Spojrzałem na Mila.

– Zatrzymała pani któryś z tych listów? – spytał.

– Dlaczego pana to interesuje?

– W razie gdybyśmy kiedyś złapali tego gówniarza, który zniszczył pani samochód, co jest mało prawdopodobne, może moglibyśmy dopasować jego odciski palców do widniejących na którymś z listów, i żeby mu nie było tak wesoło, wysunąć przeciwko niemu oskarżenie federalne. Nie wie pani nawet, jak okrutni potrafią być ci inspektorzy pocztowi.

– Mówiłam panu, że nie chcę, żeby to się stało sprawą publiczną – powtórzyła.

Milo westchnął.

– Rozumiem to i obiecuję, że nie podejmiemy oficjalnego dochodzenia. Właśnie dlatego powiedziałem: „co jest mało prawdopodobne”. „Niemal nieprawdopodobne” byłoby właściwszym określeniem. Ale powiedzmy, że ten wandal wróci – rozzuchwalony, że uszło mu to na sucho. I powiedzmy, że ktoś go przyłapie na gorącym uczynku. Chyba pani nie powie, że powinniśmy go puścić wolno, prawda?

Popatrzyła na niego, otworzyła z impetem szufladę biurka i wyciągnęła stertę kopert przewiązanych sznurkiem.

– Proszę. – Rzuciła pakiet w jego stronę. – Cała moja kolekcja. Miałam je podarować instytutowi Smithsonian, ale należą do pana. Przyjemnej lektury.

– Kto ich jeszcze dotykał poza panią i pani sekretarką?

– Tylko my. I doktor Delaware.

Milo uśmiechnął się.

– Sadzę, że jego możemy wykluczyć.

Nie odpowiedziała.

– Ma pani coś, w co mógłbym to włożyć?

– Zawsze do usług, detektywie. – Otworzyła inną szufladę, znalazła dużą kopertę i wrzuciła do niej stertę listów.

– A co byś powiedział na jakieś zwiększone środki ochrony, Milo? – spytałem. – Więcej patroli.

Oboje odwrócili się w moją stronę i wymienili spojrzenia, jakby wiedzieli coś, czego ja nie wiem. Gliniarz i dziecko gliniarza. Poczuję się jak nowo przybyły imigrant, który nie zna języka.

– Mogę kazać każdej zmianie patrolowej przejechać tędy raz, Alex, ale to raczej w niczym nie pomoże – powiedział.

– Przepraszam, że pana tutaj ściągaliśmy. Gdybym to przemyślała racjonalnie, nie kłopotałabym pana.

– Żaden kłopot – odparł. – Gdyby pani zmieniła zdanie albo chciała wypełnić raport na potrzeby ubezpieczenia, proszę dać mi znać. Mogę pani załatwić pewne formalności, może nawet przyspieszyć załatwienie sprawy. A na razie odholujemy pani samochód.

– Jeśli jest sprawny, sama pojedę nim do domu.

– Chyba żartujesz – powiedziałem.

– Czemu nie? – spytała. – Uszkodzono prawdopodobnie tylko karoserię. Jeśli ruszy, zabieram go do domu. Jutro zadzwonię do swojej firmy ubezpieczeniowej i zabiorą go stamtąd. Władze dzielnicowe zapłacą za wynajęcie drugiego, jedyny plus pracy w charakterze urzędniczki państwowej.

– Lindo, bez przedniej szyby zamarznie.

– Trochę świeżego powietrza dobrze mi robi.

Pogrzebała w torebce i wyjęła kluczyki.

Spojrzałem na Mila. Wzruszenie jego ramion oznaczało: *Nolo contendere*.

We trójkę opuściliśmy gabinet. Linda szła kilka kroków przed nami. Nikt się nie odzywał.

Ulica na zewnątrz wciąż była cicha i zdawała się bardziej wilgotna. Mgła osiadała. Escort wyglądał jak rzeźba ze złomu. Linda wsiadła, wykorzystując drzwi od strony pasażera. Gdy je zamknęła, wydały niezdrowy, grzechoczący odgłos. Kilka kawałków szkła upadło na ulicę i zabrzęczało jak dzwoneczki na wietrze.

Milo i ja staliśmy obok, a ona wepchnęła kluczyk do stacyjki. Samochód zadławił się i zastękał. Przez chwilę sądziłem, że jest jakieś uszkodzenie mechaniczne, ale przypomniałem sobie, że gdy go słyszałem po raz pierwszy, wydawał takie same odgłosy.

Linda nie dawała za wygraną.

– Harda kobieta – powiedział Milo.

– Sądzisz, że to właściwy sposób załatwienia sprawy? – spytałem.

– To ona jest ofiarą. Jej wybór, Alex.

– Nie o to pytałem.

Przesunął dłonią po twarzy.

– W gruncie rzeczy chyba ma rację. Wie, jak to się wszystko odbywa, wie, że nigdy nie złapiemy tych dupków. Ściągnęłyby tu jeszcze więcej kamer telewizyjnych i dziennikarzy.

Escort zastartował, po czym zadławił się i zamarł.

– W porządku – powiedziałem. – Przepraszam, że wezwałem cię w środku nocy na próżno.

– Nie szkodzi. I tak nie mogłem zasnąć.

Przypomniałem sobie, jak sennie jego głos brzmiał przez telefon, ale nie skomentowałem tego. Wyjął łańcuszek od kluczy i zaczął nim kręcić jak lassem. Spojrzał na swastykę i na rząd ciemnych domów.

– W cudownych czasach żyjemy, Alex. Narodowy Tydzień Braterstwa.

To mi o czymś przypomniało.

– Jak poszło twoje spotkanie z panią Ferguson?

– Nic specjalnego. Zadzwoń do mnie jutro, to ci opowiem. A teraz idź i dopełnij swojego obywatelskiego obowiązku.

– To znaczy?

– Dopilnuj, żeby nasza doktor Blond dotarła bezpiecznie do domu.

Poklepał mnie po ramieniu i z trudem wsiadł do samochodu. Ledwie odjechał, silnik escorta zaskoczył. Linda kilkakrotnie nacisnęła pedał gazu. Podeszedłem do rozbitego okna.

– Pojadę za tobą do domu, Lindo.

– Dzięki, ale nic mi nie będzie. To naprawdę nie jest konieczne. – Po policzkach płynęły jej łzy, ale przybrała niezłomny wyraz twarzy – niemal komicznie poważny. Dłoń oparta na kierownicy była mocno napięta i biała jak kreda. Dotknąłem jej. Znowu kilka razy wdepnęła pedał gazu. Escort wydał odgłos jak chrząkający staruszek.

– Może być uszkodzona chłodnica – powiedziałem. – Coś, czego nie widać na pierwszy rzut oka. Jeszcze tego brakuje, żebyś gdzieś utknęła.

Spojrzała na mnie. Z fryzury wysunęło się wiele jasnych kosmyków. Rozmazał jej się tusz do rzęs i powstały kreski jak na twarzy kłowna.

Dotknąłem jej policzka.

– Daj spokój, od czego ma się przyjaciół?

Znowu spojrzała na mnie, zaczęła coś mówić, zamknęła oczy i przytaknęła.

Pojechałem za nią na wschód bulwarem Sunset, potem na południe, mijając ciemne markizy przed kinami, zaśmiecone Westwood Village, aż za Pico i ogromny postmodernistyczny gmach Westside Pavilion. Niedaleko alei Overland, gdzie w ubogich czasach studenckich zajmowałem zapuszczone mieszkanie.

Escort jechał, pobrzękując – bez tylnych świateł, tylko z jednym reflektorem z przodu – zrzucając z siebie odłamki szkła i płatki farby. Swastyka przywodziła mi na myśl zniszczony samochód hitlerowskich oficjeli. Ale mimo żalosego wyglądu wrak poruszał się dość szybko i musiałem się skupić, żeby nie zgubić Lindy, gdy skręciła kilka razy w boczne ulice. Zatrzymała się przed kompleksem mieszkalnym na końcu ślepej uliczki.

Budynek był pokracznym monolitem. Cztery kondygnacje brzoskwiniowego, chropowatego tynku, z żelaznymi barierkami balkonów w kolorze morskiej zieleni i z podjazdem utrzymanym na tyle schludnie, żeby nie ściągał uwagi władz dzielnicowych. Skądś dobiegał cichy pomruk. Poprzez gałęzie zabiedzonego drzewa pieprzowego autostrada do San Diego migała szaleńczo światłami.

Stromy zjazd prowadził do podziemnego parkingu, odgradzonego bramą w kolorze morskiej zieleni. Linda wsunęła kartę magnetyczną do szczeliny i brama się otworzyła. Zostawiła kartę w automacie i wjechała do środka. Docisnąłem kartę, żeby brama się nie zamknęła, wyjąłem ją i pojechałem za Linda. Parking był na wpół opustoszały, zatrzymałem się więc obok escorta.

– Domu, słodki domu – powiedziała, wysiadając. Włosy miała potargane, policzki zaróżowione. Dotknęła ich. – Ach, te spaliny. Oto mój komentarz na temat jeżdżenia samochodem bez szyb.

– Odprowadzę cię do mieszkania.

– Skoro nalegasz – zgodziła się bez irytacji.

W małym korytarzu z błyszczącą, foliową tapetą we wzór przedstawiający srebrne pędy bambusa stała tylko jedna wyściełana ławka i gaśnica przeciwpożarowa.

– Mieszkam na trzecim piętrze – powiedziała i wcisnęła guzik. Winda była wielkości szafy. Gdy drzwi się zamknęły, stanęliśmy blisko siebie. Dotykaliśmy się bokami. Czuliśmy swój oddech. Jej perfumy. Moją wodę po goleniu. To wszystko podkreślone gorzkim, hormonalnym zapachem stresu.

Spojrzała na podłogę.

– Niezła randka, hmm?

– Przynajmniej nie możesz mi zarzucić, że było nudno. Roześmiała się, po czym wpadła w głośny, spazmatyczny szloch i wcisnęła się w kąt windy. Otoczyłem ją ramieniem i przyciągnąłem do siebie. Przytuliła się, skrywając twarz. Pocałowałem ją w czubek głowy. Rozpłakała się na dobre, a ja przytuliłem ją mocniej. Podniosła wzrok. Usta miała lekko rozchylone. Kiedy wycierałem jej łzy, poczułem, że ma lodowate policzki.

Wreszcie wysiedliśmy z windy.

– Na samym końcu – wymamrotała.

Powoli posuwaliśmy się korytarzem wyłożonym zieloną, foliową tapetą. Zalatywało tu pleśnią. Obejmowała mnie obiema rękami w pasie.

W mieszkaniu unosił się słodki zapach jej perfum. Salon był mały i ciasny. Ściany w ostrygowym kolorze, rośliny w doniczkach, tekowe obijane gładkim płótnem meble, złocista wykładzina, pokryta śladami po odkurzaczu. Wszystko schludnie ustawione i poukładane. Posadziłem ją na kanapie w niebiesko-różowe pasy, ułożyłem stopy na podobnej otomanie i zdjąłem jej buty. Zasłoniła oczy ramieniem i oparła się.

Kuchnia była malutka i przechodziła w aneks jadalny dwa metry na dwa, w którym ledwo mieścił się stół o grubym blacie i potężnych nogach. Ekspres, sterta filtrów i puszka kolumbijskiej, ciemnej, palonej kawy stały na bufecie obok pustej tablicy z napisem: SPRAWY DO ZAŁATWIENIA. Zaparzyłem tyle, żeby wystarczyło na kilka filiżanek i napełniłem dwa kubki kupione w zoo, w Los Angeles – z zebłą i z koalą.

Gdy wróciłem do salonu, siedziała prosto, przyglądając mi się uważnie. Była oszołomiona, włosy wciąż miała rozwiane przez wiatr.

Podąłem jej kawę, sprawdzając, czy mocno trzyma kubek, po czym usiadłem naprzeciwko niej.

Przysunęła usta do krawędzi kubka, chwilę wdychała unoszącą się parę, wreszcie napiła się trochę.

– Czy jeszcze coś ci podać?

Podniosła wzrok.

– Proszę, podejdź bliżej.

Usiadłem obok niej. Kiedy wypiliśmy kawę, zapytałem:

– Jeszcze?

Postawiła kubek na stoliku i westchnęła:

– O Boże, co jeszcze mnie spotka? – Znów oparła głowę na moim barku.

Otoczyłem ją ramieniem, gładziłem po włosach. Odwróciła głowę, tak że jej usta otarły się o moje – był to bardzo delikatny kontakt – po czym zwróciła się ku mnie i przycisnęła usta do moich, najpierw ostrożnie, potem mocniej. Poczułem, jak się rozchylają. Jej język był gorący i miał aromat kawy, ślizgał się po moich zębach, badał mój język, dociskał się do niego, bawił się z nim.

Nie przerywając pocałunku, odstawiłem swój kubek. Wtuliliśmy się w siebie mocno.

Zadrzała i pogłaskała mój kark. Masowałem jej ramiona, pozwoliłem dłoniom zejść niżej, gładzić wypukłości kręgosłupa, szczupłe zarysy jej ciała. Pocałowała mnie jeszcze łapczywiej, wydając nagłące gardłowe dźwięki. Dotknąłem jej pośladków, kolan. Poprowadziła moją dłoń wyżej. Poczułem wewnętrzną stronę jej gładkiego i chłodnego uda pod nylonem rajstop. Uniosła się, obciągnęła rajstopy i obnażyła długą białą nogę. Dotknąłem jej odsłoniętego ciała. Bardziej miękkiego, chłodniejszego. Nagle zaczerwieniła się, zadrzała jeszcze bardziej. Jej dłonie zostawiły moją szyję i manipulowały przy rozporoku. Jeszcze trochę poszperała z zamkniętymi oczami. Znalazła.

Otworzyła szeroko oczy.

– O Boże! – jęknęła, odetchnęła głęboko i osunęła się niżej.

Zajęła się mną jak w zapamiętaniu. Gdy podniecenie stało się zbyt intensywne, odciągnąłem ją, pocałowałem w usta, wziąłem w ramiona, wstałem i zaniósłem do sypialni.

Granatowoczarna ciemność, jedynie odrobina księżycowego światła, sączącego się przez żaluzje. Wąskie mosiężne łóżko, pokryte czymś, co w dotyku przypominało atlas.

Położyliśmy się złączeni, wciąż częściowo ubrani i wykonaliśmy powolny, poziomy taniec, całując się bezustannie, poruszając zgodnie, jakbyśmy byli kochankami od dawna.

Osiągnęła szczyt bardzo szybko, nieoczekiwanie. Krzyknęła, szarpnęła mnie za włosy tak mocno, że aż zaboląły cebulki.

Oddychała ciężko przez długi czas, wczepiona we mnie. W końcu powiedziała:

– Boże, nie mogę uwierzyć, że to robię.

Uniosłem się na łokciach. Pociągnęła mnie na siebie zdecydowanie, zarzuciła mi ręce na plecy i ścisnęła tak mocno, że ledwo mogłem oddychać.

Znowu zaczęliśmy się całować. Delikatniej. Zatraciliśmy się. Po jakimś czasie zdyszana oderwała się od moich ust.

– Och, muszę... złapać oddech.

Stoczyłem się z niej i też oddychałem głęboko. Byłem zlany potem. Ubranie poskręcało mi się i poowijało wokół ciała.

Linda usiadła. Kiedy przyzwyczailem się do ciemności, zauważyłem, że ona ma cały czas zamknięte oczy. Rozpięła suwak sukienki, wysunęła ramiona z rękawów i pozwoliła, żeby materiał opadł wokół niej. Miała białe, drobnokościste, ale mocne ramiona, a na szczycie każdego z nich apetyczne wzgórki. Pocałowałem je. Jęknęła cicho, strząsnęła włosy z twarzy i odchyliła się do tyłu, opierając na dłoniach. Rozpiąłem jej stanik, oswobodziłem niewielkie, ale ciężkie piersi. Objąłem je i całowałem małe sutki, gładkie i twarde jak rzeczne kamyki.

Rozebraliśmy się i wsunęliśmy pod kołdrę.

Jej usta wydawały się żarłoczne. Podbrzusze od pępka do łona rozdzielała linia meszku, a biodra rozszerzały się niemal prostopadle do drobnej, wąskiej talii. Zacząłem je masować, poczułem, jak krew pulsuje pod skórą. Dłonie Lindy zdążyły się rozgrzać. Pociągnęła mnie na siebie niecierpliwie. Krągłe, sprężyste, zachęcające biodra, otaczające mnie miękkim pulsującym jestestwem.

I tym razem szczytowała pierwsza, poczekała na mnie z rozmarzonym, zadowolonym wyrazem twarzy i gdy skończyłem, zapadła w sen, przytulając mnie mocno.

Pograżała się we śnie coraz głębiej, wciąż obejmując mnie w pasie. Ułożyła głowę w zagłębieniu mojej szyi i chrapała mi delikatnie do ucha.

Zupełnie inaczej niż Robin, która zawsze kończyła sprawę przyjacielskim, mocnym pocałunkiem, po czym przekręcała się na drugi bok, ziewała, przeciągała się. Jej potrzebna była przestrzeń...

Robin, z kasztanowymi włosami i z migdałowymi oczami. Prężne ciało, silne ramiona osoby, która pracuje rękami, naturalne sportowe reakcje...

I ta kobieta. Ta obca... delikatna, wiotka i biała jak lilia, niemal bierna.

Ale tej byłem potrzebny, ta trzymała mnie mocno przez sen.

Jedna dłoń w moich włosach. Druga zaciśnięta wokół moich bioder.

Delikatne więzienie.

Leżałem bez ruchu, omiatając wzrokiem pokój.

Białe meble, reprodukcje na ścianach. Na toaletce kilka pluszowych zwierząt. Buteleczki z perfumami na lustrzanej tacy. Książki w miękkich okładkach. Cyfrowy zegar wskazujący 1.45 w nocy.

Trzy piętra niżej przejechał z hukiem samochód z rozregulowanym silnikiem. Linda wzdrygnęła się, jej oddech zamarł, przyspieszył, lecz się nie obudziła.

Zaczęły do mnie docierać inne dźwięki. Gdzieś w budynku ktoś spuścił wodę w toalecie. Jeszcze jeden samochód. Następnie niski pomruk, głęboki i nieprzerwany, jak śpiewy gregoriańskie. Pogrzebowa pieśń autostrady. Samotny dźwięk. Lata temu brzmiał dla mnie jak kołysanka...

Wtuliła się we mnie mocniej. Jedna moja ręka leżała pomiędzy jej nogami, w cudownym potrzasku. Druga spoczywała na szyi, gdzie wyczuwałem powolny i silny puls.

Jednym palcem uniosłem kołdrę i zerknąłem na nasze splecione ciała, niemal tej samej długości. Jednak jej było znacznie jaśniejsze, delikatniejsze, bezwłose.

Sól i pieprz zastygłe na wąskim łóżku.

Pocałowałem ją w policzek. Przycisnęła mnie mocniej, wbiła paznokcie w moją klatkę piersiową i przerzuciła przeze mnie jedną nogę.

Zastanawiałem się, w co się wplątałem.

Rozdział czternasty

Następnego ranka, kiedy się obudziłem, byłem w łóżku sam. Czułem zapach szamponu, z łazienki wydobywało się wilgotne ciepło. Linda siedziała przy potężnym stole kuchennym, ubrana w czarne kimono z wizerunkiem kwitnącej wiśni. Mokre włosy gładko zaczesła do góry. Pociemniały od wody i miały teraz kolor karmelowy. W uszy wpięła klipsy w kształcie koralowych muszelek. Przed nią stała nietknięta szklanka soku pomarańczowego. Bez makijażu, z pobladłą twarzą, Linda mogła uchodzić za studentkę.

– Dzień dobry, pani nauczycielko – powiedziałem.

– Cześć. – Uśmiechała się ostrożnie. Mocniej zaciągnęła szlafrok. Kilka centymetrów kwadratowych dekoltu, jakie mogłem dostrzec, były białe i lekko zarumienione. Stałem za nią i pocałowałem w kark. Jej skóra pachniała płynem po kąpieli. Odchyliła głowę, dotknęła nią mojego brzucha i pokiwała nią w górę i w dół. Musnąłem jej policzek i usiadłem.

– Na co masz ochotę? – spytała.

– Tylko sok. Sam wezmę.

– Proszę, weź mój. – Podała mi szklankę. Napiłem się.

– A więc – powiedziała.

– A więc.

Spojrzałem w stronę kuchni.

– Zauważyłem, że tablica spraw do załatwienia jest pusta. Masz na dzisiaj jakieś plany?

Potrząsnęła głową. Wyglądała na zakłopotaną.

– Jakiś problem?

Znów potrząsnęła głową.

– Co cię trapi, Lindo?

– Nic. Wszystko w porządku. – Uśmiechnęła się szeroko.

– To dobrze. – Wypiłem sok.

Wstała i zaczęła porządkować salon, który nie wymagał porządkowania. Włosy opadały jej na kark, kłapiąc mokrą płachtą o czarny jedwab. Była boso. Miała wąskie stopy o wygiętych palcach

i paznokciach pomalowanych na różowo, mimo że paznokcie u rąk nie były pomalowane.

Skrywana próżność. Kobieta, która ceni intymność.

Podszedłem do niej i objąłem ją. Nie oponowała, ale również się nie poddała.

– Wiem. Szybkie tempo – powiedziałem.

Roześmiała się krótkim, gniewnym śmiechem.

– Przez bardzo długi czas udawałam, że nie mam żadnych potrzeb. Nagle pojawiaasz się ty i ni stąd, ni zowąd staję się kłębkim pragnień. Zbyttno przypomina mi to słabość.

– Doskonale cię rozumiem. W moim przypadku też upłynęło dużo czasu.

Odwróciła się ostro. Popatrzyła mi w oczy w poszukiwaniu kłamstwa.

– Czyżby?

– Tak.

Patrzyła jeszcze chwilę, po czym chwyciła moją twarz obiema rękami i pocałowała mnie tak zapalczywie, iż wydało mi się, że wiruję.

Gdy przestaliśmy, powiedziała:

– Boże, zapaliły się wszystkie moje wewnętrzne sygnały ostrzegawcze. – Ale wzięła moją prawą dłoń i przyłożyła ją do swojej lewej piersi, w miejscu gdzie bije serce.

Później przygotowała mi kąpiel, uklękła na dywaniku i wyszorowała mi plecy gąbką. Jak na mój gust było to wręcz służalcze, ale nalegała. Po jakiejś chwili zaproponowałem:

– Może też wejdiesz?

– Nie. – Dotknęła swoich wciąż mokrych włosów. – Już jestem wystarczająco nasiąknięta wodą.

Dalej szorowała mi plecy, a ja zamknąłem oczy. Zaczęła nucić jakąś prostą melodię. Stwierdziłem, że ma niezwykle słodki głos. Brzmiał jak organy pod dłonią wirtuoza. Wsłuchałem się dokładniej. Zaczęła nucić głośniejsze.

Przerwała.

– Masz wspaniały głos.

– Pewnie, prawdziwa ze mnie śpiewaczka.

Otworzyłem oczy. Nachmurzyła się.

– Śpiewałaś kiedyś zawodowo?

– Jasne, w operze Metropolitan, w Carnegie Hali, a w Superdome na mój występ wyprzedali wszystkie bilety. Tylko że odczuwałam taki cholernie mocny pociąg do szkolnictwa. Podaj mi szampon.

Nerwowość w jej głosie dała mi do zrozumienia, że dotknąłem kolejnego drażliwego tematu. Ileż jest jeszcze niebezpiecznych stref na drodze do poznania jej? Zmęczony omijaniem tych tematów, spytałem:

– Kiedy to było?

– Bardzo dawno.

– Nie mogło być aż tak dawno.

– W czasach studenckich. Minęło wystarczająco dużo czasu od tamtej pory.

– Ja też na studiach parałem się muzyką.

– Naprawdę?

– Wieczorami grałem na gitarze, żeby podnieść się na duchu.

– Na gitarze. – Jej usta wygięły się w dół. – To miłe – odparła chłodno.

– To też niebezpieczna strefa, Lindo? – zapytałem.

– Co... o czym ty mówisz?

– Gdy poruszam pewne tematy, które dotyczą na przykład policjantów, a teraz muzyki, wyczuwam wyraźnie znak ostrzegawczy „zakaz wstępu”.

– Co ty opowiadasz. – Wskazała na butelkę z szamponem. – Mam ci umyć włosy czy nie?

Podąłem jej butelkę. Gdy skończyła, przyniosła mi ręcznik i wyszła z łazienki.

Wytarłem się, ubrałem i wszedłem do sypialni. Siedziała przed toaletką i nakładała cienie na powieki. Sprawiała wrażenie rozzalonej.

– Przepraszam – powiedziałem. – Zapomnij o tym.

Zaczęła czesać włosy.

– Ten gliniarz nazywał się Armando Bonila. Był z policji w San Antoniom, rekrut w policyjnym wozie. Gdy go poznałam, miałam zaledwie dwadzieścia lat, byłam na trzecim roku Uniwersytetu Teksykańskiego. On miał dwadzieścia dwa, był sierotą. Pochodził ze starej, meksykańskiej rodziny, ale

ledwo mówił po hiszpańsku. Taki typ latynoskiego kowboja, jakich spotyka się w Teksasie. Nosił tak długie włosy, że wydział policji tego nie tolerował. Spędzał wieczory, grając w zespole na gitarze. – Potrząsnęła głową. – Stara, dobra gitara.

Zaśmiała się z rozgoryczeniem.

– Sześciostunowa gitara z modulatorem. Palce aż mu fruwały. Samouk – miał to w genach. Trzej pozostali faceci w zespole też byli policjantami. Znali się od szóstej klasy podstawówki. Poszli do policji, żeby dostać jakąś stałą pracę, ale zespół był ich prawdziwą miłością. Wspaniała Czwórka. Snuli fantazje o kontraktach nagraniowych, ale żaden z nich nie był na tyle ambitny i nie miał na tyle dużej siły przebicia, żeby do tego dążyć i nigdy nie wyszli poza występy w barach. Właśnie w taki sposób ich poznałam... jego poznałam, na wieczorze amatorskich muzyków w barze koło Alamo. Mój tato od czasu do czasu grał na skrzypcach i ciągle zachęcał mnie do muzyki. Chciał, żebym śpiewała. Tradycyjne country and western – to, co jemu się podobało. Kiedy miałam osiem lat, znałam co do jednej nutki wszystkie piosenki Boba Willsa.

Tego wieczoru zaciągnął mnie tam, a potem kazał mi wstać i zaśpiewać. Piosenkę Patsy Cline. Rozpadam się na kawałki. Byłam taka zdenerwowana, że głos mi się łamał. Wypadłam okropnie. Ale konkurencja była kiepska i wygrałam – dostałam kupon na parę butów i zaproszenie, żeby przyłączyć się do zespołu. Grali country-rocka: kawałki Eagles, Rodneya Crowella czy Buddy Holly'ego. Mondo grał wersję La Bomby. Zakładał wtedy kapelusz parodiujący sombrero i śpiewał z ciężkim, hiszpańskim akcentem, mimo że nie wiedział, co znaczą wszystkie słowa. Zmienili nazwę zespołu na Wspaniała Czwórka i Lady Spluwa. Zaczęłam występować. Pewnie ci się zdaje, że tatuś był zachwycony – muzyka i grupa gliniarzy. Ale nie podobał mu się fakt, że byli Meksykanami – choć nigdy by się do tego głośno nie przyznał. W San Antonio istnieje taki potężny mit, że Latynosi i biali żyją razem w harmonii, ale gdy rozwiązują się języki przy posiłkach w domowym gronie, okazuje się, iż tak nie jest. Więc zamiast powiedzieć o tym otwarcie, marudził, że nie gramy nic wartościowego, że późno wracam z występów do domu, że załatuję alkoholem i dymem. Mondo próbował zaprzyjaźnić się z nim na stopie zawodowej – tato pracował w tym samym wydziale, dorobił się stopnia sierżanta, zanim przyjęli go do desantowców. Ale to niczego nie zmieniło. Chłodno traktował Mondę. Powiedział mi, że ci faceci to beztroscy ulicznicy, którzy paradują jako obrońcy pokoju publicznego, że nie mają nic wspólnego ze wspaniałymi muzykami jego czasów. Najbardziej wściekała go świadomość, że to on mnie w to wciągnął. Im bardziej mnie strofował, tym bardziej robiłam się stanowcza. Jeszcze silniej związałam się z Mondem, który był naprawdę słodki i naiwny pod tą pozą silnego faceta. W końcu strasznie pokłóciłam się z ojcem – uderzył mnie w twarz. Spakowałam rzeczy i wyprowadziłam się do mieszkania, gdzie mieszkał Mondo i dwóch innych facetów z zespołu. Ojciec przestał się do mnie odzywać, kompletnie mnie ignorował. Miesiąc później – tuż po Bożym Narodzeniu – zaręczyłam się z Mondem.

Przerwała, przygryzła wargę i zaczęła chodzić tam i z powrotem.

– Mniej więcej miesiąc po zaręczynach pozbawili go munduru i przydzielili do jakiegoś tajniackiego zadania, o którym nie wolno mu było mówić. Domyślałam się, że chodzi o narkotyki albo nierzęd, albo coś związanego ze sprawami wewnętrznymi. Jednak cokolwiek to było, zupełnie zmieniło nasze życie. Pracował nocami, sypiał za dnia, czasami nie było go przez tydzień. Zespół się rozleciał. Bez niego nic nie znaczył. Ja wykorzystywałam wolny czas na naukę, ale chłopcy wpadli

w depresję – zaczęli pić i używać innych rzeczy – taka zła fala. Mondo też zaczął pić. I palić trawę, czego nigdy wcześniej nie robił. Zapuścił jeszcze dłuższe włosy, przestał się golić, nosił jakieś łachy, nie kąpał się zbyt często – jakby światek przestępczy pozostawiał na nim swoje piętno. Gdy go zrugalam, powiedział, że to część jego pracy, że gra taką rolę. Ale wiedziałam, że wpada w nałóg, i zastanawiałam się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie tak jak dawniej.

Miałam zaledwie dwadzieścia lat, byłam samotna, przerażona tym, w co się wdałam, niezdolna i niechętna do tego, żeby wrócić do ojca. Zapomniałam więc o dumie i żyłam zgodnie z wymaganiami Monda. Niezbyt zresztą wielkimi – rzadko bywał w domu. I nagle, na początku lutego, przyszedł w środku nocy, brudny i cuchnący, obudził mnie i oznajmił, że się wyprowadza. Jakaś bardzo poważna sprawa, nowe zlecenie – nie będzie go co najmniej przez miesiąc albo dłużej. Zaczęłam płakać, prosić go, żeby mi powiedział, co się dzieje, ale odparł, że to sprawy służbowe, że nie muszę wiedzieć – dla własnego dobra nie powinnam wiedzieć. Pocałował mnie w policzek – taki beznamiętny pocałunek, jakbyśmy byli bratem i siostrą – i odszedł. Widziałam go wtedy po raz ostatni. Dwa dni później dopadli go podczas obławy handlarze narkotyków i postrzelili. Jego i jeszcze jednego rekruta. Ten drugi facet przeżył, ale został kaleką. Mondo miał więcej szczęścia. Nie żył już, zanim zdążył paść. To była strasznie pochrzaniona akcja – handlarze i ulicznicy, gliniarze przebrani za handlarzy i uliczników. Rozniecili małą wojnę w manufakturze narkotyków w jednej z dzielnic slumsów. Zabili też czterech przestępców. Prasa nazwała to rzeźnią, narobili wiele hałasu o to, jak kiepsko ci dwaj byli przygotowani do tego rodzaju zadania. Poszli jak owieczki na rzeź.

Objęła się ramionami, usiadła na rogu łóżka, poza moim zasięgiem.

– Po tym wypadku rozkleiłam się, płakałam całymi dniami, nie jadłam i nie spałam. Nagle na ratunek przybył stary, dobry tato i zaniósł mnie – dosłownie – z powrotem do domu. Posadził w salonie, odtwarzał swoje stare płyty na siedemdziesiąt osiem obrotów i grał na skrzypcach dla swojej małej córeczki, jak za dawnych czasów. Nie mogłam jednak tego znieść i stałam się w stosunku do niego naprawdę wroga. Pyskowałam, robiłam na złość. Dawniej nigdy by tego nie tolerował – sprawiłby mi lanie, mimo że byłam dorosła. Ale przyjmował to z uległością, co mnie przerażało. Ale najważniejszym uczuciem tkwiącym we mnie był gniew. Byłam rozgniewana na życie. Obrażona na Boga. A potem zaczęły mnie nękać pytania. Dlaczego Mondo został przydzielony do zadania, z którym nie mógł sobie poradzić?

Pogrzeb jeszcze wszystko pogorszył – te salwy z karabinów i napuszone przemowy o odwadze. Jadąc na pogrzeb, siedziałam obok komendanta Monda i zażądałam wyjaśnień. Ten sukinsyn był starym przyjacielem taty, wciąż traktował mnie jak dziecko i odniósł się do mnie protekcyjnie. Ale gdy następnego dnia pojawiłam się w jego gabinecie i nie dawałam się zbyć, stracił cierpliwość – tak jak dawniej ojciec – i powiedział mi, że skoro Mondo i ja nigdy nie byliśmy prawnie małżeństwem, jedynie zamieszkiwaliśmy wspólnie, nie mam prawa do żadnych wyjaśnień ani renty po nim.

Wróciłam do domu z płaczem. Tato wysłuchał mnie, bardzo się zdenerwował, stał się niezwykle opiekuńczy i powiedział, że zajmie się tym sukinsynem. Nazajutrz komendant złożył nam wizytę. Pod pachą miał bombonierkę i butelkę whisky dla taty. Cały tonął w przeprosinach, zwracał się do mnie panienko Lindo i moja śliczna – tak nazywał mnie tato, gdy byłam mała. Siedział w salonie i mówił, że ciężar tej tragedii daje się nam wszystkim we znaki i że Mondo był wspaniałym facetem. Tato

przytakiwał, jakby on i Mondo bardzo się przyjaźnili. Następnie komendant wręczył mi kopertę z dziesięcioma studolarowymi banknotami – suma ta pochodziła ze składki policjantów. Dawał mi do zrozumienia, nie wypowiadając tego, że mimo iż nie był to związek usankcjonowany prawnie, on go za taki uważa. Powiedziałam mu, że nie chcę pieniędzy, zależy mi jedynie na poznaniu prawdy. Wtedy spojrzeli po sobie i zaczęli mówić spokojnym tonem o niebezpieczeństwach tego zawodu i bohaterstwie Monda. Komendant powiedział, że Mondo został wybrany do pracy jako tajniak, ponieważ był doskonały, miał świetne referencje. Gdyby tylko dało się cofnąć czas. Tato się dołączył i zaczął opowiadać mi o wszystkich swoich przeżyciach, że też niewiele brakowało, a byłby, jak Mondo, martwy. I o mamie, która dzielnie znosiła swój los, gdy jeszcze żyła. Ja również muszę być dzielna i żyć dalej.

Po jakimś czasie ta paplanina odniosła skutek. Zmiękłam, podziękowałam komendantowi za wizytę. Dałam wyraz swoim uczuciom – pogrążyłam się w żałobie. W końcu byłam w stanie to od siebie odsunąć. Skupić się na swoim dalszym życiu. Wszystko zdawało się układać dobrze, aż miesiąc później zadzwonił do mnie Rudy – jeden z pozostałych członków zespołu – i poprosił, żebym się z nim spotkała w restauracji na przedmieściach, niedaleko Hill Country. Był spięty, nie chciał powiedzieć, o co chodzi, tylko że to ważne. Gdy tam dotarłam, wyglądał okropnie – wycieńczony, blady. Strasznie schudł. Oznajmił, że rzuca pracę w policji i wyprowadza się do innego stanu – do Nowego Meksyku albo do Arizony. Spytałam, dlaczego. Powiedział, że pozostanie tam jest zbyt niebezpieczne i że po tym, co zrobili z Mondem, nie zaufa już nikomu w tym pieprzonym wydziale.

– O czym ty, do diabła, mówisz? – spytałam. Rozejrzał się, był strasznie nerwowy, jakby się bał, że ktoś go obserwuje.

– Wiem, że to zwali cię z nóg, Lindo, ale byłaś jego damą. Masz prawo wiedzieć. – Powiedział mi, że Mondo nie został odwołany z policji patrolowej, gdyż miał tak wspaniałe osiągnięcia. Wręcz przeciwnie. Miał kiepską opinię – niesubordynowany, długie włosy, krótki staż pracy, niskie umiejętności. Przydzielono mu niebezpieczne zadanie, żeby komuś oddać przysługę.

Przerwała i złapała się za brzuch.

– Boże, nawet po tylu latach nie mogę się z tym oswoić.

– Twój tata.

Kiwnęła głową.

– On i jego stary kumpel, komendant. Wrobili go. Wiedzieli, że nie da sobie rady. Jakby wpuścili nowicjusza do dżungli. Wiadomo, co się stanie wcześniej czy później. Owieczka idąca na rzeź. To było prawie morderstwo z premedytacją, jak powiedział Rudy, ale nic nie mógł udowodnić. Już to, że o wszystkim wiedział, było dla niego niebezpieczne i dlatego wynosił się z miasta.

Wyszedł z kawiarni, oglądając się cały czas przez ramię. Ruszyłam stamtąd, jadąc przez miasto jakieś dziewięćdziesiąt mil na godzinę. Czułam się, jakbym opuściła swoje ciało, drętwa, jak aktorka we własnym koszmarze sennym. Gdy weszłam do domu, tato siedział w salonie. Grał na skrzypcach. Uśmiechnął się szeroko. Wystarczyło jedno jego spojrzenie na moją twarz. Odłożył smyczek –

wiedział. Zaczęłam na niego wrzeszczeć, bić go. Zareagował bardzo spokojnie.

– Moja śliczna, co się stało, już się nie odstanie – powiedział. – Nie ma sensu się irytować.

Spojrzałam na niego, jakbym go widziała po raz pierwszy. Zemdlilo mnie, chciałam zwymiotować, ale stanowczo nie życzyłam sobie, żeby zauważył, jaka jestem słaba. Wyrwałam mu skrzypce z ręki – stare, czeskie. Uwielbiał je. Kupował i sprzedawał skrzypce przez wiele lat, aż w końcu trafił na takie, jakie mu odpowiadały najbardziej. Spróbował je chwycić, ale byłam szybsza. Złapałam je za gryf i trzasnęłam nimi o kominek. Tłukłam nimi, aż zostały same drzazgi. Po tym uciekłam z domu i nigdy nie wróciłam. Od tamtej pory nie rozmawiałam z nim, chociaż dwa lata temu znowu zaczęliśmy sobie wysyłać kartki na Boże Narodzenie. Ożenił się po raz drugi – to jeden z tych mężczyzn, który musi mieć przy sobie kobietę. Jakaś zdzira z Houston, o połowę młodsza od niego. Ona otrzyma po nim rentę i dom, w którym się wychowałam, i to ona będzie go doglądać na starość.

Zamknęła oczy i potarła skronie.

– Gliniarze i gitary.

– To było dawno temu – powiedziałem.

Potrząsnęła głową.

– Dziewięć lat. Boże. Od dawna nie miałam ochoty na muzykę, nawet nie mam odtwarzacza, i nagle nucę ci coś i zgrywam gejszę, choć ledwo cię znam.

Zanim zdążyłem zareagować, dodała:

– Do czasu tego zamieszania nie miałam również do czynienia z policjantami.

– Może nadszedł czas na zmianę, Lindo.

Łza spłynęła jej po policzku. Przysunąłem się bliżej, żeby ją objąć.

Rozdział piętnasty

Po chwili, wstając, powiedziała:

- Muszę się zająć kilkoma sprawami. Takie nudy – zakupy, sprzątanie. Już za długo to odkładam.
- A co z transportem?
- Poradzę sobie – odparła z zażenowaniem.
- Ja również mam kilka spraw do załatwienia – stwierdziłem. – Blaski samotnego życia.
- Właśnie.

Wyszliśmy na korytarz, nie dotykając się po drodze. Weekendowa cisza. Zapach stęchlizny zdawał się jeszcze silniejszy. Przed niektórymi drzwiami leżały gazety. Nagłówki donosiły o Afganistanie.

- Dzięki. Byłeś cudowny – powiedziała.

Przytrzymałem jej brodę i pocałowałem w policzek. Ofiarowała mi swoje usta i wczepiła się we mnie na chwilę, po czym oderwała się i szepnęła:

- Uciekaj, zanim znów wciągnę cię do środka.
- Czy to groźba, czy obietnica?

Uśmiechnęła się, ale trwało to tak krótko, iż pomyślałem sobie, że może tylko mi się zdawało.

- Rozumiesz, muszę po prostu...
- Odetchnąć?

Przytaknęła.

– Oddychanie nieważnie wpływa – rzekłem z powagą. – Czy moje zaproszenie, żebyśmy wyszli gdzieś jutro wieczorem, obniży poziom tlenu?

Zaśmiała się.

- Nie.
- Więc jak będzie jutro? O dwudziestej. Odwiedzimy kilka galerii, a potem kolacja.
- Doskonale.

Uścisnęliśmy się za ręce i poszedłem, czując dziwną mieszaninę sentymentu i ulgi. Bez wątpienia postrzegala mnie jako Mistera Wrażliwości. Ale z zadowoleniem przyjąłem możliwość odpoczynku.

Gdy dotarłem do domu, zadzwoniłem do Mila.

– Jak ona się miewa? – spytał.

– Daje sobie radę.

– Dzwoniłem do ciebie godzinę temu. Nikogo nie było. Chyba konsultacje się przeciągnęły.

– Do licha, jesteś detektywem czy co?

– Hej, cieszę się w twoim imieniu. Cudnie razem wyglądacie – jak Ken i Barbie.

– Dzięki za błogosławieństwo, tatusiu. Czego dowiedziałeś się u pani Ferguson?

– U dobrej, starej Esme? To była zabawa. Przypomina mi nauczycieli, którzy mnie uczyli. Takich, co bardziej zwracają uwagę na to, które wersy należało pominąć, niż na to, co naprawdę jest napisane w wypracowaniu. W jej domu unosi się trwały zapach lizolu – czułem się, jakbym plugawił to miejsce, przekraczając próg. Pudełki z porcelany na kominku, małe grupki miniaturowych piasków w szklanych gablotkach. Ale nic żywego. Kazała mi zostawić buty przy drzwiach. Dzięki Bogu, że nie miałem dziur w skarpetkach. Ale jak na taką czystoszkę, ma paskudny sposób rozumowania. Do tego okropna dewota. Najpierw wyczuła grunt, rzucając kilka szelmowskich komentarzy o tym, jak miasto się zmienia, o prawdziwej inwazji wszystkich Meksykanów i Azjatów, a gdy tego nie kwestionowałem, rozgadała się bez reszty, jak to kolorowi i inni wykolejeńcy pogorszyli sytuację. W jej ocenie szkoła była niegdyś prawdziwym małym Harvardem, miejscem, gdzie dojrzewali biali geniusze. Wytworne rodziny. Cudowny duch szkoły, cudowne zajęcia pozalekcyjne. Wszyscy jej najlepsi uczniowie robią kariery. Pokazała mi zbiór kartek pod hasłem: „Dla Kochanej Nauczycielki”. Najnowsza była sprzed dziesięciu lat.

– Co miała do powiedzenia na temat uczennicy, która zasłynęła ostatnimi czasy?

– Holly była bardzo nieciekawą uczennicą – kompletnie niezapadającą w pamięć. Dziwna dziewczyna – cała rodzina wydawała się dziwna. Nietowarzyska, wrogo usposobiona. W ich domu nie przywiązywało się wagi do zachowania odpowiedniego statusu majątkowego. Fakt, że nikt właściwie nie wie, czym para się zawodowo ojciec Holly Burden, nie daje jej spokoju. Ciągle mnie o to pytała, nie wierzyła mi, gdy jej powiedziałem, że nie mam pojęcia, czym się zajmuje firma „Nowe Granice”. To jest dama, która bardzo ceni sobie schematy, Alex. Zdaje się, że Burdenowie łamali zbyt wiele zasad.

– Na czym polegała dziwność Holly?

– Nie uczyła się, nie pracowała, rzadko wychodziła z domu, najwyżej, żeby pospacerować wieczorem. Wałęsać się, jak to określiła pani Ferguson. Powiedziała, że widziała ją kilka razy, gdy przycinała kwiatki. Holly wałęsała się, wgapiając się w chodnik.

– Stara Esme podcina kwiatki wieczorem?

– Dwa razy dziennie. Czy to ci ją nieco przybliża?

– Czy Holly zawsze wałęsała się sama?

– Tak twierdzi pani Ferguson.

– A co z tym chłopakiem?

– Chyba przesadziła, określając go jako jej chłopaka. Po prostu był to jakiś kolorowy, z którym Holly rozmawiała przez kilka minut. Zgodnie ze światopoglądem starej Esme równało się to mezaliansowi, ale skoro wiemy, iż Holly była dziewczyną, mogli po prostu jedynie ze sobą rozmawiać. Albo robić coś innego, równie niewinnego. Esme powiedziała mi, że chłopak pracował w miejscowym sklepie spożywczym, ale już jakiś czas go nie widziała. Pakował artykuły do toreb i odnosił je do domów. Zawsze czuła się nieswojo, gdy musiała go wpuścić do domu – zgadniesz z jakiego powodu? Nie wiedziała o nim zbyt wiele, tylko tyle, że był Bardzo Wielki i Czarny. Ale ludzie mają tendencje do wyolbrzymiania rzeczy, których się boją, nie przywiązywałbym więc szczególnej uwagi do określenia „wielki”.

– Ostrożność postrzegawcza. Uczyłem się o tym na psychologii społecznej.

– Ja nauczyłem się tego, przesłuchując świadków. Wracając do rzeczy, nawet nie była mi w stanie powiedzieć, jak się nazywał. Zdawało się, że miał na imię Jacob albo Isaac, ale nie była pewna. Brzmiało po żydowsku. Uważa za zabawne, że czarny chłopak nosi żydowskie imię. To było powodem wygłoszenia przez nią kolejnej tyrady z cyklu „do czego zmierza ten świat”. Czekałem, aż zajmie się pedałami, ale ciągnęła te głupoty, aż z nudów zacząłem się przyglądać pudłom.

– To chyba samotna kobieta.

– Rozwiodła się trzy razy. Mężczyźni to bestie. Ona chyba gada do tych cholernych pudli. W końcu się stamtąd wydostałem i zatrzymałem się przy sklepie spożywczym – nazywa się „Dinwiddie’s” – żeby sprawdzić, czy uda mi się jeszcze czegoś dowiedzieć o tym chłopaku, ale sklep był zamknięty.

– Masz zamiar tam jeszcze wrócić?

– Kiedyś.

– Może dzisiaj?

– Jasne, czemu nie. Chociaż to i tak pewnie nie przyniesie żadnych wstrząsających informacji. Nie ma dziś Ricka, pracuje społecznie w Free Clinic. Jeśli tu zostanę, to skończy się na tym, że wezmę się do prania. Albo do przesadnego picia.

– Za godzinę – zaproponowałem. – Stawiam lunch.

– Za godzinę może być. Ale o lunchu zapomnij. W sklepie mogę zwinąć jabłko. Zawsze miałem

ochotę to zrobić. Żeby być prawdziwym gliniarzem.

Mimo swojego pesymizmu Milo przyszedł ubrany jak do pracy: szara marynarka, biała koszula, czerwony krawat, notes w kieszeni. Poprowadził mnie na ulicę o nazwie Abundancia Drive, która biegła przez środek Ocean Heights i kończyła się na niewielkim rynku, którego centrum zajmował okrągły, pozbawiony drzew trawnik. Zgodnie z tabliczką z napisem imitującym pismo ręczne, podobną do tych, jakie można zobaczyć w małych parkach w Mayfair w Londynie, trawnik nosił nazwę Ocean Heights Plaża. Była tam jedynie trawa i biała ławeczka ogrodowa w stylu Lutyensa, przyczepiona łańcuchem do ziemi. Obok niej stała tablica z napisem: ZAKAZ WPROWADZANIA PSÓW, ZAKAZ JAZDY ROWEREM.

Trawnik otaczały lokale użytkowe. Najbardziej okazały był jednopiętrowy bank z czerwonej cegły, zbudowany w stylu retrokolonialnym, ozdobiony kolumnami, fryzami i kamiennymi gazonami pełnymi geranium. Pozostałe budynki również zbudowano z czerwonej cegły. Były tak fikuśne i słodkie, że równie dobrze mogłyby stać w jakimś skansenie.

Znalazłem miejsce do zaparkowania samochodu przed pralnią chemiczną. Na wszystkich frontonach obowiązkowo widniały tabliczki ze złotym, ozdobnym, gotyckim liternictwem. Witamy w krainie mieszanych metafor. Niskopienne drzewka figusowe, przyszyżone w taki sposób, żeby wyglądały jak grzybki, wyrastały z okrągłych, metalowych krat wpasowanych w chodnik i rozmieszczonych przed co drugim budynkiem.

Sklepy stanowiły typową mieszankę. Galanteria męska i damska, obie z wyraźną słabością do wzorów Ralpa Laurena. Sklep z upominkami i pocztówkami. Apteka Alvin's przyozdobiona kamiennym moździerzem i tłuczkiem wiszącymi nad drzwiami w holenderskim stylu. Przychodnia lekarska, która mogłaby służyć jako magazyn świętego Mikołaja. Zegarmistrz-jubiler „Arno's Old World”. Piekarnia „Janeway's European”. Importowane wędliny „Steuben's”. Kawiarnia „The Ocean”.

Delikatesy z dostawą do domu, „Dinwiddie's”, mieściły się w budynku dwa razy szerszym niż pozostałe, z ciemnozieloną boazerią i beżowym, owalnym znakiem nad wejściem. Na znaku widniał napis: ZAŁOŻONO W 1961.

Zamierzchła przeszłość Kalifornii.

Okno wystawowe otaczała zielona listwa. Na wystawie pysznił się róg obfitości zrobiony ze słomy, z którego wysypywały się wymyślne, lśniąco, nadnaturalnej wielkości płody rolne. Inne owoce wystawiono w drewnianych skrzynkach ozdobionych staromodnymi, malowanymi etykietami. Każde jabłko, gruszka, pomarańcza czy grejpfrut były wypolerowane na wysoki połysk i osobno owinięte bibułą w śliwkowym kolorze.

– Chyba wybrałeś odpowiednie miejsce, żeby sobie coś zwinąć – powiedziałem.

Wewnątrz sklep był nieskazitelny: chłodzony drewnianymi wiatrakami. Z głośników płynęły serenady z gatunku muzaka. Stoisko alkoholowe zajmowało tak dużą powierzchnię, że mogłoby się tu upić całe osiedle. Artykuły spożywcze równo poukładane na półkach, wąskie przejścia oznaczone

zawieszonymi nad głową, drewnianymi tabliczkami, pomalowanymi na taki sam ciemnozielony kolor jak witryna sklepowa.

Dwie odziane w zielone fartuchy kobiety pracowały nieprzerwanie przy starych mosiężnych kasach, podłączonych do komputerowych skanerów. Do każdej z kas czekało w kolejce trzech czy czterech kupujących. Nikt nie rozmawiał. Milo podszedł do jednej z kas i powiedział:

– Dzień dobry. Gdzie jest właściciel?

Kasjerka była młoda, pulchna, o jasnej karnacji. Odparła, nie podnosząc wzroku:

– Na zapleczu.

Przeszliśmy obok MAKARONÓW i PIECZYWA. Obok stoiska z PRODUKTAMI MLECZNYMI znajdowały się zielone drzwi z deszczulek, z mosiężnym zamkiem. Milo otworzył je i znaleźliśmy się w krótkim, ciemnym korytarzu, zimnym jak chłodnia, cuchnącym zapachem starej sałaty. Słysząc tu było hałas generatora. Na końcu spostrzegliśmy kolejne drzwi oznaczone tabliczką: WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU.

Milo zapukał i otworzył je, naszym oczom ukazał się niewielki gabinet bez okna, wykładany imitacją sękatą sosny. Umeblowanie stanowiło stare mahoniowe biurko i trzy krzesła Naughyde. Na biurku było pełno papierów. Mosiężny odważnik, ustawiony na calowej grubości stercie, służył jako ciężarek do przytrzymywania papierów. Na ścianach wisiał zestaw reklamowych kalendarzy i kilka wyblakłych reprodukcji, przedstawiających sceny myśliwskie, oraz oprawione w ramki zdjęcie lekko otyłej brunetki o przyjemnym wyglądzie, klęczącej obok dwóch jasnowłosych, rumianych chłopców w wieku przedszkolnym. W tle widać było otoczone sosnami rozległe jezioro. Chłopcy z wysiłkiem próbowali utrzymać wędkę, na której zwisał dorodny pstrąg.

Za biurkiem siedziało niewątpliwe źródło genetyczne pigmentacji dzieci. Trzydzieści kilka lat, różowa skóra, rzadkie, niemal albinoskie włosy, przystrzyżone krótko i zaczesane na prawo. Mężczyzna miał śmieszny bryłkę złamanego nosa i krzaczasty wąs koloru starego siana. Wielkie oczy o dziwnym, ciemnoszarym odcieniu, z obwisłymi jak u bassetta powiekami. Spod zielonego fartucha wyglądała niebieska, rozpinana koszula z popeliny i czerwono-niebieski krawat. Rękawy koszuli podwinięte do łokci. Ramiona blade, nieowłosione, potężne jak u atlety.

Odłożył podręczny kalkulator, podniósł wzrok znad stosu faktur i posłał nam zmęczony uśmiech.

– Z Miar i Wag? Mieliśmy kontrolę w ubiegłym tygodniu, panowie.

Milo pokazał mu swoją legitymację policyjną. Uśmiech blondyna zniknął. Zamrugał kilka razy, jakby próbował się obudzić.

– Aha. – Wstał i wyciągnął rękę. – Ted Dinwiddie. W czym mogę panom pomóc?

– Przyszliśmy tutaj, żeby porozmawiać o strzelaninie w szkole podstawowej Hale’a, panie Dinwiddie – powiedział Milo.

– Ach, o tym. Okropne. – Mrugnięcie zdawało się niezamierzone i szczere. Zamrugał jeszcze kilka razy. – Dzięki Bogu nikt nie został ranny.

– Nikt, oprócz Holly Burden.

– No tak. Jasne. Oczywiście. – Znowu mrugnął, usiadł i odsunął papiery na bok.

– Biedna Holly – powiedział. – Trudno uwierzyć, że mogła zdobyć się na zrobienie czegoś takiego.

– Jak dobrze ją pan znał?

– Chyba tak jak każdy. To znaczy bardzo słabo. Przychodziła tu ze swoim tatą. Dawno temu, gdy była małą dziewczynką. Zaraz po tym, jak umarła jej mama. W czasach, gdy żył jeszcze mój tata. – Przerwał i dotknął odważnika. – Po szkole i w soboty pakowałem klientom towary do toreb. Holly stawiała za swoim tatą, zerkala i cofała się. Była bardzo nieśmiała. Zawsze wydawała się takim nerwowym dzieckiem. Cicha, jakby żyła w swoim własnym świecie. Próbowałem z nią rozmawiać. Nigdy nie odpowiadała. Czasami, gdy tata jej pozwolił, brała darmowego cukierka. Na ogół jednak ignorowała mnie, gdy ją częstowałem. Jednak nic nie wskazywało...

Spojrzał na nas.

– Przepraszam. Proszę usiąść. Może kawy? W sklepie, w testerze, parzy się nowa kawa, palona w Europie.

– Nie, dziękuję – powiedział Milo.

Usiedliśmy na czerwonych krzesłach.

– Czy mógłby nam pan coś jeszcze o niej opowiedzieć? – spytał Milo.

– Właściwie nie – odparł Dinwiddie. – Nie widywałem jej często. Na ogół zamawiali zakupy z dostawą do domu. Kilka razy widziałem ją, jak się włóczyła po ulicach. Wyglądała na jakąś... wyłączoną.

– Wyłączoną, z czego?

– Z otoczenia. Ze świata zewnętrznego. Nie zwracała uwagi na to, co się dzieje. Mam siostrę, która jest pisarką – scenarzystką odnoszącą znaczne sukcesy. Zabiera się teraz do produkcji. Emily zawsze była taka, fantazjowała, uciekała do swojego własnego świata. Kiedyś ją przedrzeźnialiśmy, nazywaliśmy astronautką. Holly również bujała w obłokach, ale w jej przypadku nie było to chyba twórcze.

– Dlaczego pan tak sądzi?

Sklepiarz poprawił się na krześle.

– Nie chcę źle mówić o zmarłych, ale Holly nie była zbyt bystra. Niektóre dzieci mówiły, że jest opóźniona w rozwoju – choć pewnie nie miały racji. Po prostu niezbyt lotna, nieco poniżej średniej. W jej rodzinie musiało jej się żyć z tym szczególnie ciężko – cała reszta Burdenów jest bardzo inteligentna. Jej tata to bardzo błyskotliwy człowiek – pracował kiedyś dla rządu na wysokim szczeblu jako naukowiec, chyba matematyk. Mama chyba też. I Howard – jej brat – był orłem.

– Zdaje się, że dość dobrze znał pan tę rodzinę.

– Nie, właściwie nie. Na ogół dostarczałem tam tylko zakupy albo chodziłem na prywatne lekcje. Do Howarda. Był matematycznym geniuszem. Niesamowity, jeśli chodzi o liczby. Uczyliśmy się w tej samej klasie, ale równie dobrze mógłby tam wyklądać. Wiele dzieciaków prosiło go o pomoc. Wszystko przychodziło mu łatwo, ale do matematyki miał szczególny dar. – Rzucił tęskne spojrzenie. – Zajął się tym, co kochał. Został statystykiem. Ma świetną pracę w jakiejś firmie ubezpieczeniowej w Valley.

– Kiedy mówił pan, że byliście w tej samej klasie, miał pan na myśli szkołę Nathana Hale’a? – spytał Milo.

Dinwiddie przytaknął.

– W tamtych czasach wszystkie dzieciaki chodziły do Hale’a. Wtedy było inaczej. – Szarpał węzeł krawata. – Niekoniecznie lepiej. Po prostu inaczej.

– W jaki sposób inaczej? – spytałem.

Pogmerał jeszcze trochę przy krawacie i ściszył głos.

– Niech pan posłucha, pracuję tutaj i mieszkam, mieszkałem tutaj całe swoje życie – to w wielu aspektach wspaniałe osiedle, doskonałe miejsce do wychowywania dzieci. Ale tutejsi ludzie udają, że nic się nigdy nie zmienia. Że nic się nie powinno zmienić. A to chyba niezbyt realne podejście do sprawy, prawda? – Przerwał. – Gdy się stoi za kasą albo odwozi zakupy, albo trenuje ligę dziecięcą, ma się pewną możliwość poczynienia obserwacji. Dostrzega się brzydkie rzeczy u ludzi, których uważało się za porządnych. U tych, z którymi bawią się twoje dzieci i z którymi spotyka się na kawie twoja żona.

– Komentarze rasowe? – spytał Milo.

Dinwiddie spojrział ze zboląłą miną.

– Nie chcę przez to powiedzieć, że tutaj jest gorzej niż gdziekolwiek indziej. Rasizm jest dość powszechny w naszym społeczeństwie, prawda? Ale kiedy zaczyna chodzić o własne osiedle... po prostu chciałoby się, żeby było lepsze.

„Dość powszechny w naszym społeczeństwie”.

Zabrzmiało to jak cytat z podręcznika.

– Czy sądzi pan, że coś z tego, z miejscowych stosunków rasowych, może mieć związek ze strzelaniną? – spytał Milo.

– Nie. Nie sądzę – odpowiedział szybko Dinwiddie. – Może gdyby to zrobił ktoś inny, dałoby się wszystko powiązać. Ale nie mogę wyobrazić sobie Holly jako rasistki. To znaczy, żeby być rasistą, trzeba się zaangażować politycznie, chociaż do pewnego stopnia, prawda? A ona nie była. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Jak powiedziałem, nie miała zbyt ożywionych kontaktów z otoczeniem.

– Jakie przekonania polityczne miała jej rodzina?

– Nie wiem, czy w ogóle mieli jakieś przekonania polityczne – odparł spiesznie. Jego ręka znów poderwała się do krawata, mrugnął kilka razy z rzędu. Zastanawiałem się, czy coś go denerwuje w tej konwersacji.

– Naprawdę, panowie, nie widzę żadnych powiązań politycznych – powiedział. – Wierzę nieodparcie, że to, co Holly zrobiła, wynikało z jej własnych problemów.

– Z zaburzeń umysłowych? – spytał Milo.

– Musiała być szalona, żeby zrobić coś takiego, nie sądzicie, panowie?

– Poza tym, że „bujala w obłokach”, czy kiedykolwiek pojawiły się oznaki jakichś zaburzeń psychicznych? – spytałem.

– Nie wiem – odparł Dinwiddie. – Jak mówiłem, nie widziałem jej od dawna. Teoretyzowałem.

– Gdy widział ją pan, jak się włóczyła po osiedlu, było to w nocy czy w dzień? – spytałem.

– W dzień. Zdarzyło się to tylko parę razy. Jechałem dostarczyć towar, a ona szła ulicą, jakby nie wiedziała, gdzie jest, ze wzrokiem utkwionym w chodniku. To właśnie miałem na myśli, mówiąc: „bujala w obłokach”.

– Czy może nam pan powiedzieć o tej rodzinie jeszcze coś, co mogłoby mieć związek ze strzelaniną?

Dinwiddie pomyślał.

– Właściwie nie, detektywie. Nigdy nie byli zbyt towarzyscy. Żyli swoim własnym tempem, ale w gruncie rzeczy to porządni ludzie. Gdy się widzi, jakie artykuły spożywcze kupuje dany człowiek, można określić jego charakter. Mój tata miał taki system klasyfikacji ludzi – Zrządy, Sknery, Gnidy, Macanci Pomidorów. – Pod wąsem pojawił się nieśmiały uśmiech. – System oparty na stosunkach my-oni. Tak jest w każdym zawodzie, prawda? Nie mówcie o tym moim klientom, bo wypadnę z interesu.

Milo uśmiechnął się i przyłożył palec do ust.

– To śmieszne – odezwał się znowu Dinwiddie. – Gdy byłem młodszy, słyszałem, jak tata wracał do domu i gderał, i myślałem, że jest nietolerancyjny, że nie rozumie ludzi. Skończyłem socjologię na uniwersytecie i miałem całą masę teorii i wyjaśnień, dlaczego stał się takim mizantropem; że tak naprawdę potrzeba mu było więcej wewnętrznej satysfakcji z własnej pracy. A teraz ja wykonuję tę samą pracę i posługuję się tymi samymi określeniami co on.

– Które z określeń swojego taty zastosowałby pan do Burdenów? – spytałem.

– Właściwie żadnego. Byli łatwymi klientami, nigdy się nie skarżyli, zawsze płacili od razu, gotówką. Pan Burden, mimo że niezbyt rozmowny, zawsze miał przygotowany duży napiwek. Zawsze zdawał się czymś zajęty, pochłonięty własnymi sprawami.

– Też bujał w obłokach? – spytał Milo.

– Nie tak jak Holly. On naprawdę był pogrążony w myślach. Czulo się, że rozważa coś istotnego. U Holly to wydawało się po prostu, nie wiem, letargiczne. Jakby się wycofywała z rzeczywistości. Nie chciałem przez to powiedzieć, że była groźną psychopatką. To ostatnia osoba, którą podejrzewałbym, że może zrobić coś gwałtownego. Niesłuchanie wstydliva. Taka myszka.

– Kiedy zmarła jej matka? – spytał Milo.

Dinwiddie dotknął wąsa i nieprzytomnie postukał opuszką palca w język.

– Niechże się zastanowię. Holly miała chyba cztery czy pięć lat, a więc jakieś piętnaście lat temu.

– Na co umarła?

– Chyba na jakąś chorobę żołądka. Jakieś guzy czy wrzody, czy coś takiego – nie jestem pewien. Pamiętam, że było to z powodu żołądka jedynie dlatego, że kupowała masę środków likwidujących kwasy. Cokolwiek to było, podobno nie zagrażało jej życiu, ale kiedy poddała się operacji, nie wyszła z tego. Howarda nieźle to trafiło. Wszystkich nas. Pierwszy raz ktoś w klasie stracił któregoś z rodziców. Chodziliśmy do liceum, do drugiej klasy. Howard nigdy nie był zbyt towarzyski, ale kiedy zmarła jego mama, naprawdę się wycofał, wypisał się z Klubu Szachowego i z Klubu Dyskusyjnego, zaczął tyć. Nadal dostawał dobre stopnie – to było dla niego jak oddychanie – ale odciął się od wszystkiego innego.

– Jak Holly zareagowała? – spytałem.

– Nie mogę powiedzieć, żebym zapamiętał coś szczególnego. Ale była małym dzieckiem, więc sądzę, że poczuła się zdruzgotana.

– Więc nie wie pan, czy jej bujanie w obłokach wynikało ze śmierci mamy?

– Nie – przerwał, uśmiechnął się. – Hej, to brzmi bardziej jak psychoanaliza, a nie przesłuchanie policyjne. Nie wiedziałem, że tym też się zajmujecie.

Milo wskazał na mnie kciukiem.

– Ten pan jest znanym psychologiem. Doktor Alex Delaware. Pracuje z dziećmi w Hale’u. Staramy się uzyskać pełny obraz tego, co się stało.

– Psycholog, hmm? – powiedział Dinwiddie. – Widziałem w telewizji wywiad z psychologiem na temat tych dzieci. Z takim potężnym facetem, z dużą siwą brodą.

– Zmiana planów – wyjaśnił Milo. – Teraz jest doktor Delaware.

Dinwiddie spojrzał na mnie.

– Jak dzieci?

– Już nieźle.

– Dobrze to słyszeć. Swoje własne dzieci posłałem do prywatnej szkoły. – Spojrzał jak winowajca i potrząsnął głową. – Nigdy nie sądziłem, że to zrobię.

– Dlaczego?

– Prawdę mówiąc, byłem dość zaciętym radykałem. – Uśmiechnął się z zakłopotaniem. – W każdym razie jak na Ocean Heights. To znaczy, że głosowałem na demokratów i próbowałem namówić swojego ojca, by zbojkotował importowane winogrona, żeby pomóc rolnikom. Działo się to w czasach, kiedy ostatnią rzeczą, jaką chciałem robić, było prowadzenie sklepu spożywczego. Właściwie chciałem zająć się tym co pan, doktorze. Terapią. Albo pracą społeczną. Chciałem pracować z ludźmi. Tata uważał, że to pójdzie na łatwiznę – zupełne poddanie się. Twierdził, że w końcu powrócę do prawdziwego świata. Chciałem udowodnić, że się myli. Pracowałem społecznie – z kalekami dziećmi, w biurach pośrednictwa pracy, w agencjach adopcyjnych. Zostałem fikcyjnym bratem dzieciaka ze wschodniego Los Angeles. Nagle tata zmarł na atak serca, nie zostawił ubezpieczenia tylko sklep, a mama nie mogła go prowadzić, więc zabrałem się do tego. Brakowało mi jednego semestru do magisterium. To miało być zajęcie tylko na jakiś czas. Nigdy się z niego nie wypłatałem.

Zmarszczył czoło, a powieki obwisły mu jeszcze bardziej. Przypomniałem sobie jego komentarz na temat Howarda Burdena i tęskne spojrzenie. „Zajął się tym, co kochał...”.

– W każdym razie – powiedział – to chyba wszystko, co mogę wam powiedzieć o Burdenach. Wydarzenia w Hale’u to prawdziwa tragedia. Bóg wie, że pan Burden miał ich w życiu dość. Ale miejmy nadzieję, że czas wyleczy rany. – Spojrzał na mnie w oczekiwaniu poparcia.

– Miejmy nadzieję – powtórzyłem.

– Może ludzie nawet się czegoś nauczą. Nie wiem.

Wziął kalkulator i zaczął stukać w przyciski.

– Jeszcze jedna sprawa, panie Dinwiddie – przerwał nam Milo. – Chodzi o młodego człowieka, który pracuje lub pracował u pana. Dostarczał zakupy do domów. Isaac czy Jacob?

Potężne ramiona Dinwiddiego naprężyły się, a oddech zamarł. Odetchnął po chwili powoli, delikatnie.

– Isaac. Ike Novato. Co pan chce wiedzieć na jego temat?

– Novato – powtórzył Milo. – Jest Latynosem? Powiedziano nam, że jest czarny.

– Czarny. Mulat. Co to... Co on ma z tym wszystkim wspólnego?

– Podobno był zaprzyjaźniony z Holly Burden.

– Zaprzyjaźniony? – Uniósł ramiona i wzruszył nimi.

– Nadal u pana pracuje? – spytał Milo.

Sklepikarz spojrzał na nas ze złością.

– Nie.

– Wie pan, gdzie możemy go znaleźć?

– Trudno byłoby go znaleźć gdziekolwiek, detektywie. Nie żyje, został poddany kremacji. Sam rozrzuciłem prochy. Z nabrzeża w Malibu.

Wzrok Dinwiddiego był zły, nieustępliwy. W końcu popatrzył na swoje biurko, wziął formularz zamówienia, spojrzał na niego niewidzącym wzrokiem i odłożył na bok.

– Dziwne, że o tym nie wiecie – powiedział. – Że to ja muszę wam mówić. Chociaż może nie, biorąc pod uwagę wielkość tego miasta i wszystkie zabójstwa, jakie tu mają miejsce. Tutaj też mieliśmy jedno, panowie. We wrześniu. Zastrzelony, prawdopodobnie przez handlarzy narkotykami, gdzieś w centrum południowych dzielnic.

– Prawdopodobnie? – zdziwił się Milo. – Ma pan wątpliwości?

Dinwiddie zawahał się, zanim udzielił odpowiedzi.

– Pewnie wszystko jest możliwe, ale bardzo w to wątpię.

– Dlaczego?

– Był bardzo prawy – po prostu ten typ ludzi nie wdaje się w narkotyki. Wiem, że policjanci sądzą, iż wszyscy cywile są naiwni, ale pracowałem z młodocianymi przestępcami na tyle dużo, że jestem dość dobrym sędzią. Próbowałem to powiedzieć policji, ale nikt nie pofatygował się, żeby tu przyjść i porozmawiać ze mną w cztery oczy. Dowiedziałem się o tym morderstwie tylko dlatego, że gdy przez dwa dni nie przyszedł do pracy, zadzwoniłem do jego gospodyni i powiedziała mi, co się stało. Oznajmiła, że policja sugeruje, iż to sprawa narkotyków. Dostałem od niej nazwisko detektywa, który się tym zajmował. Zadzwoniłem do niego, powiedziałem że byłem pracodawcą

Ike'a. Zaproponowałem, że przyjadę na posterunek w celu przekazania informacji. Nie powiem, żeby odniósł się do tego entuzjastycznie. Kilka dni później zadzwonił do mnie i spytał, czy zechcę przyjechać w celu identyfikacji ciała. „Formalność” – to jego słowo – żeby mógł zamknąć sprawę. Oczywiście było, że dla niego to kolejna strzelanina w getcie. Taka, jakich wiele. Gdy tam pojechałem, najbardziej zdziwiło mnie to, że detektyw też był czarny. Nie przyszło mi to do głowy. Smith. Maurice Smith. Departament Południowo-Wschodni. Zna go pan?

Milo przytaknął.

– Klasyczna nienawiść do samego siebie – stwierdził sklepikarz. – Kieruje całą wściekłość przeciwko sobie. To grozi wszystkim przedstawicielom uciskanych grup społecznych. Mniejszości są szczególnie narażone na takie ryzyko. Ale w przypadku Smitha to może zakłócić wykonywanie przez niego obowiązków służbowych.

– Dlaczego chciał, żeby pan zidentyfikował ciało?

– Ike nie miał rodziny, którą można byłoby zlokalizować.

– A gospodyni?

Dinwiddie ponownie wzruszył ramionami i pogłaskał się po wąsach.

– Jest dość stara. Może nie mogła dać sobie rady z takim stresem. Niech pan spyta Smitha.

– Co jeszcze może nam pan powiedzieć o Novacie?

– Wspaniały dzieciak. Bystry, ujmujący, szybko się uczył, nie sprawiał żadnych problemów. Zawsze chętnie zrobił więcej, niż wynikało z jego obowiązków, a to, proszę mi wierzyć, jest dzisiaj rzadkością.

– Jak to się stało, że pan go zatrudnił?

– Odpowiedział na anons, który wywiesiłem na tablicy ogłoszeń w centrum pracy Uniwersytetu Santa Monica. Chodził tam na zajęcia, jako wolny słuchacz. Musiał pracować, żeby się utrzymać. Amerykański etos pracy, taki, jaki wychwalał mój tata. – Szare oczy zwięziły się. – Oczywiście tata nigdy nie zatrudniłby Ike'a.

– Czy to, że tutaj pracował, przysporzyło panu jakichś kłopotów? – spytałem.

– Właściwie nie. Ludzie akceptują czarnych na stosunkowo niskich stanowiskach.

– Czy wciąż ma pan w kartotece jego podanie o pracę? – spytał Milo.

– Nie.

– Pamięta pan jego adres?

– Venice. Któraś z numerowanych ulic – Czwarta czy Piąta Aleja, jak mi się wydaje. Gospodyni nazywa się Gruenberg.

Milo zapisał to.

– A zdjęcie?

Dinwiddie zawahał się, otworzył szufladę, wyjął kolorowe zdjęcie i podał je Milowi. Wyciągnąłem szyję i spojrzałem na nie. Fotografia grupowa. Dinwiddie, dwie młode kasjerki i wysoki, szczupły młodzieniec o kawowej karnacji. Ustawieni przed sklepem, machający rękami. Wszyscy ubrani w zielone fartuchy.

Ike Novato miał jasnobrązowe, kręcone, krótko przycięte włosy, wydatne usta, migdałowe oczy i rzymski nos. Pochyła sylwetka osoby, która zbyt gwałtownie rosła. Wielkie, nieporęczne wyglądające dłonie, wstydlivy uśmiech.

– To było zrobione w święto Czwartego Lipca – powiedział Dinwiddie. – Zawsze urządzamy wielką zabawę dla dzieci z osiedla. Bezpieczne obchody. Zamiast sztucznych ogni rozdajemy darmowe cukierki i napoje. Jeden z rodziców przyniósł aparat i zrobił to zdjęcie.

– Mógłbym je pożyczyć? – spytał Milo.

– Chyba tak. – Czy chce pan powiedzieć, że istnieje jakieś powiązanie pomiędzy Ikedem i tym, co się wydarzyło w szkole?

– Tego właśnie usiłujemy się dowiedzieć.

– Nie sądzę, by tak było.

– Czy ludzie robili problemy, gdy dostarczał zamówienia? – spytałem. – Nie chcieli wpuszczać go do domów?

Prawa dłoń Dinwiddiego skuliła się w pięść. Na potężnym ramieniu pojawiły się wzniesienia mięśni i ścięgien.

– Na początku było kilka komentarzy. Zignorowałem je i w końcu ustały. Nawet zaciekły rasista widział, jaki to porządny dzieciak. – Napiął drugą rękę. – Jeden mały punkt w imię Prawdy i Sprawiedliwości, hmm? Wtedy myślałem, że robię coś ważnego, że ustanawiam precedens. A ten nagle jedzie do Watts i zostaje zastrzelony. Przepraszam, ale to mnie wciąż doprowadza do wściekłości. Cała ta sprawa była bardzo przygnębiająca.

– Czy jest jeszcze jakiś powód, że znalazł się w Watts? – spytał Milo.

– To było właśnie zasadnicze pytanie detektywa Smitha. Ulica, na której go zastrzelili, słynie z handlu narkotykami. Po co miałby tam chodzić, jak nie po to, żeby kupić sobie działkę? Ale ja wciąż mam wątpliwości. Ike nieraz mówił mi, jak nienawidzi narkotyków, jak narkotyki niszczą jego ziomków. Może był tam, żeby przyłapać handlarza.

– Jego ziomków – zauważył Milo. – Sądziłem, że nie miał rodziny.

– Mówię ogólnie, detektywie. Czarną nację. To pański Smith powiedział mi, że nie miał rodziny. Mówił, że porównali odciski palców Ike'a ze wszystkimi kartotekami policyjnymi zaginionych dzieci, wszystkimi – i nic to nie dało. Podobno Ike zwrócił się o wydanie karty ubezpieczenia społecznego zaledwie kilka miesięcy przed podjęciem pracy u mnie. Nie mieli danych o żadnym poprzednim adresie. Detektyw Smith powiedział, że jeśli nikt nie odbierze ciała, będzie pochowany bezimiennie. – Mrugnięcie. – Więc go zabrałem.

– Co chłopak opowiadał panu o swojej przeszłości?

– Niewiele. Nie prowadziliśmy długich konwersacji – pracowaliśmy razem. Miałem wrażenie, że jest nieźle wykształcony, ponieważ dość ładnie się wysławiał. Ale nigdy nie rozmawialiśmy o tym. W tej dzielnicy gra się bezustannie w grę pod nazwą „lepiej za dużo nie mówić”.

– Nigdy nie prosił go pan o przedstawienie referencji?

– Przyszedł z uniwersytetu, tam ich selekcjonują. I jego gospodyni twierdziła, że jest solidny.

– Rozmawiał pan z gospodynią po jego śmierci?

– Tylko raz. Przez telefon. Pytałem ją, czy wie coś o jego rodzinie. Też nic nie wiedziała. Więc zająłem się wszystkim. Zrobiłem, co mogłem. Doszedłem do wniosku, że kremacja będzie... nie wiem... bardziej czysta. Sam też tego chcę.

Podniósł ręce i opuścił je na biurko.

– I to mniej więcej wszystko, co mogę wam powiedzieć, panowie.

– Jakie stosunki łączyły go z Holly? – spytał Milo.

– Stosunki? – Dinwiddie wykrzywił twarz. – Nic romantycznego, jeśli do tego pan zmierza. On był na zupełnie innym poziomie niż ona. Intelktualnym. Ta dwójka nie miałyby ze sobą nic wspólnego.

– Powiedziano nam, że był jej chłopakiem.

– To źle wam powiedziano – odparł Dinwiddie, cedząc słowa. – Ocean Heights to plotkarska stolica świata. Zbyt wielu ludzi wąskich horyzontach, którzy mają zbyt wiele wolnego czasu. Niech pan dzieli wszystko, co pan tu usłyszysz, przez cztery. Albo przez pięć.

– Doniesiono nam, że Ike i Holly rozmawiali ze sobą.

Dłoń Dinwiddiego podniosła się do krawata i poluzowała go.

– Ike mówił mi, że gdy zawoził dostawy do jej domu, od czasu do czasu rozmawiali. Powiedział, że jest samotna. Było mu jej żal i chciał, żeby poczuła się lepiej z samą sobą – taki właśnie był z niego dzieciak. Zaczęła mu przygotowywać różne rzeczy – mleko i ciastka. Próbowwała go

zatrzymać. To było bardzo niezwykle jak na Holly. Nigdy z nikim nie chciała rozmawiać. Powiedziałem Ike'owi, jakie to niezwykle, i ostrzegłem go.

– Przed czym? – spytał Milo.

– Żeby nie rozkochała się w nim. Wie pan, jak ludzie fantazjują, jeśli chodzi o czarnych. Te wszystkie superseksualne bzdury. Gdy się zestawi czarne z białym, zaraz wszystkim przychodzi na myśl coś zdrożnego. Do tego wystarczyło dodać fakt, że Holly nie była taka jak inni i należało się spodziewać, że mogą wyniknąć z tego kłopoty. Ike okazywał jej po prostu przyjaźń. Tak jak dziecku w potrzebie. Ale wiedziałem, że w tej przyjaźni ona może doszukać się czegoś więcej. Mogła się spodziewać nie wiadomo czego, a dostać kosza i wtedy oświadczyć, że ją zgwałcił. Więc poradziłem mu, żeby uważał. Dla dobra nas wszystkich.

– Posłuchał pana?

Dinwiddie potrząsnął głową.

– Uważał, że martwię się niepotrzebnie. Zapewnił mnie, że nie ma niebezpieczeństwa, by coś się mogło wydarzyć między nimi. Holly nigdy nie starała się go uwodzić. Potrzebowała jedynie przyjaciela. Cóż mogłem na to odpowiedzieć? Że powinien ją odrzucić? Ponieważ była biała? Jak by to zrozumiał?

Żaden z nas nie odpowiedział. Dinwiddie mówił cichym, spokojnym głosem, jakby nie zdawał sobie sprawy z naszej obecności.

– Pewnego dnia jechałem samochodem. Dostarczałem zamówienie. Mijałem dom Burdenów i zobaczyłem ich oboje. Ike trzymał stertę książek, a Holly patrzyła na niego, jakby był jej starszym bratem. Nigdy nie była blisko z Howardem. Ike bardziej przypominał brata niż Howard. Pamiętam, że pomyślałem, jak to dziwnie wygląda. Biały i czarny dzieciak dogadują się w Ocean Heights. To mógłby być plakat na propagowanie tolerancji. I pomyślałem, jakie to głupie, że coś takiego wydaje się dziwne.

Wcisnął przycisk na kalkulatorze i wpatrywał się w wynik jak w łamigłówkę.

– To były po prostu dwa dzieciaki – powiedział. – Próbowaly przebrnąć przez życie. Teraz obydwójce nie żyją. A ja mam obniżkę cen na szparagi.

Rozdział szesnasty

Przeprowadził nas przez sklep. Ruch zmalął i pulchna kasjerka nie miała nic do roboty. Wyjąłem z bibułki wielkie, żółte jabłko i podałem jej wraz z dolarowym banknotem. Zanim zdążyła otworzyć kasę, Dinwiddie powiedział:

– Zostaw, Karen – i wyjął banknot spomiędzy jej palców. Wręczył mi go z powrotem i dodał: – Stawiam, doktorze Delaware. A tu drugie, dla pana, detektywie.

– Nie wolno mi przyjmować prezentów – odrzekł Milo. – W każdym razie dziękuję.

– A więc dwa dla doktora Delaware – zakończył sprawę uśmiechnięty, ale spięty. Podziękowałem mu i wziąłem owoc. Przytrzymał nam drzwi i stał na chodniku obok fikusa w kształcie grzybka, patrząc za nami, gdy odjeżdżaliśmy.

Ruszyłem Abundancia i zatrzymałem się przed znakiem stopu. Na każdym z jabłek widniała mała złota nalepka. Milo zdjął ją ze swojego owocu, obejrzał i powiedział.

– Z Fidzi. Ho-ho. Uważaj, Gauguin.

– Gauguin był na Tahiti – sprostowałem.

– Nie bądź drobiazgowy – powiedział i ugryzł kawałek jabłka. – Nieco wydumane, ale niezły aromat i konsystencja. Ci ludzie z Ocean Heights z całą pewnością wiedzą, jak sobie dogadzać.

– Spróbujmy tego wspaniałego życia. – Uniosłem swoje jabłko jak kieliszek przy wznoszeniu toastu i ugryzłem. Chrupkie i słodkie, ale miałem wrażenie, że za chwilę wypełźnie z niego robak.

Jechałem przez puste ulice, perfekcyjne jak z obrazka. Gdy znów się zatrzymałem, Milo zapytał:

– Co sądzisz o naszym Panu Sklepikarzu?

– Sfrustrowany. Uważa się za rybę wyciągniętą z wody, ale czuje się winny, że ma mokre skrzela.

– Znam to uczucie – powiedział Milo i pożałowałem swojej nonszalancji.

Wiedział, co pomyślałem. Roześmiał się i złapał mnie za ramię.

– Nie przejmuj się, stary. To uprzywilejowana pozycja, stać na zewnątrz i jednocześnie mieć wgląd do środka.

Skreśliłem w Esperanza.

– Najwyraźniej ten jej chłopak wcale nie był jej chłopakiem.

– Może tak, a może nie. Jeśli ten dzieciak, Novato, miał jakiś romans z Holly, nie powiedziała by o tym szefowi.

– Racja – zgodziłem się. – Więc wiemy o nim właściwie tyle, że rozmawiał z Holly kilka razy. I że nie żyje. Co w kategoriach – przepraszam za wyrażenie – zrozumienia Holly może mieć znaczenie. Jeśli Ike wiele dla niej znaczył, jego śmierć mogła nią wstrząsnąć.

– Tego typu uraz może prowadzić do zabaw z karabinem?

– Jasne. Taka strata mogła być szczególnie dotkliwa dla kogoś z jej przeszłością – chodzi o wczesną śmierć matki. Zamknęła się przed światem. Wycofała się. Pracowałem z pacjentami, którzy w młodym wieku stracili któregoś z rodziców i nie otrzymali pomocy. Jeśli się kogoś nie opłakuje, ten smutek siedzi w środku i jątrzy. Przestaje się ufać, uczy się nienawiści do świata. Holly była samotnicą. Jeśli Ike okazał się pierwszą osobą, która starała się z nią nawiązać kontakt, mógł stać się zastępczym rodzicem. Dinwiddie powiedział, że patrzyła na Ike'a jak na starszego brata. Powiedzmy, że obudził w niej ponownie zaufanie, że wyprowadził ją z tej skorupy. I nagle umiera. Gwałtownie. To odpala cały ładunek, na jakim siedziała od piętnastu lat. Ona eksploduje. Czy ma to sens jak do tej pory?

– Ma taki sens jak wszystko inne – powiedział. – Wiesz lepiej niż ja.

Minąłem następny odcinek zielonych trawników. Niewiele osób było na zewnątrz, spacerowali z psami, myli samochody. Pomyślałem o samochodzie Lindy, przypomniałem sobie mgłę i strach w Ocean Heights zeszłej nocy. Potłuczone szkło, swastykę.

Jakie inne demony kryły się jeszcze, przyczajone i chichoczące, za oknami tych domów?

Milo wyglądał przez okno i żuł. Przypatrywał się okolicy jak gliniarz. Siła przyzwyczajenia. Przez mój umysł płynęły różne obrazy. Wstrętne hipotezy.

Gdy odwrócił się na chwilę, powiedziałem:

– A jeśli Holly oraz Ike nie tylko gawędzili ze sobą? Jeśli wdali się w filozoficzne rozważania na temat fatalnego stanu świata, niesprawiedliwości, biedy, rasizmu? Biorąc pod uwagę skryte życie Holly, doświadczenia kogoś takiego jak Ike naprawdę otworzyłyby jej oczy. Mogłyby ją naprawdę zmienić. To właśnie miało miejsce w latach sześćdziesiątych, gdy biała młodzież z dzielnic podmiejskich poszła na studia i po raz pierwszy zetknęła się ze studentami reprezentującymi mniejszości narodowe. Natychmiastowa radykalizacja. Ktoś inny mógłby nią konstruktywnie pokierować – praca społeczna, altruizm. Ale Holly była samotna, pełna gniewu i nieufności. To typowy rys zamachowca samotnika, Milo. Mogła się postrzegać jako mścicielka Ike'a. Unicestwienie Massengila – symbolu rasizmu – mogło jej się wydać szlachetne.

– Unicestwienie – powtórzył Milo. – Brzmi to, jakbyśmy żyli w średniowieczu. Może chciała po prostu postrzelać do dzieciaków.

– Jaki miałyby w tym cel? – spytałem. – Nie mamy żadnych oznak, że miała coś przeciwko ich

obecności.

– Alex, posłuchaj, rozważamy przypadek osoby prawdopodobnie stukniętej. Któż może wiedzieć, jaki mogła mieć powód? Kto wie, jakie szaleństwa zrodziły się w jej głowie? Jak się nad tym zastanowić, ile tak naprawdę o niej wiesz?

– Niewiele – zgodziłem się, czując się nagle jak jeden z tych rozprawiających górnolotnie ekspertów z telewizji.

Opuściłem Ocean Heights i pojechałem krętą drogą nad kanionem, w stronę bulwaru Sunset.

– Nie czepiaj się – stwierdził Milo i nadal wyglądał przez okno.

Na bulwarze powiedziałem:

– Jeszcze trochę wesołych pytań, czy na dzisiaj zamykamy policyjny program rozrywkowy?

– Jakich pytań?

– Na temat zabójstwa Novata. Sposobu, w jaki Dinwiddie o nim mówił. Czy nic cię w tym nie zaintrygowało?

Odwrócił się i spojrzał mi w oczy.

– A co miało mnie w tym zaintrygować?

– Zdawało mi się, że gdy Dinwiddie mówił o Ike’u, był ogromnie... zaangażowany. Cały się spiął, szarpały nim emocje. Stał się strasznie stanowczy, gdy zaprzeczał, żeby Holly i Ike mogli być kochankami. To wyglądało jak zazdrość. Może między nim i Ikiem zaszło coś więcej niż układy pracownicze?

Milo zamknął oczy i zaśmiał się krótkim, zmęczonym śmiechem.

– To się zdarza – powiedział z szelmowskim uśmiechem. Przeciągnął dłonią po twarzy. – Tak, sam o tym myślałem. Facet stał się strasznie prawy. Ale jeśli było w tym coś związanego z seksem, nie sądzisz, że uważałby, aby nikt się o tym nie dowiedział? Jak sądzisz, ile jabłek z Fidzi udałoby mu się sprzedać, gdyby dobrzy ludzie z Ocean Heights podejrzewali go o to?

– Racja – zgodziłem się. – Więc może jego emocje wynikały z tego, co powiedział – z winy obywatelskiej. Jednak mimo wszystko mam wrażenie, że obraz Novata, jaki nam przedstawił, był jakiś dziwny, nie sądzisz? Czarny dzieciak z latynoskim nazwiskiem pojawia się „skądś ze wschodu”, ale nikomu nie mówi skąd. Osiedla się w Venice, zapisuje na uniwersytet w Santa Monica, dostaje pracę w białej dzielnicy, doskonale sobie z tą pracą radzi, rozbudza pewne uczucia w swoim pracodawcy, zaprzyjaźnia się z dziewczyną, z którą nikt nie rozmawia, i zostaje rozwalony w Watts. Niedługo później dziewczyna łapie za swój karabin i ją też rozwalają.

Milo milczał.

– Oczywiście myślę jak typowy, cywilny laik – powiedziałem. – Teoretyzuję. Zawodowcy... ten facet z Południowego Wschodu, Smith, nie widział w tym nic dziwnego.

– Zdaje się, że coś ci mówiłem na temat czepiania się? – burknął Milo. Ale wyglądał na zakłopotanego.

– Czy naprawdę znasz Smitha? – spytałem.

– Słabo.

– I co?

– Nie jest najgorszym śledczym na świecie.

– Ale najlepszym też nie.

Milo zaczął się kręcić, by przyjąć wygodniejszą pozycję. Nie udało mu się to i zmarszczył brwi.

– Maury Smith jest przeciętny – powiedział. – Jak większość ludzi, w większości zawodów. Odlicza lata i marzy o Wielkim Szczęściu. Z całą lojalnością wobec niego, miejsce takie jak Wydział Południowo-Wschodni ma taki właśnie wpływ na pracowników, nawet jeśli zaczyna się tam z determinacją, żeby zostać super-gliną. Mają więcej trupów w jeden ruchliwy tydzień niż my przez sześć miesięcy. Niech sobie ludzie mówią, co chcą, ale tyle trupów musi zmienić twoje pojmowanie życia jako czegoś wzniosłego. Tak samo jak zmienia to wojna.

– Krajowy Związek dla Rozwoju Ludności Kolorowej twierdzi tak już od dawna.

– Nie, to nie rasizm. No dobra, może w części. Ale tak naprawdę to się sprowadza do kontekstu. Czarnym, który został zabity w uliczce słynącej z handlu narkotykami, nikt nie będzie się zajmował tak samo jak człowiekiem pochodzącym z zamożnego Stone Canyon.

– To znaczy, że dochodzenie Smitha mogło być pobieżne.

– To znaczy, że gdy zostaje zastrzelony czarny dzieciak w podłej czarnej dzielnicy z torebką towaru zaciśniętą w chciwych łapkach, nie wygląda to zbytnio na intrygę.

– Nie wiemy, czy Novato miał przy sobie towar.

– Zgadza się. Chyba mogę zadzwonić w kilka miejsc i dowiedzieć się, czy tak było.

Założył ręce na piersi.

– Gotów na lunch? – spytałem.

– Nie, napchałem się tym cholernym jabłkiem. Pełen zestaw węglowodanów. Czego więcej trzeba?

Nie odezwałem się.

– Powiem ci, na co mam ochotę. Na żrącą wątrobę, wysoką, oszronioną butelkę johnny blacka czy jakiejś jego porządnej namiastki. Ale zamiast pić, wykonam te telefony i wezmę się za to cholerne pranie. Jak wy coś podobnego nazywacie – represja?

– Sublimacja.

– Sublimacja. Tak. Podwieź mnie do domu. Muszę trochę posublimować.

Nie podobał mi się ton jego głosu, ale wyraz twarzy ostrzegł mnie przed wszczynaniem dyskusji.

Poza tym sam musiałem zadzwonić.

Rozdział siedemnasty

Na automatycznej sekretarce Mahlona Burdena było nagrane dziesięć sekund muzyki, krótkie „Proszę zostawić wiadomość” i trzy krótkie sygnały.

– Tu Alex Dela... – powiedziałem.

Trzask.

– Halo, doktorze. Jaką decyzję pan podjął?

– Mogę się tym zająć, panie Burden.

– Kiedy?

– Mam czas dzisiaj.

– Doktorze, ja również mam masę czasu. Niech pan poda miejsce i godzinę.

– Za godzinę. U pana.

– Cudownie. – Dziwne słowo, zważywszy na okoliczności. Podał mi adres, który już znałem, i dołączył szczegółowe wskazówki.

– Za godzinę – powiedział. – Nie mogę się doczekać.

* * *

„Nie przywiązują wagi do zachowania odpowiedniego statusu majątkowego”. Oczekiwałem pod adresem 1723 Jubilo czegoś ohydnie odbiegającego od normy. Ale na pierwszy rzut oka dom był jak wszystkie pozostałe stojące na tym odcinku ulicy. Parterowy bungalow, obłożony aluminium zaprojektowanym tak, żeby przypominało drewno. Pomalowany na zielonoszary odcień sztormowego morza. Obramowania okien i drzwi frontowych były w tym samym, szarym kolorze. Odważna monochromatyczność, pierwsza oznaka odstępstwa od ogólnie przyjętej normy. Sąsiednie domy miały starannie dobrane, kontrastujące barwy.

Zaparkowałem i w oczy rzuciły mi się inne wykroczenia. Niewielki trawnik, skoszony i schludnie przystrzyżony, ale o pół odcienia bledszy niż zraszane, szmaragdowe połacie przed pozostałymi domami na tej ulicy. Kilka przeredzonych miejsc w trawie, co już było wykroczeniem na miarę zbrodni.

Brak rabat kwiatowych. Jedynie pas jałowców oddzielających trawnik od domu. Również brak

drzew. Żadnych karłowatych cytrusów, awokado czy palm, które zdobiły trawniki innych domów.

Skromnie, ale nie dziwacznie. Ocean Heights łatwo się obrażało.

Drzwi frontowe były lekko uchylone. Zadzwoiłem mimo to, odczekałem i wszedłem do przedpokoju, w którym leżała okrągła imitacja perskiego dywanu. Przede mną znajdował się niewielki, kwadratowy salon, o białych ścianach, płaskim suficie, otoczony krzykliwie ozdobnym gzymsem. Wykładzina z zielonej wełny. Wydawała się czysta, ale cienka, jak trawnik przed domem, i wyglądała na jakieś trzydzieści lat. Meble były w podobnym wieku. Drewno o wiśniowym odcieniu, fotele i kanapy przykryte kapami i obite tkaniną w chryzantemy, wykończone plecionką i owinięte, jak w prezerwatywę, w przezroczystą folię. Wszystko do siebie pasowało, każdy mebel ustawiono tu z pieczołowitą dokładnością. Byłem przekonany, że wszystko zostało zakupione jednocześnie.

Chrząknąłem. Nikt nie odpowiedział. Czekać, popuściłem wodze fantazji. Młode małżeństwo robi niedzielne zakupy w jakimś podmiejskim domu towarowym. Zapach prażonej kukurydzy, dzwoni wind. Prowadzą jedno dziecko – chłopaka. Rodzice podekscytowani, zdają sobie sprawę z ograniczonych możliwości finansowych, ale są skorzy do zakupu. Meble, sprzęty domowe, miękkie bele wykładzin. Garnki, naczynia, wszystko fabrycznie nowe, optymistyczne słowa, którymi należało zapełnić dom lat pięćdziesiątych: żaroodporne, nierdzewne, plastikowe, laminowane, styłonowe. Pliki paragonów. Karty gwarancyjne. Obietnice. Gorączka zakupów na miarę zwycięzców teleturnieju...

Wszystkie te wyobrażenia zredukowały się do zestawu meblowego, nieruchomego jak ekspozycja w muzeum.

– Halo? – odezwałem się.

Pomalowany na biało ceglany gzyms otaczał kominek, zbyt czysty, aby można sądzić, że go kiedykolwiek używano. Nie dostrzegłem parawanu, wilków kominkowych ani narzędzi. Górna krawędź gzymsu była równie pusta jak ściany. Białe ściany, czyste, jak ogromne płachty nie zapisanego papieru.

Tabula rasa życia domowego...

Po przeciwnej stronie korytarza znajdowała się jadalnia, o jedną trzecią mniejsza niż salon. Zakończony blankami gzyms. Znów zielona wykładzina i ściany jak kartki z notesu. Orzechowy kredens na porcelanę, pasujący do niego barek. Na jednej z półek kredensu kilka pamiątkowych talerzy. Tama Grand Coulee. Disneyland. Pozostałe półki puste. Pośrodku stał wielki owalny stół otoczony ośmioma krzesłami o prostych oparciach, pokrytymi folią, na których spoczywały brązowe poduszki. Za stołem były rozsuwane, drewniane drzwi do żółtej kuchni. Podeszedłem tam i zajrzałem do środka. Trzydziestoletnia lodówka i kuchenka błyszcząły żółtą emalią. Na lodówce nie zauważyłem żadnych ozdóbek na magnes ani notatek. Brak kuchennych zapachów.

Znajdowały się tam drzwi prowadzące na tył domu. Na progu kartka z napisem:

Za kartką nieoświetlony korytarz z szeregiem pozamykanych drzwi. Biała plama przechodząca w szarość. Podszedłem bliżej, usłyszałem dźwięki muzyki. Kwartet smyczkowy. Haydn.

Ruszyłem w tamtą stronę, skręciłem za róg korytarza i stanąłem przed ostatnimi drzwiami. Muzyka była głośna i na tyle czysta, że mógł ją ktoś grać na żywo.

Przekręciłem klamkę i wszedłem do obszernego pokoju. Deski i belki sufitu były pomalowane na białe. Ciemny parkiet. Trzy ściany wyłożone jasną, brzozową boazerią, czwartą stanowiły szklane, przesuwane drzwi, które wychodziły na niewielkie podwórko, jego większą część zajmował wybetonowany podjazd. Srebrnoszara honda stała przed drzwiami garażu z karbowanego aluminium.

Przeszklona ściana miała optycznie powiększać pokój i ściśle wiązać go z ogrodem. Budownicy określali to niegdyś, w czasach gdy lansowali tropikalne marzenia, mianem hawajskiego patio. Obecnie, w erze zmienności, takie pomieszczenie stało się pokojem rodzinnym.

Pokój rodzinny Burdenów był duży, zimny i pozbawiony mebli. Właściwie tylko pod jedną brzozową ścianą stał sprzęt stereo najnowszej generacji. Czarne matowe obudowy, płyty czołowe z czarnego szkła. Pokrętła i cyfrowe wyświetlacze pulsujące odcieniami zieleni, żółci, szkarłatu i błękitu. Oscyloskopowe fale sinusoidalne. Zmieniające się kolumny płynnego lasera. Kropki podskakujących światełek.

Amplifikator i wzmacniacze, tunery, kompensatory graficzne, generatory basów, rozjaśniacze sopranów, filtry, magnetofon szpulowy, para magnetofonów kasetowych, dwa gramofony, odtwarzacz laserowy. Wszystko to podłączone zwojem przewodów do ustawionego w krąg, jak kamienie Stonehenge, zestawu czarnych, pokrytych materiałem kolumn głośnikowych. Osiem obelisków rozstawionych w pokoju, na tyle potężnych, że mogłyby nagłośnić zespół heavymetalowy na stadionie baseballowym.

Partie dwojga skrzypiec i altówki z kwartetu smyczkowego Haydna były nagrane na magnetofon i odtwarzane niezbyt głośno. Nieogolony i rozczochrany Mahlon Burden siedział na taborecie bez oparcia pośrodku pokoju, ściskając wiolonczelę. Grał ze słuchu, z zamkniętymi oczami, kołysząc się do rytmu, wąskie usta ściągnął jak do pocałunku. Miał na sobie białą koszulę, ciemne spodnie, czarne skarpetki, białe płócienne tenisówki. Rękawy koszuli zawinał niedbale do łokci.

Najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z mojej obecności, grał dalej. Przesuwał pieścotliwie po strunach smyczkiem z końskiego włosia. Kontrolował głośność tak doskonale, że wiolonczela wtapiała się bez skazy w nagrane dźwięki, odtwarzane przez głośniki.

Człowiek i maszyna. Człowiek jako maszyna.

Jak na mój słuch był niezły. Na miarę orkiestry symfonicznej albo prawie. Ale zniechęcała mnie sterylna teatralność całej sytuacji.

Przyszedłem tam, żeby ekshumować, a nie żeby mi grano serenady. Jednak wysłuchałem go,

czekałem na jakiś błąd – potknięcie w rytmie albo fałszywy ton, który usprawiedliwiłby moją ingerencję.

Grał nadal idealnie. Kiedy utwór dobiegł końca, nie otworzył oczu, ale rozluźnił rękę trzymającą smyczek i wziął głęboki oddech.

Zanim zdążyłem się odezwać, zaczął się kolejny fragment, który otwierała rytmiczna solówka pierwszych skrzypiec. Burden uśmiechnął się, jakby spotkał przyjaciela. Przygotował smyczek.

– Panie Burden – odezwałem się.

Otworzył oczy.

– Bardzo ładne – stwierdziłem.

Spojrzał na mnie pustym wzrokiem i twarz mu drgnęła. Włączyły się drugie skrzypce. Altówka. Spojrzał na głośniki, jakby kontakt wzrokowy z ich twarzami z materiału mógł w jakiś sposób zapobiec temu, co nieuniknione. Temu, co sam zainicjował.

Nadszedł moment wejścia wiolonczeli. Muzyka płynęła, wyśmienita, ale niekompletna. Niespokojna. Jak piękna kobieta bez sumienia.

Burden rzucił jeszcze jedno żalosne spojrzenie, następnie wstał, włożył wiolonczelę i smyczek do futerału. Z kieszeni spodni wyciągnął pilota i wyłączył aparaturę.

Cisza ogołociła pokój z czegoś więcej niż muzyka. Dopiero teraz zauważyłem, że brzoza boazeria jest w rzeczywistości jakąś imitującą drewno płytą. Rysy na parkiecie zrobiły się wyraziste jak blizny. Suwane, szklane drzwi dość dawno nie były myte. Widok betonu i trawy na zewnątrz przygnębiał.

Pokój rodzinny bez rodziny.

– Gram codziennie, bez wyjątków – powiedział. – Skupiam się na technicznie trudnych utworach.

– Gra pan bardzo dobrze.

Skinął głową.

– Kiedyś miałem ambicje, żeby się z tego utrzymywać. Ale nie da się z tego żyć, jeśli nie dopisze szczęście. Nigdy nie liczyłem na szczęście – powiedział raczej z dumą niż z goryczą. Podeszedł do zestawu sprzętu.

– Wierzę w postępowanie systematyczne, doktorze Delaware. To właściwie moja zasadnicza umiejętność. Nie jestem za dobry, jeśli chodzi o nowatorstwo, ale wiem, jak łączyć różne rzeczy. Jak tworzyć systemy. I jak je optymalnie wykorzystywać.

Pogłaskał sprzęt i zaczął wygłaszać wykład o każdym z komponentów. Przeczekiwanie taktyk

opóźniających było jedną z moich umiejętności. Stałem i słuchałem.

– ... Może pan zadać pytanie, po co mi dwa magnetofony kasetowe? Ten – wskazał ręką – jest magnetofonem konwencjonalnym, na taśmy magnetyczne, ale ten jest w systemie DAT. Cyfrowy wybór ścieżki dźwiękowej. Dzieło sztuki. Jego wynalazcy mają nadzieję na stworzenie konkurencji dla płyt kompaktowych, ale nie jestem jeszcze co do tego przekonany. Jakość dźwięku jednak robi wrażenie. Miałem prototyp rok wcześniej, zanim ukazał się na rynku. Całkiem dobrze współgra z całym systemem. Bo czasami stanowi to problem. Komponenty odpowiadają indywidualnym specyfikacjom, ale nie chcą dobrze współdziałać z innymi elementami systemu. Jak instrument, który został nastrojony sam dla siebie, bez uwzględniania pozostałej części orkiestry. Jest do przyjęcia jedynie w bardzo zawężonym kontekście. Sedno leży w tym, żeby podchodzić do życia z nastawieniem dyrygenta. Całość jest wspanialsza niż poszczególne jej składniki.

Poruszył ręką, jakby unosił batutę.

Zafundowałem mu dawkę terapeutycznej ciszy.

Pogłaskał szklaną, czarną płytę i powiedział:

– Pewnie będzie się pan chciał czegoś dowiedzieć o naszym pochodzeniu... o pochodzeniu Holly.

– To byłby niezły początek.

– Proszę ze mną.

Poszliśmy korytarzem. Otworzył pierwsze drzwi na lewo i znaleźliśmy się w pokoju o białych ścianach, z jednym oknem osłoniętym szarymi zasłonami. Zasłony zaciągnięto. Światło pochodziło ze strzelistej lampy halogenowej ustawionej w rogu. Wykładzina była taka sama jak w salonie.

Z rozmiaru i umiejscowienia domyśliłem się, że pokój musiał pełnić niegdyś funkcję głównej sypialni. Później zaś został przekształcony w gabinet. W jedną ścianę wbudowano szafę wnękową z przesuwanymi lustrzanymi drzwiami. Pod pozostałymi trzema ustawiono w kształcie litery „U” białe laminowane regały. W środku wmontowany był czarny, laminowany blat. Część półek była zavalona pudełkami z dyskietkami, instrukcjami komputerowymi, podręcznikami do oprogramowania, zastępczymi blokami twardego dysku, papierami, przedmiotami biurowymi i książkami – w większości informatorami. Pod jedną ze ścian wszystkie półki zajmowały książki telefoniczne – całe setki. Znajdowały się tam książki abonentów prywatnych, zakładów pracy, książki kodowe, a nawet przepisany ręcznie tom, zatytułowany: KODY: PODANALIZY.

Na ścianach za biurkami tkwiły rzędy kontaktów – nieprzerwany ciąg elektrycznych gniazdek, każde połączone z czymś za pomocą grubego, czarnego kabla: trzy klawiatury komputerów, przy każdej sekretarskie krzesło z surowej stali i czarnego skaju, dodatkowe źródło zasilania, laserowa drukarka i modem telefoniczny. Ponadto dziesięć telefonów wieloliniowych, pięć z nich podłączonych do dodatkowych modemów i faksów, pozostałe do automatycznych sekretarek; trzy stacje automatycznego wybierania numerów, ogromna, powielająca zbiorowo kserokopiarka wmontowana w jedną z szafek, tak że wystawała tylko górna część jej potężnej obudowy; mniejsza,

podręczna kopiarka, maszyna do pisania z automatyczną korektą, elektroniczna maszynka do stemplowania listów w miejsce znaczków pocztowych. Inne przyrządy, których nie potrafiłem nazwać.

W pokoju szumiało, brzęczało i błyskało. Telefony dzwoniły po dwa razy, zanim włączały się automatyczne sekretarki. Faksy wypluwały kartki papieru w nierównych odstępach, każda kartka spadała schludnie do koszyka. Monitory komputerów wyświetlały bursztynowe rzędy liter i cyfr posegregowanych w grupy trzech i czterech znaków – niezrozumiałe serie kodów cyfrowo-literowych, które przesuwały się po ekranie w nieznacznym odstępach, jak samochody tkwiące w korku.

Nerwowa elektromagnetyczna symbioza, która bardzo stara się naśladować życie.

Burden miał wyraz twarzy jak dumny ojciec. Jego ubranie złało się z pokojem. Czarno-biały kamuflaż.

To tutaj zniknął.

– Mój ośrodek nerwowy – powiedział. – Jądro mojej firmy.

– List adresowych?

Przytaknął.

– Jak również konsultacji rynkowych dla innych korporacji – wyceny demograficzne. Niech mi pan poda kod pocztowy, a powiem panu masę rzeczy o danej osobie. Poda mi pan adres i mogę jeszcze więcej – mogę przewidzieć tendencje rozwojowe. Dzięki temu doszedłem do tego wszystkiego.

Znów gest dyrygenta. Wysunął szufladę, wyjął z niej jakąś broszurę i podał mi.

Ciężka. Błyszcząca. Tytuł wydrukowany jasnożółtymi literami komputerowymi na czarnej okładce: FIRMA TECHNOLOGICZNA „NOWE GRANICE”.

Pod tytułem muskularny ciemnowłosy mężczyzna, goły od pasa w górę i ubrany w żółte getry, siedzący okrakiem na maszynie do ćwiczeń. Przewody prowadziły od przyrządu do żółtego pasa wokół jego bioder i do pasującej kolorem opaski. Mięśnie miał napięte, żyły nabrzmięte, jakby jakieś robaki drążyły mu korytarze pod skórą. Na błyszczącym popiersiu widoczna była każda kropla potu. Jego uśmiech mówił, że ból jest osiągnięciem absolutnym. Za nim podobnie zbudowana blondynka w żółtym kostiumie, też podłączona do maszyny poprzez pasek, ćwiczyła na przyrządzie imitującym jazdę na nartach biegowych – podobnym do tego, który miałem w domu. Przewody i opaski sprawiały, że wyglądali jak kandydaci na krzesło elektryczne.

Przewróciłem stronę. Katalog sprzedaży wysyłkowej. Jedno z tych eleganckich wydawnictw, które przychodzą codziennie wraz z korespondencją. Wydawało mi się, że kiedyś taki wyrzuciłem.

„Był pan na specjalnej liście zdrowia psychicznego”.

Swoją maszynę narciarską kupiłem z katalogu. Ale nie z tego...

Burden wpatrywał się we mnie, dumny bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Czekał. Wiedziałem, co powinienem zrobić. Czemu nie? To wszystko było częścią mojej pracy.

Przejrzałem katalog.

Na wewnętrznej stronie okładki, nad kolorowym zdjęciem przystojnego, barczystego trzydziestokilkuletniego mężczyzny, znajdował się list, składający się z dwóch akapitów.

Mężczyzna miał faliste włosy, sumiaste wąsy i przyciętą bródkę – jak z reklamy schweppesa. Był ubrany w różową rozpinaną koszulę z perfekcyjnym kołnierzykiem, w niebieską apaszkę i skórzane szelki. Stał w klubowym pokoju wykładanym boazerią z mahoniem, pośród krytych skórą krzeseł o wysokich oparciach, obok rzeźbionego biurka ze skórzanym blatem. Na biurku widać było starą klepsydrę, mosiężne przyrządy morskie, lampę bankierską z błękitnym abażurem i kryształowy kałamarz. W tle wisiały portrety olejne – wizerunki szlachciców. Niemal wyczuwało się zapach laku do pieczęci.

Pod listem widniał podpis złożony wiecznym piórem, zawiły i nieczytelny. Podpis pod zdjęciem definiował mężczyznę jako Gregory'ego Graffa, naczelnego dyrektora do spraw konsultingu firmy technologicznej „Nowe Granice”, z siedzibą główną w Greenwich, Connecticut. List był treściwy, serdeczny i tylko lekko moralizatorski w tonie. Zachwalał zalety witamin, ćwiczeń fizycznych, racjonalnego żywienia, samoobrony i medytacji. Graff określał to jako „nowatorskie uaktualnienie stylu życia współczesnego, pracującego człowieka”. Drugi akapit stanowił prezentację nowych produktów z bieżącego miesiąca, oferowanych po specjalnych cenach dla tych, którzy zamówią je wcześniej. Obok wydrukowano formularz zamówienia wraz z bezpłatnym numerem telefonu i zapewnieniem, że „specjaliści do spraw zakupu” czuwają przy telefonach przez całą dobę.

Katalog był podzielony na sektory zaznaczone na niebiesko w spisie treści. Spojrzałem na pierwszy. „Ciało i Dusza”. Wybór przyrządów do ćwiczeń, których nie powstydziałaby się inkwizycja, demonstrowanych przez muskularną parę z okładki. Dalej środki relaksujące stosowane po wyczerpujących ćwiczeniach: olejki do masażu, odświeżacze powietrza, symulatory kojących dźwięków, małe czarne skrzynki, które obiecywały zmienić atmosferę w każdym domu w stymulowaną „medytację na fali alfa”. Elektryczny „Dzwon Tybetańskiej Harmonii, replika tego, który został stworzony wieki temu w Himalajach, aby chwycił harmonie i naddźwięki prądów wietrznych wiejących na dużych wysokościach”.

Sektor drugi był zatytułowany: „Piękno i Równowaga”. Organiczne kosmetyki, odżywcze herbatniki i słodczyce, małe żółte buteleczki proszku beta-karotenu, kapsułki lecytyny, pyłek pszczelej, pastylki cynkowe, kryształki oczyszczające wodę, zestawy kwasów zwierzęcych, jakaś nowość nazwana „NiteAfter 100”, która podobno unicestwiała psychologicznie szkodliwy wpływ skażenia środowiska, nadmiernego jedzenia i zabaw. Tabletki na mocny sen, na radosne wstawanie, na krzesanie „sił osobowościowych podczas spotkań w interesach i lunchów biznesowych”. Mikstura mineralna, która rzekomo „pozwala odzyskać psychofizjologiczną homeostazę i osiągnąć indywidualny spokój”.

Następnie był: „Styl i Istota”. Ubrania i dodatki z egzotycznych skór i surowej stali. Samoczynnie otwierająca się i zamykająca „Myśląca Aktówka”, którą można dowolnie programować; stylizowane elementy munduru żołnierskiego „zaprojektowane na potrzeby XXI wieku i wybiegające jeszcze bardziej w przód”; zmniejszająca stres kurtka lotnicza; rozgrzewające kombinezony – superpotowe indywidualne sauny. Nylonowa, lateksowa, teflonowa, kaszmirowa symfonia.

Czwarty nosił tytuł: „Postęp i Nowoczesność”, co sprowadzało się do nowości, bez których świat całkiem dobrze sobie radził do tej pory. Zapłony samochodowe uruchamiane głosem, samochłodzące się rękawice kuchenne, napędzane silniczkiem krajalnice do bułek, irchowe pokrowce na kuchenki mikrofalowe. Za skromną dodatkową opłatą wszystko można było opatrzyć monogramem. Przekartkowałem katalog i właśnie miałem go zamknąć, kiedy moją uwagę przyciągnął tytuł ostatniego sektora: „Życie i Bezpieczeństwo”.

Studium stylowej paranoi. Urządzenia podsłuchowe, ukryte magnetofony, wykrywacze podsłuchu telefonicznego, aparaty fotograficzne i lornetki na podczerwień, które miały „zmienić noc twojego przeciwnika w twój dzień”. Szyfratory do konwencjonalnych telefonów. Czerwone telefony łączności bezpośredniej. („Przejmij kontrolę. Rozmawiaj tylko wtedy, kiedy chcesz i z kim chcesz”.) Poligraficzne mierniki stresu pod postacią tranzystorowych odbiorników radiowych, które obiecywały „rozszyfrować i odcyfrować podwójne i wielorakie znaczenia wypowiedzi innych osób”. Modyfikatory głosu, taśmy ze szczekaniem psów, uruchamiane poprzez odgłos kroków („Wybór: 345D – doberman, 345S – owczarek alzacki, lub 345R – rottweiler”). Ultracienkie maszyny do niszczenia papieru, które mieszczą się w aktówce. Aparaty fotograficzne w kształcie długopisów. Radia w kształcie długopisów. Paczuski odwodnionych „potraw pozwalających przeżyć”. Ponownie kryształki oczyszczające wodę. Gdy doszedłem do „Nowatorskiego Szwajcarskiego Scyzoryka o Grafitowej Rękojeści wyposażonego w Zestaw Narzędzi Chirurgicznych”, zamknąłem katalog.

– Bardzo ciekawe. – Podałem go Burdenowi.

Potrząsnął głową.

– Proszę go zatrzymać, doktorze. W dowód uznania. Otrzymuje go pan od pięciu miesięcy, ale jeszcze niczego pan nie zamówił. Może, jeśli przejrzy go pan dokładnie, zmieni pan zdanie.

Katalog znalazł się w kieszeni mojej marynarki.

– Dość różnorodna kolekcja – zauważyłem.

Odpowiedział z wahaniem właściwym bykowi, którego na rodeo wypuszczono z boksu.

– To dziecko mojego umysłu. Byłem w wojsku zaraz po Korei. Kryptografia, deszyfracja i technologie komputerowe – niemowlęstwo ery komputerów. Gdy wyszedłem, pojechałem do Waszyngtonu i pracowałem w Biurze Badania Opinii Publicznej. Dopiero zaczynaliśmy się komputeryzować – dawne czasy rozklekotanych maszyn i kart IBM. Tam poznałem swoją żonę. Była bardzo inteligentną kobietą. Matematyczka. Ze stopniem magistra. Ja jestem samoukiem, nigdy nie skończyłem szkoły średniej, ale zostałem jej nauczycielem. Przez lata pracy nad statystyką i wzorami

demograficznymi dobrze poznaliśmy przemieszczenia mas ludności, zmiany trendów. Rozpoznaliśmy, jak ludzie w różnych rejonach i pochodzący z różnych środowisk społecznych różnią się w sferze potrzeb i w tym, co kupują. Przewidywalna potęga zmiennych adresowych. Kody stały się cudownym uproszczeniem. A teraz nowe podkody jeszcze bardziej wszystko ułatwiają.

Usiadł na jednym z sekretarskich krzeseł, wykonał półobrót i wrócił do punktu wyjścia.

– Jej piękno, doktorze, piękno wiedzy informacyjnej, polega na tym, że można działać w tak prosty sposób. Kiedy odszedłem z posady rządowej, dostosowałem swoją wiedzę do potrzeb świata biznesu. Biorąc pod uwagę moją doskonałą umiejętność pisania na maszynie oraz zdolność programowania komputerów, sam stanowią korporację – nawet nie potrzebuję sekretarki. Załedwie kilka bezpłatnych linii telefonicznych, kilku najemnych pracowników, którzy wykonują moje zlecenia u siebie w domu, i kilka drukarni w różnych częściach kraju, z którymi zawieram prywatne kontrakty. Łączę się z nimi wszystkimi za pośrednictwem modemu. Żadnych kosztów inwentarzowych czy lokalowych, ponieważ po prostu nie ma żadnego inwentarza. Klient otrzymuje katalog i dokonuje wyboru. Operatorzy przyjmują zamówienia i przekazują je bezpośrednio do wytwórcy. Wytwórca wysyła produkt prosto do klienta. Po potwierdzeniu odbioru wytwórca dostaje rachunek opiewający na różnicę od ceny detalicznej – moje honorarium za usługę.

– Elektroniczny pośrednik.

– Tak. Zaawansowany stan mojej technologii pozwala mi na niezwykłą elastyczność. Mogę dodawać i wycofywać produkty, zależnie od popytu, wprowadzać zmiany w dodrukach i wytwarzać w ciągu dwudziestu czterech godzin ściśle wyspecjalizowane oferty sprzedaży, wysyłane pocztą. Zacząłem nawet przeprowadzać doświadczenia z automatyczną siecią operatorów – nagrane na taśmę informacje połączone z reagującymi na głos pauzami: taśma czeka, aż klient skończy mówić, i odpowiada perfekcyjnie poprawnym językiem angielskim, bez żadnych naleciałości regionalnych. Tak więc pewnego dnia mogę w ogóle nie potrzebować pracowników. Doskonała działalność chałupnicza.

– Kim jest Graff?

– Modelem. Wynająłem go przez nowojorską agencję. Niech pan zwróci uwagę, że jest określony jako naczelny dyrektor do spraw konsultingu – tytuł, który z prawnego punktu widzenia nie ma żadnego znaczenia. Ja jestem prezesem i dyrektorem naczelnym. Przejrzałem setki zdjęć, zanim go wybrałem. Moje badania rynkowe wskazały dokładnie, kogo potrzebuję: młodzieńcza witalność połączona z władzą. Ten drugi element dobrze charakteryzuje broda, jeśli jest krótka i starannie utrzymana. Wąs sugeruje hojność. Nazwisko Graff zostało wybrane, ponieważ zamożni konsumenci mają szacunek dla wszystkiego co germańskie – uważają to za sprawne, inteligentne i godne zaufania. Ale tylko do pewnego stopnia. Imię Helmut czy Wilhelm byłoby nieodpowiednie. Zanadto germańskie, obce. „Gregory” uzyskuje dużo punktów w tabeli lubianych imion. Bardzo amerykańskie. Greg. Jest jednym z nas, choć legitymuje się germańskim pochodzeniem. Wspaniały sportowiec, najzdolniejsze dziecko na całej ulicy – ale lubiane. Moje badania wskazują, że wiele osób uważa, iż Gregory Graff posiada stopień uniwersytecki – najczęściej przypisują mu prawo lub magisterium z zarządzania biznesem. Elegancka koszula symbolizuje stabilność; krawat – dostatek, szelki oznaczają spryt i twórczy umysł. Jest człowiekiem, któremu instynktownie się wierzy. Zdecydowany

i nastawiony na dążenie do celu, ale nie wrogi; godny zaufania, ale nie pyszałkowaty. I zainteresowany innymi. Z humanistycznym podejściem. Humanizm jest ważny dla moich konsumentów. Dwa razy do roku daję im możliwość przeznaczenia jednego procentu całkowitej sumy zakupu na jeden z podanych celów dobroczynnych. Gregory jest wspaniałym zbieraczem datków. Ludzie sięgają głęboko do kieszeni. Myślę o wynajęciu go na prawach koncesyjnych.

– To brzmi, jakby było bardzo dobrze przemyślane.

– Och, bo jest. I bardzo dochodowe.

Zaakcentował ostatnie słowo, żeby dać mi do zrozumienia, że ma na myśli ogromne pieniądze. Magnat działalności chałupniczej.

To nie szło w parze z wytartym dywanem, trzydziestoletnimi meblami, brudną hondą. Ale spotykałem już innych bogaczy, którym nie zależało na tym, żeby się afiszować. Albo bali się afiszować i kryli się za fasadą Szarego Obywatela.

– Porozmawiajmy o Holly – zaproponowałem.

Wydawał się zaskoczony.

– Holly. Oczywiście. Czy jeszcze coś chciałby pan o mnie wiedzieć?

Ten nieskrywany narcyzm uderzył mnie. Przedtem myślałem, że jest środkiem prowadzącym do oddalenia w czasie bolesnych pytań. Teraz nie byłem tego pewien.

– Na pewno będę miał wiele pytań dotyczących członków pańskiej rodziny, panie Burden. Ale teraz chciałbym obejrzeć pokój Holly.

– Jej pokój. To zrozumiałe. Jak najbardziej.

Wyszliśmy z gabinetu. Otworzył drzwi po przeciwnej stronie korytarza.

Znów ściany jak kartki z notesu. Dwa okna przesłonięte weneckimi żaluzjami. Cienki materac, rzucony na podłogę, równoległe do niskiej drewnianej ramy łóżka. Materac był rozcięty w kilku miejscach, gąbka wychodziła garściami. W jednym rogu leżała zmięta, zwinięta kula białego prześcieradła. Obok znajdowała się poduszka, również pocięta. Leżała pośród kawałków gąbki. Jedynym meblem oprócz łóżka była komódka z płyty pilśniowej, z trzema szufladami, stojąca pod owalnym lustrem. Na lustrze dostrzegłem rozmazane odciski palców. Szuflady komódki zostawiono otwarte. Trochę odzieży – bawełniana bielizna i tanie bluzki – leżały wewnątrz. Inne części garderoby zostały wyjęte i ułożone w stos na podłodze. Na komódce stało plastikowe radio z budzikiem. Jego tekturową, tylną ściankę usunięto, ktoś wydłubał wnętrze i rozrzucił je na komódce.

– Dowody szacunku ze strony policji – odezwał się Burden. Pomijając nieporządek, nie mogłem nie zauważyć skromnego urządzenia, które nie miało nic wspólnego z wtargnięciem policji.

– Co zabrali ze sobą?

– Nic. Szukali pamiętników, jakiś zapisków, ale nigdy nic takiego nie prowadziła. Mówiłem im to, ale po prostu weszli tu i splądrowali pokój.

– Czy powiedzieli, że może pan go posprzątać?

Dotknął palcami okularów.

– Nie wiem. Chyba tak. – Schylił się i podniósł z podłogi kawałek gąbki. Obrócił go w palcach i wyprostował się nieco.

– Na ogół Holly sprzątała. Dwa razy do roku sprowadzałem zawodowych sprzątaczy, ale zajmowała się tym przez resztę czasu. Lubiła to i dobrze jej szło. Chyba wciąż oczekuję, że ona... wejdzie tutaj ze szmatką do ścierania kurzu.

Głos mu się załamał i podszedł szybko do drzwi.

– Proszę mi wybaczyć. Może pan tu zostać, jak długo pan chce.

Pozwoliłem mu odejść i rozejrzałem się po pokoju, próbując sobie wyobrazić, jak to miejsce wyglądało za życia Holly.

Nie miałem zbyt dużej pożywki dla wyobraźni. Te białe ściany – żadnych gwoździ czy pinezek, żadnej dziury ani pociemniałego miejsca. Młode dziewczyny na ogół traktowały ściany jak gipsowe notesy. Holly nigdy nie powiesiła żadnego obrazka, nigdy nie przypięła proporczyka, nigdy nie umiliła sobie życia rebelią rockowych plakatów.

O czym marzyła?

Szukałem jakiegoś osobistego piętna, ale nie znalazłem żadnego. Pokój był niczym cela, zdecydowanie jałowy.

Czy jej ojciec zdawał sobie sprawę, że to nie jest normalne?

Przypomniałem sobie pokój na tyłach domu, pusty z wyjątkiem jego zabawek.

Jego własną samotnię, zimną jak lodowiec.

Pustka jako styl rodzinny?

Córka jako posługaczka, sprzątaczką magnata chałupnictwa?

Pokój zaczął mnie tłamsić. Czy ona też to odczuwała? Mieszkając tutaj, śpiąc, czuła, jak jej życie przemija?

Ike – ktokolwiek, kto jej współczuł, kto zadał sobie tyle trudu, żeby się nią zainteresować – mógł

być postrzegany jako oswobodziciel. Książę z bajki.

Jak na nią wpłynęła jego śmierć?

Mimo tego, co zrobiła, było mi jej żal.

W głowie brzmiał mi głos Mila. „Alex, uważasz, że nie mam serca?”.

Chciałem wierzyć, że gdyby Milo tu przyszedł, też by coś poczuł. Drzwi do szafy w ścianie były nieco uchylone. Otworzyłem je i zajrzałem do środka. Ostry zapach kamfory. Znów ubrania, niewiele. W większości codzienne dzianiny, podkoszulki, swetry, kilka żakietów. Kieszenie zostały pocięte, podszewki poszarpane. Wyblakłe kolory.

Na podłodze jeszcze jakieś sterty odzieży.

Jakość z pudła na przecenie. Córka magnata.

Nad drążkiem na wieszaki znajdowały się dwie półki. Na niższej leżały dwie gry. „Cukierkowa kraina” oraz „Zapadnie i drabinki”.

Zabawy z przedszkola. Czy przestała w nie grać w wieku sześciu lat? Poza tym nic. Żadnych książek, żadnych czasopism dla nastolatków, żadnych maskotek ani kubków z durnymi sentencjami. Żadnych zabawek z przezroczystego plastiku, w których pada śnieg, gdy się je odwróci do góry nogami.

Zamknąłem drzwi szafy i odwróciłem się tyłem do splądrowanego pokoju, próbując sobie wyobrazić, jak wyglądał, zanim wtargnęła tam policja. Dewastacja nadawała mu bardziej ludzki wygląd.

Prycza i komódka. Puste ściany. Radio.

Wciąż powracało słowo cela.

Ale widziałem cele więzienne, które były przytulniejsze.

Ta wydawała się najgorsza. Jak karczer.

Skazana na odosobnienie.

Musiałem stamtąd wyjść.

Rozdział osiemnasty

Burden był znów w swoim gabinecie i siedział przy klawiaturze komputera. Przesunąłem jedno z krzeseł na kółkach na środek pokoju i usiadłem. Stukał przez kilka chwil szybko w klawiaturę, aż w końcu podniósł głowę. Oczy miał suche.

– Więc jaki jest następny krok, doktorze?

– Wydaje się, że Holly nie miała zbyt wiele zainteresowań.

Uśmiechnął się.

– Aha, jej pokój. Sądzi pan, że ją odizolowałem. Z jakiegoś nieznanego powodu.

Tak właśnie myślałem, ale powiedziałem:

– Nie. Po prostu chcę uzyskać obraz, jak wyglądało jej życie.

– Jak wyglądało jej życie? Nie było takie, niech mi pan wierzy. Choć jestem w stanie zrozumieć, iż pan sądzi inaczej. Czytałem trochę o psychologii dziecięcej, więc znam wszystkie teorie na temat znęcania się nad dziećmi. Izolacja upatrzonych ofiary, żeby uzyskać nad nią maksymalną kontrolę. Ale to do nas nie pasuje. Ani trochę. To nie znaczy że... że byliśmy towarzyscy jak motylki. Jako rodzina czy też indywidualnie. Rozrywek zawsze dostarczała nam samotność. Czytanie, dobra muzyka. Holly kochała muzykę. Zawsze zachęcałem ją do rozmów na temat bieżących wydarzeń i różnych debat dotyczących kultury. Howard, mój pierworodny, dawał się do tego nakłonić. Holly nie. Ale starałem się zapewniać im te same rzeczy, jakie wydawały się sprawiać przyjemność innym dzieciom. Zabawki, gry, książki. Holly nigdy nie wykazywała nimi żadnego zainteresowania... Nienawidziła czytać. Zabawki zazwyczaj pozostawały w pudełkach.

– Co robiła dla rozrywki?

– Rozrywki. – Wycodził to słowo, jakby mu było obce. – Rozrywki. Dla rozrywki mówiła do siebie, snuła fantazje. I była naprawdę twórcza. To muszę jej przyznać. Potrafiła wziąć kawałek sznurka albo kamień, albo łyżkę z kuchni i wykorzystać ją jako natchnienie. Miała wspaniałą wyobraźnię – to bez wątpienia dziedziczne. Ja również mam bardzo bujną wyobraźnię. Jednak ja się nauczyłem ją kierunkować. Twórczo.

– Ona nie?

– Ona po prostu snuła fantazje, nie prowadziło to do niczego więcej.

– Czego dotyczyły jej fantazje?

– Nie mam pojęcia. Zaciekle strzegła swej prywatności, lubiła szczelnie zamykać drzwi, nawet

kiedy była jeszcze mała. Siadała na podłodze albo na łóżku i mówiła do siebie albo mamrotała. Gdy ją namawiałem, żeby zaczerpnęła nieco świeżego powietrza, wychodziła na podwórko za domem, siadała na trawie i robiła dokładnie to samo.

– Gdy była młodsza, czy kołysała się w tył i w przód lub próbowała się okaleczyć? – spytałem.

Uśmiechnął się, jak dobrze przygotowany student.

– Nie, doktorze. Nie była autystyczna, nawet w najmniejszym stopniu. Gdy się do niej zwracano, odpowiadała – jeśli miała na to ochotę. Nie występowała u niej mowa echolaliczna, nic psychotycznego. Była po prostu niebywale samowystarczalna. Jeśli chodzi o rozrywki. Sama sobie zapewniała rozrywki.

Przyglądałem się nieustannie mrugającym telefonom i przesuwanym się samoczynnie obrazom komputerowym. Jego rozrywki.

– I nigdy nie prowadziła żadnego pamiętnika?

– Nie, nienawidziła papieru, wszystko wyrzucała. Nienawidziła rozgardiaszu, była niezwykle porządna. To chyba też dziedziczne. Jestem chyba trochę odpowiedzialny za taką drobiazgowość.

Uśmiechnął się. W ogóle nie wyglądał na osobę, która w jakikolwiek sposób czuje się odpowiedzialna.

– Zauważyłem u niej w szafie jedynie dwie gry – powiedziałem. – Co się stało ze wszystkimi zabawkami i książkami?

– Gdy miała trzynaście lat, urządziła generalne porządki, wyniosła wszystko ze swojego pokoju, z wyjątkiem radia i ubrań, i ułożyła bardzo starannie w korytarzu. Gdy ją spytałem, co robi, nalegała, żebym się tego pozbył. Więc oczywiście pozbyłem się, oddałem do sklepu charytatywnego. Z Holly nie było dyskusji, gdy coś postanowiła.

– Nie chciała czegoś innego w miejsce rzeczy, których się pozbyła?

– Nic. Była całkiem szczęśliwa, nie mając nic.

– Nic oprócz „Zapadni i drabinek” i „Cukierkowej krainy”.

– Tak, zostawiła tylko te. – Odpowiedział z jakimś drgnięciem, trwającym ułamek sekundy. Pochwyciłem je jak ćmę.

– Ile miała lat, gdy dostała te dwie gry?

– Pięć. Matka kupiła je Holly na piątę urodziny.

Drgnął znowu, zmusił się do uśmiechu.

– Widzi pan, już mamy jakiś jej obraz. Jakie wnioski pan z tego wyciąga? Czy to próba zatrzymania przeszłości?

Mówił klinicznym, bezosobowym głosem – klasyczny przykład przeintelektualizowania. Usiłował zmienić przesłuchanie w pogawędkę między dwoma kolegami.

– Nie mogę jeszcze interpretować – powiedziałem. – Porozmawiajmy o jej stosunkach z matką.

– Podejście freudowskie?

Próbując, by nie wyczuł w swoim głosie ani krzty zdenerwowania, odparłem:

– Drobiazgowo, panie Burden.

Nic nie odpowiedział. Odwrócił się lekko i stukał palcami w klawiaturę. Czekałem. Patrzyłem na litery i cyfry na monitorze, pełznące jak samochody na autostradzie.

– Więc – odezwał się w końcu – pewnie to właśnie ludzie reprezentujący pański zawód nazwaliby aktywnym słuchaniem? Strategiczna cisza. Wstrzymywanie się, żeby pacjent mógł się otworzyć? – Uśmiechnął się. – O tym również czytałem.

Odezwałem się z udawanym spokojem.

– Panie Burden, jeśli to jest dla pana krępujące, nie musimy dalej ciągnąć naszej rozmowy.

– Chcę to dalej ciągnąć! – Wyprostował się gwałtownie, niezgrabnie i okulary zjechały mu z nosa. Nim zdążył je poprawić, znowu się uśmiechał. – Musi mi pan wybaczyć mój... chyba można to tak nazwać... opór. To wszystko było... bardzo trudne.

– To oczywiste. Dlatego nie proszę pana, żeby pan mi opowiadał wszystko od razu. Mogę wrócić innym razem.

– Nie, nie, teraz jest najodpowiedniejsza pora. – Odwrócił ode mnie wzrok i znów dotknął klawiatury. – Czy podać coś panu? Sok? Herbatę?

– Nie, nic. Dziękuję. Jeśli rzeczy, o które pytam, są dla pana zbyt bolesne, aby omówić je w tej chwili, może jest coś, o czym chciałby pan porozmawiać?

– Nie, nie, nie schodźmy z tropu. Trzeba to przetrwać. Jej matka. Moja żona. Elizabeth Wyman Burden. Urodzona w 1930, zmarła w 1974. – Odchylił głowę i wpatrywał się w sufit. – Wspaniała kobieta. Rozsądna, obdarzona intuicją i niezwykle utalentowana. Utalentowana muzycznie. Bardzo biegle grała na violi da gamba, poprzedniczce altówki. Howard też dobrze się zapowiadał. Był dość obiecujący, ale porzucił to. Pomagał Elizabeth rozwijać jej zdolności. Pięknie potrafiła wyrażać mu za to swą wdzięczność.

Wykrzywił usta, jakby szukał odpowiedniego określenia. Zdecydował się na wyrażenie żalu.

– Holly była do niej zupełnie niepodobna. Do mnie też nie. My oboje, Betty i ja, jesteśmy... byliśmy niezwykle inteligentni. Nie chwalebę się, po prostu opisuję fakty. Jako para pasowaliśmy do siebie pod względem intelektualnym. Również Howard był utalentowany matematycznie. Wcześniej to zauważyłem i uczyłem go intensywnie. Nie dawałem mu korepetycji – uczył się wyśmienicie. Było to nauczanie dodatkowe, żeby nie poprzestał na poziomie nauczania szkoły państwowej; żeby nie dał się sprowadzić do najniższego, wspólnego mianownika.

– Szkoła nie spełniała jego oczekiwań?

– Na dłuższą metę nie. Jestem przekonany, że zauważył pan, na podstawie własnych doświadczeń, iż cały system skłania się ku przeciętności. Howard rozkwitł dzięki mnie. Pozostał w dziedzinie matematyki. Jest biegłym ubezpieczeniowcem. Zdał wszystkie egzaminy za pierwszym podejściem, co prawie się nie zdarza. Najmłodszy człowiek w całym stanie, któremu się to udało. Powinien porozmawiać pan z nim o Holly, sprawdzić, jaki jest jego punkt widzenia. Proszę, dam panu jego numer. Mieszka w Yalley, za miastem.

Odwrócił się do swojego biurka, wyjął z szuflady skrawek papieru i nabazgrał coś na nim.

Schowałem go.

– Howard jest niezwykle inteligentny – powiedział.

– Ale Holly nie była zbyt dobrą uczennicą?

Potrząsnął głową.

– Gdy dostawała trójki z minusem, to tylko z łaski nauczycieli.

– Na czym polegał problem?

Zawahał się.

– Mógłbym panu naopowiadać o kiepskiej motywacji, że nudziła się na lekcjach i nie miała przedmiotu, który by ją fascynował. Ale prawda jest taka, że po prostu była niezbyt inteligentna. Jej iloraz inteligencji wynosił 87. Nie była opóźniona, ale w dolnych granicach normalności.

– Kiedy przeprowadził pan jej test?

– Gdy miała siedem lat. Sam to zrobiłem.

– Pan ją testował?

– Zgadza się.

– Jaki test pan wykorzystał? – spytałem, spodziewając się, że był to jakiś schematyczny kwestionariusz z samouczka.

– Skalę Inteligencji Wechslera dla Dzieci. To test wyboru, prawda? Najbardziej uaktualniony?

– Wechsler to świetny test, panie Burden, ale wymaga dobrego przygotowania, żeby go umiejętnie przeprowadzić i ocenić.

– Niech się pan nie martwi – powiedział z nagłą radością w głosie. – Przygotowałem się. Dokładnie przeczytałem podręcznik i doczytałem kilka związanych z tym tematycznie artykułów w dziennikach psychologicznych. Potem wypróbowałem go najpierw na Howardzie – dorwał się do niego jak kaczka do wody. Zdobył 149 punktów, co, jak sądzę, mieści się w górnych dziesięciu procentach.

– Wechslera nie sprzedaje się amatorom. Skąd go pan wziął?

– Chyba nie myśli pan o zaskarżeniu mnie, doktorze? – zapytał z szelmowskim uśmiechem.

Skrzyżowałem nogi, odwzajemniłem uśmiech i potrząsnąłem głową.

– Musi pan być bardzo pomysłowy.

– Właściwie – powiedział – to było niesłychanie proste. Wypełniłem formularz zamówienia zamieszczony na końcu jednego z dzienników, wysłałem pieniądze, dopisałem dr przed nazwiskiem, dołączyłem wizytówkę firmy, którą wówczas prowadziłem – Demografia. Stosowane Badania Społeczne. Musiało to dla nich brzmieć wystarczająco dobrze, ponieważ tydzień później nadszedł pocztą test.

Ostentacyjna obłuda. Ale niby dlaczego ktoś, kto zarabia na życie, wciskając ludziom Tybetańskie Dzwonki Harmonii i osobiste pigułki mocy, miałby się powstydzić małego podstępu?

– Starannie przeprowadziłem testy. Dokładniej, niżby je wykonał jakikolwiek szkolny psycholog. I zadałem sobie tyle trudu, żeby ją przetestować jeszcze dwa razy. W wieku dziewięciu i jedenastu lat. Wyniki były niemal identyczne – osiemdziesiąt siedem i osiemdziesiąt pięć. Żadnych szczególnych braków ani znaczących umiejętności. Pełna równowaga pomiędzy zdolnościami psychicznymi i manualnymi. Po prostu ogólny brak lotności. Według mnie musiała przeżyć jakiś szok wewnątrzmaciczny, który podziałał na jej ośrodkowy układ nerwowy. Może to z powodu zaawansowanego wieku jej matki – Betty miała trzydzieści dziewięć lat, gdy ją urodziła. W każdym razie musiało nastąpić jakieś uszkodzenie mózgu. Gdyby nie ta nadzwyczajna sytuacja, mogło być jeszcze gorzej.

– Co pan ma na myśli?

– Mogła się urodzić z poważnymi opóźnieniami w rozwoju. Ale ponieważ Betty i ja byliśmy jej rodzicami, otrzymała genetyczne wzmocnienie umysłowe, które zaklasyfikowało ją do osób normalnych, o niskiej inteligencji.

– Ma pan wyniki testów? – spytałem.

– Nie, wyrzuciłem je wszystkie dawno temu. Po co mi one?

– Czy kiedykolwiek konsultował się pan ze specjalistą w sprawie jej problemów z nauką?

– Na początku pozwoliłem szkole zająć się tym i pojawiła się zwyczajowa parada nieudaczników z ośrodków państwowych. Doradcy, nauczyciele specjaliści i różni tacy. Holly nie pasowała do żadnej z ich grup klasyfikacyjnych – zbyt bystra dla wyuczalnych opóźnionych w rozwoju, zbyt tępa do normalnej klasy, nie sprawiała problemów dyscyplinarnych czy wychowawczych, które kwalifikowałyby ją do edukacyjnie upośledzonych. Odbywali narady – tacy ludzie uwielbiają odbywać narady. Przemawiali do mnie tym ich żargonem. Sądziłem, że uda mi się im omamić mądrymi słówkami, ponieważ nie mam stopnia naukowego przed nazwiskiem.

– Czy istnieją jakieś protokoły z tych narad?

– Nie. Zażądałem, żeby zostały zniszczone. Pracuję w firmie informacyjnej. Wiem, jak takie dokumenty mogą kiedyś zaszkodzić. Próbowali się sprzeciwić – jakieś głupie ustalenia prawne – ale nie ustąpiłem. Potężna siła osobowości. Stanowili zbieraninę ludzi o tak słabej woli; sami byli otepiali. Tylko gadanie, żadnych czynów. Wcześniej zdałem sobie sprawę, że mogę polegać wyłącznie na sobie i że Holly będę musiał douczać sam. Więc dałem sobie z nimi spokój. Takie samo zdanie mam o policjancie Frisku. Dlatego podjąłem inicjatywę i zadzwoniłem do pana. Wiem, że pan jest inny.

Już druga niepochlebna uwaga z jego strony pod adresem szkoły.

– Czy rozmawiał pan z Holly na temat swoich odczuć co do szkoły?

– Doktorze, czy usiłuje pan powiedzieć, że rozbudziłem w jej sercu nienawiść?

– Usiłuję uzyskać obraz, w jaki sposób postrzegała szkołę?

– Nienawidziła jej. Musiała jej nienawidzić. Dla niej symbolizowała fiasko. Te wszystkie lata nieudolności i obojętności. Jakże mogła się czuć? Ale to nie był powód, dla którego miałyby kogoś zabić.

Roześmiał się szyderczo.

– Jakie działania wyrównujące pan podjął? – spytałem.

– Poświęcałem jej uwagę, kiedy chciała. Siadałem z nią co wieczór po obiedzie i pomagałem w odrabianiu pracy domowej. Próbowalem nakłonić ją do koncentracji. Próbowalem ją przekupić – pan nazwałby to warunkowaniem twórczym. To nie dawało rezultatu, ponieważ niczego nie potrzebowała. W końcu udało mi się doprowadzić jej umiejętność czytania i liczenia do poziomu, na którym mogła funkcjonować w życiu. Proste napisy i rachunki, znaki drogowe. Nie miała ochoty ani zdolności, aby poznać jakieś bardziej abstrakcyjne pojęcia.

– Jak długo udawało jej się utrzymać uwagę?

– Wystarczająco długo, jeśli coś ją zainteresowało – sprzątanie i układanie, słuchanie muzyki przez radio i taniec, gdy sądziła, że nikt nie widzi. Wcale, jeśli coś ją nie obchodziło. Ale to chyba

jest normalne u wszystkich?

– Taniec – powiedziałem, próbując go sobie wyobrazić. – Więc fizycznie była sprawna?

– W miarę sprawna. To znaczy na tyle, na ile jest to potrzebne do tych dzisiejszych tańców. – Klepnął dłońmi i wykrzywił twarz. – Betty i ja tańczyliśmy na poważnie. Dawno zapomniane, barokowe i klasyczne tańce – gawoty, menuety. Kroki, które naprawdę wymagały wirtuozerii. Stanowiliśmy niezłą parę.

Kierował się znów ku samouwielbieniu. Czułem, że potrzebna mi gruba lina, żeby przeciągnąć jego uwagę z powrotem w stronę Holly.

– Czy kiedykolwiek brał pan pod uwagę środki farmakologiczne – rytalinę albo coś w tym rodzaju? – spytałem.

– Nie, po tym jak przeczytałem o skutkach długotrwałego zażywania amfetaminy. Zahamowany wzrost. Anoreksja. Możliwe uszkodzenie mózgu. Nie chciałem, aby Holly doznała jeszcze większego uszkodzenia mózgu. Poza tym nie była nadpobudliwa, raczej letargiczna. Lubiła długo spać, wylegiwać się w łóżku. Ja wstaję wcześniej.

– Czy występowały u niej okresy depresji emocjonalnych?

Machnął ręką.

– Miała dobre nastroje. Po prostu brakowało jej energii. Z początku myślałem, że to wynika z niewłaściwego żywienia – że ma coś wspólnego z poziomem cukru we krwi albo z tarczycą. Ale wszystkie wyniki badań krwi były dobre.

Badania krwi. Na wpół spodziewając się, że sam nakłuł jej żyłę, spytałem:

– Czy pana lekarz rodzinny przedstawił jakieś sugestie, gdy podał panu wyniki?

– Nigdy nie mieliśmy lekarza rodzinnego. Nigdy go nie potrzebowaliśmy. Zaprowadziłem ich oboje, Holly i Howarda, do państwowej przychodni, żeby wykonano badania. Tam też mieli robione szczepionki. Powiedziałem, że podejrzewam jakąś zaraźliwą infekcję. Do obowiązków przychodni należy sprawdzenie takich rzeczy, więc musieli je wykonać. Wykoncypowałem, że w ten sposób mogę też odzyskać coś ze swoich podatków.

Cóż za radosna obłuda. W jaką część tych opowieści powinienem wierzyć?

– Kto się zajmował ich chorobami wieku dziecięcego? Dokąd ich pan prowadził, gdy miały gorączkę i potrzebne im były antybiotyki?

– Były bardzo zdrowymi dziećmi. Rzadko miały wysoką temperaturę. Zdarzyło się; to kilka razy – zbiłem gorączkę aspiryną i płynami, dokładnie tak, jak kazałby mi lekarz. Parę razy potrzebna im była penicylina. Otrzymali ją od państwowej służby zdrowia. Odra ich oszczędziła. Z ospą wietrzną i ze świnką poradziłem sobie zgodnie ze wskazówkami z książek – z poważnych książek medycznych.

Potrafię przeczytać wskazania, tak jak każdy lekarz.

– Samowystarczalność – stwierdziłem.

– Tak. W niektórych okolicznościach to wciąż jest chwalebne.

Obwieszczając wszem wobec swoje osiągnięcia, wyglądał wyzywająco, zarumieniony, zdawał się jakiś większy, bardziej krzepki. Jak karłowaty kogut, który lustruje podwórko w poszukiwaniu rywali.

Zmieniając temat, powiedziałem:

– Jest spora różnica wieku pomiędzy Holly i Howardem.

– Jedenaście lat. Tak, nie była dzieckiem planowanym. Co nie znaczy niechcianym. Gdy Betty dowiedziała się, że jest w ciąży, była zaskoczona, ale szczęśliwa. A to już dużo mówi, ponieważ nie była zdrową kobietą – krwawiące wrzody w przewodzie pokarmowym. Nie jestem pewien, czy pan o tym wie, ale cierpiała na chroniczne wzdęcia, bardzo bolesne. Niemniej jednak zachowała się jak dzielny wojak. Pielęgnowała Holly przez jedenaście miesięcy – dokładnie tyle samo czasu, ile przeznaczyliśmy na Howarda. Była wspaniałą matką, bardzo cierpliwą.

– Jaki wpływ miała na Holly jej śmierć?

– Przypuszczam, że dość znaczny.

– Przypuszcza pan?

– Przypuszczam. W przypadku Holly nie było możliwości, aby się dowiedzieć, co naprawdę czuje, gdyż nie rozmawiała, nie wyrażała swoich emocji.

– Czy była na pogrzebie?

– Tak, była. Jeden z pracowników domu pogrzebowego zajmował się nią w pokoiku przy kaplicy podczas pogrzebu i gdy poszliśmy do grobu. Potem usiadłem z nią i wyjaśniłem, co się stało. Popatrzyła na mnie, nie odezwała się, popłakała chwilę i odeszła. Usiadła na trawniku. Żeby pofantazjować. Pozwoliłem jej na to przez chwilę, po czym zabrałem do domu. Kilka razy słyszałem, jak płakała w nocy, ale kiedy do niej szedłem, cichła, odwracała się na drugi bok i nie chciała ze mną rozmawiać na ten temat.

– Jak wytłumaczył jej pan, co się stało?

– Powiedziałem Holly, że matka była bardzo chora. Wiedziała o tym, widziała, jak Betty chorowała. Wyjaśniłem jej, że pojechała do szpitala, żeby wyleczyć bóle brzucha, ale że lekarze byli głupcami, zrobili błąd i zabili ją przez swoją głupotę, a teraz musimy żyć dalej bez niej i być silni. Mówiłem, że wciąż jesteśmy rodziną i będziemy nadal żyć jak rodzina.

– Śmierć pańskiej żony była wynikiem pomyłki lekarskiej?

Spojrzał na mnie, jakbym zaliczał się do osób niezbyt inteligentnych.

– Ta kobieta cierpiała na chorobę, która nie była śmiertelna, doktorze. Wykrwawiła się na śmierć na stole operacyjnym, w obecności całej ekipy lekarzy.

– Czy podjął pan kroki prawne?

Roześmiał się ostro, szyderczo.

– Rozmawiałem z kilkoma adwokatami, ale nie chcieli się podjąć sprawy. Widocznie, biorąc pod uwagę historię choroby mojej żony, rzecz nie była wystarczająco prosta. Prawda jest taka, że mieli dość prostszych spraw. Nie chcieli tracić czasu na coś, co wymagało prawdziwych badań i dochodzenia. Pewnie udałoby mi się znaleźć kogoś, kto by się tym zajął, ale miałem inne sprawy na głowie. Dwójkę dzieci do wychowania i firmę – wtedy sam zajmowałem się sprzedażą bezpośrednią, wciąż tworzyłem swoje listy. Było to znacznie bardziej pracowite niż dzisiaj. Więc potrzebowałem do tego całej mojej energii.

– To musiały być dla pana ciężkie chwile.

– Nie bardzo. Podeszedłem do tego systematycznie, wszystko miałem zorganizowane. Howard nadal otrzymywał same szóstki. – Przerwał. – Mimo to uważam, że inność Holly była częściowo moim błędem.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Mam wiele zdolności i talentów intelektualnych, ale nie potrafiłem ich jej przekazać, nie potrafiłem naprowadzić Holly na jakąś celową działalność. Uparcie zamykała się przede mną i pozwalałem na to, ponieważ nie chciałem być okrutny. Przez to stałem się może zbyt miękki. – Wzruszył ramionami. – Spóźniony refleks, co?

Pławił się w udawanej szczerości.

Mimo mojej niechęci do pochopnej diagnozy wciąż nasuwała mi się ocena: narcystyczne zaburzenia osobowościowe. Patologiczny egotyzm.

Pasowało. Nawet do jego sposobu zarabiania na życie. „Piękno i Równowaga. Postęp i Nowoczesność”. Ten katalog stał się peanem na cześć narcyzmu. Mógłbym się założyć, że to dziecko jego umysłu było ważniejsze od prawdziwych dzieci, ważniejsze od wszystkich i wszystkiego.

Spróbowałem sobie wyobrazić, że jestem jednym z jego dzieci i moja sympatia dla Holly jeszcze wzrosła.

– A więc – powiedział – chyba robimy postępy. W czym jeszcze mogę panu pomóc, doktorze?

– Jakie panowały stosunki między Howardem i Holly?

– Bardzo dobre, nie sprzeczcali się nigdy.

– Czy często przebywali ze sobą?

– Niewiele. Howard był pochłonięty swoimi zajęciami – nauka, kółka pozalekcyjne – a Holly siedziała u siebie w pokoju. To nie znaczy, że jej nie kochał. Zawsze się o nią troszczył, mimo że nieco go krępowała.

– Jak to zniósł?

– Jak żołnierz.

– Czy jest żonaty?

– Oczywiście. Ma duży dom w Encino, na południe od bulwaru. Ma śliczną córeczkę, bardzo bystrą. Wszyscy znieśli to jak żołnierze. Niech pan ich odwiedzi, sam się przekona. Jak się nad tym zastanawiam, to dochodzę do wniosku, że naprawdę powinien pan tam pojechać. Niech pan porozmawia z Howardem.

Usłyszałem ponaglenie brzmiące w jego głosie. Porozmawiaj z moim inteligentnym dzieckiem. Tym, które się udało.

– A przyjaciele? – spytałem.

– Holly? Nie, nie miała żadnych przyjaciół. Kiedy była mała, czasami przychodziło do niej kilkoro dzieci z sąsiedztwa. Hałasowały i przeszkadzały mi w pracy, więc musiałem wyganiać je na zewnątrz. Ale to w końcu ustało. Holly nie bardzo nadawała się do zabaw grupowych.

– Kiedy przestały przychodzić?

Zastanowił się.

– Chce pan, żebym przyznał, że wszystko się zmieniło po śmierci jej matki, tak? Ale jeśli chodzi o tych jej przyjaciół, obawiam się, że nie mogę pana w tym względzie zbytnio usatysfakcjonować. Jestem niemal pewien, że nie miała towarzyszy zabaw długo przed śmiercią Betty. Sama nie bardzo lubiła się bawić z innymi. Często odłączała się i zostawiała swoich gości własnemu losowi.

– A gdy była starsza? Czy zaprzyjaźniła się z kimś w szkole?

– Z nikim. Nie lubiła niczego, co się wiązało ze szkołą. Chciała przestać do niej chodzić w wieku piętnastu lat. Męczyła mnie, żebym pozwolił jej na zdawanie egzaminów sprawdzających znajomość materiału danego roku nauczania. Wiedziałem, że nie przesłaby przez nie i odmówiłem, ale nie dawała mi spokoju. Potrafiła być dość uparta, gdy sobie coś ubzdurała. Gdy miała szesnaście lat, zgodziłem się wreszcie. Podeszła do egzaminu. I oblała.

– Czy to ją zaniepokoiło?

– Nie bardzo. Nikt z nas nie był tym zaskoczony. Kazałem jej skończyć szkołę, żeby chociaż miała papier. Nie zasługiwała na to, ale te fujary przepychały ją z klasy do klasy. Typowe podejście w szkole państwowej – iść po linii najmniejszego oporu.

– Co robiła po ukończeniu szkoły?

– Siedziała w domu. Słuchała radia – muzyki pop i pogadanek. Mogłaby go słuchać przez całą dobę. Przydzieliłem jej obowiązki domowe: porządkowanie, sprzątanie, proste prace papierkowe. Lubiła mi pomagać.

Darmowa pomoc domowa. Wygodne. Ideał żony dla niektórych mężczyzn.

– Czy ostatnio się z kimś zaznała? Po ukończeniu szkoły?

– Niby jak? Nigdy nigdzie nie chodziła.

– Słyszałem, że była zaprzyjaźniona z chłopakiem dostarczającym zakupy ze sklepu Dinwiddiego, Isaackiem Novato.

Zacisnął szczęki i przysunął się z krzesłem.

– Gdzie pan słyszał o tej domniemanej przyjaźni?

– Powiedziano mi, że go znała, że widziano, jak rozmawiali.

– Rozmawiali. Cóż, to możliwe. Ten chłopak dostarczał nam do domu artykuły spożywcze. Co tydzień. Holly wpuszczała go i dawała mu napiwek, więc sędzę, że przy tej okazji rozmawiali. Co jeszcze panu mówiono?

– Tylko tyle.

– Doprawdy? Nie przeszkadzałoby mi to, ale wątpię, żeby byli przyjaciółmi. Na pewno pan wie, że to czarny. W przeciwieństwie do innych w tej dzielnicy... w tym kraju... nie przywiązuję znaczenia do kwestii rasy. Oceniam ludzi na podstawie ich osiągnięć, a nie koncentracji pigmentu w skórze.

Znając to jego credo, zastanawiałem się, jak oceniał swoją córkę.

– Nie bardzo pan mi wierzy – powiedział.

– Ależ skąd.

– Novato był dobrze traktowany w tym domu. Może go pan zapytać.

– To niemożliwe – odparłem. – Nie żyje.

– Nie żyje? – zaskoczenie zmroziło mu twarz. Stopniało powoli, ale nie do końca, pozostawiając cień w jego oczach. Pierwsza jego reakcja, którą uznałem za spontaniczną.

– Kiedy zmarł?

– We wrześniu.

– We wrześniu. Jak się nad tym zastanowię, to rzeczywiście nie widziałem go od jakiegoś czasu.

– Czy u Holly w tym czasie wystąpiły jakieś objawy podenerwowania?

– Podenerwowania? Nie, przynajmniej nie zauważyłem. Na co zmarł?

– Został zabity.

– O Boże! Przez kogo?

– To jest niejasne. Policja twierdzi, że chodziło o jakąś nieudaną transakcję narkotykową.

– Policja... Czy uważają, że to ma jakiś związek z Holly?

– Nie. Odkryli tamtą sprawę, gdy doszukiwali się jej dawnych znajomych.

– Znajomych – powtórzył. – Jedną rzecz mogę panu powiedzieć z całą pewnością, Holly nie miała nic wspólnego z narkotykami.

– Jestem tego pewien.

– Nie miała też nic wspólnego ze strzelaniem do dzieci. – Przerwał. – Ale może została... w coś wrobiona? Może Novato ją w coś wciągnął?

– Na przykład?

– Jakąś korupcję.

Zamknął oczy. Zapanowało długie milczenie, a jego twarz wyglądała jak martwa. Zniknął gdzieś cały podziw dla samego siebie. Jedna z laserowych drukarek wypluwała papier. Część spadła na podłogę. Nie zwrócił na to uwagi, w końcu otworzył oczy.

– Coś jeszcze? – Wciąż zdawał się pochłonięty swoimi myślami.

– Policja stwierdziła, że karabin, który Holly zabrała do szkoły, należał do pana. Czy potrafiła strzelać?

– W ogóle. Nienawidziła broni palnej. Moja kolekcja broni stanowiła jedyną część domu, jakiej nie chciała sprzątać. Cała ta teoria to bzdura.

– Znaleziono ją z karabinem.

– To nie znaczy, że strzelała. Mogła tam zostać zwabiona, namówiona, że powinna zabrać ze sobą remingtona.

– W jaki sposób zwabiona?

– Nie wiem jeszcze. Ale ta sprawa Novata daje mi do myślenia. Może któryś z jego kumpli z gangu miał z tym coś wspólnego.

– Nie ma dowodów, że zadawał się z gangami.

– W tym mieście narkotyki to jednocześnie gangi. Znów zapadło długie milczenie.

– Kiedy zauważył pan brak karabinu? – spytałem.

– Nie zauważyłem, ale to o niczym nie świadczy. Rzadko przyglądałem się swojej kolekcji. Przestała mnie interesować.

– Gdzie pan trzyma tę kolekcję?

Wstał i poprowadził mnie z powrotem na korytarz. Drzwi obok pokoju Holly wiodły do głębokiej, cedrowej szafy wnękowej, w której na trzech ścianach przymocowano stojaki na broń. Stojaki były puste. Podłoga odkurzona. Szafa pachniała olejem do maszyn i smarem.

– Policja wszystko zabrała – powiedział. – Co do sztuki. Do analizy. Podobno wkrótce je odzyskam. Ale jestem pewien, że będzie to wymagało mocowania się z papierkami.

Na każdym z trzech stojaków naliczyłem osiem nacięć.

– Wszystko długa broń. W większości stara. Skałkówki. Strzelby na proch. Niedziałające. Kupiłem to jako lokatę kapitału, kiedy wyszedłem z wojska. Stary znajomy z wojska potrzebował szybko gotówki. Okazały się całkiem dobrą inwestycją, choć nigdy nie zadałem sobie trudu, żeby je sprzedać, ponieważ, szczerze mówiąc, nie są mi potrzebne pieniądze.

Pamiętając o kiepskim strzelaniu Holly, spytałem:

– A co z remingtonem?

– W jakim sensie?

– Czy to też był egzemplarz kolekcjonerski?

– Nie, normalny remington. Nabyłem go legalnie i zarejestrowałem.

– Do polowania?

Potrząsnął głową.

– Kiedyś polowałem, jako młody chłopak, ale nie robię tego od tamtej pory. Świetnie strzelałem, w wojsku dostałem odznakę za doskonałe wyniki na strzelnicy, ale nie było powodu dalej się tym zajmować. Karabin służył ochronie osobistej.

– Czy miał pan wcześniej złe doświadczenia z jakimiś przestępstwami, że się pan uzbroił? – spytałem.

To go rozbawiło.

– Nie, to było na wszelki wypadek. Tam gdzie się wychowałem – na wsi, w Wisconsin – broń znajduje się w każdym domu, tak jak sól, mięso czy masło. Jestem pewien, że popiera pan kontrolowane posiadanie broni.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Jest pan liberałem, większość ludzi zajmujących się zdrowiem psychicznym ma przekonania liberalne, prawda? Uparcie wierzyacie we wrodzone dobro ludzkości. W każdym razie nie żałuję, że trzymam broń, i sugestia, że w jakiś sposób jestem odpowiedzialny za to, co się stało jest absurdalna. Poza tym Holly nigdy nikogo by nie postrzeliła – nie zrobiłaby tego, nie mogłaby. Nie potrafiła posługiwać się bronią. Dlatego nic z tego, co mówią, nie ma sensu. Chyba że ktoś ją namówił.

– Tej nocy, przed strzelaniną, czy słyszał pan, jak wychodziła z domu?

– Nie – odparł. – Wczesnie chodzę spać. Mam bardzo twardy sen.

– Czy w domu jest system alarmowy?

– Tak. Choć niech pan zwróci uwagę, że w przedpokoju nie ma płytki sterowniczej. Mój system jest znacznie bardziej wymyślny.

– Czy Holly wiedziała, jak go obsługiwać?

– Oczywiście. Nie była tu uwięziona.

– I wyłączyła go przed wyjściem?

– Alarm się nie włączył, więc najwidoczniej tak. Ale włączyła go ponownie – gdy się obudziłem, był włączony. Nie miałem pojęcia, że wyszła.

– Czy to było dla niej typowe, że wychodziła w nocy?

– Nie.

– Panie Burden, widziano, jak Holly spacerowała wieczorami po okolicy.

Zdziwił się dość szczerze.

– Cóż... może wychodziła od czasu do czasu, żeby przepędzić kota albo zaczerpnąć nieco powietrza. Ale większość czasu spędzała w swoim pokoju. Miała tam wszystko, co jej było potrzebne.

Wpatrywał się we mnie intensywnie. Spojrzał na zegarek.

– To chyba tyle na dzisiaj – oświadczył.

– Oczywiście – zgodziłem się.

Odprowadził mnie do drzwi.

– Więc – spytał – robimy postępy? Jak pan sądzi?

– Robimy.

Złapał mnie za rękaw.

– Była niewinna, niech mi pan wierzy. Naiwna. Iloraz inteligencji osiemdziesiąt siedem. Pan wie lepiej niż ktokolwiek inny, co to oznacza. Nie miała zdolności intelektualnych, żeby coś zaplanować. Agresja zaś nie leżała w jej naturze – nie wychowałem jej w ten sposób. Nie miała powodów, żeby do kogoś strzelać. A już na pewno nie do dzieci.

– A czy mogła mieć powody, żeby strzelać do polityków?

Potrząsnął głową, zirytowany.

– Nie mogę oprzeć się wrażeniu, doktorze, że wciąż nie jest pan w stanie zrozumieć, kim była, w jaki sposób żyła. Nigdy nie czytała gazet, polityka czy bieżące wydarzenia w świecie nie obchodziły jej ani trochę. Spała do późna, słuchała radia, tańczyła, sprzątała w domu. Szorowała go aż do połysku. W odpowiednich porach przygotowywała dla nas obojga proste posiłki. Na zimno. Ja gotowałem, jeśli trzeba było coś ugotować. Lubiła to swoje życie. Znajdowała w nim ukojenie.

Zdjął okulary, wystawił je pod światło lampy nad wejściem i spojrzał przez nie.

– Bez niej będzie zupełnie inaczej. Teraz sam będę to robił.

* * *

W czasie kiedy byłem u Burdena, słońce zaszło i teraz wyszedłem w ciemność. Miałem wrażenie, jakbym przebywał na obcej planecie.

Nieźrównoważony człowiek. Namalowany przez niego portret córki był smutny. Ale pouczający.

Mieszkała w celi.

Rozmawiała ze sobą.

Czyściła wszystko do połysku.

Nie była autystyczna, ale jej zachowanie nosiło elementy autyzmu; zamknięcie się w sobie w stopniu sugerującym zaburzenia psychiczne.

Stwarzała sobie swój własny świat. Jaki ojciec, taka córka.

Ale on pragnął swojej izolacji. Ukierunkował ją zarobkowo. Przedsiębiorca Nowej Ery.

Czy zamknęła się w szklanej bańce i nie mogła się z niej wydostać? Czy była ofiarą pomyłki genetycznej? Efektem katastrofy środowiskowej? Jakaś nieobliczalną mieszaniną obydwu przyczyn?

Czy przyjęła styl życia swojego ojca z własnej nieprzymuszonej woli?

Czy miała nieprzymuszoną wolę?

„Lubiła mi pomagać”.

Czy ten dostawca gadżetów stworzył sobie robota do sprzątnięcia domu, wydajnego jak niektóre z drogich zabawek w jego katalogu? Dopasował jej nieprzystosowanie i patologie do swoich potrzeb?

„Czytałem trochę o psychologii dziecięcej... znam te wszystkie teorie o znęcaniu się nad dziećmi... Nie była tu uwięziona...”.

Nieco zbyt szybko wyciągam wnioski?

A może wysuwam kliniczne przypuszczenia, ponieważ za nim nie przepadam?

Przypomniałem sobie, że jest ofiarą. Chciałem mu współczuć, a nie oburzać się, choć właśnie to drugie uczucie rosło we mnie, gdy byłem skazany na przebywanie w tym zimnym, pustym domu.

Zdałem sobie sprawę, że rozmyślałem o nim, zamiast o Holly. Dałem się wciągnąć jego narcyzmowi.

Skierowałem myśli na zasadniczy temat. Niezależnie od motywów jej działania, na podstawie tego posępnego wywiadu zaczął się wyłaniać obraz Holly Lynn Burden.

Strata bliskiej osoby we wczesnym dzieciństwie.

Tłumiony gniew.

Umysłowa dezorientacja.

Niski poziom inteligencji.

Marne osiągnięcia.

Kiepskie mniemanie o sobie.

Izolacja społeczna.

Młoda kobieta bez życia zewnętrznego i z potokiem nieznanymi fantazji, które przepływały przez jej głowę.

Ponurych fantazji?

„Uwięziona” przez ojca, który lekceważył wszelką władzę. Lekceważył szkoły. A jedną, określoną szkołę przede wszystkim.

Do tego trzeba dodać pojawienie się nowej przyjaźni, okrutnie przerwanej. Stłamszony gniew, który rozkwita od nowa. I wzmagają się.

Nocne spacerowanie.

Broń w szafie.

Mahlon Burden nie mógł stworzyć lepszego opisu masowego mordercy, nawet gdybym mu go podyktował.

Opisu bomby zegarowej odmierzającej czas.

Rozdział dziewiętnasty

Wróciłem do swojego ciemnego pustego domu. Przez ostatnie kilka miesięcy – po odejściu Robin – bardzo starałem się traktować to jako coś kojącego. Nauczyłem się doceniać samotność. Doceniać gojenie się ran i spokój, jakie mogły płynąć z umiarkowanych dawek introspekcji.

Ale tego wieczoru samotność zbyt przypominała wyrok odosobnienia. Pozapalałem masę świateł, nastawiłem głośno radio na stację muzyczną. Mimo że ryczący jazz był jakimś nowofalowym utworem w krzykliwej postaci, usiłującej naśladować sztukę, wszystko wydawało mi się lepsze od ciszy.

Zacząłem rozmyślać o spotkaniu z Burdenem. Jego zmieniające się twarze, jakie uwidaczniał podczas spotkania.

Zmienne podejście do córki.

Był wstępny pokaz smutku, ale łzy wyschły szybko w jego komputerowym azylu, po czym nastąpił płytki lament: „Teraz będę to robił sam”.

Może miał na myśli utratę sprzątaczk.

Raz jeszcze przypomniałem sobie, żebym nie wystawiał ocen. Ten człowiek przeszedł przez piekło. Cóż może być gorszego od śmierci dziecka? Do tego jeszcze sposób, w jaki umarła – publiczny wstyd i obarczenie go winą, którą nawet ktoś taki jak Milo mu przypisywał. Któż może go winić, że się zamknął w sobie, że wykorzystywał wszelkie dostępne chwyt psychologiczne?

Na jakiś czas przyjąłem takie usprawiedliwienie.

Jego zachowanie wciąż nie dawało mi spokoju. Brak zaangażowania, gdy o niej mówił.

„Iloraz inteligencji w dolnych granicach normy...”.

Tak jakby jej przeciętność, brak bystrości, stanowiły dla niego osobisty policzek.

Wyobraziłem sobie herb rodowy Burdenów. Skrzyżowane muszkiety na tle świadectwa z samymi szóstkami.

Ten człowiek miał swoje zasady. Holly zaburzyła jego zmysł organizacyjny, stała się skazą na jego systemie.

Wykorzystywał ją do sprzątania domu. Przygotowywania „posiłków na zimno”.

Czy to był rodzaj kary? Czy po prostu efektywne wykorzystanie środków?

A jednocześnie, wbrew wszelkiej logice, głosił jej niewinność.

Wynajął mnie do... czego? Do psychologicznego wybielenia?

Coś mi nie pasowało. Usiadłem i zmagalem się z tym. W końcu powiedziałem sobie, że powinienem zaprzestać pracy w domu. Niegdyś nieźle mi szło stosowanie się do tego postulatu. Dawniej życie wydawało się prostsze...

Nagle muzyka stała się nieznośna dla uszu. Zdałem sobie sprawę, że do tej pory jej nie słuchałem. Teraz ledwo mogłem ją znieść i poszedłem, żeby zmienić stację. Gdy już dotykałem pokrętła, saksofonista skończył i usłyszałem magiczną gitarę Stanleya Jordana. Dobry znak. Czas odsunąć wszelkie myśli na temat rodziny Burdenów.

Ale mój umysł był taki jak wszystkie – nie znosił próżni. Musiałem czymś wypełnić tę przestrzeń.

Zadzwoń do Lindy. Przypomniałem sobie jej niepokój. Potrzebę schwywania oddechu. Już kiedyś w bolesny sposób nauczyłem się nie pchać na siłę.

Uświadomiłem sobie, że jestem głodny, poszedłem do kuchni i wyjąłem jajka, pieczarki i cebulę. Rozbiłem jajka, posiekałem warzywa. Koncentrowałem się, żeby wszystko było odpowiednio przyrządzone.

Usmażyłem omlet, zjadłem, poczytałem dzienniki psychologiczne i przez godzinę zająłem się pracami papierkowymi, po czym wszedłem na maszynę narciarską i udawałem, że sunę po zaśnieżonych łąkach w Norwegii. W samym środku tej fantazji, poprzez zalany potem wzrok, ukazał się brodaty wizerunek Gregory'ego Graffa, i zaczął zachęcać mnie, żebym ćwiczył jeszcze intensywniej. Deklamował listę nowoczesnych artykułów, które zmaksymalizują moje wysiłki. Powiedziałem mu, żeby się odpięrzył i skupił się na ćwiczeniu.

Skończyłem pół godziny później, ociekając potem, gotów na gorącą kąpiel. Zadzwoił telefon.

– Jak poszło? – spytał Milo.

– Bez wielkich niespodzianek. Była dziewczyną z masą problemów.

– Miała skłonności mordercze?

– Nic tak jednoznacznego. – Streściłem mu pokrótce, co mi powiedział Burden.

– Zdaje się, że prowadziła wspaniałe życie – rzekł. Wydawało się, że wyczułem w jego głosie współczucie. – Ojciec nie wie nic więcej o tym Novacie?

– Przynajmniej tak twierdzi. Dowiedziałeś się czegoś nowego?

– Zadzwoiłem do Maury'ego Smitha z Południowo-Wschodniej. Pamiętał tę sprawę. Powiedział, że wciąż jest niewyjaśniona; jedna z wielu. Nie zajmował się nią zbyt szczegółowo, ponieważ nie pojawił się żaden trop. Z pewnością można było wyczuć u niego to podejście, które zauważył

Dinwiddie – po prostu kolejne porachunki w świecie narkotykowym. Ożywił się nieco, gdy mu powiedziałem, że może to mieć związek z czymś, co się wydarzyło na zachodzie miasta, i zgodził się spotkać ze mną jutro w porze lunchu i przynieść dokumenty tej sprawy. Zdobyłem również adres gospodyni – Sophie Gruenberg. Ją pamiętał całkiem dobrze. Powiedział, że to stara komuszka, bardzo wrogo nastawiona do policji, wciąż go pytała, jak może być czarnym Kozakiem. Brzmiało to tak zachęcająco, iż pomyślałem sobie, że odwiedzę ją jutro rano.

– Mógłbym się z tobą zabrać?

– Nie wiem – odparł. – Czy czerwoni tolerują psychologów?

– Jasne. Marks i Freud co wtorek grali razem w kręgle w Wiedniu. Freud zbijał kręgle, a Marks je ustawiał.

Roześmiał się.

– Poza tym – dodałem – skąd masz pewność, że będzie tolerowała białego Kozaka?

– W tym wypadku to nie jakiś tam Kozak, chłopcze. Ten akurat jest członkiem uciśnionej mniejszości.

– Masz zamiar ubrać się w lawendowy kostium?

– Jeśli założysz boa z piór.

– Poszperam na strychu. O której?

– Dziewiąta pasuje?

– Pasuje.

* * *

Przyjechał o ósmej czterdzieści, nie oznakowanym fordem, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Sophie Gruenberg mieszkała przy Czwartej Alei, na północ od Rosę. Parę kroków od plaży, ale to nie było Malibu. W zimny poranek słońce wyglądało jak rzezimieszek zza ponurego rzędu wynędzniałych, prążkowanych chmur, ale piesi już podążali Rosę, kierując się nad ocean.

Wybór sklepów i lokali usługowych na Rosę odzwierciedlał zachodzące tu zmiany. Dla Venice był to typowy widok. Ta dzielnica zmieniała się bezustannie. Delikatesy, lodziarnie i zaciszne modne butikie dzieliły miejsce wzdłuż chodnika z pralniami, placówkami realizacji czeków, barami, gdzie dużo się piło, i walącymi się pawilonami, które w każdej chwili mogły opustoszeć dzięki lustracji Wydziału Imigracyjnego. Milo skręcił w prawo w Czwartą Aleję i minął jedną przecznicę.

Dom był piętrowym bliźniakiem na działce o szerokości trzydziestu stóp. Okna z niedawno

zamontowanymi kratami gwarantowały bezpieczeństwo. Ściany były otynkowane na biało, a pod dachem z różnokolorowych prostokątów biegła drewniana, pomalowana na czerwono listwa. Maleńki trawnik przed domem wydawał się wystarczająco zielony, żeby zadowolić Komitet Krajobrazowy Ocean Heights, między trawnikiem a domem znajdowała się wielka juka i mała grządka przypołudnika. Karłowate róże rosły wzdłuż ścieżki, która rozwidlała się na końcu, prowadząc do dwóch ganków. Dwie pary drewnianych drzwi również pomalowano na czerwono. Widniały na nich mosiężne litery „A” i „3”.

Tuż pod „A” wisiała biała, ceramiczna wizytówka z napisem: SANDERSOWIE. Na drzwiach oznaczonych „B” widniało coś jeszcze: Biały plakat przyklejony taśmą do drzwi, ze zwyczajowym: POSZUKIWANA. NAGRODA!!! napisanym czarnymi, drukowanymi literami. Pod spodem odbitka zdjęcia starszej kobiety – twarz wiewiórki, pomarszczona jak włoski orzech, okolona kędzierzawą aureolą siwych włosów. Poważna mina, niemal nieprzyjazna. Wielkie, ciemne oczy.

Pod spodem napisany na maszynie tekst:

SOPHIE GRUENBERG, WIDZIANA OSTATNIO 27.09.1988, O 20.00 W OKOLICY SYNAGOGI BETH SHALOM, PROMENADA OCEAN FRONT 402, UBRANA BYŁA W CZERWONO-FIOLETOWĄ, KWIECISTĄ SUKIENKĘ, CZARNE BUTY. MIAŁA DUŻĄ, NIEBIESKĄ, SŁOMKOWĄ TOREBKĘ.

D. UR.: 13. 05.1916

WZR.: OK. 1 M 50 CM.

WAGA OK.: 45 KG.

STAN ZDROWIA PSYCHICZNEGO I FIZYCZNEGO:

DOSKONAŁY

PODEJRZEWA SIĘ UPROWADZENIE.

ZA INFORMACJE O MIEJSCU POBYTU PANI SOPHIE GRUENBERG NAGRODA W WYSOKOŚCI \$1000. KTOKOLWIEK POSIADA TAKIE INFORMACJE, POWINIEN SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z SYNAGOGĄ BETH SHALOM.

Adres synagogi był powtórzony na dole strony, wraz z numerem telefonu zaczynającym się od kierunkowego 398.

– Dwudziesty siódmy września – powiedziałem. – Kiedy zabito Novata?

– Dwudziestego czwartego.

– Zbieg okoliczności?

Milo zmarszczył brwi i zapukał do drzwi mieszkania „B” tak mocno, że drewno zaklekotało.

Żadnej odpowiedzi. Nacisnął dzwonek. Nic. Poszliśmy do „A” i spróbowaliśmy tam. Również cisza.

– Chodźmy od tyłu – zaproponował. Zajrzeliśmy na małe podwórko, ozdobione jedynie drzewkiem figowym. Garaż był pusty.

Gdy podeszliśmy do samochodu, Milo złożył ręce na piersi i uśmiechnął się do małego, meksykańskiego chłopca po drugiej stronie ulicy, który się nam przyglądał. Chłopak czmychnął. Milo westchnął.

– Niedziela – powiedział. – Już strasznie dawno nie zaglądałem w niedzielę do kościoła. Sądzisz, że uzyskam częściowe rozgrzeszenie, jeśli udam się do synagogi?

* * *

Pojechał Rosę do Pacific, minął kilka przecznic w stronę południową i wjechał w uliczkę równoległą do Paloma. Słońce wciąż nie świeciło, ale ulice i chodniki były niezwykle zatłoczone. Nawet na przejściach dla pieszych było tłoczno.

Nie oznakowany samochód posuwał się cal po calu przez tłum, aż wjechał na płatny parking przy Speedway. Parkingowym był Filipińczyk z włosami do pasa, ubrany w czarną koszulkę, wypuszczoną na odblaskowe niebieskie spodenki rowerowe, i w sandały plażowe. Milo zapłacił mu, pokazał odznakę i kazał zaparkować fordą w takim miejscu, z którego szybko można wyjechać. Parkingowy powiedział „tak, proszę pana”, zgiął się w ukłonie i gdy odchodziliśmy, patrzył za nami z ciekawością, strachem, niechęcią. Czułem ten wzrok na plecach. Nie podobał mi się. Miałem drobny posmak tego, jak to jest być gliną.

Poszliśmy w stronę promenady Ocean Front, przeciskając się obok ulicznych handlarzy oferujących okulary słoneczne i kapelusze słomkowe, które mogły najwyżej przetrwać weekend, i budek, w których sprzedawano egzotyczne potrawy podejrzanego pochodzenia. Tłum był gęsty, jak na wyprzedaży z okazji likwidacji sklepu; wielopokoleniowe klany latynoskie, obdartusy, wyglądające jakby ktoś ich wytarzał w brudzie, mamroczący wariaci i retrohipisi, zatraceni w narkotycznych oparach, odziani w koszule polo dorobkiewiczkie obok uczesanych na koguta punkowych wrotkarzy, osobnicy dbający o ciało, testujący tolerancję prawa zakazującego nagości w miejscach publicznych oraz uśmiechnięci, gamoniowaci turyści z Europy, Azji i z Nowego Jorku, rozradowani, że w końcu odkryli prawdziwe Los Angeles.

Kinetyczna rzeźba ludzka. Wyszywanka z różnych odcieni skóry, od alpejskiego mleka do karmelowej polewy. Ścieżka dźwiękowa – wielojęzyczny rap.

– Salaterka – powiedziałem.

– Co? – spytał Milo głośno, żeby przekrzyczeć szum.

– Tak sobie mamroczę.

– Salaterka, hmm? – Popatrzył na parę na wrotkach. Naoliwione torsy. Mężczyzna ubrany jedynie w przepaskę na biodra w paski jak zebra, kobieta w mikrobikini i trzy kolczyki w nosie. – Trzeba by nieco przybrać tę sałatkę.

Połamane ławki parkowe wzdłuż zachodniej strony promenady były zatłoczone obozowiskami bezdomnych. Za ławkami trawnik z dorodnymi palmami, które posadzono dawno temu. Pnie drzew zostały pobielone na trzy stopy nad ziemią, żeby je chronić przed zwierzętami, czworonożnymi i nie tylko. Nikogo to nie obchodziło, bo drzewa były pocięte, pokaleczone, pożłobione i poznaczone napisami. Za trawnikiem plaża. Jeszcze więcej ciał, lśniących, półnagich, spragnionych słońca. Dalej tępy, platynowy błysk, który musiał być oceanem.

Synagoga Beth Shalom mieściła się w przysadzistym jednopiętrowym budynku o beżowych tynkach. Pośrodku, w niszy, były podwójne drzwi w morsko-zielonym kolorze, a nad nimi wisiała drewniana tabliczka z hebrajskim napisem. Nad tabliczką przymocowano szklane kółko z Gwiazdą Dawida. Identyczne gwiazdy dostrzegłem nad łukowymi oknami po obydwu stronach drzwi. Okna były zakratowane. Po północnej stronie budynku znajdowało się trzykondygnacyjne centrum rehabilitacji dla narkomanów. Po stronie południowej wąski ceglany budynek mieszkalny z dwoma sklepami na parterze. Jeden sklep był pusty, drzwi zabezpieczone rozsuwaną kratą. W drugim sprzedawano pamiątki.

Podeszliśmy do fasady synagogi. Wewnątrz niszy wejściowej, na ścianie, wisiał przymocowany taśmą plakat, identyczny jak ten, który widzieliśmy przed chwilą na drzwiach domu Sophie Gruenberg. Poniżej za szybą umieszczono niewielką tablicę ogłoszeń: na prążkowanej czarnej powierzchni białe litery, które można przestawiać. Przeczytałem informację o godzinach nabożeństw w dni robocze i w szabas oraz tytuł kazania tygodnia: „Gdy dobre rzeczy przytrafiają się złym ludziom”; miał je wygłosić rabin mgr David Sanders.

– Sanders. Mieszkanie „A” – powiedziałem.

Milo chrząknął w odpowiedzi.

Drzwi były przyozdobione dwiema zasuwkami i jakimś przyciskowym systemem zabezpieczającym, ale gdy Milo przekreślił klamkę, ustąpiły.

Weszliśmy do niewielkiego, wyłożonego linoleum holu, gdzie stały niepasujące do siebie gabloty na książki i jeden drewniany stolik. Na stole dostrzegłem papierowy talerz z herbatnikami, puszkę z napojami gazowanymi, butelkę whisky Teacher’s i stertę papierowych kubków. Drewniane drzwi z deszczulek były podpisane: ŚWIĄTYNIA. Obok nich na metalowym stojaku stało zniszczone pudełko z brązowej skóry wypełnione czarnymi, atlasowymi jarmułkami. Milo wziął jedną i założył sobie na głowę. Uczyniłem to samo. Otworzył drzwi.

Świątynia była wielkości głównej sypialni jakiejś nowoczesnej willi w Beyerly Hills – właściwie wyglądała raczej jak kaplica. Na błękitnych ścianach wisiały olejne obrazy, przedstawiające sceny biblijne. Po dwóch stronach środkowego przejścia pokrytego linoleum i wytartym perskim chodnikiem stało dwanaście rzędów ławek z jasnego drewna. Przejście kończyło się dużym podium z jeszcze jedną, sześcioramienną gwiazdą, przykryto je płachtą granatowego aksamitu obszytego

frędzlami. Za podium udrapowano aksamitną kurtynę, a po jej bokach ustawione były dwa krzesła z wysokimi oparciami, obite takim samym granatowym pluszem. Nad podium zwisała zapalona lampka z czerwonego szkła. Dwa wysokie okna z przodu sali wpuszczały wąskie promienie zakurzonego światła. Tył tonął w półmroku. Milo i ja staliśmy tam, częściowo skryci. Powietrze było ciepłe i stęchłe, nasycone kuchennymi zapachami.

Za podium stał dwudziestokilkuletni brodaty mężczyzna o jasnej cerze. Przed nim leżała otwarta księga. Przemawiał do czteroosobowej grupy słuchaczy siedzących w pierwszym rzędzie. Wszyscy byli w starszym wieku. Jeden mężczyzna, trzy kobiety.

– A więc widzimy – powiedział, opierając się na łokciach – że prawdziwa mądrość Etyki Ojców leży w zdolności *tona'im* – rabinów Talmudu – ukazania naszych żywotów w perspektywie. Pokolenie za pokoleniem. Nauczania nas, co jest ważne, a co nie. Nauczania wartości. „Kto jest bogaty?” – pyta rabin. A oni odpowiadają: „Ten, który jest zadowolony z tego, co posiada”. Czy może być coś głębszego? „Bez obyczajów nie ma nauki, bez nauki nie ma obyczajów”. „Im więcej mięsa, tym więcej robactwa”. – Mówił cichym czystym głosem. Przemyślana wypowiedź. Jakiś obcy akcent – moim zdaniem chyba australijski.

– Robactwo. O mój Boże, naprawdę – powiedział jedyny mężczyzna wśród słuchaczy, ruchem rąk podkreślając swoje słowa.

Siedział pomiędzy kobietami. Mogłem dojrzeć jedynie jego łysą głowę wznoszącą się nad krótką, grubą szyją. Łysinę miał okoloną siwizną i przykrytą jarmułką, taką jak ta, którą sam nałożyłem. – Wciąż to robactwo. Jedyne, co teraz mamy, to robactwo. Tak rozpuściliśmy społeczeństwo.

Dobiegły mnie pomruki zgody ze strony kobiet.

Brodaty mężczyzna uśmiechnął się, spojrzął na swoją księgę, poślinił kciuk językiem i przewrócił kartkę. Był barczysty i miał twarz dziecka o różowych policzkach, której wcale nie postarzała jasna broda. Miał na sobie niebiesko-białą koszulę z krótkimi rękawami i jarmułkę z czarnego aksamitu, która przykrywała większą część jego mocno skreconych, jasnych loków.

– Zawsze to samo, rabinie – powiedział łysy mężczyzna. – Komplikacje, utrudnianie spraw. Najpierw wprowadza się system. Dla dobra wszystkich. Do tego momentu jest dobrze. Zawsze powinniśmy starać się czynić dobro – w przeciwnym razie, jaki jest cel, mam rację? Co nas dzieli od zwierząt? Ale zaczynają się problemy, gdy angażuje się zbyt wielu ludzi. System przejmuje kontrolę i nagle wszyscy starają się czynić dobro dla systemu, a nie odwrotnie. Wtedy pojawia się robactwo. Masa mięsa, masa robactwa. Im więcej mięsa, tym więcej robactwa.

– Sy, wydaje mi się, że rabin ma na myśli coś innego – odezwała się pulchna kobieta, siedząca od brzegu z prawej strony. Miała utapirowane, ufarbowane na niebieskawo włosy i ciężkie ramiona, które trzęsły się, gdy gestykulowała dla podkreślenia słów. – On mówi o materializmie. Im więcej bzdurnych rzeczy zbieramy, tym więcej mamy problemów.

– Właściwie oboje macie rację – oświadczył blondyn pojednawczym tonem. – Talmud kładzie nacisk na zaletę prostoty. Pan Morgenstern mówi o prostocie proceduralnej; pani Cooper o prostocie

materialnej. Kiedy komplikujemy sprawy, oddalamy się od celu naszej obecności na tej planecie – zbliżenia z Bogiem. Właśnie dlatego Tal...

– Tak było z urzędem skarbowym, rabinie – odezwała się kobieta o cienkim, ptasim głosie i ufarbowanej na czarno czuprynie. – Podatki. Podatki miały być dla ludzi. Teraz to ludzie są dla podatków. To samo z ubezpieczeniem społecznym. *Moishe Kapyor*. – Wygięta nadgarstek. – Wszystko do góry nogami.

– Ma pani zupełną rację, pani Steinberg – zgodził się młody rabin. – Częstość...

– Ubezpieczenie społeczne też – wtrącił pan Morgenstern. – Ci gówniarze dają nam do zrozumienia, że gdy pobieramy rentę, to jakbyśmy kradli, żeby oni nie mogli sobie kupić co roku nowego BMW. Ileż to lat pracowałem jak maszyna, jeszcze w czasach, kiedy BMW było marką wrogich samolotów? A teraz zachowują się, jakbyśmy wyłudzały od nich jałmużnę; jakbyśmy im odbierali chleb od ust. A jak im się wydaje, kto im ten chleb piekł? Z nieba im spadał?

Młody rabin chciał się do tego ustosunkować, ale utonął w dyskusji na temat systemu ubezpieczeń społecznych. Zdawał się to przyjmować z dobrze wyćwiczoną pogodą ducha. Przewrócił następną kartkę, przeczytał coś, w końcu podniósł wzrok, dostrzegł nas, wyprostował się i uniósł brwi. Miło skinął lekko głową na powitanie.

Rabin opuścił podium i ruszył w naszą stronę. Wysoki, zbudowany jak sportowiec, szedł pewnym krokiem. Jego słuchacze – na tyle starzy, że mogliby być jego dziadkami – odwrócili głowy i podążyli za nim wzrokiem. Zobaczyli nas. W synagodze zapadła cisza.

– Jestem rabin Sanders. W czym mogę pomóc, panowie?

Miło błysnął odznaką policyjną. Sanders przyjrzał jej się uważnie.

– Przepraszamy, że przerwaliśmy, rabinie – powiedział Miło. – Jak pan skończy, chcielibyśmy z panem porozmawiać.

– Oczywiście. Czy mogę spytać o czym?

– O Sophie Gruenberg.

Dziecięca twarz stężała, jakby w bólu. Dziecko w gabinecie lekarskim czekające na ukłucie igły.

– Ma pan dla nas jakieś wieści, oficerze?

Miło potrząsnął głową.

– Tylko pytania.

– Aha – odparł Sanders, z wyrazem twarzy więźnia, któremu odroczone wyrok, ale go nie cofnięto.

– Co? – spytała jedna z kobiet z przodu. – O co chodzi?

– Gliny – stwierdził Morgenstern. – Zawsze ich poznam. Mam rację? – Widziany z przodu, był korpulentny, o grubych rysach twarzy, krzaczastych brwiach i mięsistych dłoniach człowieka pracującego fizycznie.

Uśmiechnąłem się do niego.

– Zawsze poznam – powiedział. – Te jarmułki siedzą im na głowach, jakby miały ochotę odfrunąć.

Cztery twarze wpatrywały się w nas. Cztery stare maski, zniszczone czasem, ale naznaczone doświadczeniem.

– Ci panowie rzeczywiście są z policji i przyszli tutaj, żeby zadać kilka pytań na temat Sophie – wyjaśnił Sanders.

– Pytań – odezwała się pulchna kobieta, pani Cooper. Miała okulary, biały sweter zapięty pod szyję i sznur pereł. Niebieskie włosy były mocno ondulowane. – Po co jeszcze pytania?

– Jedyne, co nam zapewnia policja, to pytania – powiedział, wymachując rękoma, Morgenstern. – Żadnych odpowiedzi, żadnego mięsa – samo robactwo. Ile to już trwa? De? Półtora miesiąca?

Kobiety przytaknęły.

– Sądzą panowie, że jest jakaś nadzieja? – spytała pani Steinberg, kobieta o czarnych włosach, szczupłej i białej jak kreda twarzy. Jej grzywka podskakiwała przy każdym ruchu. Pani Steinberg kiedyś musiała być piękna. Wyobraziłem ją sobie w kabarecie z szalonych lat dwudziestych, jak wymachuje nogami. – Czy jest choćby najmniejsza nadzieja, że ona jeszcze żyje?

– Cicho, Rosę – powiedziała pani Cooper. – Zawsze jest nadzieja. *Kayn aynhoreh, poo poo poo*. – Jej delikatna twarz zadrżała.

Morgenstern spojrzał na nią z przesadnym gniewem.

– Co ty z tym *aynhoreh*, moja droga? Oko szatana? Przesady-głupady. Potrzeba racjonalności, racjonalnego umysłu. Dialektyki, Hegla i Kanta i, rabin wybaczy, oczywiście Talmudu. – Pacnął się dłonią w nadgarstek.

– Przestań żartować, Sy. To poważna sprawa – odezwała się kobieta o czarnych włosach. Spojrzała na nas cierpiącym wzrokiem. – Czy to możliwe, że ona jeszcze żyje? Po takim czasie?

Pięć twarzy czekających na odpowiedź.

Milo zrobił krok do tyłu.

– Chciałbym mieć taką nadzieję, proszę pani – powiedział, po czym zwrócił się do Sandersa: – Możemy wrócić i porozmawiać o tym później, rabinie.

– Właśnie mieliśmy zakończyć. Jeśli panowie poczekają chwilkę, zaraz się wami zajmę.

Udał się z powrotem za podium, wygłosił jeszcze kilka słów na temat wartości i odpowiedniego postrzegania świata, zwolnił słuchaczy i wrócił do nas. Staruszkowie marudzili w przedniej części synagogi, dyskutując w gromadce.

– Poczęstunek w przedsiönku, moi mili – przypomniał im Sanders.

Gromadka brzęczała jeszcze przez chwilę i zamilkła. Kobiety trzymały się z tyłu, pan Morgenstern wystąpił przed nie; mianowany przywódca. Miał nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu, był postawny i krzepki. W roboczych spodniach khaki i w białej koszuli pod szarą, dzianą kamizelką, wyglądał jak zabawka-ciężarówka.

– Panowie macie pytania – odezwał się. – Może my moglibyśmy na nie odpowiedzieć. Znaliśmy ją.

Sanders spojrział na Mila.

– Jak najbardziej – odparł Milo. – Będziemy wdzięczni za wszelkie informacje.

Morgenstern skinął głową.

– Dobrze, że się pan zgodził, wszak sami się zgłosiliśmy – oznajmił. – Naród przemówił. To się powinno szanować.

Zebraliśmy się obok podium. Sanders usiadł i wyciągnął z kieszeni wrzoścową fajkę.

– Ależ rabinie – powiedziała kobieta, która do tej pory się nie odzywała. Grubokoścista, bez makijażu, o stalowo-siwych włosach upiętych w kok.

– Nie zapalam jej, pani Sindowsky – sumitował się rabin.

– Nie powinien jej pan w ogóle używać. Po co panu kłopoty z wargami. Więcej mięsa, więcej robactwa, prawda, rabinie?

Sanders zarumienił się i uśmiechnął, ukrył fajkę w dłoni i dotknął jej tęsknie, ale nie włożył do ust.

– Chciałbym być z wami szczerzy – powiedział Milo. – Nie mam absolutnie żadnych nowych wieści na temat pani Gruenberg. Właściwie nie prowadzę dochodzenia w jej sprawie i przyjechałem tutaj tylko dlatego, że jej zniknięcie może mieć związek z inną sprawą. A o niej nic wam nie mogę powiedzieć.

– Taki układ – stwierdził Morgenstern. – Musiał pan być niezły w grze w „zamiany”.

– Byłem – powiedział Milo z uśmiechem.

– Co możemy dla pana zrobić, oficerze? – spytał rabin Sanders.

– Opowiedzcie mi o Sophie Gruenberg. Wszystko, co wiecie o jej zniknięciu.

– Już mówiliśmy wszystko policji – odezwała się pani Cooper. – Była tutaj, wyszła i tyle. Pstryk. Nie ma jej. – Jej grube ramiona się zatrzęsły. – Po kilku dniach policja zgodziła się z nami porozmawiać i przysłali detektywa, który zadawał pytania. Wypełnił raport o osobach zaginionych i obiecał, że będzie się z nami kontaktował w razie potrzeby. I jak do tej pory się nie odezwał.

– To dlatego – stwierdził Morgenstern – że nic nie mają. Gdyby coś mieli, to czy ten człowiek byłby tutaj z prośbą, żebyśmy opowiadali to jeszcze raz? Jak mają wam dać coś, czego nie mają?

– Czy pamiętacie nazwisko tego oficera śledczego? – spytał Milo.

– Jakiego śledczego? – odparł Morgenstern. – Spisał tylko protokół i to wszystko.

– Mehan – powiedział rabin. – Detektyw Mehan z Wydziału Pacyficznego.

– A pan z jakiego jest wydziału? – spytał Morgenstern.

– Z Zachodniego Los Angeles – odparł Milo.

Morgenstern mrugnął i powiedział:

– Dzielnica jedwabnych pończoch, hmm? Tam często kradną BMW.

– Detektyw Mehan nie tylko spisał protokół – powiedział rabin Sanders. – Obejrzał jej... Sophie dom. Wiem, bo mu go otworzyłem. My, ja i moja rodzina, byliśmy... jesteśmy jej lokatorami. Mieszkamy obok siebie i mamy zapasowe klucze do swoich mieszkań. Detektyw Mehan wszedł do jej mieszkania i nie znalazł żadnych oznak zbrodni. Wszystko było w porządku. Sprawdził również jej bank i okazało się, że nie wycofywała ostatnio żadnych większych sum. I nie prosiła na pocztę o przetrzymanie ani dostanie korespondencji. Tak więc doszedł do wniosku, że nie miała zamiaru udać się w podróż. Myślał, że może gdzieś się zagubiła.

– To niemożliwe – oznajmiła pani Steinberg. – Znała Venice jak własną kieszeń. Nigdy by się nie zagubiła. Prawda?

Pokiwali głowami.

– Prawda, ale kto to może wiedzieć? – odezwała się pani Cooper. – Wszystko może się zdarzyć.

– Ech – rzekł Morgenstern. – Same przypuszczenia. Z tym bankiem też. Moim zdaniem to nic nie znaczy. Sophie była cwana. Nigdy nikomu nie mówiła, co myśli ani co robi. Nigdy nikomu nie ufała – szczególnie tym kapitalistycznym bankierom. Więc ile mogła mieć na koncie bankowym? Może trzymała większą gotówkę gdzie indziej?

– Na przykład gdzie? – spytał Milo.

– Nie wiem – odparł Morgenstern. – Nikomu nie mówiła, a mnie miałaby powiedzieć? Tylko zgaduję, tak jak pan. Może w domu, pod łóżkiem. Kto wie? Miała różne pomysły. Może oszczędzała, czekając na kolejną rewolucję. Może zabrała to wszystko i wyjechała, a wy się niczego nie

dowiecie, sprawdzając w bankach!

Staruszek nabrał rumieńców.

– Więc nie wie pan na pewno, czy trzymała w domu znaczne sumy pieniędzy.

Wiedziałem, o czym myśli: narkotyki.

– Nie, nie – odparł Morgenstern. – Nic nie wiem. Tak jak wszyscy inni. Nie zwierzała się, rozumie pan? Nie mówiła, co myśli ani co robi. Więc mówię tylko, że sprawdzanie banków nic nie da, jeśli podejść do tego logicznie i racjonalnie. Ktoś przecież może trzymać gotówkę i zdecydować się na wyjazd, mam rację?

– Najzupełniej – powiedział Milo.

– Chce mi się przypodobać – stwierdził Morgenstern. Ale był zadowolony.

– Powiedzieć im o zdjęciach? – powiedziała pani Sindowsky.

– Och – odezwał się rabin, lekko zdenerwowany.

– O jakich zdjęciach? – spytał Milo.

– Detektyw Mehan poszedł do kostnicy i zrobił zdjęcia wszystkim... starszym osobom, które były... nie zidentyfikowanymi ofiarami i pasowały wiekiem do wieku Sophie. Przyniósł mi je, żebym je obejrzał. Wywiesił jakieś ogłoszenia, zadzwonił do innych wydziałów policji – w Long Beach, w Orange County – i spytał, czy oni nie mają jakichś nie zidentyfikowanych... osób. Żadna z nich nie była Sophie. Dzięki Bogu.

Jeszcze cztery razy zabrzmiało: „dzięki Bogu” jak echo.

– Ten detektyw Mehan wydawał się dokładny – stwierdził Sanders. – Ale gdy minęły trzy tygodnie, a ona się nie pojawiła, powiedział nam, że są granice jego mocy. Nie było oznak, że popełniono przestępstwo. Alternatywą było albo czekać, albo wynająć prywatnego detektywa. Rozważaliśmy to – wynajęcie detektywa. Zadzwoniliśmy do kilku agencji. To bardzo drogie. Zwróciliśmy się do Związku Żydów, czy nie sfinansowaliby całego przedsięwzięcia. Nie zaaprobowali detektywa, ale zgodzili się na wyznaczenie nagrody.

– To kutwy. Dla nich to tyle, co splunąć – zezłościł się Morgenstern.

– Czy przychodzi wam do głowy jakiś powód, dla którego mogłaby wyjechać? – spytał Milo.

Odpowiedziały mu puste spojrzenia.

– To właśnie jest problem – odezwała się pani Steinberg. – Nie miała żadnego powodu, żeby wyjeżdżać. Była tutaj szczęśliwa. Dlaczego miałaby tak po prostu wyjechać?

– Szczęśliwa? – zdziwiła się pani Sindowsky. – Czy kiedykolwiek widziałaś, żeby się uśmiechała?

– Chcę tylko powiedzieć, Doro – odparła pani Steinberg – że po tak długim czasie może powinniśmy przyjąć najgorszą wersję.

– Ech tam – wtrącił się Morgenstern wymachując potężną pięścią. – Zawsze posępna i ponura, kurczaczku. Jak noc.

– Wiele przeżyłam – powiedziała pani Steinberg, unosząc się lekko z miejsca. – Znam się na rzeczy.

– Ty przeżyłaś? – spytał Morgenstern. – A ja co robiłem? Wisiałem na ścianie jak obraz olejny?

Milo spojrzał na panią Steinberg.

– Poza tym, że dużo czasu upłynęło od jej zniknięcia, czy ma pani jeszcze jakieś powody, by przypuszczać, że zdarzyło się najgorsze?

Wszystkie oczy skierowały się na czarnowłosą kobietę. Wydawała się zakłopotana.

– To po prostu nie ma sensu. Sophie nie była typem człowieka, który tak sobie znika. Była osobą bardzo... zorganizowaną. Przywiązaną do swojego domu, do swoich książek. I kochała Venice. Mieszkała tutaj dłużej niż którekolwiek z nas. Dokąd miałyby pójść?

– A krewni? – spytał Milo. – Czy wspominała o nich?

– Jedyne rodziny, o jakiej wspominała, to jej bracia i siostry, zabici przez hitlerowców – powiedział rabin Sanders. – Mówiła wiele o zagładzie Żydów, o okropnościach faszyzmu.

– Dużo rozprawiała o polityce, ot co – stwierdziła pani Sindowsky.

– Powiedz prawdę – zaatakował Morgenstern. – Była czerwona.

– No i co? – spytała pani Cooper. – Czy to jakaś zbrodnia w tym wolnym kraju, Sy? Wyrażanie poglądów politycznych? Nie sugeruj im, że to jakaś przestępczyni.

– A kto twierdzi, że to przestępstwo? – zaperzył się Morgenstern. – Przytaczam jedynie fakty. Szczerą prawdę. Była tym, kim była. Czerwona jak pomidor.

– W takim razie, jaka ja jestem? – spytała pani Cooper.

– Ty, złotko? – zastanowił się Morgenstern. – Powiedzmy, różowa. – Uśmiechnął się. – Jak się podekscytujesz to nawet ładny odcień koralowego.

– Ach, tak – burknęła pulchna kobieta i odwróciła się do niego plecami.

– Według plakatu zniknęła gdzieś tutaj, w pobliżu – powiedział Milo. – Jak to się stało?

– Mieliśmy wieczorne spotkanie – wyjaśnił rabin. – Kilka tygodni po Rosz Haszana – żydowskim Nowym Roku. Próbowaliśmy...

– Próbowaliśmy ożywić ducha naszej społeczności – wtrąciła pani Sindowsky, jakby przytaczała fragment z podręcznika. – Żeby zaczęło się coś dziać, prawda, rabinie?

Sanders uśmiechnął się do niej i odwrócił się do Mila.

– Pani Gruenberg pojawiła się, ale tylko na krótką chwilę. Wtedy była widziana po raz ostatni. Myślałem, że poszła do domu. Gdy pod jej drzwiami zaczęła się powiększać sterta korespondencji, ogarnął mnie niepokój. Swoim kluczem otworzyłem jej mieszkanie i zobaczyłem, że jej nie ma. Zadzwoiłem na policję. Po czterdziestu ośmiu godzinach detektyw Mehan zgodził się przyjechać.

– I gdy ją widzieliście ostatni raz – na wieczorku – to było około ósmej?

– Ósma, ósma trzydzieści – potwierdził Sanders. – Mniej więcej. Wieczorek zaczął się o siódmej trzydzieści i skończył o dziewiątej. Nie było jej przez ostatnie pół godziny. Zestawiliśmy krzesła i prowadziliśmy dyskusję. Więc musiała wyjść przed ósmą trzydzieści. Nikt nie jest dokładnie pewien.

– Przyjechała samochodem, czy przyszła pieszo?

– Pieszo. Nie jeździła, lubiła chodzić.

– Tutaj jest teraz dość niemiło na nocne spacery – zauważył Milo.

– Bardzo pan spostrzegawczy – stwierdził Morgenstern. – W dzień też nie jest zbyt przyjemnie.

– Nie przejmowała się tym?

– Powinna – wtrąciła pani Steinberg. – Biorąc po uwagę tych wszystkich opryszków i podejrzane typy, które się kręcą po całej dzielnicy; i te wszystkie narkotyki. Kiedyś korzystaliśmy z plaży. Jakby pan tu przyjechał w ciągu tygodnia, oficerze, nie zobaczyłby nas pan na plaży jak niegdyś. Kiedyś wszyscy spacerowaliśmy, pływaliśmy – dlatego się tu sprowadziliśmy. To był raj. Teraz, gdy wychodzimy wieczorem, jedziemy razem samochodem. Parkujemy przy Speedway i idziemy do *shul*, maszerując jak batalion żołnierzy. Gdy jest ładny letni wieczór, słońce zachodzi późno, udajemy się czasami na trochę dłuższy spacer. Też wszyscy razem – w grupie. Nawet wtedy nie czujemy się pewnie. Ale Sophie nigdy do nas nie dołączała. Była indywidualistką. Mieszkała tutaj od dawna. Nie chciała przyznać, że się zmieniło. Nie dało się z nią rozmawiać – była uparta. Przechadzała się tutaj jak właścicielka tej dzielnicy.

– Lubiała chodzić – powtórzył Sanders. – Dla zdrowia.

– Czasami ćwiczenia ruchowe nie wychodzą na zdrowie – zauważył Morgenstern.

Pani Cooper spojrzała na niego gniewnie. Mrugnął do niej i uśmiechnął się.

– Rabinie, mieszkał pan obok niej – powiedział Milo. – Jaki był jej stan psychiczny przez ostatnie kilka dni przed zniknięciem?

– Przez ostatnie kilka dni? – zastanowił się Sanders. Wałkował fajkę w dłoni. – Prawdę mówiąc, chyba wydawała mi się bardzo poruszona.

– Chyba?

– Nie była osobą, która otwarcie okazywała emocje. Należała do ludzi zamkniętych w sobie.

– Więc dlaczego pan twierdzi, że wydawała się panu poruszona?

Sanders zawahał się, spojrzał najpierw na swoich uczniów, a następnie na Mila.

– Miało miejsce przestępstwo – wyjaśnił. – Ktoś, kogo znała, był w to zamieszany.

– Jakie przestępstwo? – odezwał się Morgenstern. – Niech pan to powie. Morderstwo. Narkotyki i gangi. Cały kram. Zastrzelili jakiegoś czarnego chłopaka, któremu wynajmowała mieszkanie. Przez narkotyki. – Zmrużył oczy i jego brwi zeszyły się jak kopulujące dżdżownice. – Aha! To jest ten wielki sekret, o którym nic nam pan nie może powiedzieć, mam rację?

– Czy wiecie coś na ten temat? – spytał Milo.

Zapadło milczenie.

– Tylko tyle, ile dowiedzieliśmy się od rabina – odezwała się pani Sindowsky. – Miała sublokatora; został zastrzelony.

– Nikt z was go nie znał?

Potrząsnęli głowami.

– Wiedziałam o nim, ale jego samego nie znałam – powiedziała pani Cooper.

– Co pani wiedziała?

– Że miała sublokatora. Widziałam go raz na motorowerze, gdy jechał do domu. Przystojny chłopak. Bardzo wysoki.

– Było dużo gadania – powiedział Morgenstern.

– Jakiego gadania? – spytał Milo.

– A jak pan myśli – czarny dzieciak. Czy to nie stwarza dla niej zagrożenia. – Morgenstern spojrzał oskarżycielsko na kobiety. Wydawały się zażenowane. – Wszyscy są bardzo mili i postępowi, do

czasu, kiedy w grę zaczynają wchodzić pieniądze. Ale Sophie była komuchem. Postąpiła zgodnie z przekonaniem. Sądzi pan, że wpędził ją w jakieś kłopoty, ten dzieciak? Że trzymał pieniądze za narkotyki w jej domu? Że przyszli po nie i dobrali się do niej?

– Nie – zaprzeczył Milo. – Nic na to nie wskazuje.

Morgenstern mrugnął do niego konspiracyjnie.

– Nic nie wskazuje, ale przyjechał pan tutaj i zadaje pytania. Sprawa robi się gęsta, co, panie policjancie? Więcej mięsa, więcej robactwa.

* * *

Milo zadał jeszcze kilka pytań, wreszcie doszedł do wniosku, że nic już nie mają do powiedzenia i podziękował im. Wyszliśmy, odkładając po drodze jarmużki do skórzanego pudła. Na Ocean Front wypiliśmy kawę w ulicznym straganie. Milo spojrzał ostro na włóczęgów gromadzących się wokół straganu i usunęli się opieszale. Popijał kawę, przyglądając się deptakowi aż do synagogi.

Po kilku chwilach czwórka starszych osób wyszła z budynku i podreptała razem. Morgenstern pierwszy. Batalion staruszków. Gdy znaleźli się poza zasięgiem wzroku, Milo wrzucił kubek po kawie do śmieci i powiedział:

– Chodź.

Zasuwki na drzwiach synagogi były zamknięte. Na stukanie Mila pojawił się Sanders.

Rabin założył na koszulę szarą marynarkę. W ustach miał wciąż niezapaloną fajkę i trzymał ogromną, brązową księgę, ze zdobionymi brzegami stron.

– Poświęci nam pan jeszcze chwilę czasu, rabinie?

Sanders otworzył nam drzwi i weszliśmy do holu. Większość herbatników zniknęła, pozostały tylko dwie puszki z napojami.

– Czy mają panowie na coś ochotę? – spytał Sanders. Wsunął książkę do jednej z gablot.

– Nie, dziękujemy, rabinie.

– Pójdziemy z powrotem do świątyni?

– Tu jest dobrze, dziękuję. Zastanawiałem się, czy może jest coś, o czym niezręcznie było panu mówić przy swoich uczniach.

– Uczniach. – Sanders uśmiechnął się. – Nauczyli mnie znacznie więcej niż ja ich. To praca tylko na pół etatu. W dni powszednie uczę w szkole podstawowej w dzielnicy Fairfax. Tutaj odprawiam

nabożeństwa podczas weekendów, wygłaszam kazania w niedziele i od czasu do czasu urządzam wieczorki.

– Pełne ręce roboty.

Sanders wzruszył ramionami i poprawił jarmużkę.

– Mam pięcioro dzieci. Los Angeles to drogie miasto. Właśnie tak poznałem Sophie – panią Gruenberg. Znalezienie odpowiednio taniego mieszkania jest niemożliwe, szczególnie gdy się ma dzieci. Pani Gruenberg zupełnie to nie przeszkadzało. Nawet była taka... jak babcia. I wyznaczyła bardzo umiarkowany czynsz. Powiedziała, że to dlatego, że ja i moja żona mamy ideały. Szanowała nas za to. Mimo że sama nie przejmowała się religią. Jej wiarą był marksizm. Stała się naprawdę zaciętą komunistką.

– Dość odważnie głosiła swoje poglądy polityczne?

– Jeśli ktoś ją o to pytał, mówiła bez ogródek. Ale nie narzucała się z nimi. Nie była towarzyską kobietą. Wręcz przeciwnie. Wydawała się skryta.

– Nie prowadziła życia towarzyskiego?

Sanders przytaknął.

– Próbowałem zachęcić ją do większego udziału w działalności synagogi, ale nie była zainteresowana religią. Nie chciała obcować z innymi. Prawdę mówiąc, nie lubiano jej zanadto. Ale mimo to martwią się o nią. Wszyscy nawzajem troszczą się o siebie. Chcieli sięgnąć do własnych kieszeni, żeby wynająć prywatnego detektywa. Ale nikt z nich nie może sobie na to pozwolić – są emerytami. Detektyw Mehan powiedział mi, że prawdopodobnie byłaby to strata pieniędzy, więc odwiodłem ich od tego. Obiecałem, że ponownie przedstawię ten problem związkowi. Jej zniknięcie naprawdę ich przestraszyło. Dostali policzek od własnej bezsilności. Dlatego cieszę się, że pan wrócił, kiedy już poszli. Rozmowa o Ike’u mogła jedynie ich jeszcze bardziej zdenerwować. O nim chciał pan właśnie rozmawiać, prawda?

– Dlaczego detektyw Mehan sądził, że to strata czasu?

Sanders opuścił wzrok i przygryzł wargi.

– Powiedział mi. Nie informowałem ich o tym, że sprawa wygląda nie najlepiej. To, że nie miała żadnych planów wyjazdu, znaczy, że istnieje spora szansa, iż została w coś wciągnięta. Fakt, że jej mieszkanie było w idealnym porządku, świadczy, że prawdopodobnie wydarzyło się to na ulicy, gdy szła do domu. Powiedział, że gdyby się zagubiła albo dostała zawału, przez trzy tygodnie już by ją odnaleziono w jakiś sposób. Twierdził, że prywatni detektywi potrafią znajdować ludzi, ale nie są zbyt dobrzy w odnajdywaniu zwłok.

Podniósł nieruchome niebieskie oczy. Wsadził fajkę do ust i ścisnął ją tak mocno, że napięły mu się szczęki i broda stanęła na sztorc.

– Jest pana gospodynią – powiedział Milo. – Czy budynek jest spłacony?

Sanders przytaknął.

– Tak, stanowi jej własność od kilku lat. Detektyw Mehan dowiedział się o tym, gdy sprawdzał jej finanse.

– Co z innymi rachunkami, które przychodzą. Kto je płaci?

– Ja. Nie ma tego dużo – jedynie opłaty świadczeń. Również gromadzę całą jej korespondencję. Jeśli coś wygląda jak rachunek, otwieram i płacę. Wiem, że nie jest to całkowicie zgodne z prawem, ale detektyw Mehan zapewnił mnie, że wszystko będzie w porządku.

– A co z pana czynszem?

– Otworzyłem oprocentowane konto i złożyłem tam czynsz za październik i listopad. Wydawało się to najlepszym wyjściem, dopóki... się czegoś nie dowiemy.

– Gdzie pan trzyma jej korespondencję, rabinie?

– Tutaj, w synagodze, pod kluczem.

– Chciałbym ją przejrzeć.

– Oczywiście – powiedział, włożył fajkę do kieszeni i udał się do świątyni. Patrzyliśmy, jak otwiera szafkę za podium i wyciąga dwie szare koperty); Przyniósł je i wręczył Milowi. Jedna była podpisana: WRZEŚ/PAŹDZ.; druga: LISTY.

– Czy to wszystko? – spytał Milo.

– Wszystko – odparł smutno, patrząc na nas.

Milo otworzył koperty, wyjął zawartość i rozpostarł ją na wystającej części gablotki. Przyjrzał się każdej przesyłce. W większości ulotki i adresowana komputerowo korespondencja reklamowa. Słowo „Rezydent” pojawiała się częściej niż jej nazwisko. Kilka rachunków za świadczenia, które zostały otwarte i ostemplowane „Opłacono”, z wypisanymi datami wniesienia opłat.

– Miałem nadzieję, że będzie coś osobistego, co naprowadzi nas na trop – powiedział Sanders. – Ale nie była zbyt... związana ze światem. – Jego dziecięca twarz posmutniała. Wsadził jedną rękę do kieszeni i macał w niej, aż znalazł fajkę.

Milo wsunął wszystko z powrotem do szarych kopert.

– Czy jeszcze coś chciałby mi pan powiedzieć, rabinie?

Sanders potarł nos cybuchem fajki.

– Jedną rzecz – odparł. – Detektyw Mehan ujął ją w protokole, więc powinniście gdzieś to mieć. Staruszkowie tego też nie wiedzą. Nie miało sensu im mówić. Sophie zniknęła we wtorek, a podczas weekendu ktoś się włamał do domu. Do obydwu mieszkań. Byłem z rodziną poza miastem, na szkolnej wycieczce. Detektyw Mehan stwierdził, że to prawdopodobnie jakiś narkoman, który szukał czegoś, co mógłby sprzedać. Tchórz. Obserwował dom, czekał, aż wyjdziemy i się włamał.

– Co zginęło?

– Z mieszkania Sophie zabrał telewizor, radio, posrebrzany samowar i trochę niedrogiej biżuterii. Od nas jeszcze mniej – nie mamy telewizora. Zabrał nam jedynie nieco sztuczków, kadzielnicę i świecznik oraz magnetofon, którego używałem do nauczania hebrajskiego. Ale narobił bałaganu. Obydwa mieszkania były w strasznym stanie. Żywność wyciągnięta z lodówki i porozrzucana, pootwierane szuflady, rozsypane papiery. Detektyw Mehan stwierdził, że to oznaki mało zorganizowanego sposobu myślenia. Niedojrzałości. To nastolatki albo ktoś pod wpływem narkotyków.

– Którędy weszli?

– Przez tylne drzwi. Po tym założyłem nowe zamki i kraty w oknach. Teraz moje dzieci spoglądają na świat przez kraty.

Pokręcił głową.

– Straty materialne były nieistotne – powiedział – ale to poczucie gwałtu... i nienawiści. Żywność porozrzucano złośliwie. I jeszcze coś... co sprawiło, że miało to wydźwięk... osobisty.

– Co takiego?

– Ten narkoman, czy kim on tam był, zostawił napisy na ścianach. Czerwoną farbą, którą wziął z garażu. Tą samą czerwoną farbą, której tydzień wcześniej używałem do pomalowania okien. Przypominała krew. Rzeczy pełne nienawiści – antysemickie. Wulgaryzmy. Musiałem zasłonić dzieciom oczy. I coś jeszcze, co wydało mi się bardzo dziwne: „Pamiętaj o Johnie Kennedym!”. Kilka wykrzykników po słowie Kennedy. To nie ma żadnego sensu, prawda? Kennedy był antyrasistą. Ale detektyw Mehan powiedział, że jeśli ten włamywacz był pod wpływem narkotyków, nie mógł się zachowywać sensownie. Można to chyba tak wyjaśnić.

Zmarszczył brwi i znów przygryzł fajkę.

– Nie wystarcza panu takie wyjaśnienie? – spytał Milo.

– Nie o to chodzi – powiedział Sanders. – To... nic konkretnego. Po prostu takie odczucie, które mieliśmy z żoną. Po Ike’u. Po Sophie. Że nam coś grozi; że ktoś ma zamiar wyrządzić nam krzywdę. Mimo zamków w drzwiach. Ale kiedy się rozglądam, nikogo nie ma, więc to pewnie nerwy. Tłumaczę sobie, że taka po prostu jest Ameryka. Trzeba się do tego przyzwyczaić. Ale moja żona chce, żebyśmy przeprowadzili się z powrotem do Auckland. Do Nowej Zelandii. Tam było inaczej.

– Od jak dawna jest pan w Los Angeles?

– Zaledwie od lipca. Przedtem mieszkaliśmy w Lakewood, w New Jersey. Uczyłem się tam w seminarium. Czasami jeździłem do Nowego Jorku, więc zdawałoby się, że powinienem być przygotowany do życia w mieście. Ale oczekiwałem, że w Kalifornii jest bardziej... swobodnie.

– Chyba szukał pan zwrotu – na luzie. Niestety, w większości to tylko pozory.

– Tak mi się zdaje.

– Czy od czasu włamania pan i pańska rodzina mieliście jeszcze jakieś inne problemy?

– Nie, dzięki Bogu.

Milo sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął zdjęcie, które wziął od Dinwiddiego, i podsunął je pod dziecięcą twarz rabina.

– Tak, to jest Ike – potwierdził Sanders. – Czy jego śmierć ma coś wspólnego z Sophie?

– Na razie nic na ten temat nie wiemy. Co może mi pan o nim powiedzieć?

– Niewiele. Ledwie go znałem. Minęliśmy się kilka razy, to wszystko.

– Jak długo tu mieszkał, zanim został zabity?

Sanders potrząsnął głową.

– Nie wiem. Miałem wrażenie, że już dłuższy czas.

– Dlaczego?

– Oni – on i Sophie – byli... w koleżeńskich stosunkach. Jakby znali się już od dawna.

– Lubili się?

– Na to wyglądało. – Sanders włożył fajkę do ust i wyciągnął ją. – Nawet często się ze sobą sprzecjali. Było słyhać przez ścianę. Szczerze mówiąc, to była swarliwa staruszka. Ale z Ikiem łączyło ich jakieś... nie zrozumienie, powiedziałbym – swoboda. Wykonywał dla niej różne prace domowe, zajmował się ogrodem, przynosił zakupy. Zdaje się, że pracował w sklepie spożywczym. I sam fakt, że pozwoliła mu mieszkać u siebie, w tym samym mieszkaniu, świadczy o dużym zaufaniu, prawda?

– A czy z jakiegoś powodu miałyby mu nie ufać?

Sanders potrząsnął głową.

– Nie, zupełnie nie to miałem na myśli. Kolor skóry nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Ale to dość niezwykle. Starsi ludzie mieli przykre doświadczenia z czarnymi – na ogół się ich boją. Nie

było żadnego powodu, żeby się bać Ike'a. Z tych ograniczonych kontaktów, jakie z nim miałem, wyglądało, że to bardzo porządny chłopak. Uprzejmy, miły. Jedyne rzecz, jaka wydawała mi się u niego dziwna, to jego zainteresowanie zagładą Żydów.

– Dlaczego dziwna?

– Już sam fakt, że ktoś w jego wieku, kto nie jest Żydem, w ogóle się tym interesuje. Na ogół ludzi to nie obchodzi. Choć wydaje mi się, że fakt, iż mieszkał z Sophie, sprawia, że nie było to aż takie dziwne. To był jej ulubiony temat – mogła nim zarazić Ike'a.

– Skąd pan wie, że go to interesowało?

– Ponieważ przypadkiem, latem, jakiś tydzień po tym, jak się sprowadziłem, natknąłem się na niego w garażu. Rozpakowywałem kartony, a on wjechał na swoim skuterze. Trzymał wielkie narzędzie książek i upuścił je. Pomogłem mu je pozbierać. Zauważyłem tytuł – coś o korzeniach partii nazistowskiej. Otworzyłem ją i zobaczyłem na wklejce, że pochodziła z Ośrodka Zagłady Żydów – na Pico, w zachodnim Los Angeles. Inne, które podniosłem, też. Spytałem go, czy pisze pracę do szkoły, uśmiechnął się i zaprzeczył, mówiąc, że to własne badania naukowe. Zaoferowałem mu swoją pomoc, gdyby czegoś potrzebował, ale znów się uśmiechnął i odparł, że ma wszystko, co mu potrzebne. Pomyślałem, że to dość niezwykle. Większość ludzi w jego wieku nie ma pojęcia, co się wydarzyło pięćdziesiąt lat temu.

– O co się sprzeczekali z panią Gruenberg?

– Nie sprzeczekali się w sensie kłótni. Powiedziałem sprzeczeki, mając na myśli dyskusje.

– Głośne dyskusje?

– Ożywione dyskusje, ale nie można było zrozumieć słów. Nie podsłuchiwałem. Jednak znając Sophie, przypuszczam, że rozmawiali o polityce.

– Czy wie pan coś na temat poglądów politycznych Ike'a Novata?

– Zupełnie nic. – Sanders zastanowił się przez chwilę. – Czy podejrzewa pan jakieś związki polityczne z... tym, co się stało?

– Na to również nie ma żadnych dowodów. Jak śmierć Novata wpłynęła na panią Gruenberg?

– Jak mówiłem wcześniej, sądzę, że była roztrzęsiona. Ale nie miałem okazji obserwować jej reakcji, ponieważ siedziała w swoim mieszkaniu i rzadko wychodziła po tym zdarzeniu. Gdy patrzę wstecz, dochodzę do wniosku, że to dość dziwne. Na ogół bywała na podwórku, rozwieszała pranie albo spacerowała po okolicy. Dowiedziałem się o tym morderstwie, ponieważ inny policjant – czarny, którego nazwiska nie pamiętam – przyszedł do domu i zadał mi kilka pytań. O Ike'a. Czy zażywał narkotyki? Powiedziałem mu, że nic mi o tym nie wiadomo. Z kim się zadawał? Nigdy nikogo nie widziałem. Potem zapytał mnie o Sophie. Czy ona zażywała narkotyki? Czy kupowała drogie rzeczy, na które nie byłoby ją stać? Zaśmiałem się z tego. Ale gdy ten czarny detektyw powiedział mi, dlaczego się tu zjawiał, przestałem się śmiać. Gdy wyszedł, zapukałem do drzwi

Sophie. Nie odpowiedziała. Nie chciałem ingerować w jej prywatność, więc zostawiłem ją w spokoju. Spróbowałem nazajutrz, ale wciąż nie odpowiadała. Zacząłem się martwić. W przypadku starszej osoby wszystko może się zdarzyć. Ale postanowiłem poczekać trochę, zanim użyję swojego klucza. Wkrótce potem zobaczyłem, jak wychodzi i idzie w stronę alei Rosę. Gniewna. Bardzo posępna. Poszedłem za nią, próbowałem z nią porozmawiać, ale tylko potrząsnęła głową i poszła. Następnym razem widziałem ją tutaj, w synagodze. Przyszła na wieczorek. Biorąc pod uwagę jej stan emocjonalny, zaskoczyło mnie to. Ale trzymała się na uboczu, unikała ludzi. Krążyła po sali, rozglądała się, dotykała ścian, krzesel. Jakby widziała to wszystko po raz pierwszy.

– Albo ostatni – dodał Milo.

Sanders otworzył szeroko oczy. Przytrzymał fajkę obiema dłońmi, jakby nagle stała się bardzo ciężka.

– Tak, ma pan rację – powiedział. – Mogło tak być. Jakby widziała to po raz ostatni. Jakby się żegnała.

Rozdział dwudziesty

Gdy dotarliśmy z powrotem do płatnego parkingu, ford stał zaparkowany niedaleko wyjazdu. Filipiński parkingowy wstrzymał ruch na Speedway, żebyśmy mogli wyjechać. Milo nie podziękował mu.

– Swastyki na samochodach, słowa nienawiści na ścianach – odezwałem się. – Co o tym sądzisz?

– Sądzę, że świat to takie pełne zrozumienia miejsce – odparł i zaczął się przeciskać samochodem przez tłumy pieszych. Piesi nie bardzo byli skorzy do ustępowania z drogi. Posuwając się powoli, Milo zaklął, lecz nie słychać było w tym złości.

– „Pamiętaj o Kennedym” – powiedziałem. – Niewiele w tym sensu. Chyba że to ostrzeżenie, a nie hołd. Może: pamiętaj, co się przytrafiło Kennedy’emu – ciebie też dopadniemy.

– Kto kogo ma ostrzegać?

– Nie wiem – odparłem i zamilkłem.

Uśmiechnął się.

– Zaczynasz wszędzie widzieć zło? Jak policjant.

– Skoro już mowa o policjantach, ten Mehan jest dobrym gliną?

– Bardzo dobrym.

– Sądzisz, że kiedykolwiek porównał swoje zapiski z notatkami Smitha?

Spojrzał na mnie ostro.

– Co to jest, Policyjna Komisja Oceny Osiągnięć?

– Po prostu się zastanawiam.

– Nad czym się zastanawiasz? Czy jedno ramię ośmiornicy wie, co robi inne? Na ogół nie. Ale jeśli nawet Mehan i Smith złączyli siły, do czego mogli dojść? Do dwóch ślepych zaułków.

– Wątek narkotyków mógł ich na coś naprowadzić – powiedziałem. – Smith myślał pod tym kątem. Rabin mówił, że Smith pytał go, czy pani Gruenberg była wmieszana w narkotyki. Mimo że to mało prawdopodobne.

– Niby dlaczego?

– Stara babcia narkomanka? Na pewno nie prowadziła takiego trybu życia.

– Alex, najprawdopodobniej Smith jedynie węszył. Zajmował się tym, co miał, co w tym wypadku sprowadza się niemal do zera. Ale przy takim obrocie sprawy nikogo nie można wyeliminować. Cała masa pieniędzy, które potencjalnie można zarobić. To kuszące. Zdarzały się staruszki, które łądowały sobie narkotyki do pończoch; ludzie tulący słodkie małe niemowlęta, z powijkami pełnymi białego proszku; kaleki z podrabianymi protezami. A portret Sophie Gruenberg wcale nie odbiega od wizerunku narkotykowej babci. Ma radykalne poglądy polityczne, co znaczy, że może nie mieć szczególnych oporów przed działalnością na szkodę rządu. Jest zamknięta w sobie, nie lubi towarzystwa i trzyma u siebie Novata. Czarnego dzieciaka. Nawet w Venice to dziwne. Widziałeś, że pozostali staruszkowie byli tego samego zdania. Nagle, kilka dni po jego sprzątnięciu, ona także znika. Może Novato też był komuchem. To ich łączyło. Może ta dwójka działała politycznie. Do diabła, może na to przeznaczali forszę.

– Pieniądze dla sprawy?

– Chcesz hipotez? Proszę bardzo.

Pomyślałem o tym, podczas gdy siłował się z kierownicą i w końcu wjechał na Pacific.

– Milo, jeśli Sophie Gruenberg była zamieszana w narkotyki, mogła kogoś wkurzyć i uciec ze strachu. Albo może ludzie, których się bała, zdążyli ją dopaść. Może spowodowała jakieś problemy w przepływie gotówki albo towaru i włamanie do jej mieszkania miało na celu odebranie tego?

– Może – powiedział. – Trzeba pamiętać, że wywrotowcy są doskonałymi oportunistami. Plakaty mogły dać im do zrozumienia, że zniknęła. Jej mieszkanie było opuszczone, idealny cel. Sedno w tym, że to wszystko domysły. Nie wiemy ni cholery.

Przecznice dalej spytałem:

– Czy Holly mogła być w to wplątana? W ten spisek Gruenberg i Novata?

– Spisek? Stara babcia, pakowacz ze sklepu i opóźnione w rozwoju dziecko, które nie widnieje na żadnej liście wywrotowców? Ale mi spisek.

– Nie była opóźniona w rozwoju...

– Dobra, była głupia. Żadna różnica.

– Nie powiedziałem, że to był skuteczny spisek. Dwójka z nich nie żyje, a jedno zniknęło. Ale może to, że Holly strzelała do Massengila, było politycznie umotywowane.

– Jeśli strzelała do Massengila.

– Jeśli.

Milo zatrzymał się na chwilę na bulwarze Waszyngtona.

– To zbyt dziwne, Alex. Głowa mnie boli. – Wjechał na samoobsługową stację benzynową ze sklepikiem z tyłu. Czekałem w fordzie, gdy kupował opakowanie aspiryny. Zanim wrócił do samochodu, podszedł do automatu telefonicznego i pozostał tam przez chwilę. Wydłubując z pudełka tabletki, wrzucał monety i rozmawiał z kimś, trzymając słuchawkę wetkniętą pod brodę. Potem zadzwonił jeszcze gdzieś.

Gdy wrócił, powiedział:

– Mehana nie ma w mieście. Ma dwutygodniowy urlop. Nikt nie wie, gdzie są jego dokumenty. Skontaktują się ze mną.

– A drugi telefon?

Spojrzał na mnie.

– Ale z ciebie detektyw! Próbowałem się dodzwonić do Ośrodka Dokumentacji Zagłady Żydów, chciałem zostawić wiadomość dla kogoś, kogo tam znam. Włączyła się automatyczna sekretarka. Nie pracują w niedzielę.

– Racja – powiedziałem. – Znają cię. Pomagałeś im wytropić tego faszystowskiego naukowca. Tego, którego chroniło wojsko.

– Stary dobry Werner Kaltenblud, prezes Klubu Trującego Gazu. Drań wciąż żyje w Syrii. Mieszka jak książę bez praw reprezentacyjnych. Z Centrum łączy mnie coś mniej odległego w czasie. W ubiegłym roku ktoś namalował swastyki na ścianie budynku muzeum, które tam wznoszą. Nie zajmuję się tym na ogół, ale zadzwonili do mnie z powodu Kaltenbluda. Potem przedostało się to do opinii publicznej i sprawę przejął inny wydział. WAT.

– Frisk?

– Nie. Dupek, który był przed nim, ale taki sam jak on. Ekipy telewizyjne i politykierzy wygłaszający przemowy – sam Gordon Latch.

– A Massengil?

– Nie. Nie jego rejon.

– Może też nie jego sfera zainteresowań?

– Może. To był prawdziwy cyrk, Alex. WAT bawił się w zgadywanki: zadawali całą masę błyskotliwych pytań, wypisywali ogromne płachty dokumentów, ale nawet nie zadali sobie trudu, żeby obserwować to miejsce. Tydzień później ktoś potłukł okna i podłożył ogień w jednym z barakozów na tyłach placu budowy. Nigdy nie odkryliśmy, kto to zrobił. Tyle, jeśli chodzi o moją wiarygodność w ich oczach. Ale może mam jeszcze na tyle dobrą opinię, żeby sięgnęli myślą wstecz i przypomnieli sobie coś o tym dzieciaku, Novacie. Coś więcej, niż mówi jego karta biblioteczna.

Skręcił w lewo na bulwar Waszyngtona i jechał wzdłuż portu jachtowego. Tutaj ludzie wyglądali inaczej. Białe spodnie, ciemna opalenizna i agresywne sportowe, zagraniczne samochody. Wzdłuż bulwaru wyrastały nowe budynki, w większości niskie, oraz restauracje w stylu marynarskim, z napisami: SERWUJEMY WCZESNY LUNCH! i DWA DRINKI ZA CENĘ JEDNEGO!

* * *

– Ładnie tu, co? – powiedział Milo. – Dostatnie życie.

Minął kilka przecznic i skręcił w ulicę, która kawałek dalej kończyła się ślepym zaułkiem. Niewielkie domy różnej jakości. Samochody wzdłuż krawężnika, brak ludzi. Zaparkował obok hydrantu, nie wyłączył silnika, wysiadł i otworzył bagażnik.

Wrócił, niosąc dubeltówkę. Umieścił ją przy desce rozdzielczej lufą do góry i wyjechał na ulicę.

– Dokąd? – spytałem.

– Gdzieś, gdzie nie jest tak ładnie.

Ruszyliśmy z powrotem na bulwar Waszyngtona, aż do Marina Freeway, potem skręciliśmy na drogę 405, przez chwilę zmagaliśmy się z korkiem przy dojeździe na lotnisko, po czym skierowaliśmy się na Imperial Highway i dalej na wschód. Na poboczu widać było szerokie, szare place terminali przeładunkowych, firm importowo-eksportowych i składów celnych oraz czteropiętrowy magazyn, wielki, wyglądający jak pudło, w którym można by zmieścić biurowiec. Czerwone światło zatrzymało nas na skrzyżowaniu La Cienga oraz Imperial.

Kiedy pojawiła się zielona strzałka, Milo skręcił. Okolica była znacznie brzydsza. Na piaszczystych działkach stały tu odrapane parterowe budynki. Sala bilardowa, sklep z alkoholem i bar reklamujący „nagie tancerki na stołach”, wszystko poobijane płytami paździerzowymi i szczelnie pokryte napisami. Nawet grzech nie mógłby tu rozkwitnąć.

Przecznicę dalej krajobraz nieco się zmienił. Pojawiły się znaki ożywienia. Motele podające ceny za cały tydzień, sklepy motoryzacyjne, pośrednictwa sprzedaży samochodów, sklepy z perukami i zniszczone budynki mieszkalne. Kilka pięknie utrzymanych kościołów, kilka centrów handlowych. Peryferia kompleksu Uniwersytetu South-western. Żółte barwy McDonalda i inne, wielokolorowe bary szybkiej obsługi; jak zawsze czyste i błyszczące, jakby kilka minut temu przyniósł je do tej dzielnicy bocian, który nosi firmy zamiast dzieci.

– Jedziemy trasą widokową – odezwał się Milo.

– Bardzo dawno tu nie byłem – odparłem.

– Nie wiedziałem, że w ogóle tu zagładałeś. Większość ludzi o mniejszej ilości pigmentu w skórze nigdy nie znajduje po temu okazji.

– Byłem na studiach – powiedziałem. – Na pierwszym roku. Prowadziłem badania dla programu, który miał poprawić zdolność czytania u dzieci z dzielnic kolorowych. Zainteresowało mnie jedno z tych dzieci – bardzo zdolny chłopiec o imieniu Eric. Odwiedziłem go kilka razy w domu. Wciąż pamiętam, jak wyglądało to miejsce. Mieszkał przy Budlong, obok drogi 103. Całkiem ładny budynek. Zupełnie się czegoś takiego nie spodziewałem w tej dzielnicy. Matka wdowa, ojca zastrzelili w Wietnamie, pomagała im babcia. Wewnątrz czyściutko. Mama i babcia wywierały na dzieciaka strasznie dużą presję, żeby przynosił same szóstkę, został lekarzem albo prawnikiem.

– Ile miał lat?

– Pięć.

Milo zagwizdał.

– Długa droga na akademię medyczną.

– Na szczęście miał do tego zdolności.

– Co się z nim stało?

– Śledziłem jego postępy przez parę lat – dzwoniłem, wysyłałem kartki na święta. Wciąż dostawał szóstkę. Zaczęły go dręczyć silne bóle brzucha. Jechałem do San Francisco na staż. Odesłałem matkę do dobrego pediatry i do rejonowego ośrodka zdrowia psychicznego. Potem jakoś straciliśmy kontakt. Teraz byłby już w wieku studenckim. Niesamowite. Nie mam pojęcia, co się z nim stało. Jak typowy, powierzchowny dobroczyńca, hmm?

Milo się nie odezwał. Zauważyłem, że jedzie szybciej niż zwykle. Obie dłonie na kierownicy. Gdy pędziliśmy na wschód, budynki użyteczności publicznej stawały się coraz mniejsze, smutniejsze, podlejsze i zauważyłem pewną prawidłowość w ich ukierunkowaniu: biura realizacji czeków, salony manicure, sklepy z alkoholem. Multum sklepów z alkoholem. Szczupli, ciemni mężczyźni oparci o brudne budynki z odłazającym tynkiem, trzymający papierowe torby, palący, wpatrujący się w dal. Przeszło kilka kobiet w szortach i wałkach na głowach i rozległy się gwizdy. Ale ulice były w większości opustoszałe – jedyna wspólna cecha dzielnic tego typu i Beverly Hills. Ćwierć mili dalej nawet sklepy z alkoholem już nie miały racji bytu. Zakryte płytami pilśniowymi okna wystawowe trafiały się równie często jak szklane witryny. Kina przekształcone w kościoły, a kościoły w śmietniki. Puste działki. Prowizoryczne cmentarzyska samochodów. Całe ulice wymarłych budynków, w których cieniu od czasu do czasu pojawiał się jakiś szmaciarz czy małeletni włóczęga. Znowu młodzi mężczyźni, którzy nie mają co ze sobą począć, z nadzieją w oczach. Żadnej białej twarzy w zasięgu wzroku.

Minęliśmy ogromną fortecę bez okien, zbudowaną z brązowej cegły.

– Wydział Południowo-Wschodni – powiedział. – Ale nie tu mamy się z nim spotkać.

Jechał jeszcze kilka mil przez ciche osiedla małych bungalowów bez charakteru. Brunatno-żółte, różowe i turkusowe kolory ścian konkurowały z groźnymi, czarnymi napisami wykonanymi przez

uliczne gangi. Zakurzone podwórka otoczone płotami z siatki. Niedożywione psy przeszukiwały śmieci leżące wzdłuż krawężników. Skręciliśmy nagle i dojechaliśmy do 111 ulicy. Potem zaś do zaułka z podziurawionym asfaltem, okolonego na przemian drzwiami garażowymi i płotami z siatki.

W połowie uliczki stała bez celu grupa czarnych dwudziestoparoletnich mężczyzn. Gdy zobaczyli jadącego w ich stronę forda, popatrzyli wyzywająco, odskoczyli i zniknęli w garażach.

– To nie jest Watts. Jesteśmy dalej na wschód. Ale tam jest tak samo.

Wyłączył silnik, wsadził kluczyki do kieszeni i wziął dubeltówkę.

– To z Novatem stało się tutaj – powiedział. – Jeśli chcesz zostać w samochodzie, nie krępuj się.

Wysiadł. Ja również.

– Niegdyś to było bardzo ważne miejsce handlu narkotykami – wyjaśnił, rozglądając się w obie strony, z dubeltówką w jednej ręce. – Później zrobiono parę czystek. Wspólne działania mieszkańców. Potem znowu się pogorszyło. Co tydzień inaczej.

Oczy wciąż lustrowały zaułek od końca do końca. Patrzył też w stronę drzwi garażowych. Podążyłem za jego wzrokiem i ujrzałem otwory i pęknięcia po pociskach w tynku i w drewnie – złośliwe nowotwory pośród szpetoty bazgrołów na murach. Na ziemi mieszanina chwastów, śmieci, zużytych prezerwatyw, foliowych torebek, pustych pudełek po zapalkach, taniego blasku kawałków błyszczącej folii. W powietrzu unosił się fetor psich odchodów i psującej się żywności.

– Powiedz mi – odezwał się Milo – czy może być jeszcze jakiś inny powód, dla którego miałby tu przyjechać, jeśli nie narkotyki?

Obydwaj odwróciliśmy się na dźwięk silnika samochodu u wlotu zaułka. Milo uniósł dubeltówkę i trzymał ją w obydwu rękach.

Samochód wyglądał jak inny nie oznakowany wóz policyjny. Marki Matador. Soczysto-zielony.

Milo rozluźnił się.

Samochód podjechał maską do samego forda. Mężczyzna, który wysiadł, był mniej więcej w moim wieku, średniego wzrostu, bardzo ciemny, gładko ogolony, z afro średniej długości. Ubrany w bankierski prążkowany garnitur, białą rozpinaną koszulę, czerwony jedwabny krawat i błyszczące czarne lakierki. Miał kanciastą szczękę, proste plecy, był bardzo przystojny, ale mimo zdecydowanej postawy wyglądał na zmęczonego.

– Cześć, Maury – odezwał się Milo.

– Witaj, Milo. Gratuluję awansu.

– Dzięki.

Uścisnęli sobie dłonie. Smith spojrział na mnie. Miał starannie ogoloną twarz, pachniał drogą wodą kolońską. Ale oczy były zmęczone i zaczerwienione.

– To jest doktor Alex Delaware – przedstawił mnie Milo. – Jest lekarzem od psychicznych, którego zwerbowałeś do pracy z dziećmi w szkole Hale’a. To on dopatrzył się powiązania pomiędzy tą dziewczyną Holly Burden i twoim chłopakiem. Od lat pracuje jako konsultant dla naszego wydziału, ale nigdy go nie zabierałem. Pomyślałem, że Południowo-Wschodnia może być dla niego pouczająca.

– Witam pana, doktorze – powiedział Smith. Uścisk jego dłoni był bardzo mocny, bardzo suchy. Po chwili zwrócił się do Mila:

– Jeśli chciałeś dać przykład, jak pracujemy, dlaczego nie wzięłeś drugiej dubeltówki?

Milo uśmiechnął się.

Smith wyciągnął paczkę marlboro, zapalił jednego i zapytał:

– No więc?

– Gdzie dokładnie się to stało? – odpowiedział Milo pytaniem na pytanie.

– O ile pamiętam – odparł Smith – mniej więcej tam, gdzie zaparkowałeś. Trudno sobie przypomnieć przy tej liczbie strzelanin, jaką tutaj mamy. Przyniosłem dokumenty sprawy. Poczekaj.

Wrócił do samochodu, otworzył drzwi od strony pasażera i wyciągnął teczkę. Wręczył ją Milowi, mówiąc:

– Nie pokazuj zdjęć doktorowi, chyba że chcesz stracić konsultanta.

– Aż takie straszne?

– Dubeltówka, z małej odległości. Wiesz, jak to się kończy. Musiał podnieść ręce w odruchu obronnym, bo porozrywało mu je na kawałki – jak konfetti. Twarz była... miazgą. Niemal wyciekła z niego krew, gdy dotarli tu chłopcy z kryminalnej. Ale z całą pewnością był naćpany. Kokaina, alkohol i środki farmakologiczne. Jak chodząca apteka.

Milo kartkował dokumenty z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Przysunąłem się bliżej i zajrzałem do nich. Kartki papieru. Masa maszynowej prozy policyjnej. Kilka zdjęć przyklejonych u góry. Żywe kolory. Ogólnoplanowe ujęcia wykonane przez ekipę śledczą i zbliżenia człowieka leżącego twarzą do góry na brudnym asfalcie. Tak poszarpanego, że wyglądał jak mokra plama.

Zakręciło mnie w żołądku. Odwróciłem wzrok, ale postarałem się zachować zewnętrzny spokój.

Smith przyglądał mi się uważnie.

– Takie rzeczy pewnie nie są wam obce – powiedział. – Akademia medyczna i tak dalej.

– On jest doktorem filozofii – wyjaśnił Milo.

– Doktor filozofii – powtórzył Smith. Wyciągnął ręce w stronę zaułka. – Czy ma pan jakąś teorię na temat filozofii miejsc takich jak to?

Potrząsnąłem głową i uśmiechnąłem się. Milo czytał, a Smith lustrował zaułek. Uderzała mnie cisza, chorobliwa, napięta cisza, jak w kostnicy. Pozbawiona świergotu ptaków czy odgłosów ruchu ulicznego; handlowego szumu czy rozmów. Przyszły mi do głowy wyobrażenia ponuklearne. I nagle rozległ się hałas jak zaskakujący i groźny napad zbrojny. Wycie i pulsowanie odległej syreny ambulansu, a zaraz potem ostre piski ludzkie. Przykry duet miejscowego gwałtu, dochodzący gdzieś z bliska. Smith spojrział z niesmakiem. Rzucił wzrokiem na dubeltówkę Mila, odchylił marynarkę i dotknął rewolweru, który spoczywał w kaburze pod pachą. Znowu cisza.

– W porządku. Popatrzmy. Aha, jest toksykologia – powiedział Milo, przewracając kartki. – Tak, chłopak był bez wątpienia naćpany.

– Porządnie naćpany – powtórzył Smith, pociągając nosem. – A w jakim innym celu by się tu zjawił?

– Zastanawia mnie jedna rzecz, Maury – zaczął Milo. – Dzieciak mieszka w Venice. Ocean Front to też swoista apteka. Po co zadawać sobie tyle trudu, żeby tu przyjechać?

Smith zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł:

– Może nie odpowiadał mu asortyment sprzedawany w jego okolicy. Ludzie teraz są tacy wybredni. Biznesmeni, z którymi teraz mamy do czynienia, mają wszystko popaczkowane i opatrzone nazwami. „Suchy Lód”, „Słodkie Sny”, „Baranek z Medellin” – pełno trucizn do wyboru. A może sam był biznesmenem. Sprzedawał, nie kupował. Przyjechał tutaj po dostawę czegoś, czego chłopcy z Venice nie mieli.

– Może – zgodził się Milo.

– Jaki mógłby mieć inny powód? – spytał Smith. – W każdym razie niech ci to zbytnio nie spędza snu z powiek. Straciłem dość czasu, zastanawiając się nad poczynaniami ćpunów i uliczników. Równie dobrze mógłbym sobie przybić stopę do podłogi i biegać przez cały dzień w kółko. – Wydmuchnął dym z papierosa.

– Tak, widziałem twoje oświadczenie z ostatniego protokołu – powiedział Milo.

– Przykra sprawa – stwierdził Smith. – Strasznie barbarzyńska. – Zaciągnął się i pokiwał głową, stuknął jednym butem i rozglądał się po zaułku. Powróciła cisza.

Milo oddał mu dokumenty.

– Niewiele, jeśli chodzi o dane na jego temat. Nic z jego wcześniejszego życia, rodziny.

– Jak duch w operze – powiedział Smith. – Gagatek pojawił się znikąd. Nie ma go w żadnej

kartotece. Co pasuje do wizerunku biznesmena amatora. Są sprytni. Zorganizowani. Kupują lewe dokumenty, przemieszczają się często, kryją pod różnymi tożsamościami, tak jak to czynią korporacje. Nawet mają pomocników. W innych miastach, w innych stanach. Novato powiedział swojej gospodyni, że pochodzi ze wschodu. To najdokładniejsza informacja, jaką udało mi się ustalić. Zapomniała skąd. Albo nie chciała sobie przypomnieć.

– Sądysz, że kłamała?

– Może. Niezła była. Zagorzała komunistka. Nie lubiła glin i nie wahała się tego mówić prosto w oczy. Przebywanie z nią, to jakby się przenieść w lata sześćdziesiąte, gdy byliśmy wrogami. Zanim serial *Policjanci z Miami* ostatecznie położył temu kres.

– Dowiedziałeś się od niej czegoś? – spytał Milo.

– Niewiele. Ledwo udało mi się ją przekonać, żeby mnie wpuściła. Była naprawdę wściekła. Nawet nazwała mnie „Kozakiem”. Spytała, jakie to uczucie być czarnym Kozakiem. Jakby mnie uważała za zdrajcę mojej rasy. Tobie udało się coś od niej wyciągnąć?

– Nie mogłem – powiedział Milo. – Nie ma jej. Zniknęła cztery dni po zabiciu Novata. Nikt jej od tej pory nie widział ani o niej nie słyszał.

Smith otworzył ze zdziwienia zmęczone oczy.

– Kto się zajmuje tą sprawą? – spytał.

– Hal Mehan z Pacyficznego. Jest na urlopie, wraca za dwa tygodnie. Zastosował normalne procedury, jakie przeprowadza się w przypadku osoby zaginionej. Dowiedział się, że się nie spakowała ani nie wycofała pieniędzy z banku. Śledził sprawę kilka tygodni, po czym oświadczył jej przyjaciołom, żeby wynajęli prywatnego detektywa albo zapomnieli o wszystkim. Jej sąsiadowi powiedział, że wygląda to na napad uliczny.

Smith zaczął szybciej stukać butem.

– Czy Mehan wie o Novacie?

– Jej przyjaciele twierdzą, że mu powiedzieli.

– Hmm – zastanowił się Smith. Oczy miał w półprzymknięte.

– Tak, wiem, powinien ci powiedzieć – stwierdził Milo. – Powinien. Ale właściwie nic się nie stało. Trafiał w ślepy zaułek i skierował się w stronę bardziej urodzajnych łąk. Sąsiad obok zbiera jej korespondencję. Właśnie ją przejrzałem. Niewiele tego, trochę śmieci i kilka rachunków.

Smith nadal wyglądał na zaniepokojonego.

– Kim są ci jej przyjaciele? Nikt w dzielnicy za wiele o niej nie wiedział. Jediną osobą, która miała o niej jakiegokolwiek pojęcie, był facet mieszkający obok, jakiś angielski rabin. To on odkłada

jej korespondencję?

Milo przytaknął.

– Przed chwilą z nim rozmawiałem. Przyjaciele to kilkoro starszków, których znała z synagogi. Raczej znajomi niż przyjaciele. Według nich nie była towarzyska, raczej zamknięta w sobie.

– To prawda – przyznał Smith. – Chłopie, była jak taka stara ostra siekierka.

– Powiedzieli też, że nie miała żadnej rodziny. Tak jak Novato.

– Sądzisz, że to coś znaczy? – spytał Smith.

– Kto wie? – zastanowił się Milo. – Mogło to być towarzystwo cierpiętnicze. Dwójka samotników, która odnalazła się nawzajem.

– Czarny dzieciak i starsza biała kobieta? – powiedział Smith. – Ładne towarzystwo. A może ta dwójka coś knuła, hmm? Gdy poszedłem tam w sprawie Novata, zauważyłem, jak wrogo jest usposobiona i radykalna. Nawet nie chciała mnie wpuścić do środka. Rozpytywałem w okolicy, czy nie była związana ze światkiem narkotykowym. Pytałem sąsiadów, czy nie odwiedzali jej ludzie o dziwnych porach; czy przed dom nie podjeżdżały luksusowe samochody – jak to zwykle bywa. Nikt nic nie wiedział.

– I wciąż nikt nic nie wie – powiedział Milo. – Jest jeszcze jedna rzecz, o której powinieneś wiedzieć. Kilka dni po jej zniknięciu ktoś obrabował jej dom. Rabina też. Zabrał kilka drobiazgów, porozwalał wszystko, wypisał paskudne słowa na ścianach.

– Jakie paskudne słowa?

– Antysemickie. I coś na temat pamiętania o Johnie Kennedym. Czerwoną farbą, którą ukradł z garażu. Czy to pasuje do napisów zostawianych przez znane ci gangi?

– Kennedy? Nie. – powiedział Smith. Jest jakiś zespół punkowy „Martwi Kennedy”. Tylko tyle przychodzi mi do głowy. – Pomyślał. – Skoro wzięli farbę stamtąd, to chyba nie włamali się tam z zamiarem malowania ścian.

– Mógł to być jakiś łobuz, który wykorzystał okazję – zasugerował Milo. – Dupek był naćpany i naszły go artystyczne inspiracje.

Smith przytaknął.

– Jak ci od srania. – Zwrócił się do mnie. – Faceci włamują się do domu, kradną, co się da, i robią kupę na podłogę. Albo na łóżko. Co pan o tym myśli z psychologicznego punktu widzenia? Albo filozoficznego?

– Demonstracja siły – powiedziałem. – Pozostawiają podpis, żeby ich zapamiętać. Są tacy, którzy doprowadzają się do orgazmu. Albo wyjadają całą żywność z lodówki.

Smith przytaknął.

– W każdym razie pomyślałem, że powinieneś o tym wszystkim wiedzieć – rzekł Milo.

– Dzięki – odparł Smith. – Pod kątem sprawy narkotykowej sprawdziłem Novata w ogólnokrajowej kartotece przestępczej, w kartotekach imiennych, dzwoniłem do wszystkich bystrych facetów zajmujących się w wydziale narkotykami oraz do ludzi szeryfa. Nic. Chłopak był nieznany w tych sferach.

– Może był nowy – zasugerował Milo. – Próbował zająć czyjeś miejsce i skończył jako trup.

– Nowy – powiedziałem. – Novato. Jestem prawie pewien, że to po hiszpańsku znaczy „nowicjusz”.

Obydwaj popatrzyli na mnie.

– Latynoskie nazwisko u czarnego chłopaka – dodałem. – To mógł być pseudonim.

– *El Nosato*, co? – podchwycił Smith. – Cóż, to nie jest nazwisko, a przynajmniej nie mamy go w kartotece. To mógł być pseudonim. – Wypowiedział z hiszpańskim akcentem: – *El Nosato*. Trochę tak jak *El Vato Loco*. Brzmi jak chłopak z Boyle Heights, ale nasz gagatek był czarny.

– Czy zostały jakieś odciski palców? – spytał Milo.

Smith potrząsnął głową.

– Widziałeś zdjęcia.

– Jak go zidentyfikowaliście?

– Miał portfel w kieszeni. Prawo jazdy i wizytówkę z miejsca, w którym pracował. Jakiś sklep spożywczy. Zadzwoiłem do jego szefa, spytałem o rodzinę, którą trzeba powiadomić. Powiedział, że nie zna żadnej rodziny. Później, kiedy nikt nie zgłosił się po ciało, ponownie zadzwoniłem do tego szefa i powiedziałem mu, że jeśli chce, może je odebrać, pochować go jak należy.

– Też z nim rozmawiałem – powiedział Milo. – Skremował go.

– To chyba pochówek jak należy – uznał Smith. – Jak się jest w takim stanie, to już chyba nie ma większego znaczenia, prawda?

Znów rozległy się krzyki w głębi zaułka. Ci sami ludzie atakujący się słowami.

– Pewnie niedługo tu wrócę, żeby zabrać ciało któregoś z nich – rzekł Smith. – Chcesz się jeszcze czegoś dowiedzieć o Novacie?

– To wszystko, co przyszło mi do głowy, Maury. Dzięki – powiedział Milo.

– Jeśli o mnie chodzi, Milo, myślę że dobrze, że go sprzątnęli. Jeśli był nie tylko ćpunem, ale również biznesmenem, jeszcze bardziej mnie to cieszy. Ubyło trochę gówna, które trzeba mieć na oku.

Smith rzucił papierosa i przydeptał go obcasem.

– Jak dobrze ta Holly Burden знаła Novata?

– Widziano, jak ze sobą rozmawiali. To pewnie nic nie znaczy. Po prostu idę za tropem. Jeśli okaże się, że istnieją jakieś powiązania, powiadomię cię.

– Dobra – zgodził się Smith. – Będzie mi naprawdę miło. Przy okazji, mógłbyś o mnie pamiętać, kiedy będą przydziały etatów w zachodnim Los Angeles. Złożyłem podanie w ubiegłym roku – nie ma wakatów. Chętnie przeniósłbym się do cywilizowanych rejonów. Żeby trochę odetchnąć od ciągłych zabójstw. Awansowałeś. Może będziesz miał w tej sprawie coś do powiedzenia?

– Takie sprawy załatwia się na wyższym szczeblu – uprzedził go Milo – ale zrobię, co będę mógł.

– Będę wdzięczny. Chciałbym trochę pobyc w wśródu cywilizowanych ludzi.

* * *

– A więc był ćpunem – powiedziałem, gdy Smith odjechał. – Legła w gruzach opinia Dinwiddiego.

– Jak się ma na coś nadzieję, można oszukać zdrowy rozsądek.

W drodze powrotnej nie mówiliśmy zbyt wiele. Milo sprawiał wrażenie, że ma ochotę zostać sam.

Dotarłem do mieszkania Lindy o ósmej. Otworzyła drzwi ubrana w jedwabną czarną bluzkę, szare dżinsy i czarne kowbojskie buty. Włosy miała spięte do góry srebrnym grzebieniem. W uszach wisiały duże srebrne kolczyki w kształcie kótek. Róż podkreślał jej kości policzkowe. Użyła więcej tuszu do rzęs, niż widziałem wcześniej. Spoglądała z rezerwą, która przebijała przez jej uśmiech. Też czułem coś podobnego – powściągliwość, niemal nieśmiałość. Jakby to była pierwsza randka. Wszystko, co wydarzyło się dwie noce temu, wydawało się fantazją i musieliśmy zacząć od początku.

– Cześć – powiedziała. – W samą porę. – Złapała mnie za rękę i wprowadziła do środka. Na stoliku stała butelka chablis i dwa kieliszki oraz talerze z pokrojonymi surowymi warzywami, krakersami, sosem i koreczkami serowymi.

– Przekąska przed kolacją – zachęciła mnie.

– Wyglądasz wspaniale. – Usiadłem. Zajęła miejsce obok mnie, naląła wina i zaproponowała:

– Może wzniesiemy toast?

– Pomyślmy. Ostatnio wydarzyło się sporo szalonych rzeczy. Więc może za nudę?

– Proszę, proszę.

Stuknęliśmy się kieliszkami i wypiliśmy.

– A więc... co nowego? – spytała.

Miałem jej masę do opowiedzenia: o Mahlonie Burdenie w jego naturalnym otoczeniu, o Novacie i Sophie Gruenberg. O neofaszystach w dzielnicach podmiejskich, o zaułku narkotykowym...

– Uszanujmy przez moment ten toast – powiedziałem.

Roześmiała się.

– Oczywiście.

Chrupaliśmy warzywa, wypiliśmy jeszcze trochę.

– Chcę ci coś pokazać. – Wstała i przeszła przez pokój do sypialni. Dzinsy podkreślały jej kształty. Kozaczki miały bardzo wysokie obcasy i sprawiały, że w jej chodzie pojawiło się coś, co przekonywało mnie, że noc dwa dni temu wydarzyła się naprawdę.

Wróciła z przenośną wieżą stereofoniczną.

– Niesamowite, jaki dźwięk można z tego uzyskać. Postawiła ją na stoliku, obok jedzenia.

– Odtwarza kasety i płyty kompaktowe.

Z miną dziecka w Wigilię ustawiła zasilanie na baterie, wcisnęła EJECT i podała mi płytę, którą z odtwarzacza wyjęła. Kenny G. „Silhouette”.

– Wiem, że lubisz jazz. Saksofon – wyjaśniła. – Więc pomyślałam, że to będzie odpowiednie. Zgadłam?

Uśmiechnąłem się.

– Doskonale. To bardzo miło z twojej strony. – Wsunąłem płytę z powrotem i wcisnąłem PLAY.

Słodkie, wysokie dźwięki wypełniły mieszkanie.

– Mmm, ale ładne – powiedziała i usiadła z powrotem. Słuchaliśmy. Po chwili objąłem ją ramieniem. W czasie króciutkiej przerwy pomiędzy pierwszym i drugim utworem pocałowaliśmy się delikatnie, powściągliwie – oboje świadomie się powstrzymywaliśmy.

Odsunęła się ode mnie.

– Cieszę się, że przyszedłeś – oświadczyła.

– Ja również. – Dotknąłem jej twarzy, pogłaskałem podbródek. Zamknęła oczy i wsparła się na mnie.

Pozostaliśmy zamknięci w cudownej beczynności. Kenny G. zrobił swoje. Jak serenada. Po czwartym utworze zmusiliśmy się do wstania i wyszliśmy.

* * *

Odwiedziliśmy galerie, zaliczając nowe przybytki na La Brea, oglądając masę kiepskiej sztuki i trochę eksperymentów. Ostatnia galeria, jaką zobaczyliśmy, była zupełnie nowa i zaskoczyła nas – stare rzeczy jak na Los Angeles. Sztuchy z początku dwudziestego wieku. Znalazłem coś, co mi się podobało i na co mogłem sobie pozwolić: rysunek bokierski George’a Bellowsa. Mało znany. Przegapiłem jeden z tej samej serii na aukcji w ubiegłym roku. Po krótkim namyśle kupiłem go i poprosiłem o zapakowanie.

– Lubisz boks? – spytała, gdy wyszliśmy z galerii.

– Nie w naturze. Ale na papierze wychodzi z niego dobra kompozycja.

– Tato zabierał mnie na walki, gdy byłem mała. Nienawidziłam tego. Tego sapania i krwi. Ale bałam się mu powiedzieć. – Przyglądała włosy i zamknęła oczy. – Zadzwoń do niego dzisiaj.

– Jak poszło?

– Łatwiej, niż myślałam. Telefon odebrała jego... żona. Była raczej chłodna. Ale on chyba się ucieszył, gdy mnie usłyszał. Wydawał się niemal miły. Jest stary. Nie wiem, czy to dlatego, że minęło tak dużo czasu, czy się naprawdę tak postarzał. Spytał mnie, kiedy go odwiedzę. Lawirowałam, nie dałam mu konkretnej odpowiedzi. Nawet gdybym chciała pojechać, tyle się teraz dzieje. A propos, potwierdziłam na jutro twoje spotkanie z rodzicami. Powinno przyjść sporo osób – przerwała. – Ach, nasz toast. Wiwat nuda!

– Zapomnij o toaście, jeśli masz na to ochotę.

– Nie mam na to ochoty – powiedziała i otoczyła mnie w pasie ramieniem.

Doszliśmy do samochodu. Włożyłem sztuch do bagażnika i pojechaliśmy do restauracji na Melrose; kuchnia północnowłoska, stoliki wewnątrz i na zewnątrz w patio. Delikatna wieczorna bryza. To pieszczotliwe ciepło, które daje mieszkańcom Los Angeles chęć do życia, mimo całej nieszczerości i szaleństwa. Wybraliśmy stół na zewnątrz. Małe gęste drzewka w obwiązanych słomą donicach oddzielały patio od chodnika. Grupy stolików były otoczone białymi, ażurowymi barierkami, co dawało złudzenie intymności.

Kelner odgrywał rolę Pieczołowitego Sługi, jak absolwent kursu aktorskiego, i recytował

niemającą końca listę specjałów z dumą absolwenta innego kursu – kursu ćwiczenia pamięci. Światło było tak przyćmione – jedynie po jednej świeczce na każdym stoliku – że musieliśmy się pochyłać, żeby odczytać kartę. Zdążyliśmy zgłodnieć i zamówiliśmy przekąski, sałatki z owoców morza, dwa rodzaje cielęciny i butelkę wody pellegrino.

Rozmowa toczyła się naturalnie, ale pozostawaliśmy wierni toastowi. Gdy podano dania, skoncentrowaliśmy się na jedzeniu. Pieczołowity przyprowadził wózek z deserami i Linda wybrała jakąś ogromną konstrukcję z bitej śmietany i orzechów laskowych, która wyglądała, jakby zrobienie jej wymagało zezwolenia budowlanego. Ja zamówiłem lody cytrynowe. Gdy przebrnęła przez połowę ciastka, wytarła śmietaną z ust i powiedziała:

– Chyba już poradzę sobie z rzeczywistością. Możemy zdradzić nudę?

– Jasne.

– Więc opowiedz mi o domu naszej panny Burden. Jaki był ojciec? Możesz o tym mówić?

– Myślisz o konieczności zachowania tajemnicy? Nie ma problemu. Jeden z warunków, jakie mu postawiłem, był taki, że wszystko, czego się dowiem, mogę przekazać tobie, dzieciom lub policji. Ale nie dowiedziałem się niczego, co by poruszyło ziemię w posiadach. Jedynie potwierdziłem to, czego się spodziewałem.

– To znaczy?

W skrócie opisałem przebieg wizyty.

– Boże, z niego jest chyba niezły drań.

– Jest odmienny, to pewne.

– Odmienny. – Uśmiechnęła się. – Tak, to znacznie bardziej profesjonalne określenie niż drań.

Roześmiałem się.

– Już wiesz, dlaczego nie byłabym dobrą terapeutką? Zbyt pochopnie wystawiam opinie. Jak ty to robisz, że nie pozwalasz uczuciom na przejęcie kontroli?

– To nie zawsze jest łatwe – wyjaśniłem. – Szczególnie w przypadku kogoś takiego jak on. W czasie rozmowy zdałem sobie sprawę, że go nie lubię. Postanowiłem cały czas o tym pamiętać. Tak, jak ty to robisz. Trzeba zdawać sobie sprawę z własnych uczuć. Być ich świadomym. Wysuwać na czoło dobro pacjenta. Jak akompaniator.

– Uważasz go za swojego pacjenta?

– Nie. On jest raczej... klientem na konsultacjach. W takim charakterze jak sąd, który zwraca się o przyznanie praw rodzicielskich. Wcale nie wiem, czy będę mógł mu powiedzieć to, co chce usłyszeć – że była niewinna. Na razie bardzo dobrze pasuje do wizerunku masowego mordercy. Więc

mam przecucie, że dość szybko pozbawię go złudzeń. To już się zdarzało.

Włożyła do ust orzecha laskowego i gryzła go. Na jej twarzy dostrzegłem napięcie, skupienie.

– O co chodzi? – spytałem.

– O nic. Do diabła, wciąż myślę o swoim samochodzie. To była pierwsza rzecz, jaką sobie kupiłam, kiedy miałam pieniądze. Wyglądał tak smutno, gdy go odholowali. Mówią, że przeżyje, ale zabieg potrwa z miesiąc. Na razie wynajęłam inny. Jeśli szczęście mi dopisze, władze nie będą szumiały za bardzo, kiedy przyjdzie czas, żeby zapłacić rachunek.

Kręciła widelcem po talerzyku.

– Nie daje mi spokoju pytanie, dlaczego to mój mały gracik? Był zaparkowany na ulicy, pośród innych. Skąd wiedzieli, do kogo należy?

– Ktoś pewnie cię w nim widział.

– To znaczy, że ktoś mnie obserwował? Że mnie śledził?

– Nie – odparłem szybko. – Wątpię, żeby tu chodziło o coś tak wyrafinowanego. Raczej ktoś cię zauważył i zdecydował zaatakować.

Oportunizm. Wiedziałem, dlaczego to słowo wpadło mi do głowy. To obcowanie z polityką. Brzydota.

– Więc sądzisz, że to ktoś miejscowy?

– Kto wie?

– Głupie łobuzy – powiedziała. – Nie pozwolę im zapanować nad moim życiem.

Chwilę później dodała:

– Więc jaki będzie mój następny krok? Powinnam zacząć zbierać pieniądze na broń? – Uśmiechnęła się. – Może to nawet nie jest taki zły pomysł. Jak ci powiedziałam, świetnie strzelam.

– Mam nadzieję, że nie znajdę się po innej stronie niż ty.

Roześmiała się, spojrzała na resztki deseru.

– Chcesz trochę? Już nie mogę.

Odmówiłem, poprosiłem o rachunek i zapłaciłem Pieczołowitemu. Gdy wstawaliśmy od stołu, zauważyłem podobny ruch przy stoliku po drugiej stronie barierki. Jakbyśmy siedzieli obok lustra. Byliśmy tak zsynchronizowani, że aż spojrzałem jeszcze raz, czy to naprawdę nie lustro. Ale to tylko dwoje innych ludzi. Niewyraźne zarysy mężczyzny i kobiety. Przestało mnie to zastanawiać, gdy

szliśmy do samochodu, ale kiedy odjechałem od krawężnika, jakiś samochód ruszył zaraz za nami i trzymał się z tyłu. Poczułem, jak napinają mi się mięśnie, i przypomniałem sobie podobne przywidzenie, jakie miałem kilka dni temu. Paranoja, która zmusiła mnie do zjechania z Sunset na stację benzynową.

Brązowa toyota. Zdaje się, że dwójka ludzi. Para. Zajęci sobą. Teraz inna para, tuż za nami, ale sądząc po rozstawie świateł, samochód był większy. Średniej wielkości sedan. Reflektor nie migotał.

W porządku. Zdecydowanie nie ten sam samochód. Nie ma nic dziwnego w tym, że dwie pary wychodzą z restauracji o tej samej porze. A jazda tą trasą była jedyną możliwością dla każdego, kto mieszkał na zachód od parku Hancocka.

Rozluźnij się, Delaware.

Spojrzałem w lusterko. Światła. Te same? Odblask nie pozwalał mi dojrzeć, kto siedzi w środku.

Śmieszne. Pozwalałem sobie zaprzątnąć głowę jakimiś spiskami i szajkami.

– Co się dzieje? – spytała Linda.

– Dzieje? Nic.

– Nagle strasznie się spiąłeś. Przygarbiłeś ramiona.

Absolutnie nie chciałem jej niepokoić. Świadomie rozluźniłem się, starałem się wyglądać bardziej bez troski, niż naprawdę się czułem. Znowu rzuciłem spojrzenie w lusterko wsteczne. Inne światła, byłem niemal pewien. Karawana reflektorów, ciągnąca się przez kilka przecznic. Typowy, weekendowy korek na Melrose...

– Co się dzieje, Alex?

– Nic. Naprawdę. – Skręciłem z Melrose na Spaulding i zastosowałem terapeutyczną sztuczkę. – A ty? Wciąż rozmyślasz o samochodzie?

– Muszę przyznać, że jestem nieco podenerwowana – przyznała. – Może powinniśmy dotrzymać przysięgi nudy.

– Nie martw się – uspokoiłem ją. – Mogę cię znowu znudzić bardzo szybko. – Odchrząknąłem i przybrałem zawodzący, pedagogiczny ton. – Porozmawiajmy o teorii nauczania. Tematem dnia będzie, uhhh, przystosowanie programu nauczania. Makro- i mikrozmienne różnorodności współczesnych podręczników, które przyczyniają się do większej, uhhh, aktywności uczniów, przy zachowaniu tej samej liczebności klasy, czynników budżetowych oraz, uhhh, stosunku cementu do asfaltu na boiskach szkolnych we wzorcowych szkołach podmiejskich, na podstawie...

– Dobra, wierzę!

– ...Ustawy o Obowiązku Szkolnym z 1973...

– Dość! – Śmiała się głośno.

Spojrzałem w lusterko. Żadnych świateł. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej ramienia. Przysunęła się bliżej, oparła dłoń na moim kolanie, po czym cofnęła ją. Położyłem ją tam z powrotem.

Roześmiała się i spytała:

– I co teraz?

– Zmęczona?

– Raczej osaczona.

– Chcesz mi pomóc powiesić ten obrazek?

– Coś w stylu: „Wpadnij obejrzeć moje akwaforty”?

– Podobny wydźwięk.

– Hmm.

– Hmm co?

– Hmm tak.

Uścisnąłem jej ramię i pojechałem do domu, już rozluźniony. Jednak jeszcze dwa razy spojrzałem w lusterko wsteczne.

* * *

– Wszystko mi się tu podoba – powiedziała, wyciągając się na skórzanej kanapie i rozpuszczając włosy. – Ten widok, sadzawka. Takie to proste, ale widać, że włożyłeś dużo pracy. Dom wydaje się większy, niż jest. Od jak dawna tu mieszkasz?

– Prawie siedem lat.

– Więc możesz już mówić o sobie – stały mieszkaniec.

– Tu chyba powieszę – powiedziałem, podnosząc Bellowsa. – Jak wygląda?

– Troszkę na lewo. – Wstała. – Tutaj. Przytrzymam. Sam zobacz.

Zamieniliśmy się miejscami.

– I jak? – spytała.

– Idealnie.

Przyłożyłem gwóźdź, wbiłem go, powiesiłem sztych, wyprostowałem ramkę. Wróciliśmy na kanapę i spojrzeliśmy na obrazek.

– Ładny – powiedziała. – Pasuje tutaj.

Musnąłem namiętnie jej usta. Otoczyła mnie ramionami. Całowaliśmy się do utraty tchu. Dłonie Lindy znalazły się na moim rozporoku. Naciskały delikatnie. Zacząłem rozpinać jej bluzkę. Kiedy rozpiąłem dwa guziki, jęknęła:

– Auaa – i cofnęła dłoń.

– Coś nie tak?

Zaczerwieniła się. Oczy jej błyszczały.

– Nie, nic... Tylko... za każdym razem, gdy się spotkamy, zaraz to musimy robić?

– Nie, jeśli nie chcesz.

Zamrugła skromnie. Ujęła moją twarz w dłoń.

– Jesteś aż taki rycerski?

– Niezupełnie. Ale tyle mówiłaś, jak dobrze strzelasz, że trochę się boję.

Roześmiała się. Równie szybko spoważniała.

– Po prostu nie chcę, żeby to było... w stylu łatwo przyszło, łatwo poszło. Jak wszystko inne w tym mieście.

– Mnie to również nie odpowiada.

Wyglądała niepewnie, ale pocałowała mnie ponownie. Głęboko. Utonąłem w tym pocałunku.

Drgnęła.

Cofnąłem się. Przyciągnęła mnie bliżej, przytrzymała. Serce mi łomotało. A może to jej?

– Pragniesz mnie – stwierdziła, jakby była zdziwiona swoją własną mocą.

– Bardzo.

Minęła chwila. Ledwie słyszałem bulgotanie wody w sadzawce.

– A niech tam – powiedziała i znów mnie objęła.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Nazajutrz słyszałem, jak wstała o szóstej. Gdy wszedłem pół godziny później, była ubrana i piła kawę przy stole kuchennym.

– Smutny poniedziałek – powiedziała.

– Jesteś przygnębiona?

– Ani trochę. – Wyrzała przez okno. – Strasznie podoba mi się ten widok.

Napełniłem filiżankę i usiadłem. Spojrzała na zegarek.

– Kiedy już będziesz gotowy, mógłbyś mnie podwieźć do domu. Chcę wcześniej pojechać do szkoły, przygotować wszystko do spotkania z rodzicami.

– Ilu osób oczekujesz?

– Około dwudziestu. Sporo jest hiszpańskojęzycznych. Mogę ci tłumaczyć, ale to znaczy, że najpierw będę musiała zająć się swoimi papierami.

– Z przyjemnością.

– Sądzisz, że będzie więcej spotkań niż jedno?

– Prawdopodobnie nie. Jeśli zajdzie taka potrzeba, zajmę się poszczególnymi osobami.

– Świetnie.

Oboje trzymaliśmy się pracy. Unikaliśmy tematów osobistych, jakby to był martwy kot na środku jezdni. Napiłem się jeszcze kawy.

– Chcesz jakieś śniadanie? – spytała.

– Nie. A ty?

Potrząsnęła głową.

– Może kiedyś dasz się skusić? Robię całkiem dobre śniadania – nie jest to Cordon Bleu, ale domowa jakość i duże ilości.

– Z przyjemnością pozwolę ci to udowodnić. Uśmiechnęła się nagłym białolśniącym uśmiechem. Dotknęliśmy naszych dłoni. Odwiozłem ją do domu.

W czasie jazdy wyglądaliśmy cały czas przez okna. Czułem, że ona znów zamyka się przede mną, co potwierdzało jej zdolność radzenia sobie. Odwiozłem ją do domu, powiedziałem, że zobaczymy się o jedenastej, zatankowałem cadillaca i z telefonu na stacji zadzwoniłem do swojej centrali, żeby się przekonać, czy są dla mnie jakieś wiadomości, których nie sprawdziłem wczoraj. Była tylko jedna, od Mahlona Burdena, który przypominał mi, żeby zadzwonić do jego syna, Howarda Burdena i podawał jeszcze raz numer telefonu do pracy.

Tuż po dziewiątej zadzwoniłem do Encino.

Odezwał się kobiecy głos:

- Firma Pierce, Sloan and Marder.
- Z Howardem Burdenem, poproszę. Głos stał się powściągliwy.
- Chwileczkę.

Inny kobiecy głos, głośniejszy i nosowy:

- Gabinet Howarda Burdena.
- Chciałbym mówić z panem Burdenem.
- Kogo mam zapowiedzieć?
- Doktor Delaware.
- Mogę spytać w jakiej sprawie, doktorze?
- Osobistej. Dzwonię z polecenia ojca pana Burdena.
- Chwileczkę – odparła po chwili wahania.

Nie było jej dość długo. Następnie poinformowała mnie:

- Przykro mi, pan Burden jest na zebraniu.
- Czy wie pani, kiedy będzie wolny?
- Nie, nie wiem.
- Zostawię swój numer telefonu. Proszę powiedzieć mu, żeby do mnie zadzwonił.

– Przekażę wiadomość. – Lodowaty ton dawał do zrozumienia, iż to, że do mnie zadzwoni, jest równie prawdopodobne, jak to, że na świecie zapanuje pokój. Chyba rozumiałem, o co jej chodzi.

– Nie jestem z prasy – wyjaśniłem. – Jego ojciec bardzo chce, żebym z nim porozmawiał. Może pani zadzwonić do pana Burdena seniora i to potwierdzić.

– Przekażę wiadomość, proszę pana.

* * *

Znów zablokowany wjazd do Ocean Heights. Gdy ujrzałem dwa samochody policyjne, spociły mi się dłonie.

Ale tym razem nie było aż tyle policji jak w dniu strzelaniny – zaledwie dwa czarno-białe samochody i dwóch umundurowanych policjantów, którzy stali pośrodku ulicy, rozmawiając ze sobą spokojnie.

Nie chcieli odpowiedzieć na moje pytania, za to sami dopytywali się o wszystko. Długo musiałem tłumaczyć, kim jestem, a potem czekałem, aż zadzwonią do szkoły i sprawdzą to u Lindy. Nie zastali jej. W końcu pokazałem im moje zezwolenie wykonywania zawodu psychologa i legitymację Akademii Medycznej, a kiedy wspomniałem nazwisko Mila, przepuścili mnie wreszcie.

Zanim wróciłem do samochodu, spytałem jeszcze raz:

– Co tu się dzieje?

Policjanci wyglądali na rozbawionych i podenerwowanych jednocześnie.

– Cyrk, proszę pana – odezwał się jeden z nich. Drugi wskazał palcem na mój samochód i powiedział:

– Niech pan lepiej jedzie.

Odjechałem, pędząc Esperanza. Szkoła była otoczona samochodami i musiałem zaparkować przecnicę dalej. Znów policjanci obok dobrze utrzymanych limuzyn, które mogły być nie oznakowanymi samochodami policyjnymi, furgonetki mediów, przynajmniej trzy białe drugie mercedesy. I gapie. Kilku mieszkańców stojących przed domami. Niektórzy ze zgorzkniałym wyrazem twarzy – rezygnacja letników, których nawiedziły mrówki. Ale inni wyglądali na zadowolonych, jakby czekali na paradę.

Poszedłem, zastanawiając się, co ich wyciągnęło z domów. Co znaczył ten „cyrk”? Usłyszałem go, gdy zbliżyłem się do terenu szkoły. Zawzięte bicie werbla. Trele syntezatora ponad wolniejszymi dźwiękami gitary basowej.

Odgłosy zabawy. Zabawy rockowej. Zastanawiałem się, dlaczego Linda nic mi o tym nie wspomniała.

Dokładnie na wprost wejścia do szkoły stał jakiś miejscowy i blokował chodnik. Krępy, starszy

mężczyzna w spodniach z madrasu w kratkę i w białym golfie. Palił papierosa i strząsał popiół na chodnik. Patrzył w kierunku szkoły. Kiedy podszedłem, odwrócił się i zlustrował mnie. Lodowate spojrzenie, cera przypominająca surowe mięso.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Co to za zamieszanie?

Spojrzał na mnie, strząsnął papierosa i odparł:

– Jakiś piosenkarz. – Z tonu jego głosu wynikało, że w jego hierarchii wartości ta profesja plasuje się nieco powyżej alfonsa.

– Jaki?

– A kto to wie? – Zaciągnął się. – Wepchnęli się tu i do tego karmią nas tą dziką muzyką.

Spojrzał na mnie wyzywająco. Obszedłem go i ruszyłem na drugą stronę ulicy. Jego papieros przeleciał obok mnie i wylądował na jezdni, rozpryskując iskry.

Plot wokół szkoły był przybrany pomarańczowymi i srebrnymi frędzlami z folii, rozwieszonymi tak gęsto, że niemal nic nie dało się przez nie zobaczyć. Furtkę zamknięto. Przy wejściu do szkoły stał szkolny policjant i postawny czarny mężczyzna z pstrokatą, jakby ubrudzoną brodą. Murzyn miał na sobie białe spodnie i pomarańczową koszulkę z metalicznym napisem: TOURNEE DRESZCZOWCA. MEGAPLATYNOWA PŁYTA. W jednej ręce trzymał notes, a w drugiej pęk złotych kluczy. Gdy podszedłem bliżej, policjant szkolny się wycofał.

– Nazwisko – rzucił facet z notesem.

– Doktor Delaware, Alex Delaware. Pracuję w tej szkole.

Spojrzał na listę w notesie, przejechał palcem w dół strony.

– Jak to się pisze, człowieku?

Powiedziałem mu. Przewrócił kartkę i ściągnął brwi.

– Delaware. Jak ten stan?

– Tak.

– Przykro mi, człowieku, niczego takiego nie widzę.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, drzwi otworzyły się z impetem. Wypadła Linda. Miała na sobie słoneczną żółtą sukienkę, jednak nie wyglądała radośnie.

– Nie molestuj tego pana!

Policjant szkolny i facet z listą odwrócili się i popatrzyli na nią. Zeszła po schodach, chwyciła

mnie za rękę i przeciągnęła obok nich. Facet z listą odezwał się:

– Proszę pani...

Ostrzegawczo podniosła palec.

– Ani słowa! Ten pan tutaj pracuje. Jest znanym doktorem! Ma tu pewne zadanie do wykonania, a ty mu w tym przeszkadzasz!

Tamten uśmiechnął się szeroko.

– Przepraszam, proszę pani, szukałem tylko jego nazwiska. Nie chciałem nikogo obrazić.

– Nie chciałeś obrazić?! Podałam waszym ludziom jego nazwisko! Obiecali, że nie będzie kłopotów.

Facet uśmiechnął się ponownie i wzruszył ramionami.

– Przepraszam.

– Co wy sobie w ogóle myślicie? Że to jakaś dyskoteka? – Spojrzała gniewnie na szkolnego policjanta. – A pan! Pan od czego tutaj jest. Żeby mu dotrzymać towarzystwa?

Zanim któryś z nich zdążył odpowiedzieć, byliśmy w środku. Trzasnęła drzwiami.

– Chryste! Wiedziałam, że to się tak skończy! – Wciąż ścisnęła mnie za ramię, gdy szliśmy szybko korytarzem.

– Co się dzieje? – spytałem.

– DeJon Jonson. Wybrał nas i zaszczycił swoją obecnością. To dla biednych dzieci, które padły ofiarą tak strasznego wydarzenia.

– Sam Dreszczowiec we własnej osobie?

– W całym blasku swojej sławy. I ze swoją świtą. Z muzykami, akustykami, agentami prasowymi, armią goryli, z całą bandą bliżej nieokreślonych typów, których, sądząc z wyglądu, powinno się zaciągnąć do ośrodka odwykowego. Że już nie wspomnę o ludziach z telewizji, radia i prasy z całego miasta oraz o kilku urzędnikach z kuratorium, którzy nie widzieli, jak wygląda szkoła od wewnątrz od czasów Eisenhowera!

Zatrzymała się, poprawiła sukienkę, przygładziła włosy.

– I oczywiście nasz drogi radny Latch. To on nakręcił całą sprawę.

– Latch?

Przytaknęła.

– To bez wątpienia wynik powiązań tego lekkoducha ze światem show biznesu. Ona też tu jest. Głaszcze dzieci po głowach i nosi na szyi kamyk, który wystarczyłby do zapłacenia za wszystkie obiady szkolne przez cały rok.

– Diamenty rewolucjonistki?

– Kalifornijskiej rewolucjonistki. Mój tato mówił na nich cadillacowe komuchy. Boże, oszczędź mi takich poniedziałkowych niespodzianek.

– Nikt cię nie uprzedził?

– Nie.

– Niewiele sobie robi z tego, co mu powiedziałem. – Kto?

– Latch. Wtedy, gdy wpadł, żeby grać na organkach, rozmawiałem z nim i uprzedzałem, by nie robił żadnych niespodzianek. Powiedział, że przyjął do wiadomości i wszystko przemyśli.

– Och, oczywiście, że przyjął do wiadomości. Tylko że nic sobie z tego nie robi.

– Kiedy się dowiedziałaś?

– Jeden z urzędasów z kuratorium zostawił mi wiadomość na sekretarce wczoraj wieczorem, o dziesiątej. Okazałam się na tyle nieobowiązkowa, że byłam wtedy z tobą i odsłuchałam ją dopiero dziś rano. Miałam masę czasu, żeby się do tego przygotować, prawda? Dopiero przed chwilą udało mi się złapać Latcha. Powiedziałam mu, że to może mieć bardzo zły wpływ na dzieci. W ogóle się tym nie przejął. Odparł, że sprowadzenie gwiazdy na miarę DeJona nie zdarza się codziennie; a to niezwykła gratka dla dzieci.

– Niezwykła gratka dla niego – powiedziałem. – Nakręci, dla potrzeb swojej następnej kampanii wyborczej, kilka kilometrów filmu przedstawiającego szczęśliwe twarze.

Mruknęła jak lwica, odstrasżająca myśliwych od swoich dzieci.

– Wiesz co, najbardziej wkurza mnie ten niedzielny telefon ze śródmieścia. To chyba historyczny precedens. Na ogół trudno jest się doprosić, żeby przyjęli jakąś wiadomość nawet w czasie godzin urzędowania. Kiedy zamawiam podręczniki czy żebrzę o pieniądze na wycieczki szkolne, takie sprawy zajmują im wieczność. Ruszają się jak muchy w smole. Ale w tym przypadku potrafią działać jak rakiety.

– Rock and roll wiecznie żywy – powiedziałem. – Nawet przysłali ci z powrotem twojego wartownika.

Spojrzała z niechęcią.

– Szkoda, że nie widziałeś, jak to wszystko wyglądało. O siódmej przyjechała ekipa z wytwórni płytowej i stolarze z dzielnicy. W ciągu zaledwie godziny ustawili na podwórku wielką estradę. System nagłaśniania, te wszystkie frędzle na płotach, wszystko. Nawet wydrukowali program – możesz w to uwierzyć!? Pomarańczowy druk na srebrnym, błyszczącym papierze. To musiało kosztować majątek. Wszystko gotowe w okamgnieniu. Latch wygłosił mowę. Potem Jonson włączył się do akcji. Zaczął rzucać dzieciom papierowe kwiatki i czmychnął do oczekującej limuzyny. Cały ten cyrk został sfilmowany na potrzeby wieczornych wiadomości i prawdopodobnie zostanie wykorzystany w następnym rockowym teledysku DeJona. Jego ludzie przyszli do klas i rozdawali dzieciom formularze zgody na emisję, żeby zabrały je ze sobą do domu.

– Megaplatynowa płyta i do tego pokojowa Nagroda Nobla – powiedziałem. – A co będzie ze spotkaniem z rodzicami?

– Rodzice są, chociaż miałam masę kłopotów, żeby przekonać goryli DeJona, żeby ich wpuścili bez rewizji osobistej. Przez cały poranek musiałam pilnować drzwi. Oczywiście, gdy ludzie Latcha zmiarkowali, kto się tu zjawia, niemal rozwinęli przed nimi czerwony chodnik. Robili im zdjęcia z Latchem, przydzielili na koncercie miejsca w pierwszym rzędzie.

– Jak matki na to zareagowały?

– Najpierw wydawały się zdezorientowane. Ale szybko się w to wciągnęły – przez godzinę mogły się czuć ważnymi osobistościami. Nie wiem, czy nie będą zbyt rozkojarzone, żeby rozmawiać teraz o problemach swoich dzieci. Przykro mi.

Uśmiechnąłem się.

– Będą rozkojarzone nawet w obecności sławnego doktora?

Zaczerwieniła się.

– Dla mnie jesteś sławny. To rodzaj sławy, który jest istotny.

Doszliśmy do jej gabinetu. Otworzyła go i powiedziała:

– Alex, wiem, że się powtarzam, ale jaki wpływ na psychikę dzieci może mieć coś takiego?

– Miejmy nadzieję, że zabawią się trochę i szybko wrócą do swoich stałych zajęć. Największe ryzyko stanowią emocje. Kiedy ten kołowrót się skończy, popadną w depresję, gdyż dzień powszedni wyda im się nudny. Widziałem często takie objawy, gdy pracowałem w szpitalu. Sławy wpadały odwiedzić biedne chore dzieci i przy okazji zrobić sobie z nimi parę zdjęć, potem znikwały równie szybko, a dzieci zostawały ze swoim bólem, chorobami i z nagłą ciszą na oddziałach, która naprawdę była ciężka do zniesienia. Dekompresja. Zacząłem to uważać za przypadłość psychologiczną.

– Wiem, co masz na myśli – powiedziała. – To samo dzieje się po jednodniowej wycieczce szkolnej. Ma im to sprawić przyjemność, a po powrocie są osowiałe.

– Właśnie. Dlatego tyle dziecięcych imprez urodzinowych kończy się łzami. Trzeba jeszcze wziąć

pod uwagę, że całe to zamieszanie i obcy – politycy, prasa – może spowodować, że przypomną sobie to wszystko, co się tu działo.

– Strzelaninę? Boże!

– Niektórym może to przyjść na myśl i zdenerwować je.

– Świetnie, nie ma co – rzekła. – Co mam zrobić?

– Uważaj, czy któreś nie stało się nadpobudliwe, szczególnie wśród młodszych. Kiedy wszystko się uspokoi, postaraj się znowu przyzwyczaić je do rutynowego życia szkolnego. Utrzymuj dyscyplinę, ale bądź elastyczna. Może zechcą porozmawiać o koncercie, wyrzucić z siebie podniecenie i ewentualny strach, który mógł się u nich pojawić. Jeśli zauważysz jakieś niepokojące reakcje, wiesz, gdzie mnie szukać.

– Stajesz się tu niezbędny, doktoru.

Uśmiechnąłem się.

– Mam skryte powody.

Odwzajemniła uśmiech, ale spuściła wzrok.

– O co chodzi? – spytałem.

– Niby mam być tu za wszystko odpowiedzialna, ale czuję się... mało ważna.

– To jest jednorazowe wydarzenie, Lindo. Jutro znów będziesz miała nad wszystkim kontrolę. Ale masz rację, to podłe. Powinni cię uprzedzić.

Znów uśmiechnęła się smutno.

– Dzięki za wsparcie.

– Skryte powody.

Tym razem uśmiechnęła się radośnie.

Wzięła mnie za rękę, wprowadziła do gabinetu, zamknęła drzwi na zasuwkę, objęła mnie ramionami i pocałowała długo i mocno.

– Proszę – oświadczyła. – Mój własny wkład w nadprogramową ekscytację.

– Zauważyłem – odparłem, łapiąc oddech. – I cieszę się z niego.

Pocałowała mnie ponownie. Weszliśmy do jej pokoju. Muzyka dobiegająca z podwórka grzmiała poprzez ściany.

– Tutaj masz listę rodziców. – Wręczyła mi kartkę papieru. Muzyka umilkła. Jej miejsce zajął wzmocniony, odbijający się echem głos.

– Zaczniemy igrzyska – powiedziała.

* * *

Staliśmy z tyłu podwórka, obserwując ponad setkami głów Gordona Latcha.

Stał na mównicy pośrodku estrady, wymachując swoją harmonijką. Mównica była z wypolerowanego drewna orzechowego, opatrzona herbem miasta. Estradę zbudowano z potężnych desek. Za nią znajdowała się rozległa ściana z czarnego jedwabiu, która wyglądała jak plama na tle czystego, błękitnego nieba. Masa sprzętu nagłaśniającego, ale brak instrumentów. Nie było również muzyków. Jedyne dziennikarze tłoczący się ze wszystkich stron, filmujący, nagrywający, robiący notatki. I mała armia potężnych osobników w pomarańczowych koszulkach, którzy obserwowali teren. Część tej Byczej Brygady stała na estradzie, inni na poziomie widowni, wszyscy mieli krótkofalówki. Po sposobie, w jaki przyglądali się i obserwowali tłum, można by sądzić, że strzegą klejnotów koronnych.

Latch uśmiechnął się, pomachał, zagrał do mikrofonu kilka wysokich dźwięków na harmonijce i powiedział coś o radości życia. Jego słowa odbiły się echem na szkolnym boisku i zamarły gdzieś w wypieszonych ulicach Ocean Heights. Na lewo od podium ustawiono rząd dziesięciu składanych krzeseł. Osiem z nich było zajętych przez kobiety i mężczyzn w średnim wieku, elegancko ubranych. Gdyby nie aparatura nagłaśniająca i kręcący się z tyłu Pomarańczowi Faceci, mogli wyglądać jak na posiedzeniu zarządu w jakiejś firmie.

Na dwóch miejscach najbliższym podium siedział Bud Ahlward, ubrany w ten sam brązowy garnitur, który miał na sobie w dniu, kiedy zastrzelił Holly Burden, i szczupła, atrakcyjna kobieta ze ścięowanymi włosami koloru kawy z mlekiem, mocno opaloną twarzą i ustami tak zaciśniętymi, że wyglądały jak szew.

Pani Latch. Dawniej Miranda Brundage. Gdy spojrzałem na nią, przypomniałem sobie, że lata sześćdziesiąte to zamierzchna przeszłość. A może w ogóle ich nie było? Miała na sobie dwuczęściowy, skórzany strój z wypchanymi ramionami, obsyty złotą lamówką. Do tego diamentowe kolczyki i wspomniany przez Linde kamień. Zawieszony na łańcuszku klejnot, który nawet z takiej odległości odbijał tyle światła, że mógłby rozjaśnić salę balową. Zgrabne nogi obleczone w szary jedwab skrzyżowała w kostkach. Stopy odziane w sandały na wysokich obcasach, które z pewnością były ręcznie robione we Włoszech. Przenosiła wzrok od publiczności do swojego męża.

Nawet z tej odległości wyglądała na znudzoną. Przypomniało mi się, że kiedyś podobno chciała zostać aktorką. Albo nie miała talentu, albo nie zadała sobie trudu, żeby go wykorzystać.

Latch popisывał się swoją elokwencją:

– ... Więc powiedziałem DeJonowi ...owi ...owi ...owi – odbijało się echem. – Dla wszystkich jesteś wzorem ...orem ...orem ...orem. Twoje teksty niosą otuchę, to są teksty dnia dzisiejszego i dzieciaki z Hale’a potrzebują cię.

Tu był przewidziany aplauz.

Latch przerwał i czekał.

Dzieci nie załapały, ale garniturki i pomarańczowi goryle tak. Odgłos dwudziestu par klaszczących dłoni był ledwo słyszalny.

Latch rozpromienił się, jakby zgotowano mu owację na jakimś ważnym zgromadzeniu, zdjął okulary w tanich oprawkach i poluzował krawat. Nie przejął od swojej żony zamiłowania do wyszukanego stylu. Był ubrany w pomięty sztruksowy garnitur, niebieską koszulę i granatowy, pleciony krawat.

– De Jon się zgodził! – Podniósł pięść.

– Kuratorium się zgodziło! – Uderzył w powietrze.

– Więc zorganizowaliśmy to dla was! – Uniósł obie ręce. Palce rozwarł w symbolu zwycięstwa „V”.

– ... I oto on, chłopcy i dziewczęta: Dreszczowiec. Najwspanialsze bożyszcze tłumów. DeJoon Jonson!

Grzmiące akordy wydobyły się z głośników jak lawina: dudniące, ogłuszające, przerażające. Garniturki na estradzie wydawały się zaskoczone, ale pozostały na miejscach. Pomarańczowe Koszulki podeszły do nich i dotknęły oparcie krzeseł. Jakby pod kierownictwem choreografa, biurokraci wstali i weszli rzędem na scenę. Miranda Latch i Ahlward trzymali się z tyłu. Ona klaskała zawzięcie, jakby ćwiczyła aerobik, co zupełnie nie szło w parze z wyrazem jej oczu.

Latch opuścił mównicę i wziął żonę za rękę. Machając do publiczności, oboje zeszli ze sceny. Ahlward podążył za nimi, znudzony, z jedną ręką w kieszeni.

Cała trójka zajęła miejsca w pierwszym rzędzie, pośród grupki skromnie ubranych kobiet. Wszystkie matki klaskały. Nie mogłem dojrzeć ich twarzy.

Muzyka stała się jeszcze głośniejsza. Linda wykrzywiła się.

– Moment – powiedziałem i zacząłem przedzierać się do przodu, przeciskając się obok ekip dziennikarskich i sprzętu telewizyjnego.

W końcu dotarłem na tyle blisko, że byłem w stanie coś dojrzeć. Setki twarzy. Niektóre nic nie wyrażały, niektóre wydawały się zdziwione, inne zaś pałały ekscytacją. Zerknąłem w stronę pierwszego rzędu. Matki wyglądały na zmieszane, ale zadowolone. Nieoczekiwana sława.

Latch mnie zauważył. Uśmiechnął się i nadal pstrykał palcami w rytm muzyki. Bud Ahlward podążył za wzrokiem szefa. Nasze oczy spotkały się, po czym odwrócił spojrzenie. Miranda również pstrykała palcami. Robiła to tak radośnie, jakby wykonywała przymusowe ćwiczenia fizyczne.

Spojrzałem znów na dzieci. Muzyka stawała się coraz głośniejsza. Dostrzegłem małą dziewczynkę z pierwszej klasy. Zasłaniała uszy dłońmi.

Przesunąłem się, żeby przyjrzeć się dokładniej. Dziewczynka miała zaciśnięte oczy i drżały jej usta. Głośniki ryknęły. Otworzyła buzię, lecz jej krzyk zginął w hałasie. Nikt tego nie zauważył. Wzrok wszystkich, również jej nauczyciela, był skierowany na estradę.

Wróciłem do Lindy i zdołałem, gestykulując i krzycząc jej do ucha, powiedzieć, co się dzieje. Spojrzała na dziewczynkę, która krzyczała jeszcze głośniejsze. Szturchnęła mnie i wskazała dwójkę innych dzieci z młodszych klas, które wyglądały dość niepewnie. Też zakrywały sobie uszy. Płakały.

Linda spojrzała gniewnie i ruszyła przed siebie, łokciami odsuwając operatorów kamer i pomarańczowych porządkowych, aż dopchała się do nauczyciela dziewczynki. Szepnęła mu coś, skrywając usta ręką i wskazała dyskretnie. Usta nauczyciela ułożyły się w „O”. Zganiony, zaczął znów zwracać uwagę na swoją klasę.

Dostrzegłem sześcioro albo siedmioro płaczących dzieci. Czwooro z nich łatwo poznałem, ponieważ wcześniej zaliczyłem ich do grupy wysokiego ryzyka. Linda też je zauważyła. Podeszła do każdego z nich, nachyliła się, pogłaskała po głowie, powiedziała coś do ucha. Brała je za rękę i proponowała opuszczenie koncertu.

Cztery potrząsnęły przecząco głowami, trójka przytaknęła. Zabrała te, które się zgodziły, i zaprowadziła do budynku.

Poszedłem za nią. Trwało chwilę, zanim przedarłem się do szkoły. Linda była w głównym korytarzu. Siedziała na podłodze w kółku razem z dziećmi. Uśmiechała się, mówiła coś, trzymając pacynkę, i udawała, że to lalka zwraca się do nich. Dzieci się uśmiechały. Nie zauważyłem żadnych oznak rozpacz.

Podszedłem kilka kroków. Podniosła wzrok.

– Patrzcie, dzieci. Doktor Delaware.

– Cześć – powiedziałem.

Nieśmiało pomachały do mnie.

– Czy chcecie o czymś porozmawiać z doktorem Delaware?

Cisza.

– Chyba wszystko mamy pod kontrolą, doktorze Delaware.

– To świetnie, doktor Overstreet – odparłem i wyszedłem z powrotem na zewnątrz.

Mimo że muzyka stała się głośniejsza, na scenie nikogo nie było. Żadnego muzyka, nawet żadnego technika od syntezatorów. Zdałem sobie sprawę, że będzie to występ z playbacku. Sfabrykowana spontaniczność.

Przez kilka chwil nic się nie działo. Następnie czarne tło rozpałiło się jak ogromny pomarańczowy płomień. Usłyszałem okrzyki zdziwionej publiczności. Gdy płomień się zbliżył, okazało się, że to ogromna płachta ciężkiego atłasu, wleczona po scenie. Pod atłasem coś się ruszało, pulsowało i rosło w miarę zbliżania się materiału. Jak smok bez głowy i ogona. Tani chwyt, ale widowiskowy.

Płachta podskakiwała i kręciła się pośrodku estrady. Dźwięk organów wzrastał się, cymbały tłukły zawzięcie. Płachta spadła i ukazało się sześciu potężnych mężczyzn, z obnażonymi torsami, ubranych w pomarańczowe obcisłe spodnie i srebrne kozaki. Trzej Murzyni, po lewej, patrzyli groźnie spod sterzących prostych żółtych włosów. Po prawej trzech osobników o nordyckiej urodzie, z kruczoczarnymi fryzurami afro.

Cała szóstka stanęła na rozstawionych nogach i zaczęła przybierać pozy imitujące ćwiczenia ze sztangielkami. Pomiędzy nimi pojawił się bardzo wysoki, bardzo chudy mężczyzna w wieku dwudziestu kilku lat, o ciemnej karnacji, skośnych azjatyckich oczach i pomarańczowych, kręconych, sięgających ramion włosach, które wyglądały, jakby zostały natłuszczone smarem maszynowym. Szerokie ramiona, pośladki nastoletniego chłopaka, długie ręce i nogi, szyja, jak z obrazów Modiglianiego i kości policzkowe jak u nieuleczalnie chorego modela „Vogue”.

Miał na sobie jaskrawoniebieskie okulary w oprawkach w tygrysie paski, zakrywających twarz, obcisły kombinezon sportowy ze srebrnego jedwabiu, wyszywany pomarańczową nitką i ozdobiony sztucznymi szafirami, ułożonymi w barokowe wzory. Na dłoniach błyszczały rękawiczki bez palców z błękitnego atłasu, a na stopach srebrne kozaki z pomarańczowymi sznurówkami.

Pstryknął palcami. Atleci wycofali się, zabierając atłasową płachtę.

Muzyka nabrała szybszego tempa. Jonson kroczył po scenie, podnosząc wysoko kolana jak paradujący werblista. Wykonał skok w stylu Niżyńskiego, dał krótki popis stepowania i zakończył wszystko szpagatem, który zamienił go w srebrne, odwrócone „T”, i sprawił, że aż zabołało mnie w kroku.

Nagle zrobiło się cicho i z głośników dobiegało jedynie parę wysokich dźwięków. Kilkoro starszych dzieciaków zerwało się z miejsc. Podskakiwały, klaskały i wrzeszczały „DeJon! DeJon! Dreszczowiec! Dreszczowiec! DeJon! DeJon!”.

Pomarańczowowłosy mężczyzna wstał i uśmiechnął się szeroko. Zrobił kilka kroków na palcach, kilka na piętach, zaszurał, przykucnął, wykonał podwójne salto do tyłu, stanął na głowie, przeszedł kilka szybkich kroków na rękach, skoczył z powrotem na nogi, napiął po kolei bicepsy i obnażył zęby w uśmiechu.

Muzyka znowu zaczęła grać; zmodyfikowany rytm reggae, podkreślony ostrym dźwiękiem

szarpanych strun.

Otworzył usta tak, że można by mu było obejrzyć migdałki. Z głośników popłynął, niemal szeptem, tenorowy głos:

Kiedy nadchodzi noc,

I wypełzają straszydła,

I straszą stwory,

Nad murami zamczyska...

Westchnął. Przyłożył dłoń do ust z przesadnie udawanym strachem.

Wtedy istnieję naprawdę.

Wtedy żyję.

Jestem twoim człowiekiem,

Tak wiele ci mogę zaofiarować.

Jestem Dreszczowcem. Kochaj swojego Dreszczowca.

Kochanie, jestem twoim Dreszczowcem.

Musisz kochać Dreszczowca.

Słodkiego Dreszczowca. Pocałuj Dreszczowca.

Spojrzał namiętnie. Zmienił rytm, zakręcił brzuchem, skoczył do tyłu, popędził do przodu, zatrzymał się ślizgiem na skraju estrady, przewrócił oczami. Na widowni podniósł się wrzask, niebywały aplauz. Gdy Jonson znów zaczął ruszać ustami, jego szept zmienił się w ochrypły baryton:

I kiedy gniewne węże

Napotkają ogniste ropuchy,

A skorpiony tańczą walca

Na pogrzebowym stosie,

Wtedy oddycham.

Wtedy staję się jednością.

Chcę kochać

Twoją śmiertelną duszę

Gdyż jestem Dreszczowcem.

Kochaj swojego Dreszczowca...

Urocze, pomyślałem.

Szukałem u dzieci oznak niepokoju. Wiele z nich kołysało się i podrygiwało, śpiewało razem z nim, wykrzykiwało imię Jonsona. Przyjmowali piosenki tak, jak było to zaplanowane – jako falę dźwięku, bez zwracania uwagi na tekst. Nagle znikąd pojawił się deszcz pomarańczowych i srebrnych kwiatów, delikatnych jak motyle. Wbiegli znowu atleci z pomarańczową płachtą, a Jonson szybko zniknął ze sceny. Całość trwała mniej niż dwie minuty.

Latch wszedł z powrotem na estradę i dziękował, lecz nikt go nie słyszał w rozentuzjasmowanym tłumie. Dziennikarze przemknęli obok niego i rzucili się w stronę płachty. Latch został na estradzie sam, porzucony. Zauważyłem wtedy jego rozdrażniony, rozkapryszony wzrok. Trwało to tylko sekundę. Latch znów się uśmiechał, machał ręką razem ze swoją żoną i Ahlwardem u boku.

W dalszych rzędach zaczęło wrzeć. Dzieci obrzucały się kwiatkami; nauczyciele usiłowali ustawić je w szeregu. Spojrzałem w stronę pierwszego rzędu i zobaczyłem matki, pozostawione same sobie, zdezorientowane. Państwo Latchowie i Ahlward stali niedaleko, otoczeni młodymi dziennikarzami, tymi samymi, którzy pojawili się tu w dniu strzelaniny. Latch w końcu dostawał to, czego potrzebował – wiele gratulacji. Rozkoszował się tym, cały czas strojąc telewizyjne miny. Nikt nie uczynił najmniejszego ruchu, żeby porozmawiać z matkami.

Zacząłem się przepychać w ich stronę, czekając, aż miną mnie całe klasy. Ekipy filmowe zwijały kable, które pełzały niebezpiecznie po ziemi i musiałem uważać, gdzie stąpać. Gdy byłem w odległości kilku stóp od Latcha, dostrzegł mnie, uśmiechnął się i pomachał. Jego żona również pomachała; Pawłówna postawiła jej szóstkę. Ahlward pozostał niewzruszony, z jedną ręką w kieszeni marynarki.

Latch powiedział coś do niego. Rudzielec podszedł do mnie i rzekł:

– Doktorze Delaware, radny Latch chciałby z panem porozmawiać.

– Ale mnie zaszczyt kopnął – mruknąłem.

Jeśli nawet mnie słyszał, nie dał tego po sobie poznać.

Rozdział dwudziesty drugi

Ruszyłem za nim, ale w ostatniej chwili skręciłem i podszedłem do matek. Latch znowu zrobił rozkapryszoną minę. Zastanawiałem się, ile czasu minęło od chwili, kiedy ktoś mu powiedział „nie”.

Kobiety nie bardzo wiedziały, co ze sobą zrobić. Kilka z nich trzymało papierowe kwiaty, bojąc się je wyrzucić.

Podszedłem do nich i przedstawiłem się. Zanim zdążyły odpowiedzieć, jakiś głos za mną zagrział:

– Doktorze Delaware. Alex.

Nie miałem wyboru, musiałem się odwrócić. Radny z powrotem uśmiechnął się jak aktor. Jego żona jednak miała już tego wyraźnie dosyć. Założyła okulary przeciwsłoneczne – miedzianozłote, świetnej marki, z przyciemnianymi szklami w lawendowo-niebieskim odcieniu. Stali razem, ale zdawali się od siebie niesłychanie odlegli. Ahlward i grupka mężczyzn odzianych w garnitury stali kilka jardów z tyłu.

Latch wyciągnął rękę.

– Miło cię znowu widzieć, Alex.

– Witam pana.

– Proszę cię, mów mi Gordon.

Uścisnął mi dłoń tak zdecydowanie, jakby pompował wodę.

Odwróciłem się znów do matek, uśmiechnąłem się i powiedziałem swoim kulawym hiszpańskim:

– Proszę mi wybaczyć na chwilkę.

Od wzajemniły uśmiech, wciąż zdezorientowane.

– Alex, poznaj moją pierwszą żonę, Mirandę – powiedział Latch, chichocząc. Jej uśmiech miał w sobie coś morderczego.

– Randy, to jest doktor Alex Delaware, psycholog, o którym ci opowiadałem.

– Miło mi pana poznać, doktorze. – Podała mi koniuszki czterech palców i cofnęła je szybko. Była prowokująco oficjalna. Latch posłał jej szybkie, nerwowe spojrzenie, ale zignorowała je. Z bliska zdawała się mniejsza; kruche kostki, łamliwy głosik. Starsza od męża o dobre pięć lat. Zdradzała to jej skóra. Ciemna opalenizna i staranny makijaż nie były w stanie skryć drobnych zmarszczek i plam

wątrobowych. Usta miała szerokie, o ładnym, zmysłowym wykroju, ale zaczęły się już marszczyć. Nos wąski i krótki, z szerokimi dziurkami – prawdopodobnie po zabiegu plastycznym. Podbródek naznaczony dziobami. Diamenty były wspaniałe, ale w kontraście z nimi ich właścicielka wyglądała nieciekawie.

– Randy zawsze się interesowała psychologią – powiedział Latch. – Oboje się nią interesowaliśmy. – Objął ją ramieniem. Zesztywniała i uśmiechnęła się jednocześnie.

– To prawda, doktorze – odezwała się. – Jestem osobą, która lubi mieć kontakt z ludźmi. Organizujemy – Gordie i ja – okręgowy komitet zdrowia psychicznego. Obywatele, którzy zechcą, mogą pomóc osobom psychicznie chorym. Byłabym rada, gdyby pan przyłączył się do naszego komitetu doradczego.

– Czuję się zaszczycony, pani Latch, ale w tej chwili mam bardzo wypełniony czas – odparłem.

Jej uśmiech wyparował, a dolna warga prawie zniknęła. Jeszcze jedno zepsute dziecko. Mała dziewczynka, która dąsa się na tatusia. Jednak niemal natychmiast się zreflektowała, serwując mi tekst w stylu podlotka:

– Tego jestem pewna – powiedziała beztrąsko. – Ale gdyby zmienił pan zdanie...

– Powiadom nas, Alex – wtrącił Latch. Rozpostarł ręce, jakby chciał ogarnąć boisko. – Świetne to było, co? Dzieciakom naprawdę się podobało.

– Urządził niezłe przedstawienie.

– To coś więcej niż przedstawienie, Alex. DeJohn jest pewnym zjawiskiem. Naturalnym tworzywem jedynym w swoim rodzaju. Jak złoty orzeł. Mieliśmy szczęście, że udało nam się go ściągnąć. To było kapitalne. Wszystko to zawdzięczamy Randy. – Znow ścisnął ramię żony i potrząsnął nim lekko. Zmusiła się do jeszcze jednego uśmiechu.

– Lecznicza siła muzyki – powiedział Latch. Powinniśmy dawać więcej takich pokazów w innych szkołach. To się powinno odbywać regularnie. Żeby przekazać dzieciom pozytywne przesłanie. Żeby wzmocnić ich wiarę we własne możliwości.

„Gniewne węże. Ogniste ropuchy”.

– Spektakl był dość odważny, Gordon – powiedziałem. – Niektóre dzieci się przestraszyły.

– Przestraszyły? Nie zauważyłem.

– Garstka, przede wszystkim z młodszych klas. Ten cały zgiełk, zamieszanie. Doktor Overstreet zabrała je do budynku.

– Garstka – powtórzył, jakby szybko kalkulował, jaki to będzie miało wpływ na kampanię wyborczą. – Cóż, to chyba nie tak źle, biorąc pod uwagę całokształt. Zawsze, gdy zbiera się dużą grupę dzieci, znajdzie się kilka, które zareagują na to zbyt emocjonalnie, prawda?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodał:

– Pewnie oznacza to następny wykład na temat koordynacji działań, hmm? Może tym razem mi darujesz? Doktor Overstreet już mi udzieliła nagany przed koncertem.

Obejrzałem się na matki i rzekłem:

– Miło było z państwem rozmawiać, ale naprawdę muszę już iść.

– Ach, twoje spotkanie z rodzicami, tak? Wiem o nim, bo gdy zobaczyłem, jacy są zaniepokojeni, podszedłem do nich i dowiedziałem się, kim są. Dopilnowaliśmy, żeby poczuli się jak w domu.

Jego relacja nieco się różniła od wersji Lindy.

– Świetnie – ucieszyłem się nieszczerze.

Podszedł bliżej i położył mi dłoń na ramieniu.

– Słuchaj, uważam, że to, co robisz, jest wspaniałe. Ostatnim razem nie miałem okazji ci tego powiedzieć. Postrzeganie całej rodziny jako komórki. Wychodzenie z terapią do społeczeństwa. Robiliśmy to kiedyś w Berkeley. Wtedy nazywało się to psychiatrią uliczną i sławy psychiatryczne wciąż oskarżały nas o działalność wywrotową. Oczywiście chodziło im o to, że czuli się zagrożeni wyzwaniem rzuconym pewnemu modelowi medycznemu. Nie wątpię, że i ty przeszedłeś przez takie doświadczenia. A starzy lekarze strofowali cię pewnie za nowe metody?

– Staram się trzymać z dala od polityki, Gordon – powiedziałem. – Miło mi było panią poznać, pani Latch.

Odwróciłem się z zamiarem odejścia. Przytrzymał rękę na moim ramieniu i zatrzymał mnie. Obok przeszedł operator kamery. Latch uśmiechnął się i odczekał, aż tamten nas minie. Zobaczyłem w okularach kamerzysty swoje odbicie. Podwójne odbicie. Dwóch rozzłoszczonych facetów, którzy czekają, aż sobie pójdzie.

– Wiesz – zaczął – że nigdy nie wróciłem, żeby znów porozmawiać z dziećmiakami.

– To nie jest konieczne – odparłem. – Wydaje mi się, że zrobiłeś wystarczająco wiele.

Próbował wyczytać coś w mojej twarzy.

– Dzięki. To było spore przeżycie, zorganizowanie tego w tak krótkim czasie. Mimo to doktor Overstreet kręci nosem.

Patrzyłem na niego rozzłoszczony.

– Ach, to uciążliwe życie współczesnego świętego – odparłem. – Którą stację telewizyjną powiadomiłeś najpierw?

Pobladł i jego piegi stały się bardziej wyraziste. Miał wyraz twarzy faceta w nowych białych lakierkach, który właśnie wdepnął w psie gówno. Ale nadal się uśmiechał i wypatrywał kamer. Otoczył mnie ramieniem i odciągnął od swojej żony. Dla kogoś patrzącego z boku mogliśmy być dwójką kumpli, opowiadających sobie nieprzyzwoity kawał.

Ponad jego ramieniem dostrzegłem Ahlwarda, który stał nieruchomo i przyglądał mi się uważnie.

Latch ściszył głos tak, żeby nikt poza mną go nie słyszał:

– Żyjemy w bezwzględny świecie, Alex. Nie dokładaj swojej cegiełki do panującego powszechnie cynizmu.

Strząsnąłem jego rękę.

– Cóż mogę rzec, Gordon? Czasami nie można się przed tym ustrzec.

Odwrociłem się do niego plecami i poszedłem robić, co do mnie należało.

* * *

Zaprowadziłem matki do budynku i zdałem sobie sprawę, że nie mam pojęcia, gdzie ma się odbyć terapia grupowa. Nic tak nie wpływa na zdobycie zaufania do terapeuty, jak kilkuminutowe błakanie się po budynku. Ale gdy zbliżyliśmy się do gabinetu Lindy, wyszła z niego i poprowadziła nas do sali gimnastycznej. Domyśliłem się, że jest to sala, którą widziałem pierwszego dnia w telewizji: dzieci stłoczone na parkiecie, kamery przemieszczające się z chirurgicznym okrucieństwem. W rzeczywistości pomieszczenie wydawało się mniejsze. Telewizja miała tę właściwość, że potrafiła zniekształcać rzeczywistość albo pomniejszać jej znaczenie.

Pośrodku wokół niskiego stołu, przykrytego papierowym obrusem i zastawionego herbatnikami oraz napojami owocowymi, umieszczono plastikowe krzesła.

– Wszystko w porządku? – spytała Linda.

– Doskonale.

– Nie jest to najbardziej przytulne miejsce, ale ludzie Jonsona zajęli wszystkie puste klasy i zostało tylko to.

Jakoś się wszyscy usadowiliśmy. Matki wciąż wyglądały na przestraszone. Przez kilka pierwszych minut częstowałem je herbatnikami i napełniałem kubeczki sokiem. Rozmawiałem luźno, mając nadzieję, iż pozwoli im to zrozumieć, że sam troszczę się o ich dzieci, a nie jestem kolejnym przedstawicielem elit.

Wyjaśniłem najpierw, kim jestem, i zacząłem mówić o dzieciach – jakie są dobre, silne i że dobrze sobie ze wszystkim radzą. Dając do zrozumienia, bez przymilania się, że takie silne dzieci

muszą mieć kochających i troskliwych rodziców. Do większości docierało, co mówiłem. Dla kilku osób barierę stanowił język, prosiłem więc Linde o przetłumaczenie. Biegłe posługiwała się hiszpańskim.

– Czy chciałyby panie o coś zapytać? – Nie chciały.

– Oczywiście czasami – powiedziałem – nawet silne dziecko może się czegoś przerazić. Wspomnienie tego wraca w snach i dziecko bardziej trzyma się mamy, nie chce iść do szkoły.

Odpowiedziały mi pełne zrozumienia spojrzenia.

– Jeśli coś takiego miało miejsce, wcale nie znaczy, że z waszym dzieckiem coś jest nie w porządku. To jest najzupełniej normalne.

Kilka westchnień ulgi.

– Ale takie złe wspomnienia można... zażegnać. Wyleczyć. – Na studiach wpajano mi, żeby nie używać słowa „wyleczyć”. Linda powiedziała:

– *Mejor. Curado.*

Kilka kobiet pochyliło się.

– Matki najlepiej potrafią pomóc swoim dzieciom – ciągnąłem. – Są ich najlepszymi nauczycielami. Są lepsze niż lekarze, lepsze niż ktokolwiek inny. Ponieważ matka zna swoje dziecko najlepiej. Dlatego najwłaściwszym sposobem wyleczenia złych wspomnień jest pomoc matki.

– Co możemy zrobić? – spytała kobieta wyglądająca jak dziewczynka, z gęstymi czarnymi brwiami i długimi hebanowymi włosami. Miała na sobie różową sukienkę i sandałki. W jej angielskim niemal nie było słyhać obcego akcentu.

– Możecie uświadomić swoim dzieciom, że powinny wam opowiadać o tym, czego się boją.

– Kiedy mój Gilberto mówi o tym, boi się jeszcze bardziej – stwierdziła.

– Tak to prawda. Na początku strach jest jak fala.

Długowłosa kobieta przetłumaczyła moje słowa.

Inne, zdziwione spojrzały po sobie.

– Na początku – wyjaśniłem – gdy dziecko styka się z czymś, co je przeraża, strach narasta jak fala. Ale kiedy wchodzi do wody i pływa, zaczyna się przyzwyczajać, i fala wydaje się mniejsza. Jeśli wyciągniemy dziecko, kiedy fala jest wysoka, nigdy nie nauczy się pływać i będzie się bało. Jeśli damy mu szansę, by poczuło się silne, poczuło, że to ono kontroluje sytuację, poradzi sobie. A kiedy sobie radzi, czuje się lepiej.

Kobieta znów przetłumaczyła, co powiedziałem.

– Oczywiście, musimy chronić nasze dzieci – kontynuowałem. – Nigdy nie wrzucamy ich do wody. Zostajemy z nimi. Trzymamy je. Czekamy, aż są gotowe. Uczymy je radzić sobie z falą. Za pomocą miłości, rozmów, zabaw – dając dziecku pozwolenie na pływanie. Uczymy je pływać, najpierw kiedy są małe fale, bez pośpiechu, żeby dziecko się nie bało.

– Czasami – odezwała się długowłosa kobieta – niedobrze jest pływać. To bywa niebezpieczne – dodała po hiszpańsku. – *Muy peligroso*.

– To prawda. Chodzi o to...

– *El mundo es peligroso** [przyp: Świat jest niebezpieczny (hiszp.).] – dodała inna kobieta.

– Tak, może być niebezpieczny – odparłem. – Ale czy chcemy, żeby nasze dzieci zawsze się bały? Żeby nigdy nie pływały?

Kilka kobiet rzuciło mi spojrzenie pełne wątpliwości.

– Jak? – spytała kobieta, która wyglądała jak babcia, nie matka. – Jak to zrobić, żeby nie było niebezpieczne?

Wszystkie patrzyły na mnie, czekały na moje mądre słowa. Na lekarstwo.

Zwalczając uczucie niemocy, powiedziałem im to, co miałem zaplanowane. Proponowałem drobne środki zaradcze, prowizoryczne łątanie dziur. Jak prowadzić dziecko przez rozległe okrutne pustkowia.

* * *

Później, kiedy zostaliśmy z Lindą sami w jej gabinecie, spytałem:

– I co sądzisz?

– Sądzę, że poszło nieźle.

Siedziałem na kanapie w kształcie „L” i zrywałem suche liście z bluszczu rosnącego w doniczce.

– Nie daje mi spokoju to, że w zasadzie one mają rację – powiedziałem. Świat, w którym żyją, jest niebezpieczny. Co mogłem im powiedzieć? Udawać, że to mały raj i że mogą czuć się radośnie i bez troski?

– Robisz, co możesz, Alex.

– Czasami wydaje mi się, że to bardzo niewiele.

– A cóż to, zamieniamy się rolami? Gdy ja powiedziałam to samo tobie, wygłosiłeś małą tyradę na temat wpływu działania jednostki.

Wzruszyłem ramionami.

– Przestań, doktorku – zbeształa mnie. – Mazgajstwo ci nie przystoi.

Stała za mną i położyła mi dłoń na szyi. Jej dotyk był chłodny i kojący.

– Dlaczego nagle jesteś taki przygnębiony?

– Nie wiem. Pewnie złożyło się na to kilka rzeczy. – Rzeczy, które nie miały żadnego związku, ale wciąż siedziały mi w głowie. Zdjęcia z kartoteki policyjnej; mały chłopiec, który w tej chwili byłby już studentem. Problemy, o jakich nie chciałem rozmawiać.

– Denerwuje mnie, że Latch wyjdzie z tego wszystkiego pachnący jak lawenda. Dorwał mnie po koncercie i próbował odgrywać przed żoną Pana Czulego na Niedolę. Przez chwilę mu na to pozwoliłem, usiłując wytłumaczyć, że dzieciom nie jest potrzebne takie zamieszanie. Niektóre z nich nawet się wystraszyły podczas koncertu. W ogóle się tym nie przejął. Niemal oczekiwałem, że rozedrze koszulę na piersiach, a pod spodem będzie miał napis: **NAJWYRAŹNIEJ POMYLIŁEŚ MNIE Z KIMŚ INNYM. MNIE TO GÓWNO OBCHODZI.** Więc straciłem cierpliwość i dałem mu do zrozumienia, że wiem, iż chodzi mu jedynie o punkty w wyborach. To go zirytowało. Teraz jestem więc podwójnym agentem, pyskaczem. Szybko zyskałem przyjaciół po obydwu stronach.

Zacząła masować mi szyję.

– Więc nie jesteś politykiem. To ci się chwali. On jest szują. Zasłużył sobie na to.

– Jego żona chyba też mogłaby się z tobą zgodzić. Odnoszę niejasne wrażenie, że ich związek nie jest oparty na wielkiej miłości.

– Wiem, co masz na myśli – powiedziała. – Mnie też wydawała się jakaś zimna. Może ma taką samą koszulkę z napisem, nad cyckami z silikonu. Widziałeś ten kamień?

– Władza dla ludu – zaszydziłem.

– Dobrze mu tak, jeśli ona go nienawidzi za to, że ożenił się z pieniędzmi. Dobrze im tak obojgu. Cholerne cadillacowe komuchy. – Roześmiała się. – Nienawidzę, gdy tato ma rację.

Zapadła chwila ciszy.

– Tato. On jest moją falą, wiesz? Wciąż się zastanawiam, co z nim zrobić. Czy kiedykolwiek potrafię mu wybaczyć? Czy znów będzie dobrze, jak w rodzinie?

– Poradzisz sobie z tym.

– Jesteś tego pewien?

– Oczywiście. Jesteś bystrym dzieciakiem. Masz dobre instynkty.

– Bystrym dzieciakiem. Ach tak? – Przysunęła swoją twarz do mojej. – W tej chwili moje instynkty mówią mi, żeby zrobić coś lubieżnego w tym gabinecie.

– Jak już po wiedziałem...

– Jednakże – dodała, wstając – mój rozsądek, moje superego, przypomina mi, że mam pracę do wykonania i zebranie grona pedagogicznego za dwadzieścia minut.

– Och, kurczę – zachnąłem się i wstałem. Przyciągnęła mnie do siebie i objęliśmy się.

– Jesteś słodkim, słodkim mężczyzną – wyszeptwała. – I cieszę się, że pozwoliłeś, żebym widziała cię w podłym nastroju; że zaufałeś mi na tyle, żeby nie zgrywać ciągle Pana Idealnego.

Pocałowałem ją w szyję.

– Ta, jak jej tam było, chyba musiała zwariować, że cię puściła – dodała. – Nagle zeszywniała w moich ramionach. – Boże jakie głupoty wygaduję. Naprawdę nie potrafię utrzymać języka...

Uciszyłem ją kolejnym pocałunkiem. Kiedy się rozdzieliliśmy, powiedziałem:

– Chcę się z tobą spotkać wieczorem.

– Mam pracę domową.

– Zostaw ją. Napiszę ci usprawiedliwienie.

– Masz na mnie zły wpływ.

– Mam taką nadzieję.

Rozdział dwudziesty trzeci

Byłem w domu przed czwartą i odebrałem trzy wiadomości. Żadna z nich nie pochodziła od Howarda Burdena. Jedna była od jego ojca, z zapytaniem, czy skontaktowałem się już z Howardem, i dwie, zupełnie nieważne, od ludzi, chcących mi sprzedać jakieś rzeczy. Zignorowałem je i zadzwoniłem do sędziego Sądu Najwyższego o nazwisku Steve Hupp, z którym pracowałem przy kilku sprawach o prawa rodzicielskie. Zastałem go w sądzie. Chciał, żebym zajął się konsultacjami w sprawie o prawa rodzicielskie, toczącej się pomiędzy słynnym przedsiębiorcą i słynną aktorką.

– Zajmuję się samymi sławami, Alex – powiedział. – Ta dwójka to szczególnie cudowni ludzie. Ona twierdzi, że on jest psychopatycznym, ćpającym kokainę pederastą; on zaś twierdzi, że ona jest psychopatyczną, ćpającą kokainę nimfomanką. I chyba oboje mają rację. Dziecko jest w Szwajcarii, chcą, żebyś tam poleciał i wystawił opinię. Kiedy będziesz na miejscu, możesz trochę pojeździć na nartach, pokryją wszystkie koszty.

– Nie jeżdżę na nartach.

– To sobie kupisz zegarek. Albo otworzysz konto w banku. Na tej sprawie dużo zarobisz.

– Mają adwokatów na prawach wyłączności?

– Oboje. To się ciągnie już od roku.

– To chyba strasznie zagmatwana sprawa.

– Szczerze? Tak.

– Dzięki, ale się nie skuszę, Wysoki Sądzie.

– Myślałem, że się dasz namówić. Gdybyś zmienił zdanie, powiadom mnie. Możesz dać inne nazwiska, napisać scenariusz i się wzbogacić.

– Ty również, Steve.

– Właśnie to robię – powiedział. – Mój skrypt czytają teraz w wytwórni Universal – szacowny prawnik stawia wyzwanie systemowi. Idealna rola dla Michaela Douglasa. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, opuszczę ławę, i znajdę się na planie filmowym. – Roześmiał się. – Na pewno. Na razie muszę wracać do nieprzerwanej fali małżeńskich niesnasek. Powinieneś zobaczyć nasze rejestry wniesionych spraw. Jak to jest, że ludzie są tacy pochrzanieni, Alex?

– A skąd ja mam wiedzieć?

– Po to chodziłeś do szkoły, żebyś wiedział takie rzeczy.

– Może to na skutek złej jakości wody, Steve. Albo zbyt małej ilości odpowiednich składników odżywczych.

* * *

O 16.45 zadzwoniłem do Mahlona Burdena. Zgłosiła się jego automatyczna sekretarka, więc powiedziałem, że wciąż próbuję skontaktować się z Howardem. Następnie zadzwoniłem do firmy Pierce, Sloan and Marder i czekałem, aż telefonistka połączy mnie z gabinetem Howarda Burdena.

Usłyszałem męski głos; niski i niemrawy.

– Burden. Słucham.

– Pan Burden?

– Tak, o co chodzi?

– Mówi Alex Delaware. Dzwoniłem wcześniej.

– Tak, wiem, kim pan jest.

– Czy dzwonię nie w porę?

– Zawsze jest nie w porę.

– Pański ojciec sugerował, żebym z panem porozmawiał. O Hol...

– Wiem, o co chodzi.

– Umówmy się zatem...

– Ile on panu płaci?

– Nie omawialiśmy tej kwestii.

– Mhmm. Prowadzi pan akcję dobroczynną. Jest pan protegowanym Schweitzera?

– Wiem, że wiele pan przeszedł i...

– Dość – powiedział. – Niech pan zostawi ten scenariusz i mówi prosto z mostu. Chce pan rozmawiać o Holly? I tak będę tu przez całą noc, mogę pana potraktować jako przerwę na kawę, powiedzmy o szóstej. Dam panu dziesięć minut.

Niewiele. Ale pomyślałem, że dziesięć minut z tym typem może okazać się interesujące.

– Gdzie pan jest?

Wycodził adres.

– Będę u pana za godzinę.

– Jak mówiłem, szósta. Dziesięć minut.

* * *

Wiele wybudowano w Encino od czasu, gdy byłem tam po raz ostatni. Pierce, Sloan and Marder: Konsultanci ubezpieczeniowi. „Specjaliści do Spraw Zasiłków i Rent” zajmowali najwyższe piętro wąskiego, siedmiopiętrowego, otynkowanego na różowo prostokąta o lustrzanych oknach. Budynek wciśnięty między przychodnię lekarską z tajsą restauracją i salon sprzedaży Rolls-Royce’a, jaguara i land rovera miał hol wyłożony granitem w rdzawym kolorze. Przy południowej ścianie znajdowały się dwie windy, obydwie otwarte. Samotnie pojechałem do góry, wyszedłem na drugi korytarz, wyłożony szarą pluszową wykładziną i oklejony białą zmywalną tapetą o fakturze naśladowującej szorstki gips. Nad głową świeciły jarzeniówki. Wzdłuż ścian wisiały w eleganckich ramkach zdjęcia kwiatów. Wyglądały strasznie smutno w takim bezosobowym miejscu.

Główne wejście znajdowało się w północnym końcu korytarza. Drzwi były w szklanej ścianie, pokrytej napisami z połączonych literek. Umieszczono tam nazwiska dwudziestu dwu partnerów firmy zrzeszającej specjalistów ubezpieczeniowych. Ponadto informowały niewtajemniczonych, że Pierce, Sloan and Marder mają również swoje oddziały w San Francisco, Chicago, Atlancie i Baltimore. Nazwisko Howarda Burdena było czwarte od góry. Nieźle jak na trzydziestolatka o fatalnych manierach.

Ostrożnie z tą oceną wartości, Delaware. Możesz mieć rację, ale biorąc pod uwagę załobę, zachował się jak Czarujący Książę. Po drugiej stronie szyby hol był jasno oświetlony. I pusty. Drzwi zaryglowane ciężką zasuwą z polerowanego mosiądzu. Zapukałem, poczułem, jak szkło drży. Poczekałem. Zapukałem ponownie. Poczekałem jeszcze trochę, zapukałem mocniej.

Mam swoje dziesięć minut. Nie ma nic lepszego niż przejażdżka do Valley w godzinach szczytu, żeby rozruszać stare kości.

Gdy już odwracałem się, aby odejść, otworzyły się drzwi jednej z wind i wyszedł z niej jakiś mężczyzna. Był korpulentny i kroczył, jakby miał płaskostopie. Pod czterdziestkę, około metra siedemdziesięciu wzrostu, z łysiną na czubku głowy, po bokach rzadkie brązowe włosy. Różowa cera i krzaczasty brązowy, niedbale przycięty wąs dopełniały całości. Jakieś dwadzieścia kilo nadwagi, w większości w postaci miękkiej masy, zwieszało się nad paskiem ze złotą sprzączką. Mężczyzna był ubrany w białą koszulę z długimi rękawami, granatowe spodnie, czarne półbuty i niebieski krawat w lawendowe kwadraty, który poluzował sobie przy szyi. Wszystkie rzeczy były drogie i w dobrym gatunku, ale sprawiały wrażenie przebrania, wyglądały jak kostium DeJon Jonsona.

Podążał w moją stronę, wymachując rękami jak chodziarz. W jednej ręce niósł pęk kluczy, w drugiej zwilgotniałą kanapkę, zawiniętą w celofan. Pod celofanem do kanapki przykleił się

związły żaloszny ogórek konserwowy.

– Delaware? – Głos miał głęboki, lekko ochrypy. Zadzwoił kluciami. Na breloczku widniał symbol mercedesa. Szyję miał pobrużdżoną i spoconą. Na kieszeni koszuli, tuż pod monogramem HJB, widniała tłusta plama.

Oczekiwałem kogoś, kto by wyglądał dziesięć lat młodziej. Starając się ukryć swoje zaskoczenie, powiedziałem:

– Witam, panie Burden...

– Powiedziałeś pan za godzinę. Minęło dopiero – uniósł rękę i błysnął złotym rolexem oyster – czterdzieści osiem minut.

Przeszedł obok mnie i zwolnił mosiężną zasuwkę, puszczając szklane drzwi w moją stronę. Przytrzymałem je, poszedłem za nim aż do dwuskrzydłowych drzwi. Na lewym skrzydle widniały złote literki:

MGR HOWARD J. BURDEN,

CZŁONEK TOWARZYSTWA

SPECJALISTÓW UBEZPIECZENIOWYCH

Otworzył drzwi z impetem i wszedł przez sekretariat do obszernego gabinetu, wyłożonego orzechową boazerią. Ściany były pokryte dyplomami, certyfikatami i fotografiami. Potężne lśniące, inkrustowane kawałkami wiązu, obrzeżonego hebanem biurko miało kształt litery „P”. Na blacie leżały stopy książek, czasopism, korespondencji, kopert i krzywych stert papieru. Za biurkiem znajdowało się krzesło z niebieskiej skóry, z wysokim oparciem, a za nim podłużny stół. Pośrodku stołu stał komputer IBM, a po bokach piętrzyło się jeszcze więcej szpargałów.

Howard Burden zaciągnął zasłony i usiadł za biurkiem. Odsunął na bok papiery i zaczął odwijać kanapkę. Mielonka i kiszona kapusta w na wpół rozmiękłym, żytnim chlebie.

Rozejrzałem się za jakimś miejscem do siedzenia. Dwa krzesła naprzeciw jego biurka były wypełnione papierami. Podobnie długa sofa chesterfield, z niebieskiej skóry, która stała prostopadle do okna. Niektóre stopy niemal się przewracały. Nieład i nieporządek sugerował jakąś szaloną energię. Było tu zupełnie inaczej niż w sterylnej świątyni jego ojca. Dopuściłem się drobnej psychoanalizy podwórkowej.

Burden odpakował kanapkę i ugryzł wielki kęs. Nie zadając sobie nawet wysiłku, żeby przełknąć, powiedział:

– Niech pan zrzuci część tego gówna na podłogę.

Zwolniłem jedno z krzeseł i usiadłem. Nadal jadł, wycierając papierową serwetką sok z kapusty, który ściekał mu po brodzie. Spojrzałem na fotografie na ścianach. Burden z przyjemnie wyglądającą

blondynką przejawiającą słabość do dzianych bezrękawników, białych spodni i mokasynów. Kobieta miała jakieś trzydzieści lat. Na jednym ze zdjęć Howard Burden wyglądał jak jej ojciec. Na niemal połowie zdjęć widniała też mała dziewczynka w wieku około pięciu lat. Ciemnowłosa. Również nosiła okulary. Było w niej coś znajomego...

Szczęśliwe pozy rodzinne. Uśmiechy, które zdawały się szczere. Disneyland. Akwarium. Studia wytwórni Universal. Park Wodny. Minigolf. Cała trójka w czapczkach imitujących żaby, oboje rodzice ściskają córeczkę. Ona ściska wielkiego lizaka. Wspólne jedzenie lodów. Dziewczynka biorąca udział w przedstawieniu. Przebrana za elfa. Zakończenie przedszkola w miniaturowej todze i czapczce. Nagle zdałem sobie sprawę, co mnie w niej uderzyło. Przypominała podobiznę ze zdjęcia w prawie jazdy, które pokazał mi Milo. Mała Holly z uśmiechniętą twarzą.

– Ma pan śliczną rodzinę – powiedziałem.

Odłożył kanapkę i zmiął serwetkę w pulchnej pięści.

– Słuchaj pan – odezwał się znowu. – Od razu chcę wyłożyć karty na stół. Zgodziłem się na to pod przymusem. Mój ojciec jest kompletnym, bezgranicznym dupkiem. Nie lubię go, rozumiesz pan? Wszelkie bzdety, jakimi cię nakarmił, że niby to on i ja mamy jakieś wspólne cechy, to gówno prawda, rozumiesz pan? A więc fakt, że pan dla niego pracujesz, automatycznie umieszcza cię na mojej liście gówna. Musisz się pan z tej listy jakoś wypisać, co moim zdaniem jest mało możliwe, ponieważ plasuje się pan na niej wysoko. Jedyne powód, dla którego zgodziłem się na to spotkanie, jest taki, że wydzwaniał do tego pieprzonego biura dziesięć razy dziennie i cholernie naprzykrzał się mojej sekretarce. A gdy go nie chciała łączyć, szczał Gwen – moją żonę – w domu. Wiem, że gdybym mu nie ustąpił, przyjechałby tu, tak jak przedtem, zrobiłby z siebie kretyna, postawiłby mnie w żenującej sytuacji. Jestem tutaj od sześciu lat, miałem trzy przyjęcia z okazji awansu i jedno z okazji kupna domu i nigdy się nie pokazał. Od pięciu lat, do cholery, nawet nie rozmawialiśmy ze sobą. Amy nigdy nie dostała od tego skurwiela prezentu na urodziny. A teraz, ni stąd, ni zowąd czegoś ode mnie chce.

– Kiedy to było? Kiedy się tu pokazał?

– Jakiś miesiąc temu. Miałem zebranie. Przemknął obok sekretarki, wszedł tutaj, usiadł i czekał przez godzinę, słuchając kasety z tą swoją cholerną muzyką. Gdyby to był ktoś inny, zawołałaby straż i wywaliłaby go na zbity pysk. Nie miałbym do niej o to żadnych pretensji. Ale nie wiedziała o tym. Wiedziała jedynie, że to ojciec jej szefa – cóż, do kurwy nędzy, miała zrobić? Więc pozwoliła mu zostać, a gdy się pojawiłem, zachowywał się jakby nigdy nic. Zrobił mi istny nalot, nie widząc w tym nic złego.

– Czego chciał?

– Pytał, czy widziałem ostatnio Holly? Czy Holly wydała mi się zdenerwowana? Jakby go to cokolwiek obchodziło. Jakby w ogóle go obchodziło, co kto czuje. Powiedziałem mu, że nie mam pojęcia. Próbował mnie naciskać. Powtarzałem, że nie mam pojęcia, jak stara, zacinająca się płyta. W końcu do niego dotarło, ale wcale się nie zbierał do wyjścia. Próbował nawiązać rozmowę, marnował mój czas. Udawał, że jesteśmy jak kumple. Dobry tatuś. Więc teraz, jak dzwoni dziesięć

pieprzonych razy dziennie, tutaj, a także do mnie do domu, i mówi mi, że pan do mnie zadzwonisz, że powinienem się z panem spotkać, przekazać swoje spostrzeżenia na temat Holly – spostrzeżenia – jaki mam wybór? Odmówić i narazić się na kolejną jego wizytę? Ten pieprzony nachał nigdy nie słucha, nigdy nie chce ustąpić. Nawet w najspokojniejszych chwilach mam kiepskie ciśnienie krwi, dlatego zgodziłem się na to spotkanie, rozumiesz pan? Więc odwalmy nasze dziesięć minut, powiedzmy sobie, że mamy to już za sobą i skończmy to, do cholery?

Rozdziawił usta, zacisnął je na kanapce i oderwał kawał, jak lew pastwiący się nad padliną.

– I jeszcze jedno – dodał – musisz pan wiedzieć, że nie lubię psychiatrów, a jeszcze bardziej psychologów. Uważam, że to, co robicie, to kompletne bzdety. Ściągacie forszę od nerwowo chorych naiwniaków i udajecie, że jesteście ich przyjaciółmi. Że niby nadal byście się uśmiechali i mówili „mhhh”, gdyby nie zapłacono wam honorarium. Udajecie, że to nauka, udajecie, że coś wiecie. Czytuję tony raportów psychiatrycznych, bez przerwy – bzdety związane z ubezpieczeniami. Jestem konsultantem największych korporacji, doradzam im w przewidywaniu kosztów i ryzyka przy otwieraniu różnego rodzaju systemów opieki zdrowotnej. Do trzech razy sztuka, kto dopuszcza się największych nadużyć? – Wskazał na mnie, jak Wielki Inkwizytor. – Rachunki opiewające na sto pięćdziesiąt dolarów za godzinę konsultacji w sprawie reakcji przystosowawczych, syndromów stresu, całej masy dwuznaczných bzdur. Wyłudzacze pieniędzy od firm pracowniczych. Moją standardową wskazówką, jakiej udzielam firmom, jest: trzymajcie się z dala od zasiłków motywowanych zdrowiem psychicznym. Tej grze na imię korupcja; ubezpieczenie firmowe płaci za opiekę nad pacjentem leżącym w szpitalu. Tysiące pracowników poddaje się hospitalizacji. Przystaw się na zasiłki dla pacjentów niehospitalizowanych i nagle każdy psychiatra staje się wielkim fanem terapii biurowej. Śmieszna sprawa, co? Strasznie naukowa.

– Ma pan rację – powiedziałem. – Cały czas dzieją się takie rzeczy i to jest beznadziejne.

Odjął kanapkę od ust i zważył ją w dłoni jak piłkę nożną. Przez chwilę myślałem, że nią we mnie ciśnię.

– To miało mnie rozbroić? Przekonać, że pan jesteś prawym facetem?

– O niczym nie próbuję pana przekonywać – odparłem. – Fakt jest taki, że nawet nie wiem, po co tu jestem.

– Jest pan tutaj, ponieważ Mahlon Burden tak pana ustawił.

– A więc chyba obydwaj mamy problemy z odmówieniem mu.

Palce zacisnęły mu się na kanapce i obróciły ją w coś bezkształtnego, kluchowatego. Kapusta i sok wysączyły się i chlapnęły na biurko. Podniósł kilka nitek kiszzonej kapusty i wsadził sobie do ust. Głęboko zamyślony przeżuł je, oblizwał skraj wąsa i nagle wydał się zagubiony. Smutne, delikatne, pulchne dziecko, z którym znów nikt nie chce się bawić.

– Przepraszam – powiedziałem. – Wiem, że to dla pana cholernie trudny okres i nie chcę go jeszcze pogarszać. Obydwaj dajemy sobą manipulować. Nie ma sensu ciągnąć tego dalej.

– Ja go za to winie – odezwał się.

– Za Holly?

– Za Holly i za wszystko. Za to. – Uszczypnął wałeczek tłuszczu. – Za moją matkę. Powinna pojechać do szpitala, jak tylko zaczęła krwawić i srać krwią. Mieliśmy białą muszlę klozetową, a ona zabarwiła ją na czerwono. Jeszcze to pamiętam. Nigdy tego nie zapomnę. Wszystko z niej wylatywało. Bolało ją. Każdy idiota zauważyłby, że potrzeba jej opieki lekarza, ale jak zwykle, on wiedział wszystko najlepiej. Powiedział, że potrzeba jej jedynie odpoczynku, żeby się nie przemęczała. Zabrał ją do szpitala dopiero wtedy, gdy zemdląca.

– Dlaczego?

– Nie lubi lekarzy, nie ufa im. Zawsze wie lepiej. Wszystko potrafi robić lepiej niż ktokolwiek inny.

Twarz miał rozgorączkowaną, lśniącą od potu, gniewną i wykrzywioną, jak faworyt walki, który dostaje cięgi. Cięgi spuszczała mu jego wściekłość.

– Moja opinia jest taka – powiedział – że ją, kurwa, zabił. Miałem szesnaście lat. Powinienem mieć prawo jazdy, powinienem sam móc zawieźć ją do szpitala. Ale nie pozwolił mi się uczyć jeździć do momentu, kiedy skończyłem osiemnaście lat. Mówił, że jeszcze nie dojrzałem. Holly kazał czekać do dziewiętnastu lat.

Oczy mu wyszły na wierzch i zatrzęsł się jego miękki brzuch. Pięści miał wielkie i mięsiste, kanapka stała się jedynie kulką ciasta. Spojrzał na nią i wrzucił ją do kosza na śmieci.

– Opowiedział mi inną historyjkę o pana matce – zdziwiłem się. – Że nie udała się rutynowa operacja. Błąd w sztuce lekarskiej.

– Jedyne błędne zostało popełnione przez niego. Błąd w sztuce małżeńskiej. Szkoda, że za to nie można pozwać do sądu. Zanim przewieźli ją na salę operacyjną, straciła zbyt dużo krwi. Zapadła w stan szoku i nigdy z niego nie wyszła. Wiem, ponieważ parę lat temu użyłem swoich wpływów i wyostałem jej kartę.

Walnął pięścią w biurko.

– Jasne, że opowiedział panu inną historyjkę. Kłamie. Bez mrugnięcia okiem. W jednej minucie coś mówi, a w następnej zaprzecza, że to powiedział. A może dla niego to nie jest kłamstwo, może naprawdę wierzy w te bzdety, którymi się karmi. Nie wiem. Mimo że minęło tyle lat, nie wiem. I głównie mnie to obchodzi. Wiem natomiast, że jest samolubnym dupkiem, który dba jedynie o siebie i uwielbia władzę; absolutną kontrolę. Musi kontrolować wszystkich i wszystko. Kiedy mieszkałem w domu, byłem więźniem. Sposób, w jaki się ubierałem, to, co jadłem, wszystko musiało przejść przez jego pieprzoną inspekcję. Gdy się wyprowadziłem, poczułem się jak nowo narodzony.

– A Holly?

– Moja siostra była najgorszym rodzajem więźnia.

– Skazana na odosobnienie.

Spojrzał ze zdziwieniem.

– Takie sformułowanie przyszło mi do głowy, gdy ujrzałem jej pokój – wyjaśniłem.

Oczy mu zwilgotniały.

– Tak. Skazana na pieprzone dożywocie. Ja przynajmniej potrafiłem się stamtąd wydostać. Ona nie. Nie miała zdolności. Znajdowała się jeden poziom wyżej niż osoba opóźniona w rozwoju. Dla niego było to idealne. Kiedy tylko skończyła szkołę średnią, wyrzucił gosposię i wykorzystywał Holly do sprzątanania domu.

– Czy Holly się temu sprzeciwiała?

– Holly się niczemu nie sprzeciwiała.

– Czy kiedykolwiek zachowywał się wobec niej ...nieodpowiednio?

Uniósł brwi.

– Co ma pan na myśli?

– Nieodpowiednio seksualnie. Czy ją wykorzystywał.

Potrząsnął głową.

– Wam zawsze to samo w głowach. – Nagle jego twarz stężała od gniewu. – Dlaczego? Wie pan coś na ten temat?

– Nie – odparłem szybko. – Zupełnie nic.

– Więc skąd to pytanie?

Ostrożnie dobierałem słowa.

– Prowadzili odosobnione życie, co sprzyja takim sytuacjom. Wykorzystywał ją jako gosposię. Ten związek wyglądał niemal... jak związek małżeński.

– Nie plam nas jeszcze bardziej – jęknął Burden. – Przeszliśmy wystarczająco wiele.

– Miałem zamiar...

– Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz. Jeśli nazwisko moje albo kogokolwiek z mojej rodziny pojawi się w jakimkolwiek raporcie, jaki pan dla niego napiszesz, to zaskarżę pana, wykorzystując wszelkie wpływy stojącej za mną korporacji. A jeśli wspomnisz mu pan coś, co sprawi, że będzie mnie

nachodził, osobiście sobie to na panu odbiję. Może wyglądam jak jakiś tłusty pierdoła, ale wyciskam z ławeczki sto kilo, rozumiesz pan? – Uniósł ręce i dla podkreślenia słów grzmotnął w biurko. – Czy to jasne?

– Nic nie piszę – uspokoiłem go. – I przyszedłem tutaj rozmawiać o pańskiej siostrze, a nie o panu.

To nim wstrząsnęło. Przejechał po biurku kostkami dłoni, jak goryl, i osunął się na krzesło. Minęło kilka chwil, zanim się odezwał.

– Nim się pan tu pokazałeś, powiedziałem sobie, że pana spławię, zachowam godność, a oto gadam o sobie jak najęty. – Uśmiechnął się słabo. – Boże, zamieniam się w niego.

– Wątpię – zaprzeczyłem, patrząc znacząco na fotografie na ścianach. – To, co pan sobie wykreował, wygląda zupełnie inaczej niż to, w czym się pan wychował.

Jedną ręką zakrył oczy.

– Są wspaniałe – powiedział zdławionym głosem. – Nie mogę pozwolić, żeby to w jakiś sposób na nie wpłynęło.

– Rozumiem.

– Doprawdy? Rozumiesz pan, jakie to uczucie, gdy się ma sześć lat, wychodzi się z domu i wrzeszczą do ciebie reporterzy? Jak dzieciaki w szkole dokuczają ci, że masz ciotkę, która strzela do dzieci. Musiałem je obie wywieźć z miasta. Właśnie się zastanawiałem, czy ich nie przywieźć z powrotem. Nie mogę pozwolić, żeby to je zmieniło. Nie mogę mu pozwolić wdepnąć w nasze życie.

– Oczywiście, że nie – zgodziłem się. – Jego narcyzm byłby destrukcyjny.

– Właśnie tak określił go mój terapeuta. Zaburzenia osobowości na tle narcystycznym. Postrzega się jako pępek świata. Jak trzylatek, który nigdy nie dorósł. To nieuleczalne. Nie powinienem oczekiwać, że kiedykolwiek się zmieni. Miałem do wyboru: albo nauczyć się go akceptować, albo trzymać się od niego z dala. Z początku sądziłem, że będę mógł się nauczyć, że będę mógł zainicjować jakąś nie obowiązującą przyjaźń. Ale gdy poznałem Gwen i jej rodzinę, gdy zobaczyłem, jak powinna wyglądać rodzina, zdałem sobie sprawę, co on nam wszystkim wyrządził. Jaki jest popieprzony. Przez to nienawidzę go jeszcze bardziej.

Słuchałem tego wszystkiego, ale w uszach dzwoniły mi dwa słowa: mój terapeuta.

Burden dostrzegł mój niedowierzający wzrok, uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Mój jest inny – powiedział. – Jeden z tych dobrych. Zacząłem się z nim spotykać jeszcze na studiach – w ośrodku doradczym. Miewałem bóle brzucha, myślałem, że umrę tak jak moja matka. Pracował tam jako wolontariusz, nie zarabiał ani centa. Dwa lata zabrało mu, żeby mnie postawić na nogi. Potem wykopał mnie w prawdziwe życie. Teraz jest na emeryturze. Mieszka w Del Mar, grywa w golfa. Czasami tam jeżdżę. Doktor George Goldberg.

– Nie znam go.

– On też pana nie zna. Zadzwoiłem do niego i spytałem o pana. Rozpytał dookoła, sprawdził pana i powiedział, że ma pan dobrą opinię. W przeciwnym razie nie zgodziłbym się na to spotkanie, niezależnie od mojego ciśnienia krwi.

– Czy doktor Goldberg kiedykolwiek spotkał się z pana ojcem?

– Nie. Ten skurwysyn nigdy nie wiedział, że do kogoś chodzę, w przeciwnym razie zrobiłby wszystko, żeby położyć temu kres. Albo wszystkim kierować. Teraz wynajął pana. Dość zabawne, co? Słodkie, pieprzone ironie życia.

– Nie wiem, co panu powiedział – rzekłem – ale ja dla niego nie pracuję, nie wziąłem od niego ani centa i nie mam takiego zamiaru. Wdałem się w to, ponieważ policja poprosiła mnie, żebym pomógł dzieciom przezwyciężyć stres związany ze strzelaniną.

– Właśnie, dzieci – zachnął się. – Jak sobie radzą?

– Radzą sobie nieźle, ale myśl o zupełnie obcej osobie, o dziewczynie, która do nich strzela, wciąż jest dla nich niepojęta. Więc kiedy pański ojciec zaproponował mi możliwość poznania życia Holly, skorzystałem z niej.

– Holly – mruknął. Wpatrywał się w biurko i potrząsał głową. – Wiem, że to, co zrobiła, było złe. Gdyby moje dziecko znajdowało się tam, na podwórku, sam chciałbym ją zabić. Ale wciąż mi jej żal. Nic nie mogę na to poradzić.

– To rozumiałe. Czy ma pan jakieś pojęcie, dlaczego to zrobiła?

Potrząsnął głową.

– Wiele się nad tym zastanawiałem – razem z Gwen. Holly była dziwna. Od zawsze. Ale nie agresywna. Nie mogę powiedzieć, żebym ją dobrze znał. Było między nami tyle lat różnicy, nigdy nas nic nie łączyło. Nigdy nie utrzymywaliśmy żadnych stosunków. Nie Ignęła do mnie, jak to robią inne młodsze siostry. Zawsze chodziła swoimi ścieżkami, zajmowała się swoimi sprawami. A on nas zawsze porównywał. Dawał mnie za przykład, budował między nami mur.

– Co to znaczy, że zajmowała się swoimi sprawami?

– Siedziała w swoim pokoju, słuchając tego cholernego radia i tańczyła w kółko. Jak stuknięta. Dawniej wprawiała mnie w zażenowanie. Była... tępa. Nie chciałem, żeby ktokolwiek wiedział, że to moja siostra. – Uśmiechnął się gorzko. – Teraz już problem zniknął, co?

Uśmiechnąłem się i przytaknąłem.

– Gwen ma czterech braci – powiedział. – Jest z nimi wszystkimi blisko związana. Nie potrafiła zrozumieć, jak brat i siostra mogą być sobie kompletnie obcy. Gdy go poznała, zrozumiała, jak nas separował od siebie. Żeby móc nas kontrolować. Na nieszczęście ostatnio próbowaliśmy to zmienić.

Gwen wszystko zainicjowała. Zaprosiła Holly, starała się ją lepiej poznać. Również po to, żeby Holly od niego odciągnąć. Stopniowo. Wydostać ją ze skorupy. Chciała poświęcić Holly czas. W pewien sposób to, co się stało, było cięższe dla niej niż dla mnie.

– Holly była w pańskim domu?

– Tak. Kilka razy. Może trzy lub cztery.

– Kiedy to było?

– Latem. W sierpniu, we wrześniu. Zapraszaliśmy ją, jak on wyjeżdżał. Dużo podróżuje, odwiedza swoich dostawców. Ta firma to całe jego pieprzone życie. Jego prawdziwe dziecko. Ten pieprzony sukinsyn, Graff, którego stworzył – jego osobisty Frankenstein. Wiedzieliśmy, że gdyby się o tym dowiedział, starałby się wszystko popsuć, a do tego Gwen nie pozwala mu się zbliżać do Amy. Nawet nie chcieliśmy dzwonić, bo ma zainstalowany podsłuch w telefonach. Ma prawdziwego świra na punkcie drobnej elektroniki, uwielbia te świrnięte wynalazki techniczne. Wciąż żyje czasami, gdy był szpiclem w wojsku...

– Był szpiegiem?

– Wykonywał jakąś pracę dla wywiadu. Chyba. Dawał to do zrozumienia, a gdy go o to pytałem, odmawiał wyjaśnień. „Nie mogę na ten temat dyskutować, Howardzie”. Sadysta. Zawsze musiał mieć pieprzoną władzę.

– Powiedział mi, że zajmował się kryptografią i demografią.

– Kłamie jak zawsze. Może wszystko to zmyślił, może był pieprzonym sprzątaczem latryn. W każdym razie Gwen jeździła koło domu, dopóki Holly nie wyszła na zewnątrz. Próbowowała nawiązać rozmowę, poprosiła Holly, żeby do nas zadzwoniła, gdy on wyjedzie z miasta. Minęło kilka tygodni – myśleliśmy, że to do niej nie dotarło. Okazało się, że dotarło. Zaprosiliśmy ją na niedzielny obiad. Na indyka. Z kasztanowym nadzieniem. Pamiętałem jedynie to, że uwielbiała indyka.

– Jak się udało?

– Nie powiem, że szczególnie radośnie, jeśli o to panu chodzi. Niewiele rozmów. Holly głównie siedziała i słuchała tego, co my mówiliśmy. Patrzyła, jak Amy bawi się swoimi lalkami. Specjalnie się nie angażowała. Potem, kiedy włączyliśmy muzykę, trochę potańczyła. Niezbyt wdzięcznie to robiła. Ale w końcu zaczęła tańczyć z Amy. I tańczyły przy jej kolejnych wizytach. Amy jest bardzo bystra – prowadziła Holly. Właściwie zdawało się, że dobrze się między nimi układa. Były jak kumpelki. Amy jest bardzo dobrym dzieckiem – nigdy by się z nikogo nie śmiała. Wiedziała, że Holly jest dziwna, ale nigdy nic na ten temat nie powiedziała, jedynie z nią tańczyła. Oboje z Gwen sądziliśmy, że czynimy pewne postępy, ale nagle Holly przestała dzwonić. Ot tak, po prostu. Nie mieliśmy pojęcia, dlaczego, stwierdziliśmy, do diabła z nim, i próbowaliśmy do niej zatelefonować. Odbierała jego pieprzona automatyczna sekretarka. Więc Gwen znowu zaczęła tam jeździć, poczekała na moment, gdy nie będzie jego samochodu i zapukała do drzwi. Otworzyła Holly. Gwen

powiedziała, że wyglądała okropnie – zmizerowana, jakby ktoś jej umarł. Gwen próbowała z nią porozmawiać, ale nic z tego nie wyszło, Holly wykręcała sobie rękę i gadała bzdury.

– Jakie bzdury?

– Wciąż powtarzała to samo. Bełkot. W Azji czy coś podobnie brzmiącego. W Azji trwa.

– Trwa?

– Może mówiła w Azji dwa – co to, do kurwy nędzy, za różnica? Ani tak, ani inaczej nie ma specjalnie sensu, prawda? Gwen chciała, żeby jej to wyjaśniła, ale Holly się zdenerwowała i uciekła do domu. Gwen weszła za nią. Holly pobiegła do szafy ze strzelbami, wyciągnęła karabin. To Gwen przeraziło. Odjechała szybko i zadzwoniła do mnie. Doszliśmy do wniosku, że Holly przeżywa jakieś załamanie. To, że chwyciła za broń, naprawdę nie dawało nam spokoju – zawsze nienawidziła tej jego broni, nigdy do niej nie podchodziła. Anonimowo zadzwoniliśmy na policję. Powiedzieliśmy, że niepełnosprawna umysłowo osoba ma dostęp do broni palnej i podaliśmy im adres. Spytali, czy ta niepełnosprawna umysłowo osoba ma zaświadczenie o swojej niepełnosprawności i czy groziła komuś bronią. Kiedy odpowiedzieliśmy, że nie, uznali, iż w takim razie nic nie mogą zrobić. Możemy jedynie udać się do sądu i przekonać sędziego, że ona stanowi zagrożenie dla innych. Nawet w takim wypadku zyskalibyśmy tyle, że zamknęliby ją na siedemdziesiąt dwie godziny. A on na pewno by się temu przeciwstawił. Więc w końcu nie podjęliśmy żadnych kroków. Ze względu na Amy. Nie chcieliśmy, żeby miała styczność z jakimkolwiek szaleństwem. Z sądami, z psychiatrami i z nim. I zaniechaliśmy kontaktów z Holly.

– Kiedy to się stało. Kiedy chwyciła za broń?

– W zeszłym miesiącu. Kilka tygodni przed...

Zwiesił głowę.

– A więc to, co się stało, nie jest wielką niespodzianką, prawda? Najwyraźniej miała agresywne myśli i nikt nie potraktował ich poważnie. Wciąż się zastanawiam, czy mogłem temu zapobiec.

– Raczej nie – uspokoiłem go. – Czy powiedział pan o tym policji?

– A po jaką cholere? Żeby wciągnęli moją rodzinę w jeszcze głębsze gówno? Żeby znów moje nazwisko pojawiło się w gazetach? Poza tym ten facet, którego przysłali, wyglądał jak jakiś pieprzony aktor. Już mniej go to nie mogło obchodzić.

– Porucznik Frisk?

– Tak, to ten. Pamiętam, że pomyślałem sobie: co za dupek. Próbował przeświecić mnie wzrokiem. Najwyraźniej uważał się za jakieś ważne gówno. Ciągłe się dopytywał, czy była członkinią jakichś grup wywrotowych. Śmieszne, co? Holly wstępuje w szeregi pieprzonych Czerwonych Brygad. – Potrząsnął głową. – Nie, nie rozmawialiśmy o tym o tej broni, z nikim. Gwen wciąż nie może o tym mówić. Jest przekonana, że to jej wina. Najpoczciwsza osoba, jaka kiedykolwiek stąpała po tej ziemi i właśnie ona się o to obwinia.

– Ci poczciwi zawsze się obwiniają – wyjaśniłem. – Może pan i ona powinniście się przejechać do Del Mar?

Ryzykowałem jego gniew, dając mu rady.

Ale odparł zrezygnowanym głosem:

– Może. Żałuję, że w żaden sposób nie da się cofnąć czasu. Wiem, że to pieprzony, wyświechtany frazes, ale życie byłoby znacznie prostsze, prawda?

Znów zakrył twarz i westchnął głośno.

– Pamięta pan, kiedy Holly przestała dzwonić? – spytałem.

– We wrześniu. Pod koniec września.

Tuż po zabójstwie Ike'a Novato.

„Wyglądała okropnie. Zmizerowana. Jakby ktoś jej umarł”.

– Czy miała jakichś przyjaciół? – spytałem.

– Nigdy żadnych nie widziałem.

– Czy kiedykolwiek wspomniała nazwisko Novato?

Zdjął dłonie z twarzy.

– Nie. Kto to jest?

– Ktoś, kto być może został jej przyjacielem. Dostarczał artykuły spożywcze ze sklepu Dinwiddiego. Wiemy, że rozmawiał z Holly przynajmniej kilka razy.

– On tak twierdzi?

– On nic nie twierdzi. Nie żyje.

– Dlaczego?

– Zamordowany, we wrześniu. Mniej więcej w tym czasie, kiedy Holly zerwała z wami kontakt.

– Zamord... Chryste! Sądzi pan, że to nią tak wstrząsnęło?

– Możliwe.

– Chce pan powiedzieć, że ten Novato coś dla niej znaczył?

– Być może. Pana ojciec twierdzi, że nie...

– To, co on twierdzi, jest głównie warte. Kto to jest... był... ten Novato? Co to była za osoba?

– Ludzie, którzy go znali, twierdzą, że był miłym dzieciakiem. Bystry, czarny. Ted Dinwiddie miał o nim bardzo dobre zdanie. Pracował dla Dinwiddiego jako dostawca zakupów do domów klientów.

Uśmiechnął się.

– Czarny. To ma sens. W szkole średniej Ted Dinwiddie był naszym sztandarowym radykałem. Teraz prowadzi interes, pewnie ma poczucie winy. Zatrudnienie czarnego dzieciaka to w jego stylu. I potem pewnie by się obawiał konsekwencji. Te obawy tłamsiły jego poczucie winy.

Nie odzywał się przez kilka chwil, zdawał się pogrążyć we wspomnieniach. Przerwałem ciszę.

– Jakie poglądy polityczne ma pana ojciec?

– Nie wiem, czy w ogóle jakieś ma. Jest pieprzonym Mahlonistą. Czci sam siebie i pieprzy wszystkich innych.

– Gdy Holly do was przychodziła, czy kiedykolwiek rozmawiała o polityce?

– Ani słowa. Jak już mówiłem, rzadko w ogóle się odzywała. Dlaczego? O co tu chodzi? Kto zabił tego Novato?

– To nie zostało wyjaśnione.

– Jak to się stało?

Zastanawiałem się, ile mu powiedzieć. Przysunął się do przodu i wyrzucił z siebie:

– Posłuchaj pan, ja się przed panem otworzyłem. Może jutro z tego powodu poczuję się lepiej, a może nie. Ale jedno jest pewne, niczego nie ukrywałem, mimo że za cholerę pana nie znam. Więc jeśli masz mi pan coś do powiedzenia, coś, co mogę przekazać Gwen, pomóc jej to wszystko połączyć w jakąś sensowną całość, muszę się tego dowiedzieć. Zasługuję na to, kurwa mać.

Opowiedziałem mu o śmierci Novata w zaułku i o zniknięciu Sophie Gruenberg. Nie wspomniałem nic o podejrzeniu Smitha, że oboje byli zamieszani w narkotyki. Wyjaśniłem, że Sophie Gruenberg miała radykalne poglądy polityczne i przedstawiłem mu swoją teorię, że Holly była motywowana jakimś skrzywionym impulsem politycznym. Że celowała do Massengila. Nie miałem nic na poparcie tych słów, ale zwyciężył drzemiący we mnie terapeuta; chciałem, żeby Burden poczuł się lepiej.

Zadziałało.

Myślał przez dłuższą chwilę, po czym rzekł:

– To sprawia, że trochę łatwiej się ze wszystkim pogodzić. Że nie strzelała do dzieci i w jakiś

świrnięty, pieprznięty sposób miała swój cel. Przyjaciół. Ludzi, których obchodziła.

Odwrócił się i spojrzał na zdjęcia żony i córki.

– Chcieliśmy być jej przyjaciółmi. Poznać ją, nawiązać z nią kontakt. Nadrobić stracony czas, coś jej zrekompensować. Ale tak się nie da, prawda? Tak się, kurwa, po prostu nie da.

Rozdział dwudziesty czwarty

Dziesięć minut przeciągnęło się do ponad godziny. Kiedy podniosłem się, żeby pójść, Burden był tak wyciszony, że niemal wydawał się senny, a kiedy się żegnaliśmy, dłonie miał wilgotne i wiotkie. Zostawiłem go przy biurku i poszedłem do windy.

Powietrze na zewnątrz nadal było ciepłe i choć przesycone spalinami, to z przyjemnością odetchnąłem głęboko. Z ulgą uciekłem od nienawiści i wściekłości, która wypełniała biuro Burdena jak bagienne opary.

Pomyślałem, że teraz rozumiem, dlaczego Mahlon Burden tak bardzo chciał, żebym porozmawiał z jego synem. Howard go odsunął. Między nimi nie było żadnego kontaktu. Ale gdyby Howard porozmawiał ze mną, mógłbym przekazać staruszkowi, czego się dowiedziałem.

Psychiatra jako modem.

„To moja zasadnicza umiejętność... Wiem, jak łączyć różne rzeczy”.

Howard rzeczywiście przemówił. Dowiedziałem się znacznie więcej, niż oczekiwałem. Ale nie miałem zamiaru powtórzyć tego Burdenowi.

Przeanalizowałem wszystko, jadąc samochodem. Stan psychiczny Holly pogorszył się po śmierci Ike'a Novato. Chwyciła za karabin, który w końcu zabrała do szopy...

„W Azji trwa”.

A może dwa?

Dwa co?

To pewnie tylko taka paplanina. Nie warto się nad nią zastanawiać.

Jaki to miało, jeśli w ogóle miało, zwiątek ze śmiercią Novata? Ze zniknięciem Sophie Gruenberg?

Zacząłem wątpić, czy kiedykolwiek naprawdę zrozumieć, co doprowadziło Holly do tej szopy.

Okropne poczucie niemocy...

Gdy wjechałem z powrotem na Glen, postanowiłem na razie o tym zapomnieć. Myśl o czymś dobrym. Myśl o Lindzie. O tym, jak ją całujesz, powtarzałem sobie.

Przyjechała do mnie godzinę później, ubrana w różową sukienkę i sandaalki. Włosy rozpuszczone, złociste jak słońce.

Pierwszy pocałunek był długi i głęboki. Poczulem, że zupełnie się w nim zatracam.

– Jesteś spięty. Wszystko w porządku? – zapytała, kiedy skończyliśmy się całować.

– Jestem tylko trochę zmęczony. I głodny. Wciąż masz ochotę na meksykańskie jedło?

– Jasne. Ja stawiam.

– Nie ma potrzeby.

– Nie martw się. – Poglaskała mnie po ramieniu. – Jak pójdziemy na coś wystrzałowego, ty będziesz płacił.

Byliśmy już przy drzwiach, gdy zadzwonił telefon.

– Odbierz – powiedziała.

Odebrałem w salonie.

– Alex? To ja – usłyszałem głos Robin.

– Ach, cześć.

– Cześć. Dobrze się czujesz?

– Jasne. Świetnie. A ty?

– W porządku. Właśnie czekam, aż zaschnie klej i pomyślałam, że zadzwonię i zobaczę, co słychać.

– Miło mi. Jak się miewasz?

– Świetnie. Mam dużo pracy.

– Jak zwykle.

– Jak zwykle.

Linda wyjęła puderniczkę i zerknęła w lusterko.

– Więc – powiedziała Robin.

– Więc?

Linda podniosła wzrok. Uśmiechnąłem się do niej. Odwzajemniła uśmiech.

– Alex, czy to... nieodpowiednia chwila?

– Nie. Po prostu właśnie wychodziłem.

– Jakieś szczególne wyjście?

– Na kolację.

– A może masz ochotę, żebym kupiła pizzę i wpadła? Jak za dawnych czasów?

– To byłoby dość... trudne.

– Aha – domyśliła się. – To jest szczególna kolacja.

– Mhmm.

– Przepraszam. Nie trzymam cię. Cześć.

– Poczekaj – powiedziałem. – Czy u ciebie na pewno wszystko w porządku?

– Jak najbardziej. Naprawdę. I też się ktoś koło mnie kręci. Jak na razie żadna rewelacja, ale wszystko idzie w dobrym kierunku.

– Cieszę się.

– Dobra – mruknęła. – Chciałam tylko sprawdzić, co słychać. Miło mi, że u ciebie wszystko dobrze. Trzymaj się.

– Ty też.

– Cześć.

– Cześć.

Linda nie odzywała się, gdy szliśmy do samochodu. Pojechałem do Sunset, minąłem wjazd na autostradę 405, słuchając Milesa Davisa. Kilka chwil później ściszyła radio i spytała:

– To ona?

Skinąłem głową.

– Nie musiałeś tak się spieszyć ze względu na mnie.

– Nie było sensu tego przeciągać.

– W porządku.

– To już minęło, ale wciąż próbujemy ułożyć pewne... pozostałości przyjaźni.

– Oczywiście. To normalne – zgodziła się ze mną, a po chwili dodała: – Jest piękna.

– Co masz na myśli?

– Znalazłam jej zdjęcie. Dziś rano, w twojej bibliotece. Na jednej z półek.

– Tak?

– Nie wkurzaj się – powiedziała. – Nie węszyłam.

– Nie wkurzam się.

– Po prostu obudziłam się wcześniej, pomyślałam, że coś sobie poczytam i znalazłam je, kiedy przeglądałam twoje książki. Uznałam, że to ona. Długie kręcone włosy, lekko rdzawe. Świetna figura. Piękne, duże, ciemne oczy. Stoicie oboje na tle jakiegoś jeziora.

Laguna w Santa Cruz. Pamiętałem tę wycieczkę. Motel, w którym się zatrzymaliśmy. Stłamszona pościel. Wędrówki po górach...

– To stare zdjęcie – wyjaśniłem. – Nie wiedziałem, że wciąż je mam.

– Nie ma w tym nic złego, nawet gdybyś zatrzymał je celowo.

– Nie jestem osobą, która lubi pamiątki.

– Ja lubię – powiedziała. – W jednym z pamiętników wciąż mam zdjęcie Mondo. Zrobione jeszcze, zanim wszystko się popsuło. O czym to świadczy – z psychologicznego punktu widzenia?

– O nie. – Potrząsnąłem głową. – Jestem po pracy. Żadnych konsultacji poza godzinami urzędowania.

– Nie masz stałych godzin urzędowania.

– I o czym to świadczy?

Uśmiechnęła się.

– W każdym razie jest piękna.

– Jest piękna. I to już sprawa zakończona.

– Już to mówiłeś.

– Powtarzanie tego weszło mi w nawyk – powiedziałem. – Długo usiłowałem to sobie wmówić. W końcu podziałało.

– Czy zniecierpliwisz mnie, gdybym spytała, dlaczego?

– Zdecydowała się na tymczasowe rozstanie, które przekształciło się w coś trwałego. Walczyłem z tym. Próbowalem ją przekonać, żeby wróciła. Zanim zdążyła zmienić zdanie, przestałem ją prosić. Ponadto miała wrażenie, że ją tłamszę, przytłaczam. Wychowała się w cieniu ojca, który nad nią dominował, czuła potrzebę rozwinięcia skrzydeł. Chciała spróbować życia na własny rachunek. Mam nadzieję, że nie brzmi to staromodnie czy banalnie. Ale ma swoje uzasadnienie.

– A teraz chce cię odzyskać.

– Nie. Jak już mówiłem, to pozostałości przyjaźni.

Linda nie odpowiedziała.

Jechaliśmy przez chwilę.

– Przytłaczałeś ją – odezwała się. – Postrzegam cię zupełnie inaczej.

– Nie jestem tym samym facetem, jakim byłem rok temu. Cała ta sprawa kazała mi się sobie dokładnie przyjrzeć.

– Co nie znaczy, że mnie by się podobało być stłamszoną – stwierdziła.

– Jakoś nie potrafię sobie ciebie wyobrazić jako osoby, która dałaby się stłamsić.

– Czyżby?

– Już dawno zdobyłaś szlify, Lindo. Nikt ci już tego nie zabierze.

– Uważasz mnie za dość twardą, prawda?

– W dobrym tego słowa znaczeniu. Uważam, że potrafisz dawać sobie sama radę ze sobą.

Położyła mi dłoń na karku.

– Uuuch, jeszcze bardziej spięty. Przepraszam, że kazałam ci o tym mówić. Ależ ze mnie wścibska Nancy.

– Wścibska Nancy?

– To zwrot regionalny.

– Z jakiego regionu?

– Z mojego mieszkania. Mam cię... uśmiechnąłeś się wreszcie. Ale ta szyja... jak deska. – Przynęła się bliżej, zaczęła masować. Czulem jej ciepło i siłę, płynącą z delikatnych dłoni. Dłoni, które, gdy ją poznałem, uznałem za słabe.

– Dobrze ci? – spytała.

– Fantastycznie. Zamieniłbym kolację na godzinę takiego masażu.

– Mam pomysł – powiedziała. – Najpierw nawpychamy się meksykańskiego żarcia, potem pojedziemy do ciebie albo do mnie i zrobię ci prawdziwy teksański masaż, a potem będziesz mógł mnie tłamsić. Zapomnij o wszystkich przykrościach i komplikacjach i potłamsz mnie, żeby zrobiło ci się lepiej na sercu.

* * *

Wylądowaliśmy u mnie. Byliśmy w łóżku, kiedy zadzwonił telefon. Leżeliśmy nadzy w ciemności, słuchaliśmy autorskiego wykonania *Błękitnej rapsodii* Gershwina, trzymaliśmy się za ręce.

– Chryste, która godzina? – spytałem.

– Dwadzieścia po jedenastej.

Podniosłem słuchawkę.

– Cześć – odezwał się Milo.

– Co się stało?

– Czy z nuty irytacji w twoim głosie mam wnioskować, że to nieodpowiedni moment?

– Coraz lepiej ci idzie zabawa w detektywa – odparłem.

– Jest ktoś u ciebie?

– Mhmm.

– Blondyneczka, mam nadzieję?

– Nie twoja...

– To dobrze, bo właśnie z nią chciałem rozmawiać. Daj mi ją.

Zdziwiony podałem słuchawkę Lindzie.

– To Milo. Do ciebie.

– Do mnie? – spytała i wzięła słuchawkę. – Słucham, detektywie Sturgis, o co chodzi? ...Aha. Jest pan pewien?... To świetnie. Jak pan... Aha. Szczęśliwy traf... Tak pan sądzi? Dobrze. Brzmi interesująco... Tak myślę. Jeśli naprawdę pan tak sądzi... Dobrze. Będę tam. Dziękuję.

Sięgnęła nade mną i odłożyła słuchawkę. Jej piersi musnęły moje wargi. Korzystając z okazji, spróbowałem pochwycić je ustami. Odsunęła się i spytała:

– Chcesz jechać na przejażdżkę?

* * *

Jechaliśmy ulicą Fiesta Drive, dziś bez nocnej mgły. W świetle księżycy magnolie wyglądały jak drzewka wycięte z papieru.

Dom miał schludny wygląd, nie różnił się od innych w okolicy. Na podjeździe stał zaparkowany oldsmobile cutlass; za nim niski, czarny, podobny do cygara firebird trans am. Na tylnym zderzaku firebirda widniała nalepka reklamująca stację radiową, która gra muzykę heavy metal i druga z napisem: ŻYCIE JEST JAK PLAŻA.

Drzwi frontowe pachniały świeżą farbą. Gong zaintonował siedem pierwszych nut *Hymnu bojowego republiki*. Przy piątym dźwięku drzwi otworzyła postawna kobieta w średnim wieku, o zatroskanej, bladej twarzy. Miała na sobie zgniłozielone spodnie i białą bluzkę i była boso. We włosach tkwiły błękitne wałki.

– Jestem doktor Overstreet – powiedziała Linda.

Kobieta zadrżała i zająknęła się:

– Jestem... Oni... Niech pani wejdzie. Proszę.

Weszliśmy do salonu o identycznym rozmiarze, wykończeniu i rozkładzie jak salon w domu Burdena. Ten był pomalowany na miodowo-żółty kolor z kontrastującymi białymi gzymsami. Stała tu kanapa z perkalowym, kwiecistym pokrowcem z falbanką i pasujące do niej krzesła; fotel z brązowego welwetu z odchylanym oparciem, stoliki w kolorze złotego klonu i lśniące, białe, ceramiczne lampy. Na ścianach wisiały reprodukcje pejzaży i martwych natur, a także krąg znaków zodiaku z brązu i stary wieniec bożonarodzeniowy. Kominek był murowany i pomalowany na białe. Na nim stał model szkunera, zbudowany z miedzianych blaszek i mosiężnego drutu.

Mężczyzna o ciemnej karnacji i ostrych rysach twarzy siedział w fotelu z odchylanym oparciem, nie sprawiał jednak wrażenia osoby delektującej się odpoczynkiem. Miał rzednące czarne włosy, które siwiały na skroniach, i pociągłą twarz o wydatnej szczęce, z ostrą brodą skierowaną w dół – jak różdżka radiostety. Spod szlafroka wyglądała koszulka i szare spodnie. Białe stopy z niebieskimi żyłkami tkwiły w pantoflach frotte. Ręce położył na oparciach fotela. Zaciskał i rozwierał dłonie.

Milo stał naprzeciwko niego, na lewo od kanapy. Tuż obok siedział szesnasto- lub siedemnastoletni chłopak. Chłopak był postawny, ale jakiś rozlazły. Jego grube, bezkształtne, białe ramiona wystawały z zawiniętych rękawów groszkowo-zielonej koszulki z naszywanymi kieszonkami. Wokół pulchnych nadgarstków skórzane opaski, nabijane ćwiekami. Czarne dzinsy

wpuszczone w wysokie buty z łańcuszkami na obcasach. Na palcu lewej dłoni dostrzegłem potężny sygnet z nierdzewnej stali, przedstawiający trupa czaszkę. Prawą dłonią zasłaniał puciołowatą twarz, o jeszcze nie w pełni ukształtowanych rysach, czarne włosy były krótko przystrzyżone przy skórze. Puszek, imitujący baczki, biegł po policzkach poznaczonych krostami. Kiedy weszliśmy, nie podniósł głowy. Najwyraźniej od pewnego czasu płakał.

– Dobry wieczór, doktor Overstreet i doktorze Delaware – powiedział Milo. – To państwo Buchanan.

Mężczyzna i kobieta skinęli żałośnie głowami.

– A to jest Matthew. To on przyozdobił pani samochód.

Chłopak zatkał głośniej.

– Przestań, do diabła! – zezłościł się ojciec. – Przynajmniej miej odwagę przeprosić i nie bądź tchórzem, do cholery!

Chłopak nadal płakał.

Buchanan zerwał się i podszedł do kanapy. Wielki, rozlazły mężczyzna. Złapał chłopaka za nadgarstki i szarpnął je. Chłopak pochylił się nisko. Starał się ukryć twarz pomiędzy kolanami. Ojciec chwycił go za podbródek i zmusił do podniesienia głowy.

– Patrz na nich, do cholery! Przeproś, albo będzie z tobą jeszcze gorzej, obiecuję ci.

Twarc chłopaka była blada i rozmazana, usta wygięte w dół i groteskowe w uścisku ojca. Zacisnął oczy. Buchanan zaklął.

Pani Buchanan zrobiła krok w stronę syna. Wzrok męża przestrzegł ją. Ręka mu się zacisnęła. Chłopak jęknął z bólu.

– Spokojnie – powiedział Milo. Dotknął ramienia Buchanana. Mężczyzna popatrzył na niego z furią i cofnął się o krok.

– Niech pan usiądzie – poprosił Milo.

Buchanan wrócił na fotel, owijając się szlafrokiem i odwracając od nas wszystkich wzrok.

– Matt, to jest doktor Overstreet, dyrektorka szkoły Hale’a, ale to pewnie wiesz, prawda?

Chłopak spojrzał na Linde przerażony i zacisnął oczy.

– Dzień dobry, Matthew – odezwała się Linda.

Jego ojciec odwrócił się gwałtownie i rzucił:

– Przeprós!

Chłopak coś wymamrotał.

Buchanan zerwał się jak tygrys. Jego prawa ręka wystrzeliła do przodu. Głowa chłopaka odskoczyła w tył.

Pani Buchanan krzyknęła.

– Dość tego! Niech pan siada! – rozkazał Milo.

Buchanan położył dłonie na biodrach i popatrzył zimno na Mila.

– Chcę, żeby to powiedział.

– Pete – odezwała się jego żona.

Tamten wysunął w jej stronę palec.

– Ty trzymaj się, do diabła, z daleka!

– Panie Buchanan – uspokajał go Milo. – Nie pogarszajmy spraw jeszcze bardziej. Niech pan usiądzie.

– Gdyby mnie słuchano od początku – złościł się Buchanan – nie byłoby problemów. On to zrobił. I musi przeprosić. Koniec rozpieszczania. – Próbował złamać wzrokiem Mila, wreszcie się poddał i spojrzał ze złością na żonę.

– Ma pan zupełną rację, proszę pana – powiedział Milo. – Musi przeprosić. Więc dajmy mu taką szansę.

Buchanan spojrzał na syna.

– Powiedz to!

Chłopak, szlochając, wykrztusił „przepraszam”.

– Przepraszam panią – warknął jego ojciec.

– Przepraszam panią.

– Jemu naprawdę jest przykro z tego powodu – odezwała się pani Buchanan, patrząc na Linde. – Nigdy przedtem nic takiego nie zrobił i już nigdy nie zrobi. Wszyscy przepraszamy.

– Przestań przeproszać, na miłość boską – wpadł znowu w irytację jej mąż. – A za co, do diabła, my mamy przeproszać? Może jedynie za to, że go rozpieszczasz, że dajesz mu wszystko, o co zaskomli, tak że nigdy nie musiał ponosić za siebie żadnej cholernej odpowiedzialności.

– Pete, proszę.

– Przestań z tym Pete, proszę! – wrzasnął Buchanan. – Po prostu przestań włożyć mi w drogę i pozwól załatwić wszystko tak, jak powinno być załatwione już dawno. – Wyciągnął przed siebie dwie białe, włochate pięści.

Jego żona przygryzła wargę i wycofała się szybko. Chłopak przestał na chwilę płakać i obserwował sprzeczkę rodziców.

Buchanan senior odwrócił się do niego plecami i podszedł do Lindy. Wargę mu się trzęsła i zauważyłem, że jedno oko ma niżej niż drugie.

– Proszę pani. Noszę nazwisko prezydenta. Wierzę w ten kraj. Wierzę głęboko. W naszej rodzinie od lat, od pokoleń, byli żołnierze. Ja służyłem w Korei, walczyłem, mam na to papiery, więc z pewnością w tym domu nie kultywuje się żadnych faszystowskich tradycji. Musiał to przejąć z tej sieczki, którą cały czas odtwarza – z teledysków rockowych, które na długo znikną z tego domu, to jest pewne.

Rzucił wściekle spojrzenie przez ramię na syna. Chłopak znów skrył twarz.

– Nie ośmielaj się chować, jak do ciebie mówię! – wrzasnął ojciec. – Podnieś głowę, do cholery!

Odwrócił się i ruszył w stronę syna. Milo stanął między nimi.

– Będę musiał usilnie pana poprosić, żeby pan usiadł.

Buchanan stężał i odetchnął głęboko.

Twarcz Mila była jak maska.

Buchanan wymamrotał coś, wrócił na fotel, wziął wczorajszą gazetę leżącą na stoliku i udawał, że zainteresowała go strona sportowa.

Jego żona miała wyraz twarzy osoby poniżonej.

– Doktor Overstreet, jeśli chce pani wnieść sprawę, zaaresztuję Matta i zabiorę go – odezwał się Milo.

Chłopak znów zaczął płakać. Jego matka również.

Pan Buchanan spojrzał na nich oboje z obrzydzeniem.

Linda podeszła do kanapy i przyglądała się chłopakowi. Usiłował uniknąć jej wzroku, pociągnął nosem i wytarł go w rękaw.

– Dlaczego, Matt? – spytała.

Zaniepokojony wzruszył ramionami.

– Bardzo chciałabym się dowiedzieć, zanim zdecyduję, co począć. Dlaczego to zrobiłeś?

Chłopak coś wymamrotał.

– Nie dosłyszałam – powiedziała Linda.

– Nie wiem.

– Nie wiesz, dlaczego zdemolowałeś mój samochód?

Wzruszył ramionami.

– Czym to zrobiłeś?

– Łomem.

– Czy wiedziałeś, że to mój samochód?

Chłopak nie odpowiedział.

– Dalej, Matt. Jesteś mi winien wyjaśnienie.

Przytaknął.

– Wiedziałeś, że to mój samochód?

– Tak.

– Dlaczego chciałeś wyrządzić mi krzywdę? Czy kiedykolwiek coś ci zrobiłam?

Potrząsnął głową.

– Więc dlaczego?

– Przez szkołę.

– Co przez szkołę?

– Za sprowadzanie tych...

– Kogo?

– Czarnuchów i skośnych. Wszyscy mówili, że pani ich sprowadza, żeby przejąć osiedle.

– Wszyscy? Kto to jest wszyscy?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Po prostu ludzie.

– Tutaj tego nie słyszał – wtrącił Buchanan. – Nie znaczy to, że aprobuję to, co pani robi, ale postępujemy zgodnie z prawem, pilnujemy swoich spraw i nie sprawiamy kłopotów innym. Poza tym nie prowadzimy takich szmatławych gadek. Pracuję z kolorowymi – mamy całkiem dobre układy.

– Gdzie pan pracuje, panie Buchanan?

Wymienił nazwę firmy elektronicznej.

– Jestem nadzorcą linii produkcyjnej. Mam pod sobą siedemdziesiąt pięć osób, wielu Meksykanów i kolorowych. Tutaj nie słyszał tych szmatławych gadek – powtórzył, a do syna rzekł:

– Mam rację!?

Chłopak potrząsnął głową.

– To te cholerne teledyski rockowe. I ten samochód. Nie powinien go dostać. Jest zbyt dziecinny, żeby sam sobie nos wytrzeć. Tylko popatrz na siebie!

Pani Buchanan wyszła z pokoju i wróciła z pudełkiem chusteczek higienicznych. Wyciągnęła jedną i podała synowi.

Wydmuchał nos.

– Gratuluję, spryციulo – odezwał się ojciec. – Ten trans am to już dla ciebie przeszłość.

– Tato...

– Zamknij się!

– Matt, wyjaśnijmy to sobie – powiedziała Linda. – Masz mi za złe, ponieważ sądzisz, że chcę przejąć osiedle, sprowadzając tu dzieci z innych części miasta, więc rozbiłeś mój samochód.

Przytaknął.

– Skąd wiedziałeś, że to mój samochód?

– Widziałem panią – powiedział ledwie słyszalnym głosem.

– Czy ktoś jeszcze z tobą był?

Potrząsnął głową.

– Czy ktoś jeszcze wiedział, że masz zamiar to zrobić?

– Nie.

– Zrobiłeś to sam?

Przytaknął.

– Dlaczego namalowałeś na samochodzie swastykę?

Wzruszył ramionami.

– Wiesz, co symbolizuje swastyka?

– Mniej więcej.

– Mniej więcej? Co symbolizuje?

– Niemców.

– Nie Niemców – odezwał się jego ojciec. – Faszystów. Twój dziadek z nimi walczył.

– Dlaczego namalowałeś swastykę? – spytała Linda.

– Nie wiem. Chciałem być taki...

– Jaki?

– Z jajami. Zły. Jak Aniołowie.

– Aniołowie Piekieł?

– Tak.

– Chryste! – jęknął ojciec.

– Co robiłeś tak późno poza domem, Matt? – spytała Linda.

Buchanan spojrzał wściekle na żonę i zasyczał:

– Cholernie dobre pytanie.

Chłopak nie odpowiedział.

– Matt, zadałam ci pytanie i oczekuję odpowiedzi – nie ustępowała Linda.

– Tak sobie jeździłem.

– Z łomem? Dlaczego miałeś przy sobie łom?

– Żeby to zrobić.

– Żeby nim rozbić mój samochód?

Kiwnął głową.

– Odpowiadaj, do diabła! – ryknął Buchanan.

– Tak – powiedział chłopak.

– A więc planowałeś, że rozbijesz mój samochód.

– Tak.

– Od jak dawna?

– Nie wiem, od kilku dni.

– Dlaczego przez kilka dni o tym myślałeś? Kto ci podsunął taki pomysł?

– Ona... ta strzelanina. – Chłopak się wyprostował, puciołowata twarz pojaśniała. – Dzięki temu zobaczyłem, jakie wszystko jest popie... zepsute, czarna.. czarne dzieciaki i Meksy. I to wina szkoły.

– Odwrócił się do ojca. – Ty i ona tak powiedzieliście.

Pani Buchanan zakryła usta dłonią.

– Chryste! – wrzasnął jej mąż, blednąc. – Ty cholerny łotrzyku! Ludzie mają swoje zdanie – to jest Ameryka, na miłość boską! Wyraża się opinie. Należy mówić, co komu leży na sercu. To jest demokracja. W przeciwnym razie równie dobrze mogłaby to być Rosja.. Ale nie rozwala się prywatnej własności, na litość boską.

Odwrócił się w stronę Lindy.

– Niech pani posłucha, pani samochód zostanie spłacony co do ostatniego centa. Trans am jutro idzie do handlarza używanymi samochodami i każdy grosz, jaki za niego dostaniemy, będzie przeznaczony na pani samochód i ma pani na to moje słowo.

– Świetnie. Oczekuję spłaty w ciągu tygodnia – powiedziała Linda. – Ale to nie wystarczy.

Chłopak spojrział na nią przerażony.

– Proszę – skomlała pani Buchanan – niech pani nie wpędza go do więzienia. On jest...

– Nie do więzienia. To zbyt proste. Oczekuję od niego czegoś więcej. Prawdziwej pokuty – odparła Linda, po czym zwróciła się do Matta: – Do której szkoły chodzisz?

– Do Pali.

– Trzeci rok?

– Drugi.

– O której kończysz lekcje?

– O drugiej.

– Ma skrócony program lekcyjny – wyjaśniła matka.

– O drugiej trzydzieści masz być w mojej szkole. Będziesz mi pomagał.

– Jak? – spytał chłopak.

– Tak, jak ja zechcę. Jednego dnia może będziesz zeszkrobywał ze ścian napisy. Innego dnia zrobisz odbitki na ksero albo napiszesz wypracowanie.

Chłopak aż się skulił.

– Nie lubisz pisać, Mart?

– Miał problemy – powiedziała matka. – Dysleksja.

– Więc to mu tylko pomoże.

– Ma pani rację – zgodziła się pani Buchanan. – Oczywiście, że będzie przychodził. Jesteśmy pani wdzięczni. Dziękujemy pani.

– Detektyw Sturgis – zwróciła się Linda do Mila. – Jestem skłonna nie kierować sprawy do sądu, jeśli nasz Mart zechce współpracować i okaże się wybitnie pomocny. Pod jednym warunkiem. Jeśli się wycofa, oddam go pod sąd.

– Zgoda. Pozostawię sprawę otwartą, i w razie czego dopilnuję, żeby dostał maksymalny wyrok, żeby był sądzony jako dorosły – odparł Milo i zwrócił się do Matta: – Mówimy tu o solidnym wyroku, synu.

– Będzie współpracował – zapewniła znowu jego matka. – Dopilnuję, żeby...

– Mart? – zapytała Linda. – Dotarło to do ciebie?

– Tak. Tak proszę pani. Będę. Ja... Ja naprawdę przepraszam. To było głupie.

– Więc jestem skłonna dać ci szansę.

Pani Buchanan zaczęła dziękować wylewnie.

Pan Buchanan jakby się zapadł w swoim fotelu. Wyglądał na starszego, młodszego, ze zmęczonych barków spadł ciężar przymusu, by zachowywać się po męsku.

– Masz kupę szczęścia, facet. – powiedział. – Ale ja jeszcze z tobą nie skończyłem.

Rozdział dwudziesty piąty

Kiedy wyszliśmy, Milo powiedział:

– Nie miałem dziś wieczorem nic do roboty. Pojechałem na przejażdżkę. Zobaczyłem, że jakiś samochód bardzo powoli krążył po ulicach. Gdy dojechał do szkoły, zwolnił jeszcze bardziej. Podczas trzeciej rundy wystawiłem koguta na dach i zatrzymałem go. Na siedzeniu leżał łom. Głupi dzieciak. Gdy mnie zobaczył, prawie narobił w gacie.

– Słyszał pan matkę – odezwała się Linda. – Te wszystkie problemy szkolne.

– Tak samo jak u Holly – powiedziałem.

– Ale się nie znali – rzekł Milo. – Przesłuchałem go na ten temat bardzo dokładnie. Nie figuruje w kartotece, nie jest członkiem żadnych gangów ani ugrupowań. Wygląda na to, że to jedyny występki, jakiego się dopuścił. Przynajmniej jedyny, na jakim został przyłapany.

Linda stała odwrócona do niego plecami. Milo uniósł brwi, chcąc się dowiedzieć, jak dużo jej powiedziałem.

Potrząsnąłem lekko głową i odezwałem się:

– Może stłamsiliśmy w zarodku karierę kryminalną.

– Jego kariera nie trwałaby długo. Takich tępych wyłapujemy. W każdym razie już czas, żebym się stąd zmył. Przepraszam, że panią obudziłem, ale pomyślałem, że chciałaby pani o tym wiedzieć.

– Chciałam – powiedziała. – Cieszę się, że pan zadzwonił. Sądzi pan, że postąpiłam właściwie?

– Wydaje się to lepszym wyjściem niż inne. Jeśli zająłby się nim sąd dla nieletnich, dostałby zaledwie pouczenie. Może, jakby się trafił bardzo ostry sędzia, wyznaczyłby mu tydzień pracy na farmie karnej, a tam spotkałby ludzi, z którymi nie powinien mieć kontaktu. Ale gdyby znów narozrabiał, niech mi pani da znać. Zawsze mogę podjąć kilka szybkich kroków proceduralnych i napędzić mu porządnego stracha.

– Dobrze. I jeszcze raz dziękuję – powiedziała Linda.

– *Bon soi* – odparł, zasalutował i odszedł.

– Dobry z niego człowiek.

– Nie zaprzeczam.

Wróciliśmy do mnie i stwierdziliśmy, że jesteśmy zbyt podekscytowani, żeby spać. W szufladzie w kuchni znalazłem talię kart i ponudziliśmy się przy kilku partyjkach. W końcu zgasiliśmy światło i zdrzemnęliśmy się, przytuleni do siebie.

Nazajutrz rano zawiozłem Linde do jej mieszkania i wszedłem na górę. Przebrała się w liliową garsonkę, wyprowadziła z podziemnego parkingu wynajęty samochód i pojechała do szkoły. Ja załatwiłem kilka spraw i też ruszyłem do szkoły. Kawałki frędzli wciąż wisały na płocie. Poza tym podwórko szkolne było spokojne – niemal upiorne. Smutek kontrastujący z wydarzeniami poprzedniego dnia.

Czekałem w gabinecie Lindy, podczas gdy ona sprawdzała, czy na skutek wczorajszego koncertu nie pojawiły się u dzieci jakieś problemy przystosowawcze. Kilkoro nauczycieli doniosło o drobnych przypadkach niesubordynacji, ale nie było to nic, z czym nie mogliby sobie poradzić. Około południa spotkałem się z tymi nauczycielami i gdy przekonałem się, że wszystko idzie gładko, opuściłem budynek szkolny.

O 13.00 zadzwonił Mahlon Burden.

– Czy są jakieś postępy, doktorze Delaware?

– Wczoraj wieczorem widziałem się z pańskim synem.

– Doskonale. I co?

– Nie powiedział mi o Holly nic nowego, ale wspomniał, że jakiś miesiąc temu złożył mu pan wizytę. Był pan zaniepokojony zachowaniem córki.

Odpowiedział dopiero po chwili.

– Tak, to prawda. Wiedziałem, że Howard... przemyślał ją do siebie, do domu. On i jego żona sądzili, że o tym nie wiem, ale oczywiście wiedziałem. Ponieważ spędzali ze sobą więcej czasu, pomyślałem, iż może potrafi mi wyjaśnić, dlaczego ona jest taka smutna.

– Smutna?

– Przygaszona. Niekomunikatywna. Bardziej niż zwykle.

– Kiedy to się zaczęło?

– Niech sięgnę pamięcią – koniec września albo początek października. Pamiętam, bo właśnie wtedy ukazał się mój katalog jesienny. Przepraszam, że nie wspomniałem o tym, gdy pan u mnie był, ale tyle się działo... te wspomnienia... umknęło mi to. Nie funkcjonowałem na pełnych obrotach.

– Czy podejrzewał pan, że jej osowiałość powodował kontakt z Howardem?

– Niczego nie podejrzewałem, doktorze. Próbowałem jedynie wysunąć jakieś hipotezy. Teraz oczywiście pan mi jedną poddał. Śmierć tego czarnego chłopaka. To się zdarzyło pod koniec września. On i Holly mogli być ze sobą bliżej, niż sądziłem. Co jeszcze pan o nim wie, poza tym, że był narkomanem?

– Niektóre osoby, które go znały, wątpią, że był narkomanem.

– Osoby?

– Ted Dinwiddie.

– Ted Dinwiddie. – Burden roześmiał się krótko. – Temu dość daleko do Einsteina. Howard kiedyś odrabiał za niego prace domowe. Gdzie zabito Novata?

– W południowym Los Angeles.

– W południowym Los Angeles. Przed zamieszkami nazywaliśmy tamten rejon Watts – nigdy tego nie potrafiłem pojąć, jak ludzie mogą palić swoje własne domy, plugawić swoje własne gniazda. Czy pana kolega, detektyw, wspomniał, do jakiego gangu należał ten chłopak?

– Nie ma dowodów, że należał do jakiegokolwiek gangu.

– W tym mieście narkotyki są równoznaczne z gangami – zawyrokował. – Przynajmniej tak się powszechnie twierdzi. Co jeszcze może mi pan o nim powiedzieć?

– Tylko tyle.

– A więc dobrze. Jakie mamy dalsze plany?

– Panie Burden, nie dowiedziałem się niczego, co by uniewinniło Holly. I szczerze mówiąc, nie widzę żadnych możliwości, aby do tego dojść.

– To dla mnie wielki zawód, doktorze – odparł po chwili, ale nie było słyhać w jego głosie zawodu ani zaskoczenia. – Czy rozważał pan możliwość porozmawiania z rodziną Novata; poszperania w jego przeszłości?

– Pochodził ze wschodu. Nie miał tutaj rodziny. Poza tym, panie Burden, nie sądzę, żeby to mogło być pomocne w osiągnięciu pana celu.

– Niby dlaczego, doktorze?

– Wydaje się, że to nie ma z Holly żadnego związku.

Odpowiedziała mi cisza po drugiej stronie.

– Przepraszam – powiedziałem. – Nie potrafię zaspokoić pańskich oczekiwań.

– Przykro mi, że pan tak to odbiera – odparł. – Może by pan wpadł znowu? Moglibyśmy zastanowić się nad tym wspólnie, wysunąć jakąś hipotezę.

– Może za jakiś czas – zbyłem go. – Obecnie jestem zapracowany.

– Rozumiem. Ale nie zamyka mi pan furtki?

– Nie. Nigdy nie zamykam furtki.

– To dobrze – rzekł, a po chwili dodał: – Wczoraj koło szkoły było niezłe zamieszanie. Dziennikarze i radny Latch sprowadzili piosenkarza rockowego, żeby zabawił dzieci. Szykuje sobie polityczną ściółkę?

– Tak.

– Czemu nie? – ironizował. – Trzeba korzystać z chwili. Jeszcze trochę i będą tańczyć na grobie mojej córki.

* * *

Godzinę później zadzwonił Milo i opowiedziałem mu o spotkaniu z Howardem Burdenem. Opisałem zaburzenia psychiczne, które Howard zauważył u swojej siostry po śmierci Novata, i to jak chwyciła karabin, a potem powtarzała słowa bez związku: „W Azji dwa”.

– Dlaczego w Azji? – spytał.

– Nie mam pojęcia.

– Hmm – mruknął. – Dwa, bo może chciała ukatrupić dwie osoby? Massengila i kogoś jeszcze.

– Latcha?

– Może – powiedział. – Dwóch gagatków za jednym zamachem. Spełnienie obywatelskiego obowiązku. A może planowała wykończyć Massengila w szkole i pojechać gdzieś w poszukiwaniu ofiary numer dwa. Tacy wariaci często mają wyszukane plany-ułudy. Ale tobie przecież tego nie muszę mówić, prawda? W każdym razie to tylko umacnia obraz samotnego zamachowca. Złapała za broń dobre dwa tygodnie przed strzelaniną – to znak, że o tym rozmyślała. Była psychicznie roztrzęsiona od początku, zestresowała ją jeszcze śmierć Novata, nie mogła się pozbierać, przez półtora miesiąca hodowała swój gniew, podeszła do stojaka z bronią, oswoiła się z nią. A potem bum! Jak mi idzie analiza psychologiczna?

– Nieźle.

– Jej tatusiowi się to nie spodoba.

– Przed chwilą z nim rozmawiałem. Odroczyłem spotkanie z nim.

– Do kiedy?

– Na czas nieokreślony.

– Nie miałeś sumienia go odsunąć definitywnie?

– Nie mogę mu nic zaoferować. A jeśli się nie mylę, jest bliski załamania. Nie chciałem sprawiać mu przykrości.

– Sądziłem, że nie lubisz tego faceta.

– Nie lubię, ale staram się być odpowiedzialny. Poza tym ten facet jest godny pożałowania. Syn go nienawidzi. To jasne, że chciał, żebym z nim porozmawiał, ponieważ nie utrzymują ze sobą żadnych kontaktów. Więc nie mogłem być dla niego przykry.

– To ciekawe – stwierdził Milo.

– Co takiego?

– Taka praca, w której cały czas musisz uważać, jak się zachowujesz, troszczyć się o uczucia innych osób.

– To również część twojej pracy.

– Czasami. Ale na ogół ludzie, o których muszę się troszczyć, są martwi. Skoro już mówimy na ten temat, to skontaktowałem się z Uniwersytetem Santa Monica. Novato zapisał się na semestr letni, ale po tygodniu przestał chodzić.

– To wystarczająco długo, żeby dać ogłoszenie w Ośrodku Zatrudnienia.

– Też tak pomyślałem. Pewnie po to w ogóle się zapisał. Żadnego dowodu tożsamości, żadnych referencji, trudno by mu było znaleźć pracę.

– Dinwiddlemu pewnie się podobało, że to student. Ma słabość do czasów szkolnych.

– Ale po co Novacie była potrzebna kiepsko płatna posada, skoro sprzedawał narkotyki – zastanawiał się Milo.

– Dla kamuflażu? Smith powiedział, że zaczynają działać w przemyślany sposób.

– Może. Na razie nie wiem, czy którykolwiek z tych tropów wart jest drażenia. Moja informatorka z Ośrodka Dokumentacji Zagłady Żydów przylatuje dzisiaj z Chicago. Mam spotkanie o piątej. To ostatnia rzecz, jaką w tej sprawie robię. Byłeś kiedyś w tym ośrodku?

– Nie.

– Powinieneś to zobaczyć. Każdy powinien.

– Mam czas o piątej.

– Twoim samochodem.

* * *

Rusztowanie i drewniany parkan znaczyły plac budowy obok jednopiętrowego budynku, skonstruowanego z białych cegieł i czarnego marmuru.

– To muzeum – powiedział Milo. – Dom Tolerancji, Zaczęli fundamenty w zeszłym miesiącu.

W promieniu pół przecznicy od placu budowy panował korek uliczny. Warczały agregaty, unosił się gliniany pył, huk młotów pneumatycznych i wycie pił wznosiły się ponad jękiem terkoczących silników. Pośrodku Pico stał człowiek w kasku i pomarańczowej kamizelce. Dawał wskazówki dźwigowi wyjeżdżającemu tyłem na bulwar. Policjantka z drogówki, wyposażona w gwizdek i białe rękawiczki, wstrzymywała bezustannie powiększający się korek potulnych samochodów.

Milo przesunął się do środka cadillaca i spojrział we wsteczne lusterko. Chwilę później znowu spojrział.

– O co chodzi? – spytałem.

– O nic. – Wzrok latał mu tam i z powrotem.

– Mów, Milo.

– Nic takiego. Jakiś czas temu wydawało mi się, że ktoś siedzi nam na ogonie. To prawdopodobnie nic ważnego.

– Prawdopodobnie?

– Nie podniecaj się tak. – Oparł się wygodnie.

– Gdzie go widziałeś?

– Obok wytwórni filmowej Fox. To pewnie moja wyobraźnia. – Teraz zdaje mi się, że nikt nas nie śledzi, ale jest zbyt duży tłok, żeby mieć pewność.

– Może to nie była twoja wyobraźnia. W zeszłym tygodniu dwukrotnie miałem takie samo wrażenie.

– Naprawdę?

– Też zwałem to na wyobraźnię.

– I tak prawdopodobnie było.

– Prawdopodobnie?

– Już ci powiedziałem, Alex, nie podniecaj się tak. Nawet, jeśli ktoś nas śledził, był pewnie z policji.

– Po czym tak sądzisz?

– Po samochodzie. Plymouth sedan. Szary, czarne, grube opony, antena radiowa. Oprócz wydziału narkotykowego, gdzie jeżdżą skonfiskowanymi, wystrzałowymi maszynkami, policja jeszcze nie odkryła, że samochód może wyglądać nieco ciekawiej.

– Dlaczego policja miałaby nas śledzić?

– Nie nas. Mnie. Może komuś nadepnałem na odcisk. Mam wielkie stopy. – Poruszył półbutami.

– Frisk? – spytałem.

Wzruszył ramionami.

– Pewnie tak. To w stylu Kena, ale może być równie dobrze ktoś inny. Nie byłem nigdy szczególnie lubiany.

– A ci, którzy mnie śledzili? Jestem współwinny, bo zadaję się z tobą?

– Ci? Ilu ich było?

– Za każdym razem dwoje. Najpierw w brązowej toyocie, a potem w sedanie.

– Jak na policję to trochę zbyt wymyślne. Kiedy i gdzie to miało miejsce?

– Zawsze późnym wieczorem. Gdy wracałem z restauracji. Pierwszym razem byłem sam, na Santa Monica. Drugi raz ostatniej niedzieli, z Lindą, na Melrose, niedaleko La Brea.

– Jak długo za tobą jechali?

– Niedługo. – Opowiedziałem mu, jak skręciłem na stację benzynową, żeby zgubić brązową toyotę.

Uśmiechnął się.

– Bystry ruch. Agent 007. Co zrobili, gdy wjechałeś na stację?

– Nic. Pojechali dalej.

– A drugi raz?

– Wjechałem w boczną ulicę i zgubiłem ich.

– Nie wygląda na to, żeby cię śledzili – rzekł. – A w samochodzie, który widziałem przed chwilą, był facet – zwykły pies gończy. I nie siedział nam tuż na ogonie. Trzymał się z tyłu, tak jak tego uczą w szkole policyjnej. Dlatego przyciągnął moją uwagę. Ten odstęp. Profesjonalizm. Cywil by tego nie zauważył. Nawet teraz nie jestem pewien, czy to nie był po prostu ktoś, kto przypadkiem jechał tą samą drogą. Jeśli wydział zadał sobie tyle trudu, żeby mnie śledzić przy pomocy dwóch ludzi, jest szansa, że w innym samochodzie siedzi drugi facet i się zmieniają. Z kolei ci twoi byli widoczni jak diabli – widziałeś ich, prawda? Co pozwala mi sądzić, że cię nie śledzili. Myślę, że winna jest jednak twoja wyobraźnia, Alex.

– Twoje obserwacje są prawdziwe, a moje to bzdury?

– Po prostu patrzę na to pod odpowiednim kątem – odparł. – Moje to pewnie też bzdury.

Oparł się, prowokacyjnie wyciągnął nogi i ziewnął.

Dźwig w końcu odjechał i ruszyliśmy. Gdy skręciliśmy za róg, Milo przyjrzał się samochodom, które przemknęły obok nas.

– I nic – powiedział. – Zapomnijmy o całej sprawie.

Zaparkowaliśmy za ośrodkiem na parkingu dla gości i obeszlśmy budynek wokół, do głównego wejścia. Przeszliśmy przez wykrywacz metali i podpisaliśmy się na liście u strażnika w cywilnym ubraniu, stojącego w otwartej wartowni. Był młody, miał ostre rysy twarzy, przyszyżone czarne włosy, silnie zarysowany podbródek i przeszywający wzrok.

Milo pokazał mu swój dowód i powiedział:

– Przyjechaliśmy, żeby spotkać się z Judy Baumgartner.

– Proszę poczekać – odparł strażnik. Mówił z obcym akcentem. Przeszedł kilka kroków w głąb holu i zadzwonił.

– Izraelita – wyjaśnił Milo. – Od czasu tych swastyk zatrudniają jako strażników ludzi, którzy pracowali w służbach wywiadowczych. Bardzo uparci. Czasami naprawdę ciężko ich strawić, ale swoją pracę wykonują nienagannie.

Strażnik wrócił do lady.

– Zejdzie za kilka minut. Mogą panowie tam poczekać. – Wskazał w kierunku schodów. Nad nimi wznosił się podest z czarno-białym freskiem przedstawiającym twarze o szerokich oczach. Przerażone twarze. Przywiodły mi na myśl transmisję telewizyjną w dniu strzelaniny.

– Możemy popatrzeć na wystawę? – spytał Milo.

Strażnik wzruszył ramionami.

– Jasne.

Zeszliśmy do sutereny. Ciemny korytarz, odgłosy pisania na maszynie i dzwoniących telefonów. Kilka zaaferowanych osób przemierzających korytarz w jakimś celu.

Na prawo od schodów znajdowały się czarne drzwi z napisem: WYSTAWA.

– Tymczasowo – powiedział Milo – do chwili ukończenia muzeum.

Otworzył drzwi prowadzące do bardzo chłodnego pomieszczenia o powierzchni około dziesięciu metrów kwadratowych, o białych jak w galerii ścianach i z szarą wykładziną na podłodze. Wzdłuż ścian wisiały powiększone fotografie.

Milo ruszył w obchód. Podążyłem za nim.

Pierwsze zdjęcie: oddziały szturmowe kopią i biją starych Żydów na ulicach Monachium.

Drugie: obywatele o zdecydowanym wyglądzie maszerują z transparentami

RAUS MIT

EUCH DRECKIGE

JUDEN!

Zatrzymałem się, odetchnąłem głęboko i ruszyłem dalej.

Żołnierz w oficerkach i rogatywce, w wieku zaledwie dziewiętnastu czy dwudziestu lat, nożycami blacharskimi ucina brodę przerażonemu dziadkowi, podczas gdy inni żołnierze patrzą z rozbawieniem.

Porozbijane i zniszczone witryny sklepowe w Berlinie po *Kristallnacht*. Swastyki. Plakaty wypisane pismem gotyckim.

Porozrywane budynki. Zmasakrowane twarze.

Tryptyk w połowie pierwszej ściany sprawił, że się zatrzymałem, mimo że Milo szedł dalej. Zimowa scena. Las. Ogromne świerki, zasypane śnieżne. Na pierwszym planie rząd nagich kobiet i mężczyzn, skulonych na skraju wykopanych dołów. Niektórzy wciąż z łopatami w rękach. Dziesiątki wycieńczonych twarzy, zapadniętych piersi, i skurczonych genitaliów. Ofiary obscenicznie gołe pośród śnieżnego piękna bawarskiej wsi. Za więźniami tuzin SS-manów uzbrojonych w karabiny.

Następne zdjęcie. Żołnierze przykładają broń do ramion. Oficer trzyma pałkę. Większość kopiących jest odwrócona plecami, ale jedna kobieta stoi twarzą do żołnierzy, krzyczy z szeroko otwartymi ustami. Ciemnooka, ciemnowłosa kobieta, ze skurczonymi piersiami, z łonowym wiechciem ciemnej rany na białym ciele.

Następne ujęcie. Ciała, stosy ciał wypełniających doły, zmieszane ze śniegiem. Jeden z żołnierzy bagnetem kłuje trupa.

Zmusiłem się, żeby przejść dalej.

Zbliżenia kolczastego drutu – żelazne kły. Napis po niemiecku. Strzęp czegoś przywarty do kłów.

Warczące psy.

Powiększenie dokumentu. Kolumny cyfr, proste marginesy, pięknie wydrukowane, schludne jak rachunki księgowego. Naprzeciw każdej kolumny ręcznie wpisane słowa. Bergen-Belsen. Gotha. Buchenwald. Dachau. Dortmund. Auschwitz. Landsberg. Majdanek. Treblinka. Przy każdej nazwie kod cyfrowy. Liczba trupów. Cyfry. Przerazająca arytmetyka...

Znów śnieżnobiałe plenery: zbielełe kości. Całe stosy. Kości udowe, piszczele i kości palców, białe jak klawisze fortepianu. Rozszarpane miednice. Nerozpoznawalne szczątki i fragmenty. Góra kości opierająca się na opoce piachu i żwiru. Niepojęty Everest kości, przybrany czaszkami bez szczęk.

Zakręciło mnie w żołądku.

Znów powiększony dokument; wielosylabowe niemieckie słowa. Podpis z tłumaczeniem: TECHNIKI PRZETWÓRSTWA. Ostateczne rozwiązanie.

Szczegółowa lista przeznaczonych do zagłady. Żydzi. Cyganie. Wywrotowcy. Homoseksualiści.

Spojrzałem na Mila. Był po drugiej stronie sali, odwrócony do mnie plecami. Ręce w kieszeniach, przygarbiony, potężny i drapieżny jak niedźwiedź na nocnych łowach.

Szedłem dalej, przyglądając się uważnie.

Gablotka z pojemnikami na cyklon B. Druga, zawierająca postrzępione, pasiaste ubranie ze zgrzebnego płótna.

Małe dzieci wpędzane do pociągów. Przerazone, zapłakane. Malutkie rączki wyciągające się do matczynej miłości. Twarze przyciśnięte do okna pociągu.

Inna grupa dzieci – w nieskazitelnych mundurkach. Maszerują pod transparentem ze swastyką i wykonują salut wyprostowaną ręką.

Czarne szubienice na tle pochmurnego nieba. Dyndające na nich trupy, stopami prawie dotykające ziemi. Podpis wyjaśniający, że zapadnia została specjalnie tak zaprojektowana, żeby osuwała się tylko nieznacznie, w celu przedłużenia śmierci przez powolne duszenie się.

Wieże strażnicze.

Znów drut kolczasty ciągnący się milami.

Ceglane piece.

Palety ze zwęgloną, spaloną masą.

Tłuste koty liżące sterty tej masy.

Wyłożone kafelkami laboratoria przypominające prosektorium. Zlewy pełne szklanych naczyń. Części ludzkiego ciała na stołach.

Akapit objaśniający badania naukowe w Trzeciej Rzeszy. Eksperymenty z lodowatą wodą. Eksperymenty z kolorem oczu. Eksperymenty ze sztuczną inseminacją. Eksperymenty z krzyżowaniem gatunków. Zastrzyki z benzyny dla stwardnienia naczyń krwionośnych. „Zabiegi” bez narkozy, żeby zbadać granice tolerancji bólu. Badania nad bliźniakami. Badania nad karłami. Poważnie wyglądający mężczyźni w białych kitlach, dzierżący skalpele jak broń.

Rzędy grobów przed „sanatorium”.

Stanęliśmy z Milem naprzeciw siebie. Gdy dostrzegłem wilgoć w jego oczach, zdałem sobie sprawę, że moje też są wilgotne.

Czułem się, jakbym miał gardło pełne kurzu. Chciałem coś powiedzieć, ale na myśl, że mam się odezwać, zabolowało mnie w piersi.

Odwróciłem się od niego i wytarłem oczy.

Otworzyły się drzwi galerii. Weszła jakaś kobieta i powiedziała:

– Cześć, Milo. Przepraszam, że musiałeś czekać.

Jej radosny głos wstrząsnął mną jak kąpiel w lodowatej wodzie.

Miała około czterdziestu pięciu lat, była wysoka i szczupła, o długiej szyi i niewielkiej, owalnej twarzy. Włosy miała krótkie, siwe i sterczące. Była ubrana w jedwabną wzorzystą sukienkę w odcieniach fiołkowo-różowych i niebieskich i w fiołkowo-różowe zamszowe buty. Na jej identyfikatorze widniał napis: J. BAUMGARTNER, STARSZY PRACOWNIK NAUKOWY.

Milo uściśnął jej dłoń.

– Dzięki, że mnie przyjąłeś z tak nagłą wizytą, Judy.

– Dla ciebie wszystko, Milo. Jeśli wyglądam jak wrak, to dlatego, że spędziłam cztery godziny na O’Hare, czekając na odlot. To lotnisko to prawdziwe zoo.

Wyglądała idealnie rześko.

– To jest Alex Delaware – przedstawił mnie Milo. – Alex, Judy Baumgartner.

Uśmiechnęła się.

– Miło mi cię poznać, Alex.

– Nigdy wcześniej tu nie był – powiedział Milo.

– Więc witam cię szczególnie gorąco. Jakie wrażenia?

– Cieszę się, że to zobaczyłem.

Mówiłem napiętym głosem. Skinęła głową.

Wyszliśmy z galerii i ruszyliśmy korytarzem do małego pokoju, umeblowanego czterema szarymi metalowymi biurkami ustawionymi w kwadrat. Przy trzech siedzieli młodzi ludzie – dwie dziewczyny i jeden chłopak w wieku studenckim. Wczytywali się w jakieś rękopisy i robili notatki. Powitała ich, odpowiedzieli i wrócili do pracy. Ściany były zastawione regałami z takiego samego szarego metalu. Na blacie wolnego biurka stało kartonowe pudełko.

– W moim gabinecie odbywa się zebranie, więc musimy się zadowolić tym pomieszczeniem – powiedziała Judy.

Usiadła przy biurku z pudełkiem. Milo i ja przysunęliśmy krzesła.

Wskazała na pudełko.

– Rzeczy Ike'a. Poprosiłam sekretarkę, żeby zajrzała do katalogu biblioteki i wyjęła wszystko, co od nas pożyczał. Tyle tego.

– Dzięki – ucieszył się Milo.

– Muszę ci powiedzieć – rzekła – że wciąż jestem tym strasznie roztrzęsiona. Kiedy otrzymałam w Chicago wiadomość, iż chcesz się ze mną zobaczyć, pomyślałam, że to może w sprawie tych zbrodni albo jakiś postęp w sprawie Kaltenbluda. A gdy wróciłam i Janie powiedziała mi, czego potrzebujesz...

Potrząsnęła głową.

– Był takim miłym dzieciakiem, Milo. Przyjacielski, godny zaufania, naprawdę godny zaufania. Dlatego, kiedy przestał przychodzić do pracy, bardzo się zdziwiłam. Usiłowałam odszukać numer, który mi podał, gdy starał się o przyjęcie do pracy jako wolontariusz, ale nie znalazłam. Ktoś musiał go wyrzucić. Mamy mało miejsca, ciągle ktoś coś wyrzuca. Przykro mi.

– Pracował tutaj? – spytał Milo.

– Tak. Janie ci nie powiedziała?

– Nie. Wiedziałem jedynie, że pożyczał książki, prowadził jakieś badania.

– Prowadził badania dla mnie, Milo. Przez ponad dwa miesiące. Nigdy nie opuścił ani jednego dnia. Był bardzo oddany pracy. To, że nagle przestał przychodzić, nie dawało mi spokoju. To było do niego niepodobne. Pytałam innych wolontariuszy, czy wiedzą, co się z nim stało, ale nie mieli pojęcia. Nie zaprzyjaźnił się z nikim. Był zamknięty w sobie. Próbowałam odszukać jego numer, ale nie figurował w książce telefonicznej. W końcu, gdy nie pokazywał się przez kilka tygodni, przypisałam to porywczej młodości. Doszłam do wniosku, że przeceniłam jego dojrzałość. Nigdy nie sądziłam... nie wiedziałam. Jak to się stało, Milo?

Milo opowiedział jej o strzelaninie, dodał, że to się zdarzyło w zaułku narkotykowym, ale nie wspominał o raporcie toksykologicznym.

Zmarszczyła brwi.

– Nie wyglądał na ćpuna. Jeśli jakiś dzieciak był czysty i porządny, to właśnie Ike. Niezwykle porządny, aż za poważny jak na swój wiek. Miał naprawdę... lotny umysł. Jak to się można pomylić, prawda?

– Kiedy zaczął pracę jako wolontariusz?

– Pod koniec kwietnia. Przyszedł z ulicy i powiedział, że chce pomagać. Dobrze wyglądający dzieciak, z zapałem w oczach, pełen werwy. Przywodził mi na myśl studentów z lat sześćdziesiątych. Nie przyjął go z otwartymi ramionami. Chciałam mieć pewność, że ma ochotę robić to naprawdę, że to nie jest tylko słomiany ogień. I szczerze mówiąc, zdziwiłam się bardzo. Nie cieszymy się specjalnym zainteresowaniem młodzieży nieżydowskiej i po tych wszystkich napięciach pomiędzy Czarnymi i Żydami, jakie niedawno miały miejsce, to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałam, by czarny dzieciak chciał prowadzić badania na temat zagłady Żydów. Ale wydawał się naprawdę szczerzy. I do tego bystry. Bardzo szybko się uczył, a to dzisiaj rzadkość. Ci utalentowani zajmują się wyłącznie pracą zawodową, szybko się bogacą. Tacy jak ta trójka – wskazała w stronę sąsiednich biurów – są wyjątkiem.

– Czy oni znali Ike'a?

– Nie. Dopiero zaczęli. Stażyści jesienni. W grupie letniej była trójka studentów z Uniwersytetu Yeshiva w Nowym Jorku, po jednym z Browna i z Uniwersytetu Nowojorskiego oraz Ike. Z Uniwersytetu Santa Monica. Wszyscy pozostali powrócili na semestr jesienny. Ike nie zadawał się z nimi. To typ samotnika.

– Powiedziałaś, że był przyjacielski.

– Tak. To dziwne, prawda? Teraz, gdy o tym wspomniałaś. Był przyjacielski, uśmiechał się często, był układny, ale zdecydowanie zamknięty w sobie. Kiedy Janie powiedziała mi, co się stało, sięgnęłam myślami wstecz i zdałam sobie sprawę, jak niewiele mi o sobie powiedział podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Przyjechał kilka miesięcy wcześniej ze wschodu, pracował i chodził do szkoły. Powiedział, że uwielbia historię, chciał być prawnikiem albo historykiem. Kierował rozmowę poza osobiste tematy, w stronę różnych zagadnień – historii, polityki, tego, jak ludzie potrafią zachowywać się nieludzko wobec siebie. Tak byłam poruszona jego zapałem, że poddałam

się temu, nie zadawałam pytań osobistych. Sądziś, że coś ukrywał?

– Kto wie? – powiedział Milo. – Nie ma żadnych śladów jego podania o pracę?

– Niestety nie. Wyrzucamy tony papierów. Żeby się nie zadławić makulaturą.

– Chciałbym móc sobie pozwolić na taki luksus. – Milo westchnął. – Po trzykroć.

– Ciesz się, że nie musisz się użerać z rządem federalnym. Po latach usilnych starań Departament Sprawiedliwości w końcu zaczął podawać nazwiska starych faszystów, którzy wciąż tu mieszkają. Wszyscy skłamali w podaniach o wizę i staramy się dobrać do tej zgrai. Spotykamy się z oskarżycielami federalnymi w różnych miastach, wypełniamy góry formularzy, próbujemy wpłynąć na nich, żeby szybciej przygotowywali dokumenty deportacyjne. Właśnie po to byłam w Chicago. Próbowałam dobrać się do dobrotliwego staruszka, który prowadzi piekarnię na południu miasta. Najlepsze wypieki w mieście, darmowe ciasteczka dla dzieciaków z sąsiedztwa. Tylko że czterdzieści pięć lat temu ten staruszek był odpowiedzialny za zagazowanie tysiąca ośmiuset dzieciaków.

Twarz Mila stężała.

– Dorwiesz go?

– Spróbuję. Ten przypadek wygląda dość obiecująco. Oczywiście, jak zwykle, będzie protest ze strony jego rodziny i przyjaciół. Że to nie ten gość. Że ten jest święty, muchy by nie skrzywdził. Że go ścigamy z powodu jego szlachetnej, antykomunistycznej przeszłości. Wiesz, za tym wszystkim stoi Moskwa. Że już nie wspomnę o całym miauczeniu ze strony tchórzliwych oferm, które uważają, że natura ludzka jest w gruncie rzeczy dobra i co było, to było. I oczywiście bezpardonowe antyżydowskie bzdury ze strony rewizjonistycznych durniów – pod hasłem: „Po pierwsze, to nigdy nie miało miejsca, a nawet, jeśli miało, to wyraźnie na to zasłużyli”. Neo-Bundyści.

– Neo-kto?

– Bundyści. – Uśmiechnęła się. – Przepraszam za te skróty. Chodziło mi o Bund Niemiecko-Amerykański. To był wielki ruch w tym kraju przed II wojną światową. Podawali się za towarzystwo dumy Niemiecko-Amerykańskiej, ale pod tym płaszczykiem kwitł amerykański faszyzm. Bundyści udzielali się w ruchu izolacjonistycznym, nawoływali przeciw amerykańskiej ingerencji w wojnę, zasłaniając się pierwszą poprawką do konstytucji, naciskali, żeby wprowadzić przymusową sterylizację wszystkich azylantów – tego rodzaju rzeczy. I to wcale nie była mała grupa. Urządzali wiece w Madison Square Garden na tysiące osób. Były transparenty ze swastykami, marsze Brązowych Koszul, pieśń *Horst Wessel*. Mieli paramilitarne obozy treningowe – aż dwadzieścia cztery – gdzie były bunkry. Chcieli utworzyć niemieckojęzyczną kolonię – Sudetenland – w stanie Nowy Jork. Pierwszy krok w stronę aryjskiej Ameryki. Ich przywódcy byli płatnymi agentami Trzeciej Rzeszy. Wydawali gazety, utrzymywali biuro prasowe, wydawnictwo o nazwie Flanders Hali. Cieszyli się poparciem Charlesa Lindbergha i Henry’ego Forda, Fritza Kuhna, który był chemikiem z zakładach Ford Motors – i całej masy polityków. Zadawał się z nimi Ojciec Coughlin, Gerald L. K. Smith i wielka liczba innych świrów. Ale po Pearl Harbor ich przywódcy zostali

zatrzymani za szpiegostwo oraz akcje wywrotowe i wsadzeni do więzienia. To przyhamowało ruch, ale go nie zniweczyło. Tak to już jest z podobnymi ekstremizmami. To niczym odradzający się nowotwór – trzeba zawsze na niego uważać, usuwać go. Dzisiaj to skinheadzi, rewizjoniści... którzy uważają, że zagłada Żydów nigdy nie miała miejsca. Wykorzystują ciężką sytuację gospodarczą. Najnowsza rzecz to odynizm. Jakaś stara religia nordycka. Odrzucają chrześcijaństwo, ponieważ ewoluowało z judaizmu. Jest jeszcze inna grupa – uważają się za prawdziwych hebrajczyków. My, Żydzi, jesteśmy poniżej człowieczeństwa, jesteśmy potomstwem Ewy i szatana. Farrakhan mówi to samo – biali separatyści pokazali się na jednym z jego wieców i przekazali pieniądze.

– To świr – stwierdził Milo.

– Ale niebezpieczny. Pracujemy po godzinach, żeby mieć ich wszystkich na oku.

– Czy Novato brał udział w dochodzeniach przeciwko komuś z nich?

– Nie. Wolontariuszy trzymamy z dala od takich spraw – to zbyt niebezpieczne. W tym tygodniu miałam już dwie pogróżki, że zginę. Pracował w bibliotece – układał książki na półkach, zajmował się katalogiem przedmiotowym. Przedstawiałam mu listę haseł i prosiłam, żeby mi je wyszukał. Czasami wysyłałam go do innych bibliotek do Uniwersytetu Los Angeles, do Hebrajskiego Union College, albo do gmachu władz federalnych, żeby odebrał jakieś dokumenty. Miał motocykl, co sprawiało, że świetnie sobie z tym radził. W wolnych chwilach na ogół czytał. Siedział w bibliotece, aż do zamknięcia, a potem zabierał materiały do domu.

Zerknęła na pudełko.

– Przejrzałam to. Przede wszystkim historia zagłady Żydów. Korzenie i struktura partii faszystowskiej i ugrupowań neofaszystowskich. To w każdym razie zabierał do domu. Mamy bardzo bogaty księgozbiór dotyczący praw obywatelskich i zgromadziliśmy cały sektor o niewolnictwie. Ale nie pożyczał nic z tych dziedzin. Zdziwił mnie. To mi przypomina, jak łatwo jest popadać w stereotypy – bez przerwy trzeba je zwalczać. Jednak po raz pierwszy widziałam, żeby czarny dzieciak skupiał się wyłącznie na zagładzie Żydów. W nim było coś takiego, Milo. Naiwność? Optymistyczna szczerłość? Coś, co naprawdę poruszało. Wiadomo było, że za kilka lat straci wiele złudzeń. Może nawet wszystkie. Ale na razie przyjemnie było to widzieć. Dlaczego ktoś mógł chcieć go zabić? – Przerwała. – Dość głupie pytanie, zważywszy na to, że to ja je zadaję.

– To zawsze dobre pytanie – powiedział Milo. – Tylko że odpowiedzi są często beznadziejne. Czy kiedykolwiek wspominał jakąś rodzinę lub przyjaciół?

– Nie. Jedyne raz, kiedy cokolwiek mówił na tematy osobiste, to było pod koniec jego... To musiało być na początku września. Wszedł do mojego gabinetu, żeby przynieść jakieś książki i gdy je już położył, nie wychodził. Z początku nawet nie zauważyłam – byłam w czymś pogrążona po uszy. W końcu zdałam sobie sprawę, że on wciąż jest i podniosłam wzrok. Wydawał mi się jakiś nieswój. Zdenerwowany. Spytałam, co go trapi. Zaczął mówić o pewnych zdjęciach, które znalazł, gdy pracował przy katalogach – zdjęcia martwych dzieci wywożonych do krematoriów. Eksperymenty doktora Mengele. Bardzo go to poruszyło. Czasami to uderza jak grom z jasnego nieba. Mimo że widziało się tysiące innych zdjęć, jedno wyprowadza z równowagi. Zachęciłam go, żeby ze mną

porozmawiał, żeby to z siebie wyrzucił. Pozwoliłam mu mówić. Dziwił się, dlaczego, jeśli istnieje Bóg, pozwala, żeby działy się takie rzeczy? Dlaczego takie okropne historie przytrafiły się dobrym ludziom? Dlaczego ludzie nie mogą być dla siebie dobrzy? Dlaczego ludzie się zawsze zdradzali, dlaczego się nad sobą pastwili?

Gdy skończył, powiedziałam mu, że ludzkość zadaje sobie te pytania od początku istnienia. I nie potrafię mu na nie odpowiedzieć, ale fakt, że je zadaje, świadczy, iż wznosi się ponad tłumem i że jest w nim pewna głębia. Kluczem do ulepszenia świata jest bezustanne zadawanie pytań, przeciwstawianie się brutalności. I wtedy powiedział coś dziwnego. Powiedział, że Żydzi bezustannie zadają pytania i są mądrzy. Powiedział to niemal z tęsknotą w głosie – z czcią. Podziękowałam mu za komplement, ale powiedziałam, że my, Żydzi, nie mamy monopolu na cierpienie ani na lepszy światopogląd. Że wycierpieliśmy aż nadto prześladowań, tego rodzaju doświadczenia prowadzą do pewnej introspekcji, ale jeśli się nad tym zastanowić, Żydzi są jak wszyscy inni – dobrzy i źli. Myśli niektórych są głębokie, innych płytkie. Słuchał, a na jego twarzy pojawił się taki dziwny uśmiech, nieco smutny, nieco rozmarzony. Jakby rozmyślał o czymś innym. Nagle odwrócił się do mnie i spytał, czy lubiłabym go bardziej, gdyby był Żydem.

To naprawdę mną wstrząsnęło. Powiedziałam, że lubię go takim, jaki jest. Ale nie dawał za wygraną, chciał wiedzieć, jakbym się czuła, gdyby był Żydem. Powiedziałam mu, że z przyjemnością wykorzystalibyśmy w naszym plemienu taką błyszczącą drachmę. Spytałam, czy ma zamiar przejść na naszą wiarę. A on po prostu znowu się dziwnie uśmiechnął i powiedział, że powinnam być elastyczna w swoich kryteriach. Po czym wyszedł. Nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy.

– Co miał na myśli, mówiąc, „kryteria”?

– Jedyne rzecz, jaka przychodzi mi na myśl, to ta, że zastanawiał się nad przejściem na wiarę reformacyjną lub konserwatywną. Ja jestem ortodoksyjna – wiedział o tym – a ortodoksi mają ostrzejsze kryteria, więc może pytał o moją aprobatę, chciał, żebym była elastyczna w kryteriach zmiany wiary. To była dziwna rozmowa, Milo. Postanowiłam, że do niej wrócę, żeby go lepiej poznać. Ale przy tym natłoku pracy nigdy do tego nie doszło. Wkrótce przestał przychodzić. Przez jakiś czas zastanawiałam się, czy nie powiedziałam czegoś niewłaściwego, czy go w jakiś sposób nie zraziłam.

Przerwała, splotła dłonie. Otworzyła szufladę biurka, wyciągnęła paczkę papierosów, zapaliła jednego i wypuściła dym.

– I tyle z rzucania palenia. Mój pierwszy tydzień bez papierosa. Rozmowa na ten temat nie wpływa dobrze na moją siłę woli. Gdy otrzymałam wiadomość od ciebie, zastanawiałam się, czy było coś, czego ode mnie oczekiwał, a czego mu nie zaoferowałam. Czy w jakiś sposób nie...

– Daj spokój, Judy – powiedział Milo. – Takie myślenie do niczego nie prowadzi.

Wyciągnęła rękę z papierosem.

– Tak, wiem.

Milo wziął go i zgniół w popielniczkę.

– Tak o mnie dbasz? – spytała.

– Taka moja praca – odparł. – Chronić i służyć. Mam do ciebie jeszcze kilka pytań. Czy agresywne bandy znów was atakowały?

– Nic szczególnego się nie działo. Może tylko nieco więcej incydentów, co pewnie jest związane z sytuacją w Izraelu. Wiele broszur, które ostatnio do nas docierają, kładzie nacisk na retorykę antysyjonistyczną: Żydzi to ciemiężcy. Wspierajcie prawa Palestyny. Mają nowy haczyk od czasu, gdy ONZ uznała, że syjonizm to rasizm. Mogą sobie tym wesprzeć swoje przesłanie. A część finansów na najpodlejszą, antysemitką literaturę pochodzi z Arabii Saudyjskiej, z Kuwejtu i z Syrii, jestem więc pewna, że to wszystko jakoś się wiąże ze sobą.

– Kto może się włamywać do mieszkań i wypisywać na ścianach antysemitkie hasła?

– Wygląda to na wybryk jakichś wyrostków – powiedziała. – Dlaczego pytasz? Masz dużo takich przypadków? Jeśli tak, powinniśmy o tym wiedzieć.

– Tylko jeden incydent. W domu, w którym mieszkał kiedyś Ike i u jego sąsiadów. Jego gospodynią była Żydówka, a sąsiednie mieszkanie wynajmuje rabin, więc prawdopodobnie nie ma to z Ikiem żadnego związku.

– Milo, nie sądzisz, że został zabity, ponieważ tutaj pracował? – spytała.

– Nic na to nie wskazuje, Judy.

– Ale nie wyklucasz tego? Jesteś tutaj, ponieważ masz chociaż nikłe podejrzenia, że mógł zginąć z powodu swojej przynależności rasowej.

– Nie, Judy – odparł. – Jestem daleki od tego.

– Kennedy – przypomniałem mu cicho.

Odezwałem się po raz pierwszy od chwili, kiedy weszliśmy do tego pokoju. Oboje spojrzeli na mnie.

– Właśnie – powiedział Milo. – Jest jeszcze coś. Obok tych haseł antysemitkich napisali „Pamiętaj Johna Kennedy’ego!”. Czy to ci się z czymś kojarzy?

– Być może – powiedziała. – Zależy, o którym Johnie Kennedym mowa.

– Co masz na myśli?

– Jeśli nabazgrali John F. Kennedy, to nie ma to za bardzo sensu. Ale był jeszcze inny John Kennedy. Weteran Konfederacji. Mieszkał w Pulaski, w Tennessee i założył klub towarzyski dla innych weteranów Konfederacji, zwany Ku-Klux-Klanem.

– Uliczne łobuzy, które znają historię? – zdumiałem się.

Milo się nie odezwał.

* * *

Wyszliśmy, zabierając ze sobą karton książek, które pożyczał Ike Novato.

– Co myślisz? – spytałem.

– Kto to, do diabła, może wiedzieć?

– Coś mi się zdaje, że to zaczyna śmierdzieć bardziej polityką niż narkotykami. Zarówno Novato, jak i Sophie Gruenberg interesowali się faszystami. Oboje zostają zabici. Ktoś włamuje się do ich mieszkania i maluje hasła rasistowskie.

Milo zmarszczył brwi, potarł twarz. Zapiszczał jego pager.

– Mam znaleźć telefon? – spytałem.

– Nie, zadzwonię od ciebie.

Kiedy odłożył słuchawkę, powiedział:

– Muszę jechać, nowy trup. Nie martw się, nic wspólnego z faszystami. Paraplegik w domu starców na Palm. Chyba z przyczyn naturalnych.

– Jak to jest, że zastępca szefa wydziału zajmuje się talami sprawami?

– Jeden z pielęgniarzy odciągnął na bok mojego pracownika i powiedział mu, że wczoraj paraplegik miał się całkiem nieźle, a to nie był pierwszy dziwny zgon, jaki tam mieli. W tej placówce nie raz miało miejsce pogwałcenie kodeksu zdrowia. Pacjenci dostawali lanie, siedzieli we własnych gównach, nie otrzymywali lekarstw. Właściciel placówki ma koneksje polityczne. Mój pracownik się zdenerwował. Chciał się dowiedzieć, jaka jest procedura w takim wypadku. Procedura jest taka, że pojedę tam i zabawię się w pielęgniarkę.

Podszedł do drzwi.

– Masz na dzisiaj jakieś plany?

– Żadnych.

Wskazał na karton książek.

– Masz czas na lekturę?

– Jasne.

– Tu jest masa materiału. Może najpierw poszukaj zapisków na marginesach, podkreśleń, tego rodzaju rzeczy. Jak nie, to może trendy tematyczne wybranych przez niego książek – coś, co je ze sobą wiąże, coś bardziej szczegółowego niż zainteresowanie faszystami. Zależnie od tego, jak skomplikują się sprawy w Palms spróbuję dzisiaj się z tobą skontaktować. Ciekaw jestem, czy coś znajdziesz.

– Dostanę ocenę?

– Nie. Zdasz albo nie. Jak w życiu.

Rozdział dwudziesty szósty

Mahlon Burden zostawił wiadomość o czwartej.

– Kazał panu przekazać – powiedziała telefonistka – że jest gotów kontynuować od miejsca, w którym panowie skończyli. W każdej chwili.

– Dziękuję.

– Miał jakiś taki ochoczy głos – dodała. – Burden. Skąd ja znam to nazwisko?

Powiedziałem jej, że nie mam pojęcia, odłożyłem słuchawkę, dokończyłem od dawna odkładany raport i o siódmej zasiadłem do kartonu książek.

Pierwszy tom, jaki wyciągnąłem, to angielski przekład *Mein Kampf*. Przekartkowałem go, nie znalazłem zapisków na marginesach ani podkreśleń.

Druga książka była zatytułowana *To nie może się powtórzyć: czarna księga faszystowskiego horroru*, autorstwa Clarka Kinnairda. Duży, rozstrzelony druk, data wydania 1945 rok.

Przerzucając kartki, znalazłem notkę na marginesie strony 23. Tekst obok notki brzmiał:

„Jeśli się nie przyjmie, że Niemcy czerpali korzyści ze swoich ohydztw i ze swojej wojny, ich postępowanie jest niepojęte”.

Poniżej był opis korzyści finansowych, jakie faszyci czerpali z praw rasowych, które zezwalały im na konfiskatę własności Żydów. Obok ktoś napisał ołówkiem:

„Nic nowego: władza i pieniądze, niezależnie, które skrzydło”.

Przejrzałem inne strony, nie znalazłem więcej notatek. Jedyne przejrzyste napisana chronologia II wojny światowej i masa zdjęć, podobnych do tych, jakie widziałem na wystawie. Wciągnęły mnie te okropności i piętnaście po dziewiątej, kiedy wrócił Milo, wciąż czytałem.

– Masz coś? – spytał.

– Jeszcze nie. Jak tam w domu opieki?

– Nic szczególnie podejrzanego, patrząc pod kątem zabójstwa. Wbrew temu, co powiedział pielęgniarz, pacjent miał wcześniej kłopoty z oddychaniem. Muszę poczekać, aż koroner wyda definitywne oświadczenie co do przyczyny śmierci.

Spojrzał z obrzydzeniem.

– Tam jest jak w Disneylandzie – te wszystkie puste spojrzenia. Przypomnij mi, żebym zmienił testament. Pierwsze oznaki niedołęstwa i mają mnie wywieźć na pustynię i zastrzelić. Głodny jesteś?

– Nie bardzo. – Uniosłem książkę.

– Gdybym jadł tylko wtedy, gdy życie nie przysparza kłopotów, zagłodziłbym się, cholera, na śmierć.

* * *

Pojechaliśmy do baru sushi na Wilshire, niedaleko Yale. Nie byliśmy tam już jakiś czas i restauracja miała nowy wystrój. Sosnowy bar, parawany shoji i dźwięki japońskiej gitary zniknęły. Teraz ściany były pokryte czarnym i fioletowym aksamitem, wisały przyciemniane lustra, rockowe plakaty, wykonane techniką laserową, zainstalowano też system nagłaśniający, którego nie powstydziliby się nawet DeJon Jonson. Ten sam szef, ale nowe mundurki – czarne japońskie pidżamy i opaski na głowach. Kelnerzy wymachiwali nożami i ryczeli słowa powitania, przekrzykując dyskotekowe rytmy.

Milo popatrzył na nich i powiedział:

– Przypominają mi pieprzone małpy.

– Chcesz spróbować gdzie indziej?

Przyjrzał się przystawkom z surowych ryb na barze i potrząsnął głową.

– Potrawy nadal wyglądają nieźle. Jestem zbyt zmęczony, żeby teraz szukać.

Usiedliśmy przy stoliku jak najdalej od hałasu, zamówiliśmy mocną sake, wodę z lodem i masę jedzenia. Milo skończył szybko, zawołał kelnerkę i zamówił jeszcze krewetki. Gdy je podano, rzekł:

– O cholera.

– Co?

– Właśnie włączył się pager.

– Nie słyszałem.

– Bo nie wydawał dźwięku. Jest nastawiony na ciche wibracje – czuję, jak warczy mi w kieszeni. Rick uparł się, żebym taki nosił. Ma taki sam. Żeby, gdy pójdziemy do kina, nie przeszkadzać innym. Oczywiście, ostatnim razem byliśmy w kinie w 1985 roku.

– Wygląda jak zabawka z katalogu Burdena – skomentowałem. – Niezła technika jak na Wydział Policji.

– Jaki Wydział Policji? Rick to kupił. Prezent z okazji awansu. – Wytarł usta i wstał. – Wracam za sekundę. Nie ruszaj moich krewetek.

Nie było go znacznie dłużej niż sekundę, a gdy wrócił, miał bardzo przygnębiony wyraz twarzy.

– Co się stało?

– Jeszcze dwa trupy. Podwójne zabójstwo. – Władował sobie do ust krewetkę, rzucił pieniądze na stół i oddalił się szybkim truchtem.

Dogoniłem go.

– Po co ten pośpiech? Myślałem, że nie jesteś na służbie.

– Nie w tym wypadku. – Byliśmy na chodniku. Pobiegł szybciej. Przechodnie się przyglądali.

– O co chodzi, Milo? Znow masz robić za pielęgniarkę?

– O tak – powiedział. – I to jeszcze jaką. Jeden z trupów był niegdyś Samuelem Massengilem.

Miejsce to znajdowało się na Sherbourne, dwie przecznice od Beverly Hills. Porośnięta klonami ulica dobrze utrzymanych, dwupiętrowych bliźniaków i nowszych mieszkań. Spokojna dzielnica, zamożnej klasy średniej. Migoczące światła samochodów policyjnych były widoczne już z daleka jak prostacki intruz. Dzięki legitymacji Mila szybko przejechaliśmy. Policjant w mundurze skierował nas do jednego z bliźniaków po zachodniej stronie ulicy: białego, w stylu hiszpańskim, z ogrodzeniem z kutego żelaza i eleganckim ogrodem. Na podjeździe, pod łukowym zadaszeniem stał żółty fiat spider. Miał odblaskowe tablice rejestracyjne z napisem CHERI T. zamiast numeru. W poprzek murowanego łuku, który prowadził do dolnego wejścia, rozciągnięto taśmę policyjną. Obok zadaszenia rósł wielki oleander, przycięty na kształt drzewa, kwitnący na różowo.

Z domu wyszedł młody czarny policjant o długiej kościstej twarzy i powiedział.

– Jestem Burdette, sir. To ze mną pan rozmawiał.

– Co wiemy, Burdette? – spytał Milo.

Burdette spojrzał na mnie pytającym wzrokiem, ale nic nie powiedział.

– Dwa ciała z tyłu, obydwaj płci męskiej, biali, prawdopodobnie rany postrzałowe w głowę. Z pewnością nie żyją, ale mimo wszystko wezwaliśmy pogotowie. Po cichu, bez syren, tak jak pan kazał. Jeden to radny, drugiego nie znam. Mogą mieć dokumenty w kieszeniach, ale ich nie dotykaliśmy.

– Prawdopodobnie rany postrzałowe?

– Tak wygląda. Tam jest niezbyt dobre oświetlenie, a nie chcieliśmy podchodzić zbyt blisko, żeby nie zatrzeć śladów. Obok obydwu głów są obfite kałuże krwi, a nie dostrzegłem żadnych ran ciętych

ani uderzeń tępych narzędziem. Poza tym świadek... osoba, która o tym doniosła, słyszała strzały.

– Jesteście pewni, że to on?

– Tak, sir. Poznałbym tę twarz wszędzie, a osoba, która nas zawiadomiła, potwierdziła to.

– Gdzie jest ta osoba?

– W środku. Na parterze.

– Nazwisko?

Burdette wyciągnął notes i poświecił latarką.

– Nazwisko z jej prawa jazdy – Cheryl Jane Nuveen. Czarna, włosy czarne, oczy brązowe, metr sześćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt kilo. Data urodzenia ósmy czwarty pięćdziesiąty trzeci. Ten sam adres. Nienotowana. Ale niekoniecznie do końca w zgodzie z prawem.

– To znaczy?

– To profesjonalistka.

– Kurwa?

Burdette przytaknął.

– Ekskluzywna, ale nie ma wątpliwości, gdy się ją zobaczy. Jest wstrząśnięta, ale cwana. Gdy odpowiedziała na kilka pierwszych pytań i potwierdziła, że jeden nieboszczyk to on, odmówiła dalszych zeznań, dopóki nie będzie mogła porozmawiać ze swoim prawnikiem.

– Zadzwoiła już do niego?

– Jeszcze nie. Kazałem jej poczekać. Chciałem nadać sprawie jak najmniej rozgłosu, tak jak pan kazał. Nie naciskaliśmy jej.

– Dobrze – powiedział Milo. – Zanim się zacięła, dowiedzieliście się od niej, co tu zaszło?

– Zadzwoiła pod dziewięćset jedenaście. Powiedziała, że zdaje się jej, iż słyszała strzały za swoim domem i że zdaje się jej, że widziała dwóch leżących facetów. Dyspozytor przekazał nam to jako prawdopodobnie napad z bronią w ręku. Kod Dwa – ostry. Oczekiwaliśmy, że to jacyś przypadkowi ludzie, ale jak dojechaliśmy...

– Jak to my?

– Ziegler i ja. – Burdette wskazał palcem na postawnego, białego policjanta, który trzymał straż przy krawężniku.

– O której dotarła wiadomość?

– O dziesiątej cztery. Byliśmy na rogu Patrici i Pico, wstrzymano tam ruch i mieliśmy się tym zająć, ale zostawiliśmy wszystko i dotarliśmy tutaj o dziesiątej dwanaście, przeszukaliśmy dokładnie teren, zobaczyliśmy, kim jest jeden z nieboszczyków. Z ich ubrania wynikało, że nie znaleźli się tutaj przypadkowo. Potem weszliśmy do środka i zobaczyliśmy jej mieszkanie i sposób zachowania i złożyliśmy wszystko do kupy. Również fakt, że samochód radnego był zaparkowany z tyłu, a jej stał na podjeździe, znaczy, że prawdopodobnie składał jej wizytę. Przypuszczam, że nie chciał stawiać samochodu na ulicy, żeby nikt go nie poznał. Kiedy jej to powiedziałem, przyznała, że był u niej, że był klientem. Wtedy właśnie się zamknęła i spytała, czy może się przebrać. Nie pozwoliliśmy jej, chcieliśmy zachować wszystko tak, jak było.

– Dlaczego chciała się przebrać?

– Miała na sobie jedynie szlafrok... i chyba nic pod spodem.

– Dlaczego się nie przebrała, zanim przyjechaliście?

– Dobre pytanie, sir. Może była wstrząśnięta. Właściwie wyglądała na dość wstrząśniętą.

– Mimo że była cwana?

– Tak, sir.

– Czy jeszcze ktoś z nią mieszka?

– Nie, sir. To jej dom. Jest właścicielką całego budynku. Górę wynajęła jakiemuś malarzowi, ale ona twierdzi, że pojechał do Europy.

– Kurwa jako gospodyni – zdziwił się Milo. – I to ekskluzywna. Rozlew krwi nie jest dla niej taką codziennością jak dla dziewczyn, które stoją na ulicy. Zgadza się, mogła być wstrząśnięta. Co jeszcze?

– Zadzwoniliśmy do pana i zadzwoniliśmy po pomoc, żeby móc zabezpieczyć miejsce zbrodni, tak jak pan kazał. Użyliśmy tajnego pasma, żeby utrzymać to w tajemnicy i nie wspominaliśmy o tożsamości jednego z nieboszczyków. Przysłali nam Mardneza i tę nową policjantkę, Pelletier. Jest teraz z nią. Pomyśleliśmy, że kobiecie będzie łatwiej ją uspokoić, może nawet wyciągnie jakieś informacje. Ale ustaliliśmy, że nikt nie będzie na nią naciskał do czasu, aż pan przyjedzie. Osiemdziesiąt-dwadzieścia trzy przyjechał kilka minut później – to ten, co blokuje ulicę.

– Czy coś wskazuje, że zrobiła więcej, niż tylko powiadomiła o przestępstwie?

– Nie, sir, nic konkretnego.

– Czy podpowiada wam coś w tej kwestii wasza intuicja?

– Intuicja? – Burdette powtórzył to słowo rozwlekle. – Cóż, sir, doniosła o tym natychmiast – ciała

były jeszcze ciepłe, gdy przyjechaliśmy. Więc jeśli to ona strzelała, to nie jest zbyt rozgarnięta. Nie widzieliśmy w domu żadnej broni, ale nie szukaliśmy dokładnie. Sądzę, że wszystko jest możliwe.

– Jaki ma nastrój?

– Powiedziałbym, że jest zdenerwowana, sir. Dość wystraszona. Nie agresywna czy... z poczuciem winy, jeśli o to panu chodzi.

– Dobrze się spisaliście – powiedział Milo. – Techniczni i koronerzy?

– Jada.

– Dobrze. Rzućmy okiem za dom.

Burdette znów spojrział na mnie.

– To jest doktor Delaware – przedstawił Milo. – Jest psychologiem, konsultantem w sprawie strzelaniny na podwórku szkolnym. Waśnie odbywaliśmy spotkanie w tej sprawie, gdy zadzwoniliście. To jego cadillac stoi przed domem. Niech ktoś go przestawi w mniej widoczne miejsce, dobrze? – zwrócił się do Burdette'a, a do mnie powiedział:

– Proszę mu dać kluczyki, doktorze. Proszę za mną.

Wręczyłem kluczyki Burdette'owi.

– Prosto obok samochodu i przez podjazd – wyjaśnił. – Otoczyliśmy ich taśmą policyjną.

– Dajcie mi swoją latarkę – powiedział Milo.

Burdette podał mu ją i oddalił się, wymachując moimi kluczykami.

Przeszliśmy pod zadaszeniem na tylne podwórko, które było niewielkie i kwadratowe. Znajdował się tu podwójny garaż o płaskim dachu ze staromodnymi drewnianymi wrotami. Większa część podwórka była wybetonowana. Na wąskim pasku trawnika z północnej strony rosło drzewko brzoskwińowe i stał metalowy drąg, który miał służyć jako podpórka do sznura do suszenia bielizny. Nie było zewnętrznego oświetlenia, ale światło zza kotar okien z tyłu domu i reflektor na dachu sąsiedniego bliźniaka sączyły blady strumień na południową część posiadłości. Nieco światła padało na nowy model chryslera new yorker.

Przy samochodzie leżały na brzuchu dwa ciała, z rozpostartymi rękami i nogami, z głowami zwróconymi w bok. Wokół nich rozciągnięta była taśma. Upadli blisko siebie na beton – dzieliło ich mniej więcej pół metra. Ich nogi skrzyżowały się ze sobą, tworząc literę „V”, i spoczywały w luźnej, acz nienaturalnej pozie, właściwej nieboszczykom, którzy jeszcze nie zeszywnieli. Obydwaj byli ubrani w garnitury. Jeden w szary, drugi w beżowy. Lewa nogawka tego w beżowym zadarła się do góry, odsłaniając grubą, białą bryłę nieowłosionej łydki, która świeciła jak wypolerowana kość słoniowa. Od obydwu głów rozchodziły się plamy o nieokreślonych kształtach.

Zachowując dystans, Milo oświetlił podwórko latarką i przyjrzał się ich twarzom.

– To on, zgadza się. Nabrzmał od krwotoku. Pocisk pewnie nieźle w nim potańczył. Tam z tyłu, nad szyją, to wygląda na wlot. Prosto w rdzeń kręgowy. To była pewnie szybka śmierć. Taki sam postrzał dostał drugi, trochę wyżej, ale też czysto. Ktoś wyszedł stamtąd, zza samochodu, z boku garażu, zaskoczył ich i pach-pach. Z małej odległości. To profesjonalista, Alex, popatrz no. Czy to ten, o kim myślę?

Światło latarki spoczęło na twarzy nieboszczyka odzianego w beżowy garnitur. Korpulentny, z białą brodą, nalane policzki przyciśnięte do betonu. Święty Mikołaj ze szklanymi, niewidzącymi oczami pod nabrzmałymi powiekami.

– Dobbs – zdumiałem się.

– Cóż – powiedział. – Przypuszczałeś, że łączą ich jakieś pozazawodowe układy. Teraz możemy się domyślać jakie.

Wycofał latarkę, potrząsnął głową.

– I ty się skarżysz, że ci nie dają spokoju w domu.

* * *

Zachowując dystans, Milo naszkicował jakiś wykres, zrobił notatki, zmierzył, poszukał odcisków stóp i wydało mu się, że dostrzegł jakieś po drugiej stronie chryslera, z północnego końca garażu.

– Tam jest wilgotna trawa – powiedział. – I ziemia. Niski płot odgradzający podwórko sąsiadów. Łatwa droga ucieczki.

– I dobra kryjówka – zauważyłem.

Przytaknął.

– Nikt by go tu nie zauważył. Światło od sąsiadów nie dociera aż tak daleko. Podchodzą do samochodu, zrelaksowani i rozluźnieni. Trach-trach.

Nadal badał podwórko. Koroner, karetka pogotowia i technicy policyjni przyjechali tuż po sobie i na terenie zaroilo się od ludzi. Wycofałem się pod zadaszenie i czekałem, aż Milo wyda wszystkie polecenia, zada pytania, wskaże i zanotuje.

Gdy wreszcie skończył, wysunąłem się.

Spojrzał na mnie, jakby zapomniał, że tam jestem.

– Wysyłam policjantów po cywilnemu do obydwu ich biur, żeby się upewnić, że to nie jest coś

w stylu Watergate. Muszę porozmawiać z panią Nuveen. Jedź do domu. Ktoś mnie do ciebie podwiezie.

– Niedługo ściągnie prasa – powiedziałem. – Czy bardzo będę przeszkadzał, jeśli zostanę z tobą?

– Jeśli pojedziesz sobie teraz, w ogóle nie będziesz przeszkadzał.

– Przysięgam, że będę się dobrze zachowywał, panie policjancie.

Zawahał się.

– Dobrze. Chodź ze mną. I jak już tu jesteś, miej oczy otwarte i staraj się do czegoś przydać.

* * *

Salon miał kasztanowe błyszczące ściany i kremowy marmurkowy gzyms, sufit z ciemnymi belkami i ogrzewanie nastawione na trzydzieści stopni. Wystrój był utrzymany w tonie afrykańskiego safari podporządkowanego czyjemuś wyobrażeniu o paryskim salonie: skóry z zebry i tygrysa rozłożone na lśniącym parkiecie, stolik w kształcie nogi słoniowej, masa rżniętego kryształu, porcelana, parawany, zbyt mocno wyściełane fotele, obleczone czarno-kasztanowym, kwiecistym perkalem, dwa rzeźbione ciosy słonia na czworokątnej ławie ze stertą książek o sztuce, lampy w stylu art nouveau z abażurami z paciorków, ciężkie zasłony z brokatu ze złotymi obrąbkami, podwiązane na boki i odsłaniające czarne drewniane okiennice, kominek z zielonego marmuru i wszechobecny zapach piżma.

Siedziała na jednym z foteli. Wyglądała młodziej, niż na to wskazywała data urodzenia w prawie jazdy – dałbym jej poniżej trzydziestki. Mulatka o jasnokawowym odcieniu skóry. Powieki pomalowane na opalizujący niebieski kolor. Oczy szeroko rozstawione i rozbiegane. Miała długie, szczupłe brązowe nogi, wąskie stopy i perłoworóżowe paznokcie, pełne usta lśniące soczystym różem, mocną szczękę i proste włosy koloru czerwonej gliny, które sięgały za łopatki. Jej szlafrok był z tajskiego jedwabiu, w odcieniu królewskiej purpury, z jaszemowo-zielonymi smokami. Nie miał guzików i niewiele zakrywał. Przytrzymała go zielona szarfa. Ilekroć kobieta zaciskała szarfę, szlafrok znów się rozchyłał i odsłaniał jędrne, kawowe piersi. Bez przerwy krzyżowała i prostowała nogi, paliła superdługie shermany w kolorze pasującym do szlafroka i starała się powstrzymać dreszcze.

– Okay, Cheri – powiedział Milo, podając jej telefon z imitacji malachitu. – Proszę, zadzwoń do swojego prawnika. Powiedz, żeby przyjechał do ciebie do śródmieścia, do głównego aresztu.

Przygryzła wargę, pociągnęła papierosa i spojrzała na podłogę.

– Śródmieście. – Mówiła cichym lekko nosowym głosem. – Dawno tam nie byłam.

– Jestem pewien, że dawno, Cheri. Imperial Highway to dawna sprawa. A może to było na ulicach Sunset i Western?

Nie odpowiedziała.

– Muszę przyznać, że to miejsce robi wrażenie – stwierdził. – Kobieta, która sama się wykreowała. – Odstawił telefon i wziął ozdobną figurkę. Wiktoriańską damę z parasolką.

Zakręcił parasolką i powiedział:

– Z Hiszpanii, prawda?

Po raz pierwszy spojrzała na niego ze strachem. Zastanawiałem się, jak długo tak kruche cacko wytrzyma w tych grubych palcach.

Odstawił figurkę.

– Kto jest twoim dekoratorem wnętrz?

– Ja. Sama to urządziłam. – Duma sprawiła, że wyprostowała się nieco.

– Masz niezłe pomysły, Cheri.

Wskazała na książki o sztuce.

– Dużo czytałam. „Przegląd architektoniczny”.

Znów podał jej telefon. Nadal siedziała bez ruchu.

– Zadzwoń do niego, Cheri. I zabierzemy cię. Hej, ręce ci się trzęsą, mała. Wiesz co, podaj mi numer, ja wykręcę. Co powiesz na taką osobistą przysługę?

Pociągnęła purpurowego papierosa.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego się ze mną drażnisz, mówisz o śródmieściu?

– To nie jest czcza gadka, Cheri. Mówię poważnie.

– Poważnie. – Zaciągnęła się znowu, zakaszła, dotknęła piersi, zacisnęła szarfę. – Poważnie. Tak mi się odpłacacie za spełnienie obywatelskiego obowiązku. Jak tylko to zobaczyłam, zadzwoniłam.

– Doceniam to – powiedział. – Tylko że teraz zamiast wypełniać swój obywatelski obowiązek, nie chcesz mówić i domagasz się swojego prawnika, czyli zachowujesz się jak podejrzana. Więc zastanawiam się, co masz do ukrycia, i muszę cię zabrać do śródmieścia, żeby chronić swój tyłek.

Skuliła się, zakołysała, pociągnęła papierosa, skrzyżowała nogi.

– Od razu potraktowali mnie jak podejrzaną, przytoczyli mi moje prawa.

– To dla twojego dobra, Cheri.

– Jasne, wszyscy tutaj chcą dla mnie dobrze. – Machnęła papierosem, tworząc zawile wstążki dymu.

Milo przeciął dym palcem.

– Sherman. Na ogół, gdy je oglądamy, są w foliowych torebkach, jako dowody. Napatroszone czymś mocniejszym.

– Ja się w to nie bawię – powiedziała. – Prowadzę zdrowy tryb życia.

– Oczywiście – zgodził się Milo. – Ale niech cię zapytam, jaka jest szansa, że kiedy zaczniemy przeszukiwać twoje mieszkanie, to czegoś nie znajdziemy? Skręt pod łóżkiem, odrobina haszu, może jakieś inne środki, dzięki którym prywatka lepiej się kręci? Coś, co jeden z twoich gości niechcący upuścił, a sprzątaczką niechcący nie zauważyła. Masz sprzątaczkę?

– Dwa razy w tygodniu – wyjaśniła.

– Dwa razy w tygodniu, co? Różne rzeczy mogą się gromadzić pomiędzy jednym sprzątnięciem a drugim.

– Posłuchaj – powiedziała. – Mam tylko tabletki. Valium. Legalne. Na receptę. Przyznam, że teraz przydałaby mi się jedna.

– Nie teraz, Cheri. Musisz być czysta; trzeźwa.

– Wiem, co znaczy czysta. Nie jestem głupią gęsią.

– Wcale tak nie sędzę. Głupie gęsi na ogół nie kończą jako właścicielki takich domów. – Podrzucił telefon. Dzwonek wydał tępy dźwięk.

– To ma być śmieszne? – spytała. – Nic na ten temat nie wiem.

– Jesteś za to odpowiedzialna, Cheri. Jesteś właścicielką całego budynku.

Wymamrotała coś.

– Słucham? – spytał Milo.

Znowu nie odpowiedziała.

– No dalej, zadzwoń albo daj mi numer, to ja zadzwonię.

Nie odzywała się.

– W każdym razie narkotyki, które znajdziemy, mogą cię przytrzymać w więzieniu dość długo, ale to nie jest nasz problem. Nie zapominajmy o tych dwóch dżentelmenach na podwórku.

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem o nich nic. Ani nie wiem, co się tam wydarzyło.

– Znałaś ich?

– Tylko na gruncie zawodowym.

– Zawodowym – powtórzył Milo. Wyjął błyszczącą wizytówkę ze stojaka. – Cheryl Jane Nuveen. Doradca rekreacyjny. Rekreacyjny, hmm? Brzmi jak oficer rozrywkowy na statku.

Papieros zwisał z jej ust. Popiół spadł na skórę zębry.

– Dostyc tej pogadanki – przerwał Milo. – Jaki jest numer tego prawnika? Pewnie współpracujecie na zasadzie usługa za usługę, mam rację? Beverly Hills. Albo Century City. Dwieście albo dwieście pięćdziesiąt doków za godzinę. Sądzę, że wstępna opłata wyniesie trzy, może cztery tysiące minimum. To jedynie za złożenie papierów. A jeśli cię zaaresztujemy, cena naprawdę zacznie iść do góry...

– Za co zaaresztujecie? Że zadzwoniłam pod dziewięćset jedenaście?

– ... A tacy faceci lubią mieć spore dochody, prawda? Muszą spłacać mercedesa, mają konto w Morton's. A tymczasem ty nie będziesz mogła prowadzić konsultacji rekreacyjnych, a do tego zaczną napływać twoje własne rachunki. Jakie są raty za ten budynek? Dwa tysiące miesięcznie? Zamkniemy cię z dziewczętami ze starej dzielnicy. Z radością powitają kogoś, komu się powiodło, kto ma dom. Bardzo przyjacielsko na to zareagują.

– Pod jakim zarzutem mnie aresztujecie? – zapytała podniesionym głosem.

– Teraz moja kolej na zadawanie pytań. Ty możesz się tylko zamknąć albo odpowiadać.

Dziabnęła papierosem w kryształową popielniczkę. Przygniatała go, aż zniknął żar.

– Nie mam nic do opowiadania.

– Dwa trupy na podwórku i nie masz nic do opowiadania?

Przewróciła oczami.

– Już mówiłam, że nic na ten temat nie wiem.

– Znałaś ich.

– Zawodowo.

– Kto jeszcze oprócz ciebie wiedział, że przychodzą tu dzisiaj?

– Nikt.

– Nikt?

– Tak. Jestem dyskretna. Na tym opiera się mój biznes.

– Nikt, oprócz faceta, do którego zadzwoniłaś, żeby ich sprzątnął.

Szczęka jej opadła.

– O nie... O nie... Nie ma mowy, żebyś mi...

– Fajny układ, Cheri. Dajesz mu czas, żeby się zwinął, dzwonisz pod dziewięćset jedenaście i udajesz porządną obywatelkę: wydaje ci się, że była strzelanina; wydaje ci się że jacyś dwaj faceci – przypadkowi – leżą martwi u ciebie na podwórku.

– To prawda! To, że nie wiedziałam, że nie żyją. Skąd miałam wiedzieć, czy żyją, czy nie? Miałam tam wyjść i sprawdzić im puls?!

– I dałaś do zrozumienia, że są obcy?

– Co za różnica? Zadzwoniłam, prawda?

– Kto jeszcze wiedział, że oni tu są, Cheri?

– Nikt, mówiłam...

– To niedobrze. Oficer Burdette mówił mi, że nie będziesz zbyt skora do współpracy, ale postanowiłem nie uprzedzać się do ciebie. Wygląda na to...

– Burdette? Ten arogancki czarnuch? Ten chłoptaś był dla mnie nieuprzejmy. Obdarzył mnie takim spojrzeniem... takim... takim...

– Szyderczym?

– Tak – powiedziała. – Szyderczym. Szydził ze mnie do entej potęgi. Taki wyniosły, jakby był jakimś królem Bógwieco, a ja niegrzeczną dziewczynką, która się niewłaściwie zachowała, i jego obowiązkiem jest spuścić mi manto. A ta policjantka na pewno jest lewa – wgapiała się w moje atrybuty, jak tylko miała okazję. Nie powinniście zatrudniać zбочeńców.

– Atrybuty?

– Tak. – Schyliła się nisko, dla demonstracji, i ściągnęła łopatki, znów odzyskując pewność siebie. Uśmiechnęła się do Mila. Natknęła się na puste spojrzenie, więc zwróciła się w moją stronę.

Miała zachęcający uśmiech i mimo że wiedziałem, iż to na pokaz, musiałem odwrócić wzrok, żeby go nie odwzajemnić. Zakłęła pod nosem.

– Dobra, zabieramy cię do śródmieścia – zdecydował Milo. – Zadzwoń stąd. Przygotuj się na odrobinę wspomnień, Cheri. Na wdychanie AIDS w klatce pełnej pieciodolarowych turkaweczek, gdy ci będą sprawdzały twoje atrybuty.

Spojrzała znowu na mnie, lekko rozszerzyła nogi wciąż skrzyżowane w kostkach. Potwierdzała się opinia Burdette'a na temat tego, co ma, a raczej czego nie ma pod szlafrokiem.

Znów odwróciłem wzrok.

– Dobra – powiedziała. – Pieprzę tego prawnika. Nie zrobiłam nic złego. Nie muszę mu kupować kolejnego mercedesa. Podłączcie mnie do wykrywacza kłamstw. A niech wam. Nie mam nic do ukrycia.

– Wykrywacze nie zdają egzaminu w niektórych przypadkach – wyjaśnił Milo. – Może przez nie przejść każdy, komu kłamstwo przychodzi z łatwością.

Złość pocętkowała jej twarz jak wysypka.

– Więc czego, kurwa, chcecie?

– Tylko szczerze pogadać, Cheri. Po pierwsze, jak poznałaś Massengila i Dobbsa? Od jak dawna to trwa? I wszystko, co się wiąże z wydarzeniami dzisiejszego wieczora.

Uśmiechnęła się gniewnie.

– Wszystko, hmm? Jesteś pewien, że twoje policyjne serduszko to zniesie?

Skierował palec w moją stronę.

– Gdyby nie zniosło, on się zna na reanimacji.

– Dobra – powiedziała, krzyżując znowu nogi. – Ty rzucaj, ja łapię.

– Żeby wszystko było jasne – uściślił Milo. – Mówisz, że chcesz porozmawiać na temat wydarzeń tego wieczora, szóstego grudnia, tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego? Złożyć zeznanie z własnej, nieprzymuszonej woli, bez adwokata?

– Mhmm. – Uśmiechnęła się szeroko, ukazując duże, idealne, mlecznobiałe zęby. Przesunęła po nich językiem, usiadła prosto, dotknęła piersi.

– Tak. Tak. Oczywiście, że porozmawiam. Z tobą. Bo to ty jesteś ten król Bógwieco. Ty jesteś tu prawdziwym szefem, to pewne. A Cheri nie zadaje się z udawaczami.

Rozdział dwudziesty siódmy

Sacramento, to był początek – powiedziała.

Wsadziła do ust kolejnego papierosa. Milo podsunął jej zapalniczkę.

Zaciągała się przez chwilę.

– Sacramento – powtórzył Milo.

– Tak. Tam go spotkałam. Mieszkałam tam. Miałam własne mieszkanie, mniejsze i nie tak komfortowe jak to, ale też własne.

– Zawsze byłaś niezależna, co Cheri? – zapytał Milo.

Zacisnęła usta.

– Nie zawsze. Ale uczę się. Jestem z tego dumna. Uczę się na własnych błędach.

– Jak dawno go poznałaś?

– Trzy lata temu.

– Gdzie?

– Na O Street, tuż obok parlamentu.

– Świadczyłaś dobre uczynki dla naszego wspaniałego rządu?

– Właśnie. Gdyby więcej osób korzystało z tego, co ofiarowywałam, nie byłoby tylu niesnasek, wierz mi.

– Skąd pochodzisz?

– Stąd. Z Inglewood.

– Skąd się wzięłaś w Sacramento?

– Najpierw byłam przez trzy lata w San Francisco. Przeprowadziłam się, bo marzyło mi się trochę spokoju. I chciałam pracować na własny rachunek. Ktoś mi powiedział, że wśród polityków jest zawsze duży popyt na to.

– Na rekreację?

– Tak. Gdy mieli pod nosem takie usługi, mogli wygłaszać rano te swoje przemówienia, wpadać

na igraszki w czasie lunchu i wracać do swoich przemówień z uśmiechem na twarzy.

– Oni? – zdziwił się Milo. – Ilu oprócz Massengila?

– Wielu, szefie. To towarzyskie miasto. Co nie znaczy, że zajmowałam się tylko odważnymi przywódcami. Miałam lekarzy i bankierów, jak wszędzie. Ale gdy tam mieszkałam, widywałam mnóstwo ludzi związanych z polityką – pomocników, lobbystów, asystentów administracyjnych, całe to gówno. Po jakimś czasie zaczyna mówić się ich żargonem.

– Potrafili się zabawić?

Skrzywiła się.

– Nie bardzo. To znaczy, mieli lekką rękę do pieniędzy. Koszty reprezentacyjne. Jako grupa mieli pewne inklinacje. Wie pan, o czym mówię.

– Nie wiem.

– Zachcianki – wyjaśniła, jakby rozmawiała z kretynem. – Na ogół sznurki. Wiązanie. Zawsze chcieli być wiązani albo mnie wiązać. Niemal każdy. Doszło do tego, że kiedy przychodził facet z takimi skłonnościami, to wiedziałam, że z polityki. Miałam zawsze gotowe krawaty i sznurki. Niektórzy nawet chcieli być... poniżani. To chore. Nigdy nie widziałam, żeby tylu ludzi chciało być wiązanych albo żeby chciało wiązać. Strasznie ich podniecał ten, kto rządzi. A potem włączałam telewizję i pojawiały się te same twarze, które niedawno widziałam skrzywione albo w skórzanych maskach, płaczące i błagające, żeby ich już nie bić, mimo że tego właśnie chcieli. Widziałam, jak wygłaszają przemówienia w telewizji, jak rozprawiają o prawie i porządku na modłę amerykańską i tym podobne chrzanie. A ja wiedziałam, że ich pogląd na prawo i porządek polega na tym, żeby być wiązany jak świnia.

Roześmiała się i zaciągnęła papierosem.

– Czy po czymś takim nie ma się ochoty szybko lecieć na wybory?

Milo uśmiechnął się.

– Massengil lubił wiązać czy być wiązany?

– Być wiązany. Lubiał mieć skrępowane ręce i nogi tak mocno, żeby aż krew nie dochodziła. Wyciągał się i ja wykonywałam całą robotę. To było szybkie – u większości z nich to szło szybko. – Pstryknęła palcami dla podkreślenia słów. – A potem musiałam się do niego przytulić jak mamusia, i ssął mi cycki i gadał jak dziecko. Jak małe dziecko. Takie gaworzenie Pana Prawa i Porządku.

Roześmiała się znowu, ale wyglądała na zażenowaną.

– Można się nieźle rozczarować, prawda? – spytała. – Nasi wszechwładni z wysokich stołków, którzy wszystkim kierują, a tak naprawdę to skomlące, ssące pierś niemowlaki. Byli też oczywiście gliniarze...

– Czy kiedykolwiek podkreślał rasowość?

– To znaczy?

– Wygłaszał jakieś rasistowskie komentarze? Chciał zaaranżować rasistowskie fantazje?

– Nie – powiedziała. – Tylko wiązanie i gaworzenie.

– Jak go poznałaś?

– Przez kogoś innego.

– Przez Dobbsa?

– Mhmm. Jest doktorem, psychiatrą. Lubił udawać, że to ma podtekst medyczny. Terapia za pomocą seksu. Miałam się uważać za jego asystentkę terapeutyczną.

– Kiedy poznałaś Dobbsa?

– W ostatnim roku we Frisco.

– Jak?

– Miałam taką przyjaciółkę, która zajęła się terapią, chodziła na jakiś kurs czy coś takiego i dostała świstek, który stwierdzał, że to zgodne z prawem. Zastępcza kochanka. Dobbs prowadził ten kurs, zaproponował jej pracę. Podsyłał jej ludzi – pacjentów – a ona oddawała mu część pieniędzy. Nieźle jej się wiodło, ale jemu lepiej. Gdy się wyprowadziła z miasta, ponieważ jej dawny facet wyskoczył z pogróżkami, podała Dobbsowi moje nazwisko. Przeprowadziłam się do Sacramento i zaczął do mnie przysyłać ludzi.

– Mimo że nie masz papierka?

– Ale jestem dobra, szefie. Potrafię być bardzo cierpliwa, jak terapeuta, jeśli trzeba.

– Nie wątpię, Cheri. Jakich innych polityków przysyłał ci Dobbs, poza Massengilem?

– Tylko jego – powiedziała. – Łączyło ich szczególne kumpelstwo.

– Jakie szczególne kumpelstwo?

– Nie byli pedałami ani nic takiego. Czasami para skrytych pedałów wykorzystuje mnie, żeby się do siebie zbliżyć. Robimy trójkącik i nagle interes jednego ociera się o interes drugiego i mamy zupełnie nowy obraz. Ale oni nie. Tylko przyjeżdżali razem. Jakby Sam potrzebował, żeby grubas go prowadził, a grubasa podniecało przygotowanie wszystkiego.

– Nikogo więcej nigdy do ciebie nie przysyłał?

– Nie tutaj.

– A w Sacramento?

– No dobra, paru. Ale dość szybko odechciało mi się z nim współpracować.

– Dlaczego?

– Był świnią, dlatego. Od Lorraine zabierał pięćdziesiąt pięć procent. Ode mnie chciał sześćdziesiąt. Opłata za znalezienie klienta. Twierdził, że go potrzebuję, bo gdy on bierze w tym udział, to jest zgodne z prawem. Groził mi. – Potrząsnęła głową i potarła kolano. – Zdecydowałam, że pozbędę się tych brudnych świń. Powiedziałam mu, że to gówno prawda. Jego uczestnictwo w tym jest niezgodne z prawem i on ma znacznie więcej do stracenia niż ja, jeśli to wyjdzie na światło dzienne. Więc uzgodniliśmy dwadzieścia procent. Kilka miesięcy później mój własny interes kręcił się całkiem nieźle. I miałam sto procent. Nie potrzebowałam jego klientów, nawet przy dwudziestu procentach, i powiedziałam mu to.

– Jak zareagował?

– Skrzywił się, ale się nie sprzeczał. I nadal mnie odwiedzał. Z Samem. Sam za mną przepadał.

– Czy kiedykolwiek Dobbs był klientem?

– Czasami.

– Wiążący czy wiązany?

Potrząsnęła głową.

– Chciał się jedynie szybko spuścić. Krzyczał: „O tak! O tak!”. Ściągał ze mnie swoje tłuste dupsko i zasypiał. Przede wszystkim lubił patrzeć – kilka razy przyłapałam go, jak podglądał przez drzwi, gdy byłam z Samem. Wkurzyło mnie to, ale nic nie powiedziałam. Nic mnie to nie kosztowało.

– Masz notes z nazwiskami klientów?

– Nie mam notesu. – Poklepała się po głowie. – Wszystko mam tutaj.

– A jakiś terminarz?

– Też nie mam. Kiedy mija dzień, wyrywam kartkę, drę na drobne kawałki i spuszczam w sedesie.

– Przeszukamy mieszkanie do ostatniego gwoźdźca, Cheri.

– Szukajcie, ile chcecie. Nie ma notatek. I nie każcie mi podawać nazwisk. Wolę jechać do śródmieścia i wdychać AIDS.

– Kto wiedział, że Massengil tu przyjeżdża?

- Nikt nie wiedział. Nikt o nikim nie wiedział. To moja specjalność – dyskrecja. A w jego przypadku byłam szczególnie ostrożna, bo bardzo się bał, żeby go nie przyłapano. Nawet nie chciał parkować samochodu na ulicy. Kiedy się umawialiśmy, nikogo więcej tego dnia nie przyjmowałam, żeby kogoś przypadkiem nie spotkał.
- To uprzejmie.
- Pieprzyć uprzejmość – powiedziała. – Wystawiałam im rachunek za stracony czas.
- Skoro już o tym mowa, jakie są stawki?
- Cztery stówy za godzinę. – Uśmiechnęła się szeroko. – Więcej niż zarabia mój prawnik, a nie musiałam robić żadnych aplikacji.
- W gotówce?
- Wyłącznie.
- Jak często Massengil cię odwiedzał?
- Trzy albo cztery razy w miesiącu.
- Jaki był plan zajęć?
- Mówiłam – wiązanie, tulenie dziecka, czasami dawałam im obiad. Potem odjeżdżali i miałam cały wieczór dla siebie. Oglądałam program Johnny’ego Carsona.
- Nie to miałem na myśli, mówiąc „plan zajęć”, Cheri – powiedział Milo. – W jakie dni tygodnia przychodzili? Jaki był rozkład?
- Żadnego rozkładu. Sam – albo grubas – dzwonił dzień lub dwa wcześniej. Musiałam odwołać inne sprawy, przyjeżdżali i się zabawialiśmy.
- Zawsze we dwójkę?
- Zawsze. – Zamyśliła się. – Może byli pedałami, chcieli trochę się pocierać kutasami... nie wiem. Wiem, że nigdy tutaj tego nie robili.
- Nie mieli stałej rozpiski? – upewnił się Milo.
- Nie.
- To skąd ktoś mógł wiedzieć, że tu są?
- Nie mam pojęcia. Może ktoś ich śledził?
- Wyśledził ich tutaj i czekał, hmm?

Wzruszyła ramionami.

– Skąd morderca wiedział, że wyjdą, że nie zostaną na noc? – spytał Milo.

– To nie w moim stylu, spędzanie nocy z klientem – powiedziała. – Nikt tu nie zostaje na noc.

– Kto o tym wie, poza tobą i twoimi klientami?

Nie odezwała się.

– Będziesz musiała nam dać te zapiski, Cheri – stwierdził.

– Mówię przecież, że nie ma żadnych zapisków.

Milo oparł się i skrzyżował nogi. Cheri zaciągnęła się papierosem, dotknęła włosów, zakołysała nogami. W końcu dodała:

– Jeśli ci je dam, będę skończona.

– Daj spokój, Cheri – rzekł. – Dwa trupy u ciebie na podwórku, a do tego jeden z zabitych to osoba publiczna. I tak jesteś skończona.

Znów w milczeniu zaciągnęła się papierosem.

– Notes jest w banku. W skrytce depozytowej.

– W jakim banku?

– Jeśli ci podam nazwę, to pomożesz mi się zmyć? Wyprowadzisz mnie bezpiecznie, pomożesz odzyskać forszę za dom i zapewnisz bezpieczeństwo mojemu dzieciakowi?

– Gdzie jest dzieciak?

– W Inglewood, u mojej mamy.

– Ile ma lat?

– Dziewięć. Jest bardzo bystry, ma świetny głos, śpiewa w kościele.

– Jak ma na imię?

– Andre.

– Andre. Zrobię, co będę mógł, dla ciebie i Andre.

– Zrobię, co będę mógł, hmm? Tak gadają politycy, szefie. To znaczy tyle samo, co pieprz się.

– Dokąd chcesz się przenieść?

– W jakieś konserwatywne miejsce. Sztywniackie. Konserwatywni faceci są najbardziej napaleni. Muszą się gdzieś wyszaleć.

– Jak faceci w Sacramento?

– Mniej więcej.

– Dlaczego przeniosłaś się stamtąd do Los Angeles?

– Znowu pytania?

– Znowu. Dlaczego się przeniosłaś, Cheri?

– To był jego pomysł.

– Dobbsa czy Massengila?

– Sama. Radnego. Miał do mnie straszną słabość. Byłam w jego guście. Kiedy zagustujesz w czymś słodkim, to jest jak narkotyk. Nigdy nie masz dość.

– Trzy lub cztery razy w miesiącu, to nie za wiele.

– On jest... był stary. To, co mu dawałam, wystarczało na dość długo. Naprawdę się eksploatował.

– Dlaczego chciał, żebyś się tu przeprowadziła?

– Twierdził, że nie podoba mu się, że przebywam tak blisko jego miejsca pracy. Sacramento to małe miasto, uwielbiają tam plotki. Ktoś mógł się dowiedzieć. Znalazł mi ten dom – specjalna okazja. Właściciel umarł, nie zostawił testamentu.

– Licytacja?

Przytaknęła.

– Wiedział wszystko na temat licytacji. Z racji swojego zawodu miał wgląd we wszystkie akty własności ziemskich. Powiedział, że powinnam z tego skorzystać. To była okazja. Musiałam jedynie wpłacić nieco gotówki.

– Pomógł ci z wpłatą pierwszej raty?

– Ani centa. Pomógłby, ale nie potrzebowałam, miałam dość własnych pieniędzy. Przyleciałam tutaj, obejrzałam ten dom, zobaczyłam, co mogę z niego zrobić, i pomyślałam, czemu nie? Moje mieszkanie tam nabrało wartości, wzrosła jego cena. Teraz zyskałam na tym jakieś sześćdziesiąt procent, może więcej.

– Czego chciał w zamian?

– Mnie. Kiedy tylko miał ochotę. Musiałam wymazywać z terminarza wszelkie inne spotkania, żeby się na nikogo nie natknął, żeby nikt nie wiedział.

– Nikt oprócz Dobbsa.

– Właśnie.

– Czy Massengil wiedział, że Dobbs był podglądaczem?

– Nie sędzę. Na ogół miał zamknięte oczy, strasznie się angażował. Ale kto wie? Może ustalili to między sobą na kumpelskich zasadach. Nie próbowałam ich rozgryzać. Mam głowę zaprzątniętą czym innym, gdy to robię.

– Cztery stowy za godzinę – zastanawiał się Milo. – Trzy, cztery razy w miesiącu. Niezły kawałek grosza.

– Nigdy nie narzekał.

– Konsultacje menedżerskie – przypomniałem Milowi.

Spojrzała na mnie.

– Konsultacje. Tak, to mi się podoba – nieźle brzmi. Może zacznę używać tego terminu, zamiast doradca rekreacyjny.

– Opowiedz mi o dzisiejszym wieczorze – poprosił Milo. – Jak to się dokładnie stało.

Zgasiła jednego i od razu zapaliła następnego papierosa.

– Stało się tak, że przyjechali o dziewiętej trzydzieści, zrobili, co mieli do zrobienia...

– Obydwaj?

– Tym razem tak. Prosiaczek był drugi. Lubił tak, nie pozwolił mi się nawet umyć. Potem dałam im coś do jedzenia. Udka i piersi z kurczaka plus mizerię i herbatniki. Resztki z wczoraj, ale zajadali, jakby to były francuskie specjały. Na stojąco, w kuchni. Każdy wypił po dwie puszki mojej pepsi dietetycznej. Zapłacili mi i poszli. Pieniądze są w mojej szufladzie z majtkami – możecie sprawdzić. Tysiąc dwieście – dwanaście setek. Nowe banknoty. Powiedziałam do Sama: „Co kochanie, właśnie je wydrukowałeś?”. Podało mu się to, roześmiał się i odparł: „Tym się trudnię. Jestem w Komitecie Budżetowym”. Potem poszli, a ja odłożyłam pieniądze, zamknęłam się w łazience i odkręciłam prysznic, żeby się wymyć, zetrzeć ich z siebie. Usłyszałam to poprzez szum wody – ledwo co, ale usłyszałam. Pach-pach. Znam ten dźwięk. Jak głupia wyjrzałam przez okno, zobaczyłam, że tam leżą, zobaczyłam, jak on ucieka. Jak głupia zadzwoniłam i spełniłam swój obywatelski obowiązek, a teraz muszę tu siedzieć i rozmawiać z tobą, szefie.

– Kto to jest on?

– Ten co strzelał.

– Był sam?

– Widziałam tylko jednego.

– Jak wyglądał?

– Widziałam go od tyłu – pobiegł za garaż. Za garażem jest niski płot. Pewnie tamtędy wszedł. Płot jest rozwalony. Miałam postawić nowy. Sprawdźcie, pewnie znajdziecie jakieś odciski stóp. Muszą być odciski, bo tam jest błoto. Przecieka mi zraszarka do trawy, woda się zbiera. Musiał zostawić ślady. Idźcie sprawdzić i przekonacie się, że mówię prawdę.

– Powiedz mi jeszcze coś o zamachowcu.

– Nie mam co mówić. Ciemne ubranie, tak mi się wydaje. Było ciemno. Nie wiem.

– Wiek?

– Nie wiem – pewnie młody. Poruszał się jak młody człowiek. Nie jak stary pierdziel. Wierz mi, nieraz widziałam, jak się ruszają stare pierdziele.

– Wzrost?

– Przeciętny. To znaczy nic mnie nie uderzyło, było ciemno.

– Waga?

– To samo, szefie. Nie było w nim nic charakterystycznego. Po prostu facet. Widziałam go od tyłu. Było za daleko, żeby się przyjrzeć. Idź i sam popatrz przez to okno. I do tego ciemno. Specjalnie tak jest, żeby ludzie mogli tam parkować i wyjeżdżać i żeby nikt ich nie widział.

– Jaką miał twarz?

– Nie widziałam twarzy. Nawet nie mogę powiedzieć, czy był czarny czy biały.

– Jakiego koloru miał dłonie?

Zastanowiła się.

– Nie pamiętam. Nawet nie wiem, czy widziałam dłonie.

– Przeciętny wzrost i waga – powiedział Milo, odczytując swoje notatki. – Prawdopodobnie młody.

– To tyle. Gdybym mogła powiedzieć więcej, dlaczego miałabym tego nie zrobić?

– Czarne ubranie.

– Ciemne ubranie. Miałam na myśli, że nie widziałem żadnej jasnej plamy, koszuli czy czegoś w tym rodzaju, więc pewnie było ciemne.

– Co jeszcze?

– To wszystko.

– To nie za wiele, Cheri.

– Miałam go gonić, żeby mu się lepiej przyjrzeć? I tak byłam głupia, że wyrzałam. Jak tylko umysł mi się rozjaśnił i dotarło do mnie, co się dzieje, padłam na podłogę. Wyrzałam tylko dlatego, że mnie to zaskoczyło. Nie oczekiwałam niczego takiego.

Zamknęła oczy. W jednej ręce trzymała papierosa, drugą złapała się za łokieć. Szlafrok się rozchylił i odsłonił ciężkie piersi o czarnych sutkach. Pomiędzy nimi kawałek kawowego ciała.

– Skąd mam mieć pewność, że ich nie podstawiaś, Cheri? – spytał Milo.

Otworzyła oczy, bardzo szeroko.

– Bo nie podstawiałam. Po co miałabym to zrobić i się w to wszystko wmieszać. I to jeszcze na swoim podwórku?

– Dla pieniędzy.

– Mam dosyć pieniędzy.

– Nigdy nie jest dosyć.

Roześmiała się.

– Racja. Ale nie zrobiłam tego. Podłącz mnie pod maszynkę. Nie potrafię tak świetnie kłamać.

Pozwoliła, żeby szlafrok rozchylił się jeszcze szerzej. Milo wyciągnął rękę, zsunął jego poły, położył jej dłoń na udzie i spytał:

– Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć, Cheri?

– Tylko żebyś mi się pomógł stąd wynieść. Z Los Angeles. Razem z Andre.

– Posprawdzamy wszystko i jeśli byłaś uczciwa, ja też postąpię uczciwie. Na razie masz zadzwonić do swojego prawnika i powiedzieć mu, żeby po ciebie przyjechał do wydziału zachodniego Los Angeles. Zawiozą cię tam i poczekaś na mnie. Potrwa chwilę, zanim tam dotrę. Jak przyjadę, powtórzysz swoje zeznanie przed kamerą wideo.

– Telewizja?

Skinął głową.

– Dziś jesteś gwiazdą.

– Podam ci nazwiska, te z notesu – powiedziała. – Ale nie powiem tego przed kamerą.

– Układ stoi, jeśli nie będziesz kłamać.

– Nie będę. Możesz być pewien.

– Już niczego nie jestem pewien, Cheri.

– Tym razem możesz, przysięgam.

Przyłożyła rękę do piersi.

– Jak się nazywa twój adwokat? – spytał.

– Gittelman. Harvey M. Gittelman.

– Mimo że składałaś to zeznanie z własnej i nieprzymuszonej woli, w obecności świadka, chcę, żeby pan Gittelman był obecny, kiedy będziemy to nagrywać. Jeśli chce, może zacząć pyskować, wysuwać sprzeciwy warte dwieście dolców za godzinę. Płacą mi za nadgodziny i nie mam po co wracać do domu. Kiedy skończymy, zostaniesz zwolniona pod jego kuratelą i poprosimy cię o pozostanie w mieście tak długo, jak trzeba. Jeśli spróbujesz wyjechać, podam cię jako koronnego świadka i Andre będzie tęsknił za mamusią. Nie zechcesz zostać w tym mieszkaniu, jak chłopcy z laboratorium przewrócą tu wszystko do góry nogami. Poza tym, kiedy wieści się rozniosą, sąsiedzi nie będą się do ciebie odnosili zbyt uprzejmie. A rozniosą się bardzo szybko. Więc możesz zatrzymać się gdzieś indziej, jeśli powiesz mi, gdzie, i jeśli nie opuścisz naszego hrabstwa. W nowym miejscu pobytu możesz nadal prowadzić interes, żeby spłacić raty za dom, nie mam nic przeciwko temu. Rozumiesz?

– Rozumiem. Obiecuję. Ale bez interesu. Interes oznacza ludzi, a ludzie to kłopoty. Potrzebuję wakacji.

– Jak chcesz. – Wstał.

– Kiedy będę mogła sprzedać ten dom? – spytała. – Odzyskać swoje pieniądze?

– Jeśli okaże się, że nie masz nic wspólnego z zamachem, mogę ci to umożliwić dość szybko. Za jakiś miesiąc. Jeśli zaczniesz mnie wkurwiać, wstrzymam to na całe lata. Nie będzie mnie obchodziło, co się z tobą stanie.

Znów położyła rękę na sercu.

– Nie będę cię wkurwiać. Przysięgam na Boga. Chcę tylko odzyskać swoją forszę.

Chciała wstać.

– Siedz. Nie ruszaj się – rozkazał. – Zawołam z powrotem policjantkę, żeby cię przypilnowała, kiedy się będziesz przebierać. Ten szlafrok trzeba wziąć do analizy. Załóż ci też torby na ręce – jeden z techników zrobi ci test parafinowy. To nam powie, czy niedawno strzelałaś z broni palnej... albo babrałaś się w jakimś nawozie chemicznym.

– Babrałam się w masie gówna – powiedziała. – Ale nie w takim. I nie strzelałam. Możesz być pewien.

– Wezmą też twoje odciski palców, żeby cię sprawdzić w kartotece kryminalnej. Jeśli miałaś wcześniej coś większego na sumieniu, lepiej od razu mi o tym powiedz.

– Nie miałam. Tego też możesz być pewien.

– Jednego jestem pewien. Że masz z pół tuzina innych nazwisk.

– Nie aż tyle. I nie używałam ich od dawna.

– Jednak mi je podaj.

– Sherry Nuveen, przez S, jak to wino. Sherry Jackson. Cherry Jackson, przez C. Cherry Burgundy. Cherry Gomez – kiedy miałam na karku alfonsa. Kazał mi przybrać jego nazwisko, jakbyśmy byli małżeństwem – wyliczała na palcach.

– Nuveen, to twoje prawdziwe nazwisko?

– Nazwisko drugiego męża mojej mamy. Przyjęłam je, gdy miałam siedem lat.

– Jakie masz nazwisko w metryce urodzenia?

– Jackson. Sheryl Jane Jackson. Przez S. Data urodzenia ósmy kwietnia pięćdziesiątego trzeciego, tak jak w prawie jazdy. Wyglądam młodziej, nie sądzisz?

– Wyglądasz świetnie – zgodził się z nią.

– Zdrowy tryb życia. – Rozpromieniła się.

– Co znaczy ta tablica rejestracyjna? – spytał. Na fiacie. Cheri T.

Znów się uśmiechnęła. Zatrzepotała rzesami i zostawiła kilka nowych śladów tuszu. Zgrywała wampa, żeby się nie rozkleić.

– T jak torcik – powiedziała. – Wiśniowy torcik. Bo taka właśnie jestem. Słodka, soczysta i sycąca.

Gdy znaleźliśmy się za drzwiami, spytałem:

– Sądysz, że jest niewinna?

– Niewinna? – Uśmiechnął się. – Powinieneś zobaczyć, jak wygląda jej sypialnia gościnnie. Muzeum technik wiązania – markiz de Sade czułby się tam wyśmienicie. Ale jeśli chodzi o samą strzelaninę, prawdopodobnie tak. Ma rację – po co miałyby ich wystawiać na swoim własnym terenie i potem o tym meldować? A czy sama ich zastrzeliła? Jaki miałyby motyw? Czasami w takich układach z kurwami przestaje się kontrolować żądze i ktoś zostaje ranny. Ale to na ogół kurwa jest ofiarą i na ogół jest straszny bałagan. To było schludne. Zaplanowane. Z zimną krwią. Poza tym kazałem technikowi spojrzeć za garaż i mówi, że są tam świeże odciski stóp. Bardzo mądrze się domyśla, że to odciski uciekającego strzelca. Średni rozmiar buta. I tak nic jej to nie da, jeśli nie przejdzie pozytywnie przez test parafinowy, a w szufladzie z jej majtkami znajdziemy pistolet. Będę ją przesłuchiwał przez całą noc i większą część poranka. Zobaczę, czy jeszcze coś uda mi się z niej wydobyć.

– Ciemne ubranie – zasugerowałem. – Holly też tak była ubrana, gdy się zaczęła w magazynku.

– No i co z tego wynika? Wracamy do sprawy spisku? Przemieszczające się bandy nastoletnich zamachowców Ninja?

– Wszystko możliwe – powiedziałem.

Nie sprzeczał się.

Odebrał od Burdette'a moje kluczyki i dowiedział się, gdzie jest zaparkowany cadillac. Potem kazał policjantce – niskiej blondynce z brodą jak u chochlika – owinać torbami dłonie Sheryl Jackson i zabrać ją na komisariat. Gdy opuszczaliśmy posesję, przyjechało kilku innych detektywów z zachodniego Los Angeles. Milo poprosił, abym poczekał, podszedł do nich, zdał im relację i kazał przeszukać mieszkanie Sheryl Jackson oraz zabronił im rozmawiać z prasą, do chwili, kiedy zakończy ponowne przesłuchiwanie podejrzanej.

Na chodniku pojawiło się kilkoro gapiów. Mundurowi trzymali ich w pewnej odległości. Do blokady podjechało parę furgonetek z wymalowanymi logo stacji telewizyjnych. Reporterzy i operatorzy wili się, rozstawiając lampy.

Ruszyliśmy w stronę cadillaca. W głębi ulicy rozległ się warkot samochodu sportowego i jaskrawoniebieski pontiac fiero z trzema antenami wyrastającymi z dachu podjechał pędem do barykady, cofnął się i zaparkował przy krawężniku.

Wysiadł z niego porucznik Frisk, rozejrzał się, dostrzegł nas i podszedł sprężystym krokiem. Miał na sobie czarny smoking z atłasowym kołnierzem i koszulę z zagiętą stójką, szkarłatną muszką oraz pasującą do niej chusteczkę. Gdy szedł w naszą stronę, zobaczyłem, że z pontiaca wysiada kobieta – młoda, wysoka, o figurze modelki, twarzy dziewczyny z okładki, z długimi, ciemnymi, kędzierzawymi włosami. Jej wieczorowa suknia z czarnej tafty odsłaniała ramiona. Rozejrzała się, spojrzała w boczne lustro niebieskiego autka i podmalowała usta. Jeden z mundurowych zamachał do niej. Nie zauważyła albo to zignorowała, poprawiła jeszcze fryzurę i wsiadła z powrotem do samochodu.

– Sierzancie – powiedział Frisk.

– Wieczór poza domem, Ken? – spytał Milo.

Frisk zmarszczył brwi.

– Czy potwierdzona jest tożsamość ofiary, detektywie?

– Tak, to on. Ten drugi to Dobbs, ten psycholog, który wygląda jak święty Mikołaj.

Frisk zwrócił swoją uwagę na mnie.

– A on co tutaj robi, detektywie?

– Był ze mną, kiedy dostałem wezwanie. Nie miałem czasu go odwiedzić.

Frisk wyglądał, jakby starał się powstrzymać, żeby nie puścić bąka.

– Podejdźcie no, sierzancie.

Odeszli we dwójkę na bok. Blask padający z latarni pozwalał mi ich wyraźnie widzieć. Frisk mówił coś do Milo. Milo odpowiedział. Frisk wyciągnął notes i długopis i zaczął pisać. Milo znów coś powiedział. Frisk wciąż pisał. Milo przesunął dłonią po twarzy i odezwał się ponownie. Frisk zdawał się poirytowany, ale nie przerywał pisania. Milo mówił, kołysał się i pocierał twarz.

Frisk schował notes i burknął coś, co sprawiło, że twarz Mila pociemniała. Wygrażał palcem. Milo pogroził mu również.

Ich gesty stawały się coraz bardziej zapalczywe – zaciśnięte pięści, uniesione twarze, brody wystawione jak bagnety. Przypominało mi to mój sztych ze scenką bokserską. Milo górował nad Friskiem. Frisk bronił się, wspinając się lekko na palce, wykonując masę ruchów dłońmi, jakby coś kłuł. Zaczęli mówić jednocześnie, przekrzykiwać się. Inni policjanci przestali się interesować miejscem zbrodni, odwrócili się w stronę lampy. Zobaczyłem, że Friskowi napinają się mięśnie szyi; Milo trzymał sztywne ręce wzdłuż boków, wciąż zaciskał pięści.

Frisk rozluźnił się z wielkim trudem, uśmiechnął i machnął ręką na znak odprawy. Milo coś krzyknął. Musiał opryskać Friska śliną, ponieważ ten odsunął się o kilka kroków, wyciągnął z impetem z kieszeni swoją czerwoną chusteczkę i otarł twarz. Ale zaraz uśmiechnął się i coś powiedział. Milo szarpnął głową, jakby mu ktoś wymierzył policzek. Otwierał i zaciskał dłoń. Teraz

Frisk zakołysał się na palcach. Nieznacznie, ale z werwą, jak bokser wagi półciężkiej. Przez chwilę byłem pewien, że zaczną się bić. Nagle Frisk odwrócił się na pięcie i odszedł.

Milo popatrzył za nim, pocierając pięścią brodę. Frisk przywołał do siebie policjanta w mundurze, powiedział coś szybko, wskazał dom, gdzie dokonano zbrodni. Policjant przytaknął i przeszedł na drugą stronę ulicy, do budynku. Ciemnowłosa, młoda kobieta znów wysiadła z pontiaca. Frisk machnął głową w jej stronę i spojrzał na nią ostro. Wsiadła z powrotem do samochodu.

Spojrzałem na Mila. Wpatrywał się w narastające zamieszanie przy blokadzie, miał wściekły wyraz twarzy. Stałem w miejscu pod ciekawskimi spojrzeniami policjantów. W końcu Milo mnie zauważył i zamachał, żebym podszedł.

– Zabierz mnie stąd, Alex, do diabła.

Opuściliśmy miejsce zbrodni. Wjechałem na Olympic i skierowałem się na zachód. Nie rozmawialiśmy przez całą drogę do Beverly Glen. Gdy skręciłem, powiedział:

– Przemądrzały skurwiel.

– Co zrobił, przejął sprawę?

– Oczywiście.

– Może to zrobić? Ot, tak?

– Ot, tak.

– To znaczy, iż podejrzewa, że to na tle politycznym?

– Gównu podejrzewa. Wszyscy gównu wiedzą – jest za wcześnie, żeby coś wiedzieć, do cholery. To znaczy, że widzi w tym następny soczysty kąsek. Znów telewizja, okazja do założenia nowego, ślicznego garnituru. Kenny uwielbia swoje konferencje prasowe.

– Kenny – powiedziałem. – Zabawia się w mieście z Barbie. Naprawdę wyglądają jak Ken i Barbie.

– To jego żona. Cudowna, zepsuta Kathy. Córeczka zastępcy naczelnika.

– Aha.

– Aha.

Przejechałem szybko Glen i skręciłem w wąską dróżkę prowadzącą do domu. Mimo że za oknem po drugiej stronie rozciągała się czerń, Milo wpatrywał się w nią, pocierając twarz.

– Czy jeszcze czymś cię wkurzył? – spytałem.

– Wkurzył? Nie. Tylko dał mi do zrozumienia, że między tobą i mną toczy się mały romans. Posłał mi bezecny uśmiezek i powiedział, że powinienem przemyśleć sprawę, zanim przywiozę przyjaciół na miejsce przestępstwa. Gdy mu kazałem to sprecyzować, powiedział, że wiem, co ma na myśli. Nie poprzestałem na tym. W końcu to wykrzyczał: „Ludzie twojego pokroju nie nadają się do pracy w służbach bezpieczeństwa. Nie nadają się do pilnowania bezpieczeństwa publicznego”.

Westchnąłem.

– Dobra. Znów stary, ograniczony sposób myślenia. To nie pierwszy raz i nie ostatni. – Ale nie mogłem przestać myśleć, że o to samo podejrzewaliśmy Dinwiddiego i Ike’a.

Jęknął.

– Czy bezpiecznie jest zadać ci pytanie, co o tym sądzisz?

– O czym?

– O Massengilu. Kto to zrobił? Myślisz, że to ma jakieś powiązanie z Holly? Albo z Novatem i Sophią Gruenberg?

– A kto to, do diabła, może wiedzieć, Alex? Czego chcesz? Żebym poczuł, że jestem bezsilny?

Nie odezwałem się, stanąłem przed domem.

– Dobra. Co sądzisz? – spytał.

– Może ktoś ją pomścił?

– Kto? Tatuś?

– Nie myślałem o nim. Dlaczego? Podejrzewasz go?

– Niczego nie podejrzewam, Alex. Nie miałem czasu wysunąć żadnych podejrzeń. To nawet nie jest już moja pieprzona sprawa, więc po co miałbym sobie zawracać głowę jakimiś podejrzeniami? Ale jeśli mówimy o zemście, to jest na ogół sprawa rodzinna. A mówiłeś mi, że Burden to świr.

– Nie świr. Narcyz.

– Zemsta ma sporo wspólnego z narcyzmem, nieprawdaż? Zabawa w Boga – decydujesz o życiu i śmierci. Sam mi powiedziałeś, że ma zajoba na punkcie kontrolowania spraw. Chwalił się, że dobrze strzela.

Pomyślałem o tym.

– Masz zamiar z nim pogadać?

– Z nikim nie będę gadać. Przez tego ulizanego skurwysyna.

– Nie możesz mu rzucić wyzwania?

Nie odpowiedział i pożałowałem tego pytania.

– Pozwól mi jeszcze nieco poteoretyzować – powiedziałem.

– Przestań prosić o pozwolenie, jakbym był jakąś primadonną i wykrztuś to po prostu.

– Gdy wspomniałem o zemście, myślałem o czymś innym. O spisku. O innych jego członkach. Zaczaili się, żeby ją pomścić. I wypełnić zadanie, którego nie doprowadziła do końca.

– Zadanie? Alex, jeśli poważnie chciałbyś dokonać zamachu politycznego, to przydzielilibyś to zadanie komuś takiemu jak ona?

– Chyba że są to amatorzy – zasugerowałem. – Ale takie grupy nie zawsze działają w sposób rozumny prawda? Spójrz na Symbiońską Armię Wyzwolenczą.

– Te stare pierniki – fuknął. – Tak, ci rzeczywiście nie byli zbyt bystrzy.

– Ale stali się sławni, czyż nie? A o to chodzi amatorom. Rozgłos i romantyczna śmierć.

– Jeśli śmierć jest romantyczna, to ja jestem, kurwa, poetą.

– Holly miała okropne życie, Milo. Ani teraźniejszości, ani przyszłości. Przynależność do jakiejś grupy mogła dać jej poczucie sensu istnienia. Śmierć w blasku chwały wcale nie musiała być taką straszną perspektywą.

– Chcesz powiedzieć, że to była misja samobójcza?

– Nie. Ale mogła się nie przejmować ryzykiem.

– Cała grupa, hmm? – powiedział. – Wracamy do Ninji. Więc, kto zabił Novata i sprzątnął Sophie Gruenberg?

– Może tam naprawdę chodziło o narkotyki. A może zrobiła to opozycja. Prawicowi radykałowie.

– Dwa ugrupowania kretynów?

– Dlaczego nie? Kiedy to wspomniałeś, przypomniało mi to coś, co było nabazgrane w jednej z książek Novata: „Wciąż to samo: władza i pieniądze, niezależnie, które skrzydło”. Może odnosił się do politycznego ekstremizmu? Pozbawiony złudzeń.

– Dupki z Ku-Klux-Klanu kontra komuchy? – spytał Milo. – Bardzo to barwne. Ale zanim dasz się ponieść wyobraźni, nie zapominaj, że to, co się dzisiaj stało, może nie mieć żadnego związku z polityką – po prostu jakiś zazdrosny gościu. To wszystko mogło się wiązać z Cheri. Faceci się przywiązują do takich dziewczyn – to się zdarza częściej, niż ci się zdaje. A może to było na tle politycznym, ale nie miało nic wspólnego z Holly ani z Novatem, ani z Sophią Gruenberg. Massengil

nie był Misterem Uroku. Może to jakiś z jego niezadowolonych wyborców, który oddał głos, pociągając za spust.

– Nie, nie był Misterem Uroku – zgodziłem się – ale był na tyle popularny, że przetrwał dwadzieścia osiem lat.

– I tyle z tego ma. Nie wiem, Alex. To, co się dzieje, jest tak dziwne, że nawet nie chcę tu stosować logiki, bo gdy to robię, zaczynam wątpić w jej wartość. Jednym możesz się pocieszyć: twoje przeczucie, że jakieś dziwne układy łączą Massengila i Dobbsa, okazało się trafne.

– Dobbs, drugi w kolejności. Konsultacje menedżerskie. Świetna pralnia honorariów Cheri – podsumowałem.

– Co sądzisz o tym, co powiedziała? O politykierach i technikach wiązania?

– Psychologicznie ma to pewien sens. Jak kiedyś powiedziałeś, politycy utożsamiają się z władzą. Dla niektórych z nich seks może stać się jeszcze jedną rozgrywką o dominację. Ciekawe byłoby się dowiedzieć, kto jeszcze, tu lub w Sacramento, wiedział o zboczeniu Massengila. Kto, oprócz Dobbsa, wiedział, że Massengil zadaje się z Cheri. A może były inne Cheri? Ten facet, którego Massengil pobił na zgromadzeniu – DiMarco – należałoby z nim porozmawiać. Może się o tym dowiedział i puścił te informacje dalej? W ramach zemsty. Albo zemścił się w bardziej bezpośredni sposób.

– Sam go zastrzelił?

– Burr zastrzelił Hamiltona, White Milka i Moscone’a.

– Cholera – zaklął. – Trop prowadzi we wszystkich kierunkach. Dlatego chciałem ją zawieźć na posterunek i jeszcze trochę z niej wydusić. Próbowałem zasugerować to Friskowi, powiedzieć mu, co należy zrobić, żeby dochodzenie gładko się toczyło. Ale po prostu mi przerwał: „Dziękuję, detektywie. Wszystko jest pod kontrolą”. Jakby mówił: „Spierdalaj, nie potrzebuję twoich pedalskich pomysłów”. Milo potrząsnął głową. – Kurwa, to nie mój problem. Umywam od tego ręce. I tak nienawidzę konferencji prasowych.

Powiedział to zbyt głośno i zbyt szybko; nie bardzo mu uwierzyłem. On sam chyba w to nie wierzył. Ale pora nie wydawała się właściwa, żeby podejmować dyskusję.

Rozdział dwudziesty ósmy

Linda dzwoniła o dziesiątej i zostawiła wiadomość: „Zadzwoiłam tylko, żeby powiedzieć ci cześć. Nie idę spać do jedenastej trzydzieści”.

Była niemal pierwsza i mimo że chciałem z nią porozmawiać, zdecydowałem się odłożyć wszystko do rana.

Byłem spięty. Moje zmysły dostały zbyt dużą dawkę wrażeń. Nie chciało mi się czytać książki, które wybrał sobie Ike Novato. W telewizji na pewno pokazują po raz kolejny filmy, które w ogóle nie powinny powstać, i kramarzy reklamujących środki na cellulitis i wieczne zbawienie. Poćwiczyłem pół godziny na maszynie narciarskiej, wziąłem prysznic, wskoczyłem do łóżka i zasnąłem.

* * *

Obudziłem się, myśląc o dzieciach w Hale'u, i o siódmej trzydzieści zadzwoniłem do Lindy. Słyszała już o morderstwie Massengila w wiadomościach porannych. Nic nie wspominali, że wpłątana jest w to kobieta. Opowiedziałem jej o Sheryl Jackson.

– Boże, co się dzieje, Alex?

– Chciałbym to wiedzieć.

– Czy to może mieć jakiś związek ze strzelaniną w szkole?

– Jak tak dalej pójdzie, może się nigdy nie dowiemy. – Opowiedziałem jej, jak Frisk wykopał Mila z tej sprawy.

– Znowu polityk – dodałem. – Urodzaj na nich w tym roku.

– Rok szczura – skomentowała. – Co powinnam zrobić z dziećmi, Alex? Chodzi o Massengila.

– Przede wszystkim trzeba sprawdzić, czy nie wiążą śmierci Massengila z czymś, co zrobiły albo o czym myślały. Zwróć uwagę szczególnie na młodsze dzieci. Czasami stawiają znak równości między tym, co myślą, a tym, co się dzieje. Tak zwane myślenie sprawcze. Muszą wiedzieć, jaki stosunek miał do nich Massengil. Mogły go widzieć w telewizji albo słyszeć, jak rodzice mówili, że to zły człowiek. Jeśli życzyły mu coś złego, może nawet śmierci, mogą sobie ubzdurać, że te życzenia go zabiły. Poza tym przez następne kilka dni media zrobią pewnie z Massengila bohatera. Już nie będzie przedstawiany jako zły facet. Mogą się w tym zgubić.

– Bohatera? – zdziwiła się Linda. – Mimo tej dziwki?

– Fakt, że jeszcze nie powiedzieli o dziwce, może znaczyć, że tę część mają zamiar zachować w tajemnicy. Frisk handluje sekretami. Pójdzie na taki układ, jeśli będzie mu się to opłacało.

Milczała przez chwilę, po czym rzekła:

– Dobra, czyli powinnam nie dopuścić, żeby kojarzyły swoje złe myśli o Massengilu z tym, co mu się przytrafiło.

– I ze strzelaniną.

– Mam ich zgromadzić, czy zlecić, żeby nauczyciele odbyli pogadanki w klasach?

– W klasach. Wtedy łatwiej wychwycić różne reakcje. Mogę zaraz przyjechać, jeśli chcesz.

– Nie – powiedziała. – Dzięki. Chciałabym sama spróbować. Na dłuższą metę to ja będę musiała dawać sobie z tym radę.

– Ma to sens – zgodziłem się.

– Ale chętnie spotkałabym się z tobą po lekcjach.

– Może o siódmej? U ciebie?

– Może.

* * *

Zrobiłem bardzo mocną kawę i wycisnąłem sok z grejpfruta. Mahlon Burden bez wątpienia miał jakieś urządzenie, które zrobiłoby to szybciej i czyściej. Tak zaopatrzony, włączyłem wiadomości o ósmej.

Byli akurat w połowie filmu dokumentalnego o karierze Massengila. Dominowały określenia typu: „zdecydowany polityk” i „weteran ustawodawstwa”. Nie wspomniano o Sheryl Jackson. Doktor Lance Dobbs był opisywany jako „wybitny psycholog, konsultant menedżerski i doradca radnego”.

Policja nie podawała żadnych domysłów na temat zamachowca lub zamachowców, ale prowadziła dochodzenie „w kilku kierunkach”. Stwierdził tak sam naczelnik. Pytanie reportera na temat strzelaniny w Hale’u spowodowało szybkie: „W tej chwili nie widzimy związku, ale jak powiedziałem, panowie, badamy wszystkie aspekty tej tragedii”. Frisk stał za szefem, z uroczystą powagą kandydata na wiceprezydenta.

Po chwili kamera pokazała zapłakaną wdowę po Massengilu, tęgą, dobrotliwą kobietę o wyłupiastych oczach i siwych włosach. Siedziała na pluszowej kanapce. Pocieszało ją dwóch dorosłych synów. Pozostali dwaj byli w drodze z Kolorado i Florydy. Na ścianie za kanapką wisiały oprawione w ramki zdjęcia. Na jednym z nich widoczny był Massengil podrzucający wnuka do góry.

Dziecko wydawało się jednocześnie przerażone i zachwycone. Massengil uśmiechał się okrutnie. Wyłączyłem telewizor.

* * *

Odłożyłem swoją lekcję historii, przez kilka godzin wykonywałem papierkową pracę, wybrałem siatkę liście z sadzawki i wziąłem prysznic. O jedenastej siedziałem przy stole w jadani, a przede mną leżały książki Ike'a. Przewracałem kartki, szukałem innych zapisków na marginesach... do czego miało to doprowadzić?

„W najgorszym wypadku poszerzysz sobie wiedzę, kolego”.

Tydzień temu twierdziłbym, że moja wiedza jest bardzo rzetelna, że nie muszę już jej poszerzać. Nie było mi obce cierpienie – spędziłem połowę życia jako wentyl bezpieczeństwa dla nieszczęść innych ludzi. Odwiedzałem oddziały dla nieuleczalnie chorych, przekazywałem im słowa, skinienia głową, emfatyczne spojrzenia, znaczącą ciszę – skromną pomoc, którą mogłem im dać dzięki swojemu przygotowaniu zawodowemu. Ta działalność prowadziła do wielu posępnych nocy spędzanych z dręczącą myślą, na którą nie ma odpowiedzi: „Dlaczego życie jest takie okrutne?”. Ten rodzaj pytań, które przestaje się zadawać dopiero, gdy się uświadomi, że nie ma na nie odpowiedzi.

Ale horror tych książek był inny, okrucieństwo tak... wyrachowane. Zinstytucjonalizowane i wydajne.

Ludobójstwo w służbie krajowi. Psychopatia podniesiona do rangi patriotycznego obowiązku.

Dzieci wpychane do wagonów towarowych pod przyzwalającym okiem niewiele od nich starszych żołnierzy. Taśmowe tatuowanie. Przetwórstwo ludzi jak surowca.

Miałem zamiar tylko kartkować, ale zacząłem czytać. Czas mijał. Zrobiło się południe.

O wpół do trzeciej zacząłem książkę o procesie Eichmanna. W jednym z końcowych rozdziałów przedstawione były dokumenty sądowe, udowadniające celowy plan eksterminacji Żydów. Raporty niemieckie z konferencji w kwaterze głównej w Berlinie, prowadzonej przez Reinharda Heydricha 20 stycznia 1942 roku na polecenie Hermanna Goeringa, który obarczył Heydricha obowiązkiem znalezienia ostatecznego rozwiązania. Tajna konferencja, w której wzięli udział uczeni doktorzy: Meyer, Leibbrandt, Neumann, Freisler...

Plan był dobrze przemyślany i wykorzystywał dane zebrane podczas dawniejszych operacji masowych zbrodni, przeprowadzonych przez oddziały Aktion. Dokładna statystyka dotycząca rozmieszczenia jedenastu milionów Żydów w Europie.

Pierwszym etapem miał być masowy wywóz pod pozorem *Arbeitseinsatz* – „wkładu pracy”. Wywiezieni, którzy nie zginęliby z „przyczyn naturalnych”, zostaliby „odpowiednio potraktowani”. Całość miała arogancki wydźwięk konferencji naukowej, której uczestnicy prowadzili wniosłe,

górnolotne dyskusje na temat optymalnych technik zabijania...

Tajna konferencja, odsłonięta przed potomnością jedynie dlatego, że *Herr* Eichmann, zapamiętał urzędnik, sporządził solidne zapiski.

Konferencja, która odbyła się w dzielnicy Berlina zwanej Wannsee.

Wannsee.

W Azji.

W Azji? „W Azji trwa? Dwa?”.

Zabrakło mi tchu, a ból w szczęce uświadomił mi, że zaciskam zęby.

Powróciłem do książki. Kartki, które miałem przed sobą, były wyświechtane od częstego przerzucania, lekko poszarpane na brzegach.

Na prawym marginesie, ołówkiem, schludnym, równym, drukowanym pismem Ike'a Novato, były wypisane słowa.

„Wannsee II? Możliwe?”.

Kilka cali niżej: „Znów Crevolin? Może”.

Dalej numer telefonu z kierunkowym 931. Okręg Fairfax.

Wannsee II.

Crevolin. Brzmiało to jak nazwa płynu na porost włosów. Albo czegoś wytworzonego z petrochemikaliów.

Jakiś szyfr? A może nazwisko.

Wykręciłem numer do Fairfas. Sekretarka wyrecytowała skrót jednej ze stacji telewizyjnych. Przez zaskoczenie nie odezwałem się od razu i zanim zdążyłem odpowiedzieć, powtórzyła trzy spółgłoski nazwy stacji.

– Czy mogę w czymś pomóc?

– Tak. Chciałbym rozmawiać z panem Crevolinem. – Pięćdziesiąt procent szansy, że trafiłem z płcią.

– Chwileczkę – powiedziała.

Trzask.

– Gabinet Terry'ego Crevolina.

– Z panem Crevolinem poproszę.

– Nie ma go w biurze.

– Kiedy wróci?

– A kto mówi?

Nie wiedząc, jak odpowiedzieć na to pytanie, rzuciłem:

– Kolega. Zadzwoń później – i odłożyłem słuchawkę.

Zadzwoniłem do Ośrodka Dokumentacji Zagłady Żydów i poprosiłem z Judy Baumgartner. Podeszła do telefonu i odezwała się radośnie brzmiącym głosem.

– Tak, Alex, co mogę dla ciebie zrobić?

– Milo poprosił, żebym przejrzał książki Ike’a Novata. Właśnie natknąłem się na coś, co Ike zapisał na marginesie jednej z nich, i pomyślałem, że może będziesz mi to mogła wyjaśnić.

– Co takiego?

– Wannsee II. Napisał to na marginesie rozdziału o konferencji w Wannsee.

– Wannsee II – powiedziała, wymawiając tę nazwę „Wanzi”. – Nigdy mi o tym nie wspominał. Dziwne, że w ogóle wiedział coś na ten temat.

– Dlaczego?

– Wannsee II to dość mało znana sprawa. Właściwie to tylko plotka, która krążyła kilka lat temu. Podobno w latach siedemdziesiątych odbyło się tajne spotkanie ludzi z radykalnej prawicy i radykalnej lewicy. Rzekomym celem miało być zawiązanie narodowej konfederacji socjalistycznej – zaszczerpienie w naszym kraju korzeni partii neofaszystowskiej.

– Brzmi jak odrodzenie Bundu.

– Raczej jak pakt hitlerowsko-stalinowski. Ekstremiści tłamszący centrum. Nigdy nie znaleźliśmy żadnych dowodów, że spotkanie się odbyło. Ogólnie sądzi się, że sprawa jest wątpliwa – jeden z tych mieszczkańskich mitów, jak to, że w przewodach kanalizacyjnych mieszkają aligatory. Ale niewykluczone, że coś się jednak działo. Ta plotka zaczęła krążyć mniej więcej w czasie Cointelpro – akcji antywywiadowczej, jaką podjęła administracja Nixona w celu sabotażu ruchów radykalnych.

– Gdzie niby miała się odbyć ta konferencja?

– Słyszałam różne wersje – że w Niemczech, a nawet że tutaj, w Stanach Zjednoczonych. Dotarły też do mnie informacje, że odbyła się w jakiejś bazie wojskowej – konfederacja rzekomo ma masę członków w siłach zbrojnych i różnych oddziałach policyjnych w całym kraju. Czy to zaspokaja

twoją ciekawość? – zapytała, a po chwili dodała: – Wannsee H. Już bardzo dawno o tym nie słyszałam. Zastanawiam się, skąd Ike się dowiedział.

– Jego gospodyni była zawziętym radykałem, interesowała się zagładą Żydów – wyjaśniłem. – Prowadzili ze sobą dyskusje polityczne. Mogła mu powiedzieć o Wannsee II, a on postanowił dowiedzieć się czegoś więcej.

– W takim wypadku rozumiem, dlaczego się tym interesował. Czarni stanowili główny cel Wannsee II. Plotka mówi, że jednym z zamierzeń konfederacji było zaszczepienie nienawiści wśród mniejszości. Chcieli poszczuć Czarnych przeciwko Żydom – żeby Czarni pozabijali Żydów, co nie byłoby trudne, ponieważ Żydzi to marne mięczaki, które bez problemów pomaszerują znów do pieców. Gdy Czarni wykonaliby już swoją misję, można by ich zgładzić. To też byłoby łatwe, ponieważ są tak naiwni i głupi. I oczywiście, gdyby tchórzliwi Latynosi i Azjaci zobaczyli, co się dzieje, z własnej woli opuściliby kraj – wróciliby tam, skąd przybyli – i granice Białej Ameryki byłyby automatycznie zapieczętowane.

– To brzmi jak szaleństwo.

– Hitler na początku też wydawał się szaleńcem. Dlatego tak dokładnie zbadaliśmy sprawę Wannsee II. Ale nigdy nie natrafiliśmy na nic, co by ją uwiarygodniło.

– Na marginesie było jeszcze coś – powiedziałem. – Crevolin. I numer telefonu. Zadzwoiłem tam i połączono mnie z gabinetem kogoś o nazwisku Terry Crevolin, w jednej ze stacji telewizyjnych.

– Znam Terry’ego! – powiedziała. – Pracuje w dziale rozwoju, ocenia scenariusze. Współpracował z nami w zeszłym roku, gdy przygotowaliśmy program o zbrodniach wojennych. Tytuł brzmiał „Skryty”. Dostaliśmy nagrodę Emmy.

– Pamiętam. Czy Ike go znał?

– Nie mam pojęcia, ale okazuje się, że wielu rzeczy nie wiem na temat Ike’a.

– Czy to możliwe, że się poznali w ośrodku?

– Nie. Terry był tutaj jedynie parę razy na zebraniach. I to w zeszłym roku, kilka miesięcy przed pokazaniem się Ike’a. Chociaż sądzę, że mogli się spotkać, jeśli Terry wpadał tutaj, kiedy mnie nie było. Co dokładnie Ike napisał w tej książce?

– „Wannsee II?”, dwa cyfrą rzymską, a dalej słowo: „Możliwe?” Dalej: „Znów Crevolin? Może?”. I numer Crevolina. To może znaczyć, że raz próbował porozmawiać z Crevolinem o Wannsee II, nie mógł się z nim skontaktować i chciał spróbować jeszcze raz. Domyślasz się, po co?

– Jedyne, jaka przychodzi mi do głowy, to to, że Terry niegdyś interesował się działalnością Nowej Lewicy – nawet napisał książkę. Pamiętam, że mi o tym mówił. Sprawiał wrażenie zażenowanego, a jednocześnie dumnego. Może Ike traktował go jako źródło informacji, ale skąd Ike mógł o tym wiedzieć, nie mam pojęcia.

– Źródło informacji o Nowej Lewicy?

– Może. Z pewnością nie o zagładzie Żydów. Terry nie wiedział o tym zbyt dużo, dopóki go nie przeszkoliliśmy. Zaczęło mnie to bardzo ciekawić. Jeśli dowiesz się czegoś istotnego, proszę, daj mi znać.

* * *

Ponownie zadzwoniłem do stacji telewizyjnej i połączyłem się z gabinetem Crevolina. Nadal go nie było. Tym razem zostawiłem swoje nazwisko i powiedziałem, że chodzi o Ike'a Novato. Następnie zadzwoniłem do Mila, na komisariat w zachodnim Los Angeles, żeby mu to wszystko przekazać. Też go nie było. Zadzwoniłem pod numer domowy, wysłuchałem głosu Ricka nagranego na sekretarce i wyrecytowałem, czego dowiedziałem się o Wannsee II. Gdy skończyłem, sam stwierdziłem, że to niewiele: badania nieżyjącego chłopaka nad miejskim mitem.

Przeszukałem resztę książek Ike'a, nie znalazłem żadnych innych zapisków na temat Wannsee i spakowałem je z powrotem. Gdy po raz trzeci zadzwoniłem do stacji telewizyjnej, była niemal szósta. Tym razem nikt nie odpowiadał.

„Znów Crevolin?”

Może nie chodziło o to, że Ike'owi nie udało się dodzwonić do pracownika telewizji, lecz że rozmawiali i Crevolin nie udzielił mu potrzebnych informacji.

Ale dlaczego Ike przypuszczał, że Crevolin będzie mógł mu w czymś pomóc?

Weteran Nowej Lewicy. I pisarz.

Być może Ike natknął się na książkę Crevolina i coś go w niej zainteresowało.

Spojrzałem na zegarek. Miałem jeszcze godzinę do umówionego spotkania z Lindą.

Zadzwoniłem do księgarni w Westwood Village. Ekspedient sprawdził wykaz: „Książki bieżące” i powiedział, że nie figuruje tam książka kogoś o nazwisku Crevolin i że sklep nigdy jej nie miał w sprzedaży.

– Czy wie pan, gdzie ją mogę znaleźć!

– O czym ona jest?

– O Nowej Lewicy, lata sześćdziesiąte.

– Księgarnia Vagabond ma duży dział książek o latach sześćdziesiątych.

Znałem księgarnię Vagabond przy bulwarze Westwood. Po drodze do Lindy. Ciepłe, zagracone

miejsce, z zakurzoną, swojską atmosferą księgarni uniwersyteckiej; takiej księgarni, jakie rzadko zdarzały się w kampusach uniwersyteckich Los Angeles. Kupiłem tam kilka pierwszych wydań Chandlera, MacDonalda i Leonarda, trochę książek o sztuce, psychologii i tomików poezji. Odszukałem ich numer, zadzwoniłem, czekałem dziesięć sygnałów i miałem już odłożyć słuchawkę, kiedy odpowiedział jakiś mężczyzna.

– Vagabond.

Powiedziałem mu, czego szukam.

– Tak, mamy.

– Świetnie. Przyjadę za chwilę i ją wezmę.

– Przykro mi, ale już nieczynne.

– A o której jutro otwieracie?

– O jedenastej.

– Dobrze. W takim razie do zobaczenia o jedenastej.

– To jest dla pana pilne?

– Tak.

– Jest pan pisarzem?

– Naukowcem.

– Wie pan co? Niech pan podejdzie do tylnego wyjścia. Sprzedam ją panu za dziesięć dolców.

Podziękowałem, przebrałem się szybko i ruszyłem, wjeżdżając z Wilshire w bulwar Westwood i kierując się na południe. Dwadzieścia pięć po szóstej dotarłem do tylnych drzwi księgarni. Drzwi były zamknięte na zasuwkę. Po kilku mocnych stuknięciach usłyszałem, że ktoś otwiera. Wysoki, szczupły mężczyzna po trzydziestce, z chłopięco przystojną twarzą, z długimi, falowanymi włosami i przedziałkiem pośrodku, stał, trzymając w dłoni pobrudzoną książkę w miękkiej okładce. Okładka była szara i bez tytułu. Mężczyzna ubrany w adidasy, sztruksowe spodnie i bluzę z Harvardu drugą ręką podtrzymywał saksofon tenorowy wiszący mu na szyi.

Uśmiechnął się ciepło i powiedział:

– Szukałem czyściejszej, ale mamy tylko taką.

– Nie szkodzi – odparłem. – Dziękuję za przysługę.

Wręczył mi książkę.

– Owocnych badań.

Wyciągnąłem dziesiątkę.

– Niech będzie za pięć. – Sięgnął do kieszeni i wydał mi resztę. – Teraz pana poznaję. Jest pan dobrym klientem, a to zszargany egzemplarz. Poza tym nie powiem, żeby to się dobrze sprzedawało.

– Złe napisana?

Roześmiał się i dotknął palcami przycisków saksofonu.

– Delikatnie powiedziane. To knot, wydany nakładem autora. Żałosny byłoby komplementem.

Otworzyłem książkę. Tytuł brzmiał *Kłamstwa*, T. Crevolin. Przewróciłem stronę, spojrzałem na nazwę wydawcy.

– RewPress?

– Jak w słowie rewolucja. Dość bystre, prawda?

Przyłożył saksofon do ust, zagrał kilka smutnych dźwięków i stłumił je.

Podziękowałem mu jeszcze raz.

Uniósł brwi, znów zagrał, tym razem głośniej, i zamknął drzwi.

* * *

Wrzuciłem książkę do bagażnika i ruszyłem do Lindy.

Pojechaliśmy do włoskiej restauracji w dzielnicy Los Feliz, odkryłem ją, gdy pracowałem w Zachodnim Szpitalu Pediatryczym. Niewielka, z gablotką z zakąskami z przodu i stolikami z tyłu. Świetnie zaopatrzona w ser romano i kielbaski z czosnkiem, mielonkę z oliwkami i włoską szynkę *prosciutto*. Z otwartych beczek z oliwkami unosił się wspaniały słony zapach.

Zamówiłem butelkę chianti classico, która kosztowała więcej niż obydwie nasze obiady. Oboje wypiliśmy po całym kieliszku, zanim podano jedzenie.

Spytałem, jak dzieci radzą sobie z zabójstwem Massengila.

– Właściwie całkiem nieźle. Większość z nich chyba nie miała sprecyzowanej wizji, kim był. Zajął się tym łańcuchem przyczynowo-skutkowym. Dzięki, że mną pokierowałeś.

Napełniła mój kieliszek, następnie swój.

– Widziałeś wiadomości o szóstej?

– Nie.

– Miałeś rację co do Massengila – robią z niego świętego. I najlepszego przyjaciela Latcha.

– Latcha?

– A tak. Jest w centrum uwagi. Wygłosił mowę pochwalną w sali Rady. Rozwodził się, jak to on i Sam wyrażali nieco odmienne poglądy, ale darzyli się szacunkiem, doceniali procesy demokratyczne i tak dalej. Potem kondolencje dla wdowy i oficjalna propozycja ogłoszenia tego dnia dniem żałoby ku czci naszego ukochanego przywódcy. Całość brzmiała jak mowa przedwyborcza.

– Ukochany przywódca – powiedziałem.

– Teraz wszyscy go kochają. Nawet ten facet, któremu Massengil przyłożył, DiMarco, miał coś miłego do powiedzenia.

– Nie ma nic lepszego od śmierci, żeby wybielić czyjś wizerunek.

– Gdyby wystawili martwego Massengila do wyborów, to pewnie by wygrał.

Uniosłem kieliszek.

– Co za koncepcja. Samobójstwo jako taktyka wyborcza. Możliwości są fascynujące. Na przykład można by dodać do gabinetu stanowisko oficjalnego ekshumanta.

Oboje się roześmialiśmy.

– Boże, to okropne. Ale przykro mi, nie potrafię go polubić tylko dlatego, że nie żyje. Pamiętam, jak nas wykorzystał. I co wyrabiał z tą panienką. Ohyda.

– Czy wspominali przy okazji Dobbsa? – spytałem.

– Szanowany psycholog, konsultant i tak dalej.

– Nie mówili nic o jego pracy w twojej szkole?

Skinęła głową.

– To była właśnie ta część o szanowanym psychologu. Sugerowali, że cały czas zajmował się dziećmi. Tak świetnie poinformowana jest prasa. Było także kilka pytań na temat możliwego związku ze strzelaniną w szkole, ale Frisk je odparł, lejąc wodę: rozpatrujemy każdą możliwość, to poufne i tak dalej, i tak dalej. Oczywiście żaden gliniarz się u nas nie pojawił, żeby porozmawiać.

Oblizwała wargi.

– Potem Latch wyszedł przed ratusz, podwinął rękawy i osobiście opuścił flagę do połowy masztu, z bardzo uroczystym wyrazem twarzy. Dwadzieścia lat temu pewnie ją palił.

– Ludzie mają krótką pamięć – powiedziałem. – Dowiedli tego, wybierając go. Stał na nogi, a teraz dąży do osiągnięcia szacunku. Wielki Pojednawca. Jak się do tego dołoży koncert DeJona oraz fakt, że to jego człowiek zastrzelił zamachowca, to nagle okazuje się, że jest niezwykle bohaterym.

Potrząsnęła głową.

– To jest to, czego nie uczą na lekcjach wychowania obywatelskiego. Jak się nad tym zastanowić, wszyscy są jednakowi, nieprawdaż? Wszyscy są żądni władzy, nieważne, jakie hasła głoszą.

„Nieważne, jakie skrzydło...”.

– Co się stało, Alex? – spytała.

– Co?

– Nagle zrobiłeś taką minę, jakby ci wino przestało smakować.

– Nie, wszystko w porządku.

– Wyglądało, jakby nie było wszystko w porządku.

Mówiła cichym, ale zdecydowanym głosem. Ścisnęła moją rękę.

– No dobrze – powiedziałem. – Jesteś gotowa na jeszcze dziwniejsze rzeczy? – Opowiedziałem jej o lekturze Ike’a Novato. O Wannsee II. O Nowej Konfederacji.

– Jedno szaleństwo zaczyna pasować do drugiego. Czy to nie cudna sentencja?

– Znawczynie z Ośrodka Zagłady Żydów wątpi, czy to w ogóle się odbyło. Jeśli ktoś by o tym wiedział, to na pewno ona.

– To dobrze – powiedziała – bo to już zaczynało stawać się zbyt dziwne.

Oboje napiliśmy się wina.

– Jak tam radzi sobie Mart, pogromca samochodów?

– Jak na razie nie ma kłopotów. Posłałam go do czarnej roboty. Od początku chciałam mu pokazać, kto tu rządzi. Naprawdę jest potulnym dzieciakiem z przerośniętym ciałem. Dość łagodny, nie ma ciągot do towarzystwa. Robi, co mu się każe.

– Tak jak Holly.

– Masz rację – zgodziła się. – Zastanawiam się, ile jest takich dzieci.

Puściła moją dłoń. Dotknęła kieliszka, ale nie uniosła go do ust. Zamilkliśmy. Słyszałem rozmowy innych par. Ich śmiech.

– Przesuń krzesło – powiedziała. – Usiądź obok mnie. Chcę cię czuć koło siebie.

Przesiadłem się. Stolik był wąski i stykaliśmy się ramionami. Położyła palce na moim kolanie. Objąłem ją ramieniem i przyciągnąłem bliżej. Jej ciało było sztywne, odporne.

– Chodźmy stąd – odezwała się. – Zostańmy sami.

Rzuciłem pieniądze na stół i zerwałem się szybko.

Nikt nas nie śledził w drodze do domu.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Usnęliśmy przytuleni. O szóstej trzydziści następnego ranka leżeliśmy na przeciwnych stronach łóżka. Linda otworzyła jedno oko, przetoczyła się do mnie, przełożyła nogę przez moje biodro, pomogła mi wejść w siebie, żadna zjednoczenia. Gdy było po wszystkim, szybko wyskoczyła z łóżka.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– W doskonałym. – Schyliła się, pocałowała mnie pożądliwie w usta, odwróciła się i poszła pod prysznic. Gdy tam dotarłem, już się wycierała.

Wyciągnąłem ramiona, żeby ją objąć. Pozwoliła mi, ale tylko przez chwilę, po czym odsunęła się tanecznym ruchem i powiedziała:

– Mam dziś masę roboty.

Wyszła, nie jedząc śniadania. Wyczułem rezerwę – ślad dawnego chłodu? Jakby lekko zatarła się istniejąca między nami intymność.

Wziąłem prysznic, zrobiłem kawę i zasiadłem do książki Terry’ego Crevolina.

* * *

„Żałosna byłoby komplementem”.

Książka zawierała pełno błędów literowych i gramatycznych. Jeśli nawet ktoś robił korektę, nie było tego widać. Crevolin miał zamiłowanie do dwustuwyrzowych zdań, przypadkowego użycia kursywy, swobodnego szafowania wielkimi literami i cytatów z przewodniczącego Mao („W walkach o wyzwolenie narodowe patriotyzm jest aktywnym internacjonalizmem”).

Przykładowe zdanie: „Żadna z istniejących form świadomej retoryki rewolucyjnej czy *transkulturowej* działalności rewolucyjnej, stworzonej przez Dyscyplinę Pracy i pokrewne jej Awangardy Pracy, jako środek wyzbycia się Komodytyzmu i merkantylnego demonizmu nie wydaje się, jak na razie, w stanie obronić przed starym zmniejszaniem się Świadomości Proletariackiej, zatrutej anarchiczną, krwiożerczą, bałwochwalcza, i nieskończenie rozpustną pseudoideologią, jednomyślnie karmioną Rozkładem Sił...”.

To, a do tego zdjęcia – wycięte z podręczników i z czasopism, niektóre ręcznie pokolorowane kredkami. Fotografie z popiersiami Marksa, Engelsa, Lenina, Trackiego i, z niejasnych dla mnie przyczyn, Buddy, Szekspira i koczkodana. Robotnicy w płóciennych czapeczkach, czekający w kolejce po chleb. Bizantyjskie ikony. Greckie posągi. Postacie wyglądające jak po przeżyciu burzy piaskowej, z twarzami z piosenki Woody Guthrie. Egipskie piramidy. Motyle. Dwie strony dawnej

broni – maczugi, halabardy, długie miecze. Czółg sherman.

Próbowałem wychwycić z tego jakiś sens, ale słowa przelatywały przeze mnie jak przez sito – literacka sieczka. Wzrok zaszedł mi mgłą i rozbolała mnie głowa. Przerzuciłem kartki do ostatniego rozdziału w nadziei, że znajdę jakieś podsumowanie, jakieś ogólne przesłanie, z którego mógłbym coś zrozumieć. Coś, co by mi powiedziało, dlaczego Ike Novato szukał kontaktu z autorem.

Znalazłem zdjęcie pokolorowanej chmury w kształcie grzyba, podpisane: BEAR LODGE, WSPANIALI. Na następnej stronie znajdowała się fotokopia artykułu prasowego z „New York Timesa” z 21 kwietnia 1971 roku. Wielkimi, czerwonymi, drukowanymi literami było wypisane w poprzek artykułu słowo: KŁAMSTWA! Czerwone litery nie przesłoniły jednak całkiem tekstu znajdującego się pod nimi.

FBI TWIERDZI, ŻE WYBUCH W IDAHO BYŁ SKUTKIEM WYPADKU W FABRYCE BOMB BEAR LODGE, IDAHO.

„Federalne i lokalne władze, strzegące prawa w tym miasteczku, donoszą, że gigantyczna eksplozja, jaka nastąpiła we wczesnych godzinach porannych, była skutkiem przypadkowej detonacji ukrytych zapasów ładunków wybuchowych, zgromadzonych przez lewicowych radykałów, którzy planowali wiele akcji terrorystycznych na znak politycznego protestu.

Eksplozja, którą świadkowie opisali jako »burzę płomieni«, wydarzyła się o 2.00 nad ranem i całkowicie zniszczyła były tartak i kilka pustych baraków; pół mili za Bear Lodge. Ponadto zaprószył się od niej ogień w kilku miejscach gęsto zalesionego terenu. Walka z pożarem trwała sześć godzin. W budynkach w miasteczku Bear Lodge powylatywały okna i zostały uszkodzone niektóre elementy drewniane i murowane domów. Nikt z mieszkańców Bear Lodge nie zgłosił rannych, ale dziesięć osób przebywających w tartaku uważa się za zmarłe.

»Ziemia zaczęła drżeć. To było jak trzęsienie ziemi – powiedziała Nellie Barthel, właścicielka oberży Maybe Drop i zajazdu Truck Stop w Bear Lodge, sprzątając potłuczone szklanki i butelki. – Albo jak wybuch przy przekraczaniu prędkości dźwięku, tylko znacznie głośniejszy. Potem zobaczyliśmy, że ogień i dym unoszą się od wschodu do nieba i wiedzieliśmy, że coś się stało z tymi ludźmi w starym składzie drewna«.

Według dokumentów podatkowych, które przedstawiono w Twin Falls, prawowity właściciel składu, Mountain Properties, w sierpniu zeszłego roku wynajął stuletni, drewniany budynek na sześć miesięcy »M. Bakuninowi« – prawdopodobnie jest to pseudonim nawiązujący do rosyjskiego anarchisty z XIX w, Michaiła Aleksandrowicza Bakunina. W umowie najmu »Bakunin« oświadczył, że będzie tam składował »artykuły rolnicze i żywność«.

Pracownicy i zarządzający Mountain Properties nie wygłosili komentarza w tej sprawie. Jednakże mieszkańcy Bear Lodge (liczba mieszkańców 326) donoszą o zwiększonym ruchu w okolicy składu w czasie ostatnich tygodni. Jacyś obcy zwozili ciężarówkami nawozy, trociny, cukier i inne materiały.

»Musieli to wszystko kupić gdzieś indziej, ponieważ nie robili zakupów w miasteczku« –

powiedział Dayton Auhagen, odziany w skórę kozłą traper, który czasami sypiał w spalonym obecnie lesie otaczającym skład. Auhagen opisał najemców składu jako »nie z naszej okolicy. Ale nie wtrącali się do naszych spraw, a my nie wtrącaliśmy się do nich. Tak już u nas jest. Wszyscy jesteśmy indywidualistami«.

Szef oddziału FBI w południowym Idaho, Morrison Stowe, ma inny pogląd w sprawie ofiar wybuchu. »Byli radykałami politycznymi, podejrzanymi o akty terroryzmu miejskiego lub o spiskowanie w celu przeprowadzenia akcji terrorystycznych. Substancje, jakie gromadzili, mogły być wykorzystane w produkcji środków wybuchowych«.

Mimo że Stowe odmówił opisania procesu produkcji bomby, powiedział jednak: »To nie jest szczególnie trudne. W ciągu ostatnich kilku lat w podziemiu wywrotowym krążyło kilka podręczników – książek instruktażowych, według których samodzielne spreparowanie bomby jest prostym zadaniem. Nie jest w nich jednak napisane, że nitrogliceryna to niezmiernie czuły składnik. Może detonować z powodu niewielkich zmian temperatury lub wilgotności. Uważamy, że to właśnie miało miejsce. Osoby te produkowały bomby, nastąpiła przypadkowa detonacja i wszyscy wylecieli w powietrze«.

Stowe dodał, że siła wybuchu była tak potężna, iż identyfikacja ciał jest właściwie niemożliwa, jednak zeznania naocznych świadków w połączeniu z uważnym i długotrwałym dochodzeniem nasunęły FBI wniosek, że przynajmniej dziesięć osób zginęło w wybuchu, w tym dwoje małych dzieci, i że nikt z członków tej grupy nie przeżył. Wymienił ofiary wybuchu:

Thomas Harrison Mader Bruckner, lat 29, z Darien, Connecticut. Absolwent Uniwersytetu Columbia, asystent na wydziale socjologii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley i członek założyciel agresywnego odłamu Ruchu Studentów dla Sprawy Demokratycznego Społeczeństwa (RSSDS) – grupy Weatherman. Bruckner pochodził ze starej, kolonialnej rodziny, z której wywodziło się kilku kongresmanów i jeden z sygnatariuszy Deklaracji Niepodległości.

Catherine Blanchard Lockerby, lat 23, z Filadelfii i Newport, Rhode Island. Była studentka psychologii na Uniwersytecie Columbia i członkini grupy Weatherman, Lockerby żyła z Brucknerem i wywodziła się z wpływowej, znanej rodziny.

Antonio Yselas Rodriguez, lat 34, z San Juan, Portoryko, mieszkający także w Bronksie, Nowy Jork. Skazany fałszerz i włamywacz. Rodriguez był poszukiwany listem gończym za ucieczkę z więzienia Rikers Island, w stanie Nowy Jork, gdzie przebywał w oczekiwaniu na rozprawę. Oskarżony o napad związany z bijatyką barową w południowym Bronksie, w grudniu 1970 roku. Jest określany jako główny podejrzany w kilku zamachach bombowych, przypisanych separatystyczno-ekstremistycznej grupie z Portoryko, FALN.

Teresa Alicia Santana, lat 26, z Bronxu, Nowy Jork, żona Rodrigueza i prawdopodobnie kierowniczką jednej z komórek FALN.

Mark Andrew Grossman, lat 24, z Brooklynu, Nowy Jork. Były student nauk politycznych na Uniwersytecie Nowojorskim, jeden z założycieli ugrupowania Weatherman, podawał się za »aktywistę pracy«. Grossman był poszukiwany w celu przesłuchania w sprawie prób sabotażu

w kilku elektrowniach na Wschodnim Wybrzeżu.

Harold Cleveland »Big Skitch« Dupree, lat 39, skazany za morderstwo i napad z bronią w rękę, zwolniony warunkowo z więzienia stanowego w Rahway, New Jersey, w październiku ubiegłego roku. Dupree był przywódcą gangu więziennego Czarna Pięść i prawdopodobnie założycielem Czarnych Rewolucyjnych Sił Zbrojnych oraz przypuszczalnie był odpowiedzialny za serię zbrojnych napadów na samochody na północy stanu Nowy Jork.

Norman Samuel Green, lat 27, z Oakland, Kalifornia. Były student i asystent na wydziale nauk politycznych Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, były przywódca RSSDS i aktywista antywojenny. Green jest uważany za jednego z głównych prowodyrów zamieszek w People's Park i innych protestów studenckich na uniwersytecie w Berkeley. To prawdopodobnie on był »M. Bakuninem«, któremu wynajęto skład.

Melba Tamara Johnson Green, lat 28, z Oakland, Kalifornia. Żona Normana Greena i była studentka prawa na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, gdzie była członkinią Inspekcji Prawnej. Porzuciła studia jeden semestr przed ich ukończeniem. Członkini RSSDS, aktywistka antywojenna oraz ruchu wyzwolenia kobiet i podejrzana o rekrutację do grupy Weatherman, prowadzonej na terenie uniwersytetu w Berkeley.

Malcolm Isaac Green, lat 2, z Oakland, Kalifornia, syn Greenów.

Fidel Frantz Rodriguez Santana, 8 miesięcy, z Bronxu, Nowy Jork, syn Rodrigueza i Santany.

Zapytany, dlaczego członkowie grup takich jak Czarne Rewolucyjne Siły Zbrojne i Weatherman, które jak wiadomo w przeszłości dzieliły znaczne różnice ideologiczne, współpracowali przy gromadzeniu materiałów wybuchowych, agent Stówę odpowiedział: »Według naszych informacji próbowali znaleźć siłę w jedności. Dla wszystkich głównych grup wywrotowych nastąpiły ciężkie czasy. Skuteczne ściganie i więzienie przywódców oraz odsłanianie ich prawdziwych celów zdziesiątkowało ich szeregi, a nowych członków trudno było im znaleźć. Ci, którzy pozostali, to na ogół zdecydowani, agresywni radykałowie. Wydaje się, że był to ostateczny wysiłek zorganizowania radykalnej konfederacji w celu zakłócenia spokoju w społeczeństwie i działania na szkodę życia i majątku członków naszego społeczeństwa. Zważywszy na ich agresywne tendencje, nic dziwnego, że skończyli w taki właśnie sposób. Niestety zginęła również dwójka dzieci, niewinnych ofiar«!?”.

Obok wycinka był wiersz okolony ze wszystkich stron szlaczkiem maleńkich Jezusków na krzyżu.

CZARNE KŁAMSTWA, BIAŁE KŁAMSTWA

krw na trocinach

pełna i ciepła słodka od celu

odłamki kłują męczeńskie

faszystowskie niebo czerwone jak żelazo

czerwone jak ogień

wstrętny dźwięk

mój kraj to jest i twój

mój kraj dobry czy zły mówią

jednocześnie rozlewając sakramentalną krew

tych

którzy są prawi

prawda ostateczna ofiara

w ich grze ostatecznej grze

o zwycięstwo

bitwy

nie wojny

moje serce też krwawi

pełne i ciepłe

dla

joego hilla

sacco i vanzettiego

che leona

trójkąta dziewczyn z ognia

świętych trzeciego świata

osesków czarny i biały

razem

tylko bitwa

Z powodu czerwonej czerwonej

krwi

władza dla ludu!!!!

Ostatnią stronę zajmowało zdjęcie; zbiorowy portret około dwudziestu osób stojących i klęczących w dwóch rzędach przed ceglany budynek porośnięty bluszczem. Ręczny podpis brzmiał: „Berkeley, luty 1969. Wielkie uderzenie. Nawet rewolucjoniści mają prawo się zabawić”.

Objęci ramionami, uśmiechnięte twarze. Radość koleżeństwa. Kilka par oczu zamglonych marihuaną.

Nad niektórymi głowami aureole, narysowane czarną kredką – pięciu mężczyzn, trzy kobiety. Nad każdym z nich ręcznie wypisane nazwisko.

Thomas Bruckner i Catherine Lockerby stali razem w środku pierwszego rzędu. On, o groszkowatym kształcie ciała, przygarbiony, w wyblakłej roboczej koszuli i dżinsach, z długimi włosami sięgającymi łopatek i z gęstym opadającym wąsem, który zasłaniał mu dolną połowę twarzy. Ona potężna, postawna, bosa, ubrana w batikowe sari, z ciasno ściągniętymi do tyłu blond włosami. Wąskie usta z niechęcią poddawały się wesołości. Przenikliwe oczy, mocna szczęka. W innym miejscu, w innych czasach mogłaby się przekształcić w zdecydowaną kobietę z towarzystwa.

Obok niej stał „Tonio” Rodriguez, średniego wzrostu, gładko ogolony, zadziwiająco schludny, ciemne włosy krótsze niż u pozostałych, zaczesane na bok. Koszula i dżinsy. Oczy ukryte za lustrzanymi okularami, jak te, które noszą policjanci patrolujący autostrady. Teresa Santana otaczała go ramieniem. Była bardzo niska, bardzo szczupła, ubrana w czarny golf i obcisłe dżinsy. Jej drugie, czarne włosy były przedzielone pośrodku i okalały owalną twarz o kościach policzkowych modelki, migdałowe oczy, pełne usta. Miniaturka Joan Baez, ale zahartowana przez życie bardziej brutalne niż show business.

Mark Grossman i „Big Skitch” Dupree stali po lewej stronie drugiego rzędu. Widoczne były tylko ich głowy. Grossman miał twarz łagodną, dziecięcą, o słabo zarysowanym podbródku. Na głowie piętrzyło się ogromne blond afro i strzępiaste bokobrody, które sprawiały, że kontury jego twarzy zacierają się nieco. Afro Dupree’ego było skromniejsze. Nosił okulary w czarnych oprawkach, miał kanciaste szczęki, skórę koloru asfaltu i dużą brodę. Bez uśmiechu. Przezorność skazańca.

Na skraju, po prawej stronie w drugim rzędzie widniały okolone aureolą głowy Normana i Melby Green. Obok Melby widać było znajomą mi twarz bez aureoli.

Krągła, piegowata, z niesforną czupryną ciemnych włosów. Ascetyczne rysy, okrągłe okulary z szylkretu – takie, jakie wydział zasiłków brytyjskiej służby zdrowia rozdawał niegdyś za darmo. Marny wąsik i stercząca szpiczasta bródka, która wyglądała, jak doklejona na potrzeby przedstawienia kostiumowego. Ale gdyby pozbawić go zarostu, dodać kilka lat, byłby to ten sam człowiek, który wpadał do klas, grając na organkach. Ten sam człowiek, który zapowiadał gwiazdę rocka.

Już wtedy Gordon Latch miał uśmiech polityka. Przez chwilę patrzyłem na jego zdjęcie, tworząc hipotezy, biegnąc ich tropem, wpadając w ślepe zaułki, próbując znowu, aż w końcu zwróciłem swoją uwagę na Greenów.

Norman Green był bardzo wysoki – górował nad wszystkimi tak bardzo, że musiał mieć około metra osiemdziesięciu ośmiu wzrostu. Gęste, ciemne włosy zaczesane na boki przytrzymywała skórzana opaska. Miał rzymski nos, gęste ciemne brwi, pociągłą, przystojną twarz i krzaczastą bródkę bez wąsów, która nadawała mu podobieństwo do Lincolna. Dostrzegłem w nim coś znajomego...

Jego żona była średniego wzrostu, przez co sięgała mu do ramion. Czarna i ładna, o srogim spojrzeniu, jakby ją coś zaabsorbowało. Miała na sobie białą bluzkę bez kołnierza, naszyjnik z hebanowych paciorków i ogromne hebanowe kolczyki w kształcie kółek. Wyniosły uśmiech. Puszyste afro i owalna twarz. Piękno afrykańskiej księżniczki z rzeźbionej maski. Ona też wydała mi się znajoma.

Czarna kobieta, biały mężczyzna.

Zmusiło mnie to do zastanowienia się nad czymś. Przewróciłem kartki do wycinka z gazety.

„Malcolm Isaac Green, lat 2, z Oakland, Kalifornia”.

Siedemnaście lat temu. Siedemnaście plus dwa. Ramy czasowe pasowały.

Czarny chłopak z hiszpańskim nazwiskiem.

Poszedłem do biblioteki i szperałem, aż znalazłem swój słownik hiszpańsko-angielski i przeczytałem.

Strona 146: novato – nowicjusz, początkujący.

Przerzuciłem kartki do części angielsko-hiszpańskiej.

Strona 94: green – novato.

Odłożyłem książkę i chwyciłem za telefon.

Rozdział trzydziesty

Wciąż nie udawało mi się dodzwonić do Mila. Nie mogłem też wyciągnąć od znudzonego oficera dyżurnego na posterunku w West Side, gdzie można go szukać.

Nigdy nie ma gliniarzy, gdy są naprawdę potrzebni.

Przypomniałem sobie relację Judy Baumgartner z jej tajemniczej rozmowy z Ikiem. Obniżyć kryteria. Jeśli prawidłowo interpretowałem słownik, to miało sens. Zatelefonowałem jeszcze raz do Ośrodka Dokumentacji Zagłady Żydów, ale jej sekretarka oznajmiła, że Judy nie ma w biurze i nie bardzo chciała powiedzieć coś więcej. Przypomniałem sobie, że Judy wspominała o groźbach zamachu na jej życie, więc nie nalegałem zbyt natarczywie, ale w końcu udało mi się przekonać sekretarkę, że nie jestem obcy. Poinformowała mnie, że jej szefowa poleciała do Chicago i nie wróci najprawdopodobniej w ciągu najbliższych trzech dni. Czy chcę zostawić jakąś wiadomość? Zastanawiałem się, jaką wiadomość mógłbym zostawić i w końcu zrezygnowałem.

Gdy odłożyłem słuchawkę, pomyślałem o kimś innym, kto mógłby potwierdzić moją teorię. Odszukałem numer synagogi Beth Shalom, lecz nikt nie odpowiadał. W książce telefonicznej figurowało trzech Sandersów, D., ale tylko przy jednym nie figurował adres, a numer był z rejonu Venice. Słuchawkę podniosła kobieta, mówiąca z akcentem podobnym do akcentu rabina. W tle słychać było głosy dzieci i dźwięki muzyki z taśmy.

– Poproszę z rabinem Sandersem.

– Mogę spytać, kto dzwoni?

– Alex Delaware. Poznałem go kilka dni temu w synagodze. Byłem tam z detektywem Sturgisem.

– Chwileczkę.

– Słucham, detektywie Delaware. Czy jakieś postępy w sprawie Sophie? – odezwał się po chwili Sanders.

– Wciąż toczy się dochodzenie – powiedziałem. Niesamowite jak łatwo mi to przyszło...

– Tak, oczywiście. Co mogę dla pana zrobić?

– Mam do pana pytanie teologiczne, rabinie. Jakie są kryteria judaizmu ortodoksyjnego, gdy trzeba orzec, czy ktoś jest Żydem?

– W zasadzie są dwa – powiedział. – Trzeba być zrodzonym z żydowskiej matki albo przejść odpowiednie nawrócenie. Nawrócenie poprzedzają długotrwałe nauki.

– Posiadanie żydowskiego ojca nie wystarcza?

– Nie. Tylko Żydzi reformatorscy uznali paternalną Unię dziedziczenia.

– Dziękuję, rabinie.

– To wszystko?

– Tak. Bardzo mi pan pomógł.

– Czyżby? Czy pana pytanie ma coś wspólnego z Sophie?

Z rezerwą powtórzyłem formułkę o prowadzeniu dochodzenia, podziękowałem mu, że poświęcił mi czas, i odłożyłem słuchawkę. Znów spróbowałem złapać Miła. Na posterunku znużenie oficera dyżurnego zmieniło się już w pewien rodzaj odrętwienia. W domu odezwała się automatyczna sekretarka. Przekazałem jej, czego się dowiedziałem. Następnie jeszcze raz zadzwoniłem do stacji telewizyjnej.

– Pan Crevolin jest na zebraniu.

– Kiedy będzie wolny?

– Nie wiem, proszę pana.

– Dzwoniłem wczoraj. Doktor Alex Delaware. W sprawie Ike'a Novata.

– Z pewnością otrzymał pańską wiadomość.

– Więc może postaram się zainteresować go nową informacją?

– Nie bardzo...

– Proszę mu powiedzieć, że w Bear Lodge było dziewięć ofiar, nie dziesięć.

– W Barry Lodge?

– Bear, „r” na końcu. Lodge, tak jak słyhać. Bear Lodge – takie miejsce. Zginęło tam dziewięć ofiar. Nie dziesięć.

– Sekundę – powiedziała. – Jeszcze piszę.

– Może mu pani też powiedzieć, że dziesiątą pochłonęła apatia. Zaledwie kilka miesięcy temu. Apatia i obojętność.

– Apatia i obojętność – powtórzyła. – Czy to jakiś pomysł na scenariusz? Bo jeśli tak, to wiem z całą pewnością, że sezon jesienny jest już całkowicie zaplanowany i nie warto nic podrzucać, dopóki nie zaczną zajmować się nowym sezonem.

– To nie jest pomysł na scenariusz – powiedziałem. – To jest historia prawdziwa. I to taka, której

byście nie puścili w porze największej oglądalności.

Zadzwoniła do mnie godzinę później i powiedziała:

– Spotka się z panem o czwartej.

Nie mogła pozbyć się zdziwienia w głosie.

Za pięć czwarta przeszedłem przez plac parkingowy stacji telewizyjnej, zatłoczony niemieckimi i szwedzkimi samochodami. Byłem ubrany w beżowy garnitur z gabardyny i niosłem teczkę. Wałęsający się przy drzwiach strażnik zapisał moje nazwisko i wskazał metalowe schody, które wiodły na drugie piętro potężnego budynku w stylu art deco. Po drodze minąłem poczekalnię, gdzie w kolejce stały setki ludzi, czekając na bilety na najnowszy talk-show. Kilkoro z nich odwróciło głowy, żeby mi się przyjrzeć. Zdecydowali, że nie jestem nikim wartym uwagi i znowu zajęli się swoimi sprawami.

Na szczycie schodów znajdowały się dwuskrzydłowe, szklane drzwi. Hol był wielki jak stodoła i bardzo wysoki. Puste ściany, z wyjątkiem ogromnego logo stacji na południowej stronie i, tuż pod nim, drzwi z napisem: POMIESZCZENIE PRYWATNE. Na podłodze wykładanej trawertynowymi kafelkami rozpostarty był wytarty do szczytu kasztanowy dywan. Dokładnie pośrodku dywanu ustawiono prostokątny stół ze szklanym blatem. Po obu stronach umieszczono rzędy krzeseł z twardej, czarnej skóry. Za białym kontuarem siedział młody, czarny strażnik. Na monitorze migał jakiś, teleturniej. Dźwięk był wyłączony.

Podąłem mu swoje nazwisko. Otworzył skorowidz, odnalazł w nim numer telefonu, zadzwonił z białego aparatu, posłuchał i powiedział:

– Mhmm. Dobrze. Tak. – A po chwili zwrócił się do mnie: – To potrwa parę minut. Proszę usiąść.

Starąłem się przyjąć wygodną pozycję na śliskim krześle. Szklany stolik był pusty: żadnych czasopism, nawet popielniczki.

– Nie ma nic do czytania – powiedziałem. – Czy to jest demonstracja waszych poglądów?

Strażnik spojrzął, jakby zauważył ten fakt po raz pierwszy, zachichotał i skierował uwagę na monitor. Potężna kobieta we wzorzystej sukience skakała w górę i w dół, ściskając prowadzącego program, który usiłował utrzymać swój zawodowy uśmiech. Kobieta nie przestawała go ściskać i uśmiech mężczyzny w końcu zbladł. Prowadzący starał się oswobodzić. Trzymała mocno. W tle błysnęły kolorowe światła.

Strażnik zobaczył, że się przyglądam.

– Wyłączają dźwięk. Niech mnie pan nie pyta dlaczego – dopiero zacząłem tu pracować. To jakiś nowy program – „Szlachetna walka”, tak mi się wydaje. Wciąż próbuję domyślić się, na czym to polega. Wydaje mi się, że chodzi o obrażanie znajomych i zdradzanie ich sekretów. Potem odpowiada się na pytania i wygrywa wielkie pieniądze.

Prowadzący w końcu wyrwał się z objęć potężnej kobiety. Znów zaczęła skakać, aż furkotała tabliczka z imieniem, którą miała przypiętą na piersi. Mimo swojej masy była jędrna jak szynka konserwowa. Prowadzący znów się uśmiechnął, wskazał coś i coś powiedział. W tle dziewczyna, która mogła zająć drugie miejsce w konkursie piękności, w czarnej minispódniczce, zakreśliła czymś, co wyglądało jak wielki kosz do bingo. Kamera pokazała cyfry żarzące się na obrzeżu wielkiego koła od ruletki, okolonego błyskającymi żarówkami.

Strażnik wpatrywał się w ekran ze zmrużonymi oczami.

– Trudno się domyślić, co mówią – powiedział. – Popracuję tu jeszcze ze dwa tygodnie i będę mógł czytać z ruchu warg.

Zamknąłem oczy. Dziesięć po czwartej otworzyły się drzwi z napisem: POMIESZCZENIE PRYWATNE. Wyszła stamtąd młoda blondynka. Była ubrana w czerwoną koszulkę z cekinami, wypuszczoną na czarne dzinsy i uśmiechała się wymuszonym, zmęczonym uśmiechem.

– Doktor Delaware? Terry może się teraz z panem zobaczyć. – Ruszyła z powrotem, popychając gwałtownie drzwi. Złapałem je. Manewrując jak na zawodach lekkoatletycznych, przeprowadziła mnie przez sekretariat do krótkiego, jasnego korytarza, gdzie znajdowało się sześć lub siedem par drzwi. Trzecie były otwarte.

– Tutaj – powiedziała i poczekała aż wejść.

Gabinet był pusty. Na środku stało biurko z przezroczystego plastiku i podobne krzesło. Prostopadle do niego ustawiono chudą kanapkę, o tapicerce ze stalowoniebieskiego tweedu. Naprzeciw biurka stały dwa niebieskie krzesła na chromowanych nogach. Przytulnie i komfortowo, jak w sali operacyjnej.

Trzy szare ściany były puste. Czwartą, za biurkiem, ozdobiono kolorowymi fotosami z filmów animowanych: *Kopciuszek*, *Pinokio*, *Fantazja*. Po tym, co powiedziała mi Judy, nie oczekiwałem plakatów politycznych, ale Disney trochę mnie zaskoczył. Mój wzrok spoczął na Królownie Śnieżce, która właśnie przyjmowała jabłko od okropnej wiedźmy.

Wszedł jakiś mężczyzna, trzymając dłoń na ustach i kaszląc. Miał czterdzieści albo prawie czterdzieści lat, bladą, delikatną twarz i szpakowatą, sztywną od żelu, krótką fryzurę w stylu nowej fali. Pamiętałem tę twarz ze zbiorowej fotografii, choć tam Ceryolin był młodszy, szczuplejszy, z długimi włosami. W drugim rzędzie, na prawo, pomyślałem. W cieniu górującego wzrostem Normana Greena.

Przyglądał mi się bacznie. Pod oczami miał obwisłe worki. W lewym uchu błyszczał mały, złoty kolczyk. Był ubrany w obszerną, czarną, skórzaną kurtkę lotniczą, założoną na szarą, jedwabną koszulkę, w szare spodnie ze skóry rekina, nabijane ćwiekami na przecięciach szwów, i czarne, wysokie buty sportowe firmy Reebok.

Usiadł. Jabłko na fotosie z *Królowny Śnieżki* znajdowało się na takiej wysokości, iż wydawało się, że spoczywa mu na czubku głowy. Wilhelm Tell z alei Melrose.

– Terry Crevolin – przedstawił się basowym głosem.

– Alex Delaware.

– Tak mi powiedziano. Pan siada.

Gdy usiadłem, wstał i zamknął drzwi. Z drugiej strony wisiały na nich na wieszakach dwie jedwabne koszulki, dokładnie takie same jak ta, którą miał na sobie.

Wrócił do biurka, przez kilka chwil przerzucał papiery, w końcu powiedział:

– Tak, wygląda pan na doktora. Jaka specjalizacja?

– Jestem psychologiem.

– Psychologiem. Ale wie pan, co się puszcza w porze największej oglądalności.

– Wiem, że Bear Lodge na pewno by się nie nadało – odparłem. – Zbyt stara sprawa, a poza tym czasy się zmieniły. Nikogo już teraz nie obchodzi grupka radykalnych świrów, którzy wysadzają się w powietrze.

Mrugnął nerwowo jednym okiem. Spojrzał na moją teczkę.

Urządziliśmy sobie małe zawody w przetrzymywaniu się wzrokiem. Był w tym całkiem niezły – z pewnością wiele trenował na desperackich pisarzach, którzy przedstawiali pomysły scenariuszy. Ale ja miałem za sobą tysiące godzin spotkań terapeutycznych. Byłem w stanie wytrwać wszystko...

W końcu powiedział:

– Odniosłem wrażenie, że coś pan dla mnie ma, jakiś pomysł. Jeśli tak, to przejdźmy do rzeczy. Jeśli nie... – Wzruszył ramionami.

– Oczywiście – zgodziłem się. – Oto mój pomysł: poszukiwanie tożsamości przez młodocia...

– To już było.

– Nie w tej wersji. Moim bohaterem jest inteligentny, młody człowiek, osierocony w bardzo młodym wieku. Przystojny, idealista. Półkrwi Murzyn, pół Żyd. Jego rodzice są politycznymi radykałami i umierają w podejrzanych okolicznościach. Siedemnaście lat później syn usiłuje dowiedzieć się w jakich i dlaczego. Te usiłowania doprowadzają do tego, że sam zostaje zamordowany – wrobiony w wyreżyserowane potyczki wśród gangów narkotykowych. Całkiem dobry materiał, ale pewnie zbyt oklepany, co?

Coś, jak skurcz bólu przeszło mu przez twarz.

– Nie kojarzę.

– Ike Novato. Novato, nowicjusz po hiszpańsku. Nowicjusz, inaczej zielony. Green. Synek Normana i Melby Green.

Crevolin z uwagą popatrzył na swoje paznokcie.

– Chciał się z panem latem zobaczyć, ale nie udało mu się do pana dostać – powiedziałem.

– Wielu ludzi chce się do mnie dostać.

– Nie w sprawie Bear Lodge.

Popatrzył na kostki swych dłoni.

– Czy wielu z nich zostaje zamordowanych?

Jego twarz nabrała nieco koloru.

– Ach, jakże dramatycznie to zabrzmiało.

– Zamordowano go. Może pan to sprawdzić. We wrześniu. Jakaś nieudana transakcja narkotykowa w Watts. Dziwne tylko, że ludzie, którzy go znali, twierdzą, że nigdy nie używał narkotyków. Nie miał potrzeby jeździć do Watts.

– Ludzie – powiedział. – Nie ma siły, żeby kogoś poznać do końca, żeby wiedzieć, co naprawdę dzieje się w czyjejś głowie. Szczególnie w głowie takiego dzieciaka, racja? W młodości sekrety nadają życiu pikanterii, zgadza się? Tworzy się swój własny świat, który nie jest dostępny nikomu innemu. Jeśli naprawdę jest pan psychiatrą, powinien pan to wiedzieć.

– Sekrety Ike'a Novato były niebezpieczne – oznajmiłem. – Mogły go zabić. I jego babcię też. Staruszkę o nazwisku Sophie Gruenberg, która mieszkała w Venice.

Otworzył usta i szybko je zamknął.

– Zniknęła kilka dni po tym, jak go zabito – wyjaśniłem. – Policja sądzi, że ktoś jej w tym pomógł. Nie mają żadnego tropu, nie wiedzą, jak to wszystko połączyć. Sądzą, że może chodzi o narkotyki. Jestem pewien, że chętnie z panem porozmawiają.

– O, kurwa – westchnął.

– Gruenberg na Green. Green na Novato. Ta rodzina lubiła zmieniać nazwiska, ale trzymała się jednego koloru. Kiedy Norman Green zmienił swoje nazwisko?

– To nie on. Jego stary zmienił. Z powodu charakteru swojej pracy. Ojciec był z burżuazji; matka nie zaakceptowała zmiany nazwiska. Gdy stary umarł, wróciła do poprzedniego.

– Ale Norman pozostał przy Novato?

– Tak. Lubił swojego starego. Pod względem politycznym idealnie zgadzał się z matką. Ale trudno było z nią wytrzymać. Strasznie kłótniwa.

Nozdrza mu się rozszerzyły i zamknęły. Przesunął palcem po zębach.

– Niech pan posłucha. To przykre, ale co to ma wspólnego ze mną?

Kiepski blef. Pinokio roześmiałyby się i podarowałyby mu swój nos.

– Sądzę, że pan wie – rzekłem. – Zgładzono całą rodzinę – trzy pokolenia, ponieważ niewłaściwi ludzie zadawali niewłaściwe pytania. Gdyby Ike spytał pana, może nie naraziłby się na niebezpieczeństwo, ale nie mógł się do pana dostać.

Pomachał nerwowo ręką.

– Niech mnie pan o to nie wini.

– Sam się pan obwinia. Nigdy nie zapomniał pan o Bear Lodge. Dlatego zgodził się pan ze mną spotkać.

Osunął się na krzesło, przeczesał dłonią swoje sterczące włosy, sprawdził, która godzina na zegarku tak cienkim, że można by go wsunąć do szpary na monety w automacie.

– Gdy dotarła do pana latem wiadomość od niego, wspomnienia wróciły z pełną siłą – ciągnąłem.
– Pewnie pan rozważał możliwość spotkania się z nim. Być może pana idealizm jest pochowany głęboko pod stosem teleturniejów, ale...

Wyprostował się.

– Nie robię teleturniejów.

– ... Wciąż ma pan swoje zasady. Przynajmniej taką słyszałem opinię.

– Tak? Od kogo?

– Od Judy Baumgartner z Ośrodka Dokumentacji Zagłady Żydów. Powiedziała, że pomógł im pan w produkcji jakiegoś filmu dokumentalnego. To ona powiedziała mi o pana książce.

Zrobił kwaśną minę. Wyciągnął coś z kieszeni marynarki. Pomarańczowy lizak, którego odwinął ukradkowo i pospiesznie, jakby to była zakazana przyjemność. Wepchnął go sobie do ust i, już spokojniejszy, złożył dłonie na brzuchu.

– Zasady, hmm?

– Dlaczego go pan nie przyjął? – spytałem. – Zbyt bolesne byłoby rozdarcie starych ran? Czy to była niechęć? Tyle codziennie spotkań, że po prostu nie miał pan siły odbyć jeszcze jednego?

Wyciągnął z ust lizaka, zaczął coś mówić, przerwał, wstał i odwrócił się do mnie plecami. Staął twarzą do ściany znajdującej się za nim i patrzył na swoich koleżków z kreskówki.

– Baśniowe matki chrzestne i szklane pantofelki. Czy to życie jest aż takie proste?

– Pracuje pan dla rządu? – spytał.

– Nie.

– Proszę mi pokazać jakieś dokumenty.

Wyjąłem z portfela prawo jazdy, licencję psychologa i dyplom ukończenia akademii medycznej. Podałem mu je.

– Mam też kilka kart kredytowych, jeśli chciałby pan je przejrzeć.

Odwrócił się, obejrzał dokumenty, oddał mi je.

– To niczego nie dowodzi, prawda? Mimo tych dokumentów może pan wciąż pracować dla rządu.

– Mogę, ale nie pracuję.

Wzruszył ramionami.

– A jeśli pan pracuje? Jak pan powiedział, czasy się zmieniły, dziś to już nikogo nie obchodzi. Jakie ja popełniłem przestępstwo? Że się zmieniłem, żeby przetrwać? Jaka będzie za to kara? Będę musiał pracować w innej stacji telewizyjnej?

Uśmiechnąłem się.

– Może popracowałby pan przy produkcji teleturniejów?

Pochylił się nad biurkiem.

– Porozmawiajmy poważnie. O co tu naprawdę chodzi?

– Już powiedziałem. Chcę zadać panu kilka pytań, których Ike Novato nigdy nie zadał.

– Dlaczego? Co pana z nim łączy? Był pan jego psychiatrą?

– Nie. Nigdy go nie poznałem. Ale zajmowałem się sprawą śmierci kogoś z jego przyjaciół. Młodej dziewczyny o nazwisku Holly Burden.

Czekałem, że zdradzi się czymś, że zna to nazwisko, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Jej rodzina poprosiła mnie o dokonanie psychologicznej autopsji – wyjaśniłem. – Żeby zrozumieć, dlaczego zginęła. To mnie doprowadziło do Ike'a. Był jednym z jej nielicznych przyjaciół. Trafiłem jego tropem do Ośrodka Dokumentacji Zagłady Żydów, dotarłem do pewnych

książek na temat rasizmu, które wypożyczał. Napisał pana nazwisko i numer na marginesie. Judy była pewna, że tam pana nie poznał, choć może starał się z panem skontaktować z powodu życia, jakie pan niegdyś prowadził.

Otworzyłem teczkę i wyciągnąłem jego książkę.

– Kupiłem to dzisiaj, przeczytałem historię Bear Lodge i zobaczyłem zdjęcie z Berkeley. Domyśliłem się, kim naprawdę był Ike.

Usiadł, wsadził sobie lizaka z powrotem do ust i wyciągnął szybko, jakby lizak stracił już smak.

– Literackie arcydzieło, hmm? Gdy to pisałem byłem pod wpływem kwasu, grzybków i metedryny. Krótkie spotkania z Bogiem. Dzieło jednego weekendu, kiedy szczególnie się naszprycowałem. Żadnej korekty. Nawet nie wyszedłem wtedy zaczerpnąć powietrza. Lektura najwyższych lotów, co?

– Niech się pan nie przecenia – powiedziałem. – Była w niej jakaś dzika energia. Pasja. Coś, czego już pewnie pan nie doświadcza.

– Niech pan posłucha – rzekł, sztywniejac. – Wydaje się panu, że może pan tutaj przyjść i zwalić na mnie całą winę za to, że przetrwałem. Mowy nie ma. Już to przerobiłem. Ze swoim własnym psychologiem.

– Cieszę się, Terry. Szkoda, że Ike nie będzie mógł tego przerobić.

Znowu spotkaliśmy się wzrokiem. I znowu poddał się pierwszy.

– Jaskinia – powiedział. – Oto gdzie skończyłem, gdzie napisałem tę cholerną rzecz. W jaskini, rozumie pan? Tak właśnie żyłem po Bear Lodge. Jak jakiś neandertalczyk. Ponieważ nie miałem bogatego tatusia jak inni członkowie ruchu. Żadnego funduszu powierniczego, niczego, na czym można się było oprzeć, gdy skończył się sen. Nie mogłem dostać poważnej pracy, ponieważ po jednym semestrze przerwałem studia, żeby walczyć dla słusznej sprawy. Miałem średnią ocen dwa plus i żadnych umiejętności, oprócz maszerowania w kółko i nucenia politycznych przyśpiewek. A gdy sen się skończył, na rynku nie było szczególnego zapotrzebowania na takich śpiewaków marszowych, chyba że chciałbym się przyłączyć do wyznawców Hare Kriszna. Nawet tego próbowałem, ale nie odpowiadało mi to gównu, to ich plugastwo i śmierdzące kadzidła. Ja potrafiłem jedynie zbierać owoce, kopać rowy. Praca fizyczna – takie rzeczy robiłem, gdy dorastałem. Czarna robota, która do niczego nie prowadziła, ponieważ mój tatuś nie był w stanie konkurować z wielkimi plantatorami i zmarł, pozostawiwszy więcej długów, niż miał zdrowego rozsądku. Pojechałem na pomoc wybrzeża i pracowałem, aż mi krwawiły ręce, mieszkając z nielegalnymi imigrantami. Byłem w Yuba City, kiedy zaczęli dobierać się do wszystkich braceros* [przyp: Wyrobnik, robotnik (hiszp.)] Facet, który zajmował pryczę obok mnie, zniknął. Dwudziesta trzecia ofiara. To mnie tak wystraszyło, że zviałem stamtąd do Oregonu. Do swojej jaskini. W dzień zbierałem śliwki, w nocy bawiłem się w neandertalczyka. Wystraszyłem się też na tyle, że przestałem ćpać: żadnego kwasu, tabletek, nawet haszu czy trawy. Bez pomocy kliniki Betty Ford. Tylko ja, długie noce i pełzające koszmary. Żeby to jakoś przetrwać, zacząłem pisać. Najlepsza terapia, prawda? Efektem końcowym był ten kawałek głupoty, który trzyma pan w rączkach. Pierwsza kopia

była napisana tępym ołówkiem na kartkach z księgi rejestrowej, które wydarłem szefowi zmiany. W nocy, przy latarce. Później, gdy miałem kilka dolców, kupiłem zeszyt i kilka jednorazowych długopisów. Pisałem też inne rzeczy. Beznadziejną poezję. Beznadziejny scenariusz telewizyjny. Komedie. Masę komedii. Żeby śmiechem wymigać się od samobójstwa. Wciąż ta sama fabuła, bez końca: rewolucjoniści, którzy pracują w IBM, ale nie bardzo mogą poradzić sobie z codziennym życiem. Ha, ha, bardzo śmieszne prawda? Wmówiłem sobie, że to bardzo głębokie, wmówiłem sobie, że już nikt nie czyha na moje życie, i pojechałem autostopem do Los Angeles. Wziąłem prysznic, ogoliłem się na dworcu autobusowym Union Station, kupiłem garnitur w sklepie Armii Zbawienia, udałem się do tego centrum duchowej czystości i starałem się namówić ich, żeby ktoś przeczytał mój scenariusz. Nie chcieli mnie wpuścić, ale na dole wisiało ogłoszenie, że przyjmują do pracy gońców. Udałem zainteresowanie i dostałem tę pracę. Za pierwsze zarobione pieniądze wydałem to gówno. Pierwsze wydanie liczyło trzysta egzemplarzy. Nigdy nie było drugiego. Rozwoziłem je do księgarń, ale nie zarobiłem nawet dziesięciu centów. Dowiedziałem się, że najgorsi są przedsiębiorcy hippisowscy. Dowiedziałem się, że nigdy nie będzie to bestseller – że czas się przestawić na coś innego. Więc pracowałem. Brałem każdą, byle jaką pracę, którą oferowała mi stacja. Zostałem tym, kim jestem. Nie będę pana zanudzał szczegółami.

– Brzmi to jak sukces w amerykańskim stylu.

– Hej, to wolny kraj. Naprawdę. Dowiedziałem się tego w bolesny sposób. Sprawdzając system. Zaczynając od samego dołu i pnąc się do szczytów. Co większości ludzi nigdy nie jest dane. To nie znaczy, że w naszym systemie nie ma masy świństwa. Ale co jest lepsze? Ajatollah? Chińczycy? Więc chwyciłem się tego na dobre. Próbuję przetrwać każdy dzień, spłacam raty za dom. Wiem, że to, czym się co dzień zajmuję, to nie jest karmienie głodujących sierot ani operacje serca, ale jeśli mogę, też staram się robić coś wartościowego, rozumie pan? To nie jest wcale lepsze czy gorsze niż praca wszystkich innych ludzi. Zgadza się? I teraz właśnie tego mi trzeba. Chcę być jak wszyscy inni. Wmieszać się w tłum, skupić się na Terrym, nauczyć się dbać przede wszystkim o siebie. Jeździć samochodem ze skórzanymi siedzeniami, siedzieć wieczorami w wannie z hydromasażem, słuchać muzyki z płyt kompaktowych i filozofować. Po prostu, żeby przetrwać każdy następny dzień.

Wskazał na mnie palcem.

– Spłaciłem więcej długów niż ktokolwiek, kogo znam, więc niech mi pan przestanie mówić o mojej winie.

– Pana wina to nie moja sprawa – odparowałem. – Inni ludzie też pospłacali długi. Całkowicie. Norman i Melba Green, reszta towarzystwa w Bear Lodge. Jestem przekonany, że każdy z nich chętnie zamieniłby się z panem miejscami.

Zamknął oczy, potarł powieki.

– Boże, wszystko powraca jak bumerang, prawda?

– Był pan częścią tej grupy, prawda? – spytałem. – Dlaczego zdecydował pan nie jechać tam w dzień eksplozji?

– *Zdecydowałem?* – Nerwowe mrugnięcie okiem. – Kto zdecydował? To był przypadek, zrządzenie losu. Jakbym to przeczytał w scenariuszu, to bym powiedział, że zbyt naciągane.

– Jak pan tego uniknął?

– Opiekowałem się dzieckiem. Byłem wtedy z dzieciakiem u lekarza.

– Z jakim dzieciakiem?

– Z Malcolmem Isaackiem. Był chory.

– Dlaczego rodzice go tam nie zaprowadzili?

– Ponieważ też byli chorzy. Wszyscy byli chorzy. Rzygali dalej niż widzieli. Coś z przewodem pokarmowym: biegunka, gorączka po zjedzeniu nieświeżego mięsa. Ja przyjechałem dzień wcześniej. Widzi pan, były dwie grupy. Dwie kadry. Ja należałem do drugiej, przyniosłem wieści od członków drugiej dla pierwszej. Mieliśmy się wszyscy zebrać za jakiś tydzień. W tamtych czasach byłem wegetarianinem. Nie jadałem mięsa. To mnie ocaliło. Mnie i tego drugiego dzieciaka.

– Syna Rodrigueza i Santany? Fidela?

– Fidelito – powiedział. – Był niemowlakiem. Za mały, żeby jeść mięso. Dawaliśmy mu mleko w proszku, ponieważ Teresa nie mogła karmić. Więc on też się nie rozchorował. Raczkował po składzie, tłusciutki i wesoły. Ale z Malcolmem Isaackiem było niedobrze. Miał bardzo wysoką gorączkę, biegunkę, płakał z bólu. Melba bała się, że się odwodni. Chciała, żeby obejrzał go lekarz, ale ona i Norm nie mieli siły, żeby go tam zawieźć. Więc poprosili mnie i się zgodziłem. Do kliniki państwowej w Twin Falls. W poczekalni byłem ja, on oraz gromadka drwali i Indian. Mieli włączoną jakąś stację, nadającą muzykę country and western, a on tak wył z bólu, że ją zagłuszał. To nie zrobiło żadnego wrażenia na pielęgniarkach. Podkręciły siłę głosu i kazały nam czekać. Porter Wagoner i Doily Parton. Dziwne, że pamięta się takie rzeczy, co? Trzymałem go i przecierałem mu czoło wacikami nasączonymi alkoholem, i nagle to usłyszałem – piiiip, piiiip, muzykę country przerwały wiadomości nadzwyczajne.

Jego czoło pokryło się potem. Otarł je rękawem.

– Wielka eksplozja w składzie w Bear Lodge. Nikt inny w poczekalni nawet nie słuchał, nic ich to nie obchodziło. Ale dla mnie to było tak, jakby wszystko się zapadało, jakby powstała wielka wyrwa i wszystko wsysała. Potem pojawia się jakiś facet z FBI i zaczyna rozprawiać o fabryce bomb, kłamie przez te swoje rządowe zęby, a ja wiedziałem, że ktoś ich zrobił. Wiedziałem, że muszę uciekać.

– Nie było fabryki bomb?

Spojrzał na mnie z obrzydzeniem.

– Pewnie. Słonina, cukier, nawóz koński i trociny – zbieraliśmy surowce do produkcji bomb, tak? Gdyby to było takie proste, w powietrze wyleciałaby połowa farm, zanim wykończył je Ronnie

Reagan.

– Połowa farm w Ameryce nie ma zapalników.

– My też nie mieliśmy. Ten pacholek z FBI albo to wymyślił, albo je podłożył. Zapasy, które gromadziliśmy, mieliśmy mnożyć, a nie niszczyć. Nasiona, nawóz. Nawóz organiczny. Trociny były na kompost. Słonina do gotowania i pieczenia tortilli – Teresa uwielbiała piec tortillę. Plan był taki, żeby zebrać wystarczającą ilość tych rzeczy, żeby sklecić sporą farmę zbiorową, na tyle dużą, żeby przetrwała. Chcieliśmy zająć ziemię państwową, która leżała odłogiem kilka mil na południe – ziemię, która została zabrana Indianom. Plan polegał na tym, żeby się na niej osiedlić, wyzwolić ją, udomowić, zaorać, zasiać i wtedy zaprosić Indian, żeby dołączyli do nas, do naszego nowego państwa kolektywnego. Wiedzieliśmy, że to nie będzie trwało długo – że ci chrzanieni faszyci dorwą nas i wykurzą. Chcieliśmy przetrwać na tyle długo, żeby stworzyć coś, co by zaistniało dla prasy. Opis w prasie przedstawiłby nas w dobrym świetle: rząd niszczy uprawy. Cóż jest bardziej amerykańskiego niż uprawa ziemi? Więc zaczęlibyśmy uchodzić za dobrych ludzi. Czarni, biali, brązowi i czerwonoskórzy, pracujący razem. To przedsięwzięcie byłoby postrzegane jako pozbycie się wszelkiej negatywnej energii. To było zbyt groźne, więc je zniszczyli.

– Kto?

– Rząd. Albo jakieś psy gończe, pracujące na zlecenie rządu. Ktoś musiał zatruć mięso, podłożyć ładunki. Poczekał, aż wszyscy będziemy w składzie, aż będziemy chorzy i osłabieni, a wtedy wysadził budynek w powietrze. Za pomocą jakiegoś zdalnie sterowanego detonatora. Podzwonne po naszym śnie.

– Zbiorowa farma – powtórzyłem. – Nie to przychodzi do głowy, gdy myśli się o organizacjach Weatherman, FALN czy o Czarnej Armii. O ludziach takich jak Mark Grossman czy Skitch Dupree.

– Bo tak pana ustawiono, żeby pan myślał w ten sposób. Wszyscy w tym składzie, wszyscy w Nowym Walden, odżegnywali się od przemocy. Niedobrze nam się robiło od przemocy. Niedobrze nam się robiło od tego, co się działo. Tonio i Teresa właśnie wystąpili z FALN. Skitchowi nieźle się oberwało za to, że nie popierał przemocy. Ludzie z Czarnej Armii Rewolucyjnej nawet do niego strzelali, za to, że zmienił swoje przekonania. Norm i Melba byli twórcami tego planu. Zupełnie odwrócili się od przemocy. – Potrząsnął głową. – Fabryka bomb. Czy sądzi pan, że Norm i Melba, Tonio i Teresa przywieźliby swoje dzieci do jakiejś fabryki bomb?!

Ludzie przywozili swoje dzieci do Jima Jonesa. Poświęcali niezliczone, niewinne ofiary innym bożkom. Ale nie powiedziałem tego.

– Siedziałem w poczekalni tej kliniki i wiedziałem, że to już koniec – kontynuował. – Chciałem uciekać. Ale Malcolm był gorący jak rondel na ruszcie, musiał go obejrzeć lekarz, więc siedziałem tam i czekałem i miałem nadzieję, że nikt nie zauważy, że jestem gotów wyskoczyć ze skóry. W końcu zajęła się nami pielęgniarka. Dała mu lekarstwo, powiedziała, że jak spadnie gorączka, pewnie nic mu nie będzie, kazała mu podawać dużo płynów i pokazać się znów za kilka dni. Wyniosłem go z kliniki, skręciłem za róg i szedłem, aż zauważyłem samochód z kluczykami w stacyjce. Wsiadłem, położyłem małego na przednim siedzeniu, zapaliłem silnik i pojechałem przez Nevadę prosto do

Kalifornii. Zatrzymałem się, żeby kupić sok jabłkowy i pieluchy. Prowadziłem samochód, przytrzymując mu butelkę przy ustach. Setki mil koszmaru, dróg, po których nikt inny nie jeździ, z jego płaczem za mamą, z moimi bezustannymi myślami, że ktoś mnie będzie śledził, że nas zastrzeli. Przed świtem dojechałem do Los Angeles.

– Do Venice?

Przytaknął.

– Jak już mówiłem, nigdy się zbyt nie rozumieli, ona i Norm, ale dokąd jeszcze mogłem go zabrać? Zostawiłem go na progu i się zmyłem.

Otworzyłem jego książkę na fotografii z Berkeley i pokazałem mu ją.

– A pozostali? Stanowili drugą kadre?

Znów skinięcie głową.

– Byli sto mil dalej na pomoc, nad rzeką Snake. Załatwiali materiały budowlane. Mieliśmy zbudować chaty z pali. Kupili materiały od jakiejś firmy budowlanej wznoszącej konstrukcje drewniane, ale nastąpiło opóźnienie, ponieważ nie mogli znaleźć transportu, żeby to wszystko ściągnąć. Kierowcy się na nich wypięli, nie chcieli robić interesów z bandą cholernych hippisów.

– Co zrobili po wybuchu?

– Zwinęli się. W większości do Kanady.

Wziął książkę. Przyjrzał jej się. Zamknął oczy.

– Co się z nimi stało? – spytałem.

Otworzył oczy i westchnął.

– Ta dwójka – pokazał palcem – Harry i Debbie Delage. Zostali tam, byli Kanadyjkami z Quebecu. Chyba są nauczycielami w Montrealu, ale nie jestem pewien, nie mam z nimi kontaktu.

Przesunął palec.

– Ed Maher i Judy Bendix pojechali do Maroka, ciągle zmieniali miejsce pobytu, w końcu wrócili, pobrali się, mieli kilkoro dzieci. Słyszałem, że umarła na raka piersi parę lat temu. On pewnie wrócił na wschód, jego rodzina była bogata... Lyle Stokes zaczął się zajmować jakimiś bzdurnymi wróżbami – kryształowa kula, łączenie się z dawnymi wcieleniami. Zarabia majątek... Sandy Porter? Nie wiem... Gordy Latch ożenił się z córką faszysty i został wrednym politykiem... Jack Parducci jest prawnikiem w Pittsburghu.

Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w zdjęcie, zamknął książkę i oddał mi ją.

– Pieprzyć wspomnienia.

– Kto decydował o tym, kto zostanie przydzielony, do której kadry? – spytałem.

– To nie było nic formalnego, taki rodzaj naturalnej selekcji. Pierwsza kadra to byli przywódcy, myśliciele, teoretycy.

– Drugiej kadrze powiodło się znacznie lepiej niż pierwszej – zauważyłem.

– Do czego pan zmierza?

– Do tego, nad czym pan się zastanawia od siedemnastu lat.

– Myli się pan – powiedział. – Nie zastanawiam się nad niczym. Zastanawianie się prowadzi jedynie w ślepy zaułek...

– Dlaczego wybraliście Bear Lodge?

– To była posiadłość Randy Latch zapisana jej przez ojca.

– To jej własność kryła się pod nazwą firma Mountain Properties?

– Pod kilkoma figuranckimi firmami: powierniczą, podatkową. Staruszek jej to wszystko zapewnił. Dlatego sfingowaliśmy wynajęcie, żeby wyglądało, jakby został przeprowadzony jakiś interes, żeby nikt w tym nie węszył.

– Z takimi koneksjami – zastanawiałem się – czy Latch nie miał aspiracji, aby dostać się do pierwszej kadry?

– Może miał, ale to wydawało się mało prawdopodobne. Robił tylko dużo hałasu, a mało w tym było treści. Nieszczerólnie go szanowano. Trzymali go przede wszystkim z powodu jego pieniędzy. Po Bear Lodge ta dwójka odpadła, pojawili się jako Jack i pani Armstrong. Nadal wiele hałasu i żadnej treści. Amerykańska publika coś takiego kupuje, prawda?

– Niech mi pan opowie o Wannsee II.

Wyprostował się.

– A o tym, gdzie pan słyszał, do cholery?

– Ike Novato pozostawił pewne notatki, które wskazują, że badał tę sprawę. Zapisał to tuż nad pana nazwiskiem. Zastanawiał się nad tym.

Crevolin spojrzał z obrzydzeniem.

– Właśnie o tym chciał ze mną rozmawiać? To byłoby mało kłopotliwe.

– Dlaczego mało kłopotliwe?

– Łatwo by było na to odpowiedzieć. Mógłbym mu powiedzieć prawdę: Wannsee II to bzdura wymyślona przez rząd. Rząd chciał nas oczernić, więc w popularnej prasie zamieścili brednie na nasz temat, że jednoczymy się z odłamami neofaszystowskimi. Stare bujdy, że ekstremiści są wszyscy jednakowi, niezależnie w jakim znajdują, się obozie. Hitler i Stalin. Przypisywali nam taką samą orientację jak Ku-Klux-Klanowi, żeby zaczęto nas postrzegać jako złych ludzi. Ale w końcu pewnie prościej było nas wysadzić w powietrze. Niech pan zauważy, że już teraz jakoś nie słychać o Wannsee II. A działa pełno prawicowych, rasistowskich dupków.

Potrząsnął głową, potarł skronie.

– Wannsee II. Wyjaśniłbym mu to w dwie minuty. Myślałem, że chodziło mu o jakieś sprawy osobiste – o jego rodziców, o rozgrzebywanie starych wspomnień.

– Czy Sophie Gruenberg mogła się interesować Wannsee II?

– Wątpię. Ta starsza pani była za sprytna, żeby dać się nabierać na takie bujdy.

– Dobrze ją pan znał?

Bardzo gwałtownie potrząsnął głową.

– Spotkałem ją tylko raz. Z Normem. Ale opowiadał o niej. Mówił że była rewolucjonistką starej daty: czytana, intelektualistka. Mimo że nie dogadywali się za dobrze, cenił jej intelekt.

– Spotkał pan ją tylko raz?

Milczał.

Spojrzałem mu w oczy.

– Dwa razy. Gdy wróciłem do Los Angeles i pracowałem dla stacji jako goniec, wpadłem do niej. Żeby zobaczyć, co słychać.

– U Ike'a?

– W ogóle. – Skręcił wargę pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym.

– Naprawdę zostawił go pan po prostu na progu? – spytałem.

– Naprawdę. Tylko tyle mogłem zrobić: schować się i poczekać, aż go zabierze do środka. Już samo pójście tam było ryzykowne. Byłem przerażony. Chciałem wynieść się z miasta, zanim dopadną mnie faceci w szarych garniturach. Wiedziałem, że w końcu ktoś się domysli, że nie wyleciałem w powietrze i spróbuje dokończyć robotę.

Roześmiał się.

– Nikt się nie pokwapił. Przez tyle lat.

– Wspomniał pan o gończych psach, które pracowały dla federalnych – powiedziałem. – Ma pan jakieś podejrzenia?

– Oczywiście – odparł. – Byli ci zdziwaczali traperzy, którzy włóczyli się po lesie. Ludzie gór – długie włosy, brody, ubrania z kozich skór. Jedli odpadki i co im się udało znaleźć. Żyli z ziemi, jak Redford w *Jeremiaszu Johnsonie*. Ignorowaliśmy się wzajemnie, ale jak później miałem trochę czasu na przemyślenia, zacząłem się nad tym zastanawiać. Bo wykorzystanie ich byłoby idealne dla rządu. Byliśmy naiwni – ufaliśmy każdemu, kto wyglądał na osobę reprezentującą kontrkulturę. Węszący w okolicy faceci ze schludnie przystrzyżonymi włosami natychmiast by nas przerazili, ale na tych zarośniętych skurczybyków po prostu nie zwracaliśmy uwagi. Byli na miejscu, zanim się tam sprowadziliśmy, nie przejawiali nami specjalnego zainteresowania. My również szanowaliśmy to, że zajmują się swoimi sprawami. Uważaliśmy ich za hippisów ze strzelbami i z nożami myśliwskimi. Za dziarskich pomyleńców. Byliśmy omamieni ideą „życia owocami natury” – sami do tego dążyliśmy. Więc zakradnięcie się, podłożenie bomby i wycofanie nie sprawiłoby któremuś z nich żadnego problemu. Pewnie pracowali w sztabie generalnym albo byli agentami od prowokacji. Dziś zapewne przekładają papierki w Toledo, co stanowi pewną karę, prawda?

Gorycz w głosie zabarwiła ostatnie zdanie ironią.

– Czy gdy odwiedził pan Sophie Gruenberg, rozmawiał pan z nią o tych podejrzeniach? – spytałem.

– Nie musiałem. Kiedy tylko zamknęła drzwi, posadziła mnie i zaczęła wykład, że ta eksplozja to była sprawka rządu. Że Norm, Melba i pozostali są męczennikami. Bez łez, była bardzo twarda. Tylko gniew. Ta ognista złość, która sprawiała wrażenie, że ta kobieta aż wibruje. – Uśmiechnął się. – To była harda staruszka. W czasach Bastylli mogłaby obsługiwać gilotynę.

– Dokąd wysłała Ike’a na wychowanie?

– Dlaczego sądzi pan, że go dokądś wysłała?

– Sprowadził się do Los Angeles na kilka miesięcy przed śmiercią. Mówił ludziom, że wcześniej mieszkał na wschodzie. To ma sens. Ktoś tak ostrożny jak Sophie mógł uważać, że to nierozsądne trzymać na widoku syna męczenników.

– Nie znam szczegółów – odparł. – Gdy ją spytałem o niego, wyjaśniła, że wysłała go do krewnych. Powiedziała, że ludzie z rządu zaczęli węszyć wkrótce po wybuchu, wypytywali sąsiadów. Nazywała ich cholernymi kozakami. Twierdziła, że gdyby dowiedzieli się, iż on jest u niej, porwaliby go albo coś takiego. Orzekliby, że jest niezdolna go wychować, i zabraliby go. Zdecydowała, że przez jakiś czas musi pozostać w bezpiecznym miejscu. Pewnie trzymała go z dala przez cały czas.

– Czy wie pan, gdzie mieszkali ci krewni?

– Nie powiedziała, a ja nie pytałem. Sądziłem, że w Filadelfii, ponieważ Norm się tam urodził, a jego rodzina kiedyś tam mieszkała.

– Odwiedził ją pan tylko raz?

– Tylko raz. Ona była częścią zamkniętego dla mnie rozdziału. Tak samo Malcolm Isaac. Właśnie dlatego się z nim nie spotkałem. To nie była zwyczajna apatia. Jaki miałbym cel?

Wstał z krzesła, a jego cera stała się woskowa. Oczy mu biegały w górę, w dół, na boki, na postaci z kreskówek. Wszędzie, tylko nie na mnie.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Doprawdy? Żeby zrozumieć, trzeba wiedzieć, jakie to jest uczucie, gdy się jest łownym zwierzęciem; kontrolować przyływy adrenaliny, oglądać się przez ramię, mieć złudzenia słuchowe, omamy, sikać w majtki, bać się ruszać, bać się nie ruszać. Być przekonanym, że każde drzewo to strzelec, nie wiedzieć, co jest prawdziwe, a co nie, zastanawiać się, kiedy przyleci ten pocisk albo zbliży się ostrze, albo wybuchnie bomba, która zamieni cię w pył. Gdy ją odwiedziłem, udało mi się już wybrnąć z tego szaleństwa. Pracowałem jako goniec, wynająłem kawalerkę, jeździłem do sklepu, do pralni, na stację benzynową. Jadłem mrożone zestawy obiadowe i hot dogi – żadnej naturalnej żywności. Miałem ochotę faszerować się azotanami jak prawdziwy Amerykanin. Zachowywałem się jak każdy przeciętny człowiek, szczęśliwy i wdzięczny, że żyję. Po prostu nie dowierzałem, że mnie nie ścigają – nie dowierzałem, że pozwalają mi żyć, pracować, jeść hot dogi i zajmować się swoimi sprawami, i że nikt mnie nie próbuje wysadzić w powietrze – stwierdził ze smutkiem. – Osiągnięcie tego zajęło mi dużo czasu. Uświadomienie sobie, że nikogo to już nie obchodzi. Że wojna się skończyła; Nixon odpadł; Eldridge sprzedaje gacie; Jeny i Abby działają na Wall Street. Że faszyci noszą długie włosy i brody, a hippisi schludne fryzury. Że zacierają się granice i padają wszystkie stare mity. Żyjmy i dajmy żyć innym – co było, to było. Teraz nadeszła moja kolej, żeby żyć. Starłem się żyć. Malcolm Isaac zadzwonił w złym momencie. Właśnie się zaręczyłem, chciałem wyjechać ze swoją narzeczoną. Zrobić sobie prawdziwe wakacje, wprowadzić do swojego życia trochę romantyki – lepiej późno niż wcale, prawda? Potem zerwaliśmy ze sobą, ale wtedy wydawało się, że to będzie trwało wiecznie: ślubny ryż i kwiaty. Gdy zadzwonił, miałem bilety w ręce. Już wyjeżdżałem. Ostatnia rzecz, na jaką miałem ochotę, to babrać się w przeszłości. W jakim celu?

– Bez celu – odparłem.

– Trzeba dążyć do przodu – wyjaśnił. – Nie ma sensu spoglądać za siebie, racja?

– Racja.

Ale przestrzeń pomiędzy nami wypełniała naga prawda: niewidzialna, lecz wiadoma.

Nikogo nie obchodził, bo należał do drugiej kadry. Był za mało ważny, żeby go zabić.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Wyjechałem z parkingu. Tym razem ktoś mnie śledził. Z początku nie byłem tego pewien. Sądziłem, że chwile, które spędziłem nurzając się we wspomnieniach Crevolina z czasów, kiedy przed wszystkim uciekał, sprawiły, że mnie również dotknęła paranoja. Pierwsze podejrzenia powziąłem przy skrzyżowaniu Olympic z La Cienga, niedaleko Beyerly Hills, gdy zmrużyłem oczy i spojrzałem w platynowy blask zachodzącego słońca. Beżowy samochód dwie długości za mną zmienił pas ruchu w chwili, gdy po raz dwudziesty skierowałem wzrok w lusterko.

Zwolniłem. Beżowy samochód zwolnił. Spojrzałem za siebie, próbując dostrzec kierowcę, ale zobaczyłem jedynie niewyraźny zarys postaci. Dwa zarysy.

Zwolniłem jeszcze bardziej. Ktoś zatrąbił ze złością. Przyspieszyłem. Beżowy samochód pozostał w tyle, ale odległość pomiędzy nami zmniejszyła się trochę. Jechaliśmy tak przez jakiś czas i zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle przy La Peer. Gdy zapaliło się zielone, wjechałem na lewy pas i przyspieszyłem tak, jak na to pozwalał ruch. Beżowy samochód zostawał coraz dalej w tyle, aż zniknął w tłumie aut. Przy Doheny Drive już go nie widziałem.

Tyle zostało ze spiskowania.

Próbowałem się rozluźnić, ale myślałem o wciąż eksplodujących składach. Wyobraźnia karmiła się teoriami o działalności konspiracyjnej, aż rozbolała mnie głowa. Wtedy znów go zauważyłem. Na środkowym pasie, dwie długości za mną...

Udało mi się wjechać na środkowy pas. Beżowy samochód opuścił go i wjechał na lewy, zbliżając się z mojej lewej strony. Chcieli się lepiej przyjrzeć?

Ostrożnie, ukradkiem zerknąłem w lusterko. Wciąż tam byli,

Na prawym pasie samochody się teraz wlokły. Wcisnąłem się tam. Miałem nadzieję, że uda mi się ich dojrzeć. Przemknęły auta, które wcześniej jechały za mną. Zerkałem w lewo i czekałem, aż przejedzie beżowy samochód. Nic.

Spojrzenie w lusterko wsteczne: nie ma go.

Następne światła na Beverly. Znów za mną. Dwie długości.

Dopiero przy Roxbury wjechałem na lewy pas. Beżowy samochód jechał za mną aż do Century City.

Słońce zaszło. Kierowcy pozapalali reflektory. Beżowy samochód zamienił się w dwie żółte plamy, nierozpoznawalne pośród setek innych.

Brak widoczności sprawił, że poczułem się jeszcze bardziej niepewnie, choć wiedziałem, że sam

też stałem się mniej widoczny. Miejsce lęku zajęła złość. Znacznie przyjemniejsze uczucie niż strach.

Zacznij działać tak, jak każesz innym, doktoru.

Najlepszą obroną jest atak, doktoru.

Tuż przed Overland wjechałem gwałtownie na środkowy pas, następnie na prawy, minąłem jedną przecnicę i skręciłem w boczną ulicę tuż koło sklepu Ralph. Przejechałem ze sto jardów z ogromną szybkością, wygasilem światła, zatrzymałem się i czekałem z włączonym silnikiem.

Ulica mieszkalna. Małe, schludnie utrzymane domki. Wysokie drzewa. Żadnych pieszych. Po obydwu stronach wiele zaparkowanych samochodów; mogłem się tu schować.

Pierwsze reflektory od strony Olympic należały do szarego porsche 944, który przemknął z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę i zatrzymał się na podjeździe przy końcu ulicy. Dostrzegłem sylwetkę mężczyzny z teczką. Zniknął w jednym z bungalowów.

Zaraz za nim nadjechała z umiarkowaną prędkością furgonetka dodge ram z nazwą firmy hydraulicznej wymalowaną na boku. Zatrzymała się na następnym rogu i skręciła w prawo.

Przez kilka minut nic. Już miałem przypisać to swojej popołudniowej paranoi, kiedy usłyszałem szum silnika od strony Olympic.

Usłyszałem, ale nie zobaczyłem.

W bocznym lusterku dostrzegłem niewyraźny kształt, nikły odbłask chromu pod uliczną latarnią – samochód z wyłączonymi reflektorami zbliżający się do mnie powoli.

Szum stał się głośniejszy.

Osunąłem się w fotelu.

Beżowy samochód przejechał obok z szybkością dziesięciu mil na godzinę. Plymouth sedan. Podobny do nie oznakowanego samochodu policyjnego, którym jeździł Milo. Jak ten, który rzekomo nas śledził w drodze do Ośrodka Dokumentacji Zagłady Żydów.

Dziesięć mil na godzinę. Powoli. Tak jak jeżdżą gliniarze, gdy sprawdzają, co jest nie w porządku.

Nagle wydało mi się, że mój silnik ryczy ogłuszająco. Na pewno słyszeli. Powinienem go wyłączyć...

Ale beżowy samochód pojechał dalej, skręcił w prawo i zniknął. Ruszyłem za nim bez włączonych reflektorów. Dojrzałem go, gdy znów skręcał w prawo. Usiłowałem przeczytać numer rejestracyjny, ale nie mogłem. Podjechałem bliżej.

Nie na tyle blisko, żeby przyjrzeć się dokładnie dwóm osobom siedzącym w środku.

Wcisnąłem pedał gazu i zbliżyłem się tak, że nie miał wylądować mu na ogonie.

Włączyłem światła.

Nieodblaskowe tablice, cyfra, dwie litery, jeszcze cztery cyfry. Zapamiętałem je piorunem w tym samym momencie, gdy pasażer odwrócił się gwałtownie i spojrzał do tyłu.

Beżowy sedan zatrzymał się nagle. Wcisnąłem ostro hamulec, żeby nie wjechać mu w kufer. Przez chwilę sądziłem, że dojdzie do konfrontacji, byłem gotów się wycofać. Ale beżowe auto odjechało z piskiem opon.

Nie goniłem go. Zachowałem w pamięci litery i cyfry, do czasu, aż dotrę do domu.

* * *

Wciąż nie mogłem złapać Mila. Gdzie on się, do diabła, podziewa! Zadzwoiłem do niego do domu i znów zgłosiła się automatyczna sekretarka. Wystukałem numer pogotowia szpitala Cedars-Sinai i poprosiłem doktora Silvermana. Rick przeprowadzał właśnie operację i nie mógł podejść do telefonu. Zatelefonowałem znów do domu i nagrałem na sekretarkę numer beżowego sedana, wyjaśniłem, dlaczego ważne jest jak najszybsze ustalenie właściciela, i streściłem, czego się dowiedziałem od Terry'ego Crevolina. Gadałem do tej cholernej maszyny, jakby była żywa, jakby była starym kumplem. Mahlon Burden byłby ze mnie dumny. Gdy skończyłem, zadzwoniłem do Lindy.

– Cześć – powiedziała. – Widziałeś już?

– Co?

– Sprawa Massengila staje się głośna – teraz, w wiadomościach o szóstej. Zadzwoń do mnie, kiedy już będziesz zorientowany.

W wiadomościach odbywał się kolejny zamach na nieżyjącego radnego, tym razem wcale nie tak szybki i czysty jak akcja w ogródku Sheryl Jane Jackson. Zdjęcie Massengila pochodziło chyba z kartoteki policyjnej. Stara fotografia Cheri T. w trwałej ondulacji i z rozmazanym białym cieniem na powiekach. Więzienny fotograf uwiecznił ją jak uliczną prostytutkę o zapadniętych oczach, jaką kiedyś była.

Rozkoszująca się tym dziennikarka mówiła posepnym głosem: „seks za pieniądze... charakter znajomości pomiędzy dwiema ofiarami i Cheri T. Jackson wciąż jest niejasny... seks-skandal... seks, seks, seks... reputacja Massengila jako porządnego polityka, który prowadził kampanię przeciwko pornografii... dwadzieścia osiem lat w legislaturze stanowej... seks... doradca psychologiczny... seks...”.

Nie musiała gadać. Zdjęcia przemawiały za miliony słów. Massengil z otwartymi ustami, gburowaty, mocno wyeksponowana świętoszkowatość Dobbsa. Wzrok Cheri zepsuty i wyzywający.

Teraz zdjęcia kręcane kamerą. Ocean Heights. Wdowa po Massengilu wychodząca z domu do oczekującego samochodu, odziana na czarno. Twarz i siwa czupryna skryta za woalem. Kuśtykająca, przygarbiona, podtrzymywana przez wszystkich czterech synów. Błyskające flesze, wysuwane mikrofony. Pograżona w żałobie rodzina, przemykająca się z godnością zbrodniarzy wojennych popędzanych przed trybunał.

Włączył się komentator polityczny stacji telewizyjnej, snując domysły, kto zajmie miejsce Massengila, żeby dokończyć jego kadencję. Zaczął wdawać się w techniczne szczegóły rozwiązania tego problemu politycznego. Jako że śmierć Massengila miała miejsce już po jego nominacji, aż do następnej kadencji nie będzie dodatkowych wyborów. Zgodnie z tradycją, najprawdopodobniej miała zastąpić go żona, ale dzisiejsze rewelacje sprawiają, że jest to mało prawdopodobne. Na ekranie pojawiły się twarze ewentualnych kandydatów. Deputowany burmistrz, o którym nigdy nie słyszałem. Były redaktor telewizyjny – ogarnięty obsesją oddzielania makulatury od innych odpadków – o którym słyhać było co kilka lat i którego traktowano w mieście z przymrużeniem oka.

I Gordon Latch.

Komentator donosił o „zasłyszanych pogłoskach”, według których Latch rozważał możliwość ubiegania się o ten mandat. Następnie wyświetlili materiał, pokazujący Latcha przy biurku, odpierającego pytania i zapewniającego widzów, że „w chwilach trudnych, jak te, musimy się jednoczyć i bronić przed karierowiczostwem. Łączę się w sercu z Hattie Massengil i z jej synami. Apeluję do was wszystkich, żebyście oszczędzili im niepotrzebne okrucieństwa”.

Wyłączyłem telewizor i znów zadzwoniłem do Lindy.

– Już widziałem.

– Nie byłam jego wielbicielek, ale to okropne, jak szargają jego biedną rodzinę – oznajmiła.

– Wczoraj bohater, dzisiaj mokra plama.

– Dlaczego teraz? – spytała. – Dzień później? Policja wiedziała od razu.

Zastanowiłem się nad tym.

– Frisk odebrał sprawę Milowi, bo mogła go postawić w świetle reflektorów. Ale może zdążył ją przemyśleć, przyjrzeć się faktom i stwierdzić, że to nie takie proste. Taka chwała może być bronią obosieczną: jeśli nie ustali podejrzanych, ryzykuje, że w opinii publicznej zacznie być postrzegany jako osoba niekompetentna. Zwrócenie uwagi opinii na seks-skandal daje mu czas. Zauważ, że nie było wzmianki na temat postępów w dochodzeniu.

– Masz rację – zgodziła się. – Ciągle tylko o seksie.

– Tak bez końca. Poza tym, skoro Massengil był łajdakiem, potrzeba szybkiego ustalenia, kto go zabił, nieco słabnie, prawda? Może Frisk zyskuje na tym nieco cierpliwości ludu? Oczywiście istnieje możliwość, że ten przeciek wcale nie pochodzi od Friska.

– Od Latcha?

– To ma sens, czyż nie? Przynajmniej dwa razy zdawał się wiedzieć o planowanych posunięciach Massengila, więc może nawet ma szpicla w jego ekipie. Choć nie jest jedynym podejrzanym. Massengil miał pełno wrogów w Sacramento. Jest sporo ludzi, którzy tak go nienawidzili, że gotowi by byli splunąć na jego grób. Może Latch tylko wykorzystał tę informację – chwycił okazję i z mediatora zmienił się w rywala. To do niego podobne. Ma talent. Potrafi korzystać z nieszczęść innych ludzi.

– Jak padlinożerca – powiedziała. – Jak sęp. Albo hiena.

– Mnie raczej przyszedł na myśl żuk gnojowy – stwierdziłem.

Roześmiała się.

– A propos, jadłeś już kolację? Mam ochotę, by coś przyrządzić.

– Bardzo chętnie bym skorzystał, ale chyba dzisiejszy wieczór nie jest najodpowiedniejszą porą.

– Aha. – Zabrzmiało to tak, jakby poczuła się urażona.

– Chciałbym się z tobą zobaczyć – powiedziałem. – Ale...

– Ale co, Alex?

Wziąłem głęboki oddech.

– Posłuchaj, nie chcę żebyś się wystraszyła, ale jestem niemal pewien, że ktoś mnie dzisiaj śledził. I wydaje mi się, że to nie było po raz pierwszy.

– O czym ty mówisz?

– Tego wieczoru, gdy jedliśmy kolację na Melrose, zdawało mi się, że ktoś wyszedł z restauracji dokładnie wtedy, kiedy my, i śledził nas przez jakiś czas. Wmówiłem sobie wówczas, że mi się wydawało, ale teraz sądzę, że nie.

– Mówisz poważnie?

– Niestety.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś tamtego wieczoru?

– Naprawdę wydawało mi się, że daję się ponieść fantazji – to po prostu nie miało żadnego sensu. Potem Milo mi powiedział, że dostrzegł, iż ktoś nas śledzi, gdy jechaliśmy razem. Sądzi, że to był Frisk. Albo ktoś inny z policji. Jedna głowa hydry – Policji Los Angeles – usiłuje sprawdzić, co kombinuje inna. Milo nie cieszy się największą sympatią w wydziale.

– Gliniarze uwielbiają śledzić się wzajemnie – stwierdziła. – Myślą kategoriami paramilitarnymi. Zniszczyć przeciwnika. Tato znał masę opowiadań o gliniarzach, których przyłapał na jakiś grzeszkach. Oczy mu się świeciły, gdy je opowiadał. – Zamilkła na chwilę. – Dlaczego miałby cię obserwować?

– Bo przyjaźnię się z Milem. Nie przejmuj się tym, niedługo będę miał odpowiedź. Mam numer rejestracyjny samochodu, który za mną dzisiaj jechał. Jak tylko dodzwonię się do Mila, odnajdzie go w kartotece.

– Mam się nie przejmować? Choć wolisz dzisiaj nie ryzykować spotkania ze mną.

– To dlatego... po prostu nie chcę cię narażać na żadne... ryzyko.

– Ze strony policji? Dlaczego miałyby mi z ich strony coś zagrażać? Zapłaciłam wszystkie mandaty.

Nie odezwałem się.

– Alex? – powiedziała.

Znów odetchnąłem głęboko i w myśli ułożyłem sobie słowa, po czym opowiedziałem jej wszystko. O Novacie, Sophie Gruenberg, Crerolinie, Bear Lodge.

Gdy skończyłem, zapytała:

– Dlaczego mi wcześniej nic nie mówiłeś?

– Chyba chciałem... cię chronić.

– A niby skąd ci przyszło do głowy, że potrzebna mi jakaś ochrona?

– Nie tobie – zaprotestowałem. – To nie chodziło o ciebie. Dobrze nam było razem. Nie chciałem tego... zmać.

– Więc trzymałeś mnie w nieświadomości.

– To nie było celowe działanie.

– W porządku. Życzę miłego wieczoru.

– Lindo...

– Nie – powiedziała. – Wystarczy już słów. Słów mi nigdy nie brakowało. I nie martw się o mnie. Jestem dużą dziewczynką. Nie jest potrzebna mi ochrona.

Rozłączyła się. Gdy próbowałem do niej zadzwonić, linia była zajęta. W centrali poinformowano mnie, że słuchawka jest źle odłożona.

* * *

W samotności moje myśli przeskakiwały z jednego ponurego wątku na drugi. Fabryki bomb. Kadry. Przetasowania polityczne...

I przez to wszystko przewija się jedna wspólna nitka.

Latch.

Pomyślałem o procesie oczyszczającym, który przeistoczył go z wywrotowca w reprezentanta narodu. Te lata izolacji z Mirandą gdzieś na Pomocnym Zachodzie.

Lata izolacji po Bear Lodge.

Czas, pieniądze i naturalny uśmiech. Co jeszcze było potrzebne politykowi lat osiemdziesiątych? Ale co może stać się z tym uśmiechem, jeśli przestaną napływać pieniądze?

Przypomniałem sobie zachowanie Mirandy Latch podczas koncertu i zastanawiałem się, jak długo jeszcze ten kranik pozostanie dla Latcha otwarty? Przyszedł mi na myśl ktoś, kto zapewne mógłby mi udzielić odpowiedzi.

Sąd Najwyższy był już zamknięty od kilku godzin, ale wiedziałem, że mam zapisany numer domowy Steve'a Huppa. Steve mieszkał w Pasadenie. W słuchawce odezwał się bardzo młody damski głos, ze skandynawskim akcentem.

– Rezydencja sędziego Huppa.

– Chciałbym rozmawiać z sędzią, jeśli można.

– Czy mogę spytać, kto mówi?

– Alex Delaware.

– Chwileczkę.

Steve wziął słuchawkę sekundę później.

– Hej, Alex, zmieniłeś zdanie co do Szwajcara?

– Przykro mi, nie, sędzio Hupp. Co słyhać w twojej rezydencji?

– To Brigitta, nasza pomoc domowa. Ściągnąłem ją ze Szwecji. Nie za dobrze sobie radzi z pracami domowymi, ale chętnie odbiera telefony. Jestem dumny z jej angielskiego. I z jej nóg. Julie jej nienawidzi. Więc, skoro nie zmieniłeś planów, to czemu zawdzięczam ten telefon?

– Chciałbym cię prosić o drobną przysługę; o informację.

– Jaką informację?

– Czy pewna osoba ostatnio złożyła pozew rozwodowy. Czy to gwałci twoją etykę zawodową?

– Nie, takie informacje są dostępne dla wszystkich, jeśli nie zostały zastrzeżone, a sąd nie bardzo chce się godzić na takie zastrzeżenia. Musiałby być po temu naprawdę ważny powód. To nie znaczy, że chodzimy i rozpowszechniamy takie wiadomości. Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Ma to coś wspólnego ze sprawą, nad którą pracuję.

– To znaczy, że nie możesz mi powiedzieć.

– Cóż...

Roześmiał się.

– Alex, Alex. Jeszcze się nie nauczyłeś, że jednokierunkowe uliczki za daleko nie prowadzą? Dobra, zrobię to dla ciebie. Pamiętam te wszystkie ohydne przypadki, które pomogłeś mi rozwikłać. Jak się nazywa ta osoba?

Powiedziałem mu.

– Zajmujesz się nimi? Nie sądziłem, że to zaszło aż tak daleko. Nawet nie wiedziałem, że mają dzieci.

– Co masz na myśli, mówiąc „tak daleko”?

– Jej adwokat wniósł pozew dwa tygodnie temu. Mają przed sobą długą drogę, zanim dojdzie do rozprawy. Myślę, że nie zobaczę ich w sądzie przez najbliższe pół roku. Sądzisz, że to będzie jedna z tych brudnych spraw?

– Być może. Wiąże się z dużą forszą.

– To wszystko jej. Ale nie bardzo wyobrażam sobie, żeby zażądał alimentów. Nie pasowałoby to do jego publicznego image’u, prawda? Młody, pnący się w górę człowiek, który utrzymuje się z doli wypłacanej przez żonę.

– On rzeczywiście idzie w górę.

– O tak. Ludzie w ratuszu mówią, że mu się już tam znudziło. Ostrzy ząb na wakaty, który tak wspaniałomyślnie zafundował mu Massengil, a potem być może ruszy do Kongresu – w każdym razie do Waszyngtonu. Niemniej jednak cieszę się, że się tym zajmujesz. Może uda nam się jak najbardziej zmniejszyć niszczycielskie skutki tej sprawy.

– Mam nadzieję, Steve. Dzięki.

– Nie ma sprawy. Do zobaczenia w sądzie.

Siedzenie w domu działało mi na nerwy i postanowiłem wyjść, do czasu, aż uda mi się skontaktować z Milem i dowiedzieć się, kim jest właściciel beżowego samochodu, Przejazdka wzdłuż wybrzeża wydawała się niezłym pomysłem. Kiedy już wychodziłem, zadzwoniła moja centrala serwisowa.

– Doktorze Delaware – odezwała się telefonistka, której głosu nie rozpoznałem. – Od południa nie sprawdził pan wiadomości, a jest ich dla pana cała masa.

– Jakież pilne?

– Już patrzę... hmm... nie, chyba nie. Ale detektyw Spurgis...

– Sturgis.

– Ach, to jest ? Jestem tu nowa. Flo wszystko zapisała, nie mogę rozszyfrować jej charakteru pisma. W porządku, detektyw Sturgis zostawił bardzo długą wiadomość. Mam ją odłożyć, czy przeczytać?

– Proszę przeczytać.

– Popatrzmy no... Powiedział, żeby panu przekazać, że sprawy zaszły na wyższy szczebel. Duże F kreska duże E kreska duże D. Chyba wychodzi FED, jak federalny, tak przynajmniej Flo to zapisała. Duże F, duże E, duże D. A może to jest T. Sprawy zaszły na wyższy szczebel. FED. Albo TED. Ale pan nie ma na imię Ted, więc to pewnie FED. W każdym razie sprawy zaszły na wyższy szczebel kreska FED. Skontaktuję się z tobą. Siedź i czekaj. Zrozumiał pan?

– Zrozumiałem. O której zadzwonił?

– Niech no spojrzę... na tej karteczce jest napisane pięta trzydzieści.

– Dziękuję.

– Fajne ma pan wiadomości, doktorze Delaware. Wiedzie pan chyba ciekawe życie.

Rozdział trzydziesty drugi

Siedziałem i czekałem. O 23.23 rozległo się pukanie do drzwi. Podwójne stuknięcie i dzwonek.

– Kto tam?

– FBI, doktorze Delaware.

– Czy mógłbym zobaczyć jakiś dowód?

– Oczywiście, doktorze. Przytrzymam go przy wzierniku.

Spojrzałem przez wizjer, ale niewiele mogłem dostrzec, mimo że zapaliłem światło na ganku.

– Może wrzucić pan to przez szparę na listy?

Wahanie. Przyciszone, konsultujące się głosy.

– Przykro mi doktorze, nie możemy tego zrobić.

Pozostawiając łańcuch, lekko uchyliłem drzwi...

– Proszę, doktorze. – Wysunęła się dłoń, dzierzżąca małe, skórzane etui. Po jednej stronie złota odznaka, po drugiej legitymacja ze zdjęciem. Zdjęcie przedstawiało mężczyznę przed trzydziestką. Jasnobrązowe włosy, krótko przycięte i zaczesane na prawo. Pełna twarz, ostre rysy. HOYT HENRY BLANCHARD. AGENT SPECJALNY. FEDERALNE BIURO ŚLEDTCZE, AMERYKAŃSKI DEPARTAMENT SPRAWIEDLIWOŚCI.

Zdjąłem łańcuch i otworzyłem drzwi. Na ganku stała żywa replika zdjęcia, ubrana w szary garnitur, białą koszulę i niebieski krawat ze srebrnym paskiem. Metr osiemdziesiąt wzrostu, szczupła budowa ciała, kłócząca się z dużą twarzą. Okulary w prostokątnych, metalowych oprawkach, które sprawiały, że w jego twarzy nie było nic charakterystycznego. Za nim stała kobieta w podobnym wieku. Ciemnoblonde włosy ostrzyżone na pazia, twarz małpki kapucynki, okulary w złotych oprawkach.

– To jest agentka specjalna Crisp – oznajmił Blanchard.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Kobieta nie uśmiechnęła się ani nie wyciągnęła ręki. Była niewysoka, miała wąskie biodra i potężne łydki. Jej strój zdawał się mówić „Nie mam czasu na dyrdymały”: granatowy, dwuczęściowy kostium, biała bluzka zapinana wysoko pod szyję, czarna, skóropodobna torebka, tak duża, że pomieściłyby się w niej zakupy spożywcze na cały dzień. Zza okularów spozierały oczy poborcy podatkowego. Zarówno ona, jak i Blanchard mieli przeciągłe, podejrzliwe spojrzenie

księgowych, którzy przez jakiś czas nie mogli znaleźć pracy.

– Jest pan ostrożny, doktorze – zauważył Blanchard. – To roztropne.

– Przy tym, co się teraz dzieje – skomentowałem.

– Ma pan rację. Przepraszamy za tę porę.

– Nie spałem.

– Więc dostał pan wiadomość.

– Dostałem. Czym mogę państwu służyć?

– Chcielibyśmy pana przesłuchać.

– Na jaki temat?

Pozwolił sobie na szybki uśmiech.

– Na temat wszystkiego, co się ostatnio dzieje.

– Proszę do środka.

– Właściwie – zawahał się – wolelibyśmy, gdyby pan pojechał z nami.

– Dokąd?

Agentka zjeżyła się na takie pytanie. A może na to, że w ogóle zadają im jakieś pytania. Spojrzeli na siebie.

Znów nikły uśmiech Blancharda.

– Przykro mi, doktorze. Naprawdę nie mamy prawa powiedzieć dokąd, dopóki pan się nie zgodzi z nami pójść. Wiem że to swoisty paragraf dwadzieścia dwa, ale tak już jest.

– Przepisy dotyczące informacji o transferze, sir – odezwała się kobieta. Mówiła ochryłym głosem. – O sprawach dotyczących bezpieczeństwa nie mamy prawa rozmawiać w jakimkolwiek innym miejscu niż zabezpieczone lokale.

Blanchard spojrzał na nią, jakby wtrąciła się w nieodpowiedniej chwili. Obdarzył mnie spojrzeniem, jakim dobrotliwi rodzice napominają niegrzeczne dzieci.

– Tu nie chodzi o wezwanie czy nakaz stawienia, czy coś w tym rodzaju, doktorze. To znaczy, że nie ma pan obowiązku pójść z nami. Ale bardzo by to pomogło naszej jednostce.

– Nie możemy tak łatwo zdobyć nakazu stawienia – odezwała się agentka, jakby do siebie.

Dobry i zły gliniarz? Czy jakiś konkretny powód, czy po prostu siła przyzwyczajenia?

– Czy detektyw Sturgis należy do waszej jednostki? – spytałem.

Blanchard odchrząknął.

– Jak powiedziała agent Crisp, nie wolno nam udzielać żadnych informacji poza specjalnym miejscem, do którego właśnie chcemy pana zabrać. Tam będziemy mogli wszystko wyjaśnić. Ale powiedzmy, że pana oczekiwania względem detektywa Sturgisa mają duże szansę pozytywnej odpowiedzi.

Kobieta przełożyła swoją ogromną torbę na drugie ramię.

Zawahałem się.

Spojrzała na zegarek, a potem gniewnie na mnie.

– Nie ma się czym przejmować, doktorze – powiedział Blanchard. – Jesteśmy przyjaciółmi.

– Proszę się nie obrażać – powiedziałem – ale czasami nie można być tego pewnym.

Jego wyraz twarzy wskazywał, że jednak się obraził. Ale po chwili uśmiechnął się znowu.

– Ma pan rację – zgodził się ze mną.

Agentka postukała w swój zegarek i zaproponowała:

– Wróćmy jutro rano z nakazem, Hoyt.

Blanchard zignorował ją i rzekł:

– Coś panu powiem, doktorze, może podamy panu numer, pod który może pan zadzwonić? Sprawdzi pan jednostkę.

– A może sam porozmawiam z detektywem Sturgisem?

– Nie mamy nic przeciwko temu, problem jednak polega na tym, że nie możemy się z nim w tej chwili połączyć telefonicznie – czuwa przy radiu, na tajnym paśmie. – Przyłożył palec do ust i zastanowił się. – Coś panu powiem: pewnie uda mi się z nim skontaktować przez radio w samochodzie. – Zwrócił się do kobiety: – Dobrze, Audrey?

Ze znużeniem wzruszyła ramionami.

Blanchard odwrócił się do mnie.

– Dobra, spróbujemy. Ale sztab może się nie zgodzić na połączenie, linia ma cały czas pozostać nieobciążona.

– Jakiś straszny spiszek – zdziwiłem się.

– Żeby pan wiedział.

Audrey Crisp zachowała kamienną twarz.

– Dobrze, chodźmy do samochodu – zdecydował Blanchard. – Nie. Jeszcze lepiej przyniosę radio tutaj.

– W porządku.

Odwrócił się i zszedł ze schodka.

Torba agentki zsunęła się jej z ramienia i upadła z hukiem na ganek.

Schyliłem się, podniosłem ją i podałem kobiecie. Z bliska czuć było od niej gumę cynamonową. Miała ziarnistą cerę pod naleśnikowatym makijażem.

– Dziękuję – powiedziała, a na jej ustach w końcu zagościł uśmiech.

Jedną ręką odebrała torbę, a drugą dotknęła czoła, poprawiając włosy, których nie trzeba było poprawiać. Następnie opuściła ją i nagle rzuciła się do przodu. Dłonią złożoną do ciosu karate, który zamienił ją w sztylet, uderzyła mnie bardzo mocno w splot słoneczny.

Elektryzujący ból. Straciłem oddech, złapałem się za brzuch i zgiąłem się wpół.

Zanim zdążyłem się wyprostować, ktoś za mną – to musiał być ten uśmiechnięty Blanchard – wbił mi rękę w plecy, walnął w nerki i zacisnął ramię na szyi.

Zamazany szary rękaw. Szary stryczek. Pod materiałem napięty mięsień, naciskający na moją krtani.

Mój umysł wiedział, co należy robić – ciężar ciała przenieść na pięty, łokcie do tyłu – ale moje pozbawione tlenu mięśnie nie chciały słuchać. Mogłem jedynie machać rękami i otwartymi ustami łapać powietrze.

Szare ramię podciągnęło się do góry, nie zwalniając ucisku i ugniatając moją szyję, jakby to było ciasto. Wepchnęło się głęboko pod moją brodę, odciągnęło mi głowę do tyłu tak gwałtownie, że aż świsnęło. Zacisnęło się jeszcze bardziej na krtani. Nie ustępowało.

Świadomość mi się zamgliła. Dostrzegłem agentkę, która przyglądała się z rozbawieniem.

Blanchard cisnął coraz mocniej. Chciałem mu powiedzieć, co o nim myślę – jak to nieładnie, iż udawał, że jest dobrym gliniarzem...

Nogi ugięły się pode mną. Ciężka, oleista czerń otoczyła mnie ze wszystkich stron... totalne zaćmienie...

Ocknąłem się na tylnym siedzeniu samochodu. Leżałem, nadgarstki miałem spętane z tyłu. Poruszyłem palcem, poczułem coś twardego, ciepłego. Nie metal. Nie kajdanki. Znow dotknąłem. Plastikowy sznurek, jakiego policja używa do szybkiego spętania więźnia.

Zawsze przypominał mi zamknięcia do toreb na śmieci.

Udało mi się usiąść. Czułem się, jakby z głowy ktoś mi wycisnął sok. W gardle mi zaschło. W uszach słyszałem wycie, jakie pewnie towarzyszy mięczakom, gdy wychodzą z muszli. Widziałem niewyraźnie. Mrugnąłem kilka razy, żeby zobaczyć, którędy jedziemy... pozbierać się.

Blanchard prowadził. Audrey Crisp siedziała z przodu, obok niego. Samochód skręcił szybko. Zatoczyłem się, zabalansowałem ciałem, żeby utrzymać się w pozycji siedzącej i upadłem. Uderzyłem głową o drzwi. Ostre ukłucie i mdłości, skutek uderzenia w brzuch.

Oczy mi się zamknęły i jęknąłem bezwiednie.

– To się budzi – zauważyła kobieta.

Blanchard parsknął śmiechem. Ona też się roześmiała. Teraz nie istniał między nimi zajadły konflikt. To było dwoje złych gliniarzy.

Czułem, jakbyśmy poruszali się bardzo szybko, ale może kręciło mi się w głowie. Zwalczyłem zawroty, znow udało mi się podnieść.

Chciałem coś powiedzieć, ale wydobywały się tylko ze mnie jakieś pojedyncze dźwięki: Co... kto... – bolały mnie migdałki.

– To gada – zdumiała się kobieta.

– Jeśli to wie, co jest dla niego najlepsze, to się, kurwa, zamknie – orzekł Blanchard.

Przycisnąłem twarz do szyby. Zimna i kojąca. Za oknem nadal ciemność.

Ciemność nieskończona.

Ciemność niewidoma od urodzenia.

Poczułem atak zawrotów głowy. Musiałem się skupić na tym, żeby znow się nie przewrócić. Przywarłem do siedzenia skrępowanymi dłońmi i poczułem, jak łamie mi się paznokiec.

Wjrzałem znow przez okno, choć ledwie mogłem utrzymać otwarte powieki. Czułem się, jakbym miał oczy umoczone w kleju i obtoczone w żwirze.

Zamknąłem je. Ta sama ciemność bez wyrazu.

„Panie i Panowie, dzisiaj rolę piekła zagra Ciemność Absolutna”.

Z determinacją zagryzłem wargę, upadłem jak foka wyrzucona na brzeg, otarłem się twarzą o drzwi. W miejscach, gdzie powinny być klamki, znajdowały się metalowe zaślepki.

Cicha rozmowa z przodu. Znow śmiech.

Ponownie zamrugałem. Otworzyłem oczy i czekałem, aż przywyknę do ciemności. Wciąż wszystko widziałem jak przez mgłę. Usiłowanie skupienia wzroku było bolesne.

Mimo to patrzyłem. Szukałem jakiegoś odniesienia.

Czerń zamieniła się w szarość. Szarości. Cała masa szarości. Kontury, cienie, perspektywy... Aż dziwne, ile jest różnych szarości, gdy się dokładniej przyjrzeć...

Wymarłe ulice.

– To obserwuj – skostatowała kobieta. Odwróciła się i popatrzyła na mnie. Jej mała twarz przypominała mi okładkę książki Stephena Kinga. – Chcesz wiedzieć, gdzie jesteśmy, złotko? – spytała. – W Valley. Masz dzisiaj ochotę na wycieczkę do Valley?

Byłem skrępowany, ale bez opaski na oczach. Nie obchodziło ich, co widzę. Spisali mnie na straty.

Wyrzuciłem to ze świadomości, walczyłem, żeby myśleć trzeźwo. Nie zwracać uwagi na zaburzenia żołądkowe, serce tłukące jak młot, ogłuszający łomot w głowie, przypominający walenie w rynnę.

Blanchard wdepnął pedał i samochód przyspieszył. Zacząłem w końcu widzieć wyraźnie. Ciemne centrum handlowe. Leniwa latarnia, rzucająca żółtą poświatę na biura zasłonięte płytami paździerzowymi, połamane i potłuczone szyldy, ściany upstrzone hasłami ulicznych gangów. Pusty parking zarośnięty chwastami.

Zła część Valley.

Blanchard znow skręcił kilka razy szybko i moje oczy nie były w stanie za tym nadążyć.

Kilka szyldów.

CAUIDADO CON EL PERRO* [przyp: Uwaga zły pies (hiszp.)] TEREN STRZEŻONY... SKŁAD SZKODLIWYCH ODPADÓW... NIE WCHODZIĆ!

Potem odblaskowy pomarańczowy romb, lśniący jak klejnot: KONIEC DROGI.

Blanchard jechał dalej dróżką, na której samochód się kołysał. Po kilku minutach zatrzymał się nagle przed metalową bramą, zamkniętą na kłódkę.

Kobieta wysiadła, a przez uchylone drzwi wdarł się do środka smród benzyny. Usłyszałem chrobot, szcęk, zgrzytnięcie i skrzypnięcie. Wsiadła z powrotem i powiedziała:

– Dobra.

Powiało zapachem benzyny, jakby miała nią przesiąknięte ubranie.

Blanchard minął bramę. Kobieta znów wysiadła, zamknęła ją i wróciła. Samochód ruszył przez pusty plac, minął kilka aut zaparkowanych równolegle. Volskwageny garbusy. Przypominały pojazdy z jakiejś apokaliptycznej wizji.

Blanchard zwolnił i zatrzymał się przed betonową płytą. Dostrzegłem metalowe schody. Platforma załadunkowa. Za nią zarys potężnej, płaskiej budowli – pięćdziesiąt stóp niezmaconych żadnym architektonicznym detalem.

Światło z lewej – słaba żarówka, tylko lekko rozjaśniająca ciemność. Skromne oświetlenie górnej połowy okratowanych drzwi. Na prawo większa brama z karbowanej blachy. Trzy razy szersza od wrót garażowych.

Otworzyły się mniejsze drzwi. Wyszły trzy postacie. Ludzie-cienie.

Blanchard wyłączył silnik. Kobieta wyskoczyła, jak dzieciak pędzący na prywatkę urodzinową.

Odgłos kroków. Otworzyły się tylne drzwi samochodu z prawej strony. Zanim zdążyłem dojrzeć ich twarze, złapali mnie za kostki i wyciągnęli na zewnątrz. Gdy już byłem poza samochodem, jakieś dłonie przytrzymały mnie pod pachami.

Jęki wysiłku.

Zawisłem bezwładnie. Niech się, dranie, pomęczą.

Gdy mnie nieśli, zerknąłem na samochód. Chyba beżowy, ale w ciemności nie mogłem być pewien.

Nieśli mnie jak worek zepsutego mięsa. Jak worek ze śmieciami.

Rozdział trzydziesty trzeci

Przez chwilę zmagali się z mniejszymi drzwiami. Słyszałem zgrzyty, trzaski i szum automatu – jakiś sterowany elektronicznie zamek szyfrowy. Nikt się nie odzywał. Trzymali mnie mocno za kończyny, tułów mi zwisał, bolały stawy. Patrzyłem na nogawki i na buty...

Wnętrze. Podłoga. Betonowa podłoga. Zimne, klimatyzowane powietrze. A może drżałem z innego powodu?

Nieśli mnie w milczeniu korytarzykiem, wzdłuż wysokich, beżowych ścian z tekturowych pudeł. Drzwi ze sklejki. Magazyn, podzielony na małe komórki, nierównomiernie oświetlony. Plamy światła na betonowej podłodze, na przemian z przerwami ciemności, które sprawiały, iż czułem się, jakbym zniknął.

Teraz większe pomieszczenie. Kroki moich pogromców odbijają się echem. Nagle inne kroki, delikatniejsze. Odległe. Miałem świadomość dużej, otwartej przestrzeni. Zimnej przestrzeni.

Piekło było magazynem...

Czy tak się czują zwierzęta doświadczalne, przygotowywane do transportu lotniczego?

Nagle inne dźwięki: stukot maszyny do pisania. Piknięcie komputera. Szurające podeszwy.

Znów tekstura, całe sterty pudeł.

Odczytałem napisy: MATERIAŁY WYDAWNICZE. CENA SPECJALNA. Pełno ich. Potem kilka z napisem: MASZYNY. OSTROŻNIE.

Żółty błysk. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, co to było. Wózek podnośnikowy. I jeszcze jeden. Kilka mniejszych pojazdów, które wyglądały jak przycupnięte kosiarki do trawy. Ale tutaj nie śmierdziało benzyną. Drożdżowy zapach; znajomy zapach świeżego papieru.

Stęknienia i sapania niosących mnie. Mój wzrok szybko skierował się poza nogawki. Kilka par odzianych w rajstopy damskich łydek. Zacząłem liczyć stopy. Dwie, cztery, sześć, osiem, dziesięć... Wyciągnąłem szyję w górę, urażając kręgosłup. Nie mogłem dostrzec twarzy.

Korytarzyk odbił w lewo. Moja podróż w charakterze trofeum myśliwskiego trwała jeszcze dwadzieścia następnych kroków i nagle zatrzymaliśmy się. Ciężkie oddechy. Pot, jak w szatni sali gimnastycznej. Podtrzymujące mnie ręce podniosły mnie i obróciły. Nagle stanąłem w pozycji pionowej, wciąż ze skrępowanymi rękami.

Stałem twarzą w twarz z Nimi.

Blanchard, zasapany, ale usiłujący się uśmiechnąć.

Inni. Dziesięciu, Młodszy. Schludni.

Znałem ich, jednocześnie ich nie znając. Widziałem ich w szkole. W dzień strzelaniny. Na koncercie.

Wtedy mieli radosne spojrzenia. Dzisiaj ich oczy były martwe. Twarze pogrążone w grzęzawisku posłuszeństwa. Jakby ktoś zgasił w każdym z nich wewnętrzne światło. Oszczędność osobowości.

Poprzednio wystroili się tak, jakby byli gotowi na sukces. Dzisiaj byli ubrani, jakby się szykowali na coś innego: czarne golfy, czarne dżinsy i adidasy. Ubiór odpowiedni do całonocnego czuwania w szopie. Albo do morderstwa na podwórku za domem.

– Cześć dziewczyny, cześć chłopaki – powiedziałem. – Zaprowadźcie mnie do waszego przywódcy.

Kilkoro z nich wytrąciło to z ich upiornej zadumy. Trzymali mnie nadal, ale odwrócili głowy, jakbym wydał nieprzyjemny zapach.

To gada.

Blanchard wystąpił do przodu i wymierzył mi ostry policzek. Głowa odskoczyła mi od uderzenia. Nie myślałem o bólu ze strachu. Spojrzałem poza nich wszystkich. Wąskie przejście, powstałe pomiędzy dziesięciostopowej wysokości stertami kartonów z MATERIAŁAMI WYDAWNICZYMI. Dokładnie przede mną znajdowały się czarne, drewniane drzwi. Coś było na nich namalowane. Czerwone kółko z ostrzem włóczni w środku.

Ktoś wyszedł zza jednego z kartonów. Ktoś podszedł do mnie rozkołysanym krokiem.

Beth Bramble w czarnej sukience z długimi rękawami. Włosy miała ciasno ściągnięte do tyłu. Z uszu zwieszały się chromowane kolczyki w kształcie błyskawic.

Odchrząknąłem z wysiłkiem i wychrypiałem:

– Skończył się już okres żałoby po ukochanym przywódcy? – Mówienie sprawiało mi ból.

Blanchard uderzył mnie ponownie.

– Och! – Beth Bramble uśmiechnęła się.

Podeszła bliżej, ściągając usta jak do całowania. Musiała zjeść coś z dużą ilością czosnku. Zapach mieszał się z jej perfumami – pizza kwiatowa.

Wzięła mnie pod brodę. Uszczypnęła w policzek, w który uderzył Blanchard. Uszczypnęła jeszcze raz, mocniej, i uśmiechnęła się.

– Bawisz się w tajnego agenta, Beth? Najlepiej jest rozgryźć opozycję od środka.

– Pierdol się, kochanie – odparła i uszczypnęła mnie jeszcze raz, przesunęła palcami po mojej koszuli na piersi, do rozporka. Zatrzymała je tam, ścisnęła. Ktoś parsknął. Spojrzała na młodych ludzi, odwróciła się i zniknęła za kartonami.

Blanchard zapukał w czarne drzwi.

Z drugiej strony usłyszałem stłumioną odpowiedź.

Blanchard otworzył je, wsadził głowę i powiedział:

– Jest tutaj, D.F. Wszystko poszło jak po maśle.

Znów stłumiona odpowiedź.

Wepchnięto mnie do środka i drzwi zatrzasnęły się za mną.

* * *

Pomieszczenie było niewielkie, miało może pięć metrów kwadratowych, kiepsko oświetlone. Spod brunatnego linoleum w kilku miejscach prześwitywał beton. Ceglane ściany były pomalowane na instytucjonalną biel. Wypaczony, dźwiękochłonny sufit, zbrązowiały od wilgoci. Metalowy wywietrznik wdmuchiwał zatechłe, lodowate powietrze.

Pośrodku stało biurko w beznamiętnym oliwkowym kolorze, które musiało być ściągnięte z demobilu. Przed nim znajdowały się dwa zielone, metalowe krzesła. W jednym z narożników stało więcej złożonych krzesel. Na blacie biurka ustawiono czarny, wieloliniowy telefon i leżała niewielka sterta papierów, przyciśnięta poczerniałą łuską artyleryjską. Pod lewą ścianą stała kanapa, która wyglądała, jakby kilka razy trafiła do lombardu.

Styl bunkier-nouveau? Cała ta wojskowa monotonia stanowiła ostry kontrast z tym, co wisiało na ścianie za biurkiem. Flaga tak ogromna, że mogłaby wisieć na ratuszu. Czarny muślin, obrzeżony czerwonym atłasem. Pośrodku motyw z włącznią w czerwonym okręgu.

Na kanapie siedział Gordon Latch, ubrany w czarne, kończące się na wysokości kostek spodnie z dwiema zakładkami i z wąskimi mankietami czarne buty z ostrogami zrobione z wężowej skóry i zbyt dużą, zapiętą pod szyją koszulę z czarnego jedwabiu, w stylu preferowanym przez aktorów i handlarzy narkotykami. Koszula miała dwie kieszenie na piersiach, perłowe guziki i okazałe naramienniki. Na końcówkach kołnierzyka pobłyskiwały chromowane włócznie. Latch siedział ze skrzyżowanymi nogami, swobodnie rozparty, rozluźniony jak gwiazda telewizyjnego talk-show.

Posłał mi zwycięski uśmiech. Uśmiech zadrzał. Coś mąciło jego triumf...

Spojrzałem ponad zielonym biurkiem i zrozumiałem.

Za biurkiem, na obrotowym krześle z wysokim oparciem, powleczonym zieloną skórą, siedział

Darryl „Bud” Ahlward. Jego ubiór był identyczny jak strój Latcha, poza tym, że nad kieszeniami miał tęczowe baretki, a pod ramieniem kaburę z czarnej skóry, z wystającą z niej kolbą pistoletu.

Na jego kołnierzyku widniały złote włócznie. Mimo obszernego kroju koszuli barki rozpychały mu szwy na ramionach.

Siedział bardzo wyprostowany i zupełnie nieruchomy, z utkwionym w jeden punkt wzrokiem.

Odwróciłem się do Latcha i powiedziałem:

– Mała zmiana ról. Nadal w drugiej kadrze, co, Gordon?

Latch wyprostował się i zaczął coś mówić. Ahlward szybkim spojrzeniem wepchnął mu słowa z powrotem do gardła. Latch odwrócił się od nas, znowu skrzyżował nogi i zrobił znudzoną minę.

– Więc taka moda panuje w tym sezonie pośród strzelców wyborowych? – zdziwiłem się. – Jak powinienem się oficjalnie przywitać! *Sieg Heil, Ciao?*

Ahlward sięgnął pod pachę i wyciągnął pistolet z kabury, wielki przedmiot z długą lufą, sprawiający wrażenie bardzo nowoczesnego. Pogłaskał go i skierował w moją stronę.

– Siadaj.

– Czy to modna galanteria odzieżowa w stylu *über Alles*?

– Dupek – odezwał się Latch.

Udałem zdziwienie.

– Zastanówmy się, jaką ty spełniasz rolę, Gordie? Jesteś Goebbelsem czy Goeringiem, bo zdaje mi się, że pod tą obszerną bluzeczką dostrzegam mały brzuszek. A uroczą panną Crisp? Czy ona w dzisiejszym spektaklu gra Ewę Braun, czy to jest rola dla Beth Bramble?

Ahlward przesunął wzrokiem wzdłuż lufy wielkiego, czarnego pistoletu. Przymknął lewe oko. Starałem się utrzymać otwarte powieki, patrzyłem prosto przed siebie. Za niego.

Koncentrowałem się na znaku włóczni, brzydkim, jaskrawo-szkarłatnym. Rozmyślałem o zdjęciach na wystawie. Zimowy dzień w Bawarii. Ciała padające do dołu.

– Jesteś zadziwiającym egzemplarzem gówna – odezwał się Ahlward. – Zbadałem twoją przeszłość. Zawsze maczasz paluchy w sprawach, które cię nie dotyczą.

– To ostatni raz – powiedział Latch.

– Czas na odsłonięcie kart, ty kupo gówna – powiedział Ahlward. Zamachał pistoletem.

– Niby dlaczego miałbym na to przystać? – spytałem.

Ahlward uśmiechnął się.

– Ponieważ każda sekunda jest droga. Każdemu się zdaje, że jest nieśmiertelny. To zadziwiające, co potrafią zrobić niektóre stworzenia, jak nisko potrafią upaść, żeby zyskać parę sekund.

– Czy to dowiedziony fakt? – spytałem.

– To fakt naukowy. Wystarczy wrzucić takie stworzenie do lodowatej wody i widać, jak przeciąga swoją agonię, żeby tylko zyskać kilka sekund.

– Wystarczy wrzucić centa do basenu, a takie stworzenie samo tam wskoczy – dodał Latch.

Ahlward uśmiechnął się i powiedział:

– Łapali powietrze jak ryby i błagali w jidysz o litość, mimo że wiedzieli, iż na nic im się to nie zda. Szamotali się tak, aż zamienili się w lodowe sople. Dziś wykorzystują to naukowcy. W badaniach nad hipotermią. Kto wie? Może dzięki tobie rodzaj ludzki też coś zyska.

– Cała nowa dziedzina badań – odezwał się Latch. – Tolerancja bólu.

– Więc? – zapytał Ahlward. – Będiesz współpracował. Jaką masz alternatywę?

– Mam taką alternatywę, że mogę was poprosić, żebyście się odpiardolili.

Ahlward odłożył pistolet i wcisnął przycisk na aparacie telefonicznym. Odpowiedział mu pojedynczy, krótki dzwonek. Podniósł słuchawkę i powiedział:

– Teraz.

Oparł się i złożył ręce na piersi. Taka sama poza, w jakiej widziałem go kilka dni temu w klasie.

Rozległo się stuknięcie w drzwi.

– Wejść – rzucił Ahlward.

Pojawiło się dwóch przystojniaków, ciągnąc pod pachami coś dużego, białego i bezwładnego. Obydwaj byli krzepcy, bardzo młodzi. Jeden blondyn z trądzikiem. Drugi, ciemnowłosy, ze strzępiastym wąsem.

Dwudziestolatki najwyżej. Powinni zabawiać się w klubach, przy piwie. Robić głupie dowcipy.

Stali na baczność, poważni, bezgranicznie oddani.

Biała rzecz pomiędzy nimi to był Milo, z kiwającą się bezwładnie głową.

Bezwładny. Serce podskoczyło mi do gardła, aż zadławiłem się z braku powietrza. Podeszedłem bliżej. Ahlward uniósł pistolet i rzucił:

– Stój.

Walcz o każdą sekundę.

Pozostałem na miejscu i spojrzałem na swojego przyjaciela.

Był bosy i rozebrany do podkoszulka i majtek. Koszulę miał podartą i poplamioną krwią. Powieki tak opuchnięte, że ledwo widać było oczy, wargę rozciętą w kilku miejscach i umazaną zaschniętą krwią. Krew pokrywała mu też całą twarz, ściekała po brodzie na koszulę. Jeden jego bark był widoczny przez rozerwany podkoszulek. Rozcięty do mięsa i krwawiący. Na ramionach miał brunatne siniaki. Mimo swojej postury zdawał się mały.

Głowa opadła mu niżej i zakołysała się bezwładnie. Dostrzegłem krew zlepiającą włosy. Jego skóra, zawsze blada, miała brudno-porcelanowy odcień, jaki można zobaczyć na oddziałach dla nieuleczalnie chorych.

Ale jeszcze oddychał.

– Milo – jęknąłem.

Nie zmienił mu się wyraz twarzy, ale przez wargi przemknęło na wpół westchnienie, na wpół odgłos wzbierających nudności. Czy chciał coś powiedzieć?

Znów opadł bezwładnie. Czarne Koszule wzmocniły chwyt. Jak harcerze, którzy pomagają pijanemu przejść na drugą stronę ulicy, czy tego chce, czy nie...

– Tak to będzie wyglądało – powiedział Ahlward. – Usiądziesz zaraz i przestaniesz mnie wkurzać albo stanę przy twoim dupkowatym kolesiu i będę mu zadawał ból na twoich oczach. Kiedy już do niczego nie będzie się nadawał, rozwałę mu łeb w taki sposób, żeby dużo wilgotnej, szarej masy rozprysnęło się na twojej koszuli. A potem pokroję tę masę nożem i widelcem i cię nią nakarmię. Jak wyrzypasz, na deser będziesz jadł rzygi. W każdym razie wszystko w ciebie wmusimy. A potem tobie zacznę zadawać ból.

Wzruszyłem ramionami, z rękoma skrępowanymi z tyłu, co sprawiło mi ból. Usiadłem.

– Cóż, skoro tak stawiasz sprawę, D.F.... D.F. Zastanówmy się... to pewnie musi znaczyć *Der Führer*, zgadza się? Lubicie bawić się inicjałami. D.F., M.D. Gdzie masz organki, Gordon? Czy nadal grasz na życzenie? Może zagrasz mi *Horst Wessel*, czy to nie należy do twojego repertuaru?

Mówiłem szybko. Żeby nie drzeć.

Ahlward niecierpliwie machnął ręką. Gestapowcy zaczęli wywlekać Mila z pomieszczenia.

– Nie. Chcę, żeby tu był – powiedziałem. Zaskoczony zdecydowaniem w swoim głosie. Z obolałego gardła nagle wydobył się normalny, czysty dźwięk.

Walcz o sekundy. Oczekiwałem, że zginę właśnie teraz.

Ale Ahlwarda to rozbawiło. Uniósł dłoń i Czarne Koszule zatrzymały się bez ruchu.

– Ty chcesz?

– Ty chcesz tego, co ja mam, D.F. Ja w zamian chcę sekund. Tak jak powiedziałeś. Dla nas obu.

– Ty chcesz...

Wstał i położył dłonie na biodrach. Miał na sobie wąski pasek ze sprzączką w kształcie złotej włóczni. Po lewej stronie paska dyndała mu czarna, skórzana sakiewka. Coś z niej wyciągnął. Nóż myśliwski z czarną rękojeścią i złotą poprzeczką. Szerokie, spiczaste ostrze o długości trzydziestu centymetrów. Tak duże, że można by z nim polować na dzikiego zwierza. Nóż trapera...

Obejrzał ostrze, po czym opuścił nóż i trzymał równoległe do prawej nogi. Następnie dość szybko wyszedł zza biurka i podszedł do mnie.

– Ty chcesz...!

Uśmiech był dla mnie mniej więcej tak łatwy, jak pogryzienie tłuczonego szkła.

– Muszę grać tymi kilkoma kartami, które mam, D.F.

Jego brwi uniosły się.

– Sądzisz, że masz jakieś karty?

– Wiem, że mam. Przywieźliście mnie tutaj tylko dlatego, że mam coś, co jest wam potrzebne – informacje. Musicie się dowiedzieć, ile wiem, z kim rozmawiałem. O Bear Lodge. O Wannsee II.

– Trzy – rzucił Latch.

Karcące spojrzenie Ahlwarda.

– Chodzi o powstrzymanie szkód, jakie ewentualnie wam wyrządziłem. Zajęliście się Milem i niewiele wam powiedział. Może nie wiedział, a może był bardziej twardy, niż sądziliście. W każdym razie doszliście do wniosku, że ze mną pójdzie wam łatwiej. I może pójdzie, ale nie wtedy, jeśli go zabijecie.

– Coś między wami jest, prawda?

– To coś nazywa się przyjaźń.

– Jasne. – Uśmiechnął się, uniósł prawą rękę i przysunął mi nóż do gardła.

– Właśnie taka moralna zgnilizna psuje nasze społeczeństwo – oświadczył. – Zniewieściałość. Wsadzanie sobie w dupę. – Poruszył nożem.

– Jesteś kompletnym mięczakiem – szepnął. – W każdym calu. – lekkie poruszenie ręki i ostrze się cofnęło. Czubek noża był czerwony i wilgotny. Trzymał nóż tak, żeby odbijało się w nim światło. Wpatrywał się w krwiste lśnienie.

Przez chwilę nie czułem bólu, potem pulsujące rwanie tuż nad jabłkiem Adama. Wilgotne gorąco. Jak żądło osy.

– To cały ty. Jesteś zaledwie tym...

Był zauroczony krwią. Zastanawiałem się, nad iloma zwierzętami znęcał się jako dziecko. Nad iloma ludźmi...

– Cóż mogę zrobić, D.F.? – zapytałem. – Jasne, że masz większość kart. Ale ja muszę grać tym, co mam. Walka o przetrwanie. Tak jak powiedziałeś.

Jego tępa twarz była nieruchoma. Nagle znów pojawiło się na niej rozbawienie. A potem coś jeszcze; ciemne i puste. Podniósł nóż wysoko i pchnął mocno.

Rzuciłem się do tyłu, żeby uniknąć ostrza, oczekując śmiertelnego ciosu. Ale bałem się mniej niż przed chwilą. Bałem się mniej, niż sądziłem. Nerwy mi odrętwiały, były jak w narkozie. Taki sam rodzaj odrętwienia, jaki podobno przeżywają gazy, na moment przed tym, nim zostaną rozszarpane przez hieny.

Leżałem na podłodze, skulony, usiłując stać się małym.

Ale wciąż żyłem. Przeciął nożem powietrze. Z wyrazu jego twarzy wiedziałem, że zrobił tak celowo.

Zaczął się śmiać.

Latch też zarechotał. Gestapowskie harcerzyki im zawtórowały. Ogólny wybuch radości ludzi w czarnych strojach.

– Wstawaj. – Głos Ahlwarda, słyszany poprzez wesołość; cichy i chłopiący.

Śmiech zamarł.

Szturchnął mnie końcem buta. Z błyszczącej, czarnej skóry cielęcej, nie z żadnych gadów. Od podbicia do kostki poprowadzony był złoty łańcuszek.

Trwało chwilę, zanim wstałem, gdyż nie mogłem wspomóc się rękami, aby odzyskać równowagę. Nie chciałem widzieć jego twarzy. Skupiłem się na jego ubraniu. Baretki wyglądały tandetnie.

– Tak – powiedział. – Zostawimy tu tego pedała jako dowód. I tak obaj będziecie mi potrzebni. Do wielkiego finału. – Uśmiechnął się, zmarszczył brwi, a potem zwrócił się do młodych SS-manów: – Rzućcie go tam.

Wskazał kciukiem na kanapę. Latch spojrział nerwowo.

Zawlekli Mila do kanapy i rzucili go obok Latcha. Wielkie, poobijane ciało padło na brzuch, z głową na podłokietniku kanapy, z otwartymi ustami, sflaczałymi, posiniaczonymi ramionami, brudnymi stopami. Otarło się o spodnie Latcha. Latch zmarszczył nos i przesunął się na sam brzeg. Harcerze czekali na baczość, aż Ahlward skinął głową.

Odeszli i drzwi zamknęły się za nimi.

Milo jęknął, poruszył głową, wyciągnął się i znów dotknął Latcha. Latch wyglądał, jakby ktoś kazał mu wypić filiżankę flegmy. Odsunął stopę Mila, wytarł dłoń w oparcie kanapy i wcisnął się głębiej w kąt.

– Nie powinniśmy go związać?

Szczęki Ahlwarda zacisnęły się, a dłoń trzymająca nóż zbielała.

– Dlaczego?

– Na wszelki wy...

– Sądzisz, że może ci zagrażać?

Latch poprawił palcem okulary na nosie.

– Nie, w ogóle. Chciałem tylko być...

– Skoro nie stanowi zagrożenia, nie ma się czym przejmować, prawda? – spytał Ahlward. – Musimy działać logicznie. – A co do tego – wsadził nóż do pochwy i prawą ręką złapał mnie za nos – nie będzie nam sprawiał problemów, prawda? – Zacisnął palce, odcinając mi dopływ powietrza. – To arystokrata pełną gębą.

Posłał Latchowi rozbawione spojrzenie.

– Z klasy społecznej, która dużo gada, zgadza się, Gordon?

Latch uśmiechnął się słabo.

– Najzupełniej.

Pociągnął mnie za nos i zmusił, żebym usiadł na jednym z rozkładanych krzeseł.

– Wilgotna, szara masa – mówił Ahlward. – Na całej koszuli. Może zakażona, wilgotna szara masa – te wszystkie pedalskie wirusy, które tylko czekają, żeby wyskoczyć i wezreć się w twój układ krwionośny. Jeśli jeszcze nie jesteś zarażony. Chciałbyś spróbować, jak smakuje człowiek, ty kupo gówna? Będziesz zajadał człowieka.

– Potem lepiej porządnie wyczyść swój nóż, D.F. – odparłem. – Żebyś dotrwał w zdrowiu do rewolucji.

Wrócił za biurko, usiadł, wziął czarny pistolet i paznokciem zdrapał coś z lufy.

– Zaczynamy – powiedział.

Rozdział trzydziesty czwarty

Nie chciałem się poddać lękowi. Skupiłem się na jego baretkach. Na strojach, na sztandarze, na tych paramilitarnych bzdurach.

D.F, łechce swoje ego.

– Jedna rzecz, jaką odkryłem, to twoja dawna tożsamość – powiedziałem. – Dayton Auhagen. Darryl Ahlward. Które nazwisko jest prawdziwe?

– Gdy zadajesz pytania – oświadczył – nie słyszę ich.

– Dobrze, wróćmy więc do mody. Twoje upodobanie do skór, kilka lat temu; kozich skór. Długie włosy, do tego broda. Doskonały wizerunek górskiego włóczęgi. Człowieka, który żyje w lesie południowego Idaho. Koło Bear Lodge. Zastawiałeś sidła, polowałeś, żyłeś owocami natury. Wykorzystywałeś swoje umiejętności, które, jak sądziłeś, kiedyś ci się przydadzą. Zdolność polegania tylko na sobie. Gdzie się tego nauczyłeś?

– To jest we krwi – odezwał się Latch, jak dziecko recytujące wyuczoną na pamięć lekcję.

Ahlward znów rzucił mu ostre spojrzenie.

Podobała mu się ta uwaga. Te wszystkie lata w przebraniu. Jako zastępca. W oczekiwaniu, aż zagra główną rolę.

– We krwi, hmm? – powtórzyłem. – To znaczy, że jesteś również potomkiem komandosa? Twoje korzenie sięgają poprzedniego pokolenia, D.F.?

Myślałem, że to zignoruje, ale powoli, z rozwagą potrząsnął głową.

– Jestem prawdziwym Amerykaninem. Jestem bardziej amerykański niż ty albo to miękkie, sponiewierane gównno, które tam leży, kiedykolwiek będzie w stanie zrozumieć.

– Prawdziwy Amerykanin – powtórzyłem. – Aha. Czy twój ojciec był członkiem Bundu, czy należał do jednej z pokrewnych mu organizacji?

Bursztynowe oczy nieco się rozszerzyły.

– Wiesz o Bundzie?

– Tylko tyle, ile przeczytałem.

– W prasie rządowej?

Przytaknąłem.

– To gównu wiesz. Bund był najlepszym przedstawicielstwem narodu, jakie kiedykolwiek istniało w tym kraju. Skupiał patriotów, którzy ostrzegali przed wojną. A Roosevelt zamiast wziąć sobie tę przestrożę do serca i za to wynagrodzić, zwalczał ich, jak jakieś kryminalne plugastwo. Żeby bezkarnie mógł wysyłać naszych chłopców na wojnę do Europy, żeby umierali za czarnuchów i za komuchów, za pedałów i mendy, takie jak ty.

– Fatalne posunięcie – odezwał się Latch. – Socjologicznie i politycznie. Wojna światowa była pierwszym krokiem prowadzącym do masowego skundlenia. Otworzyła śluzy dla wszelkich azjatyckich i semickich ścieków, których nie chciała Europa.

Zignorowałem go. Skoncentrowałem się na Ahlwardzie.

– Jak już powiedziałem, D.F., wiem o Bundzie tylko to, co przeczytałem. Co bez wątplenia jest niepełne. Ale musisz zrozumieć punkt widzenia władz: trwa wojna, Amerykanom codziennie się powtarza, kto jest wrogiem. Swastyki i *sieg heils* w Madison Square Garden nie prezentowałyby się najlepiej.

Ahlward spojrział niecierpliwie i mocno trzasnął dłonią w biurko.

– To dlatego, że władze były zbyt grupie, żeby wiedzieć, kto jest wrogiem. Zbiorowa głupota, podżegana środkami masowego przekazu syjonistycznych okupantów. Zbiorowa słabość, spowodowana narkotykami i toksynami, wytwarzanymi w tajnych laboratoriach armii Roosevelta, infiltrowanej przez syjonistów. Syjonistyczny okupant rozdawał te narkotyki i toksyny jak cukierki. Dlatego wszyscy zostali doktorami, żeby zatruć gojów. Na tym polegała koszerna żywność, oznaczana literą „U” na opakowaniach. Wiesz, co znaczy goj w języku tych gadów? Owca. Dla nich jesteśmy pieprzonymi owcami. Które należy ostrzyć i zarżnąć. A wiesz, co to jest „U”? Jakieś żydowskie słowo oznaczające truciznę. Używają toksyn i środków farmakologicznych, które oni tolerują, ponieważ ich organizmy składają się z toksycznych komórek. Ale my nie możemy ich znieść i stopniowo to nas osłabia. Psychologiczna hipnoza, to zostało udowodnione naukowo. Tak jest od wieków we wszystkich społeczeństwach, które infiltrowali syjonistyczni okupanci. Stopniowa, zbiorowa pasywność, dekadencja i nieunikniona destrukcja. Każdy ruch wyzwolenczy powinien z tym walczyć, wnosząc włócznie oczyszczenia.

Przypomniało mi to o rzeczach, które słyszałem na stażu na oddziałach psychiatrycznych szpitali stanowych. Recytował to płaskim tonem amatorskiego aktora tragicznego ze szkoły średniej.

– Włócznia oczyszczenia – powtórzyłem i spojrzałem na sztandar poza nim.

– Włócznia Odyna – sprecyzował Latch. – Narzędzie ostatecznego oczyszczenia.

Ponownie go zignorowałem i spytałem Ahlwarda:

– A panna Crisp, Beth Blanchard i cała reszta? Czy oni też są bundystami drugiego pokolenia?

Jego oczy zwęziły się.

– Można tak powiedzieć.

– Żadnych skinów w twoich szeregach, co, D.F.?

– Punki to amatorscy klowni. My cenimy dyscyplinę. – Latch roześmiał się.

– A więc mam rację z tą hipotezą o człowieku gór, D.F.? – spytałem.

Ahlward usiadł w obrotowym fotelu i założył ręce za głowę.

– Dobra – powiedziałem. – Więc żyjesz owocami natury i ukrywasz się przed rządem. Tak jak niektórzy z twoich byłych lewicowych wrogów. Twój ruch jest zagrożony. Lewica również. Doprowadzić do podziałów i rozgromić – to przynosi efekty. Zaczynasz myśleć. Drąc koty z lewicą, dajesz rządowi dokładnie to, czego oczekuje. Część ludzi z lewicy też to sobie uświadamia. I nagle wszyscy dochodzą do wniosku, że jak się nad tym zastanowić, skrajna lewica i skrajna prawica mają ze sobą wiele wspólnego. I wy, i oni uważacie, że społeczeństwo musi zostać ukształtowane od podstaw w nowych strukturach. Że demokracja jest słaba i nieefektywna, że kontrolują ją międzynarodowi bankierzy i judząca prasa – przedstawiciele klasy, która dużo gada. Potrzeba nowego populizmu – dającego władzę ludziom pracy. I zasadnicza sprawa, która was dzieliła: sprawa rasy, już nie jest taką ogromną przeszkodą. Ponieważ istnieją biali lewicowcy, wściekli na żalonych czarnuchów, którzy usiłowali wykopać ich z własnego ruchu. Biali lewicowcy, którzy sami zaczynają czuć się rasistami.

– Przez stertę gówna prześwieca promyk mądrości – odezwał się Latch.

– Nie wiem, kto pierwszy o tym pomyślał, D. F. – ciągnąłem – ale jakoś się porozumieście i powstała nowa koncepcja. Wannsee II. Nacisk do wewnątrz z najskrajniejszych obrzeży, żeby zmiażdżyć na śmierć centrum. Tak właśnie twoje ścieżki zeszyły się ze ścieżkami obecnego tu Gordiego.

Szybko spojrzałem na Latcha i z powrotem na Ahlwarda.

– Choć, prawdę mówiąc, D.F., nie wiem, na czym to się opiera. Jesteś najwyraźniej człowiekiem czynów. On jest wodolejem, który żyje z pieniędzy swojej żony.

Latch zaklął i czekał na obronę ze strony Ahlwarda. Gdy rudzielec nie odezwał się, ciągnąłem dalej:

– Jest jak ten biblijny „cymbał brzmący”, który robi dużo hałasu. Najlepszym przykładem klasy gadającej? Naprawdę sądzisz, że będzie w stanie przystąpić do akcji, gdy nadejdzie właściwa pora?

Latch zerwał się na nogi. Jego ruch poruszył Mila; ciało przetoczyło się na brzeg kanapy, po czym poturlało z powrotem. Usta miał szeroko otwarte. Gdy wpatrywałem się w poturbowaną twarz w poszukiwaniu oznak przytomności, poczułem na policzku kolejne żądło osy. Nowa warstwa bólu wgryzającego się w szczękę, którą miałem naruszoną trzy lata wcześniej. Wspomnienie drucików i szyn... Głowa odskoczyła mi do tyłu. Następna warstwa.

Latch stał nade mną, w kącikach ust zbierała mu się ślina. Wściekły pies. Uniósł rękę, żeby uderzyć mnie ponownie.

A jedną z głównych ról w dzisiejszym przedstawieniu szkolnym – rolę worka treningowego – gra Alex Delaware, pomyślałem.

Uderzył i turkot w mojej głowie zawibrował jak ostry rock w tanim wzmacniaczu.

Po igraszkach z nożem to tylko niewielka dokuczliwość.

Spojrzałem na niego i powiedziałem:

– Nerwy, nerwy, Gordie.

Zacisnął zęby i zamierzył się ręką. Tuż przed ciosem zrobiłem unik. Jego ręka musnęła mnie tylko. Stracił równowagę i przewrócił się.

Ahlward patrzył z obrzydzeniem.

– Siadaj, Gordon – rozkazał.

Latch dźwignął się, stanął, dysząc, z zaciśniętymi pięściami. Jego piegowate policzki nabrały intensywnej barwy. Okulary z ubezpieczalni przekrzywiły się.

Głowa mnie bolała, ale nie aż tak bardzo. Miałem odrętwiałe ręce. Odrętwienie gazeli czy brak krążenia?

– Może usiądziesz i podmuchasz w swoje organki, Gordie? – zaproponowałem.

Zwinął dłoń w pięść i zamierzył się do ciosu. Głos Ahlwarda zamroził go w połowie ciosu jak zastrzyk ciekłego azotu.

– Później, Gordon.

Latch przyglądał się nam, raz jednemu, raz drugiemu. Splunął mi w twarz i wrócił na kanapę. Ale już nie skrzyżował swobodnie nóg. Usiadł na skraju, położył ręce na kolanach i kipiał złością.

Jego ślina wylądowała mi na policzku. Opuściłem głowę i wytarłem ją o ramię, najdokładniej, jak tylko mogłem.

– Jak nietaktownie, panie radny – powiedziałem z wyrzutem.

– On jest mój, Bud – warknął Latch. – Kiedy już przyjdzie na niego pora.

– Jestem wzruszony, panie radny – oświadczyłem.

Ahlward odwrócił się do mnie.

– To wszystko, co masz do powiedzenia, kupo gówna?

– Och, nie. Mam jeszcze dużo. Powróćmy do Wannsee II, do spotkania, w które nikt nie wierzy. Ale ono się odbyło. Gdzieś w wiejskiej i osamotnionej okolicy – z dala od miast skażonych przez *untermenschów*, nad którymi kontrolę sprawuje policja i federalni. Może w takim miejscu jak południowe Idaho? Na rancho, które Miranda odziedziczyła po ojcu? Ile osób brało w tym udział?

Ahlward opuścił powieki. Dotknął pistoletu.

– Skromniejsza wersja porozumienia Hitler-Stalin. Nawet wymyśliliście nowe godło, które to wszystko symbolizuje: czerwień oznacza lewicę, włącznia symbolizuje prawicę i obręcz, znak unii.

– Gdyby wiedzieli o tym ludzie z alei Telegraph – zwróciłem się do Latcha.

– Jesteś kretynem – rzekł. – To się zaczęło w Berkeley. Jeszcze w czasach, gdy wciąż szarpały mną emocje i ćpałem. Robiłem różne dziwne rzeczy, których nie potrafiłem wytłumaczyć. Uczyłem się historii Afryki, studiowałem kulturę Indian północnoamerykańskich, zajmowałem się różnego rodzaju zmyślonymi, bezużytecznymi bzdurami, które żydowscy profesorowie wciskali mi do głowy. Ale już wtedy zaczynałem przeglądać na oczy. Nic mi to nie dawało. Zacząłem szukać własnego źródła natchnienia. Dowiedziałem się o faktach, o których nikt nie śmiał wspomnieć na zajęciach. Jak na przykład o tym, że w Afryce, przed przyjściem białego człowieka, nie istniał ani jeden język pisany. Nie było prawdziwej muzyki, oprócz głupawych zawodzeń, których mógł się nauczyć nawet opóźniony w rozwoju. Nie było wykwintnej kuchni, literatury ani sztuk pięknych. To była kultura małp: malaria, bezład, żarcie gówna, kanibale. Byli bandą gównožernych pawianów, których przywieźli do Ameryki syjonistyczni okupanci, żeby zbierali syjonistyczną bawełnę. Syjoniści nauczyli ich nosić ludzkie ubrania i wydawać ludzkie słowa. Człekopodobna maskarada. Miałem z nimi do czynienia. Wiem, jak niemożliwe jest wpojenie im logicznego myślenia. Nagle to stało się jasne. Nie można wymagać logicznego myślenia od małpy.

– Małpy z poczuciem rytmu? Jak DeJon?

Roześmiał się.

– To było dobre. Ironia. On i ci jego pieprzeni goryle. Małpy jeżdżące limuzynami. Małpy, którym się wydaje, że są chociaż o pół stopnia wyżej niż gówno.

– Lubisz ironię, prawda, Gordie? – powiedziałem. – Przemowy w Ośrodku Dokumentacji Zagłady Żydów, gdy budynek został zbezczeszczone. Byłeś członkiem ich zarządu. A wiedziałeś przez cały czas, że to komandosi D.F. dokonali tego zbezczeszczenia.

Roześmiał się jeszcze głośniej.

– Oni wszyscy są tak naiwni, przedstawiciele klas podrzędnych. Kiepska samoocena na poziomie bioetnicznym. Mają to zakodowane genetycznie: są podrzędni już na poziomie budowy komórek. Właśnie dlatego, gdy biały człowiek działa z wiarą w to, co robi, nie ma dla niego konkurencji. Nikt nie stawia oporu. Maszerują prosto do pieców, tanecznym krokiem wędrują na szubienicę. Trzeba

tylko udawać, że się ich lubi.

Ahlward przytaknął, ale wydało mi się, że uchwyciłem błysk zniecierpliwienia. Znow był pozbawiony światła głównego reflektora.

Odwróciłem uwagę z powrotem w jego stronę.

– Wannsee II udało się lepiej, niż można było oczekiwać. Zarysowaliście plan. Ale istniały przeszkody. Ludzie, którzy stali wam na drodze, ludzie, którzy walczyliby z wami na śmierć i życie, gdyby się dowiedzieli. Ludzie posiadający charyzmę i zapał, którzy nie mieli skrupułów, żeby również działać poza systemem. Norm i Melba Green, Skitch Dupree i Rodriguezowie, Grossman, Lockerby i Bruckner. Tam też trzeba było zacząć kontrolować wyrządzane szkody i tutaj przydał się Gordie. Twoje powiązania z pierwszą kadrą. Nagiać się do ich planu – owo Walden. Czarni i biali, ramię w ramię uprawiający ziemię, sprowadzający z powrotem Indian. Wszystko, czego nienawidziście. Gordie i Randy zwabili ich do Bear Lodge opowieściami o czystym powietrzu, przejrzystej wodzie i darmowym wynajmie. Stary skład – kolejny kawałek dziedzictwa Randy’ego. – Rozejrzałem się po pokoju. – Ona chyba lubi składy. Nie wiedziałem, że one są tak dobrą inwestycją.

W oczach Ahlwarda zamigotał płomyk zniecierpliwienia.

– Ci ludzie pojechali do Bear Lodge ze słońcem w oczach. A ty na nich czekałeś. Dayton Auhagen, dziarski hippis. Zżyty z naturą. Obcy, który mógł włóczyć się w pobliżu bez wzbudzania ich podejrzeń. Obserwowałeś ich. Przyglądałeś im się, poznawałeś ich zwyczaje, rozkład dnia. Tak, jakbyś tropił każdą inną ofiarę. Zakradłeś się do tego składu, gdy ich nie było, i podłożyłeś ładunki wybuchowe pośród tych wszystkich łatwopalnych surowców.

Ahlward uśmiechał się do wspomnień.

– Tylko część grupy znajdowała się w Bear Lodge – ciągnąłem. – Pozostali byli dalej na północy, kupowali drewno. Ale ta druga grupa stanowiła drugą kadrę. Bez przywódców najprawdopodobniej zrezygnują i uciekną. A gdyby kiedyś w przyszłości stworzyli zagrożenie, zawsze z przyjemnością mogłeś ich sprzątnąć. Więc ustaliłeś datę, zanim jeszcze miała przyjechać druga kadra. Znow zakradłeś się do środka, zatruteś mięso przeznaczone na obiad. Wróciłeś do lasu, poczekałeś, aż wszyscy znajdą się w środku, wcisnąłeś przycisk i bum! FBI pięknie wpasowało się w twoje plany, przyjmując wersję o fabryce bomb i podając ją prasie. Bez wątplenia pomogłeś im w tym, anonimowo podsuwając wyjaśnienie.

Kołuński uśmiech na tępej twarzy. Jeszcze nigdy nie widziałem tak brzydtko wyglądającej nostalgii.

– To było dobre posunięcie – powiedziałem. – Nikt nie żałował gromadki miejskich terrorystów, którzy wysadzili się w powietrze swoją własną nitrogliceryną. Popełniłeś tylko drobne niedociągnięcie: jeden z ludzi należących do drugiej kadry, Terry Crevolin, przyjechał wcześniej. Na dodatek wegetarianin. Nie zjadł tego mięsa, nie zachorował i uniknął wybuchu. Ale on nie stanowił szczególnego zagrożenia. Miał własne problemy: narkotyki i słabą wolę. One prawdopodobnie unicestwiłyby jego energię polityczną. A jego nienawiść i nieufność względem rządu kazała mu

uwierzyć, że eksplozja była sterowana przez władze. Do dzisiaj nie wierzy w Wannsee II. Więc twój plan, D.F., okazał się sprytny. Przynajmniej do tego momentu. Ale chciałbym cię zapytać, po co tyle trudu? Po co zdobyliście się na taki wysiłek, aby usunąć pierwszą kadrę, skoro byli inni radykalni przywódcy, o nie mniejszej charyzmie?

– To było łajno – sarknął Latch. – Pieprzone snoby. – Rozgniewał się jak rozwydrzony dzieciak albo osoba pozostawiona na uboczu.

To mnie upewniło, że to on wpadł na pomysł wybuchu. Że dla niego była to sprawa osobista, nie polityczna.

Spowodował śmierć tylu osób, ponieważ znaleźli się mądrzejsi od niego. Odsunęli go.

Jego pomysł.

Był bardziej pomysłowy, niż sądziłem. Ich wzajemne stosunki okazały się bardzo złożone. Układ panujący pomiędzy Dobbsem i Massengilem zdawał się przy tym zupełnie normalny.

Ahlward wyprostował się, a ja zdecydowałem nie dzielić się z nimi tymi akurat przemyśleniami.

– Po Bear Lodge – kontynuowałem – trzeba było działać dalej. Wybrać głównego reprezentanta, wybielić go i osadzić na jakimś stanowisku rządowym, choćby bardzo skromnym. Jesteś cierpliwym człowiekiem, D.F., znasz swoje korzenie. Ileż lat zajęło naczelnemu Führerowi przejście z celi więziennej do Reichstagu. – Pochyliłem się na krzesło do przodu. – Tylko że Führer sam był głównym reprezentantem. Nie potrzebował zastępczej kukły.

– Pieprz się, ty kupo gnoju – rzucił Latch.

Wydawało mi się, że Ahlward się uśmiechnął.

– Czasy się zmieniły – powiedział. – Teraz nastąpiła era mediów. Najbardziej liczy się *image*.

– Podobno syjoniści kontrolują media – przypomniałem.

– Kontrolują – odparł Ahlward.

– Kolejna ironia, co?

Ziewnął.

– Dobrze, przyjmijmy, że trzeba zwracać uwagę na *image* – zgodziłem się. – Ale czy nie stać cię było na lepszy *image* niż jego?

Usłyszałem wściekłe pomruki z kanapy. Jakiś ruch Latcha Ahlward powstrzymał ostrym spojrzeniem.

– Radzi sobie zupełnie nieźle. – Powiedział to mechanicznie. Wzrokiem omiół pomieszczenie.

Nie potrafił zbyt długo skupić uwagi na jednej rzeczy. Zastanawiałem się, z ilu przedmiotów nie zdał w szkole.

– Gordie i Miranda na kilka lat wycofali się na rancho – podjąłem – wypowiadali się ze swoich wietnamskich grzechów, pojawili się znów jako działacze na rzecz ochrony środowiska. Jednocześnie odbywały się tam zebrania. Inne konferencje. Rekrutacje synów i córek starych przyjaciół tatusia. Tak jak działały letnie obozy Bundu. Również zajmujecie się nieco działalnością wydawniczą – te wszystkie pudła za drzwiami. Materiały wydawnicze. Pewnie broszury szerzące nienawiść, produkowane po zaniżonych cenach na rachunek rządu, co?

Znów kołtuński uśmiech.

– Nie boisz się, że ktoś to zbada i dotrze do jednej z osłonowych firm Mirandy?

Potrząsnął głową.

– Piszemy to tutaj, drukujemy gdzie indziej, po czym przywozimy z powrotem tutaj i następnie rozwozimy w inne miejsca. Nie da się tego wytropić. Dobrze utajnione.

– A te drugie pudła: Maszyny. Co to jest? – spytałem. – Sprzęt do przeprowadzenia rewolucji?

– Broń i amunicja – powiedział Latch.

Ahlward zakaszłał. Latch zamilkł.

Rudzielec znów zaczął bawić się pistoletem.

– Wybrałeś Los Angeles na miejsce odrodzenia Gordiego, ponieważ Miranda miała tutaj koneksje – powiedziałem. – W show biznesie, wśród śmietanki radykałów. Retoryka pod hasłem „Szczuj Ziemię” zdobyła ogromne uznanie w tych kręgach i Gordie został Panem Środowisko. Czyścił pelikany z ropy naftowej, marząc jednocześnie o oczyszczaniu świata. I został wybrany. Jak na razie szło nieźle. Nieco denerwujący był fakt, że Crevolin również osiedlił się w Los Angeles, ale te wszystkie lata milczenia z jego strony znaczyły, że kompletnie niczego nie podejrzewa. Szokiem było jednak, że jeszcze ktoś uciekł z Bear Lodge i pojawił się w Los Angeles. Syn Normana i Melby Greenów. FBI oznajmiło, że nie żyje, przyjęło, że nie żyje, choć nie udokumentowano tego identyfikacją zwłok. Dlatego, iż zapewniliście ich, że ta dwójka małych dzieci stanowiła część grupy. I oto się pojawił, siedemnaście lat później. Wrócił i zamieszkał z matką Normana. Ze swoją babcią. Podejrzliwą, zagorzałą Starą Lewicówką, która święcie wierzyła, że nowa zagłada Żydów czyha tuż za rogiem. Miała poważne podejrzenia, że jej syn i synowa zostali zamordowani. Choć, podobnie jak Crevolin, sądziła, że kryje się za tym rząd. Wpajała swojemu wnukowi historię faszyzmu i teorię spisku. Zaczął to badać na własną rękę. Był bystrym dzieciakiem i przyłożył się do tego.

– Sprytny pawian – rzucił z pogardą Latch.

– Zagłębianie się w książki mu nie wystarczyło – wyjaśniłem. – Usiłował się spotkać ze swoim wybawcą. Nie mógł się dostać do Crevolina, więc zwrócił się ku drugim w kolejności źródłom. Do kogoś, kto również był kolegą jego rodziców. Do innego faceta z drugiej kadry, ale takiego, który

daleko zaszedł. Który stał się postacią publiczną.

Odwróciłem się do Latcha.

– Co za niedogodność, Gordie. Akurat teraz. W końcu cieszysz się ogólnym szacunkiem. Co prawda jesteś tylko kukłą dla spełnienia marzeń D.F. Ale czasami wmawiasz sobie, że to wszystko jest naprawdę i ty jesteś szefem, a wtedy masz świetne samopoczucie, prawda? Oczywiście posada w Radzie Miejskiej jest stosunkowo marna, ale jest to wielki krok naprzód dla kogoś, kto przed kamerami telewizyjnymi dokonał akcji wywrotowej. Pniesz się. Czujesz ten rytm. W końcu wszystko zaczyna grać i nagle pojawia się ten kundel, murzyńsko-żydowski dzieciak, i dobija się do drzwi twojego gabinetu, wykorzystuje nazwiska swoich rodziców jako zakłęcie pozwalające mu przedrzeć się przez twój sekretariat. Nazwiska, o których sadziłeś, że już nigdy ich nie usłyszysz. Staje z tobą twarzą w twarz i zaczyna zadawać pytania dotyczące tych okropnych dawnych czasów. Wannsee II. Usiłujesz go zbyć, zabawiasz się w te gierki, które tak świetnie opanowałeś, i pozornie odpowiadając na jego pytania, w rzeczywistości nie udzielasz mu żadnej odpowiedzi. Ale on jest uparty. Draży. Jest pełen młodzieńczego ognia, który może cię spalić. To się zawsze tak zaczyna, prawda? Mały płomyk zaczyna lizać grubą rybę. To nocny strażnik przyuważył Nixona. Czas więc na szybkie działanie zapobiegawcze i nadzwyczajne spotkanie z D.F., a on nakazuje ci załatwić sprawę w wypróbowany sposób: uspokoić ofiarę fałszywą przyjaźnią, nakarmić ją dobrze przemyślanymi fragmentami błędnych informacji i gdy nadejdzie odpowiednia pora, wystawić na odstrzał.

Grasz przed Ikiem współczującego liberała, opowiadasz mu bajeczkę o Wannsee II, w której osnowa pozostaje ta sama, tylko zmieniają się postacie. Obsadzasz kogoś innego w roli szefa tych złych facetów. Nawet dobrze dobrałeś aktora. Massengil miał prawicowe skłonności; od jakiegoś czasu głosił swoje umiarkowane rasistowskie przekonania. Pewnie zełgałeś, że był agentem rządowym. Przy twoich możliwościach (własne wydawnictwo) nie miałeś większych trudności z dostarczeniem Ike'owi fałszywych, ale robiących duże wrażenie, dowodów. Najwspanialsze jednak było to, że osiągałeś dwa cele. Ocean Heights jest częścią twojego okręgu. Usunięcie Massengila z posady, którą zajmował przez prawie trzy dekady, pozwoli ci kandydować na jego miejsce. To wciąż dość marne stanowisko w porównaniu z twoim ostatecznym celem, ale już nieraz zdarzało się, że stanowi kongresmani przenosili się do Waszyngtonu. A ilu radnym miejskim udało się wyjść poza ratusz? Już od jakiegoś czasu miałeś na niego oko, wprowadziłeś Beth Bramble do jego ekipy jako swojego Szpiega. Gdy więc pojawił się Ike i zaczął zadawać pytania, wszystko zagrało. Podszedłeś go swoim zaufaniem, kazałeś mu przyrzec, że utrzyma to w tajemnicy, naszpikowałeś go kłamstwami, podsyciłeś jego marzenia o zemście i próbowałeś doprowadzić go do podjęcia decyzji o agresywnym wyrównaniu rachunków. Pomyślałeś, że to nie będzie zbyt trudne, ponieważ był czarny, a czarni mają agresję we krwi, prawda?

– Ta kupa gówna chyba nawet jest w stanie cokolwiek pojąć – odezwał się Latch.

Ahlward nawet nie zadał obie trudu, żeby udać zainteresowanie.

– Pierwszy pomysł był taki, żeby Ike dokonał zamachu na Massengila i właśnie wtedy zginął – mówiłem. – Według drugiej koncepcji jeden z waszych SS-manów sprzątnie Massengila, wrobi w to Ike'a i zabije go również. Ten sam efekt, choć nieco bardziej skomplikowany. Problem tylko polegał na tym, że Ike nie chciał dać się namówić. Mimo kręconych włosów i pigmentu w skórze po prostu

nie był agresywny.

– Pięćdziesiąt procent krwi czarnucha – odezwał się Ahlward. – Genetycznie skazany na tchórzostwo.

– A może Gordie po prostu położył sprawę? Był zbyt namolny i wzbudził podejrzenia Ike’a. Sprawił, że Ike zaczął się zastanawiać, dlaczego radny miejski jest taki chętny do wplątania się w morderstwo. W każdym razie odmówił współpracy i stał się poważnym zagrożeniem. Więc zwabiłeś go do tego zaułka, coś mu obiecując – pewnie jakieś nowe informacje o jego rodzicach. Z innego źródła. Z czarnego źródła. Czyż było lepsze miejsce do tego celu niż Watts? Musiałeś się nieźle bawić, gdy do niego zadzwoniłeś i mówiłeś ze zmienionym akcentem.

– Sie wie – przyznał Latch. – Śmy nieźle w tej murzynowej gadce. Jak sypniemy przez ten telefon, to każdy facio wie, że mamy gębę czarną jak smoła.

Odwrócił się do Ahlwarda, czekając na uznanie. Rudzielec uśmiechnął się wymuszonym uśmiechem. Przesunął palcami po czarnej lufie pistoletu i ziewnął.

– Ike wpadł w zasadzkę i jeden z waszych bojówkarzy go rozwalił: wstrzyknął mu koktajl narkotykowy i upozorował porachunki wśród handlarzy narkotyków. W końcu wszyscy czarni ćpają, prawda? Kto może mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do jakiegoś oberwańca, który pojechał naćpać się w podejrzanym dzielnicach? I znów ci się udało. Teraz już tylko należało zająć się babcią. Chociaż Ike przyrzekł, że dochowa tajemnicy, domyśliłeś się, że się jej zwierzył. Zgarnąłeś ją na ulicy i schowałeś jej ciało w miejscu, gdzie nikt go nigdy nie znajdzie. Przy okazji: gdzie?

Obaj popatrzyli pustym wzrokiem.

– Zważywszy na to, że to wy macie wszystkie karty, jesteście chłopcy dość skąpi – powiedziałem.

– Coś mi się zdaje, że kończy ci się temat – skwitował Ahlward.

– Nie łudź się – odparłem. – Wiem jeszcze sporo. Gdy już macie z głowy Sophie, włamujecie się do jej domu i szukacie jakichkolwiek dowodów, które mogła tam pozostawić – notesów, pamiętników. Zajmujecie się również domem sąsiadów, żeby wyglądało to na rabunek. Ale po co te hasła na ścianach? Ten tekst o Kennedym?

Latch nie mógł się powstrzymać, żeby na to nie odpowiedzieć.

– Taki deser. Dla komandosów, którzy przeprowadzili tę akcję. Nagroda za dobrze wykonaną pracę.

– Nawet rewolucjoniści mają prawo się zabawić – rzekłem ze zrozumieniem. W tym momencie zauważyłem, że Milo się poruszył. Mrugnął okiem. Świadomie?

Żaden z nich tego nie zauważył. Milo leżał odwrócony do Latcha tyłem. A Ahlward był pochłonięty oglądaniem swojego pistoletu.

Znów mrugniecie. A może tylko mi się wydawało?

Ciągnąłem dalej:

– Gdy Ike i Sophie zniknęli, zdawało się, że wasze zasadnicze problemy się skończyły. Ale wciąż pozostawała sprawa Massengila. Zaczęliście już o nim myśleć jak o trupie. A jeśli to miało być zrobione, trzeba było dokładnie rozważyć kiedy. Jego bieżąca kadencja rozpoczęła się już dość dawno, już został nominowany do następnej. Bardzo ci było na rękę, aby wyeliminować go przed następnymi wyborami. Było zbyt późno, żeby gubernator wyznaczył kogoś innego. Przez kilka miesięcy jego stanowisko byłoby nieobsadzone, a ty w tym czasie mógłbyś zdobyć jeszcze większą popularność polityczną i przybrać kolejny *image* – wielkiego mediatora, dojrzałego męża stanu. Oczywiście pierwszeństwo miała wdowa lub ktoś przez nią wskazany. Ale tym miałeś się zająć za pośrednictwem uroczej panny Bramble.

– Wierzę, że Ocean Heights i ja dojdziemy do porozumienia – powiedział Latch.

– Lepiej się pospiesz, zanim Randy odetnie ci dostęp do sakiewki – powiedziałem. Czy może masz zamiar zwrócić się o alimenty?

Nagle przerażenie w jego oczach.

Brwi Ahlwarda stały się półksiężycami zaskoczenia.

– Och, przepraszam – zmartwiłem się. – Sądziłem, że wiesz, D.F.

Ahlward spojrział na swego kompana.

– Pieprzy jak... – mruknął Latch.

– Mała Randy zdecydowanie chce się od niego uwolnić, D.F. – wyjaśniłem. – Wniosła sprawę o rozwód. Możesz sprawdzić, każdy może mieć w to wgląd.

Ahlward obrócił się powoli na krześle i popatrzył na Latcha.

– To sprawa z ostatniej chwili, Bud – tłumaczył się Latch. – Chciałem ją poruszyć, miałem to w planach.

– Och, przepraszam – wtrąciłem. – To nie do końca prawda, mój nieszczerzy Gordie. Założyła sprawę dwa tygodnie temu. To nie najlepsze wieści, akurat teraz, prawda, D.F.? Psuje publiczny wizerunek. I pod względem finansowym fatalnie. – Co się stało, Gordie? – zwróciłem się do Latcha. – Czy minął jej polityczny entuzjazm? Czy po prostu ma dosyć ciebie? Mam wrażenie, że taki układ oparty na dyscyplinie i posłuchu po jakimś czasie może się znudzić...

– Zamknij tę swoją niewyparzoną mordę – warknął Latch.

Ahlward odchrząknął.

– To żaden problem, Bud – bagatelizował Latch. – Możemy się nią zająć. Zażywa takie ilości tego pieprzonego seconalu, że nikt nie będzie...

Teraz Ahlward rzucił:

– Zamknij mordę! Wiesz co, Gordon, jakie to miłe dowiedzieć się o tym w ten sposób.

– Co ty, Bud, przecież widzisz, co on...

– A ty robisz dokładnie to, czego on chce.

Latch usiadł z powrotem i zaczął bawić się mankietem.

Milo mrugnął. Tym razem byłem pewien.

– Na twojej wschodzącej gwiazdzie pojawiły się grube, czarne plamy, D.F. – skomentowałem. – Powinieneś chyba pomyśleć, żeby ją kimś zastąpić.

Ahlward uniósł pistolet i znów przyjrzał mu się uważnie. Ku swojemu zaskoczeniu nie czułem strachu przed tą powtarzaną przez Wielkiego Dyktatora czynnością. Jedynie zmęczenie.

– Dosyć się już nasłuchałem – oświadczył.

Dwa mrugnięcia na kanapie. Wielkie cielsko Mila nadal leżało nieruchomo.

– To znaczy, że nie chcesz wysłuchać reszty? – zdziwiłem się. – Tego fragmentu, w którym grałeś pierwsze skrzypce?

Opuścił pistolet.

– Mów dalej.

– Wkrótce po tym, jak zajęliście się Ikiem i babcią, na waszej drodze stanęła inna, nieprzyjemna niespodzianka. Jeszcze ktoś, komu Ike się zwierzył. Niezbyt dobrze potrafił dochować tajemnicy, pewnie Gordie nie był zbyt przekonujący. Psychicznie otępiała, zamknięta w sobie dziewczyna, która z radością przyjęła entuzjazm i rozmowy, jakie Ike przynosił ze sobą przy okazji dostarczania zakupów. Była mu wdzięczna, że poświęcił tyle czasu, żeby ją poznać. A gdy ją poznał lepiej, wdał się w swój ulubiony temat: politykę. Co prawda jedynie mgliście zdawała sobie sprawę, o czym on mówi. Sprawiedliwość społeczna, zło kapitalizmu. Ale załapała najciekawsze fragmenty. Spisek, zabójstwo. Wannsee II. Siedziała i słuchała. Jak idealnie dźwiękochłonna ściana. Wizyty Ike'a wypełniały pustkę w jej życiu, więc nie chciała, żeby ustały.

Pewnego dnia jednak skończyły się na zawsze. Dowiedziała się, że nie żyje. Został zamordowany. Ludzie mówili, że zginaj, gdy kupował narkotyki, ale ona wiedziała, że to kłamstwo, bo nie używał narkotyków. Nienawidził ich. Wiedziała, że coś jest nie tak. Być może chodziło o jakiś spisek, o którym wspominał Ike. Zamknęła się jeszcze bardziej, zdezorientowana. Tak jak wtedy, gdy zmarła jej matka. Ale tym razem zareagowała gniewem. Chciała się dowiedzieć, dlaczego złe rzeczy

przytrafiają się dobrym ludziom. Porozmawiać z kimś, kto by jej to wyjaśnił. Nie z ojcem, oni nigdy nie rozmawiali ze sobą. A swojego brata ledwie знаła. Ale przypomniła sobie nazwisko, o którym Ike czasem mówił. Dawnego kolegi jego rodziców, który stał się sławny, nawet był w telewizji. Człowiek, w stosunku do którego Ike miał pewne podejrzenia, ale nie wspominał o nich Holly, ponieważ nie chciał jej narażać na niebezpieczeństwo.

Czy ktoś taki zechciałby z nią porozmawiać? Bała się. Ale nie mogła zapomnieć Ike'a i jego śmierci. Więc zdobyła się na odwagę i zadzwoniła do biura tego słynnego faceta. Jeden z pracowników słynnego faceta wysłuchuje jej, jak mamrocze i bełkocze o sprawach, o których nikt nie powinien wiedzieć, i decyduje, że należy ją dopuścić do Naczelnego Wodza.

– Co jej powiedziałaś? – spytałem Latcha.

Uśmiechnął się głupekowo.

– Że dobrze zrobiła, kontaktując się ze mną. Że prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci Ike'a i że musi mi przyrzec, że zachowa wszystko w tajemnicy, do czasu, aż się z nią skontaktuję. – Roześmiał się. – Przełknęła to jak płatki kukurydziane na mleku.

Spojrzałem na Ahlwarda. Odłożył pistolet na biurko, znów wyciągnął nóż i czyścił paznokcie.

– Dumny jesteś z siebie, co? – zapytałem. – Ale D.F. nie był zbyt dumny. Stwierdził, że spieprzył sprawę. Zdecydował się zająć nią osobiście.

– Spotkałeś się z nią jako asystent Gordiego – zwróciłem się do rudzielca. – Przepytałeś ją, żeby sprawdzić, ile wie, doszedłeś do wniosku, że na tyle dużo, by stanowić zagrożenie, i stwierdziłeś, że przyda się, jak znalazł, do próby zamachu na Massengila. Wydawała się lepsza niż Ike, ponieważ była zbyt ograniczona intelektualnie, żeby myśleć krytycznie. Słuchała bez sprzeciwu. Więc zacząłeś nad nią pracować. Budowałeś układ między wami, zdobywałeś jej zaufanie. Sekretne spotkania w ustronnych miejscach, gdy jej ojciec wyjeżdżał. Nocne spacery. Odbierałeś ją i odwoziłeś. Nie miała pracy, nie miała stałych zajęć, nikt nie zastanawiał się, gdzie znikła. Nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Wciągałeś ją w wielki spisek, a ona po raz pierwszy w życiu miała jakiś cel. Nauczyłeś ją, by postrzegała Massengila jako szatana. Jako zabójcę jej przyjaciela. Karmiłeś ją gniewem, hodowałeś go w niej, doprowadzałeś do rozkwitu. Sprawileś, że jej samoocena zależała od wykonania tego zadania. I połączyła to. Królowna Śnieżka zjadła zatrute jabłko. Taka była chętna do działania, że nawet ci powiedziała, że ma własną broń – całą szafę strzelb. Gdy nie było jej ojca, odwiedziłeś jej dom i obejrzałeś je. Większość to były starocia, nie nadawały się do użytku. Oprócz remingtona. Ale w jej rękach równie dobrze to mogła być skałkówka.

Znów dostrzegłem mrugnięcia Mila, jakby chciał powiedzieć: „Ciągnij dalej, kolego”.

– Wtłoczyłeś jej do głowy zadanie, przerobiłeś je z nią, przeciwczyłeś, dopóki nie byłeś pewien, że wszystko zapamiętała. Jej bratowa widziała ją z bronią w ręce kilka tygodni wcześniej, jak mamrotała o Wannsee II. Sądziła, że to jakiś bezsensowny bełkot. Jak każdy inny, kto by go usłyszał. Najgorsze, co mogło się stać, to, że stchórzy przed zaplanowanym dniem i zacznie gadać o spisku. Ale kto by jej uwierzył? Jak się okazało, z nikim nie rozmawiała. A wielki dzień się zbliżał.

Powiadomiłeś ją tajnym sygnałem. Poniedziałek rano. Idealna pora i miejsce na zamach. Beth Bramble powiadomiła cię, że Massengil ma zamiar wykorzystać szkołę na swoją konferencję prasową. Wiedzieliście dokładnie, o której przyjedzie, gdzie będzie stał. Problemem było tylko wyprowadzenie Holly z domu. Jej ojciec wcześniej wstawał, więc nie było mowy, żeby wymknęła się tak rano w poniedziałek. Musiała wyjść w niedzielę wieczorem, gdy jeszcze spał. Kazałeś jej zabrać remingtona z szafy i w coś go zawinąć. Miała zamknąć drzwi od sypialni, żeby myślał, że córka wciąż śpi. Wyłączyć alarm, włączyć go z powrotem i wydostać się chyłkiem z domu z zawiniętym karabinem. Chociaż Ocean Heights w nocy jest jak wymarłe i mogła go nieść, nie kryjąc się wcale.

Odebrałeś ją kilka przecznic dalej. Przyniosłeś jej ubranie na zmianę. We dwójkę pojechaliście do szkoły, zaparkowaliście parę przecznic dalej i poszliście tam. Porozumiewaliście się na migi. Wielka przygoda, pewnie jej się to niezwykle podobało.

– Beznadziejnie się z nią pracowało – powiedział niechętnie Ahlward. – Strasznie długo trwało, zanim cokolwiek pojęła. Typowy debil Mengelego. Jej przeznaczeniem było żyć i umrzeć jak gówno. Podarowałem jej nieśmiertelność. To więcej, niż mogła kiedykolwiek oczekiwać.

– Bardzo to uprzejme z twojej strony – pochwaliłem.

– Czasami – westchnął, gładząc pistolet – bycie miłym jest okrutne.

– Rozwaliłeś zamek w drzwiach magazynka i urządziłeś jej nocny piknik. Ona z karabinem, ty ze swoim pistoletem. Kazałeś jej położyć się spać. Ty najpierw objąłeś wartę i obudziłeś ją, kiedy nadszedł czas. Pozwoliłeś jej spać do wschodu słońca i oznajmiłeś, że nastąpiła zmiana planów: Ty będziesz strzelał, żeby wszystko poszło gładko. Nie musiała się martwić, zapewniłeś ją, że i tak zostanie bohaterką. Twoją pomocnicą. Może to przyjęła. A może jej to nie odpowiadało, może chciała poczuć smak zemsty. Sądziłeś, że ją przekonałeś. Ale gdy nadeszła pora strzałów, gdy wszyscy wyszli ze szkoły, chwyciła za broń. Jej drugoplanowa rola nie wystarczyła.

Obdarzyłem Latcha uśmiechem i, zanim zdążyłem zobaczyć jego reakcję, odwróciłem się z powrotem do Ahlwarda.

– Jej strzały były niecelne. To oczywiste. Odrzut ją przewrócił i upuściła karabin. Złapałeś go, musieliście szybko myśleć, rozważyć możliwości. Najlepiej byłoby wycelować, strzelić celnie do Massengila, a potem załatwić ją. Ale gdy wyjrzałeś przez okno, zobaczyłeś, że szansę przepadły. Panika, wszyscy wrzeszczą, będą się skryć, nie mogłeś być pewien, że trafisz. Nie o to chodzi, że nie chciałeś niechcący zabić kilkorga dzieci, ale to by skomplikowało sprawę. Więc wzięłeś pistolet i strzeliłeś Holly w twarz. Osiem razy. Wystrzeliłeś trzy naboje z remingtona, to wszystko dla osób zgromadzonych na dziedzińcu brzmiało jak wojna. Wyszedłeś na zewnątrz z dymiącym pistoletem, by odegrać rolę zbawcy. Nikt właściwie nie widział, jak wchodziłeś do magazynku, ale przy takiej panice nie pamięta się nic poza własnym strachem. A dziennikarze jeszcze nie dotarli z kamerami i magnetofonami. Poza tym zawsze mogłeś liczyć, że Gordie i jego ekipa potwierdzą, iż byli naocznymi świadkami, jak biegłeś do magazynku. Szybki refleks i zimna krew w krytycznej sytuacji, D.F. Dobra robota.

Mrugniecie z kanapy.

– Musiało być przyjemnie zostać gwiazdą – ciągnąłem. – Odebrać zasłużone pochwały, zamiast stać w cieniu. Ale mimo tak świetnego planu wciąż nie udało ci się pozbyć Massengila. Ten facet zaczynał się zmieniać w jakiegoś cholernego, nieśmiertelnego Rasputina. Kolejna próba zamachu w bardzo krótkim czasie wyglądałaby dziwnie, dałaby wielu osobom do myślenia. Instykt kazał ci poczekać, pozwolić mu przetrwać jeszcze jedną kadencję, uzbroić się w cierpliwość. Ale Gordiemu to się nie podobało. Popędzał cię. Teraz wiesz dlaczego: wiedział, że niedługo zamknie się przed nim bezdenne szkatuła. Na szczęście dla niego panna Bramble zdobyła kolejną informację na temat stałych, rozwiązłych seksualnych rozrywek Massengila z Cheri Nuveen, przy współudziale Dobbsa. Beth Bramble nawet wiedziała, kiedy umówili się na następne spotkanie. Reszta już była łatwa. Łatwy cel. Dobbs jako deser. Żadnych wyraźnych powiązań z wydarzeniami w szkole. Pierwszego dnia Gordie pociesza wdowę i gra Pana Współczucie. Następnego dnia podajesz prasie sensacje o tej dziwce i pozbywacie się wdowy jako realnej kandydatki na miejsce Massengila. Również wszelkich przyjaciół Massengila. Nie będą ryzykować, by ich z nim kojarzono. Wyborcy zwrócą uwagę, czy mieli jakieś powiązania z Massengilem. A to zostawia tylko jednego kandydata.

– Jak do tej pory, wszystko szło gładko, D.F., ale jak sądzisz, co przez to osiągniesz? Powiedzmy, że zostanie wybrany. Może nawet uda mu się nie spieprzyć sprawy przez jedną kadencję czy dwie i przeniesie się do Waszyngtonu. Ale w nim nie ma treści. Nie ma na czym zbudować imperium. Byłoby to wznoszeniem pałacu na bagnie.

Latch zaklął.

– Sądzisz, że on jest jedyny? Wszędzie mam swoich ludzi. – Uśmiechnął się Ahlward. – Prawdziwie utalentowanych. Każdy młody, fotogeniczny. Odważny, liberalny. Do czasu, aż nadejdzie właściwy moment.

– Wannsee III.

– I cztery, i pięć, i sześć – dodał ze złością i zniecierpliwieniem w bursztynowych oczach. – Tyle, ile będzie trzeba, żeby osiągnąć cel. Jak powiedziałeś, jestem cierpliwym człowiekiem. Robię długoterminowe plany. Jestem skłonny poczekać, aż nadejdzie pora i poleje się oczyszczająca krew, która zmyje wszystkich pseudoludzi i doprowadzi do nowej ery, genetycznie czystej i wspaniale okrutnej.

– Jakież to poetyckie.

– Kto jeszcze wie to, co ty? – spytał.

– Może zacznijmy od policji. Wysłałem im taśmy.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Bzdura. Uwierzyłeś w nasze przedstawienie z FBI. Gdybyś kontaktował się z policją, powiadomiliby federalnych i już by cię przesłuchali. Śledziliśmy cię, wiemy, z kim się spotykałeś.

Spróbuj czego innego, bubku.

– Przyjmujesz, że władze są bardziej pracowite niż w istocie – powiedziałem. – Biurokratyczne kółka kręcą się powoli. Gliniarze wiedzą. Czekałem na FBI. Dlatego otworzyłem drzwi Blanchardowi i pannie Crisp. I nie kupiłem tej bajeczki. Musieli mnie obezwładnić, żeby mnie tu przywieźć.

– Już ci powiedziałem, spróbuj czegoś innego.

– To tyle, D.F. Tylko policja. Nie ma siły, żebyś to powstrzymał.

– Nie masz racji – zaprzeczył. – Czas na wstępne igraszki.

Wstał, trzymając pistolet w jednej ręce, a nóż w drugiej. Przesunął wzrokiem po Milu.

– Godny pożałowania. Jak możecie ze sobą żyć, robić takie parszywe rzeczy?

Obrócił nóż.

– Zrobimy to tak. Będiesz z nim robił te ohydne rzeczy – praktykował waszą zboczoną przyjaźń. Trochę cię poniesie. Pobijesz go mocno. Zarąbiesz go na śmierć, po czym poczujesz się tak winny, że napiszesz krótką notkę i sam strzelisz sobie w swój pedalski łeb.

– To okropne tak zbrukać wasz piękny magazyn – zafrasowałem się. – Randy może się to nie spodobać, kiedy nadejdzie czas, żeby jej go zwrócić. Że już nie wspomnę o zagrożeniu zdrowia poprzez rozlew pedalskiej krwi.

– Nie martw się o to, bubku. – Uśmiechnął się. – Mamy przygotowane dla was zaciszne miejsce. Rozpustny motel w Pacoima.

– Też jakieś cudo z jej majątku?

– No dalej, czas na waszą pedalską zabawę. Wstawaj – powiedział. Ja jednak siedziałem nadal na krześle.

Machnął pistoletem. Uniósł brwi.

– Powiedziałem ruszaj się – powtórzył.

Kilka mrugnięć.

Zignorowałem go.

Nagle otępiała twarz zamieniła się w coś wściekłego i ryczącego opętańczo.

– Powiedziałem, kurwa, wstawaj!

Wstałem. Bardzo powoli.

Latch też się podniósł. Przyglądał spodnie i uśmiechnął się do mnie.

– Sądzę, że chciałbyś również wiedzieć, że mamy coś w zanadrzu dla naszej małej pani dyrektor szkoły. Smarkata dziwka, czy ona wie, że zabawiasz się na dwa fronty? Że ją plugawisz?

– Ona o niczym nie wie – odparłem.

Widziałem po tym, jak zmarszczył twarz niczym buldog, że zauważył moje przerażenie.

– Stukałeś ją, a to znaczy, że mogłeś jej szeptać do uszka różne rzeczy. Stanowi potencjalne zagrożenie i to twoja wina. Dzisiejszej nocy zafundujemy jej dzikie harce. – Mlasnął językiem. – Naprawdę dzikie. Szokujący dowód, że notuje się znaczny wzrost przestępczości w zachodnich dzielnicach miasta. Idealnie zgrane z moją kampanią. Pojawię się w miejscu zbrodni, potwierdzę swoją wiarę w prawo i porządek. Tak właśnie działamy, ty pieprzony bubku. Żadna okazja się nie zmarnuje. Ani trochę. I ta panienka też nie pójdzie na marne, możesz być pewien.

Zachichotał. Próbowałem wyswobodzić się z więzów.

– Dzikie harce – powtórzył. – Wyślemy do niej kogoś, kto naprawdę lubuje się w czymś takim. Wie, jak najlepiej wykorzystać kobietę. Tylko sobie to wyobraź. Wyraz jej twarzy, kiedy już zda sobie sprawę, co się jej przytrafia. Wyobraź sobie jej krzyki.

Trzy mrugnięcia z kanapy.

– Ten gość będzie wiedział, jak najlepiej wykorzystać kobietę, hmm? – spytałem. – A więc na pewno nie jest to zadanie dla ciebie. Kiedy po raz ostatni Randy widziała coś sztywniejszego niż jej odrętwiała górna warga?

Ruszył do mnie z podniesionymi pięściami jak bokser.

– Nie teraz – powstrzymał go Ahlward zmęczonym głosem. Latch wydawał się nie słyszeć, był coraz bliżej.

Mrugnięcie.

Cofnąłem się, zatańczyłem na spętanych strachem nogach. Spojrzałem na niego z ukosa.

– Jasne, Gordie. Co za równa walka. A kto ciebie będzie bronił, gdy D.F. w końcu dojdzie do wniosku, że bez wielkiej forsy Randy niewiele jesteś wart? Taki żaloszny kawałek rozlazłego gówna. Zawsze w drugiej kadrze.

– Daj mi nóż, D.F. – zażądał Latch. – Dość tego!

Ahlward uniósł ostrze, tak żeby tamten nie mógł go dosięgnąć.

– Nie bądź kretynem. To trzeba zrobić porządnie.

Latch się wycofał.

– Leżeć, Gordon. Daj głos, Gordon – zaszydziłem. Wywaliłem język i dyszałem jak pies.

Rzucił się na mnie.

Usunąłem się w ostatnim momencie. Zachwiał się, sapnął ze złością, odzyskał równowagę i znów ruszył na mnie.

Ahlward odłożył pistolet, wyciągnął rękę i powstrzymał go z łatwością. W drugiej dłoni trzymał nóż.

Pistolet leżał na biurku. Ale miałem skrępowane dłonie.

Gadałem ciągle.

– Zdechł pies, Gordon. Nie sikaj na dywan, Gordon.

Ahlward wrzasnął do mnie:

– Zamknij się, kurwa mać!

Latch odtrącił jego rękę i natarł ponownie. W tym samym momencie blade cielsko uniosło się z kanapki jak niedźwiedź polarny, budzący się z zimowego snu. Milo złapał Latcha za ramiona, popchnął go do przodu.

Latch upadł ciężko na Ahlwarda. Rudzielec zatoczył się do tyłu pod jego ciężarem i zwałił się na biurko. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

Latch leżał na nim, machając dziko rękami. Ahlward próbował go odepchnąć, klnąc i wijąc się, żeby się oswobodzić. Chciał dopaść pistoletu.

Latch nadal leżał na nim, wrzeszcząc. Zaczęli się szamotać.

Nagle twarz Ahlwarda opryskała krew.

Jak deszcz.

Latch krzyknął. Przerażliwy dźwięk. Gorszy niż krzyk niemocy. Krew lała się strumieniem. Ahlward osłaniał się przed nią, pluł nią.

Z miękkiego i piegowatego ciała na karku Latcha wyłoniło się coś lśniącego i ostrego. Przedzierało się przez skórę, jak motyka wyciągana z gleby.

Rubinowo-srebrne ostrze noża.

Zacharkotał i chwycił się za gardło.

Ahlward szarpnął mocno, dwiema rękami. Latch się odczepił. Impet odrzucił Ahlwarda do tyłu. Upadł na obrotowe krzesło.

Milo ruszył niepewnie do pistoletu. Sięgnął po niego, chciał złapać kolbę, nie trafił. Broń poślizgnęła się po drewnianym blacie i wylądowała gdzieś na podłodze.

Ahlward rzucił się w tamtą stronę.

Poczułem jakąś rękę na moim nadgarstku. Oswobodziła mi dłonie.

– Dalej!

Milo pokuśtykał do drzwi. Rzuciłem się za nim, oszołomiony. Widziałem, jak Latch opadł na podłogę, z nożem wciąż tkwiącym w szyi. Jego dłonie ścisnęły rękojeść, charczał, próbował go wyciągnąć.

Pluł krwią.

Przewrócił oczami...

– Dalej, Alex, do cholery! – Milo mnie szarpnął.

Wypadliśmy przez czarne drzwi i zatrzasnęliśmy je za sobą.

Bieg do hali. Czterej w czarnych koszulach, uśmiechnięci, jakby oczekiwali na pointę dowcipu. Zauważyli nas i uśmiechy im zamarły.

Milo ruszył na nich z rykiem. Uśmiechy zniknęły i stali, przerażeni. Niegrzeczne dzieciaki, nie przygotowane na prawdziwe wydarzenia. Jeden z nich, ciemnowłosy grubasek o podgardlu starca, miał w kaburze pistolet i sięgnął po niego. Uderzyłem go mocno ramieniem. Przebiegłem obok, słysząc bolesne krzyki i trzask pękającej kości.

Pobiegliśmy kartonową alejką.

Ostrzegawcze krzyki. Odgłosy strzałów.

Za zakrętem skręciliśmy przy najbliższej sposobności i natknęliśmy się na dwóch innych harcerzyków-gestapowców. Dziewczyny. Mogły uchodzić za koleżanki z uniwersytetu, które obgadują ostatnią prywatkę. Jedna przyłożyła dłoń do ust. Przemknęliśmy obok, przewracając je. Usłyszałem dziewczęce piski.

Pieprzyć maniery dżentelmena.

Znów strzały. Głośniejsze.

Odwróciłem się w biegu i zobaczyłem Ahlwarda, sadzącego wielkimi krokami, wrzeszczącego polecenia, których nikt nie wykonywał. Wołał swoich bojowników, ale bojownicy stali jak zamurowani, nie przygotowani na takie wydarzenia.

Zimny podmuch. Coś przebiło karton kilka cali od mojej głowy.

Znów zakręt, zaledwie kilka jardów przed nami. Rzuciliśmy się w tamtą stronę. Słyszałem sapanie Mila i widziałem, jak złapał się za pierś.

Znów odgłosy strzałów.

I nagle głośniejszy dźwięk.

Głośny, jak trzęsienie ziemi, dudniący spod betonowej podłogi. Rozdzierający posadzkę, jakby była z papieru.

Kartony spadły przed nami jak wielkie, oszalałe bloki skalne. Ktoś wrzasnął.

Więcej wrzasków. Panika. Tak musiało to brzmieć wtedy na dziedzińcu szkolnym.

Kolejny grzmot, jeszcze silniejszy, poderwał nas jak zabawki i cisnął o podłogę.

Spadło jeszcze więcej pudeł. Kartony podskakiwały do góry, podrzucane przez jakiegoś niewidzialnego żonglera i upadały z tępym, ogłuszającym łoskotem.

Milo potknął się. Pomogłem mu się podnieść. Wyglądał na skonanego, ale pobiegł dalej.

Żadnego śladu Ahlwarda, za nami zwałisko pudeł. Osłaniało nas.

Skręciliśmy. Rozpraszające się czarne koszule. Zapach przypalanego metalu jak w warsztacie samochodowym.

Kolejny łoskot.

Szmer rozpadającego się gipsu.

Wdrapywaliśmy się na pudła, okrążaliśmy je. Milo zatrzymał się. Dłoń na piersi, przykurczone nogi, zwieszona głowa.

Zawołałem go.

– W porządku... – powiedział. Zacerpnął powietrza, powtórzył ten gest, skinął tępo głową i zaczął znów biec.

Kolejna eksplozja. Budynek zadrżał jak mokry szczeniak. Wokół nas posypało się więcej pudeł.

Rzuciło nami, brnęliśmy dalej, udało nam się przedrzeć przez stosy papieru. Kolejny zakręt obok

wózka podnośnikowego...

Metaliczny zgrzyt. Syk. Kolejny grzmot. Krzyki przerażenia.

Syk stawał się coraz głośniejszy. Poczuliśmy łatwo rozpoznawalny zapach.

Płonący papier. Nagłe, narastające gorąco.

Pomarańczowe języki, liżące podłogę zaledwie kilka stóp od nas. Brudny, śmierdzący farbą drukarską dym sączył się spomiędzy pudeł, wznosił się pod sufit magazynu, zaciemniał go.

Gorąco się wzmagало. Przedarł się przez nie następny zimny podmuch.

Z oparów wyłonił się Ahlward, wrzeszcząc bezdźwięcznie, nie zwracając uwagi na dym, który kłębił się za jego plecami, oślepiony nienawiścią.

Wymierzył ponownie.

W kartonowej ścianie była szpara. Pobiegłem w tamtą stronę. Zdałem sobie sprawę, że Mila nie ma obok mnie. Spojrzałem przez ramię i zobaczyłem go z dłonią przy piersi.

Pomiędzy nim i Ahlwardem wyrosła ściana dymu. Przecięły ją strzały.

Milo rozglądał się na boki, zdezorientowany. Wróciłem po niego, złapałem go za rękę. Pociągnąłem mocno. Zdołał znów ruszyć. Zobaczyłem przesuwane, metalowe drzwi platformy załadunkowej zaledwie kilka jardów przed sobą. Podarte jak folia i poczerniałe na krawędziach. Na ziemi leżały porozrzucone, metalowe elementy, błyszczące na betonowej posadzce.

I coś jeszcze.

Człowiek w czarnej koszuli. Leżał twarzą w dół. Krótka blond fryzura. Błada szeroka twarz, białe oczy. Krzepkie ciało rozpostarte, bezwładne.

A raczej dwa kawałki ciała. Tułów oddzielony od nóg, rozdarty przez odłamek z przesuwanych drzwi.

Bliżej drzwi inny trup, na wpół przysypany metalem. Zwęglona głowa nad hamburgerem. Cztery inne, ledwo rozpoznawalne, wilgotne plamy na stosie popiołu.

Zrobiło mi się mdło. Zacząłem się dławić.

Magazyn był jak gigantyczny piec, płomienie sięgały sufitu, dym gęstniał, tocząc się w naszym kierunku. Oleisty huragan.

Ze zwęglonej masy wyłonił się czarny kształt.

Ahlward, pokryty sadzą i osmalony, potrząsający głową na boki, jakby strącał pijawki. Dostrzegł

nas. Wrzasnął. Uniósł swój wielki czarny pistolet.

Rzuciłem się do największej dziury w rozerwanych drzwiach, przepchnąłem przez nią Mila, poślizgnąłem się na pokrytej krwią podłodze, poczułem pod butami chrzęst metalu i kości.

Świeże powietrze. Przesiąknięte smrodem benzyny.

Obydwaj rzuciliśmy się wzdłuż rampy.

Z magazynu wydostawały się opary i płomienie. Przez potłuczone okna, przez rozdarte metalowe drzwi. Strzelały przez ziejące otwory, wyrwane w murze.

Milo oddychał nierówno i z trudem. Pociągnąłem go po schodach na parking.

Z tyłu rozległ się niezrozumiały krzyk.

Ahlward stał na rampie, oświetlony przez płonący budynek. Wydawał się bardzo mały. Celował. Jeszcze wierzył. Wystrzelił.

Usłyszałem kolejny wystrzał, zza naszych pleców.

Jesteśmy w potrzasku?

Odwróciłem się przez ramię i zobaczyłem, że Ahlward zatoczył się i upadł, a jego pistolet szybuje w stronę łuny.

Płomienie wypełzły z magazynu i pożarły go.

Na deser.

Gdzieś z ciemności dobiegł mnie głos:

– Pan i pański przyjaciel, detektyw, jesteście bezpieczni, doktorze Delaware. To ja was ocaliłem.

Rozdział trzydziesty piąty

Wysunął się, oświetlony na pomarańczowo przez ogień, ubrany w ciemną wiatrówkę, z karabinem, który wydawał się dla niego zbyt wielki. Na broni zamontowano jakiś precyzyjny celownik. Rzadkie włosy rozwiewał mu wiatr. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiego zadowolenia.

– Panie Burden – zacząłem.

– Mahlon – odparł. – Wydaje mi się, że doszliśmy do odpowiedniego stopnia zażyłości, nie sądzisz, Alex? – Uśmiechnął się.

Zobaczyłem, że Milo stęzał. Stałem jak wrośnięty w ziemię.

– Nie obawiajcie się – zapewnił Burden. – Jestem przyjacielem, nie wrogiem.

Spojrzał na płonący magazyn, mierząc go zadowolonym spojrzeniem harcerza, któremu udało się wywołać iskrę przez pocieranie dwóch patyków. Ponad hukiem i trzaskiem wciąż docierały do nas ludzkie krzyki. Na spoconą twarz opadał mi popiół jak koronkowe, śmierdzące płatki śniegu.

– Nie wygląda pań dobrze, detektywie Sturgis – zauważył Burden. – Musimy zawieźć pana do szpitala.

Milo z trudem usiłował złapać oddech. W blasku pożogi jego rany wyglądały okropnie – zakrzepłe i wyraziste jak jakaś makabryczna charakterystyka.

– No dalej, detektywie – ponaglił Burden.

– Później – zbył go Milo. Potrząsnął głową i rozstawił nogi, żeby utrzymać równowagę. – Linda Overstreet. Wysłali kogoś do niej. Musimy dostać się do jakiegoś telefonu, uprzedzić ich.

Zrobił kilka chwiejnych kroków.

– Mam lepszy pomysł, detektywie. – Burden pstryknął palcami. Z ciemności wyłonił się jeszcze jeden mężczyzna. Trzydzieści kilka lat, przystojna twarz, sumiasty wąs nad przystrzyżoną bródką.

– Doktorze, pan już zna Gregory'ego Graffa. Ze zdjęcia. Oto on, na żywo. Gregory, pomóż detektywowi Sturgisowi.

Graff zrobił krok przed siebie, potężny, barczysty. Miał na sobie ubranie robocze w ochronnych barwach, które było świeże jak z francuskiego żurnala, a przez ramię przewiesił karabin, podobny do strzelby Burdena. Robił wszystko z niezwykle skupioną miną, jak chirurg, gdy podwiązuje naczynia.

Jedną ręką otoczył ramiona Mila, drugą położył mu na łokciu. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt osiem wzrostu.

Złapałem Mila pod drugie ramię.

Usiłował nas odtrącić.

– Nic mi nie jest, do diabła. Muszę się dostać do telefonu!

– Tędy – powiedział Burden. Odwrócił się plecami do łuny i ruszył szybko.

Podążyliśmy za nim, opuszczając parking. Sadze wpadały nam do oczu. Milo upierał się, żeby iść bez pomocy, ale ledwo trzymał się na nogach. Wciąż oddychał z wysiłkiem. Graff i ja szliśmy po jego bokach. Patrzyłem na swojego przyjaciela. W końcu oddech mu się wyrównał. Mimo tego, co przeszedł, Milo zdawał się być w niezłej formie.

A w jakiej formie jest Linda? Próbowałem nad tym się nie zastanawiać, ale nie potrafiłem myśleć o niczym innym.

„Ktoś, kto wie, jak najlepiej wykorzystać kobietę...”.

Sam zacząłem się dusić. Starłem się opanować. Szliśmy poprzez ciemność. Nagle plac spowiło krwawe światło.

Wciąż idąc, obejrzałem się za siebie. Płomienie przeżarły się przez dach magazynu i strzelały w niebo.

Kilku osobom udało się wydostać na rampę. Płonęły. Jedna z nich padła na ziemię i poturlała się.

Znów wrzaski.

Burden odwrócił się nonszalancko, przyłożył karabin do ramienia i nacisnął spust.

– Daj spokój, do diabła. Szybciej! – pospieszał Milo.

– Ubezpieczam tyły – odparł Burden. – To przy takich misjach zawsze rozsądna strategia. – Ale opuścił karabin i popędził do przodu.

Milo zaklął i starał się przyspieszyć kroku. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Graff pomógł mu, przerzucił go przez ramię, jakby detektyw był zrobiony ze słomy, i szedł dalej równym krokiem.

Milo protestował i klął. Graff nie zwracał na niego uwagi.

– Proszę bardzo – powiedział Burden.

Metalowa brama była wyważona łomem. Tuż za nią stała furgonetka zaparkowana przy krawężniku. Ciemnoszara, po każdej stronie jedno okno z przyciemnianą szybą, na dachu anteny. Rzucające refleksy języki ognia sprawiały wrażenie, jakby jednolite boki samochodu były pokryte płomiennym malunkiem. Tańczącym malunkiem... jak piekło na kółkach.

Gdzieś w oddali usłyszałem wycie syren. Coś mi to przypominało... narkotykowy zaulek... Zaczęły ujadać psy.

Burden wyjął coś z kieszeni i wcisnął guzik. Metaliczny trzask. Otworzyły się tylne drzwi furgonetki.

Milo spojrzął na anteny.

– Masz pan telefon. Postaw mnie na ziemi i pozwól mi skorzystać z tego pieprzonego wynalazku!

– Gregory, dopilnuj, żeby detektyw spoczął wygodnie z tyłu – polecił Burden.

Graff przeniósł Mila przez próg, jak pannę młodą, i wsunął się do środka tylnymi drzwiami furgonetki.

Milo zniknął z oczu, klnąc. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Złapałem Burdena za ramię.

– Przestań się bawić i szybko znajdźmy telefon! Burden uśmiechnął się i zdjął z ramienia moje palce.

– Och, to nie jest żadna zabawa, doktorze. Wydaje mi się, że wykonaliśmy kawał niezłej roboty, ocalając wam życie. Mógłbyś przynajmniej mi zaufać. – Podszedł do drzwi od strony kierowcy i powiedział: – Wskakuj.

Otworzyłem drzwi z prawej strony. Z przodu dwa kubelkowe rajdowe fotele, pomiędzy nimi konsola z komputerem i z modemem telefonicznym. Wsunąłem się na fotel i podniosłem słuchawkę. Głucha cisza.

Burden usiadł za kierownicą.

– Włącz go, cholera jasna! – ponagliłem go.

Twarz Burdena była pozbawiona wyrazu. Podał swój karabin do tyłu Graffowi i włożył kluczyk do stacyjki. Obejrzałem się za siebie. Milo leżał na podłodze, wyłożonej wykładziną dywanową, pośród kilku metalowych skrzynek i jakiś przyrządów elektronicznych, których nie byłem w stanie zidentyfikować. Graff uklęknął przy nim, wielką głową ocierał się o sufit. Jedną ścianę furgonetki zajmował stojak na broń. Półautomatyczne strzelby, karabiny, coś podobnego do uzi.

Milo dźwignął się i chwycił oparcie fotela Burdena.

– Ty sadystyczny, mały dupku!

Graff odciągnął go i przytrzymał za nadgarstki.

Milo zaklął.

– Ależ wdzięczność – powiedział Burden i przekręcił kluczyk. Silnik zastartował i deska rozdzielcza rozbłysła świetlnymi efektami; wskaźniki, tarcze, wyświetlacze graficzne, diody. Rząd okrągłych zegarów na skraju sufitu, równoległe do przedniej szyby. Inne kontrolki na konsolce, po obydwu stronach komputera i wokół telefonu. Sprzętu tyle, że wystarczyłoby go na wypełnienie kokpitu boeinga 747.

– Witam w oficjalnym laboratorium próbnym firmy „Nowe Granice”. – Burden uśmiechnął się. – Ciągłe coś tu zmieniamy. Bez przerwy otrzymuję coraz lepsze modele sprzętu. Zostawiam tylko najlepsze.

Pomyślałem o Lindzie. Tym razem jego narcyzm był zabójczy. Zmagając się z chęcią uduszenia go, powiedziałem:

– Proszę. To sprawa życia i śmierci.

Dotknął ciemnego miejsca na prawo od kierownicy. Pojawił się kwadratowy żółty ekran wielkości podkładki pod szklankę. Zamigotały czarne cyfry. Zmieniały się bezustannie. Pod ekranem rząd przycisków. W świetle padającym z ekranu dostrzegłem jeszcze dwa telefony o bananowo-żółtych przyciskach, z głośnikiem pozwalającym mówić bez trzymania słuchawki, zamontowane na desce rozdzielczej.

– Skaner policyjny – oznajmił Burden, czterema palcami stukając w przyciski pod ekranem. – Mogę go zaprogramować na dowolny fragment kuli ziemskiej. Co w rzeczy samej nie jest niczym niezwykłym. Ale ten został zmodyfikowany – można nie tylko podsłuchiwać, ale i nadawać wezwania w policyjnym systemie łączności. To oczywiście nielegalne. Proszę mnie nie zdradzić, detektywie Sturgis.

– Na miłość boską, zawiadom ich! – wrzasnąłem i wykrzyczałem adres Lindy.

– Znam adres – zapewnił mnie. – Czy chcesz, żebym to ja ich powiadomił, czy też wolisz zrobić to...

– Zróbże to!

Wcisnął jakiś guzik, który zatrzymał cyfry na skanerze, i wziął jeden z mikrofonów zamontowanych na desce rozdzielczej.

– Do wszystkich radiowozów zachodniego Los Angeles – powiedział zmienionym głosem. – Do wszystkich wozów zachodniego Los Angeles i – zerknął na schemat – do osiem-A-dwadzieścia dziewięć. Napad z bronią w rękę, być może usiłowanie czynu sto osiemdziesiąt siedem. – Wycedził nazwę ulicy i numer domu, podał numer mieszkania Lindy. – Kod trzy. Powtarzam...

Radio odezwało się poprzez głośnik na suficie. Głos z wozu patrolowego potwierdził przyjęcie wezwania. W ciągu kilku sekund jeszcze dwa wozy zgłosiły się do pomocy.

– Proszę bardzo – powiedział Burden, wciskając przycisk, który wygasił deskę rozdzielczą. – Sprawa chyba jest załatwiona.

– Jedź tam, dupku – zażądał Milo.

– A pana obrażenia, detektywie Sturgis?

– Kurwa, jedź tam wreszcie.

Burden obrócił się razem z fotelem. Spojrzał za siebie.

– Gregory?

Graff uniósł jedną rękę Mila i naciągnął ją delikatnie.

– Odpieprz się ode mnie – rzucił Milo. – Jedź, Burden, albo naprawdę cię za coś zamknę.

– Wydaje się, że nic nie jest złamane, panie Burden – oznajmił Graff basem pasującym do jego postury. Miał dobrą dykcję i akcent z Nowej Anglii.

Syreny stały się głośniejsze.

– Ostatnia rzecz, jakiej sobie życzę, to zostać oskarżonym o zaniedbanie udzielenia pomocy medycznej – zwierzył się Burden. – Szczególnie oficerowi policji.

– Ruszaj, ty wygadany, mały smrodzie – pogonił go Milo.

Twarz Burdena skamieniała w świetle padającym z deski rozdzielczej.

– Usprawiedliwia pana tylko szok pourazowy, detektywie.

Milo znowu zaklął.

Twarz Burdena stężała jeszcze bardziej.

– Posłuchaj, to była dla nas wszystkich ciężka noc – załagodziłem. – Doceniamy to, co zrobiłeś: ocaliłeś nas. Ale doprowadźmy to do końca i postarajmy się też ocalić Linde.

Siedział z dłońmi na kierownicy, a dźwięk syren stawał się ogłuszający. W końcu zapiął pas, wcisnął gaz i ruszył. W momencie, gdy wyjechaliśmy z krętego zaułka, przemknął obok wóz strażacki.

* * *

– Gdzie jesteśmy? – spytałem.

– Na Van Nuys – odparł Burden. – To czerwone światło to bulwar Victory.

– Przejedź na czerwonym – warknął Milo.

– Jakież pan ma zły wpływ na ludzi, detektywie. – Burden pokręcił głową, ale przemknął przez ciemne skrzyżowanie.

– Może włączymy skaner i zobaczymy, co się dzieje – zaproponowałem.

– Nie ma potrzeby. Trochę wiary, doktorze.

Z początku pomyślałem, że to kolejna z jego sztuczek, ale przecnicę dalej powiedział:

– Pewnie chcielibyście się dowiedzieć, jak do tego doszło. Do waszego oswobodzenia.

– Po prostu im dopieprzyliśmy – odezwał się z tyłu Milo i zaczął kaszleć.

– Proszę napić się trochę wody – zaproponował Graff.

– Czy to na pewno czysta woda?

– Tak, czysta woda – odparł basem Graff, cierpliwy jak piastunka do dzieci.

– Detektywie Sturgis, jest pan wrogo usposobionym człowiekiem o okropnych manierach. Zbyt długo był pan odcięty od ludzi – zaopiniował Burden.

Tkwiąca we mnie dusza terapeuty zapragnęła uświadomić mu, że sam nie jest lepszy.

– Boże – jęknął Milo.

Usłyszałem, jak pije, spojrzałem za siebie i zobaczyłem, że Graff przytyka mu menażkę do ust.

– To czysta woda – potwierdził Burden. – Nieskazitelna woda źródłana ze stanu Waszyngton. Ze studni artezyjskiej. Woda o naturalnym składzie mineralnym, cudownie dopasowanym do wymagań elektrochemicznych ludzkiego organizmu. Która to strona, Gregory?

Zwolnił. Ulice były wymarłe, można było pędzić jak strzała. Miałem ochotę wcisnąć pedał gazu.

– Siódma, sektor drugi – powiedział Graf.

– Piękno i Równowaga – zakpiłem.

– Doskonale, Alex – rzekł Burden.

Znów czerwone światło. Ulica Riverside. Tym razem się zatrzymał.

– Jak lepiej, autostradą czy wzdłuż kanionu? O tej porze zdecydowałbym się raczej na autostradę.

Ruszył na zachód.

– Oczywiście chciałbym się dowiedzieć – wróciłem do tematu. – Jak więc tego dokonałeś?

– Masz jakieś hipotezy?

– Kilka?

– A jakie?

– Przede wszystkim pewnie podłączyłeś podsłuch do mojego telefonu. Wtedy, gdy złożyłeś wizytę u mnie w domu.

W moim przytulnym domu, gdy zapytał, czy może skorzystać z łazienki, żeby móc znaleźć się z tyłu za mną. Płakał i wylał kawę, żeby zostać samemu w salonie. A ja dałem mu jeszcze dodatkowy czas, czekając w kuchni, żeby mógł się pozbierać...

– Świetnie – powiedział. – Ale właściwie to było znacznie więcej niż telefony. Zainstalowałem podsłuch w kilku miejscach w twoim domu i wokół niego, pod meblami i łózkami. Obok drzwi frontowych. Dzisiejsza technologia pozwala na niezwykłą łatwość zakładania instalacji. Mam aparaciki nie większe od ziarenka ryżu, choć te, które wykorzystałem u ciebie, były większe. Jak ziarno fasoli. Samoprzylepne, o dalekim zasięgu, dające się dostroić. Doskonała jakość dźwięku...

– Sektor piąty. Życie i Bezpieczeństwo. – Zadumałem się. Ugłaskiwałem go, zdając sobie sprawę ze wszystkiego, co słyszał. Rozmowy telefoniczne, łózkowe konwersacje z Lindą, pogwałcenie...

Oswobodził mnie, ale wcale go za to bardziej nie lubiłem.

– Właściwie te właśnie przyrządy nie były jeszcze wprowadzone do katalogu – powiedział. – Ale masz bystry dar przewidywania. Z przyjemnością zostawię je tam, gdzie są, i pokażę, jak ich używać dla własnych korzyści.

– Nie, dzięki.

– Bez wątplenia odnosisz wrażenie, że jak intruz wdarłem się w twoje życie. Ale musiałem cię monitorować. Byłeś moim łączem informacyjnym. Ze szkołą, z policją, ze wszystkimi. Nikt by mi nie pomógł. Każdy traktował mnie jak pariasa. Potrzebne mi były solidne dane – miałem do tego prawo. Wiedziałem, że muszę być dokładny. Wcześniej dostroiłem te urządzenia do odbiornika w moim domu. Identyczne odbiorniki były również zainstalowane w furgonetce. Nie było możliwości, żeby ktokolwiek inny przejął tę transmisję, więc nie musisz się martwić, że jeszcze ktoś cię monitorował. A taśmy niedługo zostaną zniszczone.

– Doceniam to.

Nie mogłem się powstrzymać od nuty sarkazmu w głosie. Ale nie zauważył jej albo ją zignorował.

Byliśmy teraz na granicy Sherman Oaks i północnego Hollywood, zbliżaliśmy się do Coldwater. Kilka samochodów na ulicach. Ludzie wracali z późnych kolacji w restauracjach na Ventura. Coraz więcej świateł, w końcu zjazd na 134 Zachodnią.

– Aparaty podsłuchowe są wytwarzane w Polsce – powiedział – chociaż sędzę, że skonstruowano je w Związku Radzieckim. Glasnost i pierestrojka były prawdziwym dobrodziejstwem dla wszystkich zainteresowanych wolną wymianą osiągnięć technologicznych. Dystrybutor w Hongkongu był niezwykle szczęśliwy, że mógł mi przysłać pudełko tych małych diabełków z dużą zniżką, w nadziei, że umieszczę je w przyszłym katalogu. Choć nic z tego nie wyszło, prawda, Gregory?

– Nie, panie B. Są zbyt drogie dla naszych odbiorców.

– Bardzo drogie, nawet ze zniżką. Ale dla ciebie wszystko, doktorze Delaware. Szanuję twoją wytrwałość w dążeniu do celu. Miałem wysokie wymagania co do jakości informacji, jakich mogłeś mi dostarczyć. I miałem rację, prawda? Tak więc sędzę, że te aparaciki są spleacone. Jak również nadajniki, jakie zamontowałem w twoim cadillacu oraz w matadorze i fiacie detektywa Sturgisa. Niestety nie mogłem dostać się do forda, na którego zamienił matadora, ale do tej pory miałem wystarczającą liczbę danych, żeby wyśledzić, dokąd go porwano.

– Co za facet – odezwał się Milo.

Już nie chrypiał. Mówił głosem czystym, spokojnym i wściekłym.

Wiedziałem, co myśli: Burden pozwolił mu przejść przez to przesłuchanie. Czekał. Słuchał.

– Howard też był twoim łącznikiem. Czekałeś w jego gabinecie, więc mogłeś zainstalować aparaturę.

I usłyszeć każde nienawistne słowo wypowiedziane przez jego syna.

– Jak najbardziej – przyznał. Nieco zbyt nonszalancko. – Holly zachowywała się dziwnie. – Była jakaś odległa, zadumana. Nie mogłem nic od niej wyciągnąć, wiedziałem tylko, że wymykała się do Howarda. Oboje sędzili, że nic nie wiem o ich staraniach odnowienia wzajemnych kontaktów. Sądziłem, że być może Howard będzie w stanie rzucić jakieś światło na tę zmianę, jaka zaszła w jego siostrze.

– Nie mogłeś po prostu spytać o to Howarda?

– Właśnie.

Przypomniałem sobie nienawiść, jaka wisiała w powietrzu w gabinecie Howarda. Jak ojciec mógł sobie z tym poradzić, jak mógł się przed tym bronić?

Spojrzałem na niego. Spokojny. Więzi to w sobie. Narcyzm w służbie duszy.

Skreślił na autostradę. Wszystkie sześć pasów było pustych jak tor w Indianapolis dzień po wyścigach.

– Howard to bystry chłopak. – Westchnął. – Ale ma masę problemów. Białych plam. Widziałeś, jaki jest otyły i nerwowy. Jak się poci. Cierpi również na egzemę. Na dolegliwości żołądkowe i bezsenność. Wyraźne oznaki, że jest nieszczęśliwy. Słabości zasadnicze, pogłębione jeszcze przez

fatalne nastawienie do życia. Gdyby mi na to pozwolił, byłbym w stanie mu w tym wszystkim pomóc. Być może pewnego dnia się na to zgodzi. Na razie nie mogłem pozwolić, żeby jego słabość stała mi na przeszkodzie.

– Dlatego tak ci zależało, żebym się z nim spotkał. Miałaś nadzieję, że się przede mną otworzy i będziesz sobie mógł to wszystko nagrać na taśmę.

– Więcej niż nadzieję. – Uśmiechnął się. – Przewidywałem to. Wasza konwersacja była bardzo pomocną transmisją.

– Wannsee II – przypominałem. – Howard opisał, jak Holly mamrotała o tym tego dnia, gdy przyjechała do niej bratowa. Doszedłem, co to znaczyło. A ty słuchałaś, nagrywałaś i tropiłaś.

– Nie, nie – zaprotestował zdenerwowany. – Do tego nie potrzebowałem cię. Byłem o krok przed tobą. Znam historię na tyle dobrze, żeby dokładnie zrozumieć, czym było Wannsee. Poprawnie wymawia się to oczywiście „Wanzi”. Gregory również wie o Wannsee, mimo że należy do twojego pokolenia. Ponieważ znaczna część rodziny Gregory’ego została wymordowana przez faszystów. Więc, gdy zadzwoniłem i powiedziałem mu, że mamy do czynienia z Wannsee II, z ogromnym zapałem przyłączył się do tej misji. Czyż nie, Gregory?

– Jak najbardziej, panie B.

– Cóż z niego za bruchomówca – odezwał się Milo. – Gdzieś pan znalazł takiego wielkiego manekina?

Graff roześmiał się głębokim śmiechem.

– Daleko mu do manekina – powiedział Burden. – Gregory ma wykształcenie w zakresie elektroniki i biofizyki, zaliczony rok akademii medycznej w jednym z najlepszych uniwersytetów, magisterium prawa z tegoż samego uniwersytetu i studia magisterskie w zakresie biznesu.

Duma. Ojcowska duma.

Jego prawdziwy syn.

– Prawdziwy z niego człowiek renesansu – stwierdziłem. Jedna część mojego umysłu była skupiona na Lindzie i szalała jak pod wpływem metedryny. Druga koncentrowała się na pogawędce, usiłując wyciągnąć jakieś informacje od dziwnego, przerażającego człowieka w fotelu kierowcy.

– Przeszedł poza tym szkolenie wojskowe – powiedziałem. – Jest byłym oficerem wywiadu, podobnie jak ty. Tak właśnie go znalazłaś, prawda? A nie przez jakąś agencję modeli. Gdy nadchodzi pora na zwerbowanie partnera, wiesz doskonale, gdzie szukać.

– Nie jestem partnerem – rzekł Graff. – Jestem jedynie marionetką. – Znów się roześmiał.

Burden również się zaśmiał. Jechał z równomierną prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę.

– A może tak trochę szybciej? – zaproponowałem.

Nie odpowiedział, ale wskazówka prędkościomierza przesunęła się na siedemdziesiąt pięć.

Chciałem, żeby jechał setką, ale wiedziałem, że więcej nie wskóram.

– Mam jeszcze jedną hipotezę – powiedziałem. – Wy dwaj, jako „Nowe Granice”, macie dostęp do komputerów wojskowych. Ahlward miał wojskową przeszłość. Sprawdziliście go.

– Wojskową przeszłość – sarknął Graff. Śmiech przypominający pomruk niedźwiedzia.

Burden nie zawtórował mu.

– Zanim zwróciłem się do ciebie, najpierw sprawdziłem jego. Prasa przedstawiała go jako jakiegoś bohatera. Chciałem się dowiedzieć czegoś o facecie, który pociągnął za spust. O bohaterze, który zabił moją córkę. To, czego się dowiedziałem, cuchnęło. Kłamał na temat tej wojskowej przeszłości.

Ton jego głosu wskazywał, że uznał to za wyjątkową zbrodnię.

– Służył zaledwie siedem miesięcy w piechocie morskiej. Od kwietnia sześćdziesiątego siódmego do listopada sześćdziesiątego ósmego. Większość tego czasu spędził w karcerze okrętowym, aż w końcu zwolniono go dyscyplinarnie za znieprawienie moralne. Była to sprawa zamknięta, ale udało mi się do niej dotrzeć. Dwa incydenty. Seksualne molestowanie szesnastoletniej dziewczyny, czarnej dziewczyny, i próby zorganizowania supremacji białych wśród nowych rekrutów. Ta druga sprawa spowodowała, że zagłębiłem się w jego przeszłość. Gdy go zwolniono, kilka razy odsiadywał krótkie wyroki w więzieniu za kradzieże i włamania oraz niestosowne prowadzenie się. Doszedłem do wniosku, że to łajdak. Przejrzałem historię jego rodziny. Ojciec był bundystą, zbrodniarzem wojennym. Prowadził jeden z ich letnich obozów. Schweiben. Ahlward senior został uwięziony za działalność wywrotową w 1944, wypuszczony w 1947. Rok później zmarł na marskość wątroby. Nikczemny pijaczyna. Wielopokoleniowa nikczemność. To prowadziło do kolejnego pytania: dlaczego rzekomo liberalnie zorientowany radny miejski zatrudnił kogoś takiego? Zbadałem więc również przeszłość radnego. Ukazał mi się obraz kawałka szmaty, która pozuje na człowieka. Porządna rodzina, wszelkie przywileje, żadnych zmagania z losem przy starcie w dorosłe życie. Również żadnego charakteru. Nałogowe przywiązanie do czynów dokonywanych po linii najmniejszego oporu. Nawet nie trzeba wspominać, że odnalazł drogę do kloaki zwanej polityką.

Mówił gniewnym głosem, ale tonem zwykłej rozmowy.

– Poddałem obserwacji biuro Latcha. To była pestka, prawda, Gregory? Ale zbyt wiele się nie dowiedziałem. Ludzie Latcha wykazywali się sporą dyscypliną, starali się być dyskretni w prowadzeniu rozmów telefonicznych. Ale ty wykonywałaś niezłą robotę jako mój łącznik. Składałaś to wszystko razem: Novato, ta stara kobieta, ten żaloszny, sprany Crevolin. Przez krótki czas myślałem, że akt wandalizmu dokonany na samochodzie pani, przepraszam, doktor Overstreet, był z tym powiązany. Ale detektyw Sturgis dowiódł, że się myliłem. Gratulacje, detektywie.

– Odpierdol się i jedź.

– W każdym razie cała reszta stanowiła jedynie dowód na to, co i tak już wiedziałem: że moja córka sama była ofiarą. Wystrychnięta na dudka. Skojarzyłem te wszystkie fakty wcześniej niż któryś z was. A w odpowiedzi na pytanie, które zadałeś Howardowi, doktorze: moje przekonania polityczne są przeciwstawne faszyzmowi. Wierzę w niczym nieograniczone firmy prywatne i minimalną kontrolę rządu. Żyć i dać żyć innym. Pod warunkiem, że druga strona zachowuje się jak należy.

– Umrzeć i pozwolić umrzeć – parsknął Graff. – Nigdy więcej.

– Wraz z Gregorym jak najbardziej wierzyliśmy w Wannsee II. Z powodu naszej wojskowej przeszłości mieliśmy dostęp do tajnych danych. Wiedzieliśmy, co się działo w różnych bazach wojskowych pod koniec lat siedemdziesiątych. Rasistowskie komórki, które siły zbrojne szybko rozbiły, ale kosztem wprowadzenia faszystów w słaby świat cywilny, gdzie nie można było tak efektywnie zwalczać ich poglądów. Ta wiedza i doświadczenie dały mi przewagę. Ostrożność, z jaką ludzie Latcha prowadzili rozmowy telefoniczne, wykazała, że musi być jakieś inne miejsce, gdzie prowadzą swoje brudne działania, jakieś tajne biuro, gdzie te świny rozmawiały bez skrępowania. Ale nigdy się nie zdradzili. Wtedy przyszła mi na myśl żona Latcha. Zacząłem przeglądać scedowane na nią nieruchomości. Przekopywałem się przez całe warstwy firm, którymi się owinęła. Przekłucie takiego kokonu jest nedorzecznie łatwe, jeśli wiadomo, jak się do tego zabrać, i szybko ustawiłem zaledwie kilka możliwości, mimo że posiada bardzo duży majątek. Właśnie byłem w trakcie zawężania tej listy, gdy ułatwiłeś mi zadanie. Zadzwo niłeś wieczorem do detektywa Sturgisa i zostawiłeś mu wiadomość, że byłeś śledzony. Ten numer rejestracyjny. Mam lepsze możliwości sprawdzenia takich danych, lepsze niż większość wydziałów policji – mam miliony tablic w swoim banku danych. Dopasowałem twoje numery do jednej z moich możliwości, firmy podającej się za drukarnię. Wraz z Gregorym pojawiliśmy się tam tuż po zachodzie słońca. Widzieliśmy, jak przywieźli detektywa Sturgisa. Słuchaliśmy. Pokaż mu, Gregory.

Graff podniósł coś z podłogi furgonetki. Szklana skrzynka z mikrofonem w środku.

– To jest Stevens dwadzieścia pięć x. Mikrofon paraboliczny o dalekim zasięgu – powiedział Burden. – Działa na dwie mile.

– Kolejny przykład pomysłowości bloku wschodniego? – spytałem.

– W żadnym wypadku – zaprotestował Burden. – To akurat jest w pełni amerykańskie.

– Rodem z USA – potwierdził Graff.

– Gdy pan przybył, skrępowany i spętany, detektywie Sturgis, czekaliśmy – opowiadał Burden. – Świetnie się pan trzymał. To bez wątpienia zasługa pana przeszłości wojskowej. Robi wrażenie. Chcemy pana zapewnić, że gdyby znalazł się pan w jakimś poważnym niebezpieczeństwie, ocalilibyśmy pana, ale wiedzieliśmy z wcześniejszego podsłuchu, że planowali pozostawić pana przy życiu i wykończyć zarówno pana, jak i doktora, w inny sposób. Pan jednak o tym nie mógł wiedzieć i radził pan sobie niezwykle dobrze.

– Cholera – warknął Milo.

– Proponowałbym – skomentował Burden – żeby zachował pan swoją złość dla tych, którzy na nią zasługują. Na przykład, jak się panu wydaje, dlaczego przyjechali po pana przebrani za FBI?

Cisza z tyłu.

– Nie wie pan, detektywie? Czy tylko nie chce pan udzielić odpowiedzi?

– Sprzedali pana pańscy ludzie – poinformował Graff. – Ohydne postępowanie.

– Frisk – domyśliłem się.

– Jeszcze jedna szmata. Gdy przyszedł mnie przesłuchać w dzień strzelaniny, usiłował zainstalować w moim pokoju podsłuch. Prymitywnego śmiecia. Oczywiście pozostawiłem go na miejscu. Gadałem do niego, grałem mu na wiolonczeli. Wodziłem Friska za nos, dokładnie tak, jak chciałem, w kółko, ponieważ to ćwok. Od razu spostrzegłem, że nie ma sensu z nim pracować. A gdy spotkałem się z nim w jego gabinecie, odwzajemniłem mu się tym samym. Więc wiem dokładnie, co knuł. I nie popuściłbym tego na pana miejscu, detektywie.

– Pluskwy w Parker Center? – zdumiał się Milo.

– W naszym chełpliwym wydziale antyterrorystycznym – przytaknął Burden. – Gdyby to nie było takie smutne, to można by się pośmiać z takiej nieudolności. Widzi pan, Latch i jego ekipa byli pod obserwacją już od jakiegoś czasu. Ale z niewłaściwego powodu. Frisk nie ma najmniejszego pojęcia, nawet nie podejrzewa Wannsee II. Podejrzewa Latcha, że jest komunistycznym wywrotowcem, nieskruszonym lewicowcem, ponieważ wpajali mu to polityczni wrogowie Latcha.

– Massengil? – spytałem.

– Między innymi. On był pierwszym źródłem fałszywych informacji na temat Latcha, ponieważ wiedział, że Latch ma plany co do jego stanowiska. Doktor Dobbs pomagał mu pisać fałszywe raporty na temat rzekomej działalności wywrotowej Latcha. Pan doktor nawet osobiście dzwonił do Friska z automatów ulicznych. Używał pseudonimu: święty Mikołaj. To wszystko było niezwykle dziecinne, jak bzdury w filmach płaszcza i szpady. Ale nasz porucznik Frisk przyjął to bardzo poważnie. Założył kartotekę na temat Latcha: tajną kartotekę. – Zachichotał.

Graff zawtórował.

– Dlaczego nie wykonał ruchu przeciwko Latchowi? – spytałem.

– Zastanawiał się nad tym – odparł Burden. – Mam nagrania, jak mówił do swojego dyktafonu, myślał na głos, rozważał możliwości. Rozpatrywał to pod każdym kątem, myśląc o tym bez końca. Ale bał się konfrontacji z Latchem, nie mając niezbitych dowodów. Jednak nie mógł zdobyć dowodów, ponieważ po pierwsze nie wiedział jak i po drugie cała ta sprawa była wymysłem. Ten człowiek jest naprawdę niezwykle głupi. Dlatego był taki chętny, żeby przejąć sprawę zabójstwa Massengila. Podejrzewał, że może kryć się za nim Latch. To mogła być dla niego niepowtarzalna

okazja. I miał rację.

– Tylko że nie z tych powodów.

– Co za kretyn – westchnął Burden. – Naprawdę wierzył, że ma szansę dostać awans na zastępcę naczelnika. Pana, detektywie Sturgis, postrzegał jako zagrożenie dla tych ambicji. Istniała szansa, że sam pan rozwikła tę sprawę. Boi się pana, bo w gruncie rzeczy wie, że pan jest tym, kim on nigdy nie zostanie: fachowym oficerem śledczym. No i oczywiście jeszcze jedna sprawa. Na ogół wyraża się o panu „ten podły pedał”. Gdyby pan chciał, mogę panu odtworzyć taśmy.

Milo milczał.

Burden zjechał z autostrady przy Pico i skierował się na wschód, w stronę Westwood.

– Podczas moich krótkotrwałych obserwacji – kontynuował – wydział policji nie zrobił na mnie szczególnie dobrego wrażenia. Zbyt dużo czasu poświęca się tam sprawom tego, co oficerowie robią w łóżku, z kim to robią, przekonaniom religijnym i innym mało istotnym rzeczom. Nie tak wygrywa się wojny. To musi być dla pana bardzo stresujące, detektywie Sturgis.

– Dzięki za współczucie, Matko Tereso – burknął Milo. Ale wiedziałem, że dotknęło go to, co Burden mu powiedział.

– Frisk wykorzystał pana jak prawdziwy polityk – ciągnął Burden. – Zadzwoił do Latcha, jako rzekomy konfident. Poinformował go, że to pan ma w stosunku do niego podejrzenia. Usprawiedliwiał się. Mówił, że przynosi pan hańbę policji. Glina, a jednocześnie łajdak. Pedał i do tego alkoholik. Informował, że wydział policji trzyma pana na etacie tylko dlatego, iż boi się spraw sądowych i politycznych reperkusji. Zapewniał, że to tylko kwestia czasu, kiedy pana odwołają za to, że przynosi im pan wstyd. Frisk powiedział Latchowi, że zadawał pan na jego temat pytania, że jest pan nieokrzesany, agresywny. Ostrzegł szlachetnego radnego. Więc Latch kazał zacząć śledzić pana i doktora Delaware. Jednocześnie Frisk śledził Latcha. Był pan jego przynętą, detektywie. Gdyby pan dzisiaj zginął, być może sam przypisałby sobie rozwiązanie sprawy, może nawet spłynęłaby na niego chwała i awans. Zastępca naczelnika, Frisk. Czyż to nie piękne?

– Dzisiaj mnie nie śledził – zastanowił się Milo.

– Nie, dzisiaj nie. Proszę, powiedz dlaczego, Gregory.

– On i jego ekipa wyjechali – wyjaśnił Graff. – Nad jezioro Arrowhead.

– Żeby podzielić się wrażeniami – dodał Burden. – Ustalić strategię działania. Frisk jest nowoczesnym policjantem. Czyta podręczniki i zna wzory postępowania.

– To brzmi jak z notesu Dobbsa – skomentowałem.

– Oni wszyscy są tacy sami – stwierdził Burden. – Gryzpiórki. W każdym razie, czy nie sądzi pan, że mam stuprocentową rację, detektywie? Że powinien pan w inną stronę skierować swoją złość?

Cisza panowała przez dwie przecznice.

– Chcielibyście się dowiedzieć, czego użyliśmy do zdemolowania budynku? – spytał Burden.

– Oczywiście – odparłem, myśląc o Lindzie.

– Odpowiednio porozmieszczane ładunki plastiku. Żadnego semteksu. Coś lepszego. Zupełnie nowego.

– Wystarczy odrobina – powiedział Graff.

– Naprawdę odrobina – potwierdził Burden. – Wraz z malutkim zapalnikiem, wsuniętym w środek. Nie widzieli nas, ponieważ cała frontowa ściana magazynu jest pozbawiona okien. Według nich tak było bezpiecznie, ale upiekli się na własnym ogniu. Gregory podłożył ładunki i wycofał się do furgonetki, gdzie odpoczywaliśmy, jedliśmy kanapki i nasłuchiwalismy. Był pan świetny, doktorze, gdy usiłował pan ich ze sobą skłócić. Znakomicie panował pan nad nerwami. Potem, gdy nadszedł odpowiedni moment, nacisnęliśmy guziki..

– Bum! – odezwał się Graff.

– Określiłbym to jako poetycką sprawiedliwość – filozofował Burden. – Nie sądzicie? Szkoda, że pan Latch nie doczekał, żeby to zobaczyć. Co mu się właściwie stało? Słyszeliśmy jakieś zamieszanie.

Czekałem, żeby Milo odpowiedział. Gdy się do tego nie kwapił, wyjaśniłem:

– Nadział się na nóż Ahlwarda. Przebił sobie szyję.

– Wyśmienicie. – Uśmiechnął się szeroko. – Dosłownie upiekł się na własnym ogniu. Cóż za wspaniały widok. Żałuję jedynie, że nie mogłem tego oglądać ze szczegółami. Reasumując, bardzo pouczająca przygoda, czyż nie mam racji, Gregory?

– Pierwsza klasa, panie B.

– Zginęło wiele osób – przypomniałem. – Będzie dochodzenie.

Burden zdjął jedną rękę z kierownicy i machnął lekceważąco.

– Im więcej pytań, tym będzie weselej. Komisje miejskie i stanowe, podkomisje senatu, nasza ukochana prasa. Niech przyjeżdżają wszyscy. Uwielbiam Waszyngton zimą. Na Kapitolu pojawia się charakterystyczny smutek, pasujący do ducha tej zgrai, która tam pracuje. Najbardziej uwielbiam to miejsce, gdy jadę z czymś do sprzedania.

– Zdemaskowanie innych potajemnych faszystów Ahlwarda?

– To powinna być niezła rewelacja – stwierdził. – Gdy podam im nazwiska, ręcę ci, że stanę się bohaterem. Znajdę się w magazynie „People”. W programach takich jak „Dzisiejsza rozrywka” czy

„Wydarzenie bieżące”. Zdobęde taką popularność, że mógłbym startować w wyborach o jakiś urząd i wygrać, gdybym tylko miał takie niezdrowe ambicje. Jednak raczej postaram się uniknąć świateł reflektorów i moja sława szybko zblednie. W takich czasach żyjemy. Opinia publiczna bez przerwy żąda nowości. W tym czasie, wraz z Gregorym, będziemy planować strategię wykorzystania tego, co uda nam się uzyskać w Waszyngtonie, do rozwoju naszych interesów. W każdym razie od niedawna rozważam, czy powiększyć swój sektor z bronią.

– To ma sens – powiedziałem. – Życie i Bezpieczeństwo. Kup AK47 od człowieka, który wie najlepiej.

– Doskonale, Alex. Czy kiedykolwiek brałeś pod uwagę wykorzystanie swoich umiejętności psychologicznych w marketingu?

– Nie w tym roku.

Przed nami pojawił się bulwar Westwood, zamknięty pogrążoną w nocy bryłą Pavilionu. Skręciliśmy w prawo.

– Zdaje się, że wszystko sobie przemyślałeś – rzekłem.

– To mój zawód. Przewidywanie, zrozumienie trendów, planowanie wzorców zachowań. – Chwila przerwy. – Choć nic nie wynagrodzi mi mojej straty.

Spojrzałem na niego.

– Zabrali mi coś mojego – wyjaśnił. – To ich ogromny błąd.

Rozdział trzydziesty szósty

Karetki pogotowia. Furgonetka ekipy śledczej. Znów samochody policyjne jak czarnobiałe kostki domina. Koguty na dachach błyskające w rytmie uderzeń mojego serca.

Burden zatrzymał się za jednym z czarnobiałych samochodów. Do okna od strony kierowcy podszedł bardzo młodo wyglądający policjant i powiedział:

– Jeśli tu nie mieszkanie, będziecie musieli stąd odjechać.

– W porządku Sitz – odezwał się Milo. Wsparł się na łokciach, jego twarz była ledwo widoczna nad kubełkowym fotelem kierowcy.

Policjant zamarł i zerknął do środka.

– Detektyw Sturgis? Nic panu nie jest, sir?

– Pełno problemów w Van Nuys. Pożar, wiele ofiar śmiertelnych. Miałem szczęście, bo straciłem tylko koszulę i dokumenty. Ci prawi obywatele pomogli mi tu dojechać. Prawdopodobnie tamte wydarzenia są powiązane z jedną z moich spraw. A tutaj jaka panuje sytuacja?

– Usiłowanie sto osiemdziesiąt siedem. Jest tam detektyw Hardy? Nie słyszeliśmy zbyt dużo.

Milo otworzył drzwi, a Sitz odsunął się od nich. Wskoczyłem z furgonetki jak bandyta, rzuciłem się biegiem, słyszałem za sobą głos Mila:

– W porządku, puśćcie go.

Popędziłem podejściem do drzwi, minąłem dwóch techników niosących walizki kryminalistyczne, garstkę gapiów w nocnych koszulach tłoczących się za granicą z taśmy.

Przepelźłem pod taśmą. Ktoś powiedział:

– Jezu, ten to jest szurnięty.

Pojawił się inny policjant, z jedną ręką na broni. Wysoki, szczupły, opalony i przyszczaty, z mocno wysuniętą górną szczęką. Boże, w jak młodym wieku oni ich werbują.

– Muszę się dostać na górę – oświadczyłem.

Przytrzymał mnie jedną ręką.

– Czy jest pan mieszkańcem tego budynku, proszę pana?

– Tak.

– Nazwisko i numer mieszkania? – zapytał, spoglądając do notesu.

Serce chciało mi się wyrwać z piersi. Zastanawiałem się nad zastosowaniem przemocy.

Wyczuł to i dotknął pistoletu.

– W porządku, Stoppard.

Milo starał się wyglądać godnie ze swoimi ranami i w poszarpanym podkoszulku.

– Sir? – zdumiał się policjant.

– Powiedziałem, w porządku, Stoppard.

Chłopak usunął się na bok.

Rzuciłem się naprzód do holu z zieloną, foliową tapetą. Inny gliniarz przy windzie, gdy mnie zobaczył, również dotknął pistoletu. Chwilę później, kiedy pojawił się Milo, zaczął mierzyć do nas na przemian jak w kiepskim filmie.

– Wyłaż z windy, Buell – rozkazał Milo. – Zostań w holu.

Cicha, doprowadzająca do szaleństwa jazda trzy piętra w górę. Tak powolna. Niemająca końca. Waliłem pięścią w ścianę windy. Milo stał obok mnie. Wiedziałem, że wyczuwa mój strach.

Gdy winda w końcu zatrzymała się z podskokiem, przecisnąłem się przez drzwi, zanim otworzyły się całkowicie. Znowu zielona tapeta. Szalony bieg do końca korytarza.

Gliniarz przy drzwiach. Wszędzie ci gliniarze. Podejrzliwy wzrok. Milo dający znak, że wszystko w porządku.

– Tak jest, sir.

Wpadłem przez drzwi jej mieszkania, teraz opatrzone wywieszką: POLICJA LOS ANGELES. Wbiegłem do salonu. Jasne światła. Zapach perfum. Ściany w ostrygowym kolorze. Świeże ślady po odkurzaczu na złocistej wykładzinie. Cóż za doskonale zorganizowana młoda dama. Na dywanie rozciągnięte coś w kształcie człowieka, w czarnej torbie zapinanej na zamek błyskawiczny.

Upadłem na kolana.

Siwowłosa mężczyzna z brodą, w zielonej bluzie i szarych, sportowych spodniach siedział przy stole kuchennym i trzymał dyktafon. U jego stóp spoczywała czarna skórzana torba. Stetoskop wokół szyi. Nieco specyficzna wizyta domowa.

Spojrzał na mnie, jakby stawiał diagnozę. Ale bez współczucia, jedynie z ciekawością.

Odgłosy z sypialni.

Podniosłem się. Wszedłem tam chwiejnym krokiem. Znów zapach perfum. Dławiący.

Przy mosiężnym łóżku stał szczupły, łysy mężczyzna w granatowym garniturze, trzymając notes i złote pióro. Pościel była w nieładzie.

Linda siedziała na prześcieradle, ze skulonymi ramionami, z kolanami podciągniętymi pod brodę, ubrana w różowy, pikowany szlafrok. Wpatrywała się w przestrzeń.

Podbiegłem do niej. Przytuliłem... marmur.

Mężczyzna w granatowym garniturze odwrócił się. Zawsze szykownie się ubierał. Stanowił bardziej elegancką część „dziwnej pary”, kiedy był partnerem Mila. Dzisiaj również nie uczynił wyjątku... jasnoniebieska koszula z popeliny z szerokim kołnierzykiem z zapinką, krawat w czerwone i niebieskie pasy...

Dostrzegłem rdzawoczerwone plamy na lustrze nad toaletką.

Taka sama rdza na ścianach. Trzy dziury, odchodzące od nich pęknięcia, po lewej stronie lustra, blisko siebie. Błat toaletki w nieładzie: przewracane butelki z perfumami, bezkształtne plamy krwi, potrzaskana lustrzana taca. Krew kapiąca z toaletki. Wykładzina jak kompozycja odłamków szkła, krwistego błota, czegoś metalicznego. Rewolwer z orzechową rękojeścią, o krótkiej lufie. Dla mojego niewprawnego oka taki sam jak ten, który nosił Milo, gdy go w ogóle nosił.

Delano Hardy spojrział na mnie zdziwiony i powiedział:

– Doktorze... mówiła o panu. Martwiła się o pana.

– Nic mi nie jest.

– Jej też nic nie będzie.

Przytuliłem ją mocniej, pogłaskałem po plecach. Wciąż zmrożona.

– I nieźle się spisała – pochwalił Del. – Działała w samoobronie.

Wskazał na rewolwer.

„Świetnie strzelam...”.

– Twarda kobieta – powiedział bardzo cicho. – Głosowałbym na nią, gdyby kandydowała na szeryfa. Złożyła zeznanie naprawdę sensownie. Gdy już skończyliśmy, popadła w stan, w jakim jest teraz. Według opinii koronera ogarnia ją szok. Nie szok fizyczny, ale psychiczny – to pańska działka. Pod względem fizycznym nic jej nie jest, wszystko w normie. Koroner ją zbadał, powiedział, że jest twarda, dał jej coś na uspokojenie, to sprawiło, że jest senna. Powinna przez kilka dni być pod obserwacją. Jedzie już karetka ze Szpitala Uniwersyteckiego Los Angeles.

Del Hardy mówił szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Mimo tylu lat, tylu nieboszczyków, wciąż potrafił być wrażliwy. Dlatego go lubiłem. Pomijając fakt, że ocalił mi życie. Dawno temu...

– Już jest, Del – powiedziałem.

– Co takiego?

– Karetka. Już przyjechała.

– Ach. – Del spojrzał na mnie, jakby też stawiał diagnozę.

Przytuliłem Linde mocniej. Chciałem ją ogarnąć bez reszty, być dla niej wszystkim. W końcu wtuliła się we mnie, ale była nadal zimna i bierna jak plastelina.

Milo wszedł do pokoju.

Oczy Dela rozszerzyły się ze zdumienia.

– Musiała być niezła impreza, kolego.

– Było gorąco w innej dzielnicy – odparł Milo. – Żałuj, że cię tam nie było. – Obszarpany, ale pełen godności. Spojrzał na Linde i porozumiał się z Delem wzrokiem. Jak dawniej, poczułem się jak ktoś z zewnątrz. Nie przeszkadzało mi to.

Hardy powtórzył kilka informacji, które przed chwilą mi przekazał. Zdawał się mówić jeszcze szybciej. Chciał uspokoić Mila.

Linda zaczęła trząść się gwałtownie. Przytuliłem ją mocno, ale to nie było w stanie powstrzymać jej drżenia.

Na wielkiej twarzy Mila dostrzegłem ból i współczucie.

– Porozmawiajmy na zewnątrz, Del – zaproponował.

Del skinął głową, schował pióro i notes.

– Niech pan nie pozwoli jej zmarznąć, doktoru. Proszę ją przykryć kołdrą. Powinna odpoczywać – poradził.

Wyszli.

Położyłem Linde na łóżku i opatuliłem kołdrą. Pogłaskałem jej włosy, twarz. Wciąż drżała. Powoli drzenie mijało, w końcu ustało. Zaczęła oddychać miarowo. Dotknąłem jej policzka. Pocałowałem go. Pocałowałem jej oczy. Poczekaliśmy do chwili, aż byłem pewien, że jest pogrążona w głębokim śnie i wróciłem do salonu.

Del i Milo odprowadzali do drzwi koronera w zielonej kurtce. Jego spodnie miały ostry kant. Wszyscy się elegancko poubierali na dzisiejszą noc.

Milo miał założonych kilka bandaży.

Gdy koroner poszedł, Del wskazał na plastikowy worek z ciałem.

– Intruz dostał się do środka, otwierając zamek wytrychem – wyjaśnił. – Miał profesjonalny zestaw. Ale narobił zbyt dużo hałasu i obudził swą ofiarę. Choć nie powiem, żeby jakoś szczególnie spartaczył robotę, właściwie była wykonana całkiem nieźle.

Wskazał na framugę drzwi. Nie widać było żadnych śladów zarysowań.

Milo przyjrzał się drzwiom i powiedział:

– Czyściutkie. Nie ma śladu proszku do zdejmowania odcisków palców. W sypialni też nie ma proszku. Widziałem na dole chłopców z daktyloskopii. Skąd ta zwłoka?

– To mój rozkaz – odpowiedział Del. – Nie dałem im jeszcze pozwolenia. Mundurowi, którzy tutaj przyjechali, sądzą, że nie dotykali framugi, ale łapali za klamkę i nieźle zdeptali sypialnię, gdy do niej wpadli. Byli przecież wezwani w celu zapewnienia ochrony, a nie zabezpieczenia śladów.

– Racja – przyznał Milo.

– Chciałbym cię o coś zapytać – zaczął Del. – Czy jest jakiś sens robienia tego całego rozgardiaszu? Większość śladów jest na jasnych powierzchniach, to oznacza użycie czarnego proszku. Wiesz, jaki z tego robi się śmietnik. Moim zdaniem to wygląda na czyste działanie w samoobronie. Badania koronera potwierdzają wszystko, co zeznała.

Milo pomyślał, potarł twarz i powiedział:

– Nie ma sensu.

– Jeśli mamy rozpętać zamieszanie, proszę bardzo. Ale po prostu według mnie to się mija z celem.

– Mija się z celem – zgodził się Milo. – Zajmę się tym, jeśli będą jakieś nieprzyjemności związane z procedurą. – Spojrzał na torbę z denatem. – Opowiedz mi bajeczkę do poduszki, Del.

– Słyszysz, że otwierają się drzwi, budzi się. Na ogół mocno śpi, ale dziś była niespokojna z powodu telefonu doktorka. – Del spojrzał na mnie. – Coś, że pana śledzono, jakieś dziwne sprawy związane z faszystami, których za bardzo nie mogłem zrozumieć. Dotarło do mnie w każdym razie, że zaczęła się niepokoić, ponieważ w pana głosie był lęk.

– To dobry powód, żeby się zacząć bać – stwierdził Milo.

Del spojrzął na jego rany i zapytał:

– Twoja impreza miała z tym coś wspólnego?

Milo westchnął przeciągle. Nagle wydał mi się słaby i sterany.

– To długa historia, Del. Nie uwierzyłbyś, gdybym chciał ci ją oddać za darmo.

– Czekam na propozycje.

– To opowieść na cztery drinki, Delano. Ty stawiasz, ja opowiadam. – Milo uśmiechnął się.

– Jak już skończymy z papierkową robotą?

– Pieprzyć papierkową robotę.

Hardy wzruszył ramionami.

– To ty jesteś szefem. Jeśli ktoś się przyczepi, że ta sprawa nie była porządnie zbadana, wszystko zrzucę na ciebie. Jesteś pewny, że nie chcesz jakiegoś koca?

– Nic mi nie jest – zbagatelizował Milo. – Opowiedz, co tu zaszło.

– Na czym stanąłem? – zapytał Del. – Aha. Była zdenerwowana. Tak zdenerwowana, że wyjęła swój rewolwer. To policyjna broń. Najwyraźniej należała do kogoś o imieniu Mondo, z Teksasu, skąd ona pochodzi, nie chciała o tym mówić. Jeśli to nie jest jakaś lewa spluwa, z tym pewnie też sobie poradzimy, co? W każdym razie miała pudełko amunicji, załadowała go, położyła na stoliku nocnym i chwyciła, gdy usłyszała kogoś w salonie. Ten ktoś wszedł na palcach do środka. Z okna nad łóżkiem padało światło. Zobaczyła, że napastnik czymś wymachuje (znaleźliśmy to w kącie, pałka z wystającymi gwoździami, ładna zabawka). Krzyknęła do napastnika, żeby się zatrzymał. Ale on nadal się zbliżał. Krzyknęła jeszcze raz, krzyczała bez przerwy. Ten człowiek nie zwracał uwagi. Więc opróżniła rewolwer. Trzy naboje trafiły nocnego gościa, trzy ominęły go i trafiły w ścianę. Cholernie dobrze strzelała, zważywszy na sytuację. Mam nadzieję, że nie będzie miała poczucia winy.

Uklęknął przy denacie.

– Teraz ta ciekawa część. – Pociągnął suwak torby skrywającej zwłoki.

Zobaczyliśmy twarz kobiety. Twarz małej kapucynki. Rozczochrane włosy, zabrudzone krwią. Oczy zamknięte. Lewe opuchnięte i śliwkowego koloru. Skóra poszarzała, taką zielonkawą szarością zarezerwowaną dla palety śmierci. W lewym policzku rubinowy otwór wielkości monety dwudziestopięciocentowej, z poczerniałymi brzegami. Suche, rozchylone wargi. Pomiędzy nimi pobłyskiwała koronka na zębie.

– Kobieta! Czy spodziewalibyście się czegoś takiego? – zapytał Hardy. – Żadnych dokumentów, nic przy sobie nie miała. Jedyne rzecz, którą powinniśmy pokryć proszkiem, to ta jej pałka. Mam

nadzieję, że czegoś się z tego dowiemy.

– Przedstawia się nazwiskiem Crisp – powiedziałem. – Audrey Crisp. To niekoniecznie musi być jej prawdziwe nazwisko.

– Doprawdy? – zmartwił się Del. – Cóż, Audrey Crisp jest już sztywna. – Potrząsnął głową. Pociągnął suwak jeszcze cal niżej. – Chcecie zobaczyć coś więcej?

– A jest jeszcze coś do oglądania? – spytał Milo.

– Jeszcze dwie dziury niżej.

Milo potrząsnął głową.

Del zamknął worek.

– Dama z kijem do baseballu. Te gwoździe, jak na jakiejś średniowiecznej broni. Jak maczuga czy coś w tym rodzaju. Chyba będzie to trzeba wprowadzić do naszego rejestru. Widziałeś kiedyś coś takiego, Milo?

Wszedłem z powrotem do sypialni. Usiadłem na łóżku. Linda otworzyła oczy, wymamrotała coś, co mogło znaczyć moje imię.

Przynajmniej tak się wydawało. Zdecydowałem, że to było moje imię.

Siła nadziei.

Odgarnąłem jej włosy z czoła i pocałowałem.

Zakwiliła coś, przewróciła się na bok i spojrzała na mnie.

Położyłem się obok niej i zamknąłem oczy. Gdy pielęgniarze z karetki przyszli po nią, musieli mnie obudzić. Musieli zdjąć moje ramię z jej talii i jej rękę z mojej.

Rozdział trzydziesty siódmy

Jej ojciec przyleciał następnego ranka z Teksasu. Oczekiwałem kogoś, kto by wyglądał jak Gary Cooper, a przybył Lyndon Johnson wyciągnięty spod walca: niski, tęgi, o wielkich uszach z małżowinami jak gitary, z nosem wskazującym na zamiłowanie do whisky i zmiętą brodą. Jedyne genetyczne powiązanie z Lindą, jakie byłem w stanie zauważyć, to dwie małe, delikatne dłonie. Jego ubiór też wyglądał nietypowo jak na teksańskiego policjanta. Sportowa, jasnoniebieska marynarka, żółta bluzka z trzema guzikami, białe, szerokie spodnie, brązowe, lakierowane mokasy.

Często zwracał się do mnie „sir”, nie będąc pewien, kim jestem. Nie był pewien, kim jest jego córka. Gdy wszedł do sali szpitalnej, uśmiechnęła się zmęczonym uśmiechem i pozostawiłem ich samych.

Wyjechała z nim następnego dnia i obiecała, że zadzwoni, gdy dotrze do San Antonio. Zadzwoiła wieczorem, ale jej głos brzmiał niepewnie, jakby ktoś słuchał tej rozmowy i nie mogła mówić swobodnie.

Powiedziałem jej, żeby się nie spieszyła, żeby odpoczęła i doszła do siebie. Dopilnuję, czy wszystko w porządku u dzieci z Hale’a. Poprosiłem, żeby zwróciła się do mnie, jeśli tylko będzie mnie potrzebować. Starłem się, żeby to brzmiało przekonująco, jak przemowa terapeuty.

– To wiele dla mnie znaczy, Alex – powiedziała. – Jestem pewna, że dzieciom nic nie będzie. Ten człowiek, który mnie zastępuje, jest naprawdę niezły. Chodziłam z nim do szkoły i wiem, że świetnie sobie poradzi.

– Cieszę się.

– Czy on może do ciebie zadzwonić? Po porady?

– Oczywiście.

– Dzięki. Jesteś wspaniały.

– Puszę się z dumy.

– Naprawdę tak uważam. Przy okazji, Carla ma prezent dla ciebie, kupiliśmy go w zeszłym tygodniu. To dzieła zebrane Marka Twaina. Wiem, że lubisz książki. Mam nadzieję, że lubisz Twaina.

– Uwielbiam Twaina.

– To stare wydanie, książki oprawne w skórę, naprawdę ładne. Sama je dla ciebie znalazłam w antykwariacie. Żałuję, że nie mogę ci go wręczyć osobiście. Ale Carla ci wszystko prześle. Chyba że będziesz w szkole. W takim wypadku będziesz mógł sam odebrać. Leży u mnie w gabinecie na

biurku.

– Wpadnę tam. Dziękuję.

Zapadła chwila ciszy.

– Alex, wiem, że to bezczelne, ale czy sądzisz, że mógłbyś tu przyjechać, spędzić ze mną trochę czasu? Niekoniecznie od razu, ale może nieco później.

– Uważam, że to świetna myśl.

– Cudownie! Oprowadzę cię. Zabawimy się. Przyrzekam. Po raz drugi będziesz mógł spróbować preparowanego owsa. Kiedy tylko wszystko się uspokoi.

– Czekam na ten moment z niecierpliwością. Pamiętaj o Alamo.

– Pamiętaj o mnie.

* * *

Później tego dnia wpadła Robin z kanapkami i butelką wina, pięknym uśmiechem i delikatnym, szybkim pocałunkiem w usta.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie przy stoliku, który ręcznie wyrzeźbiła kilka lat temu.

Minęło wiele czasu od chwili, gdy byliśmy w tym samym pokoju. Gdybyśmy to zaplanowali, spędziłbym godziny w strachu przed tym spotkaniem. Ale było miło. Żadnych fizycznych zbliżeń, żadnych podtekstów, żadnych przemyślanych posunięć ani sztywności. Bez rozdrapywania starych ran, bez wypominania. Po prostu nie było żadnych blizn. A może to z powodu wina?

Siedzieliśmy, rozmawiając, jedząc, pijąc, dyskutując na temat opłakanego stanu świata, na temat niebezpieczeństw zawodowych. Opowiadaliśmy sobie świńskie kawały. Atmosfera była ulotna, delikatna. Jakby się między nami zrodziło coś zdrowego.

Zacząłem wierzyć, że przyjaźń jest możliwa.

I gdy Milo po mnie przyjechał, byłem w zadziwiająco dobrym nastroju.

Rozdział trzydziesty ósmy

Obserwacje. Aż tyłek drętwieje.

Ale przyjemnie być po drugiej stronie.

Przez pierwsze dwa dni żadnych efektów. Poznałem, co to jest gliniarska nuda, zwątpienie w swoje możliwości. Jak nawet najlepsza przyjaźń może zostać nadwerężona, gdy zbyt mało się dzieje. Ale odrzucałem wysuwane wciąż przez Mila propozycje, żebym dał sobie spokój.

– Co się dzieje? Przeżywasz rok masochizmu?

– Rok doprowadzania spraw do końca.

– Jeżeli sprawdzą się twoje podejrzenia – powiedział.

– Jeżeli.

– Cała masa tych „jeżeli”.

– Jeśli nie chcesz zadawać sobie trudu, sam się tym zajmę – oświadczyłem.

Uśmiechnął się i odwrócił do mnie. Opuchlizna już mu zeszała, siniaki zrobiły się zielone, ale jedno oko wciąż miał nabrzmiąle i zwilgotniałe, a poza tym chodził sztywno.

– Nie, Alex – rzekł cicho. – Uważam, że warto cię słuchać. Zawsze tak uważałem. Poza tym, co mamy do stracenia, oprócz zdrowych zmysłów, a tego też nam nie pozostało za wiele. To dopiero czterdzieści osiem godzin. Poczekajmy przynajmniej jeszcze dwa dni.

Więc siedzieliśmy w wynajętym samochodzie, aż tyłki nam prawie zamarzły. Jedliśmy nieświeże jedzenie z baru szybkiej obsługi, rozwiązywaliśmy krzyżówki, wdawaliśmy się w idiotyczne gadki, na które w innych okolicznościach żaden z nas by sobie nie pozwolił.

To się stało drugiego dnia. Kasztanowe volvo przyjechało do dzielnicy podmiejskiej jak zwykle, ale tym razem minęło swój dom i udało się w stronę autostrady 405.

Milo trzymał się z tyłu, aż volvo wjechało na pas wiodący na północ, po czym jechał za nim w odległości kilku długości samochodu.

– Widzisz – powiedział, kręcąc kierownicą jednym palcem. – Tak to się robi. Subtelnie. Musiałby posiadać moce nadprzyrodzone, żeby nas zobaczyć.

Mówił pewnym siebie głosem, ale wciąż zerkał w lusterko wsteczne.

– A jak tam twoje moce nadprzyrodzone? – spytałem.

– W stanie podwyższonej gotowości. – A potem dodał: – Wiedziałem, że Wydział Policji przełknie tę historyjkę, nie mówiłem ci?

Jego historyjkę. Pourazowa reakcja stresowa. Potrzeba odpoczynku, ucieczki z Los Angeles.

Był dokładny. Kupił bilet lotniczy do Indianapolis. Pokazał się na lotnisku w Los Angeles i wyszedł z kolejki tuż przed wejściem na pokład samolotu. Wynajął cadillaca i pojechał do Valley. Zameldował się w motelu w Agoura pod nazwiskiem S. L. Euth.

A potem obserwacja. Z drugiej strony.

Odbierał mnie w ustalonym miejscu, które codziennie zmienialiśmy.

Obserwowaliśmy. Sprawdzaliśmy, czy sami nie jesteśmy obserwowani.

Dziś był ubrany w brązową koszulkę polo, beżowe sztruksy, białe adidasy. Na głowie miał starą czapkę drużyny Dodgers.

– Hmm, ładna skóra – pochwalił, głaszcząc kawowy podłokietnik, przedzielający przednie siedzenia cadillaca. – Niezły, mimo że się jakoś tak ociężale prowadzi. Teraz rozumiem, dlaczego nie chcesz się pozbyć swojego.

– Nie rzuca się zbyt w oczy i można go używać do śledzenia kogoś.

– W Los Angeles to jak chevrolet, koleś. W zamożniejszych dzielnicach takimi wózkami jeździ pomoc domowa. – Uśmiechnął się. – Poza tym jest brązowy. Pasuje do ogólnej kolorystyki tej sprawy. Miesza się ładnie z tym całym gównem.

Pojechaliśmy za volvo na 101 w kierunku Ventura, trzymaliśmy się go całą drogę przez Valley. Gdy zjechał na 23 na północ tuż za Westlake Village, Milo wyprostował się i uśmiechnął.

– No to zobaczmy, ile warte były te domysły – powiedziałem.

Przeniknęliśmy obok kilku zakładów przemysłowych. Tynkowane lub okładane lustrzanym szkłem budynki z nieokreślonymi znakami firmowymi, parkingami strzeżonymi przez wartowników i ulicami o takich nazwach jak: Aleja Nauki albo Rondo Postępu. Volvo jechało dalej.

Gdy w Moorpark ruch się przerzedził, Milo zjechał na pobocze i zatrzymał się.

– Co się stało? – spytałem.

– Teraz jesteśmy zbyt podejrzani. Musimy dać mu milę i dogonimy go.

– Nie martwisz się, że go zgubisz?

Potrząsnął głową.

– Przecież wiemy dokąd jedzie, prawda?

– Jeśli nasze informacje są prawdziwe.

– To są informacje od pułkownika – przypomniał. Zmarszczył brwi, spojrzął na zegarek i wjechał z powrotem na drogę. Szosa zamieniła się w kanion Grimes i przerodziła w wąską, krętą przełęcz górską. Żadne inne samochody nie jechały w tę samą stronę. Z przeciwnego kierunku minęło nas kilka ogromnych cystern. Zakręty stały się wyzwaniem dla cadillaca i Milo położył obie dłonie na kierownicy.

– Teraz ta jego ociężałość wcale nie jest taka śmieszna – burknął.

– Mogłeś pożyczyć hondę od pułkownika – powiedziałem.

– Jasne. Bóg jeden wie, jakimi bzdetami i gadżetami ją naszpikował. Czy mógłbyś rozmawiać swobodnie w czymś, co należy do niego?

– Nie.

– On i te jego banki danych. Ten facet ma więcej informacji niż urząd podatkowy. Widziałeś, jak szybko zdobył to, co chciał? Ale spróbuj dowiedzieć się czegoś o nim, to nagle inne banki danych strasznie szybko wysychają. Sprawdziłem wszystko w wiarygodnym źródle, Alex. U tego samego faceta z Waszyngtonu, który pomógł mi wytropić Kaltenbluda. Jedyne, co jego komputer miał do powiedzenia na temat pułkownika, to nazwisko, stopień wojskowy, datę odejścia z wojska. To samo dotyczy majora Bunyana.

– Wojownik Nowej Ery staje się Przedsiębiorcą Nowej Ery – powiedziałem. – Nie określałbym go mianem pułkownika.

– A jak? Urzędnik? On wciąż działa jak pułkownik. Nawet jak generał. Jak przyjrzyś się kadrom w jakiegokolwiek organizacji, zawsze znajdziesz tam dupków dokładnie takich jak on.

Nagle znów się zezłościł.

– Uważa, że uratował nam życie – przypomniałem.

Milo mruknął coś.

– Może uratował – dodałem. – Ale sądzę, że bez niego też mieliśmy niezłą szansę. Ten twój fortel ze Śpiącą Królewną nawet mnie zaskoczył.

Znowu mruknął. Droga zrobiła się prosta i znaleźliśmy się na terenach uprawnych; otoczone górami, podzielone jak pod linijkę pola niziny, gotowe do zbiorów. Krowy pasące się obok przypominających koniki polne studni naftowych. Farmy trzody chlewnej i niosek; hodowle koni, gdzie wspaniałe araby kłusowały dumnie wzdłuż przydrożnych padoków; akry owoców cytrusowych,

uprawianych dla firmy Sunkist.

Najdalszy punkt widoczny z okien gabinetu Howarda Burdena.

Kasztanowego volvo nie było nigdzie widać.

– Ładnie – oceniłem, patrząc przez przednią szybę na czyste błękitne niebo. – Jak się spieszyć to z klasą.

Przejechaliśmy przez zielony mostek nad wyschniętym korytem rzeki Santa Clara i podążaliśmy w stronę skrzyżowania ze 126 w Fillmore. Minęliśmy dzielnicę handlową, składającą się z zadbanej jednopiętrowych budynków z cegły, przy nieskazitelnych, opustoszałych handlowych ulicach, obrzeżonych prostopadłymi stanowiskami parkingowymi bez parkometrów. Mijaliśmy stacje benzynowe z załogami ubranymi w uniformy i budkę z piwem korzennym pod nazwą Oszroniony Kufel, która nadawałaby się jako element scenografii do filmu *Amerykańskie graffiti*. Dalej znów szosa i gaje cytrusowe, rancza i stoiska z płodami rolnymi reklamujące orzechy, oliwki, pomidory, kukurydzę i „zdrową” wołowinę.

Zaledwie kilka mil do podnóża gór i do Piru. Obrzeża miasteczka stanowiły bezużyteczne tory kolejowe i magazyny na owoce cytrusowe. Bezpańskie wraki samochodów i masa kurzu. Sto jardów dalej stały grupki małych, skromnych domów. Jedno – i dwupokojowe budynki, ustawione bez ładu i składu na ogrodzonych, piaszczystych podwórkach. Wzdłuż drogi rosły nieprzycinane drzewa: palmy daktylowe, śliwy, buki i chlebowce o grubych konarach, wydzielające lepki zapach, który przedostał się do samochodu. Kurczaki na podwórkach. Dzieciaki w kojcach, bawiące się tym, co wpadło im w ręce. Brodziki z dmuchanej ceraty. Kilka dorosłych twarzy, ogorzałych od słońca i poważnych. Starsze i latynoskie.

Ulica Główna była długa na kilka przecznic i ciągnęła się obok parterowego banku, tak małego, że przypominał makietę z wystawy. Był zbudowany z żółtej cegły, z dachem krytym dachówką, ze złotymi napisami na oknach ponad zaciągniętymi weneckimi żaluzjami. NIECZYNNE. Sklep, ze dwa bary. Na jednym ręcznie wypisany plakat, przyklejony na frontowym oknie: SPRZEDAŻ GAZET, i drewniany, przypominający stodołę budynek reklamujący naprawy pojazdów i artykuły żelazne.

Milo pojechał jeszcze kawałek, aż znaleźliśmy trochę wolnego miejsca. Zatrzymał się, zajrzał do atlasu, stuknął palcem w mapę i oznajmił:

– W porządku. Nie ma problemu. Tu wszystko da się znaleźć. Przecież to nie jest jakieś wielomilionowe miasto.

– Nie ma problemu – dodałem sceptycznie – jeśli wiesz, czego masz szukać.

Okrzyżował sklep żelazny, przejechał boczną uliczką, przeciął główną i kluczył jeszcze trochę, aż wjechał na Orchard. Droga nieco się pogorszyła, zmieniała się w gruntową i zakończyła placem otoczonym bungalowami. Otynkowane na żółto budynki o płaskich dachach. Segmentów naliczyłem sześć, stały oddalone od siebie o niecałą stopę. Pośrodku gipsowa fontanna, która od dawna nie tryskała wodą. Volvo było zaparkowane przy krawężniku, z opuszczonymi szybami, puste,

z kartonową osłoną przeciwsłoneczną rozpostartą za przednią szybą.

Wysiedliśmy. Nagrzane powietrze pachniało marmoladą. Przeszliśmy obok bungalowów zakurzoną ścieżką, która biegła z prawej strony placyku. Za segmentami, na czymś w rodzaju tylnego podwórka, stał jeszcze jeden budynek, otoczony sięgającymi pasa sztachetami, które należało oskrobać i pomalować. Biała chatka, zielone futryny i okiennice, smołowany dach, zdeformowana weranda, drewniana huśtawka wisząca krzywo na jednym kawałku liny. Po lewej, z piasku wyrastała wierzba płacząca. Potężna i bogata w listowie, więziła maleńki dom w szerokim, czarnym owalu cienia.

Zasłony były zaciągnięte. Milo ruszył na lewo od wielkiego drzewa. Dwa stopnie prowadzące na betonowy ganek, tylne drzwi z deszczułek. Zapukał.

– Kto tam? – spytał jakiś głos.

– *Naranjas** [Pomarańcze (hiszp..)] – odparł Milo.

– Dziękuję, mamy.

Milo powiedział głośniejszym zniekształconym głosem:

– *Naranjas! Muy barato! Muy bonito!*** [Pomarańcze! Bardzo tanio! Bardzo dobre! (hiszp..)]

Drzwi się otworzyły. Milo zablokował je stopą i uśmiechnął się. Ted Dinwiddie patrzył na nas, zaskoczony. Jego rudawa twarz pocętkowana była bladymi plamkami.

– Ja... – powiedział i zamarł w bezruchu.

Był ubrany tak samo jak wtedy w sklepie. Tylko nie miał fartucha. Niebieska koszula z popeliny z rękawami podwiniętymi do łokci, krawat poluzowany przy szyi, spodnie khaki, skórzane buty na gumowych podszewkach. Ten sam stary strój kupiecki, jaki miał na sobie codziennie.

Patrzył na nas. W końcu zdołał poruszyć wargami.

– O co chodzi?

– Mimo że matka całe lata próbowała mnie przekonać, nigdy nie lubiłem szparagów – zwierzył się Milo. – Więc przyjechaliśmy, żeby dowiedzieć się, co innego ma pan nam do zaoferowania.

– Nie wiem co – wyjąkał Dinwiddie.

– Niech pan posłucha – powiedział Milo głosem, który brzmiał jednocześnie łagodnie i przerażająco. – Nigdy nie byłem szczególnie urodziwy i bardzo muszę się starać, gdy idę ulicą, żeby nie straszyć dzieci. To – wskazał swoje oko – specjalnie mi w tych staraniach nie pomaga.

– Przykro... – zaczął Dinwiddie.

– Niech pan sobie wsadzi w buty swoje współczucie – przerwał mu Milo. – Gdyby od razu był pan nieco bardziej otwarty, mogłoby to mi oszczędzić znacznej dozy bólu i cierpienia.

– Jest skromny – odezwałem się. – Niewiele brakowało, a obaj zginęlibyśmy, usiłując to wszystko rozwikłać.

– Wiem o tym – oznajmił Dinwiddie. – Czytuję gazety, na miłość boską. – Przygryzł wargi. – Przykro mi. Nie chciałem, żeby...

– Więc może wpuści nas pan, żebyśmy skryli się przed tym upałem? – zaproponował Milo.

– Ja... A czemu miałyby to służyć?

Milo odwrócił się w moją stronę.

– Jakiego zwrotu pan użył, doktorze Delaware?

– Doprowadzić sprawy do końca.

– Żeby doprowadzić sprawy do końca, Ted. Doktor Delaware i ja chcielibyśmy doprowadzić sprawy do końca.

Dinwiddie znów przygryzł wargę i szarpnął swój słomiany wąs.

– Do końca – powtórzył.

– Studiował pan psychologię? – zastanawiał się Milo. – Czy socjologię? W każdym razie to powinno coś dla pana znaczyć. Poszukiwania znaczenia i skończoności w okrutnym, dwulicowym świecie? Ludzkie dążenia do rozstrzygnięcia „o co tu, kurwa, chodzi?”.

Uśmiechnął się i położył dłoń na kłamce.

– A potem co? – spytał Dinwiddie.

– To wszystko, Ted. Słowo harcerza.

– Nie wierzę już w przysięgi, detektywie.

Milo uniósł daszek czapeczki baseballowej i otarł pot z czoła. Odgarnął czarne włosy i ukazał białą, spoconą skórę, posiniaczoną, podrapaną i poranioną.

Dinwiddie zamrugał.

Milo postukał nogą w próg.

– Stracił pan niewinność, co? Niestety, Panie Czyścioszku, jeszcze trzeba wiele wyjaśnić.

Za Dinwiddiem rozległ się jakiś głos. Nie można było zrozumieć słów, ale ton był wyraźnie

pytający. Sklepikarz spojrział przez ramię i Milo wykorzystał ten moment, żeby chwycić go za barki, odsunąć jak zabawkę i wejść do domu.

Zanim Dinwiddie zdał sobie sprawę, co się dzieje, również byłem w środku. Mała kuchnia rozgrzana jak sauna, z białymi szafkami i blatami bufetów wykładanymi żółtymi kafelkami, wykończonymi ciemnoczerwoną listwą. Otwarte drzwi do wykończonego boazerią pokoju. Żółte, olejne ściany, biały, żeliwny zlew, kuchenka gazowa z czterema palnikami. Na jednym z palników żaroodporny dzbanek napełniony do połowy wodą. Na bufecie pięć wielkich papierowych toreb z nadrukiem nazwy sklepu Dinwiddiego. Szósta torba rozpakowana: pudełka z płatkami zbożowymi, torby z mąką pszenną i z cukrem, parówki, wędzone wędliny i ryby, makaron, herbata, wielka brązowa puszka wyborowej kawy kolumbijskiej.

Puszkę trzymał chłopak ubrany w koszulkę i obcięte dzinsy. Wiedziałem, ile ma lat, ale wyglądał młodziej. Mógł być w ostatniej klasie liceum. Wysoki jak gracz w koszykówkę.

Był brązowy jak puszka, którą trzymał. Bardzo wysoki, bardzo szczupły, jasnobrązowe włosy przystrzyżone na dwucalowe afro, dłuższe niż na zdjęciu. Pełne usta, rzymski nos. Nos jego ojca.

Migdałowe oczy wypełnione przerażeniem.

Uniósł puszkę, jakby to była broń.

– W porządku, synu – uspokoił go Milo. – Nie chcemy cię skrzywdzić.

Chłopak szybko odwrócił głowę w stronę Dinwiddiego.

– To ci dwaj, o których ci opowiadałem, Lee – odezwał się sklepikarz. – Gliniarz i psycholog. Według gazet oni są po naszej stronie.

– Według gazet. – Chłopak skrzywił się. Chciał, żeby zabrzmiało to prowokacyjnie, ale głos miał piskliwy, niedojrzały w swym braku pewności. Jego wielkie dłonie zacisnęły się na puszcze. Nogi miał chude i nieowłosione, jak laski cynamonu wsparte na bosych stopach.

– Nie chcę z wami rozmawiać – oświadczył.

– Być może – powiedział Milo, podchodząc do niego i stając tuż przed nim. Popatrzył mu w oczy. – Ale jesteś nam coś winien, synu. Jeszcze komuś jesteś coś winien, ale na to już za późno. Możesz przynajmniej spłacić ten dług.

Chłopak odwrócił głowę i zamrugał. Dłoń trzymająca puszkę zadrżała. Milo wyciągnął rękę i odebrał ją od niego.

– Palona we Francji – mruknął, przyglądając się etykietce. – Najlepsza jakość dla takiego ważnego uciekiniera, hmm? I te wszystkie inne dobre rzeczy. – Wykonał gest w stronę bufetu. – Płatki. Makaron, jaki to rodzaj, tagliarini? Wygląda na to, że zgromadziłeś sobie zapasy na dłuższy czas, synu. Wygodnie. Znacznie wygodniej niż tam, gdzie skończyła Holly.

Chłopak zamknął oczy i otworzył je, mrugnął znowu. Kilka razy. Mocniej. Łza stoczyła mu się po policzku, a jabłko Adama uniosło się i opadło.

– Ike – odezwał się Dinwiddie zaniepokojony. – Rozmawialiśmy o tym. Nie pozwól mu obarczyć się winą. – Zimne spojrzenie na Mila. – Czy on jeszcze za mało przeszedł?

– Trzeba mówić prawdę, niezależnie, jaka jest – zacytował Milo. – Czy kiedyś nie żyłeś zgodnie z tą zasadą, Ted?

Na twarz Dinwiddiego powrócił rumieniec, a jego potężne ręce pokryły wgórki napiętych mięśni. Był mocno spocony. Zdałem sobie sprawę, że sam jestem zupełnie mokry. Wszyscy czterej byliśmy mokrzy.

Dinwiddie szarpnął swój wąs i opuścił głowę jak byk gotów do ataku. Wyczułem, że dojdzie do konfrontacji.

– Nie jesteśmy twoimi wrogami – odezwałem się do chłopaka – Czasami gazetom zdarza się nie kłamać. Wiemy, przez co przeszedłeś, synu. Uciezki. Oglądanie się przez ramię. Wieczny brak pewności, komu ufać. To musiało być piekło. Więc nikt nie twierdzi, że na twoim miejscu poradziłby sobie z tym lepiej. Postąpiłeś tak, jak musiałeś. Ale to, co wiesz, może być przydatne, żeby usunąć zło, które jeszcze pozostało. Żeby osuszyć to bagno do końca. Terry Crevolin zgodził się na rozmowę, a on jest szczególnym idealistą. A ty?

Chłopak się nie odezwał.

– Nie będziemy cię zmuszać – zadeklarowałem. – Nikt nie ma takiego prawa. Ale jak długo możesz tak żyć?

– Kłamstwa – odezwał się ktoś ostrym głosem.

Bardzo mała, stara kobieta, ubrana w szaroróżową, wzorzystą sukienkę, na którą, pomimo upału, miała założony zgrzebnie dziergany, rozpinany sweter koloru owsianki. Spod sukienki wystawały krzywe nogi odziane w pończochy i przydeptane sandały. Twarz, pod aureolą siwej czupryny, miała pomarszczoną i pokrytą piegami. Wielkie, ciemne oczy, wyraziste i nieruchome.

Nie zdziwiło mnie, gdy się pojawiła. Pamiętałem, jak zareagował Latch i Ahlward, gdy mówiłem, jak ją sprzątnęli z ulicy i pozbyli się ciała.

Nie uśmiechali się wówczas, nie przypisywali sobie zasług.

Wymienili tylko spojrzenia.

Moja dedukcja.

Ale coś mnie zaskoczyło.

Tak pewne dłonie u kogoś tak małego i starego. Dzierzące bardzo wielką dubeltówkę.

– Kozaki – warknęła. – Kłamliwe dranie.

Ostry wzrok. Zbyt ostry. Było w nim coś więcej niż przytomność umysłu.

Przesadna ostrość. Jak ogień, który zbyt długo palił się zbyt dużym płomieniem.

– Babciu, co robisz! – powiedział Ike. – Odłóż to!

– Kozaki! Pogrom co Boże Narodzenie, gwałty i mordy i oddawanie niemowląt faszystom na pożarcie.

Wymierzyła do mnie, przytrzymała mnie przez chwilę na muszce, przesunęła lufę na Mila, następnie na Dinwiddiego. Na Ike'a i znów na Dinwiddiego.

– Uspokój się, Sophie – powiedział sklepikarz.

– Stój w miejscu albo cię rozwalę, ty kozacki łajdaku – powiedziała staruszka. Wzrok przeskakiwał jej z jednego wyimaginowanego wroga na drugiego. Ręce jej zadrżały, dubeltówka zatrzęsła się.

– Babciu, dość! – odezwał się Ike. – Odłóż to!

Głośno. Nieco piskliwie. Jak nastolatek, który protestuje przed niesprawiedliwą karą.

Przyjrzała mu się na tyle długo, żeby dotarło do niej, że coś jest nie tak.

– W porządku – rzekł Dinwiddie, wykonując jedną ręką uspokajający gest i robiąc krok do przodu.

Jej wzrok szybko przeniósł się z powrotem na niego.

– Stój! Rozwalę cię, ty cholerny kozaku!

– Babciu! – krzyknął Ike.

– Spokojnie – powiedział Dinwiddie i ruszył w stronę staruszki.

Pociągnęła za spust. Cichy trzask.

Spojrzała na broń, jeszcze bardziej zdezorientowana. Dinwiddie chwycił jedną ręką orzechową kolbę, drugą lufę i usiłował jej wyrwać broń. Nie puszczała, klnąc, najpierw po angielsku, a potem głośniej i szybciej, jak sądzę, po rosyjsku.

– Spokojnie, Sophie – powtórzył Dinwiddie, ostrożnie odciągając palce zaciśnięte na broni. Pozbawiona jej, zaczęła piszczeć i bić go. Ike podbiegł do niej, usiłował ją powstrzymać, ale rzuciła się na niego i dalej klęła. Chłopak zmagał się z nią, przyjmował razy, starał się być delikatny, łzy spływały mu po twarzy.

– Nie naładowana – wyjaśnił Dinwiddie, podając dubeltówkę Milowi. – Wyjąłem naboje, kiedy byłem tutaj ostatnim razem.

Ike patrzył na niego z rozdziawionymi ustami.

– Gdzie? Gdzie je położyłeś?

– Nie ma ich tutaj. Zabrałem je ze sobą.

– Dlaczego, Ted? – spytał Ike głośno, żeby przekrzyczeć wyzwiska staruszki. Jego wysokie ciało górowało nad jej niewielką, odzianą w sweter sylwetką. Usiłował ją otoczyć swymi pajęczymi ramionami, jednocześnie skupiając uwagę na Dinwiddiem.

Ten rozłożył ręce i oznajmił:

– Musiałem, Ike. Przy jej zachowaniu... Sam widziałeś.

– Ona nawet nie wie, jak się tym posługiwać, Ted! Też sam widziałeś!

– Nie mogłem ryzykować, Ike. Tak jej się pogorszyło ostatnim razem, więc... Wiesz, że to prawda. Rozmawialiśmy o tym, że cię to martwi. Nie chciałem, żeby coś się stało. Najwyraźniej miałem rację.

Na twarzy chłopaka malowało się wiele uczuć naraz. Łagodny spokój na użytek staruszki, pomieszany z bólem i gniewem zdrady, gdy patrzył na nas.

– A co z naszym bezpieczeństwem, Ted? Co z naszą umową! W jakiej pozycji nas to stawiało! Powiedz mi, Ted!

– To było postępowanie wymuszone sytuacją – odparł Dinwiddie. – Cóż mogłem zrobić? Nie mogłem ryzykować, że ona...

Ike zaczął tupać i krzyczeć.

– Potrzebna nam jest ochrona! Ochrona w postaci dubeltówki! Wiem, co można zrobić dubeltówką – widziałem. Dlatego właśnie prosiłem cię o dubeltówkę, Ted, nie jakąś głupią metalową rurkę, która wydaje trzask i strzela powietrzem! Załatwiłeś mi dubeltówkę, ponieważ jest mi potrzebna, Ted. A teraz wydierasz mi ją, nawet nie... Jak mogłeś to zrobić, Ted!

Jego gniew uciszył staruszkę. Przestała się szarpać, patrzyła na niego niewinnie, zdziwiona jak niemowlę na pierwszym spacerze.

Dinwiddie potrząsnął głową, odwrócił się i oparł łokcie na bufecie. Jedną ręką zrzucił opakowanie makaronu. Podniósł je, spojrział na nie nieobecny wzrokiem.

Milo obejrzał dubeltówkę.

– Prosto ze sklepu, jeszcze nigdy nie była używana.

Kuchnię wypełniła cisza, dławiła ją, wysysała tlen.

– Jaki to dobry chłopak – zachwyciła się staruszka, wyciągając rękę i dotykając policzka Ike'a. – Gdy kozacy przyjdą, będziesz bronił swojej Busi.

– Tak, Babciu.

– Tak, Busiu.

– Tak, Busiu. Jak się czujesz?

– Może nieco zmęczona. – Wzruszyła ramionami.

– Może się zdrzemniesz, Busiu?

Znów wzruszenie ramion. Ujęła jedną jego dłoń w swoje ręce i pocałowała ją.

Odprowadził ją do pokoju.

Miło ruszył za nimi.

Ike odwrócił się gwałtownie.

– Niech się pan nie martwi, panie detektywie. Nigdzie się nie wybieram. Już nie mam siły nigdzie uciekać. Niech mi pan tylko pozwoli się nią zająć. Potem wrócę i może pan robić ze mną, co chce.

* * *

Czekaliśmy na niego w salonie. Sękata, sosnowa boazeria, prawdziwy kominek, zbudowany z polnych kamieni, bibeloty, które kiedyś musiały dla kogoś mieć jakieś znaczenie, tkany dywanik, mocno wytarte fotele, stoliki na trzech nogach, kilka trofeów rybackich na sklejkach powieszonych nad kominkiem. Obok nich zdjęcie uśmiechniętego chłopca o białych włosach, trzymającego wielkiego pstrąga. Przypomniało mi fotografię dwójki dzieci, które widziałem w gabinecie Dinwiddiego. Ale to zdjęcie było czarno-białe, a ubranie chłopca niemodne od dwudziestu lub trzydziestu lat.

Pod spodem zdjęcie postawnego mężczyzny w butach rybackich, ramieniem obejmującego tego samego chłopca.

Dinwiddie zauważył, że się przyglądam.

– Często tutaj przyjeżdżaliśmy. Tata miał masę ziemi w tej okolicy. Wykupił ją po wojnie z nadzieją zajęcia się jednocześnie uprawą i sprzedażą. Chciał pozbyć się pośredników, stać się

naprawdę bogaty. Kilka zimnych lat zniweczyło zyski z cytrusów, a raty do spłacania pozostały takie same. Wielkie gospodarstwa mogły to przeczekać, ale to osłabiło entuzjazm taty, więc sprzedał znaczną część areału firmie Sunkist. Nadal przyjeżdżaliśmy tu co roku na parę tygodni i łowiliśmy ryby, tylko we dwójkę. W jeziorze Piru niegdyś aż kipiało od pstrągów i okoni. Przez ostatnich kilka lat było niewiele deszczu i wszystko wyschło. Nie wypuszczają nic z tarlisk w Fillmore, dopóki nie będą pewni, że wystarczająco dużo ryb przetrwa. Na pewno zauważyliście to, gdy przejeżdżaliście nad Santa Clara. Wyschnięte koryto.

Przytaknęliśmy wraz z Milem.

– Zrobić wam kawy czy czegoś innego? – spytał Dinwiddie.

Potrząsnęliśmy głowami.

– Na początku lat sześćdziesiątych tata znów napotkał problemy z przyływem gotówki i sprzedał większość ziemi, którą posiadał w mieście – ciągnął Dinwiddie. – Na przykład te bungalowy, które stoją z przodu, parcela, na której stoi teraz szkoła. Wszystko poszło. Szybko i tanio. Zostawiliśmy tylko ten dom, przypuszczam, że ojciec był bardziej sentymentalny, niż się przyznawał. Gdy zmarł, odziedziczyłem to, zacząłem tu przywozić swoich synów. Aż do czasu suszy. Doszedłem do wniosku, że to będzie niezłe miejsce. Kto zadaje sobie trud, żeby tutaj dojechać, oprócz kierowców ciężarówek? Masa Meksykanów i starszych ludzi – ta dwójka nie rzucałaby się w oczy.

– To ma sens – uznałem.

– Zrobiłem to, bo musiałem. Nie miałem wyboru po tym, gdy Ike poruszył moje sumienie.

Przerwał, czekał na jakiś komentarz, gdy żaden nie padł, kontynuował:

– Opowiadał o zagładzie Żydów i o tym, jak niewielu ludzi ich ukrywało. Twierdził, że można było zapobiec zagładzie, gdyby więcej ludzi się sprzeciwiło, gdyby się zachowali jak należy. Gdy się to słyszy, człowiek zaczyna się zastanawiać. Co sam by zrobił? Przypomina to ten eksperyment psychologiczny, który przeprowadzili wiele lat temu; jestem pewien, że słyszeliście o nim. Kazano ludziom grozić innym. Bez powodu. I większość ludzi się zgodziła. Po prostu wykonywali polecenie. Grozili zupełnie obcym ludziom, mimo iż wiedzieli, że to złe, mimo że nie chcieli. Zawsze mówiłem sobie, że ja zachowałbym się inaczej, byłbym jednym z tych szlachetnych. Ale nigdy nie byłem naprawdę pewien. Jak można być pewnym, kiedy to tylko teoria? Moje życie potoczyło się tak, że wszystko pozostawało teorią. Więc kiedy Ike do mnie zadzwonił, w środku nocy, przerażony, opowiedział mi, co mu próbowali zrobić, wiedziałem, co muszę uczynić. I wiem, że postąpiłem właściwie. Przykro mi, jeśli to przysporzyło wam...

– Porwał pan też tę starszą panią? – spytał Milo.

Dinwiddie przytaknął.

– Razem to zrobiliśmy. Nie pojechałaby sama ze mną. Ike narażał się, wracając do miasta. Wiedział, że go szukają. Ale ją kochał, martwił się, co się może z nią stać. Martwił się szczególnie,

że tak jej się pogorszyło.

– Co to jest, Alzheimer?

– Kto to wie? – odparł Dinwiddie. – Nie chce iść do lekarza. W jej wieku to może być wszystko, prawda? Miażdżyca, cokolwiek.

– Od jak dawna to trwa? – spytałem.

– Ike powiedział, że tylko od kilku miesięcy. Powiedział, że była taką bystrą kobietą przed tą zmianą, że większość ludzi nie spostrzegła niczego niezwykłego, bo gdy rozmawiała, wciąż mówiła z sensem. I dawniej też rozprawiała o spiskach – o kozakach, takich tam. Więc gdy zaczęła mówić o tym nieco więcej, któż by na to zwrócił uwagę? Przy jej obecnym stanie oczywiście to się daje zauważyć, ale tak jest zaledwie od kilku tygodni. Może z powodu stresu. Ukrywania się. Nie wiem.

Opuścił głowę, oparł czoło na dłoniach.

– Więc we dwójkę wróciliście do miasta i zabraliście ją – podpowiedział Milo.

– Tak – potwierdził Dinwiddie. – Gdy nie było jej w domu, Ike domyślił się, że albo jest w synagodze, albo spaceruje po okolicy. Zawsze uwielbiała spacerować. Od czasu tej zmiany zaczęła spacerować jeszcze częściej. Po ciemku, gdy było niebezpiecznie. Pojechaliśmy do synagogi, zobaczyliśmy, że wewnątrz coś się odbywa i czekaliśmy, aż wyjdzie. Wtedy ją zabraliśmy i przywieźliśmy tutaj. Nie chciała jechać, wrzeszczała na nas strasznie, ale Ike’owi udało się ją uspokoić. Zdaje się, że tylko on to potrafi.

Spojrzał w dół, splótł dłonie i wsunął je między kolana.

– Istnieje między nimi jakaś szczególna więź. Więcej niż więź rodzinna. To więzy łączące tych, którym udało się przetrwać. On nie ma nawet dwudziestu lat, przeszedł zbyt wiele, jak na kogoś w tym wieku. Więc miejcie to na względzie, dobrze?

Ike wrócił do pokoju i spytał:

– Co trzeba mieć na względzie?

– Mówiłem im, żeby postrzegali sprawę w odpowiednim kontekście – wyjaśnił Dinwiddie. – Co z nią?

– Śpi. W jakim kontekście?

– Wszystkiego, co się wydarzyło.

– Inaczej mówiąc, że powinni mnie rozpieszczać, litując się nade mną?

– Nie – odparł Dinwiddie. Chłopak odwrócił od niego wzrok. – Ike, co do tej dubeltówki...

– Nieważne, Ted. Przynajmniej ocaliłeś sobie życie. To chyba wystarczająco dobry powód?

Ike uśmiechnął się szeroko, tak nieoczekiwanie, że aż mnie zaskoczył, ale w uśmiechu tym dostrzegłem gorycz. Dinwiddie też to zauważył, wiedział, że nadchodzi nieodwracalna zmiana w panujących pomiędzy nimi stosunkach – i na jego twarzy odmalował się ból.

– Jesteś gotów, żeby nam opowiedzieć, co się stało, synu? – spytał Milo.

– Ile pan wie? – spytał Ike.

– Wszystko do Bear Lodge.

– Bear Lodge – powtórzył. – Sielska nirwana, narkotyczne marzenie, co? Ja wiem tylko tyle, ile mi opowiedziano. Co opowiedziały mi babcia.

– Gdzie potem mieszkałeś?

– Gdzie mieszkałem? – Chłopak uśmiechnął się znów i zaczął odliczać na palcach: – W Bostonie. W Evanston, Dłinois. W Louisville, Kentucky. Byłem prawdziwym włóczykijem.

Znów uśmiech. Tak wymuszony, że aż przykro było na niego patrzeć.

– A w Filadelfii? – spytałem.

– W Filadelfii? Nie. Nic o tym nie wiem.

– Terry Crevolin powiedział, że rodzina twojego ojca pochodziła z Filadelfii.

– Rodzina. – Uśmiech zmienił się nagle w gniewny pomruk. – Rodzina mojego ojca została zlikwidowana pięćdziesiąt lat temu. Poza jednym kuzynem. Gruba ryba, prawnik, nigdy nawet z nim nie rozmawiałem. Nie wyobrażam sobie, żeby mnie przyjął z otwartymi ramionami. – Znów śmiech. – Nie, babcia nie skazałaby mnie na Filadelfię.

– Te inne miejsca? – spytałem. – Czy to była rodzina twojej matki?

Wskazał na mnie palcem.

– Ale z pana spryciarz, zgadł pan. W nagrodę dostanie pan gumową kaczuszkę. Seria miłych, średnio zamożnych murzyńskich osiedli, w których nie odcinałem się od otoczenia jak syrop czekoladowy od mleka. Mili, gościnni krewni, którzy tolerowali mnie, dopóki im się nie znudziło. A może przestraszyli się, co to znaczy mnie wychowywać, albo zrobiło im się po prostu za ciasno – klasa średnia lubi wygodę.

– Usiądź, Ike – zaproponował Dinwiddie. Chłopak odwrócił się do niego.

– I co dalej? Rozluźnij się, Ike? – Ale usiadł w fotelu. Wyprostował patykowate nogi na tkanym dywaniku.

Wszyscy zamilkli na jakiś czas.

– Dlaczego wybrałeś hiszpańskie nazwisko? – zapytałem wreszcie.

– Hiszpańskie? A tak. Wcześniej używałem Montvert, część rodziny mojej matki była kreolska, więc wydawało mi się odpowiednie coś, co brzmiało po francusku. – Znowu uśmiechnął się bez radości. – Potem, gdy się tu przeprowadziłem, potrzebne mi było nowe. Żeby zatrzeć ślady. Pomyślałem o rosyjskim, dla babci. Ale kto w moim przypadku by w to uwierzył? Nie chciałem przyciągać uwagi. I pewnego dnia wypuściłem się do Ocean Heights. W wiadomościach nadali to bzdurne gadanie Massengila. Chciałem popatrzeć sobie na to miejsce, zobaczyć, jak wygląda w latach osiemdziesiątych teren Ku-Klux-Klanu. Przejechałem się tamtędy. Nieskazitelna Kraina. Ale zauważyłem, że wszystkie ulice nazwali po hiszpańsku. Kamienna hipokryzja. Więc pomyślałem, czemu nie? Zrobię im kawał, przyjmę nazwisko hiszpańskie. To by było Verde. Ale to źle brzmiało – jak nie nazwisko. Więc poszukałem w słowniku hiszpańsko-angielskim. *Greek*: Zielony. W mowie potocznej „nowicjusz”. Którym zresztą byłem. Nowicjusz w Los Angeles. *Novato*. Fajnie brzmiało.

Milo zaczął się wiercić w połowie tej wypowiedzi.

– Jak to było? Ten zaułek? – spytał.

– Rany – zachnął się Ike. – Z pana to naprawdę mistrz subtelności.

– Pieprzę subtelność – odparował Milo. – Skupmy się na prawdzie.

Teraz chłopak był zaskoczony. W końcu zdobył się na szczery uśmiech.

– Zanim zaproponowali mi spotkanie w zaułku, zacząłem podejrzewać coś dziwnego – wyznał. – Latch był zbyt miły. Ten facet piastował urząd z woli wyborców i rozmawialiśmy sobie o morderstwie, o wysadzeniu paru budynków w powietrze. A on był taki beztroski, jakby się nic takiego nie stało. Jakby wciąż był rewolucjonistą. Zresztą od początku mu nie ufałem. Babcia mu nie ufała. Twierdziła, że fakt, iż zajął się polityką rządową, wystarczająco wiele o nim mówi. Więc gdy mi powiedział o spotkaniu, o nowych informacjach, powiedziałem jasne, udałem, że jestem na to strasznie napalony. Ale od początku byłem podejrzliwy.

– Dlaczego tam? W Watts?

Ike skinął głową.

– Właśnie. To mnie też zastanawiało. Bajeczka Latcha była taka, że gość, z którym mam się spotkać, tam właśnie mieszka. Ktoś z przeszłości mamy i taty, z Czarnej Armii Wyzwolenia. Ktoś wciąż poszukiwany przez władze, kto potrzebował azylu Watts, nie mógł opuścić swojego terytorium.

– Czy Latch podał ci nazwisko?

– Abdul Malik. Ale powiedział, że to tylko pseudonim. Lubił pseudonimy. Bawił się nimi jak mały dzieciak. Nigdy w to naprawdę nie uwierzyłem.

– Prawdziwy powód wyboru Watts – wyjaśnił Dinwiddie – był taki, że na czarnego denata tam znalezionej policja machnie ręką. I tak też się stało, prawda?

Milo zignorował to i zwrócił się do Ike'a:

– Więc, mimo że ta sprawa ci śmierdziała, pojechałeś tam.

– Musiałem się dowiedzieć, co się dzieje. Pomyślałem, że jeśli mają zamiar odwinąć jakiś numer, zrobią to na pewno kiedy indziej i gdzie indziej. Chciałem się przygotować, zobaczyć, co się święci. Więc przyjechałem wcześniej, ukryłem motorower w sąsiednim zaułku i znalazłem kryjówkę za stosami śmieci. Nie świeciła się żadna żarówka, więc ta część zaułka była naprawdę ciemna. I straszna. Jak w koszmarze sennym. – Skrzywił się. – Przychodzący i odchodzący ukradkiem kryminaliści, te ciche szepty, zawierane transakcje, ludzie, którzy strzelają, smarkają, odlewają się, walą kupę. Zacząłem się bać, zastanawiałem się, w co się wpakowałem. Ale im robiło się później i zbliżał się czas mojego rzekomego spotkania z Malikiem, ruch zaczął zamierać.

– O której to było? – spytał Milo.

– Około trzeciej nad ranem. Słyszałem gdzieś, że to mordercza pora. Godzina, gdy słabną siły witalne. Kiedy siedziałem w tym miejscu, naprawdę to czułem. Wszystko zamierało. W każdym razie ćpuny i handlarze zaczęli się rozchodzić do domu, zostało tylko kilku maruderów. Takich kompletnych łachudrów, którym było wszystko jedno, czy siedzą na psim gównie, czy na czymś innym.

Spojrzał z obrzydzeniem. Przerwał.

– Mów dalej – ponaglił go Milo.

– Jeden z nich, tych maruderów, był mniej więcej mojej postury. Może trochę niższy, ale niemal tego samego wzrostu. I bardzo chudy, jak ja. Dlatego go zauważyłem. Zastanawiałem się, jak tam trafił, i tym podobne. Ten facet był naprawdę żaloszny. Kompletnie naćpany chodził tam i z powrotem, mamrocząc coś, nafaszerowany Bóg wie jakimi rodzajami trucizny.

Obserwuję go, obserwuję całą tę scenę, smród zdaje się jeszcze pogłębiać i ciemność robi się naprawdę ciężka, przygniata mnie. Teraz wiem, że to było moje zdenerwowanie. Wpadłem w panikę: co będzie, jeśli ktoś ukradnie mi motorower i jak tam utknę? Kto wie, co mnie tu czeka? Obserwuję. Wtem pojawia się facet, którego wysłali, żeby załatwił sprawę. Też jest wcześniej. Pół godziny wcześniej. Wiem, że to on, bo, mimo że to lato, jest ubrany na czarno, ma na sobie długi czarny płaszcz – to był jeden z sygnałów, po którym zorientowałem się, o co chodzi, mimo że sam w sobie niewiele znaczył. Łachudry marzną. Ale wszedł w krąg światła z garażu i zobaczyłem, że to biały facet. Z zadartym, świńskim nosem. Ale miał coś na twarzy. Mazidło. Żeby wyglądał jak czarny. W ciemności prawie nie można było poznać. Tych kilku łazęgów, którzy tam zostali, nie poznało oszustwa. Zależało im tylko na narkotykach. Ale ja się tego spodziewałem, więc rozpoznałem go.

Ten facet nadszedł jakby spacerkiem. Szedł beztrosko, głowa mu się kiwała, chciał wyglądać, jakby był stamtąd. Ale przesadził. Z tym zgrywaniem czarnego. Gdy zobaczył, że nikt nie zwraca na

niego uwagi, spojrzął na zegarek, zdradził, jaki jest zdenerwowany. Ja cały czas siedzę za stosami śmieci. Nagle zauważa go ten wysoki, szczupły ćpun, mówi: „Czołem, bracie” i zaczyna iść wolno w jego stronę, gadając coś bełkotliwie. Może chciał kupić lub sprzedać albo wyżebrać coś od tego białego faceta. Facet w płaszczu odpowiada: „Czołem. Malcolm?”. Właśnie tak. A łązega mamrocze coś w odpowiedzi, nie przeczy i dalej idzie w jego stronę. Może nawet chciał go obrabować albo co, nie wiem. Był dość duży, musiał wyglądać przeraźliwie dla starego białaska. Więc stary białasek wyciąga coś spod płaszcza. Dubeltówkę z odpiłowanymi lufami. I rozwała tego wysokiego faceta, z bardzo małej odległości: może był od niego jakieś pół metra. Widziałem, jak go odrzuciło, jakby zaatakował go huragan. Odrzuciło go i upadł. Pozostałe ćpuny zaczęły uciekać – to było dziwne, żadnych krzyków, nikt nic nie mówił. Tylko cicha ucieczka, jak szczury. Jakby byli do tego przyzwyczajeni, jakby nie stało się nic takiego. Wtedy zwał ten biały facet w płaszczu. Usłyszałem, jak zapalił samochód na końcu zaułka i odjechał. Odczekałem chwilę, okropnie przerażony, ale wiedziałem, że muszę podejść do tego ćpuna, zobaczyć, czy mogę mu w jakiś sposób pomóc. Mimo że miałem pewność, że nie mogę – tak go odrzuciło. Aż eksplodował. W końcu podszedłem. Jak zobaczyłem, co zrobiła z nim ta dubeltówka, poczułem się naprawdę niedobrze. Chyba również dlatego, że wiedziałem, że to miałem być ja. Zakręciło mi się w głowie, miałem ochotę zwymiotować, ale musiałem się stamtąd wynieść, zanim nadjedzie policja, więc się powstrzymałem. Żołądek naprawdę nie dawał mi spokoju, kręciło mnie w nim, musiałem się wypróżnić.

I wtedy coś mi przyszło do głowy: trzeba to jakoś wykorzystać. Trzeba, żeby życie tego łązegi na coś się przydało. Wsadziłem ręce do jego kieszeni. To było obrzydliwie. Kieszenie były mokre od krwi. I puste, oprócz kilku pigulek. Nie miał dokumentów. Wsunąłem mu swoje papiery i zwałem. Miałem nadzieję, że po tym, co zrobiła mu dubeltówka, nikt się nie domyśli zamiany, tym bardziej że byliśmy tej samej postury. Później, gdy już jechałem, naprawdę się tym przeraziłem. Zacząłem się trząść. Mówiłem sobie, że to była najbardziej idiotyczna rzecz, jaką mogłem zrobić. Co będzie, jeśli jednak to odkryją? Moje dokumenty przy trupie – jestem ugotowany. Mogli mnie oskarżyć o morderstwo, więc zadzwoniłem do Teda z automatu ulicznego. Wstał z łóżka i przywiózł mnie tutaj. I czekałem, oszalały ze strachu. Tutaj, w tej zapadłej dziurze, że przyjadą mnie szukać gliniarze albo faszyci Latcha. Na drugi dzień gliniarze rzeczywiście się pojawili, rozmawiali z babcią, pytali, czy używałem narkotyków. Przyjęli, że ten trup to ja. Więc oficjalnie nie żyję. – Uśmiechnął się. – Nigdy nie sądziłem, że to takie przyjemne uczucie. – Uśmiech zniknął. – Ale nie mogę przestać myśleć o tym ćpunie. O tym, że zginął za mnie jak kozioł ofiarny. Niemal jakby był moim Chrystusem. Gdybym wierzył w Chrystusa. Myślę o tym, że ten chłopak też był kiedyś czyimś małym synkiem. Może ktoś go kochał; teraz nikt nigdy nie dowie się, co się z nim stało. Potem uświadamiam sobie, że w jego stanie pewnie wszyscy, którzy go niegdyś kochali, już go sobie odpuścili.

Spojrzął na nas, szukając potwierdzenia. Uśmiechnąłem się ze zrozumieniem i pokiwałem głową. Milo też przytaknął.

Chłopak zaciskał i otwierał dłonie. Zamrugnął. Otarł oczy. Gdy odezwał się ponownie, jego głos był cichy i spięty.

– Wiem, o czym myślicie – powiedział. – Holly. Jeszcze jedna ofiara. Ale nie miałem pojęcia, że ona robi to, co zrobiła. Nie byliśmy wcale jakimiś bliskimi przyjaciółmi czy coś takiego. Było mi jej żal, taka samotna, taka zamknięta w sobie, gnębiona przez ojca, który ją traktował jak niewolnicę.

Gdybym wiedział, zadzwoniłbym do niej, ostrzegłbym, żeby nie robiła niczego głupiego.

– O czym z nią rozmawiałeś, synu? – spytał Milo głosem, którym rozmawiał z ofiarami.

– O różnych rzeczach – odparł chłopak. – Najróżniejszych. Ona sama zbyt wiele nie mówiła. Nie była zbyt bystra, niemal opóźniona w rozwoju. Więc to ja cały czas gadałem. Musiałem cały czas gadać.

Rozłożył ręce w błagalnym geście. Skupił się na Milu. Chciał rozgrzeszenia od policjanta.

– Oczywiście – rzekł Milo. – Gdybyś nie gadał, traktowałbyś ją jak każdy inny. Odcinałbyś ją od świata.

– Właśnie! Ignorowałbym ją. Wszyscy ją ignorowali, traktowali jak jakąś nieludzką istotę. Nawet jej ojciec. Zajmował się swoimi sprawami, tymi komputerami i udawał, że ona nie istnieje. Opowiadała mi to, mówiła mi, jak wymagał od niej, żeby wykonywała prace domowe. Jego brudną robotę. Za darmo. Kiedy się lepiej poznaliśmy, wyznała mi, że jej tata był kiedyś w wojsku, że był generałem czy kimś takim. Że wymagał, żeby wszystko doprowadzała do perfekcji. Ona nie potrafiła zdobyć się na perfekcję, więc wiedziała, że ojciec nigdy jej nie polubi.

– Poznałeś jej ojca? – spytał Milo.

– Tylko przelotnie. Minał mnie raz czy dwa. Udawał, że nie istnieje. Nie wiedziałem, czy to rasizm, czy on już taki jest. Dopiero Ted mi powiedział.

Spojrzał na Dinwiddiego. Sklepikarz zmieszał się.

– Powiedziałem mu, że Burden jest dziwny, żeby uważał. Że cała rodzina jest dziwna.

– I inne rzeczy – dodał Ike cicho.

– Plotki – wyjaśnił Dinwiddie. – Że Burden jest jakimś szpiegiem rządowym. Takie gadki krążyły, gdy byłem w szkole średniej. Pytaliśmy o to Howarda. Zawsze odpowiadał, że nie wie, ale nikt mu nie wierzył. Jak mógł nie wiedzieć czegoś o własnym ojcu? Doszliśmy do wniosku, że się wymiguje. To były lata sześćdziesiąte, źle się postrzegało wojskowych. Nigdy tak naprawdę nie wierzyłem w to szpiegostwo, ale chciałem, żeby Ike wiedział, że ma do czynienia z hipotetycznym czynnikiem ryzyka. Żeby nie wpadł w tarapaty.

– Chciałeś się upewnić, czy z nią nie spałem – przypomniał Ike z uśmiechem. Bez złości. – Nie mam ci za złe – to byłoby głupie. Ale nigdy nie miałem nawet takiej możliwości. To nie było... Ona nie była... nie była kobieca. Podobna raczej do dziecka. Naiwna. To tak jakbyś przespał się z dzieckiem. Zboczone.

Milo znowu skinął głową.

– Jak szczegółowo jej opowiedziałeś? O Wannsee?

– Chyba bardziej, niż sądziłem. Gdy tam przychodziłem, tak się cieszyła na mój widok – przygotowywała jedzenie, zaczęła robić z tego wielkie wydarzenie. Byłem jedyną osobą, która poświęcała jej jakąś uwagę. I chyba trochę mnie poniosło. Gadałem jak najęty.

– Wspominałeś nazwisko Latcha?

Spojrzał w dół. Mruknął coś, co brzmiało jak „Mhmm”.

– A Massengila?

– Wszystko. – Wciąż patrzył w dół i mamrotał pod nosem. Nagle podniósł wzrok, znów ze zawilgotniałymi oczami. – Nie miałem pojęcia, że ona naprawdę tego słucha! Połowę czasu była tak nieobecna, że zdawało mi się, że mówię do ściany! Że gadam do siebie! Po prostu wywaląłem to wszystko z siebie. Nawet nie pamiętam, co jej powiedziałem ani ile. Gdybym wtedy wiedział... – Urwał, potrząsnął głową. Płakał. Dinwiddie podszedł do niego i poklepał go po ramieniu.

Milo czekał długo, aż w końcu odezwał się:

– To nie była twoja wina.

Szczupła, brązowa twarz wystrzeliła w górę jak sprężynowy ludzik z pudełka.

– Nie. Skądże... A czyja?!

– Jeśli chcesz się torturować poczuciem winy, synu, poczekaj, aż będziesz starszy. Kiedy już będziesz miał ku temu porządny powód.

Ike wpatrywał się w niego. Wytarł oczy.

– Jest pan dziwnym człowiekiem jak na gliniarza. Czego pan ode mnie chce?

– To zależy od ciebie – odparł Milo. – Latch, Ahlward i garstka innych nie żyją. Panią Latch właśnie sprawdzamy. Ale jeszcze kilkoro, całkiem sporo, przetrwało. Mamy bardzo niewiele dowodów, żeby ich powstrzymać. Nie mamy niczego, co mogłoby skazać ich na długoletnie więzienie. Może nie musimy ich powstrzymywać. To zgraja baranów. Gdy zabrakło im przywódców, odsuną politykę na bok, zajmą się handlem nieruchomościami albo uprawą marihuany, albo pisaniem scenariuszy, czymkolwiek. Ale może to się nie stanie.

– To znaczy?

– To znaczy, że byłeś naocznym świadkiem zabójstwa. Może na tyle wyraźnie widziałeś tego dupka w płaszczu, żeby rozpoznać jego twarz. Rozpoznać ten świński nos. Jeśli nie zechcesz zadawać sobie trudu, zrozumieć. Jesteś za młody, żeby zgodnie z prawem kupić sobie piwo, a przeszedłeś przez bagno, które innym wystarczyłoby na dziesięć żywotów. Nadal nikomu nie ufasz, nie wiesz, kto jest dobry, a kto zły. Ale jeśli będziesz mógł rozpoznać jego tożsamość, istnieje szansa, że skończymy z tymi pieprzonymi faszystami, dorwiemy innych za spiskowanie, porządnie nastraszymy. I zmusimy do mówienia.

– Tylko tyle? – spytał chłopak. – Tylko rozpoznać twarz?

– Oczywiście, że nie – powiedział Milo. – Jeśli ją rozpoznasz, będzie dochodzenie, zeznania przed sądem, całe to prawnicze gówno. Jeśli to zajdzie tak daleko, policja zapewni ci ochronę, ale prawda jest taka, że może ona wystarczyć jedynie na jeden półdupek. Więc osobiście będę cię chronił. Dopilnuję, żeby wszystko było jak należy. Dopilnuję również, żeby babcia miała ochronę. I dobrą pomoc medyczną. Mam niezłe znajomości w kręgach lekarskich.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego pan chce tym tak sobie zawracać głowę?

Milo wzruszył ramionami.

– Po części z powodów osobistych. Wciąż jestem na nich mocno wkurzony za to, co mi zrobili. – Przesunął dłonią po twarzy. Zdjął czapkę baseballową i podrapał się po głowie. Od potu i ucisku czapki jego włosy zmieniły się w coś czarnego, tłustego i mokrego. – Może również z ciekawości. Tak jak Ted. Jakbym zareagował, gdyby mi kazano kogoś postraszyć. – Ziewnął, przeciągnął się, założył z powrotem czapkę. – W każdym razie nie będę cię zmuszał, synu. Możesz mi powiedzieć, żebym o tym zapomniał i pojedę z powrotem do Los Angeles, a ty przeniesiesz się do następnej kryjówki.

Chłopak zastanawiał się przez chwilę. Ogryzał paznokcie, ugniatał kostki dłoni.

– Rozpoznać twarz? To było dawno, było dość ciemno. A jeśli nie będę w stanie jej rozpoznać?

– Wtedy żegnaj i powodzenia.

– Czy muszę się z nimi... z nim... spotkać osobiście? Czy mogę po prostu spojrzeć na zdjęcie?

– Na początku zdjęcie. Jeśli go rozpoznasz, ustawimy rząd osób do wyboru. Z zachowaniem wszelkich środków bezpieczeństwa. Zza lustrzanej szyby.

Chłopak wstał, zaczął chodzić, uderzał pięścią w dłoń. Nie mogłem pozbyć się myśli, jak bardzo przypomina mi Mila. Walczył ze sobą. Zawsze walczył ze sobą.

– Dobrze – odezwał się w końcu. – Obejrzę te pańskie zdjęcia. Kiedy?

– Teraz – odparł Milo. – Jeśli jesteś gotów. Mam to wszystko w samochodzie.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Skończyło się tak, jak się zaczęło.

– Włącz telewizor, Alex.

Siedziałem przy oknie w jadalni, obserwowałem zachód słońca nad Glen. Czytałem Twaina. Potem poezję: Whitmana, Roberta Penna Warrena, Dylana Thomasa. Utwory, które odsuwałem o wiele za długo. Utwory, które były pełne melodii, pożądania, rozpacz i wiary.

– Czy to coś ważnego, Milo?

– Szybko, bo przegapisz.

Wstałem i włączyłem telewizor. Wiadomości o osiemnastej. W centrum kadru porucznik Frisk na podium; pod nim moc nasłuchujących mikrofonów. Płowy garnitur. Kremowa koszula, zielony krawat. Szeroki uśmiech, czczą gadanina o długotrwałym dochodzeniu, międzywydziałowym łączeniu sił, wielorakich oskarżeniach, które są wynikiem sprawnej koordynacji komórek federalnych i stanowych.

Padło słowo: „bohater”. Zdawało się, że musiał się wysilić, żeby ułożyć usta do tego słowa. Wyciągnięta dłoń.

Milo wszedł na podium. Frisk uścisnął mu dłoń, podał Milowi kartkę papieru.

Milo wziął kartkę, spojrzął na nią. Uśmiechnął się do kamery, jakby mówił: Pozdrawiam cię, mammo! Schował pochwałę do kieszeni.

Frisk odsunął się od niego. Stał nieco z tyłu i czekał, aż Milo zejdzie z podium. Milo stał bez ruchu, wciąż się uśmiechając. Frisk miał zaskoczony wyraz twarzy.

Milo spojrzął znów do kamery i odwrócił się przodem do Friska. Zamachnął się i mocno uderzył go w twarz.